

JUSTIN
PEACOCK

ALEJA
ŠLEPČA



JUSTIN
PEACOCK
ALEJA ŚLEPCA
przełożył Leszek Karnas



Melissie – nieustannie

Prolog

Znajdowali się na wysokości dziewięćdziesięciu metrów, gdy podłoga pod nimi ustąpiła. Rozpadła się i przestała być podłogą. Stała się masą pokruszonego betonu, zapadającego się z ogłuszającym łoskotem.

Jak biec, kiedy stopy nie znajdują podparcia? Umysł krzyczy: „Uciekaj!”, lecz ciało nie jest w stanie podążyć za tym rozkazem. Była to już tylko chwila nieudanej walki o to, by nie spaść.

Ci trzej, którzy pracowali na krawędzi budynku, opadali swobodnie, kopiąc bezsilnie powietrze. Niżej znajdowała się siatka bezpieczeństwa, ale znaleźli się poza jej zasięgiem, w odróżnieniu od kilkunastu innych mężczyzn, którzy choć poranieni, uszli z wypadku z życiem. Ale na drodze tych trzech, mijających dwadzieścia cztery piętra, nie znalazło się nic, co mogłoby ich zatrzymać i stać się azylem chroniącym przed bezlitosną siłą grawitacji.

Kieran Doyle, Krzysztof Szczerbiak i Esteban Martinez. Nowy Jork nigdy wcześniej o nich nie słyszał, a ich nazwiska pojawiły się w gazetach po raz pierwszy dopiero wtedy, gdy obwieszczono ich śmierć. Tylko Doyle urodził się w USA i dorastał w Hell's Kitchen, gdy była jeszcze niespokojną irlandzką dzielnicą, która niedługo potem wyszlachetniała i upodobniła się do Midtown. Szczerbiak jako dziecko przybył z Polski, natomiast Martinez – nielegalny imigrant – z Hondurasu. Miał wtedy dwadzieścia kilka lat i utorował sobie drogę do Stanów, posługując się podrobioną kartą ubezpieczeniową.

Wszyscy trzej byli doświadczonymi budowlańcami. Ich praca była ciężka i niebezpieczna nawet w najlepszych warunkach, lecz dla nich – i dla wszystkich na budowie – było jasne, że warunki, w jakich wznoszono Aurora Tower, były dalekie od ideału. I to wcale nie z powodu zawrotnego tempa, w jakim wyrastały kolejne piętra, ani z powodu pęknięć w twardniejącym betonie, ani z powodu różnych wynikających z pośpiechu sposobów upraszczania pracy. Wśród załogi dużo się mówiło o tym, żeby poskarżyć się w związkach, żeby pójść do szefostwa z listą żądań, a nawet żeby odejść z pracy.

Ale teraz nie było już czasu na rozmowy, przynajmniej takie, które mogłyby zapobiec temu, co się stało. Po wypadku toczyły się oczywiście dyskusje: były dochodzenia, procesy sądowe i dramatyczne tytuły w gazetach, ale dla nich trzech i tak nie miało to już żadnego znaczenia.

Jak szybko wielka masa betonu potrafi obrócić się w stertę gruzu! Głębokie dudnienie przykuło uwagę wszystkich, którzy byli na tyle blisko, by je usłyszeć, i sprawiło, że ogarnięci paniką usiłowali zlokalizować jego przyczynę. Nowojorczycy wciąż nosili w sobie echo upadających Bliźniaczych Wież, powracające za każdym razem, gdy pękała rura ciepłownicza albo przewracał się dźwig. W miejską kakofonię wkradły się ponure tony zagrożenia. Przechodnie uciekli przed hałasem, zanim zdążyli pojąć, co się dzieje. Doyle, Szcherbiak i Martinez nie mieli dokąd uciec, bo otaczały ich tylko pędzące powietrze i łoskoczący gruz, które były jak spadające niebo.

Część pierwsza

Pamiętam czasy, w których dało się skutecznie wykonywać tę robotę. – Simon Roth mówił już, wchodząc do sali konferencyjnej. – Po prostu przychodziło się na zebranie i załatwialiśmy sprawę. A teraz całymi dniami przesiaduję z prawnikami i księgowymi, a ci tylko liczą i produkują dokumenty. Pieprzeni prawnicy, to przez was to, co robicie, jest takie skomplikowane i ciągnie się w nieskończoność. Forma przerosła treść.

– Też się cieszę, że cię widzę, Simon – odpowiedział Steven Blake, wstając, żeby uścisnąć rękę Rotha. – Duncan Riley, czekający z Blakiem na przybycie klienta, podniósł się szybko z krzesła.

Steven był konsultantem w firmie Blake and Wolcott, której jako współwłaściciel użył swojego nazwiska, a zarazem pełnił w niej funkcję głównego zaklinacza deszczu. Znajdowali się w sali konferencyjnej Roth Properties i mieli poinformować Rotha i jego ludzi o rozmaitych zawiłościach prawnych związanych z ubiegłorocznym śmiertelnym wypadkiem na budowie Aurora Tower.

Roth Properties była firmą rodzinną. Simon Roth, jej założyciel i wciąż dyrektor generalny, dobiegał siedemdziesiątki, chociaż jak pokazało jego umyślnie zaaranżowane wejście, starał się epatować energią pasującą do o wiele młodszego człowieka. Simon miał siwe, starannie ułożone i polakierowane włosy, idealnie skrojony garnitur, prążkowaną niebieską koszulę z białym kołnierzykiem i ciężkie złote spinki do mankietów. Prawdziwy wiek Simona zdradzała jedynie jego twarz, czerwona i pobrużdżona niczym twarz marynarza, który zbyt długo przebywał na morzu.

Za Simonem Rothem do sali wkroczyła niewielka reprezentacja Roth Properties: dwoje dzieci Rotha, Jeremy i Lea, będący wiceprezesami firmy, a za nimi główny radca prawny Roger Carrington oraz dyrektor finansowy Preston Thomas.

Lea i jej brat objęli swe stanowiska, ledwie przekroczywszy trzydziestkę, lecz w prywatnych firmach rodzinnych nie było to niczym niezwykłym. Jeremy był przysadzisty i sprawiał wrażenie pełnego zółci, Lea z kolei była szczupła i ascetyczna; oboje wydawali się znacznie starsi, choć przejawiało się to w zgoła odmienny sposób.

Carrington i Thomas mieli już dobrze po pięćdziesiątce. Carrington wyglądał jak staromodny biały anglosaski protestant, Thomas był

Afroamerykaninem. Byli ubrani praktycznie tak samo: obaj nosili ciemne prążkowane garnitury z chusteczką w kieszonce marynarki oraz spinki w mankietach śnieżnobiałych koszul.

Po Blake'u przysłała kolej na Duncana, który witając się z przybyłymi, obdarzył ich uśmiechem bystrego chłopca. Miał nadzieję, że nie będzie czuł się nieswojo. Simon Roth miał opinię wymagającego i drażliwego klienta, czym sam się szczyił, więc Duncan byłby niezmiernie zadowolony, powierzając prowadzenie całej rozmowy Blake'owi. Gdyby jednak musiał wziąć w niej udział, posłusznie udawałby entuzjazm. Był człowiekiem od szczegółów, natomiast Blake, jako starszy wspólnik, nie orientował się dostatecznie w konkretach.

Firma Roth Properties była deweloperem Aurora Tower, liczącego trzydzieści sześć pięter apartamentowca wznoszonego w centrum SoHo. Najtańszy apartament o powierzchni czterdziestu sześciu metrów kwadratowych wyceniono na prawie milion dolarów, natomiast położony na najwyższym piętrze budynku kosztował dwadzieścia pięć milionów. Przeprowadzenie postępowania jednak w bardzo wolnym tempie, co w wypadku projektu budowlanego za pół miliarda nie było dobrą wiadomością. Aura luksusu została naruszona przez wypadek i wynikłe z niego poruszenie związane z dochodzeniami i procesami sądowymi.

Jako pierwszy zajął się sprawą Wydział Budownictwa. Prace zostały wstrzymane na miesiąc, a inspektorzy miejscy przystąpili do sprawdzania placu budowy. Prawnicy nadzorowali kontrolę dokumentów i byli obecni przy przesłuchaniach, chociaż na ogół trzymali się z boku i nie wtrącali się do pracy urzędników. Jak można się było spodziewać, Wydział Budownictwa wykrył wiele nieprawidłowości mających związek z wypadkiem (zanim do niego doszło, wykonawca naraził się już na kilkanaście innych zarzutów ze strony miasta, lecz w wypadku wielkich projektów budowlanych na Manhattanie liczba ta nie była niczym wyjątkowym) i nałożono stosunkowo niewielkie grzywny zarówno na podwykonawcę, firmę Pellettieri Concrete, jak i wykonawcę generalnego – Omni Construction.

Zanim jeszcze Wydział Budownictwa wydał oświadczenie dotyczące swych ustaleń, wytoczono w imieniu rodzin trzech tragicznie zmarłych pracowników budowy proces o nieumyślne spowodowanie śmierci. Wśród pozwanych znalazła się firma Roth Properties, chociaż była tylko jedną z firm uwikłanych w sprawę wypadku. Była jednak najbogatszym i najbardziej znanym przedsiębiorstwem uczestniczącym w przedsięwzięciu,

toteż włączenie jej do grona pozwanych było motywowane strategicznie – nawet gdyby powodowie nie mieli najmniejszej szansy na otrzymanie choćby centa z pieniędzy Rotha.

Wydarzenia będące następstwem wypadku rozwijały się w sposób przewidywalny, wywołując umiarkowane zamieszanie wokół Roth Properties, a „New York Journal” opublikował artykuł, w którym doniesiono, że firma zajmująca się wylewaniem betonu nie zadbała o zabezpieczenie wiążącej masy podparciem pomocniczym. Napisano, że nawet gdy pracownicy informowali o pojawiających się pęknięciach, firma Pellettieri Concrete nie zrobiła nic, by wzmocnić konstrukcję, a tym samym zignorowała oczywiste ryzyko. Wspomniano także, że współzałożyciel firmy przebywa właśnie w więzieniu, a oskarżenie go o oszustwa jest jednym z działań prokuratury zmierzających do wyplenienia przestępczości zorganizowanej z przemysłu budowlanego.

Głównym tematem artykułu nie był jednak sam wypadek, a raczej to, jak zareagowało nań miasto. Tekst głosił, że William Stanton, inspektor Wydziału Budownictwa odpowiedzialny za zbadanie wypadku, początkowo zalecił, by skierować sprawę do prokuratury okręgowej, która miałaby wszcząć śledztwo kryminalne. Zalecenie to zostało przypuszczalnie odrzucone przez Ronalda Duranta, szefa wydziału, który stonował ustalenia śledczych, zanim podał je do publicznej wiadomości. Krótco potem Durant zrezygnował z posady w Wydziale Budownictwa i znalazł zatrudnienie w jednej z czołowych firm wynajętych przez Roth Properties do zaprojektowania całkowitej przebudowy osiedla mieszkaniowego. Artykuł sugerował też, choć nie napisano tego wprost, że miejska agencja odpowiedzialna za badanie wypadków budowlanych zrobiła wszystko, by stworzyć nic nieznaczący raport w zamian za dobrą posadę dla Duranta.

Tekst ten wywołał wielkie oburzenie i sprawił, że temat szybko podchwyciła reszta nowojorskiej prasy. Biuro prokuratora okręgowego bezzwłocznie poinformowało o wszczęciu dochodzenia w sprawie wypadku. Mimo iż firma Roth Properties nie była objęta śledztwem, sąd wydał nakaz wyszukania w jej dokumentacji praktycznie każdego pisma dotyczącego budowy Aurora Tower.

Simon Roth zlecił Blake’owi wniesienie pozwu o zniesławienie przeciwko „New York Journal”. Gazeta złożyła wniosek o jego oddalenie, oni tymczasem pracowali pod nadzorem Duncana nad sprawami związanymi z dokumentacją. Pod koniec tygodnia Duncan miał się spotkać z Candace Snow, autorką artykułu, by zadać jej serię pytań.

Pracując dla Rotha, wspólnicy Blake i Wolcott zatrudniali kilkunastu współpracowników, a Duncan był jedyną poza Blakiem osobą pozostającą w kontakcie z nimi wszystkimi. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy poświęcał każdą godzinę na pracę nad sprawami Roth Properties. Nie była to jego zdaniem sytuacja idealna, ale nie stanowiła też powodu do narzekań.

Celem obecnego zebrania było nie tylko przekazanie klientowi najnowszych informacji o stanie różnych spraw, lecz także omówienie jednej z ostatnich złych wieści: sąd odrzucił złożony przez Roth Properties wniosek o oddalenie pozwu w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci, co oznaczało, że firma zostanie zmuszona do dalszego przekazywania dokumentów, a członkowie jej zarządu będą musieli stawiać się na przesłuchania.

– Co takiego? – wybuchł Roth, przerywając Blake’owi omawiającemu właśnie działania, które miała podjąć firma. – Chcą mnie przesłuchać?

Blake pokręcił głową.

– Najpierw będą chcieli przesłuchać twojego syna i Prestona. A jeśli i ty otrzymasz wezwanie do złożenia wyjaśnień, zawsze będziemy mogli spróbować tego uniknąć, ponieważ zgodnie z oficjalnymi aktami to Preston kierował projektem, a ty nie byłeś w niego bezpośrednio zaangażowany. Natomiast dobrą wiadomością w sprawie dokumentów jest to, że zebraliśmy już wszystkie, które są istotne ze względu na nakaz prokuratora okręgowego.

– Wiesz, jak długo byłem przesłuchiwany w zeszłym roku? Całe trzy dni. Skrócili mi urlop.

– Jeśli dobrze pamiętam, spędziłeś większość lutego w naszym domu na Kajmanach – zwrócił się do ojca Jeremy Roth.

Simon spojrzał na syna, lecz ten starał się nie patrzeć mu w oczy.

– To, że jestem na Kajmanach, wcale nie znaczy, że nie pracuję – warknął. – Robię tam więcej niż wy wszyscy razem wzięci, kiedy mnie tu nie ma.

– Twoja wiara w to jest niezmaczona – odpowiedział Jeremy.

Duncan był zaskoczony szczeniacką zgryźliwością, jaką Jeremy przejawiał w stosunku do ojca, a także tym, że pozwolił sobie na nią właśnie teraz, podczas spotkania służbowego.

– Wierzę w to, co jest prawdą – odpalił Simon.

– W każdym razie – powiedział Blake, ignorując sprzeczkę – zbliża się termin ujawnienia informacji. Musimy się do tego przygotować i wszystko

dokładnie przemyśleć. Znacie zasady.

– Będę koordynowała te sprawy z naszej strony – odezwała się łagodnie Lea. Jej spokojne zachowanie kontrastowało z tym, co prezentowali obaj Rothowie.

– A nas na co dzień będzie reprezentował Duncan – odpowiedział Blake, kładąc protekcyjnie rękę na ramieniu swojego współpracownika.

Duncan uśmiechnął się do Lei, która spojrzała na niego, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Więc chyba już nie muszę tracić reszty dnia na te głupoty? – zapytał Simon, odsuwając się z fotelem od stołu.

– Ale lunch jest aktualny? – odpowiedział pytaniem Blake.

Simon zerknął na zegarek.

– Tak, pod warunkiem że nie będziesz próbował wcisnąć mi rachunku.

Lea spojrzała na ojca, a potem znów na Duncana.

– Masz zatem czas, żeby przygotować listę spraw do załatwienia?

Duncan przytaknął bez wahania i spotkanie dobiegło końca. Lea podeszła do telefonu stojącego na małym stoliku i poprosiła swą asystentkę o zamówienie posiłku. Duncan zirytował się zachowaniem Blake'a, który nie zatroszczył się, by i on mógł wziąć udział w lunchu z Rothem – choć powinien był się już przyzwyczaić do afrontów tego rodzaju. Blake, w odróżnieniu od wielu innych partnerów, nie był krzykaczem ani zwykłym fiutem; był jednak obcesowy i niedostępny, a zarazem oczekiwał od wszystkich współpracowników czytania w jego myślach. Ale zawód prawnika nie jest przecież dla tych, którzy chcą, by ktoś prowadził ich za rączkę.

Poza tym, wybierając się na to spotkanie, Duncan chciał poznać nowe pokolenie Rothów. Był właśnie na tym etapie swojej kariery, na którym zdobywanie nowych umiejętności zawodowych nie znaczyło już tak wiele, jak pogłębianie stosunków i znajomości pozwalających pozyskać własnych klientów – przy założeniu, że zbliżające się głosowanie w sprawie jego wspólnictwa przebiegnie zgodnie z jego oczekiwaniami. Dzieci Rotha miały mniej więcej tyle lat co Duncan i byłoby doskonale, gdyby udało mu się nawiązać z nimi takie same stosunki, jakie dawno temu połączyły jego szefa z Simonem. Blake był głównym prawnikiem procesowym Simona Rotha, należącego do najwartościowszych klientów, od ponad dwudziestu lat. Liczył sobie prawie tysiąc dolarów za godzinę i był powszechnie znany jako jeden z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie w kraju.

Lea, rozmawiając przez telefon z asystentką, spojrzała na Duncana. Nie

uśmiechała się ani nie starała się spojrzeć łagodniej, lustrowała go otwarcie. Pomimo ascetyczności była na swój sposób atrakcyjna. Miała ciemne proste włosy i ciemnobrązowe oczy, których dopełnieniem był ciemny kostium. Lea przejawiała szczególny rodzaj pewności siebie, z którym Duncan zetknął się po raz pierwszy dziesięć lat wcześniej, gdy wstąpił na Wydział Prawa Harvardu: była urodzoną prawniczką.

Duncan zastanawiał się, kogo zobaczyła przyglądająca mu się Lea. Był mężczyzną średniego wzrostu, o cerze koloru miodu, z którą kontrastowały zielone oczy, o ciemnych włosach przyszytych po bokach i z tyłu głowy tak mocno, że ledwie zahaczały o grzebień. Pomimo lipcowego upału Duncan miał na sobie szary garnitur Brooks Brothers, niebieską koszulę z bawełny oksfordzkiej i granatowy krawat w prążki. Wybrał na to spotkanie najbardziej konserwatywny z ubiorów, jakie miał w swojej garderobie, choć jego strój biznesowy był zazwyczaj nieco bardziej wysmakowany; nosząc się tak skromnie, miał czasami wrażenie, że występuje w przebraniu. Na spotkaniach takich jak dzisiejsze Duncan pozostawał w tle, asekurując dyskretnie Blake'a i odzywając się, kiedy to było konieczne; usiłował tym samym jak najlepiej wtopić się w otoczenie.

– A zatem – powiedziała Lea, zajmując miejsce po drugiej stronie stołu konferencyjnego – jest pan protegowanym Stevena Blake'a?

– Jednym z nich – odparł Duncan. – Blake ma zbyt dużo zleceń, by mógł im podołać jeden człowiek.

– Ale to właśnie pan zajmuje się naszą sprawą – stwierdziła Lea. – Mam nadzieję, że nie odrywamy pana od ważniejszych zadań.

Duncan rzeczywiście nie był entuzjastą pracy, którą wykonywał dla Roth Properties: w jego firmie z pewnością nie brakowało bardziej atrakcyjnych spraw, w tym tych prowadzonych przez Blake'a. Nie była to jednak chwila, w której Duncan udzieliłby szczerzej odpowiedzi. Nie miał też wątpliwości, że Lea wcale na nią nie liczyła. Powiedział więc:

– Należą państwo do naszych najważniejszych klientów. Jesteśmy zaszczyceni, że obdarzyli nas państwo zaufaniem i powierzyli nam prowadzenie swoich spraw.

Lea uśmiechnęła się lekceważąco, dając Duncanowi do zrozumienia, że jego odpowiedź była niezupełnie trafiona.

– Rachunki z pańskiej firmy przechodzą przez moje biurko – rzekła. – Policzyliście nam w ubiegłym miesiącu za ponad dwieście godzin pracy. Trudno zatem przypuszczać, by miał pan wiele czasu na zajmowanie się czymś jeszcze.

Duncan, lekko zaniepokojony, wzruszył ramionami. Nie był pewien, jakiej odpowiedzi spodziewała się Lea.

– To prawda – odpowiedział. – Prowadzę teraz pewną sprawę pro bono, ale nie jest ona bardzo czasochłonna. Jeśli chodzi o klientów komercyjnych, w tej chwili rzeczywiście zajmuję się przede wszystkim interesami państwa firmy.

– Czego dotyczy pańska sprawa pro bono?

Pytanie zaskoczyło Duncana, który nie spodziewał się, że jego życie zawodowe wzbudzi jakiegokolwiek zainteresowanie Lei.

– Właśnie bronię pewnej rodziny w sprawie o eksmisję – wyjaśnił.

– I to wszystko? – zapytała protekcyjnie Lea.

Duncan poczuł irytację zmieszaną z zakłopotaniem, lecz usiłował nie okazać żadnego z tych uczuć. Jego niechęć nie dotyczyła samej sprawy, którą traktował poważnie, a jedynie omawiania jej z Leą Roth, tym bardziej że sprawa ta miała pewien – dość odległy wprawdzie – związek z Roth Properties.

Klienci Duncana, babka i wnuk, Dolores i Rafael Nazario, byli mieszkańcami osiedla Jacob Riis na wschodnich obrzeżach Alphabet City. Osiedle to podlegało gruntownej przebudowie, a jednym z uczestników tego odważnego przedsięwzięcia była firma Roth Properties współpracująca z miastem. Powodem wszczęcia postępowania eksmisyjnego było aresztowanie wnuka, którego zatrzymano poza osiedlem za palenie jointa. Chłopaka nie zatrzymała jednak policja, lecz prywatni ochroniarze patrolujący teren dookoła placu budowy.

Rafael przyznał się do zakłócenia porządku publicznego za sprawą palenia marihuany, nie wiedząc jednak, że w ten sposób otwiera furtkę dla procedury eksmisyjnej. Zmienił więc zdanie, twierdząc, że całą sprawę wymyślono i że w rzeczywistości wcale nie przyłapano go na paleniu, chociaż Duncan niekoniecznie dawał wiarę tym zaprzeczeniom, zwłaszcza że jego klient wygłaszał je w obecności swojej babki.

Duncan uśmiechnął się do Lei.

– Nie, chodziło mi o to, że... Oczywiście dla moich klientów bardzo ważne jest to, by mogli zostać w swoim domu, zwłaszcza że mieszkają w budynku komunalnym, a konkretnie w Jacob Riis, więc przeprowadzka nie wchodzi w rachubę. Chciałem tylko powiedzieć, że to nie jest sprawa z rodzaju tych, które służą ratowaniu świata.

Lea, zaciekawiona, podniosła głowę.

– Ale my nie mamy z tym nic wspólnego, prawda? Skoro rzecz dzieje się

w Riis...

– Chodzi tu tylko o pracownika ochrony, który zatrzymał mojego klienta.

– To musiał być ktoś z ekipy Darryla Loomisa – powiedziała Lea. – To zewnętrzna firma ochroniarska, z której usług korzystamy.

– W zasadzie wolałbym nie występować przeciwko komuś, kto dla państwa pracuje.

– Nie wiedziałam, że Blake i Wolcott zajmują się sprawami pro bono.

– Ja też nie – odpowiedział Duncan, który uśmiechnął się szeroko i natychmiast zganił się za własną nonszalancję, mimo że to Lea okazała ją pierwsza.

Była klientką, a poza tym to, że chciała wygłosić krytyczną opinię na temat jego firmy, nie oznaczało, że on także powinien był to zrobić.

– Staramy się dawać coraz więcej innym.

– I właśnie o to chodzi? – zapytała Lea sceptycznie.

Ostatnie ataki na publiczny wizerunek firmy zostały dokładnie opisane w prasie i z pewnością były Lei dobrze znane, lecz Duncan nie zamierzał wychodzić jej naprzeciw i omawiać tej kwestii.

– Na przykład o co?

Lea wzruszyła ramionami.

– O własny interes? – zasugerowała.

– Musiałaby pani zapytać Blake'a o motyw – odrzekł Duncan. – Bo ja, widzi pani, znajduję się na takim etapie kariery, na którym na ogół tylko wykonuję polecenia.

– Lojalny żołnierz? – zapytała Lea. Akurat dostarczono ich lunch. Duncan uśmiechnął się.

– To właśnie ja – odpowiedział.

Duncan wszedł do ulubionej sali konferencyjnej na trzydziestym drugim piętrze biurowca swojej firmy w Midtown. Dwie ściany pomieszczenia były całkowicie przeszklone; przez dłuższą było widać inne wieżowce, krótsza wychodziła na zachód i można było przez nią dostrzec niewielki fragment rzeki Hudson. Na ścianie za plecami Candace Snow wisiało zdjęcie Cindy Sherman z jej cyklu *Untitled Film Stills*, teraz częściowo przysłonięte niebieską planszą ustawioną przez operatora kamery. Duncan, który należał do komisji artystycznej firmy, przyczynił się do zdobycia tej fotografii. Był z tego dumny, lecz nigdy nikomu o tym nie wspomniał z obawy, że wyjdzie na nadętego dupka. To też nie był moment na przechwałki.

Duncan przedstawił się, wyciągając dłoń do Candace, lecz ta tylko spojrzała na nią i skrzywiła usta. Było jasne, że nie ma zamiaru jej uścisnąć.

– Jak długo to potrwa? – zapytała.

– Tak długo, jak to będzie konieczne – odparł Duncan, nie opuszczając ręki i chcąc złagodzić jej nieuprzejmość. – Tak naprawdę wszystko zależy od tego, jak szybko odpowie pani na moje pytania.

Candace podniosła wzrok, choć napięcie wcale nie ustąpiło. Duncan zlekceważył wrogość rozmówczynie i poszedł do stolika przy oknie, by nalać sobie kawy. Miał ciekawsze rzeczy do zrobienia niż to przesłuchanie. Mimo iż proces o zniesławienie budził zainteresowanie (Simon Roth domagał się stu pięćdziesięciu milionów dolarów odszkodowania), w rzeczywistości był drobną sprawą, przynajmniej według standardów Blake'a i Wolcotta. Brakowało mu faktycznej złożoności, całego szeregu ruchomych elementów stanowiących podstawę sporów sądowych, w które angażowała się firma. Duncan orientował się też doskonale, że sprawa była przegrana; sądził, że nie istnieje żadna szansa na odrzucenie niechybnego wniosku gazety o oddalenie pozwu w postępowaniu uproszczonym. Nie lubił, kiedy przydzielano mu sprawy, których nie dało się wygrać.

Procesy o zniesławienie były zawsze trudne, zwłaszcza gdy powód to osoba publiczna, tak jak Simon Roth. Ta sprawa była znacznie trudniejsza, ponieważ artykuł Candace nie oskarżał wprost Rotha lub jego firmy o przestępstwo. Przygotowując projekt pozwu, Duncan musiał zatem zdać się na własną pomysłowość. Poradził sobie z brakiem oszczerczych stwierdzeń i skupił się na zarzuceniu gazetce zniesławienia poprzez sugestię,

co pozwoliło mu skoncentrować postępowanie nie na tym, o czym mówił artykuł, ale na tym, do jakich wniosków mógł dojść czytelnik. Zgodnie z pozwem artykuł sugerował, że wart pół miliarda dolarów projekt Rotha realizowany był w oparciu o podejrzone powiązania, a sam Roth, świadomie lub poprzez zaniedbanie, umożliwił swym podwykonawcom stworzenie niebezpiecznych warunków pracy, a także zawarł z Durantem niejawną umowę „coś za coś” w zamian za wybielenie raportu z dochodzenia Wydziału Budownictwa.

Było to co najmniej wystarczające, by sąd nie uwzględnił wniosku o oddalenie pozwu. Duncan miał całkowitą pewność, że Simon Roth jest w pełni świadomy, iż nie wygra tego procesu, i że chodzi tu raczej o komunikat: nie wkurzajcie mnie, bo będę was ciągał po sądach przez parę lat i sprawię, że wydacie fortunę na honoraria dla prawników.

Duncan, z kawą w ręku, usiadł przy stole naprzeciwko Candace i jej prawnika. Candace była atrakcyjną kobietą. W ciągu ośmiu lat swej prawniczej kariery Duncan przeprowadził już kilkadziesiąt przesłuchań tego rodzaju, lecz jego rozmówcami za każdym razem byli mężczyźni: pulchni, starsi członkowie zarządów, traktujący mieszanie ich z błotem przez jakiegoś wyszczekanego młodego prawnika w garniturze Hugo Bossa jako cenę za prowadzenie interesów.

Candace była inna. Wyglądała na trzydzieści kilka lat i miała zgrabne ciało, którego kształtów nie maskował nawet jej formalny strój: biała marszczona bluzka, czarna spódnica i dopasowany żakiet podkreślający pełne piersi. Miała jaskraworude, kręcone, niesforne włosy. Duncan domyślił się, że są farbowane, lecz po chwili przestał się nad tym zastanawiać. Miał ważniejsze sprawy niż dociekanie, czy świadek jest naturalnym rudzielcem.

Zaczął przesłuchanie od standardowych pytań. Mimo iż potrafił być agresywny, kiedy to było konieczne, przekonał się, że przesłuchania bywają znacznie bardziej efektywne, gdy okazuje życzliwość i zachowuje się powściągliwie, usiłując nadać rozmowie swobodny ton i nie grzmiać ani nie pozując. Miał nadzieję, że Candace nieco się odpręży i opuści gardę.

Tak się jednak nie stało. Gdy rozmawiali o zyciorysie Candace – o college’u w Brown, studiach dziennikarskich na Uniwersytecie Columbia, trzech latach w „Times Union” w Albany i zatrudnieniu w „New York Journal” – jej wrogość zdawała się tylko narastać. Można było odnieść wrażenie, że Candace poczuła się urażona samym faktem bycia przepytowaną. Patrzyła na Duncana morderczym wzrokiem, chociaż

pytania, które zadał jej do tej pory, nie były bardziej kłopotliwe niż te, które padają podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

– W jaki sposób dotarła pani do raportu o wypadku na budowie Aurora Tower? – zapytał Duncan, zmieniając nagle temat i dochodząc do wniosku, że dalsze wstrzymywanie się z przejściem do sedna sprawy jest bezcelowe.

– Miałam swoje poufne źródło. Ktoś mi go zaoferował – odpowiedziała Candace, założywszy ręce. Duncan zastanowił się, czy ten gest miał być tylko manifestacją jej ogólnej wrogości, czy też wynikał z tego, iż wcześniej zauważyła, jak przygląda się jej piersiom.

– A kto to był?

– Czy w słowie „poufne” jest coś, czego pan nie rozumie? – odparła zgryźliwie Candace.

Duncan nie zareagował i tylko spokojnie popatrzył jej w oczy.

– Czy odmawia pani podania nazwiska swojego informatora? – zapytał.

Już wcześniej był pewien, że Candace nie zechce go ujawnić. Wszystko to przypominało teatr. Jeśli informator gazety ma pozostać anonimowy, nie będzie stanowić podstawy dla ustalenia prawdziwości artykułu.

– Sprzeciw – odezwał się po raz pierwszy podczas nagrania Daniel Rosenstein, prawnik Candace. Był dwadzieścia lat starszy od Duncana, a jego nazwisko widniało w nazwie firmy prawniczej specjalizującej się w prawie prasowym. Nie imponował wyglądem: był niski, uśmiechał się krzywo i bezustannie mrużył oczy, mimo iż nosił okulary. Rosenstein był prawnikiem, znanym Duncanowi: wygrywał przed Sądem Najwyższym procesy związane z pierwszą poprawką. Był zawsze całkowicie szczery wobec Duncana i wciąż przypominał mu, że jego sprawa jest beznadziejna.

– Tożsamość poufnego źródła podlega ochronie zgodnie z przepisami obowiązującymi w Nowym Jorku, o czym pan, jako prawnik, bez wątpienia wie – ciągnął Rosenstein. – Pouczam świadka, że może nie odpowiadać na to pytanie.

– Czy ma pani zamiar postąpić zgodnie z zaleceniami pani adwokata? – zapytał Duncan, trzymając się swojego scenariusza.

– Wolałby pan, bym zastosowała się do pańskich? – odpaliła Candace, pozornie nieświadoma rutynowego charakteru całej rozmowy.

– Dlaczego ów informator zgłosił się do pani?

– To w dalszym ciągu próba ustalenia jego tożsamości – zaprotestował Rosenstein. – Proszę nie odpowiadać na to pytanie.

– Słyszał pan, co powiedział mój adwokat.

– Informator zasugerował, by zbadała pani wypadek na budowie Aurora

Tower?

– Nie jestem pewna, czy zgadzam się z użytym przez pana słowem „wypadek” – odparła Candace. – Ale tak, to właśnie mój informator sprawił, że napisałam ten artykuł.

– Panno Snow...

– Pani Snow.

– Pani Snow, pani zdaniem miasto początkowo nie prowadziło w należyty sposób dochodzenia w sprawie wypadku na Aurora Tower, zgadza się?

– Nie wiem, czy prowadziło je w sposób należyty – odpowiedziała Candace. – Z pewnością nie wniosło sprawy do sądu.

Duncan przerwał na chwilę, usiłując znaleźć sposób, który pozwoliłby mu zrobić jakiś użytek z tej wypowiedzi.

– Twierdzi pani, że dochodzenie doprowadziło do ujawnienia działalności przestępczej, lecz nie ścigano jej sądownie?

– Sprzeciw – powiedział Rosenstein. – To przekręcanie poprzedniego oświadczenia.

Candace zignorowała tę wskazówkę.

– Tak twierdzili moi informatorzy.

– Właśnie użyła pani określenia „informatorzy”, a zatem liczby mnogiej – powiedział Duncan. – Ile nieujawnionych źródeł informacji wykorzystała pani, by napisać artykuł?

– Jakakolwiek próba ustalenia tożsamości informatora lub informatorów pani Snow jest niestosowna – odezwał się, tym razem ostrzej, Rosenstein. – Ponownie pouczam moją klientkę, by nie odpowiadała. Proszę przestać zadawać pytania, które naruszają jej prawo do nieudzielania informacji.

Duncan zdecydował się już jednak na zmianę taktyki.

– Pani Snow, w swym artykule oświadcza pani, że krewny Jacka Pellettieriego miał powiązania z przestępczością zorganizowaną, zgadza się?

– Tak, to jego brat, Dominic Pellettieri.

– Czy ów brat został uznany za winnego przestępstwa?

– Tak, został. Wymuszania haraczy.

– A czy ów brat jest obecnie zatrudniony w Pellettieri Concrete?

Candace wzruszyła ramionami i wypła łyk wody.

– Raczej trudno utrzymać pracę, kiedy przebywa się w więzieniu – odpowiedziała.

– A zatem, czy ów brat miał jakikolwiek związek z Aurora Tower?

Candace po raz pierwszy sprawiła wrażenie zakłopotanej, a Duncan pomyślał, że trafił w jej słaby punkt.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czy posiada pani jakąś faktyczną wiedzę, że przestępczość zorganizowana miała jakikolwiek związek z budową Aurora Tower?

– Wciąż istnieje wiele powiązań świata przestępczego z firmami budowlanymi.

Duncan nie wiedział, dlaczego Candace wysiliła się na tak wymijającą odpowiedź.

– Czy posiada pani jakąś faktyczną i szczegółową wiedzę, że przestępczość zorganizowana miała związek z budową Aurory?

Candace zaczęła pukać palcem w stół. Przyłapała się na tym i odpowiedziała:

– Nie.

– A zatem jedynym powodem, dla którego wspomniała pani o bracie Jacka Pellettieriego, była chęć zasugerowania takiego związku, którego nie mogła pani ujawnić ze względu na brak pokrycia w faktach?

Candace nie odpowiedziała od razu. Wyglądała, jakby liczyła w myślach do dziesięciu, po czym przemówiła, wolno cedząc słowa:

– Brat Pellettieriego ma, czy też miał, związek ze światem przestępczym i nielegalnymi działaniami. To, co mówi o nim mój artykuł, jest prawdą, to oczywiście, skoro trafił do więzienia. A interpretacja tej informacji należy do czytelników.

– Zgodnie z pani artykułem przedstawiciele Wydziału Budownictwa zalecili, by wnieść oskarżenie o przestępstwo związane z wypadkiem podczas budowy Aurora Tower, zgadza się?

– Tak.

– Lecz zalecenie to zostało oddalone przez szefa wydziału Ronalda Duranta?

– Zgadza się.

– A czy rozmawiała pani z samym panem Durantem, gdy zbierała pani materiały do artykułu?

– Pan Durant nie pracował już w Wydziale Budownictwa. Telefonowałam do niego kilka razy, nagrywając się na jego automatyczną sekretarkę, ale do mnie nie oddzwonił.

– Na jakiej podstawie, jeśli taka w ogóle istniała, stwierdziła pani, że firma Roth Properties zawarła z Ronaldem Durantem umowę „coś za coś”, mającą związek z jego decyzją o niewnoszeniu oskarżenia w sprawie

wypadku na budowie Aurora Tower?

– Sprzeciw – powiedział Rosenstein. – To tylko przypuszczenie.

– Nie napisałam o tym w moim artykule – odpowiedziała Candace, spojrzawszy na swojego adwokata. Szybko się uczy, pomyślał Duncan.

– Odłóżmy na chwilę na bok treść pani artykułu. Czy miała pani jakąkolwiek podstawę, by przedstawić taki zarzut?

Candace westchnęła ciężko, ponownie dając wyraz swemu rozdrażnieniu. Widok wyraźnie poirytowanej rozmówczynie ucieszył Duncana, gdyż to właśnie ją filmowano na wideo.

– Nie bardzo wiem, dlaczego miałabym mieć podstawy do stwierdzenia czegoś, czego nigdy nie stwierdziłam. Nie, nie mam dowodów na to, że zawarto taką umowę; gdybym je miała, przypuszczalnie bym to zgłosiła. Durant i Roth nie zawarliby porozumienia na piśmie ani nie wtajemniczyliby w nie większej liczby osób. Z pewnością istnieją pytania wynikające z chronologii zdarzeń, ale nie na tym skupia się mój artykuł.

– W swym artykule sugeruje pani, że firma Roth Properties ponosi co najmniej częściową odpowiedzialność za wypadek, zgadza się?

– Sprzeciw. Artykuł mówi sam za siebie.

Duncan w ogóle nie spoglądał na Rosensteina, skupiając się całkowicie na Candace, która spokojnie wytrzymała jego badawcze spojrzenie, a następnie popatrzyła pytająco na swego adwokata.

– Może pani odpowiedzieć na to pytanie – powiedział Rosenstein.

– Tematem artykułu były problemy związane z prowadzonym przez miasto dochodzeniem w sprawie wypadku, lecz nie sam wypadek, a już na pewno nie firma Roth Properties. I właśnie dlatego wciąż nie rozumiem, dlaczego tu jesteśmy.

– Pani Snow, wciąż brakuje mi odpowiedzi na pytanie, czy pani artykuł zasugerował, że deweloper ponosi przynajmniej częściową odpowiedzialność za wypadek.

– To pytanie zostało już zadane, a odpowiedź na nie udzielona – zaoponował Rosenstein.

– To pytanie jest zadawane – odciął się Duncan. – Może tym razem doczeka się odpowiedzi.

– Mój artykuł wyraża to, co powiedziałam – stwierdziła Candace. – To nie poemat. Nie miał zawierać ukrytego znaczenia ani informacji między wierszami. Artykuł prasowy ma przedstawiać fakty i pozwolić czytelnikowi na wyciągnięcie jego własnych wniosków. I takie zadanie spełnił mój artykuł.

Duncan nie zamierzał nakłaniać Candace do spektakularnego przyznania się, ale podjął taką próbę. Pora na kolejną zmianę kierunku.

– Pani Snow, pracuje pani jako reporter śledczy, zgadza się?

– Tak.

– Ile reportaży śledczych napisała pani przed pojawieniem się reportażu dotyczącego Aurora Tower?

– Praca nad każdym reportażem ma w sobie coś z dochodzenia.

Niechęć do ustępowania pola nie jest skutecznym sposobem na przebrnięcie przez przesłuchanie, chociaż jest czymś powszechnym, a okazywanie niechęci do przyznania się do najważniejszych rzeczy zawsze wygląda źle.

– Ale teraz należy pani do zespołu reporterów śledczych w pani gazecie, zgadza się? – zapytał Duncan, manifestując cierpliwość.

– Tak.

– Po jakim czasie od przyłączenia się pani do zespołu ukazał się ten artykuł?

– Mniej więcej po dwóch miesiącach, może było to trochę wcześniej.

– A zatem był to pierwszy artykuł, który napisała pani jako dziennikarka śledcza?

– Był to mój pierwszy artykuł w tym zespole. Ale to nie ma większego znaczenia, ponieważ jestem reporterką od mniej więcej dziesięciu lat i opublikowałam setki artykułów.

– Chciała pani, by pani pierwszy artykuł śledczy, napisany tuż po dołączeniu do zespołu, wywołał wrażenie, czy tak?

Candace przewróciła oczami. Duncan pomyślał, że nie byłaby z siebie zadowolona, gdyby zobaczyła się kiedyś na tym nagraniu.

– Każdy reporter chce, by jego artykuł wywarł wrażenie.

– Ale pani szczególnie zależało, by tak się stało w wypadku tego konkretnego artykułu, nieprawdaż?

Candace najwyraźniej traciła resztki cierpliwości.

– Jeśli sugeruje pan, że napisałam nieprawdę, by wywołać sensację – powiedziała – to całkowicie się pan myli.

– Czy to prawda, a może się mylę, że szukała pani wielkiej sensacji, dzięki której mogłaby pani wyrobić sobie nazwisko jako reporterka śledcza?

– Chciałam też, by mój artykuł był precyzyjny – odparła Candace. – Jestem oburzona sugestią, że nagięłam prawdę w celu posunięcia swojej kariery do przodu.

– Czy to nie jest dobry moment na przerwę? – zapytał Rosenstein.

– Oczywiście – stwierdził Duncan, wiedząc, że dalsza utarczka to strata czasu.

Operator wyłączył kamerę. Candace szybko wstała i rozprostowała plecy kocim ruchem, który uwydatnił jej piersi. Odwróciła się do swojego adwokata.

– To, co mówimy w tej chwili, nie jest już nagrywane, tak?

– Zgadza się – odpowiedział Rosenstein.

Candace odwróciła się do Duncana. Miała tak wściekły wzrok, że zaczął się zastanawiać, czy w jego kierunku nie polecą nad stołem jakiś przedmiot.

– Pani Snow, proszę nie brać tego do siebie – powiedział szybko. – Wykonuję tylko swoją pracę.

– Jest pan szczęściarzem – powiedziała Candace. – Znalazł pan sobie zajęcie, dzięki któremu może pan zarabiać na życie, będąc dupkiem.

Po pracy Duncan wybrał się na drinka z Neilem Levinem, prawnikiem z jego firmy. Poszli do baru w hotelu Royalton oddalonym o niecałą przecznicę od biura. Duncan uwielbiał hotelowe bary, a ten w Royaltonie należał do jego ulubionych: był ciemny, spokojny i przyciągał eleganckim, a zarazem dekadentckim wystrojem. Miał w sobie coś z zakazanego owocu; było to dobre miejsce spotkań romansujących par.

Duncan skaptował Neila, gdy ten był na drugim roku prawa na Harvardzie. Dwa lata temu Neil spędził lato na praktykach w firmie, a następnej jesieni rozpoczął pracę w pełnym wymiarze. Mężczyźni zaprzyjaźnili się, chociaż pewne utrudnienie stanowiło to, iż Duncan – z racji stażu pracy – był w zasadzie przełożonym Neila; czasem też było mu ciężko znieść trudności w przystosowywaniu się przyjaciela do życia w roli pracownika dużej firmy.

– Zostałem dziś nazwany dupkiem – powiedział Duncan, gdy zamówili drinki u kelnerki, pięknej kobiety w sukience koktajlowej. Zgodnie z powtarzaniem raz za razem banałem, Nowy Jork to miasto bardzo atrakcyjnych barmanów i kelnerek i nierzadko okazuje się, że to prawda.

– Jestem zaskoczony, że jeszcze zwracasz na to uwagę – odpowiedział Neil.

Był niski, wymięty i zawsze nieuczestny, a jego ubranie często miało niewiele wspólnego z nieformalnym strojem biznesowym.

– Od kiedy pracuję, nikt jeszcze mnie tak nie nazwał. Prawnicy obrzucają się wyzwiskami w o wiele bardziej wyszukany sposób. Poza tym w pracy nie jestem dupkiem, chyba że wymaga tego ode mnie sytuacja.

– A kto cię tak nazwał?

– Przesłuchiwałem reporterkę w związku z procesem Rotha o zniesławienie, a ona powiedziała mi to podczas przerwy. Jej adwokat wywłókł ją z pokoju, po czym kazał jej wrócić i mnie przeprosić. – Historia ta wywarła wrażenie na Neilu.

– Czy naprawdę dobrze się czujesz, oskarżając tę reporterkę tylko dlatego, że ośmieliła się skrytykować Simona Rotha? – zapytał.

– Jeśli myślisz, że to największy dylemat, jaki przyjdzie ci rozwikłać w naszej firmie, to prawdopodobnie czeka cię długa kariera – powiedział Duncan, podczas gdy kelnerka ustawiła przed nimi drinki. – Albo bardzo krótka. To nie pieniądze reporterki są tu stawką. Właścicielem jej gazety jest miliarder; my czepiamy się człowieka naszego formatu.

Neil potrząsnął głową z rozczarowaniem.

– Potrafię zrozumieć, że prawnicy bronią gwałcicieli i pedofilów – powiedział. – Ale jak możesz żyć, reprezentując nowojorskiego dewelopera, tego nie rozumiem.

Duncan zrozumiał, że kpiny Neila zastąpiły jego autentyczne zakłopotanie. On także je odczuwał, rozpoczynając pracę w firmie. Pamiętał swoje rozterki, kiedy był początkującym prawnikiem, i proces bolesnej czasami akulturacji w zawodzie. Szkoły prawnicze praktycznie przygotowują swych studentów do zetknięcia się z posepnym charakterem praktyki prawniczej, by nie wspomnieć już o powszechnej amoralności praktyk dużych firm. Rzeczywistość związana z reprezentowaniem interesów najpotężniejszych ludzi na całej planecie była zupełnie odmienna od abstrakcyjnych wyobrażeń.

Nie chodziło tu jednak o kompletny wyzysk: początkującym pracownikom wielkich nowojorskich firm prawniczych oferowano sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Duncan okazywał niewiele cierpliwości ubiegającym się o pracę. Na miejsce każdego, któremu nie podobały się warunki umowy, czekała długa kolejka kandydatów gotowych do objęcia posady. Duncan nie odczuwał też potrzeby niańczenia Neila, który przeżywał bóle dojrzewania towarzyszące przeobrażaniu się w prawdziwego prawnika.

– Kilka dni temu poznałem szefa szefów we własnej osobie – powiedział Duncan.

Neil wypił łyk manhattana, trzymając napełnioną po brzegi szklanekę oburącz, żeby nie rozlać drinka.

– Simona Rotha? Kutasa numer jeden?

– Właśnie jego. Ale całe spotkanie przypominało raczej grę pozorów,

tego mogliśmy się po nim spodziewać. A jak przebiega przegląd dokumentów Rotha zlecony przez prokuratora okręgowego?

Neil wzruszył ramionami.

– To istna mordęga.

– Znalazło się coś ciekawego?

– A skąd. To w większości przesyłane tam i z powrotem rzeki dokumentów dotyczące negocjowania umów, którym nie ma końca. Piekielne nudy.

– Mam wrażenie, że praca w naszej kancelarii prawnej wcale cię nie cieszy.

Neil odwrócił wzrok.

– Wiesz, jak to robi trybik w maszynie? – powiedział. – Nie chodzi o to, że reprezentujemy złego faceta, tylko o to, że to wszystko wydaje się bezsensowne. Jesteśmy małą częścią jakiejś wielkiej strategii firm i nie mamy pojęcia, co się tak naprawdę dzieje.

– Przypominasz mi mnie samego z czasów, w których nie miałem nawet pojęcia, o czym, kurwa, całymi dniami mówię – odrzekł Duncan.

Dobre wieści w mailu: sąd postanowił uwzględnić wniosek o oddalenie pozwu, złożony przez Duncana w imieniu jego klientów pro bono. W rzeczywistości wniosek ten nie był niczym innym, jak grą na zwłokę. Nakazy i skargi nie były bezpośrednio przekazywane klientom Duncana, a jedynie wtykane w drzwi ich mieszkania. Zakończenie sprawy na podstawie podobnych przesłanek następowało bez uprzedzenia, a miasto musiało zajmować się tylko sprawami związanymi z doręczaniem dokumentów.

Wniosek o oddalenie pozwu nie tylko pozwalał zyskać na czasie, lecz był też rodzajem strzału ostrzegawczego – sposobem na zakomunikowanie Wydziałowi Spraw Mieszkaniowych: Duncan będzie walczył, by nie dopuścić do eksmisji. Istniała nadzieja, że miasto zadecyduje, iż wyrzucenie lokatorów z ich mieszkania przysporzy więcej kłopotów niż pożytku. Okazanie chęci działania sprawiało czasami, że sprawa przybierała korzystny obrót. Strategia ta była daleka od ideału, lecz nie było sposobu na wygranie tej sprawy w sposób merytoryczny.

Wciąż był nieco zadziwiony, że w ogóle broni Nazariów. Liczba zleceń otrzymywanych przez kancelarię Blake i Wolcott bywała na ogół tak duża, że jej prawnicy nie byli w stanie zająć się wszystkimi, co nie tylko oznaczało, iż zarabiali oni po dwieście pięćdziesiąt czy trzysta tysięcy dolarów rocznie, ale także, że jeśli chodzi o sprawy pro bono, kancelaria znajdowała się daleko z tyłu za konkurencją. Jednakże w ciągu ostatniego półrocza firma Blake i Wolcott stworzyła komitet do spraw pro bono i wyznaczyła pracownika odpowiedzialnego za współpracę z różnymi organizacjami zajmującymi się pomocą prawną. Odtąd każdy z prawników firmy miał się też zajmować bezpłatną pracą na rzecz pokrzywdzonych.

Nie było właściwie żadną tajemnicą, że to nagłe zainteresowanie działalnością pro bono nie wynikało z dobroci serca współników, lecz było raczej następstwem serii ciosów wymierzonych w nienaganną wcześniej reputację kancelarii Blake i Wolcott. W pierwszych latach swego istnienia – pod koniec lat dziewięćdziesiątych – firma ta odniosła wiele powszechnie znanych zwycięstw i miała znakomitą prasę, głównie dzięki Stevenowi Blake'owi. Przez parę lat wydawało się, że stoi on za każdą wielką sprawą wygraną w kraju. Jego sylwetkę opisano nie tylko w magazynach branżowych, lecz także w „Timie” i „Newsweeku”.

Medialność oraz dynamiczny rozwój firmy wywołały jednak ostre reakcje. To musiało nastąpić: Blake przegrał kilka spraw, co obaliło mit o jego niezwyciężoności, a prasa, gloryfikująca go wcześniej tak chętnie, zaczęła relacjonować oskarżenie o dyskryminację płciową wniesione przez byłą pracownicę firmy pomijaną przy awansach. Kancelaria zajęła bardzo dalekie miejsce w rankingu dotyczącym badania satysfakcji pracowników, opublikowanym przez „The American Lawyer’s”, a to z kolei pociągnęło za sobą serię coraz bardziej kąśliwych artykułów na blogu prawnym „The Wall Street Journal”. Co oczywiste, wszystko to wywołało wielką radość z cudzego nieszczęścia, lecz nie da się też zaprzeczyć, że takie zdarzenia negatywnie wpływają na rekrutację i obniżają rangę firmy jako miejsca, w którym mądrale z Harvardu lub Yale chciałyby spędzić wakacje po drugim roku studiów.

Duncan, chociaż odrobinę zaskoczony swym udziałem w banalnej sprawie o eksmisję, w której musiał udzielać się za darmo, zamiast kasować 450 dolarów za godzinę, co stanowiło normalną stawkę jego firmy, nie zrezygnował jednak z właściwego mu zawodowego perfekcjonizmu. Mimo swego cynizmu wobec praktykowania prawa i reprezentowanego przez wszystkich jego kolegów wciąż wierzył, że zawód prawnika jest powołaniem, i uznawał, że wkładanie jak największego wysiłku w pracę z każdym klientem jest synonimem profesjonalizmu. Poza tym lubił Nazariów, którzy – jak ocenił po dwóch spotkaniach – wyglądali na uczciwych ludzi.

Zatelefonował, by poinformować ich o przyjęciu wniosku. Odebrał Rafael. Duncan przekazał mu nowiny, starając się je zbagatelizować, gdyż nie chciał, żeby chłopak odniósł wrażenie, że naprawdę wygrali tę sprawę.

– Panie R., wiedziałem, że pan z nimi wygra! – wykrzyknął Rafael, podekscytowany o wiele bardziej, niż chciałby tego Duncan. – Powiedziałem swojej *abuella*, że pan nam pomoże.

– Naprawdę wątpię, czy miasto tak łatwo da za wygraną, Rafaelu – powiedział Duncan. – Nie zakładaj więc, że sprawa została już zakończona. Może nas czekać ciężka walka, jeśli sprawa ponownie trafi do sądu.

Gdy tylko zakończył rozmowę z Rafaelem, pewna osoba pojawiła się w drzwiach jego biura.

– Czy przeszkadzam? – zapytała Lea Roth.

Duncan nawet nie próbował ukryć zaskoczenia. Niezapowiedziani goście ze świata zewnętrznego w zasadzie nie docierali do tego miejsca; nie mieliby szans na przedostanie się poza strefę ochrony w holu.

– Ależ nie, proszę wejść – powiedział Duncan, odruchowo wstając i wskazując Lei krzesło.

– Wygląda na to, że ma pan zadowolonego klienta – powiedziała Lea siadając.

– Jest pani zaskoczona? – odparł Duncan, zajmując swoje miejsce, rozglądając się i marząc, by jego gabinet wyglądał inaczej: na podłodze zalegały stosy papieru, a biurko zasłane było dokumentami tak szczelnie, że nie dało się dostrzec nawet centymetra wolnej powierzchni. Duncan pomyślał, że to mało prawdopodobne, by taki chaos wzbudził czyjeś zaufanie.

– Blake zapewnił mojego ojca, że nasze sprawy powierzono najlepszym prawnikom w tej firmie – powiedziała Lea. – Chyba go nie okłamał?

– Prawnicy nigdy nie kłamią – odpowiedział Duncan. – My tylko zwodzimy, podstępnie nakłaniamy i zatajamy. Cóż zatem sprowadza panią w nasze skromne progi?

– Wasza grupa zajmująca się nieruchomościami pracuje dla nas nad długoterminową dzierżawą od Ogilvy’ego. Jestem tu od rana. Właśnie przesłuchał pan reporterkę w związku ze sprawą o zniesławienie, zgadza się?

– Tak, wczoraj.

– Czy zechce mi pan o tym opowiedzieć?

Duncan zrobił wszystko, by nie okazać zaskoczenia.

– Oczywiście.

– Może omówimy to przy lunchu?

Duncan nie odpowiedział tak szybko, jak by chciał. Starał się zrozumieć, dlaczego Lea Roth, córka człowieka z fortuną wartą około miliarda dolarów, a zarazem wiceprezeska firmy, na której każde skinienie był Duncan przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu, chciała przełamać się z nim chlebem.

Poszli do Blue Fin, restauracji z owocami morza na Broadwayu, niedaleko biura firmy mieszczącego się przy Avenue of the Americas. Restauracja była duża i jasna, a jej schody i pokryte falującym ornamentem ściany nasuwały wyobrażenie płynącej wody. Usiedli na górze, w gwarnej sali pełnej biznesmenów i turystów.

Duncan przyprowadzał tu zawsze wakacyjnych pracowników oraz kandydatów do pracy w kancelarii, lecz tym razem obawiał się, że restauracja ta może się okazać nie dość luksusowa dla Lei Roth. Powiedział sobie, że to wszystko jest niedorzeczne: Lea nie mogła przecież wejść do

jego biura niezapowiedziana, zaprosić go na lunch i oczekiwać, że będzie na nich czekał stolik w Le Bernardin. A może mogła?

Był zakłopotany jej zamożnością. Na tym polegała swoista ironia losu związana z jego pracą: zarabiał o wiele więcej niż ktokolwiek w jego rodzinie, więcej niż mógł marzyć, dorastając, lecz teraz otaczali go ludzie tak nieprzyzwoicie bogaci, że czuł się przy nich jak ubogi wieśniak. W ciągu ostatniego roku Duncan zgarnął pół miliona (stało się tak dzięki premii przyznanej mu na koniec roku), lecz na Manhattanie w 2008 pozwalało mu to zmieścić się ledwie w klasie średniej. Nawet Blake'a, zarabiającego dziesięć razy tyle co Duncan, trudno byłoby uznać za bogacza w zestawieniu z ludźmi takimi jak Rothowie.

– A zatem, Duncanie – odezwała się Lea, gdy już złożyli zamówienie – kim pan jest?

– Ciekawi panią moja biografia czy CV?

– Za każdym człowiekiem kryje się jakaś historia.

Duncan nie miał w zwyczaju podawania klientom szczegółów dotyczących swojego życia, więc perspektywa opowiadania o sobie sprawiła, że poczuł się skrępowany. Lecz i ta rozmowa była okazją do nawiązania długotrwałej współpracy zawodowej, która z pewnością powinna zawierać w sobie pewien wątek osobisty.

– Wychowałem się pod Detroit i uczęszczałem do college'u w Ann Arbor. Dostałem się na prawo na Harvardzie. Ukończyłem studia, a po stażu chciałem znaleźć pracę w firmie, w której mógłbym wykonywać odpowiedzialne zadania i nie mieć zbyt wielu zwierzchników. Trafiłem więc do Blake'a. I oto jestem.

Lea zmrużyła oczy, chociaż Duncan nie wiedział, czy jest naprawdę rozczarowana, czy też tylko udaje.

– Muszę przyznać, że pańska biografia jest dość nudna, nawet jak na prawnika – powiedziała.

Duncan nawet nie opowiedział jej ćwierci życiorysu, lecz słysząc to, poczuł gniew. Czego po nim oczekiwała? Zastanawiał się, jak by zareagowała, usłyszawszy pełniejszą wersję jego opowieści. Nawet nie próbował tego dociec. Mimo iż nie czynił tajemnicy ze swego pochodzenia, przynajmniej wśród przyjaciół, nie ujawniał go zwykle w sytuacjach zawodowych. Mówienie o tym gmatwało tylko sprawy, a jego relacja z Leą stała się już i tak dostatecznie skomplikowana.

– Chyba nie oczekuje pani, że natychmiast zdradzę swoją tajną tożsamość? – powiedział.

– Czy pańscy rodzice są prawnikami? Zauważyłam, że zawód ten bywa często przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Duncan ukończył college jako drugi w rodzinie i jako pierwszy dostał się na uniwersytet, lecz nie czuł pokusy, by opowiedzieć o tym kobiecie, która miała odziedziczyć rodzinną fortunę. Pokręcił tylko głową.

– Mój ojciec prowadzi wprawdzie wiele negocjacji, ale nie jest prawnikiem. Jest przewodniczącym związku zawodowego pracowników przemysłu motoryzacyjnego w Detroit.

Lea uniosła lekko głowę, a Duncan domyślił się, że rewiduje wrażenie, które na niej wywarł.

Gdyby tylko wiedziała, pomyślał. Myślisz, że wiesz, kim jestem, skąd pochodzę i jak się tu znalazłem. Mylisz się pod każdym względem.

– Więc cóż pan robi, reprezentując możliwych światła interesów? – zapytała.

Duncan uśmiechnął się szeroko.

– Mój ojciec zadaje mi to samo pytanie w każde Boże Narodzenie – odpowiedział nieszczercze.

Kelner przyniósł tuńczyka zamówionego przez Duncana i sałatkę z krabów dla Lei.

– Dlaczego interesuje się pani sprawą o zniesławienie? – zapytał, gdy zaczęli jeść.

– Nieszczególnie się nią interesuję. Próbowałam nakłonić tatę, by z niej zrezygnował, ale mnie nie słuchał. Nienawidzi reporterów. Uważa, że istnieją po to, by niszczyć takich ludzi jak my, i szukają wszystkich sposobów, by nas obsmarować. Wie, że ta sprawa prawdopodobnie zakończy się naszą przegraną, ale mimo to chętnie da nauczkę gazecie.

– Wóz albo przewóz. Rachunki powinny dać im do myślenia.

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy – powiedziała Lea z kamienną twarzą. – Oczywiście tata zna Sama Friedmana od dawna, to na pewno ma znaczenie.

Friedman, kolejny bogaty i dobrze znany deweloper, był właścicielem „New York Journal”. Duncan poczuł się niekomfortowo, uświadomiwszy sobie, że jest pionkiem w o wiele poważniejszej grze: oto dwaj magnaci biorą się za łby. Jeśli proces był skutkiem wcześniejszych osobistych zatargów pomiędzy Simonem Rothem a Samem Friedmanem, to Duncan nie chciał o tym wiedzieć.

– Jestem pewien, że chodzi o ukryte motywy – powiedział. – A co do przesłuchania: przebiegło bez problemów. Reporterka broniła się i była

zgrzybliwa, przez co nie wypadła zbyt dobrze. Wygraliśmy więc ze względu na ogólną atmosferę. Ale sprawa jest trudna, a ona nie powiedziała nam niczego, co zmieniłoby jej istotę.

Lea skinęła głową.

– Pamiętam. Prawo konstytucyjne, artykuł 101, działanie ze złym zamiarem i tak dalej. To między innymi dlatego powiedziałam tacie, by nie tracił czasu.

– Zgadza się – odparł Duncan. – Jest pani prawniczką.

Lea uśmiechnęła się blado, nie próbując nawet udawać zaskoczenia faktem, że Duncan o tym wie.

– Tylko formalnie, nigdy nie praktykowałam. Ukończyłam prawo i studia biznesowe na Columbii.

– Nie sądzę, by kiedykolwiek planowała pani pracę w kancelarii prawnej.

– Chodziło bardziej o zdobycie umiejętności. Gdy dorastałam, mój tata nie traktował zbyt entuzjastycznie perspektywy zatrudnienia mnie w rodzinnej firmie, więc ukończenie prawa wydawało się sposobem na zachowanie możliwości wyboru.

– Dlaczego nie chciał, by dołączyła pani do jego firmy? – zapytał Duncan, zastanawiając się, czy pytanie nie jest zbyt osobiste.

Lea nie wydała się zakłopotana.

– Nieruchomości komercyjne to wciąż świat zdominowany przez mężczyzn – powiedziała. – Nawet bardziej niż prawo, wyobraża pan sobie? Nie chodzi o to, że mojemu tacie bardziej podobał się pomysł wysłania mnie na prawo. Nie bardzo rozumiem, jak ktoś, kto tak jak on lubi się procesować, może tak narzekać na prawników.

– Pani ojciec i Blake są przyjaciółmi, prawda?

– Nie wiem, czy mój ojciec ma przyjaciół jako takich. Ale Steven jest zdecydowanie sprzymierzeńcem naszej rodziny.

– Sprzymierzeńcy są ważni.

– Z pewnością, Duncanie – powiedziała Lea. – Za kilka lat mój ojciec przejdzie na emeryturę, a ja przejmę firmę. Blake ma... Ile? Sześćdziesiąt lat?

Duncan zauważył, że mówiąc o przejęciu firmy, Lea wspomniała tylko o sobie i nie powiedziała ani słowa o swym bracie.

– Ma prawie sześćdziesiąt lat – odpowiedział. – Ale jest żwawy.

– A zatem przypuszczalnie przejdzie w stan spoczynku mniej więcej za pięć, a już na pewno za dziesięć lat. Mam nadzieję, Duncanie, że pewnego

dnia i my zostaniemy sprzymierzeńcami.

– Przecież nimi jesteśmy – powiedział Duncan z uśmiechem.

Lea pokiwała głową. Miała poważną minę. Nie wiadomo, do czego zmierzała, lecz było oczywiste, że nie żartuje.

– Jeszcze nie jesteśmy. Bycie moim prawnikiem to już coś, ale prawdziwy sprzymierzeniec to ktoś więcej niż prawnik.

Duncan miał nadzieję, że udało mu się ukryć skrępowanie.

– Dla naszych klientów stajemy pod ścianą – powiedział, nie mając pewności, czy można byłoby to uznać to za odpowiedź.

Lea przyglądała mu się tylko, Duncan zaś nie miał pojęcia, czego od niego oczekuje.

– W przyszłą sobotę urządzamy przyjęcie z okazji siedemdziesiątych urodzin mojego ojca – powiedziała w końcu, odsuwając niedojedzoną sałatkę i rzucając na nią serwetkę. Odchyliła się do tyłu. – Myślę, że Steven także się zjawi.

Duncan uniósł brwi, usiłując okazać zainteresowanie. Lea najwyraźniej oczekiwała od niego odpowiedzi, lecz nie był pewien, jakiej.

– Blake właściwie nie informuje mnie o swoim życiu towarzyskim – odezwał się wreszcie.

Lea wciąż przyglądała mu się badawczo.

– Pańska obecność na przyjęciu prawdopodobnie okazałaby się dla pana korzystna – powiedziała.

Było to z pewnością najbardziej bierne, a zarazem najbardziej agresywne zaproszenie, jakie Duncan kiedykolwiek otrzymał. Nie był pewien, czy było to rzeczywiście zaproszenie.

– Korzystna dla mojej przyszłości zaklina deszczu?

– No właśnie.

– Czy to znaczy, że mnie pani zaprasza?

Lea spojrzała na niego w sposób zdradzający lekkie zdziwienie.

– Czy nie wyraziłam się jasno?

– Niezupełnie – odparł Duncan. – Ale, oczywiście, chętnie przyjdę.

Tak naprawdę nie potrafili chyba wyobrazić sobie przyjęcia, na którym nie zależałoby mu aż tak bardzo.

– Prześlę panu szczegóły mailem – powiedziała Lea, gdy kelner przyniósł im rachunek. – Proszę mi powiedzieć, Duncanie: czy w najlepszych firmach prawniczych wciąż przywiązuje się wagę do pochodzenia?

Podczas lunchu Duncan robił wszystko, by nie dać się sprowokować, lecz nie potrafił w pełni zapanować nad swą irytacją. Miał uczucie, że Lea

zamierza dawać mu pstryczki, dopóki nie doczeka się jakiejś reakcji.

– Z pewnością nie w naszej, chociaż zapewne nie przynosi ujmy także u Sullivana i Cromwella. Nigdy jednak nie miałem poczucia, że bycie dzieckiem robotnika z prowincji w jakikolwiek sposób wpływa na moją karierę, jeśli o to pani pyta.

Powiedział to z uśmiechem, chociaż ostrzej, niż zamierzał. Nastąpiła krótka cisza.

– Przepraszam, jeśli pana uraziłam – powiedziała Lea, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Przekona się pan, że czasami bywam bezpośrednio. Nie chciałam wyjść na snobkę. Bywam wprawdzie pretensjonalna, ale nie w stylu Upper East Side. Szczerze powiedziawszy, nie mam cierpliwości do ludzi podobnych do mnie. Podziwiam tych, którzy ciężko pracują na swoją pozycję, a mój snobizm bywa podyktowany wyłącznie koniecznością.

– Dotyczy to całego tego miasta – odrzekł Duncan.

– Zostałam wychowana tak, by traktować dziedziczny majątek z dystansem, jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało. Pieniądze naszej rodziny są zamrożone w trustach, a ja utrzymuję się ze swojej pensji, może mi pan wierzyć lub nie. Taka jest prawda.

– Tak czy owak, nie uraziła mnie pani – stwierdził Duncan. – I uważam, że konieczność zapracowania na wszystko od zera ma swoje zalety.

– Nie wątpię, że tak jest – powiedziała Lea z uśmiechem, Duncan musiał wykazać się dobrą wolą, by nie uznać go za protekcyjnego. – A zatem, z kim rozmawiał pan wcześniej, w swoim biurze?

– Ze moim klientem pro bono. Uznano nasz wniosek o oddalenie pozwu, jakkolwiek bez wpływu na wcześniejsze uzgodnienia.

– Co oznacza, że sprawa będzie toczyła się dalej.

Duncan wzruszył ramionami, w chwili gdy kelner wrócił z jego kartą kredytową.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział. – Jedyne merytoryczne podstawy mojej obrony będą prawdopodobnie polegały na zarzucie wobec waszego ochroniarza, który zatrzymał mojego klienta.

– Kim jest ten ochroniarz?

– Nazywa się Sean Fowler. Zna go pani?

Lea pokręciła głową, chociaż Duncan odniósł wrażenie, że rozpoznała to nazwisko.

– Zespół Loomisa to głównie byli gliniarze. Prawdopodobnie chodzi o jednego z nich. Czy lubi pan pracę pro bono?

– Traktuję ją najpoważniej w świecie – odpowiedział Duncan. – Lecz

prawdę mówiąc, wolę pracować nad dobrze płatnymi sprawami. Jaki sens ma bycie największym mądrałą, jeśli robi się coś, co potrafiłby zrobić ktoś inny?

– Domyślam się, że jest pan ambitny – powiedziała Lea. – Co chce pan przez to osiągnąć?

Duncan nie znał odpowiedzi na to pytanie; nie miał też ochoty próbować udzielić jej Lei.

– Moją ambicją jest wygrywać – odrzekł. – Wygrywać, żeby zarabiać na życie.

Trzeźwy o jedenastej wieczorem: nie był to normalny stan Jeremy'ego Rotha, szczególnie po trzygodzinnym przyjęciu w prywatnej sali jadalnej w Per Se, prawdopodobnie najbardziej ekskluzywnej restauracji w mieście.

W spotkaniu uczestniczyli członkowie rodziny Al-Falasi z Dubaju: Ubajda oraz jego synowie Ahmed i Mattar. Ze względu na religię gości ojciec Jeremy'ego nakazał, by podczas przyjęcia nie podano ani kropli alkoholu. Rodzina Rothów zabiegała o względy rodziny Al-Falasi jako potencjalnego cichego wspólnika do budowy Aurora Tower. Zgodnie z powszechną praktyką firma Roth Properties pokrywała bezpośrednio jedynie mniej więcej dziesięć procent kosztów tej inwestycji, natomiast sama budowla stała się zabezpieczeniem krótkoterminowego i wysoko oprocentowanego kredytu typu mezzanine w wysokości około trzystu milionów dolarów. Miał on zostać spłacony z zysków ze sprzedaży mieszkań prowadzonej już w trakcie budowy, jednak plan ten pokrzyżowała nagła zapaść na rynku nieruchomości. Nawet to nie stanowiłoby problemu, gdyż banki zazwyczaj automatycznie przesuwają termin spłaty kredytów mezzanine, lecz kwota przyznana firmie Roth Properties szybko malała, atmosfera stała się nerwowa, a zaniepokojeni finansiści zaczęli szukać wymówek pozwalających im wycofać się z udziału w projekcie. Największym źródłem finansowania krótkoterminowego był fundusz hedgingowy z Greenwich, który nie zawahałby się zagrać ostro, gdyby pojawiły się kłopoty ze spłatą.

Mimo iż w portfolio Roth Properties znajdowały się nieruchomości komercyjne warte kilka miliardów dolarów, firma ta miała niewielką płynność finansową i znalezienie kilkuset milionów dolarów mogło stanowić problem. Rothowie prawdopodobnie musieliby sprzedać budynek, ponosząc nieuniknioną stratę wynikającą z niepokojów na rynku, a to z kolei wzbudziłoby podejrzenia co do kondycji ich rodzinnego przedsiębiorstwa.

Budowa Aurora Tower – w odróżnieniu od przebudowy osiedla domów komunalnych prowadzonej we współpracy z miastem, a tym samym związanej ulgami podatkowymi i niechętnie finansowanej przez duże banki udzielające długoterminowych kredytów – sprawiła, że Rothowie znaleźli się w opałach. Szukali więc dużych pieniędzy: dwieście pięćdziesiąt milionów uczyniłoby z nich rzeczywistych udziałowców w Aurora Tower. Zadowoliliby się stoma milionami pożyczki, która pozwoliłaby im

przynajmniej pokryć należności wobec funduszu hedgingowego. Niski kurs dolara i niebotyczne ceny ropy naftowej sprawiły, że nowojorskie inwestycje deweloperskie finansowano coraz częściej ze środków pochodzących z Bliskiego Wschodu. Nie była to tajemnica, chociaż nie mówiono o tym głośno.

Podczas niekończącego się przyjęcia nie rozmawiano o biznesie. Przynajmniej nie wprost. W drodze do restauracji ojciec Jeremy'ego powiedział mu, że prowadzenie interesów z bliskowschodnimi rodzinami przypomina próbę dobrania się do majtek pruderyjnej dziewczicy: trzeba poświęcić dużo mądrze spędzonego czasu, zanim przystąpi się do działania.

Ważną rolę w tym wszystkim odgrywała rodzina, która na Bliskim Wschodzie związana była z biznesem o wiele ściślej niż tu, w Stanach. Rodziny panujące sprawowały tam nadzór nad finansami, a krąg spokrewnionych ze sobą ludzi, z którymi można było prowadzić rozmowy o interesach, był bardzo ograniczony. Podczas negocjacji z bliskowschodnimi partnerami bycie rodzinną firmą stanowiło zaletę, lecz wymagało też organizowania spotkań, takich jak dzisiejsze.

Podczas przyjęcia rozmawiali ze sobą ojcowie. Jeremy i jego siostra, podobnie jak Ahmed i Mattar, odzywali się tylko wtedy, gdy ich zagadywano, a były to głównie kurtuazyjne pytania dotyczące ich wykształcenia i zainteresowań. Jeremy opróżnił trzy butelki gazowanej wody mineralnej, lecz nie udało mu się dzięki temu pozbyć drapiącej suchości w tyle gardła. Przebierał nogami pod stołem, raz po raz uderzając kolanami od spodu o blat stolika.

Po przyjęciu, siedząc już w limuzynie, zatelefonował do Aleny.

– Jadę – powiedział.

– Czy to twój sposób umawiania się?

– Ja się nie umawiam.

Alena Porter mieszkała niezupełnie legalnie w budynku Roth Properties, na zachodnim końcu Manhattanu, na obrzeżach Meatpacking District. Korzystała z mieszkania pokazowego, prezentowanego zwykle klientom: umeblowanego i wykończonego przez projektanta wewnątrz. Obywała się bez zbędnego bagażu i nie zostawiała śladów swej obecności, więc apartament wciąż sprawiał wrażenie niezamieszkanego.

Jeremy otworzył drzwi. Mimo iż miał klucze, nigdy nie zjawiał się bez zapowiedzi. Nie widział powodu, dla którego miałby się narażać na niemiłą niespodziankę.

Poznali się w nocnym klubie przed kilkoma miesiącami. Alena nie

pracowała tam, lecz nie należała też do zwykłych gości: była ślicznotką towarzyszącą VIP-om. Pojawiła się w mieście jako siedemnastoletnia modelka zwerbowana przez Elite i radziła sobie doskonale, ale nigdy się nie wybiła. OK – nie było tu mowy o miłości, lecz Jeremy szalał za jej szczupłym ciałem, perfekcyjnymi ustami i mrużeniem, które wydawała, dochodząc.

Gdy wszedł do mieszkania, Alena właśnie brała prysznic. Wbrew sobie poczuł ukłucie czegoś, co bez wątplenia było zazdrością. Nie mógł oprzeć się myśli, że Alena zmywa z siebie zapach innego mężczyzny – kogoś, kto przebywał w tym mieszkaniu, kiedy on zadzwonił. Wszedł do kuchni i nalał sobie solidną porcję dwudziestojednoletniej lagavulin, którą przyniósł w poprzedni weekend. Butelka była opróżniona niemal do połowy, co oznaczało, że tamtego wieczoru nie żałował sobie trunku.

Pociągnął łyk, potem drugi, zrobił to jednak zbyt szybko. Poczuł palącą falę przesuwaną się w głębi. Nie tak się pije starą whisky – stwierdził. Jednym z powodów, dla których ją kupował, było to, że umiał pić ją jak dorosły, a nie żłopać jak młodzieniaszek, chociaż nie zawsze się to udawało. Szczególnie ostatnio.

Prysznic ucichł i po chwili usłyszał otwierające się drzwi łazienki.

– Jesteś tu?! – zawołała Alena.

– Ktoś jest – odpowiedział, pociągając kolejny łyk. Ponownie otworzył butelkę. Rozległ się dźwięk wyciąganego korka. Pomyślał, że Alena mogła go usłyszeć, i nalał sobie kolejną porcję.

Alena, ubrana tylko w cienki płaszcz kąpielowy przylegający do jej wilgotnego jeszcze ciała, usiadła na kanapie, czesząc włosy. Jeremy pocałował ją na powitanie i usadowił się obok, racząc się jeszcze jednym łykiem szkockiej i odstawiając szklanekę na stolik kawowy zaprojektowany przez Noguchiego.

Sięgnął po stojące na nim srebrne puzderko na papierosy i wyjął z niego skręta oraz zapalniczkę. Zaciągnął się głęboko, po czym zaproponował skręta Alenie, która po niego nie sięgnęła, lecz pochyliła się, by się zaciągnąć. Szum w głowie Jeremy'ego szybko ustępował, a natarczywy rytm przepelniający jego ciało w końcu ucichł. Jeremy wciągnął jeszcze jedną porcję dymu, strząsnął popiół, zanim ten zdążył spaść na białe obicie kanapy. Wyplukał smak narkotyku przyzwoitym haustem szkockiej.

Alena odłożyła grzebień, przyglądając się Jeremy'emu. Była wysoka, szczupła i opalona, jej cera pasowała do lekko rozjaśnionych brązowych włosów.

– Dlaczego jesteś taki spięty? – zapytała.

– Kolacje z moją rodziną są wystarczająco nieprzyjemne, a do tego ci cholerni członkowie arabskiej rodziny królewskiej... Wpadają do Nowego Jorku zupełnie po to samo, co ty na wyprzedaże do Barneys.

– Nigdy nie byłam w Barneys.

– Targują się i obskubują to miasto, bo dolar jest za słaby, żeby się bronić – ciągnął Jeremy, zamieniając frustrację narosłą podczas wieczoru w pogardę. – A my musimy się kłaniać tym skurwysynom. Grać według ich reguł, nawet jeśli jesteśmy w samym środku Manhattanu.

– Według ich reguł? Czy chodzi o to, że masz być trzeźwy?

Inteligencja nie była jej najmocniejszą stroną. Jeremy mówił to Alenie już wiele razy. Prowadziło to zawsze do kłótni, która teraz byłaby ponad jego siły. Zaciągnął się skretem. Alena zrobiła to samo.

– A co z innymi sprawami? – zapytała.

Jeremy spojrzał na nią, podejrzewając, że źle zrozumiał jej pytanie, lecz spostrzegł, że jednak nie. Nie przypominał sobie, by opowiadał jej kiedykolwiek o swoich problemach. Nie pamiętał żadnej rozmowy tego rodzaju, ale najwyraźniej musiał się z czymś zdradzić. Mógł mieć tylko nadzieję, że nie wdał się zbytnio w szczegóły.

– Zajmujemy się nimi – odpowiedział bez emocji, dając tym samym do zrozumienia, że nie chce poruszać tego tematu.

– Po co wam Arabowie? – zapytała Alena. – Dlaczego po prostu nie pożyczycie pieniędzy w którymś z dużych banków? Chyba tak zwykle robicie?

Jeremy wiedział, co sądzić o okazjonalnie demonstrowanej przez Alenę żyłce do interesów. Czasami miał potrzebę porozmawiania o pracy, lecz równocześnie nie był pewien, jak dalece chciałby wtajemniczyć Alenę w tę sferę swego życia.

– Rynek kredytowy wysechł – powiedział. – Banki nie mają zapasowych trzystu milionów na pożyczki, zwłaszcza przeznaczone na nieruchomości. Do tego projekt jest już kredytowany, a my włożyliśmy w niego tylko pięćdziesiąt milionów, przez co bankierzy stają się bardziej nerwowi.

Alena najwyraźniej znudziła się tym tematem. Założyła nogę na nogę, a jej płaszcz kąpielowy rozchylił się, odsłaniając do połowy jej uda. Jeremy oparzył sobie kciuk, dotknąwszy nim końca skręta. Zgniół niedopałek w popielniczkę i dokończył szkocką, zatrzymując wzrok na udach Aleny.

– Czy to cię uspokaja? – zapytała, uśmiechając się bardziej kpiąco niż serdecznie.

– Właściwie mam zamiar sobie dolać – odparł Jeremy, sięgając po szklanę. – Ale dlaczego nie przyjmujesz mnie w sypialni?

– Mogę to zrobić – odpowiedziała spokojnym głosem niezdradzającym zniecierpliwienia ani wahania.

Wstała i przeciągnęła się. Jeremy dostrzegł brodawki jej małych piersi, odznaczające się pod cienką tkaniną. Wyciągnął rękę i powiódł palcem wskazującym w dół szlafroka, rozchylając go. Stojąca Alena wyglądała, jakby pozowała. Spoglądała na Jeremy'ego, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – powiedziała po chwili i skierowała się do sypialni.

Jeremy odprowadził ją wzrokiem i poczuł drgnięcie fiuta oraz znajome ciepło rozgrzewające ciało. Wszedł do kuchni, otworzył butelkę i pociągnął z niej długi łyk, po czym napełnił szklanę podwójną porcją szkockiej i upił tyle, by ilość alkoholu w naczyniu nie wyglądała na nieprzyzwoitą. Poczł się lekko otępiały, a zarazem odprężony.

Był gotowy. Pomaszerował do sypialni, rozpinając koszulę. Alena leżała w łóżku. Zdjęła już szlafrok i miała na sobie tylko truskawkowe figi.

– Witam – powiedziała.

– Pora zapłacić czynsz – odrzekł Jeremy z szerokim uśmiechem.

Alena cała zeszywniała, zmieniając wyraz twarzy. Zanim Jeremy do końca zrozumiał, co się dzieje, zdążyła zarzucić na siebie szlafrok i odwrócić się do niego plecami.

– To był tylko żart – odezwał się nieco ochrypłym głosem.

– Nie jestem jakąś dziwką – powiedziała Alena z zimną furią.

– Oczywiście, że nie – odparł Jeremy, próbując dotknąć jej ramienia.

Alena wyczuła to i odtrąciła jego wyciągniętą rękę, zanim ta zetknęła się z jej ciałem.

– Wygłupiałem się.

– Nazywanie mnie prostytutką to nie wygłupy.

– To nie to, co chciałem... Nie miałem nic takiego na myśli.

– Możesz zostać, jeśli chcesz, ale ja idę spać – powiedziała Alena, wsuwając się pod pościel. Była wciąż odwrócona plecami.

– Aleno...

– Dobranoc.

– Nie bądź zła.

– I tak już jestem.

– To były tylko...

– Powtarzasz się.

Jeremy usiadł bezradnie, spoglądając na Alenę okrytą grubą kołdrą – Alenę, z którą mógł się teraz pieprzyć, gdyby nie był takim idiotą. Podniósł szklankę i wypił resztkę whisky. Nie wiedząc, co innego miałby zrobić, wstał i ze szklanką w dłoni ruszył do kuchni, by nalać sobie jeszcze jednego drinka.

Nocny patrol nie jest najmiłym zadaniem. Policjanci Dooling i Garrity z Biura do spraw Mieszkań nowojorskiej policji dokonywali obchodu kolejnych pionów w dwóch budynkach, pokonując schodami trzynaście pięter w górę i w dół. Garrity, nałogowy palacz, zaczął sapać po sprawdzeniu drugiej klatki schodowej. Jego mocno zarysowana twarz poczerwieniała i pokryła się potem spływającym wzdłuż żuchwy.

Po dwóch kolejnych rundach uparł się, by dać sobie spokój. Policjanci stanęli za budynkiem, który mieli patrolować. Garrity zapalił papierosa. Zmierzch nie złagodził lipcowego upału: wciąż było parno i bezwietrznie. Garrity, pocąc się nieustannie, zapisał w swoim notatniku służbowym, że on i jego partner skontrolowali jeszcze jeden pion. Każdy tak robił, a pominięcie jednej klatki schodowej na trzy stanowiło zdaniem Garrity'ego rozsądny kompromis.

Miarka się przebrała, gdy Garrity znajdował się w połowie następnej wspinaczki klatką schodową wieżowca numer dwa. Wykonując zwrot, poślizgnął się na coś mokrym i tylko szybko wyciągnięta ręka, którą oparł się o ścianę, uratowała go przed wylądowaniem na tyłku. Zapach potwierdził podejrzenia: był to czyjś mocz, w który Garrity o mało się nie przewrócił. Rozwścieczony mruczał coś do siebie przez resztę drogi na górę. Dooling nie miał zamiaru się tym przejmować.

– Padniesz na zawał – powiedział. – Jest nas tylko dwóch, a ja nie mam zamiaru cię reanimować.

Do jego uszu dochodziły ciche odgłosy ruchu na FDR Drive, wyznaczającej wschodni koniec osiedla.

– Przypuśćmy, że takie czarne dupsko jak ty umiałoby zrobić porządny masaż serca – odpowiedział Garrity.

Dwa policyjne żółtodzioby, które na dobre utknęły w tej dzielnicy. Pracowali ze sobą od niemal roku. Jak większość partnerów, nie mieli ze sobą wiele wspólnego, przierzucali się więc prymitywnymi żartami, które miały ukryć to, że się nie tolerują.

– Należałoby cię uśpić, przynajmniej nie musiałbyś się męczyć.

Garrity zaciągnął się głęboko papierosem i wydmuchnął w stronę Doolinga dym, który rozwiął się w powietrzu, zanim dotarł do celu. Dooling cofnął się jednak o krok, przybrał postawę bokerską i zaczął tańczyć na brudnej, porysowanej podłodze, demonstrując swoją sprawność.

– Wyciskam sto osiemdziesiąt kilo – powiedział Garrity. – Nie kpij sobie tylko dlatego, że nie lubię biegania tam i z powrotem po dwudziestu klatkach schodowych.

– A więc wchodzimy do wieżowca numer cztery?

– Pół godziny – odpowiedział Garrity, spojrzawszy na zegarek. Wyjął notatnik, obliczając, ile czasu zabierze im fikcyjny obchód wieżowca numer trzy.

Dooling omiół wzrokiem pustą okolicę. Gdy oddalali się od wieżowca numer dwa, dostrzegli na stojącej nieopodal ławce dwóch ludzi, którzy ulotnili się, gdy tylko ich umundurowane sylwetki zamajaczyły na tle tylnej ściany budynku.

– Moim zdaniem stanie tu nie jest o wiele ciekawsze od wdrapywania się po schodach – odezwał się Dooling, głównie po to, by coś powiedzieć.

– A moim zdaniem jest – odparł Garrity, odpalając następnego papierosa od tłącego się jeszcze niedopałka. – Bo jeśli okaże się, że śmierdzisz szczykami, to masz przynajmniej pewność, że własnymi.

– Rozumiem, że wędrując po osiedlach, jesteś w swoim żywiole, ale ja wolę nie gapić się bez sensu na te ławeczki i walające się śmieci i stąd spadać.

Ripostę Doolinga zagłuszył huk trzech strzałów, których echo rozeszło się po betonowej dolinie wyznaczonej wieżowcami. Garrity spojrzał pytająco na Doolinga. Ten skinął głową, wy dobył broń i ruszył sprintem w kierunku miejsca, z którego dochodziły wystrzały. Garrity wyrzucił papierosa i także z bronią w rękę pobiegł za swoim szybszym partnerem.

Dooling skręcił w Tenth Street, wypatrując niebezpieczeństwa, i dostrzegł wykrzywione ciało leżące w poprzek jezdni oraz przykucniętego obok mężczyznę w mundurze. Zahamował, ślizgając się na podszwach, i poszukał wzrokiem jakiegokolwiek ruchu mogącego oznaczać, że w pobliżu dzieje się coś niedobrego. Mimo iż ulice kilka przecznic dalej, w sercu East Village, wciąż tętniły życiem, na odległym końcu D Avenue panowała cisza i nie było widać żywej duszy. Dooling usłyszał nadbiegającego Garrity'ego, chwycił krótkofalówkę i zameldował o strzałach oraz rannym człowieku, prosząc o wsparcie i karetkę.

Garrity minął Doolinga i podbiegł do leżącego. Kucający mężczyzna uniósł wysoko ręce, rozcapierzając palce, by pokazać, że nie stanowi zagrożenia. Dooling rozpoznał jego mundur: był to pracownik prywatnej firmy ochroniarskiej wynajętej do patrolowania budów w północnej części osiedla Jacob Riis. Dooling miał już trochę do czynienia z prywatnymi

strażnikami: poczyniono bowiem pewne starania, by skoordynować ich pracę z działaniami policji; ponadto ochroniarze – głównie byli policjanci – niejednokrotnie ułatwiali funkcjonariuszom biura ujęcie różnych opryszków, co sprawiło, że kiepscy policjanci uważali ich za świetnych przyjaciół.

– Chris Driscoll! – zawołał ochroniarz do podchodzących funkcjonariuszy. – Mam służbę na Trzydziestej Drugiej!

– Jest przytomny? – zapytał Garrity.

– Nie wyczułem tętna – odpowiedział Driscoll potrząsając głową i spoglądając w dół, choć nie wprost na leżącego, który także miał na sobie mundur strażnika. – Chyba jest już za późno.

– Co się stało? – zapytał Garrity.

– Właśnie wpadłem, żeby zmienić Seana, bo miał mieć przerwę, i zobaczyłem, że się z kimś kłóci. Ledwie skręciłem w D Avenue, padły strzały, a Sean upadł. Dobrze widziałem tego, który strzelał: Latynos, młody, prawie metr osiemdziesiąt, szczupły.

– W którą stronę uciekł?

– Wbiegł na budowę i musiał pobiec wzdłuż frontowej ściany budynku, zza którego wyszliście.

– Wbiegł tam? – zapytał Dooling, wskazując przejście oddalone mniej więcej o pół przecznicy od tego, z którego właśnie wybiegli on i jego partner.

Driscoll skinął głową.

– Kiedy tu przybiegłem, żeby sprawdzić, co z Seanem, już wiedziałem, że nie dam rady go zatrzymać.

Dooling ruszył sprintem w kierunku wskazanym przez Driscolla. Garrity zapytał ochroniarza, czy może pozostać przy ofierze do chwili przybycia wsparcia i sanitariuszy, po czym pobiegł za swoim partnerem.

Gdy dogonił Doolinga, ten zatrzymał już dwóch młodzieńców siedzących wcześniej na ławce. Garrity uznał ich za dilerów, a co najmniej za ich wspólników stojących na czatach. Rozpoznał tych nastolatków, choć nie wiedział, jak się nazywają. Zatrzymywali ich już wcześniej, pod zarzutem podejrzanego zachowania, lecz nigdy ich nie zaarrestowali.

– Pójdę wam na rękę – powiedział Dooling. – Powiedźcie mi, dokąd poszedł, a my zrobimy swoje i damy wam spokój. A jeśli nie powiecie, spędzicie resztę nocy u nas.

– Nie jestem kapusiem – powiedział wyższy gość.

– To żadne kapusioństwo – odparł Dooling. – To sposób na oszczędzenie

sobie nocy na posterunku, po czym prędzej wezmą was za informatorów. Lepiej więc powiedzcie mi, kto to był i dokąd poszedł.

– Nikogo nie widzieliśmy – powiedział drugi dzieciak. Był chyba młodszy i miał dobre dziesięć kilogramów nadwagi.

– Daję wam ostatnią szansę albo was zatrzymuję.

– Nikt nas nie mijał – odezwał się jeszcze raz niższy.

Dooling spojrział na Garrity'ego, który wzruszył ramionami.

– Uważaj na nich. Ja się jeszcze przebiegnę.

Garrity skinął głową i Dooling wystartował. Przebiegł jakąś przecnicę, po czym skręcił na wschód i skierował się w głąb osiedla, szukając kogoś poruszającego się inaczej niż wszyscy lub reagującego w sposób, który mógłby stanowić pretekst do zatrzymania i przeszukania. Wśród widocznych osób nie było jednak samotnego mężczyzny; Dooling zobaczył jedynie luźne grupki chłopaków patrzących na niego nieprzyjaźnie, gdy ich mijał. Biegł, rozglądając się, przez pięć minut, lecz nic nie przykuło jego uwagi. Poddał się i usłyszawszy zbliżające się dźwięki syren, wrócił na miejsce przestępstwa.

Stały tam już dwa wozy patrolowe i ambulans, co nie było zaskakujące, gdyż główna siedziba biura znajdowała się zaledwie kilka przecznic dalej. Dooling nie dostrzegł swojego partnera, podszedł więc do Driscolla siedzącego samotnie na krawężniku.

– Nie znalazłem nikogo podejrzanego – powiedział. – Ale mamy zdjęcia wszystkich mieszkańców osiedla. Myślisz, że mógłbyś go rozpoznać?

– Jasne, chciałbym spróbować – odpowiedział Driscoll.

Wstajemy – powiedział detektyw Alexander Jaworski, włączając i wyłączając światło w pokoju przesłuchań. Jego partner Jorge Gomez leżał na trzech krzesłach zestawionych w kącie pomieszczenia w prowizoryczne łóżko.

Jęknął w odpowiedzi.

– Nie możesz być skacowany o pierwszej w nocy – powiedział Jaworski.
– To nie jest normalne.

– Tak samo jak praca na nocną zmianę – odpowiedział Gomez. Siadając, prawie spadł na podłogę za odjeżdżającym krzesłem, na którym trzymał nogi.

– Strzelano w Riis, ofiara prawdopodobnie nie żyje – powiedział Jaworski. – Musimy jechać.

Gomez wstał, przetarł oczy i wyszedł za Jaworskim na korytarz. Zeszli na parking.

Jazda z dziewiątego komisariatu przy Piątej Ulicy na osiedle Jacob Riis nie trwała długo. Jaworski prowadził, Gomez zaś doprowadzał się do porządku, poprawiając krawat i czesząc zmierzwione włosy. Był dobrym detektywem, lecz trzy miesiące temu żona wykopała go z domu i teraz popijał w dzień, a pojawiając się na nocnej zmianie, wyglądał tak, jakby dopiero co wygramolił się z łóżka i potrzebował jeszcze kilku godzin snu. Jaworski obiecał sobie, że będzie trzymał język za zębami, dopóki jego partner będzie przychodził do pracy na kacu, a nie pijany.

Gdy zaparkowali na rogu Dziesiątej i D Avenue, zabawa trwała w najlepsze: widać było co najmniej pół tuzina mundurowych, a także ratowników medycznych i dwa ambulansy, chociaż była tylko jedna ofiara. Jaworski rozejrzał się, ale nie zauważył dziennikarzy: ich brak był jedynym plusem późnych strzelanin na osiedlach.

Jaworski rozpoznał sierżanta Fitzgeralda, dowódcę nocnej zmiany w biurze, i zawołał:

– Co tam mamy?!

– To jeden z ludzi Loomisa, ochroniarz z budowy – odpowiedział Fitzgerald. – Były gliniarz Sean Fowler.

– Fowler... – powtórzył Gomez. – Pamiętam go. W jakim jest stanie?

– Zabrali go do Beth Israel, ale słyszałem, że raczej liczą na cud. Nie dawał oznak życia, kiedy go wkładali do karetki.

– Były gliniarz, tak? – odezwał się Jaworski.

Nie podobało mu się, że postrzelono byłego kolegę po fachu; nie podobało mu się również to, że zwykła strzelanina na osiedlu stanie się sprawą priorytetową i że jego szefowie będą wisieć mu nad głową, gdy tylko się dowiedzą, że ofiara nosiła niebieski mundur.

– Jest też dobra wiadomość. Mamy naocznego świadka, i to porządnego: to także były gliniarz.

– Gdzie on jest?

– Na naszym komisariacie – odpowiedział Fitzgerald.

Jaworski zaczynał się irytować.

– Dlaczego nie ma go tutaj? – zapytał opryskliwie.

– Zabraliśmy go, żeby pokazać mu zdjęcia.

– Cholera! – zaklął Jaworski.

– Coś nie tak?

– Kto pokazuje mu te zdjęcia?

– Ludzie z patrolu, którzy byli tu pierwsi.

– Spierdolą mi procedury! Obrońca powie, że świadkowi coś

zasugerowano.

– Moi ludzie znają zasady – odparł już trochę wkurzony Fitzgerald.

– Czy pańscy ludzie to detektywi z wydziału zabójstw? Powinni byli zostawić mi tę sprawę – powiedział Jaworski.

Odwrócił się do partnera.

– Dopilnuj tu wszystkiego. Jadę z Fitzgeraldem do świadka.

Jaworski usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miał równie dużo szczęścia. W chwili gdy wszedł z Fitzgeraldem na komisariat i zobaczył policjantów z patrolu pokazujących zdjęcia, ten świadek właśnie rozpoznał człowieka, który strzelał – Rafaela Nazario, dziewiętnastolatka mieszkającego ze swą babką w wieżowcu numer sześć. Funkcjonariusze prowadzący identyfikację solidnie wywiązali się ze swego zadania: wręczyli świadkowi plik około czterdziestu zdjęć, które pasowały do przedstawionego wcześniej opisu sprawcy.

Sprawy posuwały się do przodu i Jaworski chciał, by tak zostało. Pożyczył kamizelkę kuloodporną, która z powodu upału wydała mu się jeszcze bardziej niewygodna niż zwykle, i udał się wraz z Doolingiem i Garritym na miejsce przestępstwa, podczas gdy Fitzgerald wezwał przez radio dodatkowe posiłki, które miały im towarzyszyć.

– Pojawiliście się tam pierwsi? – zapytał Jaworski.

– Tak – odpowiedział Garrity. – Byliśmy może przecznicę dalej, kiedy usłyszeliśmy strzały.

– Tylko przecznicę? Ale nie zauważyliście tego, który strzelał?

Garrity pokręcił głową.

– Zatrzymaliśmy się na krótką chwilę, żeby uzyskać informacje od Driscolla. Pobiegliśmy w kierunku, w którym uciekał ten dzieciak, ale wtedy na pewno był już gdzieś w głębi osiedla.

– Byliście na patrolu pieszym?

– Kontrolowaliśmy budynki. Klatki schodowe, dachy i tak dalej – odezwał się Dooling.

– Znajdowaliście się wewnątrz, gdy usłyszeliście strzały? – zapytał Jaworski.

– Właśnie wyszliśmy na dwór. Puściłem sobie szybkiego dymka i mieliśmy wejść do kolejnej klatki chodowej. Byliśmy więc na zewnątrz, gdy usłyszeliśmy strzały.

Jaworski postanowił nie zadawać dalszych pytań. Nikt, kto spojrzałby na Garrity'ego, nie uwierzyłby, że został on stworzony do całonocnych wędrówek po klatkach schodowych. Doświadczenie podpowiedziało

Jaworskiemu, że harmonogram obchodu ma się nijak do rzeczywistego miejsca pobytu Doolinga i Garrity'ego.

Jaworski zabrał Gomeza na przechadzkę. Wypytał go o najświeższe informacje i poprosił, by ten nie zajmował się aresztowaniem i załatwił nakaz przeszukania mieszkania.

Przed budynkiem czekała na nich grupa mundurowych. Prowadząc tę małą armię w kierunku mieszkania Nazariów, Jaworski zastanawiał się, czy nie należałoby wyważyć drzwi i dokonać przeszukania z powołaniem się na sytuację wymagającą natychmiastowego działania, lecz stwierdził, że mogłoby to tylko skomplikować sprawę. Poza tym dzieciak z pewnością pozbędzie się pistoletu, wrzucając go do toalety i spuszczac wodę.

Jaworski wyciągnął rękę i zapukał do drzwi, przedstawiając się jako policjant, po czym cofnął się z sercem walącym jak młot. Trudno o gorszą pozycję, kiedy się stoi na korytarzu przed mieszkaniem przypartego do muru podejrzanego; gdyby chciałby się bronić, celowałby właśnie w drzwi.

Po upływie minuty Jaworski zapukał ponownie, tym razem głośniej, i przedstawił się jak poprzednio. Drzwi wreszcie się uchyliły. Były zabezpieczone łańcuchem. Jaworski dostrzegł wpatrującą się w niego niską, pulchną starszą kobietę.

– *Dios mío* – powiedziała. – Nie wiecie, która jest godzina?

Wygląda to tak, Rafaelu – powiedział Jaworski do młodego człowieka siedzącego po drugiej stronie stołu. – Właśnie w tej chwili nasi ludzie przeszukują twoje mieszkanie. Wywracają wszystko do góry nogami. Pokój twojej babci też.

Minęła ponad godzina, odkąd przywieziono Rafaela na komisariat. Mundurowi zabrali go do biura, w którym czekał świadek, a następnie przewieźli na dziewiąty komisariat, gdzie kazano mu czekać, dopóki nie zostanie wystawiony nakaz i nie rozpocznie się przeszukanie mieszkania. Zbadali także dłonie i ubranie Rafaela, by ustalić, czy nie ma na nich resztek prochu.

– Nie macie powodu, żeby mnie gnębić – powiedział Rafael. Był gibki i tyczkowaty; być może wciąż jeszcze rósł.

Gomez pokręcił głową.

– Ależ mamy, Rafaelu. Chyba nie zamierzasz zaprzeczać, że miałeś na pieńku z Seanem Fowlerem?

– Pewnie, że nie przepadam za gościem po tym, co zrobił. Nasłali tych podrobionych policjantów tylko po to, żeby powyrzucać nas z domów.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, gdy się mieszka na takim osiedlu –

powiedział Jaworski – ale palenie trawki w Stanach Zjednoczonych jest wciąż nielegalne.

– Nie przyłapali mnie na paleniu.

– Mamy policyjny raport i akta z sądu – odparł Jaworski. – Wiemy, że się przyznałeś.

– Przyznałem się tylko do zakłócania porządku. To nie jest przestępstwo. Poza tym przyznałem się tylko po to, by wyjść na wolność. To nie znaczy, że cokolwiek zrobiłem.

– Otóż znaczy – powiedział Gomez. – A może nie pamiętasz, jak powiedziałaś sędziemu, że jesteś winny?

– Robiłem tylko to, co kazała moja obrończyni. Ona też mi nie uwierzyła, ale tamtego wieczoru, kiedy Fowler na mnie naskoczył, niczego nie paliłem.

– Rozumiem, że trzymasz się teraz tej wersji, Rafaelu – powiedział Jaworski. – Pewnie twoja obrończyni zapomniała ci powiedzieć, co może się stać, jeśli się przyznasz do posiadania narkotyków.

– To bzdury – zaprotestował Rafael.

– Nie zdawałeś sobie sprawy, że przyznanie się do palenia skręta pozbawi cię dachu nad głową, czy nie tak?

Sfrustrowany Rafael skrzywił się.

– A skąd mam to wiedzieć? – odparł. – Jeśli mojej głupiej prawniczce nie zależy na tym, żeby mi to powiedzieć, to niby skąd?

– Nie wspomnę już o tym, że oznaczałoby to wyrzucenie na bruk również twojej babci – powiedział Jaworski. – Ciekawe, jak się z tym czujesz. To kobieta, która cię wychowała.

– Mamy teraz nowego, prawdziwego prawnika, który zajmuje się tym wszystkim.

– Prawdziwego, tak? – Gomez prychnął.

– Pozwól, że się upewnię, Rafaelu – powiedział Jaworski. – Twierdzisz, że Sean Fowler wrobił cię w posiadanie narkotyków i dlatego ty oraz twoja babcia macie zostać wyrzuceni z waszego mieszkania, co oznacza, że i ona wyląduje na starość na ulicy? I uważasz, że nie miałeś motywu, by zabić Fowlera?

– Mam jeszcze wiele do powiedzenia, ale tylko przy moim prawniku. On to wszystko wyjaśni.

– Posłuchaj, przyjacielu – powiedział Jaworski. – Jesteśmy rozsądnymi ludźmi. I wiemy, że miałeś zatarg z Fowlerem. Mamy świadka, który widział cię na miejscu przestępstwa. Za godzinę otrzymamy wyniki z laboratorium

i dowiemy się, czy na twoich rękach albo na ubraniu, które masz na sobie, są ślady prochu albo krwi. Jeśli chcesz sam sobie pomóc, wszystko nam wyspiewując, to lepiej zrób to teraz.

– Nie mam nic wspólnego z morderstwem i możesz sobie ściemniać dalej.

– Jesteś zasranym kłamcą – odezwał się Gomez. – Myślisz, że nie potrafię rozpoznać takiego zasańca, jak siedzę z nim przy jednym stole?

Rafael odchylił się do tyłu, odsuwając się od Gomeza.

– Nie ma pan powodu, żeby tak do mnie mówić – powiedział niskim głosem.

– Nie mam powodu, by zwracać się do ciebie z szacunkiem, ty skurwysyński morderco.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– To z laboratorium – powiedział Jaworski. – Jeśli chcesz jeszcze coś powiedzieć, to zrób to teraz.

– W życiu nie strzelałem.

Gomez wstał i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Rafael wzdrygnął się i pokręcił głową, czując rozczarowanie z powodu własnej słabości. Wiedział, że Jaworski analizuje jego zachowanie.

– To jest odpowiedni moment – odezwał się detektyw spokojnym głosem. – Opowiedz o wszystkim, a my napiszemy, że z nami współpracowałeś i dobrowolnie przyznałeś się do tego, co zrobiłeś. Gdy wykryjemy ślady prochu, wciąż jeszcze będziesz mógł się z tego wygrzebać, ale już raczej bym na to nie liczył. W najlepszym razie zostaniesz oskarżony o morderstwo drugiego stopnia. Ten biały ochroniarz dręczył cię, wyrzucając twoją babkę z domu, a całe to zamieszanie jest z powodu jednego skręta. Rozumiem, chłopcze. Naprawdę.

– Nie jestem dla pana żadnym chłopcem – powiedział Rafael, patrząc gniewnie na Jaworskiego. Pojedynek wzrokowy mężczyzn przerwało dopiero wejście Gomeza.

– I co teraz powiesz? – zapytał. – Znaleźliśmy resztki prochu na twojej ręce.

– Kłamię pan – odpowiedział Rafael. – Wiem, że pozwalają wam kłamać. Nie strzelałem ani dziś wieczorem, ani nigdy wcześniej.

– Więc zobaczymy, komu uwierzy ława przysięgłych. Tobie, kłamliwy dupku, czy naszym laborantom.

– Koniec rozmowy. Sprowadźcie mojego prawnika.

– Przecież zgodziłeś się z nami rozmawiać, Rafaelu – powiedział szybko Jaworski.

– Nie słyszeliście, co powiedziałem? Prawnika. Sprowadzić mojego prawnika.

Wszystko spierdalone – stwierdził Duncan.

– Nie zabija się posłańca – odpowiedziała Lily Vaughan, radczynie prawna zajmująca się sprawą Aurora Tower.

Było koło dziesiątej rano, a oni znajdowali się w sali konferencyjnej ich biura. Była pokojem narad, w którym pracowali nad pozwem o nieumyślne spowodowanie śmierci oraz kwestiami związanymi z nakazem prokuratora okręgowego. Pomieszczenie to było szczelnie wypełnione pudłami i segregatorami zawierającymi dokumenty.

– Jak można było tak to spieprzyć?

– Powierzylimy zadanie cholernym żółtodziobom, którzy nie wiedzą, co robią.

– I spieprzyli – powiedział Duncan. – A my mamy to teraz naprawić?

– Jeśli nie my, to kto? – odrzekła, spoglądając na Duncana z lekkim uśmiechem. – A jak nie teraz, to kiedy?

– Ktoś inny i później?

– Byłoby pięknie. Ale nie będzie.

Duncan przez chwilę zastanawiał się, czy ze sobą nie flirtują. Takie sytuacje zdarzały się od czasu do czasu, mimo że ich związek już się zakończył. Lily, zwerbowana przez samego Blake'a, przeniosła się tu od Paula Weissa nieco ponad dwa lata temu. Duncan walczył z poczuciem zagrożenia, mimo iż był wtedy jedynym asystentem Blake'a, a rok wcześniej dwaj jego poprzednicy zostali udziałowcami firmy.

Duncan uznał Lily za atrakcyjną, ale nie przystępował do działania, świadomy konieczności właściwego zachowywania się w miejscu pracy. Lecz kilka miesięcy później, podczas tygodniowego wyjazdu do Denver, dokąd oddelegowano ich w celu przesłuchania handlowców firmy farmaceutycznej stanowiącego część wewnętrznego dochodzenia w związku z zarzutami dotyczącymi sprzedaży leków na receptę pod inną nazwą, Lily uczyniła pierwszy krok. Trzeciego wieczoru wylądowali w jej pokoju i opróżniając barek, opowiedzieli sobie wiele historii na temat poprzednich partnerów, a potem przeszli od słów do czynów.

Ich związek przetrwał niecałe dziewięć miesięcy, chociaż okazjonalnie sypiali ze sobą także przez prawie rok od zerwania. Kilka miesięcy temu położyli wreszcie temu kres – był to pomysł Lily – i wciąż zastanawiali się, co dalej.

Związek Duncana i Lily był skomplikowany od samego początku, nie tylko dlatego, że byli współpracownikami. Byli też dziećmi mieszanych małżeństw: Duncan urodził się jako syn białej matki i ciemnoskórego ojca, Lily zaś jako córka Japonki i białego. Skutki owej genetycznej ruletki okazały się jednak bardzo odmienne: Duncan wyglądał bowiem jak przedstawiciel rasy kaukaskiej, podczas gdy Lily – przynajmniej w oczach Amerykanów – uchodziła za typową Japonkę. Skomplikowana tożsamość ich połączyła, lecz wynikające z niego różnice stały się głównym czynnikiem, który doprowadził do rozstania.

Historia rozpadu związku Duncana i Lily była jeszcze bardziej skomplikowana, a to za sprawą zawłości wynikających z łączących ich relacji służbowych. Byli protegowanymi Blake'a i współpracowali, zarazem ze sobą konkurując. Każde z nich chciało zostać wspólnikiem firmy i zawsze istniała możliwość, że członkowie zarządu zdecydują się na powierzenie tej funkcji tylko jednej osobie. Lub – równie dobrze – żadnej z nich.

W tym samym czasie do miana wspólnika aspirowało kilku innych współpracowników, lecz Duncan i Lily uchodzili za najlepszych – nie tylko dlatego, że mieli po swojej stronie najważniejszego człowieka w firmie, ale też dlatego, że byli utalentowanymi strategami zdolnymi do przewidzenia kroków strony przeciwnej i zapobieżenia im, zanim jeszcze zostaną one podjęte. Lily była niska – mierzyła nieco ponad metr pięćdziesiąt – i cicha; należała do nielicznych prawników, którzy częściej słuchają, niż mówią. Ci, którzy mieli z nią do czynienia, oceniali ją zazwyczaj zbyt skromnie, dawali się zwieść jej aparycji i zachowaniu, za którymi skrywały się determinacja oraz niezwykła inteligencja zdolna do przetwarzania informacji w tempie nieosiągalnym nawet dla Duncana.

Firma Blake i Wolcott, młodsza i mniej staroświecka niż inne kancelarie prawne, przejawiała tendencję do zatrudniania pracowników działających mniej konwencjonalnie niż ci, którzy roili się pod bardziej znanymi szyldami, choć prowadząc nabór, kierowała się równie wysokimi wymaganiami. Być może właśnie dlatego Duncan i Lily znaleźli tu swoje miejsce. Byli członkami nowej wielokulturowej merytokracji zastępującej stopniowo akceptowany przez większość społeczeństwa establishment złożony z białych anglosaskich protestantów, tradycyjnie dominujący wśród elitarnych firm prawniczych miasta.

Duncan i Lily nadzorowali zarówno postępy w sprawie o nieumyślne spowodowanie śmierci, jak i działania będące odpowiedzią na nakaz prokuratora okręgowego. Praca z piętrzącymi się stosami dokumentów była

nie lada przedsięwzięciem: należało dokładnie zbadać setki tysięcy stron, a każdej z nich musiał się jeszcze przyjrzeć prawnik. Jeśli nie było absolutnie najgorszym zajęciem w firmie, to z pewnością pretendowało do tego miana.

Celem przeglądu była nie tylko ocena ważności dokumentów, lecz także próba ustalenia, czy ich zawartość ułoży się w jakąkolwiek historię przydatną z punktu widzenia klienta. Dokumenty te miały utworzyć zbiór, który pozwoliłby udowodnić, że nikt z firmy Roth Properties nie wiedział o zaniedbaniach związanych z bezpieczeństwem podczas budowy Aurora Tower ani nie miał z nimi nic wspólnego.

Zadaniem tym, podobnie jak resztą papierkowej roboty, obarczono dwójkę świeżo upieczonych prawników zatrudnionych w kancelarii oraz garstkę ich kolegów, zarabiających na życie dorywczą pracą i krążących pomiędzy wielkimi firmami, a teraz asystujących przy najmniej ciekawej grzebaninie. Jednak zamiast uporządkowanego zbioru użytecznych dokumentów wszystkim, co udało im się przygotować, była bezładna mieszanka papierów, równie nieistotnych, co nieprzydatnych. Ani Duncan, ani Lily nigdy nie przywiązywali szczególnej uwagi do pracy przygotowujących dokumenty i tak było aż do tego poranka. Lily pojawiła się w firmie i pięć minut później wezwała Duncana.

– Myślałam, że Neil jest twoim prymusem, Dunk – powiedziała.

Duncan miał pełne zaufanie do inteligencji Neila, ale coś najwyraźniej musiało pójść nie tak.

– Nie nazywaj mnie Dunk. Porozmawiam z Neilem.

– Czy musimy powiedzieć o tym Blake’owi?

– Najpierw to naprawmy, a później martwmy się o zdanie Blake’a – odpowiedział Duncan w chwili, gdy odezwał się telefon w sali konferencyjnej. – Spodziewasz się kogoś?

– Jestem pewna, że to jakieś świetne wieści – odpowiedziała oschle Lily.

Duncan skinął głową, idąc w kierunku telefonu: nikt by ich tu nie szukał, gdyby nie pojawił się jakiś problem.

Spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Joan, jego sekretarka.

– Dzwoni pański klient pro bono – powiedziała, kiedy podniósł słuchawkę. – Powiedziałam mu, że pana nie ma, ale twierdzi, że został aresztowany.

Duncan zmarszczył czoło.

– Aresztowany? – zapytał. – Za co?

– Niespecjalnie zrozumiałam, o co mu chodzi – odpowiedziała Joan. –

Ale chyba mówił, że to ma coś wspólnego z morderstwem.

Duncan zupełnie nie wiedział, co się mogło wydarzyć.

– W porządku – powiedział po chwili. – Czy mówiąc, że to ma coś wspólnego z morderstwem, chcesz mi powiedzieć, że to on został aresztowany za morderstwo?

– Naprawdę nie wiem – odparła Joan. – Przełączyć rozmowę?

Duncan pracował nad wieloma sprawami białych kołnierzyków, w żadnym wypadku nie uważał się za obrońcę w sprawach karnych. Pozwanymi, których reprezentowała jego kancelaria, były korporacje lub członkowie personelu wyższego szczebla: arystokraci należący do Ligi Bluszczonej walczyli miliony dolarów. Sprawy z ich udziałem przybierały często charakter nadzoru zlecanego raczej przez komisję papierów wartościowych i giełd, niż przez prokuratora okręgowego, który zajmował się głównie przestępstwami popełnianymi przez zwykłych ludzi. Obrona w sprawach tego rodzaju miała tyle wspólnego z morderstwami, co operacja mózgu z zabiegiem dentystycznym. Duncan nie przekroczył jeszcze nigdy progu sądu kryminalnego przy Centre Street, o wiele brudniejszego i zapuszczonego niż sądy federalne, w których odbywała się większość jego spraw.

Najpoważniejszy kontakt Duncana z prawem karnym miał miejsce prawie pięć lat temu, gdy jego przyrodni brat Antoine został aresztowany w Detroit za napad z bronią w rękę. Duncan nie bronił go osobiście, ale z oczywistych względów został nieoficjalnym łącznikiem między rodziną a wynajętym przez nią obrońcą. Otrzymywał kopie dokumentów i przebywając w Nowym Jorku, starał się czuwać nad przebiegiem procesu. Ostatecznie zgodził się z sugestią obrońcy, który doradził Antoine'owi przyznanie się do winy.

Antoine opuścił więzienie kilka miesięcy temu. Duncan nie spotkał się ze swym przyrodnim bratem, gdy ten odzyskał wolność. Odwiedził go w więzieniu tylko raz, i to przed ponad dwoma laty. Nie utrzymywali bliskich stosunków i nigdy nie mieszkali razem, Duncan wciąż jednak czuł się winny, że nie mógł zrobić więcej, by pomóc Antoine'owi.

Odnalezienie Rafaela zabrało Duncanowi trochę czasu. W końcu wskazano mu krótki szereg klitek na zapleczu jednego z sądowych pokojów okazań. Duncan wszedł do ciasnego pomieszczenia, w którym ledwie starczało miejsca na jedno krzesło, i zamknął za sobą drzwi. Zobaczył przed sobą metalową kratę oddzielającą go od miejsca, w którym miał zasiąść jego klient.

Kilka minut później w drzwiach naprzeciwko ukazał się Rafael. Sprawiał wrażenie wymęczonego, a zarazem rozgniewanego. Wszystko to było mu obce, podobnie jak Duncanowi: Rafael nie miał wcześniej zatargów z prawem, a jedyny postawiony mu do tej pory zarzut dotyczył zakłócania porządku publicznego i palenia marihuany. Teraz jednak sprawa stała się bez porównania poważniejsza.

– Zaczniemy od początku, Rafaelu – powiedział Duncan, starając się nie zwracać uwagi na otoczenie. – Naprawdę znalazłeś się tu w związku z zarzutem morderstwa?

– Tak mówią – odpowiedział Rafael.

– A kogo, ich zdaniem, zabiłeś?

– Seana Fowlera.

– Fowlera? – powtórzył zaskoczony Duncan. – Ochroniarza, który cię przyłapał?

– Nie przyłapał mnie na niczym – odparł gniewnie Rafael. – Mówiłem panu, że to jakieś bzdury.

Ofiarą jest Sean Fowler, to kiepska wiadomość, pomyślał Duncan. Rafael miał oczywisty motyw, by zabić człowieka, przez którego jemu i jego babce groziła eksmisja.

– Musi mnie pan stąd wyciągnąć – ciągnął Rafael. – Trzymają mnie tu od wczoraj. Nie spałem.

Duncan nie wiedział, co stanie się dalej, był pewien jednego: możliwość wypuszczenia Rafaela na wolność nie wchodziła w rachubę.

– Zobaczymy, czy sędzia zgodzi się na kaucję – powiedział. – Ale jeśli nawet tak się stanie, to przypuszczalnie będzie bardzo wysoka i chyba nie powinieneś zakładać, że dziś stąd wyjdiesz.

– Wrobili mnie – zaprotestował Rafael. – Dlaczego mówią, że ktoś widział, jak robię coś, czego nie zrobiłem? Dlaczego mówią, że znaleźli proch na mojej ręce, skoro nie strzelałem?

Duncan nie nadażał, poczuł ucisk w dołku: jakakolwiek nadzieja, że policja zatrzymała Rafaela tylko dlatego, że miał motyw, by strzelić do Fowlera, przepadła. Sprawa była poważna i poparta solidnymi dowodami.

– Musisz mi pomóc – powiedział Duncan. – Opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło.

Rafael skinął głową, wzdychając głęboko. Miał wilgotne oczy i usiłował się pozbierać. Opowiedział o wizycie policjantów w jego mieszkaniu, o aresztowaniu, a także o tym, jak powiedziano mu o naocznym świadku i wykryciu śladów spalonego prochu na jego dłoni.

– Nie wygląda to dobrze – stwierdził Duncan, wysłuchawszy relacji swego klienta.

Nie widział powodu, by upiększać to, co było oczywiste: Rafael wpadł w poważne tarapaty i nie zanosilo się na jego rychle uwolnienie.

– Naprawdę myśli pan, że to ja strzelałem do Fowlera? Pracował pan nad tym, by moja *abuella* została w swoim mieszkaniu. Właśnie wygrał pan w sądzie. Przecież walczymy uczciwie.

– Wiem, Rafaelu.

– Więc co teraz zrobimy?

Mając odpowiednią praktykę i osobowość, prawnicy rzadko przyznają, iż nie wiedzą, co robić. Duncan nie odczuwał szczególnej pokusy, by powiedzieć Rafaelowi, jak wielką niewiadomą stanowi dla niego dalszy rozwój sprawy o morderstwo. Był też w zasadzie pewien, że trudno mu będzie zorientować się w całej tej sytuacji: jego kancelaria podjęła się udziału w zwykłej sprawie o eksmisję, wymagającej od Duncana przypuszczalnie niecałych stu godzin pracy. Obrona w sprawie o morderstwo stanowiła już jednak nieporównywalnie większe zobowiązanie i nie odpowiadała założeniom firmy dotyczącym działalności pro bono. Ponadto, gdyby nawet pominąć politykę kancelarii, obrona oskarżonego o morderstwo przekraczała możliwości Duncana.

– Mogę cię reprezentować podczas odczytania zarzutów i popytam o kaucję – powiedział. – I to chyba wszystko, co będę w stanie dla ciebie zrobić.

Rafael wyglądał, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– O czym pan mówi? Jest pan moim obrońcą.

– Bronię cię w sprawie o eksmisję. Ale teraz chodzi o zarzut morderstwa. Nie poradziłbym sobie z tym, Rafaelu.

– Nie chcę obrońcy z urzędu, bo wtedy wszystko od razu się popieprzy.

Być może to wiara Rafaela w to, że jego babka nie wylądje na bruku, sprawiła, iż chłopak całkowicie zaufał swemu obrońcy już podczas ich pierwszego spotkania. Prawdopodobnie założył też, że korzystanie z pomocy prawnika pracującego dla bogatych klientów zagwarantuje mu korzystny wyrok. Duncan przypuszczał, że tkwiło w tym ziarno prawdy, lecz nie oznaczało to wcale, iż naprawdę uda mu się wstrzymać eksmisję, a co dopiero odeprzeć zarzut morderstwa. Ludzie często obserwują procesy sądowe w taki sam sposób jak mecze piłki nożnej: w ich trakcie należy zarówno spodziewać się błędnych decyzji, jak i liczyć na łut szczęścia, lecz ogólnie rzecz biorąc, wygrywa najlepsza drużyna. Duncan wiedział jednak,

że to nie do końca trafna analogia, gdyż podstawowe fakty oraz dotyczące ich przepisy prawne zostały ustalone jeszcze przed pojawieniem się prawników na boisku, a losy sprawy mogą być przesądzone już na starcie. Kiepski prawnik zawsze znajdzie sposób na spapranie swojej roboty, dobry zaś skutecznie potrafi utrudnić życie swemu przeciwnikowi. Jednak doświadczenie nauczyło Duncana, że o wyniku większości procesów decyduje nie tyle to, jak radzili sobie prokurator i obrońca, co raczej nieuniknione na ogół zastosowanie przepisów prawa do interpretacji faktów. Duncan nie miał w swym arsenale sposobu, który pozwoliłby to zmienić.

– Rozumiem, Rafaelu, dlaczego nie chcesz obrońcy z urzędu, lecz nie zajmuję się sprawami o morderstwo. Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

Rafael spojrział na Duncana błagalnym, a zarazem gniewnym wzrokiem.

– Ale przecież pracuje pan w wielkiej firmie. Ma pan znajomości. Dostanę jakiegoś darmowego prawnika cieniasa i wiem, jak to się skończy: będę siedział do końca życia.

Duncan czuł się w tej sytuacji niekomfortowo, lecz uznał, że nierealistyczny optymizm tylko zaszkodziłby sprawie Rafaela.

– Masz rację – powiedział. – Ale nie zależy to ode mnie. Moja firma i tak wycofa się z tej sprawy. Naprawdę nie widzę żadnej możliwości.

– Nawet pan nie zapyta?

– Zapytam – odpowiedział Duncan. – Ale nie możesz liczyć na zbyt wiele.

Rozległo się pukanie do drzwi, przed którymi siedział Rafael. Zanim Duncan zdążył odpowiedzieć, pojawiło się w nich dwóch umundurowanych urzędników sądowych.

– Wszystko gotowe. Zaprowadzimy pańskiego klienta do sędziego – zwrócił się jeden z nich do Duncana.

Duncan jeszcze nigdy nie był obecny przy odczytywaniu zarzutów. Praktykując prawo, zetknął się z wieloma sytuacjami, ale ta czynność sądowa była mu naprawdę obca. Nie występował w sądzie zbyt często, a gdy już do tego dochodziło, zawsze był drobiazgowo przygotowany. Tutaj musiał improwizować, nie mogąc się wycofać: Rafael był jego klientem, przynajmniej na razie, sam Duncan zaś, chcąc się z nim zobaczyć, przedstawił się jako jego adwokat. Utorował sobie drogę przez zatłoczoną salę sądową i usiadł w pierwszym rzędzie zarezerwowanym dla prawników. W pomieszczeniu było gwarno; bez przerwy ktoś wchodził i wychodził,

a sędzia, który wyglądał na znudzonego, poświęcał najwyżej dwie minuty na każdą sprawę.

Minęło pół godziny, zanim wyczytano nazwisko Rafaela. Duncan wykorzystał ten czas na przestudiowanie zarzutów stawianych kolejnym podsądnym. Były one związane z różnymi, pospolitymi najczęściej przestępstwami, lecz żaden nie dotyczył morderstwa.

Przyszła wreszcie kolej na Rafaela. Andrew Bream, pomocnik prokuratora okręgowego, uśmiechający się ironicznie, młody i dobrze zbudowany blondyn, zgłosił swoją obecność. To samo zrobił Duncan, który się przedstawił i wymienił nazwę swojej kancelarii.

– Jaki zarzut? – zapytał sędzia.

– Pozwany jest oskarżony o zabójstwo byłego funkcjonariusza policji miasta Nowy Jork – powiedział Bream. – Funkcjonariusza, który był naocznym świadkiem w prowadzonym przeciwko oskarżonemu poprzednim procesie kryminalnym. Mamy jeszcze jednego naocznego świadka, również byłego funkcjonariusza policji, który rozpoznał pozwanego w dniu zdarzenia. Wnoszę o umieszczenie pozwanego w areszcie do czasu rozpoczęcia przewodu sądowego.

– Ofiara nie była policjantem, lecz pracownikiem prywatnej agencji ochrony – ripostował Duncan. – Natomiast poprzednia sprawa zakończyła się przyznaniem się mojego klienta do naruszenia porządku publicznego. Mój klient mieszka w budynku komunalnym i nie dysponuje żadnymi środkami finansowymi. Wnoszę o ustalenie kaucji w wysokości tysiąca dolarów.

Wydawało się, że odpowiedź Duncana rozbawiła sędziego.

– Przy zarzucie morderstwa pierwszego stopnia? – zapytał. – Podsądny pozostanie w areszcie do chwili rozpoczęcia procesu.

Stwierdzenie to zakończyło sprawę. Strażnicy sądowi zbliżyli się, by wyprowadzić Rafaela.

– Moja *abuella* – odezwał się chłopak.

– Odwiedzę ją – odpowiedział Duncan, nieco zdezorientowany tempem, w jakim wszystko się odbyło.

Opuścił salę. Przemierzając korytarz, usłyszał swoje nazwisko. Zatrzymał się i odwrócił, stając twarzą w twarz z nieznanym, ostentacyjnie żującym gumę trzydziestokilkuletnim mężczyzną w krawacie i spodniach khaki. Duncan był pewien, że mężczyzna nie jest prawnikiem. Wbrew rozsądkowi ucisnął wyciągniętą rękę.

– Alex Costello, „New York Journal”.

Duncan z trudem powstrzymał się, by nie wyszarpnąć swej dłoni z uścisku. Dyskretne zajęcie się sprawą Rafaela przed poinformowaniem kancelarii o nagłej zmianie sytuacji to jedno, a wypowiedź dla prasy to zupełnie inna kwestia.

– Bez komentarza, okej? – powiedział Duncan.

Costello, lekko zdziwiony, przekrzywił głowę.

– Nawet jeszcze nie zadałem panu pytania – stwierdził.

– Muszę już iść – odparł Duncan.

Odwrócił się plecami do reportera i spokojnie pomaszerował korytarzem.

– Czy mogę dostać pańską wizytówkę?! – krzyknął Costello.

– Zostawiłem wszystkie w innej marynarce – odpowiedział Duncan.

Poczucie bezsilności, gdy przedstawiano Rafaelowi zarzut, było niczym w porównaniu z tym, co Duncan czuł przed czekającą go rozmową: miał poinformować babkę swojego klienta o jego aresztowaniu i oskarżeniu. Zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć na róg Dziesiątej i D, po wschodniej stronie znajdował się długi szereg bloków. Dotarłszy na właściwe piętro, zobaczył Dolores: stała w otwartych drzwiach, ściskając w dłoni jednorazową chusteczkę.

Duncan wszedł za kobietą do środka. Usiedli naprzeciwko siebie w pokoju dziennym. W mieszkaniu panował bałagan. Dolores wyjaśniła, że to wina policjantów, którzy zjawili się z nakazem przeszukania i przetrząsnęli wszystkie pomieszczenia w poszukiwaniu broni, ale nie zadali sobie wysiłku, by odłożyć wszystko na miejsce. Przebijając się wzrokiem przez chaos pozostawiony przez stróżów prawa, Duncan dostrzegł, że mieszkanie jest dość przestronne i jasne, lecz zaniedbane. Kiepskiego stanu nie zdołał zamaskować nawet staranny wystrój wewnątrz dobrany przez Dolores: na ścianach widniały liczne pęknięcia, z zalanego kiedyś sufitu odpadały płaty farby, a zewnętrzną stronę okien pokrywała znaczna warstwa brudu.

– Rafael nie jest zabójcą – powiedziała z przekonaniem Dolores.

Była niską, korpulentną kobietą, często przetykającą swój naznaczony mocnym akcentem angielski hiszpańskimi słowami.

– Właśnie stanęliśmy przed sądem. Obawiam się, że Rafael będzie musiał pozostać w areszcie, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona – odezwał się Duncan.

Kobieta pokręciła głową, a jej policzki zwilgotniały od łez.

– Dopóki nie zrozumieją, że tego nie zrobił – powiedziała.

Duncan wiedział, że to nie będzie łatwa rozmowa.

– Przykro mi, ale niezależnie od tego, co się wydarzyło, nie sądzę, by chodziło tylko o nieporozumienie, które bylibyśmy w stanie wyjaśnić.

– Ale może pan coś zrobić, tak?

Duncan spodziewał się tego pytania, ale ani trochę nie ułatwiło to mu odpowiedzi.

– Nie jestem pewien, czy będę w stanie – odezwał się łagodnie, zmuszając się równocześnie do spojrzenia kobiecie prosto w oczy.

– Bardzo proszę, panie Riley – powiedziała Dolores, spoglądając na Duncana zapłakanym wzrokiem. – Jeśli nie pan pomoże mojemu *nieto*, to kto?

Candace Snow spóźniła się na spotkanie zespołu redakcyjnego, które zaczęło się o siedemnastej. Wszystkie miejsca przy stole były już zajęte, pomaszerowała więc w kierunku pustego krzesła w rogu pomieszczenia, ignorując omiatające ją spojrzenia. Candace była jedyną reporterką uczestniczącą w tym spotkaniu redaktorów. Zespół reporterów śledczych zawsze wysyłał tu kogoś, kto miał poszukać tematu zasługującego na ich uwagę – jakiejś sprawy większego kalibru. Bill Nugent, redaktor zespołu, uważał, że tym, co wyróżnia reporterów śledczych, są umiejętność szerszego spojrzenia na rzeczywistość i zdolność wyszukiwania związków, które zwykle łatwo przeoczyć. Wymagał od swych ludzi, by czytali między wierszami codzienności i zaglądali za jej kulisy.

Większość artykułów w „New York Journal”, podobnie jak w innych miejskich gazetach, stanowiły niezliczone miejskie historie z rodzaju „mnie też to mogło spotkać”, których tydzień później nikt już nie pamiętał. Opisywane wydarzenia, choć czasami straszliwe z punktu widzenia biorących w nich udział, nie wpływały na schemat władzy i wpływów w mieście. Artykuły reporterów śledczych były inne, a przynajmniej miały takie być. Te najlepsze zmieniały bieg wydarzeń w mieście: rozpoczynały dochodzenia, rujnowały kariery, a nawet okazjonalnie doprowadzały do naprawy sytuacji.

Z chwilą rozpoczęcia pracy w zespole reporterów śledczych Candace uznała artykuły wypełniające gazetę – pełne zgiełku miejskich skandali i konfliktów – za coraz mniej interesujące. Nie dlatego, że nie aprobowała ich treści. Mimo że „New York Journal” był tabloidem, jego dziennikarze nie stosowali partyzanckich zagrywek poniżej pasa i nie uganiali się za błazeństwami celebrytów. Jakkolwiek gazecie przyświecały wyższe cele, miała ona charakter na poły populistyczny: oto gazeta niebieskich kołnierzyków w mieście, w którym przybywa tych białych – gazeta broniąca policjantów, strażaków i związkowców. Przedstawiciele starszego pokolenia obecni w pokoju redakcji informacyjnej sami byli kiedyś autentycznymi niebieskimi kołnierzykami – ludźmi, którzy ukończyli Uniwersytet Miasta Nowy Jork lub jedną ze szkół publicznych, podczas gdy większość reporterów z pokolenia Candace zdobyła solidniejsze wykształcenie, często kończąc studia dziennikarskie, co stara gwardia uznawała za rzecz śmieszna.

Spotkania zespołu redakcyjnego odbywały się dwa razy dziennie. W południe dyskutowano wstępnie o głównych artykułach, zarówno tych planowanych, jak i już powstających. O piątej po południu podejmowano natomiast decyzje dotyczące wydania mającego się ukazać nazajutrz, ustalano tematy dnia i zapełniano luki na stronach. Rola Candace polegała na słuchaniu i czekaniu, aż jakiś temat wyskoczy w jej stronę, jakby dostał nóżek.

Nastąpiło to po dwudziestu minutach. Kevin Bigman, redaktor rubryki policyjnej, odczytywał właśnie listę przestępstw popełnionych podczas ostatniej doby.

– Mamy morderstwo. Wczoraj wieczorem, po zamknięciu dzisiejszego wydania, na osiedlu Riis w Alphabet City zastrzelono prywatnego ochroniarza z ekipy Darryla Loomisa. Policja szybko zatrzymała podejrzanego. Został aresztowany i przedstawiono mu zarzut morderstwa. Wygląda na to, że mają mocne dowody świadczące przeciwko niemu. To nastolatek z osiedla: nazywa się Nazario i miał na pieńku z ofiarą. Zastrzelony ochroniarz, były gliniarz, pilnował nowej budowy.

– Osiedla Simona Rotha – wtrąciła Candace, wyteńczywszy uwagę.

Bigman spojrzał na reporterkę, później na swoje notatki i wzruszył ramionami. Siedzący u szczytu stołu redaktor naczelny gazety Henry Tacy, który przeniósł się do Stanów z Wielkiej Brytanii i gardził tabloidami, odchylił się, by lepiej widzieć Candace.

– Riis to osiedle komunalne poddawane gruntownej przebudowie, zgadza się? – zapytał.

Miał około pięćdziesiątki i wyglądał na hulakę, jakiego próżno dziś szukać wśród amerykańskich dziennikarzy. Jego zachrypnięty głos i pyskatość kontrastowały z arystokratycznym brzmieniem języka rodem z Oxbridge.

Candace skinęła głową.

– Jest przekształcane w osiedle dla mieszkańców o zróżnicowanych dochodach – powiedziała. – To największe przedsięwzięcie w budownictwie komunalnym tego miasta od czasów budowy pierwszych osiedli. Projekt nadzoruje firma Roth Properties, co jak sądzę, oznacza, że to ona opłacała pracownika ochrony. Na czym polegał zatarg pomiędzy nastolatkiem a ofiarą?

– Kilka miesięcy temu ów ochroniarz przyłapał Nazario na paleniu trawki – odpowiedział Bigman. – Najwyraźniej teraz w East Village naprawdę aresztują za jednego jointa. W każdym razie z tego powodu

rodzina Nazariów ma zostać eksmitowana, więc prawdopodobnie chodzi o zemstę.

– I nie da się tego powiązać ze zmianami zachodzącymi na osiedlu? – zapytała Candace, tracąc zainteresowanie sprawą, która mogła nie mieć najmniejszego związku z Rothem.

– Na to wygląda – odrzekł Bigman. – W przeciwnym razie w policyjnej księdze zatrzymań pojawiłoby się coś poza informacją, że ofiara była na służbie. W tej chwili sprawą zajmuje się Costello, lecz interesuje go bardziej sama ofiara niż morderstwo, jako że nie chodzi tu raczej o pisanie kryminału.

– Czy wiemy, co powiedział obrońca dzieciaka? To pewnie jakiś pętaś z urzędu? – zapytał Tacy.

Bigman ponownie sprawdził notatki i pokręcił głową.

– To nie był obrońca z urzędu – odpowiedział. – Chłopak ma prywatnego prawnika.

– Nastolatek z osiedla? – zapytał Tacy, przekrzywiając głowę. – Czy ten prawnik to ktoś, kogo znamy?

– Nigdy o nim nie słyszałem – powiedział Bigman. – Nazywa się Duncan Riley.

– Cholera! To jakieś żarty? – wtrąciła się Candace.

– Jak to żarty? – zdziwił się Bigman.

– Znasz go? – zwrócił się Tacy do Candace.

– Riley ma związek z naszą gazetą – odpowiedziała. – Skarży nas w imieniu Simona Rotha.

Jak myślisz? Co to oznacza? – zapytał Nugent.

– Nie wiem, Bill – powiedziała Candace. – A ty jak sądzisz?

Znajdowali się w gabinecie Nugenta, do którego weszli tuż po zebraniu. Pokój był pełen pamiątek zgromadzonych przez Billa w ciągu ćwierćwiecza jego pracy w gazecie: najpierw był reporterem kryminalnym na Bronksie, później święcił tryumfy jako reporter śledczy mający dostęp do poufnych informacji nowojorskiej policji, aż wreszcie – po krótkim i nieznaczącym okresie pisania komentarzy – zajął obecne stanowisko zastępcy redaktora naczelnego odpowiedzialnego za zespół reporterów śledczych.

– To może nie mieć żadnego znaczenia – odezwał się Nugent. – Prawnicy reprezentują różne grupy klientów.

– Czy nie w taki właśnie sposób Woodward i Bernstein wpadli na trop Watergate? – odparowała Candace. – Skąd drogi adwokat obecny przy odczytywaniu zarzutu w mało znaczącej sprawie?

– Nie sędzę, by za każdym razem, kiedy drogi prawnik angażuje się w drobną sprawę, chodziło o wielki spisek – odpowiedział Nugent. – Istnieją też zbiegi okoliczności.

– Prawnik, który reprezentuje Simona Rotha, reprezentuje także kogoś, kto popełnił morderstwo na budowie prowadzonej przez jego firmę? – zapytała Candace. – Nie wygląda mi to na zbieg okoliczności.

– A ja nie dostrzegam w tym oczywistego związku. Dlaczego, do cholery, Roth chciałby chronić chłopaka z osiedla, który strzelał do jego ochroniarza?

– Nie mam pojęcia – odrzekła Candace. – Jestem reporterką, nie wróżką.

– Nawet reporterzy zaczynają na ogół od teorii, która ma sens – powiedział Nugent. – Chyba że nie tego uczą przyszłych dziennikarzy na Columbi?

– Bezsensowne jest to, że chodzi o tak błahą sprawę – odpowiedziała Candace. – Jak ten dzieciak mógłby sobie pozwolić na wynajęcie prawnika z kancelarii, z której usług korzysta Roth? Zresztą gdyby nawet miał dość pieniędzy, to Riley nie jest adwokatem w sprawach o morderstwo. Riley to korporacyjny snob, a nie uliczny zabijaka.

– Co wiemy o ofierze?

Candace zajrzała do notatnika.

– Tylko tyle, że zastrzelony to był policjant, który pracował w firmie ochroniarskiej niejakiego Darryla Loomisa – odpowiedziała.

Nazwisko to nic jej nie mówiło; zauważyła jednak natychmiast, że wzbudziło zainteresowanie Nugenta, który stwierdził:

– Zastrzelono jednego z ludzi Loomisa. To mogłoby oznaczać wiele różnych rzeczy.

– Jak to?

– Chodzi o historię, która wydarzyła się przed twoim pojawieniem się w tej redakcji. Pisałem o niej jako pierwszy. Wiesz coś o hiphopowych policjantach?

Candace słyszała o istnieniu kontrowersyjnej jednostki specjalnej określanej tym mianem, lecz nigdy szczególnie się nią nie zainteresowała, więc szczerze odpowiedziała:

– Niewiele.

– Nowojorska policja wciąż oficjalnie nie przyznaje się do ich istnienia. Tę komórkę, która powstała w latach dziewięćdziesiątych, podczas konfliktu pomiędzy raperami ze Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża, po śmierci Biggiego Smallsa, utworzył właśnie Loomis. Chodziło o zdobywanie

informacji dotyczących gangów.

Candace poczuła przyjemne podekscytowanie myślą, że jej szef wiedział nawet, kim był Biggie Smalls, Notorious B.I.G.

– I to ty nagłośniłeś tę sprawę? – zapytała.

Nugent skinął głową.

– W 2002 roku oskarżono szefa First Degree Records o pranie brudnych pieniędzy dla największego dilerów narkotyków na Bronksie. Relacjonowałem tę sprawę i dowiedziałem się z przecieku, że pracuje nad nią owa tajna jednostka. Była to sensacyjna historia: typowano przestępców na podstawie rasy, było wokół tego sporo zamieszania. Jakiś miesiąc później Loomis przeszedł na emeryturę, ale wciąż milczał w sprawie jednostki. A ponieważ jest ciemnoskóry, stał się w tamtym okresie obiektem poważnej nagonki.

– A teraz świadczy usługi ochroniarskie dla Simona Rotha? – zapytała Candace. – Niezły awans.

– Loomis założył firmę ochrony bezpośrednio po odejściu z policji. Początkowo współpracował z klubami i przemysłem muzycznym. Napisał też policyjny podręcznik dotyczący postępowania z ludźmi z tych branż; wyglądało to tak, jakby w samym środku zimnej wojny szef KGB przeszedł na stronę przeciwnika. Pół roku później ochroniarze Loomisa obstawiali już wszystkie większe kluby i obsługiwali występy Puffa, Diddiego czy jak tam on się, do cholery, teraz zwie.

– Wygląda to na jakieś machloje.

– W rzeczy samej: skoro mowa o zastraszaniu, to Loomis jest mistrzem. Mówi się, że jest nietykalny, jeśli chodzi o nowojorską policję. Gdyby zaczął sypać, to Bóg jeden wie, komu by się dostało.

– Świetna karta przetargowa jak na prywatną firmę ochroniarską.

– Ostatnio słyszałem o Loomisie jakieś dwa lata temu. Jeden z jego ludzi zastrzelił kogoś pod klubem 40/40. Nieboszczyk należał do grupy okradającej celebrytów i był uzbrojony. Ochroniarzowi nie postawiono zarzutów.

Candace pamiętała tamtą strzelaninę jak przez mgłę. Dla niej był to tylko kolejny incydent, do jakich dochodziło w tym mieście każdego wieczoru.

– Twierdzisz, że ludzie Loomisa mogą wykpić się od odpowiedzialności za morderstwo?

– Mówię tylko, że na mieście chodzą takie słuchy.

– To dlatego Loomis znajduje się na liście płac Simona Rotha!

Nugent wzruszył ramionami i rozparł się wygodnie w fotelu.

– Loomis prowadzi firmę z pełnym zakresem usług. Zaczynał wprawdzie od pracy dla nocnych klubów, ale teraz wykonuje rozmaite zlecenia związane z ochroną i dochodzeniami. Umiejętność przetrwania w świecie show-biznesu i klubów zapewnia mu uznanie w całym tym mieście, natomiast ochrona placów budowy to doskonały sposób na obserwację działalności związków. Niewielu jest takich, którym nawet związkowcy nie ośmielą się podskoczyć.

– Chcesz powiedzieć, że tamten ochroniarz mógł być w coś zamieszany?

Nugent machnął ręką, nie chcąc się zagalopować.

– Oczywiście mógł mieć jakichś wrogów. Ale nic nie przemawia za tym, że strzelanina była czymś więcej niż tylko strzelaniną.

– Nie sądzisz, że warto dokładniej zbadać tę sprawę?

Nugent spojrzał na Candace ze sceptyczną miną.

– Loomis prowadzi legalne interesy, jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało. Nie ma nic podejrzanego w tym, że jego nazwisko widnieje na liście płac Simona Rotha.

– Chciałabym jednak trochę powęszyc.

– Nawet jeśli Roth ma coś na sumieniu, powtarzam: jeśli, to czy naprawdę uważasz, że będziesz mogła to wykryć?

Candace spodziewała się tego argumentu. Odparła:

– Skarży nas tylko po to, byśmy przestali się nim interesować. Dlatego trzymasz mnie z daleka od tej sprawy i pozwalasz mu wygrać.

Nelson parsknął śmiechem.

– Jakże tęsknię za czasami, kiedy byłem szalonym reporterem i jedyną rzeczą, o którą się martwiłem, był dobry temat! A teraz rada: gdy zaproponują ci awans, co w rzeczywistości będzie znaczyło, że pora zacząć myśleć o interesach gazety, nigdy go, kurwa, nie przyjmuj!

Redakcyjny kolega Brock Anders zaprosił Candace na obiad. Zaczął pracować w gazecie mniej więcej w tym samym czasie co ona i specjalizował się w plotkach oraz informacjach ze świata rozrywki. Był jedynym reporterem, z którym Candace naprawdę się zaprzyjaźniła, do czego w dużej mierze przyczyniło się to, że pisali o zupełnie różnych sprawach i nie stanowili dla siebie konkurencji.

– Dziś będą langustynki – powiedział Brock, całując Candace w policzek i zapraszając ją do swojego niewielkiego mieszkania z jedną sypialnią. Mieszkał w Chelsea, w budynku bez windy. – Białe sauvignon już otwarte – dodał. Jego opróżniona do połowy lampka stała obok kuchenki.

– Czym sobie na to wszystko zasłużyłam? – zapytała Candace.

– Ten tydzień nie był dla ciebie chyba najlepszy – odpowiedział Brock. – Dlatego pomyślałem o czymś pysznym, o kilku drinkach i wypadzie na miasto.

Brock się nie mylił: Candace miała nerwy w strzępach. Najpierw czuła niepokój przed przesłuchaniem, później – już w jego trakcie – trudny do opanowania gniew, teraz zaś dotarła do niej zagadkowa informacja: prawnik, który ją przesłuchiwał, pracuje także nad sprawą morderstwa mającą pewien związek z inwestycją Roth Properties.

Candace, przepytująca ludzi, by zarobić na życie, dostrzegła w swej negatywnej reakcji na przesłuchanie nutę hipokryzji lub co najmniej ironię. Nie potrafiła jednak pozbyć się z myśli, że ktoś ośmielił się grzebać w jej tekście i zmuszać do udzielania odpowiedzi, zaglądając za zasłonę jej zawodowego ego. Zrozumiała, że tak właśnie musiało się czuć wiele osób przypatrujących się swym działaniom opisanym w jej artykułach i że ludzie ci prawdopodobnie widzieli w nich siebie jako kogoś obcego. Mało kto myśli o sobie źle, gdyż nie pozwala nam na to instynkt.

Candace zdała sobie sprawę, że natarczywy ton przesłuchania sprowokował ją do nieco dziecinnych reakcji. Nazwała prawnika dupkiem i nie mogła odmówić mu racji, gdy oświadczył, że robi tylko to, co do niego należy. Jeszcze bardziej gburowate było żądanie, by nazywał ją panią Snow. Nigdy nie lubiła tego zwrotu, a Snow to jej panięskie nazwisko, którego nigdy nie zmieniła. Zresztą jeśli okres separacji z mężem zakończy się za parę miesięcy rozwodem, i tak nie będzie to miało większego znaczenia. Zwrócenie uwagi prawnikowi było żenującą reakcją, wynikającą jedynie z tego, iż przyłapała go na przyglądaniu się jej piersiom.

Candace nalała sobie wina.

– Przepraszam, że przedwczoraj wieczorem byłam taką typową babą – powiedziała.

– Lubię baby – odparł Brock. – Poza tym jesteś znana z tego, że w rewanżu wytrzymujesz moje wygłupy. A poważnie: jeśli chcesz wyjść, to powiedziałem już Danowi i Kyle’owi, że prawdopodobnie dołączę do nich później.

– Chyba nie jestem w sosie – odpowiedziała Candace. – Ale dzięki.

– Wychodzisz później z Gabrielem?

Candace poznała Gabriela przed miesiącem i zdarzyło im się umówić kilka razy. Był najnowszym przedstawicielem sporej grupy mężczyzn, z którymi Candace spotykała się od chwili ogłoszenia jej separacji z mężem.

Zdawała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy wylądowała w łóżku z większą liczbą facetów niż przez trzy lata poprzedzające jej związek z Benem. Była zbyt młoda, by można to wziąć za kryzys wieku średniego, ale odczuwała zakłopotanie, myśląc, że w zasadzie sypiała już chyba ze wszystkimi dookoła.

– Nie jestem pewna, czy Gabriel jest kimś... No, wiesz... – powiedziała.

– Kimś na stałe?

– Właśnie.

– Pokłóciliście się?

– Z nim nie można się pokłócić – odpowiedziała Candace. – Równie dobrze można próbować dmuchać na wiatr.

– Rzeczywiście wygląda na ideał – uśmiechnął się Brock.

– Dwudziestosześcioletni ambitny muzyk z Bowery Bar... Ech, dopóki go nie poznałam, nie wiedziałam nawet, że takie miejsca jeszcze istnieją!

– Więc może problem polega na tym, że gra w nie dość modnym barze?

– Ależ skąd! Tyle że w pewnym momencie będę musiała otrząsnąć się z tego wszystkiego, a nie widzę Gabriela w roli liny ratunkowej pozwalającej mi wrócić do dorosłości.

– Myślałem, że zamiast jej szukać, próbujesz ją ostatecznie uciąć.

– Próbowałam tylko urządzić sobie krótkie wakacje – odpowiedziała Candace. – Ale nie wiedziałam, że to podróż w jedną stronę.

Steven Blake zajmował przestronne i na wskroś nowocześnie urządzone biuro w narożniku budynku. Ściany pomieszczenia udekorowane były abstrakcyjnymi obrazami, a eleganckie modułowe meble wykonane na zamówienie współgrały ze szklanym stołem roboczym i biurkiem. Tym, co zawsze szczególnie uderzało Duncana przebywającego w biurze Blake'a, był jednak brak papieru. Biuro Duncana przeciwnie – było nim przeładowane: zastawione kartonami pełnymi wydruków z baz danych, teczkami pękającymi w szwach oraz stosami notatek i streszczeń. Góry kartek spoczywały często bezpośrednio na podłodze i układały się w labirynt, który Duncan musiał pokonywać, by dotrzeć do swojego fotela.

Biuro Blake'a pozbawione było jakichkolwiek śladów papieru. Regał wbudowany w jedną ze ścian wypełniały tecki i tylko na biurku można było zauważyć żółty brulion oraz, czasami, kopię listu lub streszczenia, o ile Blake zajmował się ich przeglądaniem. Ogólnie rzecz biorąc, biuro Blake'a uderzało minimalizmem graniczącym z surowością, a chłód modernistycznych błysków mówił niewiele o korzystającym z tego pomieszczenia. Zdaniem Duncana całe to miejsce mogłoby pełnić rolę salonu wystawowego służącego jako miejsce prezentacji dzieł najlepszych architektów wnętrz. Jedyne osobiste akcent stanowiły dwie oprawione w ramki fotografie przedstawiające trzecią żonę Blake'a oraz jego dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa, ustawione w taki sposób, że były niewidoczne dla gości przebywających w biurze.

W kancelarii obowiązywał wprawdzie swobodny strój biznesowy, lecz Blake niemal zawsze nosił garnitur i krawat, co było konieczne przy codziennych wizytach w sądzie oraz spotkaniach w interesach. Był wysoki, wciąż szczupły i starannie zaczesywał do tyłu siwe włosy układające się na czole w literę V. Roztaczał wokół siebie aurę człowieka zasłużenie piastującego najwyższe stanowisko od dwudziestu lat, choć zachowywał się o wiele mniej formalnie niż wielu innych prawników w jego wieku.

Blake miał zazwyczaj dwóch radców prawnych będących jego adiutantami. Mimo że bycie tak zwanym dzieciakiem Blake'a nie gwarantowało stanowiska partnera w kancelarii, ta sztuka udała się większości współpracowników grających tę rolę; ominęło to nielicznych, którzy nie zostali namaszczeni przez szefa. Paru bardziej utalentowanych kolegów Duncana z roku opuściło kancelarię, gdy tylko stało się jasne, że

Blake nie zamierza ich promować. Oznaczało to dla nich koniec marzeń związanych z tą firmą.

Duncan, podobnie jak każdy ze współpracowników z jego działu, rozpoczął pracę w kancelarii Blake'a, wyznaczony sobie określony cel: chciał zostać jego protegowanym. Jako firmowego juniora, a później pracownika średniego szczebla, wyznaczono go do udziału w paru sprawach prowadzonych przez Blake'a. Pracował bez przerwy, sprawdzając wszystko kilkakrotnie i starając się być niezastąpionym. W piątym roku pracy w kancelarii poświęcał większość czasu na sprawy Blake'a, a rok później zajmował się już tylko nimi.

Mimo niezliczonych godzin wspólnej pracy w ciągu kilku ostatnich lat kontakty Duncana z szefem miały wyłącznie charakter służbowy, Blake zaś ani razu nie zapytał go o sprawy osobiste. Blake chwalił swych pracowników w tylko jeden sposób: przydzielał im dodatkowe obowiązki: wywarcie na nim dobrego wrażenia oznaczało więcej pracy, niekorzystnego zaś – koniec kolejnych zadań. Duncan czasami pragnął mieć mentora, który byłby naprawdę zainteresowany udzielaniem mu rad i wskazówek, lecz nie zamierzał się uskarżać.

Blake rozmawiał właśnie przez telefon i ledwie zerknął na Duncana, który wszedł do gabinetu i usiadł. Duncan wiedział, że gdy idzie do gabinetu szefa, powinien zabierać ze sobą pracę, gdyż ciągłe telefony i przerwy innego rodzaju były tu na porządku dziennym, tracił więc sporo czasu. Spędził dziesięć minut na przeglądaniu sporządzonej przez Neila notatki w sprawie spowodowania śmierci w wyniku zaniedbania, oczekując, aż Blake zakończy rozmowę.

– Zatem firma miała okazję zapoznać się z twoją notatką dotyczącą Nazario – powiedział Blake, odłożywszy w końcu słuchawkę.

Duncan spotkał się z nim w dniu aresztowania Rafaela, by przekazać najnowsze informacje i od niechcenia poprosić o zgodę na dalsze zajmowanie się sprawą. Blake, rozkojarzony, polecił mu wtedy, by sporządził sprawozdanie przeznaczone dla jego wspólników. Nie było w tym nic dziwnego: firma chciała dysponować dokładną dokumentacją sprawy, w której pojawił się wątek morderstwa.

– Mimo że z pewnością nie na to się pisaliśmy, firma uważa, że nie możemy opuścić tego klienta w chwili, w której najbardziej potrzebuje pomocy – oświadczył Blake. – Będę nadzorował tę sprawę. Nie sądzę, przynajmniej na razie, że będziemy musieli zaangażować w nią kogoś jeszcze.

Początkowo Duncan nie przysłuchiwał się Blake'owi ze szczególną uwagą, przypuszczając, że zamierza on wyjaśnić w ogólny sposób powody, dla których nie może dalej prowadzić tej sprawy. Gdy Blake informował o „podjęciu decyzji przez firmę”, zapowiadało to zazwyczaj niepomysłne wieści, a taka forma ich przekazywania pozwalała uniknąć wskazania bezpośrednio odpowiedzialnych za postanowienia.

– A co z faktem, że ofiara pracowała dla Roth Properties? – zapytał Duncan, próbując ukryć zdumienie.

– Nie była jej pracownikiem – odpowiedział Blake. – W każdym razie już z nimi rozmawiałam i nie musisz się o to martwić.

Duncan zaczął się zastanawiać, w jaki sposób zabierze się do pracy; przed rozmową z Blakiem zupełnie się o to nie martwił.

– Zabierze mi to dużo czasu – powiedział. – Mam teraz na głowie sporo roboty nad sprawą Rotha.

– Myślałem, że chcesz się tym zająć – odparł Blake z poirytowaniem.

Duncan uzmysłowił sobie, że chce. Udział w sprawie związanej z morderstwem byłby pasjonującym nowym wyzwaniem. Na pewno trudnym, lecz tak jest ze wszystkim, co daje szansę na rozwinięcie skrzydeł.

– Jestem po prostu nieco zaskoczony – odpowiedział.

Blake pokiwał głową, dając Duncanowi do zrozumienia, że nie uwierzył w te słowa.

– Powiniennem więc spotkać się z naszym klientem – stwierdził. – Czy da się go wyciągnąć z aresztu?

– Ma w nim pozostać do rozpoczęcia procesu.

– Zatem chyba będę musiał pojechać z tobą na Rikers Island – powiedział Blake. – Zorganizuj to jakoś, byśmy mogli porozmawiać.

– Załatwię to – odpowiedział Duncan, zrozumiawszy, że może wyjść.

Tego wieczoru Blake i Wolcott wydawali przyjęcie dla swych wakacyjnych pracowników. Ich grupa była mniejsza niż w innych, działających dłużej firmach prawniczych – w tym roku składała się z czternastu studentów, którzy ukończyli drugi rok prawa. Kancelaria organizowała też mniej biesiad niż konkurencja, oferując w zamian prawdziwe doświadczenie w pracy (choć daleko było do tego, które nabywali młodszy prawnicy zatrudnieni w firmie). Lecz studenci oczekiwali czegoś więcej niż tylko zaproszeń na kosztowne lunche.

Ze względu na zbliżające się głosowanie nad przyjęciem Duncana do grona wspólników kancelarii nie mógł on opuszczać takich imprez – nabór nowych pracowników należał do jego obowiązków. Pozwolił sobie jedynie

na nieobecność podczas części godzinnego koktajlu poprzedzającego przyjęcie. Około wpół do ósmej skończył pracę i pomaszerował Szóstą Aleją do Rockefeller Center.

Przyjęcie odbywało się w Rainbow Room, restauracji na sześćdziesiątym piątym piętrze oferującej jeden z najlepszych widoków na Manhattan. Nie należała ona do ulubionych miejsc Duncana: miała staromodny ostentacyjny wystrój, a błyszczące żyrandole sprawiały wrażenie szczytu elegancji z roku 1963. Duncan lubił jednak wyglądać stąd przez okna.

Przeciskając się przez tłum, utorował sobie drogę do baru. Kelnerzy w czarnych kamizelkach i muszkach roznosili przystawki na srebrnych tacach. Zmierzając do baru, Duncan poczęstował się roladką z krewetki, a dotarwszy na miejsce, zamówił wódkę z tonikiem.

W tym roku nie dokładał szczególnych starań, by poznać któregokolwiek z wakacyjnych pracowników kancelarii. Zlecił im wprawdzie kilka zadań, lecz prawdziwe angażowanie studentów w skomplikowane sprawy wymagało zbyt wiele wysiłku i było nieopłacalne, skoro i tak mieli odejść po trzech miesiącach. Duncan brał sporadycznie udział w lunchach, lecz nie wykazywał przesadnego entuzjazmu w nawiązywaniu relacji z potencjalnymi współpracownikami firmy.

Duncan oparł się o bar i zlustrował pomieszczenie wypełnione ponad setką kolegów po fachu, dziwiąc się, jak wielu z nich dobrze znosi wydarzenia takie jak to i bez zastanowienia krąży z darmowym drinkiem i drogą przekąską w ręce po bogato zdobionym otoczeniu. Pomyślał, że może nie tylko on czuje się nieswojo w takich sytuacjach, mimo iż już zdążył się przyzwyczać do różnego rodzaju bonusów związanych z jego zawodem.

– Więc to prawda? – odezwał się Neil Levine, który zmaterializował się tuż obok Duncana. – Prowadzisz sprawę morderstwa?

Wiadomość rozeszła się szybko, pomyślał Duncan.

– Też nie bardzo to pojmuję – odparł.

– Zamierzasz zaangażować jeszcze kogoś? – zapytał Neil.

Duncan nie zdziwił się, że Neil, najwyraźniej całkowicie znudzony życiem prawnika na niższym stanowisku, szukał okazji do przyłączenia się do sprawy.

– Rozważymy szybką ugodę obrończą – odpowiedział Duncan. – Ponadto musisz się skupić na tym, by nie zawałać pracy nad sprawą Rotha.

– Już mnie zbeształś z tego powodu – powiedział Neil, choć nie tak defensywnym tonem, jakiego spodziewałby się Duncan. – Te organizacyjne

bdzury nie są moją mocną stroną.

– Te bzdury stanowią sporą część twojej pracy.

– Jeśli twój klient ma zamiar się przyznać, to po co nadal mamy zajmować się tą sprawą?

Duncan wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że partnerzy zdecydowali, iż opuszczenie Rafaela w chwili gdy jest bliski porażki, nie będzie dobrze wyglądało – powiedział. – Pewnie pomyśleli, że sprawa pro bono okaże się dobrą reklamą.

– Morderstwo – to musi być fascynujące w porównaniu z tym, czym zwykle się zajmujemy.

Duncan rozejrzał się, zanim zmarszczył brwi i spojrzał na Neila.

– Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy na firmowej imprezie? – zapytał.

Neil wyszczerzył zęby.

– Niepodobna, żebym kiedykolwiek miał tu zostać partnerem – powiedział. – Ale rozumiem, że ty musisz zachować swoje pozytywne nastawienie.

Po koktajlu zaproszono zebranych do sali restauracyjnej zarezerwowanej na firmowe przyjęcie. Duncan usiadł obok Neila przy jednym z okrągłych stolików, mając po drugiej stronie wakacyjnego pracownika, który zanudzał go rozmową przez długą część posiłku.

Po kolacji Olivier Wolcott wygłosił krótkie przemówienie złożone ze starych dowcipów i banałów o firmie jako rodzinie. Gdy przemawiał, Duncan czuł na sobie spojrzenie Neila chcącego bez wątpienia posłać mu ironiczny uśmiech, lecz go zignorował. Wolcott wyrobił sobie nazwisko, ponieważ był jedynym wspólnikiem Davisa Polka, który opuścił go wraz z Blakiem i uczynił z Blake'a współzałożyciela firmy, choć było mu do niego daleko. Atutem Wolcotta były nie tyle jego umiejętności jako pełnomocnika procesowego (zagospodarował mało efektowną niszę, udzielając się w sprawach antymonopolowych), co zawartość jego wizytownika – rodzina Wolcottów już dawno temu zakorzeniła się głęboko wśród elit Wschodniego Wybrzeża. Duncan wziął udział tylko w jednej sprawie prowadzonej przez Wolcotta, występując jako obrońca w związku z grupowym pozwem dotyczącym zmowy cenowej linii lotniczych, i uznał go za nadętego głupka.

Zaczęto ponownie serwować koktajle, lecz większość pracowników kancelarii – w dużej części mieszkańców zamożnych podmiejskich osiedli – opuściła restaurację po przemówieniu Wolcotta. Podczas imprez dla wakacyjnych praktykantów nigdy nie brakowało alkoholu, choć ci, którzy mieli przynajmniej odrobinę rozsądku, unikali upijania się. Narąbanie się

podczas firmowego przyjęcia było najlepszym sposobem, by stracić szansę na otrzymanie oferty stałego zatrudnienia.

Podążając z powrotem do baru, Duncan dostrzegł Blake'a, otoczonego studentami i młodszymi prawnikami zbitymi w ciasną grupę i chłonącymi każde jego słowo. Nie miał wątpliwości, że Blake opowiada jedną ze swych wojennych historii. Pomyślał, że prawdopodobnie słyszał ją już wcześniej. Maszerował dalej, dopóki nie został zaczepiony przez praktykantkę, która w poprzednim miesiącu przygotowała mu notatkę służbową, lecz której imię zupełnie wyleciało mu z głowy. Podczas pogawędki Duncan usiłował nie dać poznać po sobie, że zapomniał, kim ona jest.

Zauważył Lily zamawiającą lampkę wina przy barze. Przeprosił rozmówczynię i ruszył, by się przywitać. Będąc jeszcze parą, Duncan i Lily utrzymywali to w tajemnicy przed pracownikami firmy, toteż Duncan był zawsze ostrożny, gdy spotykali się w obecności współpracowników. Nawet teraz, gdy nie mieli już nic do ukrycia, zachowywał czujność, rozmawiając z Lily na oczach innych.

Przywitawszy się, Duncan poznał, że Lily jest czymś wkurzona. Nie demonstrowała tego, pewnie nikt inny nic nie zauważył, lecz znał ją zbyt dobrze.

– Wszystko w porządku? – zapytał, biorąc od barmana jeszcze jedną wódkę z tonikiem.

Lily wskazała ruchem głowy bardziej zaciszną część pomieszczenia i wstała. Duncan podążył za nią.

– Chodzi o tego palanta Wolcotta – powiedziała. – Siedziałam obok niego podczas kolacji, a gdy podano mi łososia, zażartował, jak bardzo mu przykro, że jest upieczony, i zaproponował, że sprawdzi, czy nie mają dla mnie surowego. To było kurewsko rasistowskie, a ja musiałam siedzieć i słuchać.

Duncan zrozumiał, dlaczego Lily poczuła się dotknięta, wiedział też jednak, że regularne obrażanie ludzi jest dla Wolcotta typowe.

– Myślę, że było to nie tyle rasistowskie, co... No wiesz, głupie – powiedział. – Człowiek bez krzty dowcipu próbuje być dowcipny i oto skutki. Zresztą to nawet nie ma sensu, przecież Japończycy pieką ryby. Pamiętasz tego niesamowitego dorsza w miso, którego jedliśmy w Nobu?

Poirytowana Lily najwyraźniej nie zaakceptowała tej próby tłumaczenia.

– Potem zapytał, czy nie wolałabym jeść pałeczkami – dodała.

Duncan zmarszczył brwi.

– Cóż, to nie w porządku, ale...

– Pa-łecz-ka-mi – wysyczała Lily.

– Ten facet ma jakieś sześćdziesiąt pięć lat; w ciągu pierwszych dwudziestu pięciu lat swojej kariery prawdopodobnie nigdy nie spotkał niebiałej kobiety prawnika...

– Dlaczego go bronisz? – zapytała Lily ze złością.

– Nie bronię – szybko odpowiedział Duncan. – Wygadywanie takich głupot było całkowicie idiotycznym posunięciem z jego strony. Ale za pięć lat Wolcott odejdzie na emeryturę, a ty zostaniesz współniczką w firmie. Po prostu przeczekaj drania.

– Więc mam się po prostu zamknąć i tylko słuchać? Z tego powodu gryzę się w język przez całe życie, teraz też nie mam zamiaru robić sceny, ale to jest idiotyczne. Niezależnie od tego, jak długo musiał czekać, żeby spotkać prawniczkę o skórze innej niż biała, do tej pory miał wystarczająco dużo czasu, by się z tym oswoić.

– Masz rację, to beznadziejne, ale on jest tylko dupkiem, więc nie możesz brać tego do siebie.

Lily spojrzała na Duncana z kwaśną miną.

– Nie każdy, tak jak ty, Duncanie, może sobie pozwolić na taki luksus.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Duncan, piorunując ją spojrzeniem.

– Dobrze wiesz, co to znaczy – odpowiedziała Lily. – Moim zdaniem sądzisz, że masz jakiegokolwiek pojęcie o rasizmie. Chyba jednak niezupełnie to pojmujesz. Ktoś taki jak Wolcott patrzy na ciebie i widzi białego faceta. A patrząc na mnie, myśli o stadach plądrujących kundli.

Duncan rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy ich coraz bardziej ożywiona rozmowa nie zwróciła czyjejs uwagi. Miała dotyczyć Wolcotta, lecz z jakiegoś powodu przerodziła się w spór światopoglądowy. Teraz i Duncan poczuł złość, choć stało się to w niewłaściwym czasie i miejscu.

– Nie mogę tego zmienić – powiedział. – Więc czego, do cholery, ode mnie oczekujesz?

– Czasami, Duncanie, chodzi o wybór właściwej strony – odrzekła Lily. – Nie możesz być zawsze po obu stronach albo po żadnej, albo... sama już nie wiem, po której ty jesteś stronie.

Mieszkanie Duncana znajdowało się niedaleko Rockefeller Center, toteż ruszył on pieszo na zachód Pięćdziesiątą Ulicą, rozpamiętując wciąż sprzeczkę z Lily. Nie była to nowość, lecz raczej wznowienie toczącej się pomiędzy nimi bitwy, z powodu której ich związek nigdy nie wyszedł z kryzysu. Była to walka z powodu kolorowych prawników zatrudnionych

w kancelarii.

Podobnie jak większość dużych firm, Blake i Wolcott, chcąc zadbać o multikulturowy sznyt, stworzyli grupy oparte na podobieństwach: grupę prawniczek, grupę gejów i lesbijek, a także grupę prawników o innym niż biały kolorze skóry. Duncan uznawał to raczej za drętwe zaakcentowanie poprawności politycznej. Z drugiej strony, Lily należała do tej ostatniej grupy, a gdy zaczęli się spotykać, zachęcała Duncana, by do niej dołączył. Gdy odmówił, oskarżyła go o utożsamianie się z białymi. Rozzłoszczony Duncan zaprzeczył, odparłszy, że jest wprost przeciwnie: nie dołączył do „niebiałych”, ponieważ nie miał zamiaru zajmować się przynależnością do jakiegokolwiek grupy. Od tej pory zaczęło między nimi narastać napięcie, prowadzące do powstania przepaści, która miała nigdy nie zniknąć. Pochodzenie z mieszanych związków nie doprowadziło wcale do powstania płaszczyzny porozumienia pomiędzy Duncanem a Lily, a to, co zaczęło się jako raczej abstrakcyjny spór o znaczenie podziału pracowników na grupy korporacyjne, skłoniło ich ostatecznie do zastanowienia się nad własną tożsamością.

I nie wiedzieć czemu, wciąż toczyli tę walkę. Duncan nie zamierzał obrazić Wolcotta, próbował jedynie uspokoić Lily, lecz najwyraźniej zabrał się do tego w niewłaściwy sposób i to na nim skupiła się jej złość. Duncan częściowo to rozumiał: wiedział, że miała rację, dając mu do zrozumienia, iż nie musiał akceptować bezsensownego zachowania Wolcotta. Może miała rację: może Duncan utożsamiał się z białymi, po prostu nie mówiąc bardziej otwarcie o tym, kim jest.

Była już prawie dziesiąta, gdy Duncan, podпиты, rozzłoszczony i niemający nic do roboty, dotarł do swojego mieszkania. Zajmował niewielkie mieszkanie w Clinton – dzielnicy znanej wcześniej jako Hell’s Kitchen. Kupił je nieco ponad rok wcześniej, niedługo po zerwaniu z Lily. Właściwie nie planował zakupu własnego lokum, ale po kilku latach pracy w firmie spłacił najdotkliwsze ze studenckich kredytów, zaplanował podstawowe inwestycje, kupił sobie wszystkie upragnione elektroniczne gadżety, a otrzymując coraz wyższą pensję, stwierdził, że ma więcej oszczędności niż pomysłów na ich wydanie. Sześciocyfrowa kwota, którą wydał na apartament, rozwiązała ten problem.

To, że kupił go sobie, mając zaledwie trzydzieści parę lat, wyglądało w pewnym sensie na przyznanie się do porażki. Przybywszy do Nowego Jorku, Duncan spotykał się z wieloma kobietami, lecz w ciągu ośmiu lat pobytu w tym mieście był w poważnym związku tylko dwa razy.

Początkowo sądził, że dzieje się tak z powodu jego pracy – poświęcał na nią siedemdziesiąt godzin tygodniowo, podróżował i nigdy nie potrafił przewidzieć, kiedy uda mu się wyjść z biura. Wymagania, jakie mu stawiano, z pewnością utrudniały utrzymanie związku, lecz w Nowym Jorku było przecież wielu prawników zatrudnionych w wielkich firmach i przynajmniej niektórzy z nich nie uskarżali się na brak prywatnego życia.

Winę za niepowodzenia w dorosłym życiu można łatwo zrzucić na wychowanie. Duncan dorastał pod okiem samotnej matki: jego rodzice rozwiedli się, gdy miał cztery lata, a ona nigdy ponownie nie wyszła za mąż. Ojciec Duncana ożenił się i miał jeszcze dwójkę dzieci, lecz Duncan nigdy nie czuł się związany z jego nową rodziną – z powodów oczywistych, a zarazem trudnych do zaakceptowania.

Druga żona ojca była ciemnoskóra. Stosunki Duncana z macochą oraz przyrodnim rodzeństwem byłyby bez wątpienia skomplikowane, nawet bez wdawania się w kwestie rasowe. Duncan nigdy nie ustalił, w jakiej części ta niezręczna sytuacja ma związek z jego białą matką i kaukaskim wyglądem, a w jakiej z tym, że pochodzi z pierwszego małżeństwa ojca.

Duncan przypomniał sobie, że powinien zatelefonować do matki. W zeszłym tygodniu zostawiła mu wiadomość, lecz jeszcze do niej nie oddzwonił. Rozmawiali co kilka tygodni, a widywali się na ogół dwa razy w roku, choć zdarzały się też lata bez spotkań. Brał wolne i wybierał się do Michigan zwykle na Dzień Dziękczynienia lub na Boże Narodzenie, ale w zeszłym roku tego nie uczynił.

Matka Duncana, Sylvia Connell, urodziła się w Mason, małym miście w środkowej części stanu Michigan. Jako pierwsza w swojej rodzinie podjęła naukę w college'u i przybyła do Detroit, by studiować na Uniwersytecie State Wayne w czasie, gdy exodus białych zaczął przybierać naprawdę szybkie tempo. Otrzymawszy dyplom, rozpoczęła pracę jako pracowniczka społeczna w stanowej agencji ochrony praw dziecka i zajęła się prowadzeniem spraw dotyczących maltretowania i zaniedbywania dzieci.

Była to trudna, czasami nawet niebezpieczna, niewdzięczna praca, a jakkolwiek idealizm, który skłonił matkę Duncana do jej podjęcia, wypalił się już dawno temu i ustąpił miejsca silnemu gniewowi. Sylvia była nieustraszona i często przystępowała do działania w sytuacjach, w których – jak przypuszczał Duncan – mógłby się zawahać nawet policjant. Pewnego razu śledził ją w drodze do domu gang motocyklistów, ponieważ odebrała dziecko jednemu z jego członków. Nieraz też grożono jej na tyle poważnie,

że musiała się tym zająć policja.

Lecz przypadkiem, który odcisnął na niej największe piętno, była bez wątpienia śmierć Shawny Wynn. Ta czternastomiesięczna dziewczynka zmarła jako pierwsze (ale nie ostatnie) z dzieci nadzorowanych przez Sylvie. Rodzice Shawny rozwiedli się, a jej matka informowała służby zajmujące się ochroną dzieci o maltretowaniu córki przez ojca podczas weekendowych wizyt, choć nie poparła tego żadnymi dowodami. Skargi związane ze wspólnym sprawowaniem opieki nad dzieckiem były czymś powszechnym i traktowano je z rezerwą, gdyż u ich podłoża leżały często spory pomiędzy rodzicami.

Sylvia przeprowadziła rozmowę z ojcem Shawny, złożony podczas weekendu niezapowiedzianą wizytę w jego domu. Nie zaobserwowała niczego podejrzanego, ale zaplanowała kolejną kontrolę za miesiąc.

Dwa tygodnie później Shawna już nie żyła. Potrząsana, a następnie rzucona o ścianę doznała złamania kości czaszki. Nikt nie mógł obwinić Sylvii o śmierć dziewczynki: wcześniej nie pojawiły się jakiegokolwiek wyraźne sygnały ostrzegawcze, nic, na podstawie czego można byłoby odebrać ojcu prawo do kontaktów. Sylvia wykonała swoje zadanie, ale mimo to Shawna zmarła. Duncan miał wtedy około sześciu lat i był zbyt młody, by zrozumieć, co się stało. Podejrzewał, że wiele z tych osób rezygnowało z pracy tuż po podobnej „przegranej”: pracownicy terenowi zatrudnieni w biurze Sylvii wytrzymywali tylko dwa lub trzy lata. Pewnie większość z nich miała dręczącą ich „Shawnę Wynn”.

Po śmierci Shawny matka Duncana nigdy już nie była taka jak wcześniej, lecz zdarzenie to, zamiast zmusić ją do poddania się, uczyniło ją bezwzględna. Praca, której wcześniej nie unikała, stała się jej obsesją i wywierała wpływ na całe jej życie. Sylvia stała się twarda, nie tylko wobec rodziców, których kontrolowała, ale też wobec współpracowników.

Praca w agencji oznaczała krytykę z każdej strony: jeśli Sylvia usiłowała nie dopuścić do rozpadu rodziny, zarzucano jej narażanie dzieci na przemoc, jeśli zaś próbowała chronić dzieci, przypinano jej łatkę nasłanego przez rząd zbirą, który chce rodzinę rozbić. Następne ze zmarłych dzieci znajdujących się pod nadzorem matki Duncana przebywało w rodzinie zastępczej. Przybrana matka zakleiła mocną taśmą usta dwulatki, która dostała napadu złości, co doprowadziło do uduszenia dziecka. Duncan nie miał pojęcia, jak ta tragedia mogła nie zniechęcić jego matki do dalszej pracy.

Sylvia nie należała do złych rodziców, chociaż często obecna fizycznie,

błądziła duchem zupełnie gdzie indziej. Może niewłaściwie ją oceniałem, pomyślał teraz Duncan: była w końcu samotną pracującą matką. Mimo że nie potrafił nawet utrzymać przy życiu rośliny, jeśli nie przyniósł jej do biura i nie polecił sekretarce, by ją podlewała, zawsze zdawał sobie sprawę, jak śmieszne musiały się wydawać matce jego dziecięce problemy. Był w stanie usłyszeć jej niewypowiedzianą głośno opinię, że nie ma on pojęcia, czym są prawdziwe kłopoty.

Obecnie ich relacje były poprawne, ale chłodne. Na pewno lepsze niż relacje z ojcem. Duncan z łatwością potrafił wytrzymać miesiąc bez rozmowy z żadnym z rodziców i nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Jego michigańskie wychowanie było jak skóra, którą zrzucił dawno temu. Podobnie jak wielu nowojorczyków, był teraz człowiekiem, który stworzył sam siebie.

Podniósł słuchawkę telefonu bezprzewodowego i wybrał numer matki. Sylvia natychmiast odebrała, sprawiając wrażenie przyjemnie zaskoczonej tym, że Duncan się odezwał. Wciąż mieszkała w Troy, jednym z miasteczek otaczających Detroit, w niewielkim domku z dwiema sypialniami, w którym się wychowała.

Duncan przeprosił matkę za to, że nie zadzwonił do niej wcześniej. Robił to praktycznie za każdym razem, gdy ze sobą rozmawiali. Zapytał, jak sobie radzi w pracy, co zapoczątkowało znajomą litanie narzekań.

– A co u ciebie? – zapytała w końcu Sylvia. – Nad czym teraz pracujesz?

– Dziewięćdziesiąt procent czasu poświęcam na sprawy Roth Properties – odpowiedział Duncan. – Sprawy związane z wypadkiem na budowie, o którym ci mówiłem. Ale teraz wydarzyło się coś w pewnym sensie szalonego. Pamiętasz rodzinę, której pomagałem pro bono w sprawie o eksmisję?

– Tak, pamiętam.

– Otóż aresztowano właśnie wnuka pod zarzutem morderstwa i wygląda na to, że będę go bronił.

– Naprawdę? Nie wiedziałam, że twoja firma zajmuje się takimi sprawami.

– Ja też nie – odparł Duncan. – Jestem bardzo zaskoczony. Ale to miło, być może pomogę wreszcie komuś, kto nie jest wyzyskiwaczem.

– Na pewno – powiedziała Sylvia bez emocji.

Duncan usiłował pokonać rozczarowanie. Nie do końca zdając sobie z tego sprawę, liczył na uznanie z jej strony: pomagając Nazario, robił przecież coś, co matka pochwałała. Żadne z rodziców Duncana nie

wypowiadało się otwarcie i nie krytykowało sposobu, w jaki zarabia na życie, lecz Duncan zawsze przypuszczał, że są nieco rozczarowani jego walką po stronie tych, którzy mają władzę. Sądził, że pomagając niezamężnym zmienić ich los na lepszy, mógłby sprawić matce radość. Do tej pory powinien jednak być się nauczyć, iż nie może się spodziewać z jej strony pochwał – nie leżały one w jej naturze.

Rozmawiali jeszcze chwilę. Duncan odłożył słuchawkę i poczuł smutek, pojawiający się zawsze po rozmowie z którymkolwiek z rodziców. Żył w innym świecie niż oni, a jego próby opowiedzenia im o swoim życiu zawsze wypadały słabo. Duncan przypuszczał, iż była to część ceny, którą musiał zapłacić za swoje elitarnie wykształcenie i doskonale płatną pracę. Pewną rolę odegrało również to, że był dzieckiem rodziców należących do różnych ras: patrzył na świat z jeszcze innej perspektywy niż każde z nich.

Duncan nie chciał uważać się nad sobą. Cenił swoje pochodzenie i wynikające z niego spojrzenie na świat. Czuł się jednak rozczarowany reakcją matki na wieść o reprezentowaniu Nazario, gdyż sprawa ta wydawała mu się ważna: cieszył się, że może się komuś odwdzięczyć. Dostrzegł w Rafaelu część siebie, co sprawiło, że zapragnął, by jego klientowi udało się przełamać ograniczenia narzucone mu przez życie. Zarzut morderstwa to zmienił: teraz nie wiadomo było, czy Rafael w ogóle będzie miał szansę na rozpoczęcie udanego życia. Duncan chciał mu ją dać.

Więc sprawa jest łatwa czy nie? – zapytała Danielle Castelluccio, zastępczyni prokuratora okręgowego.

Detektywi Jaworski i Gomez wymienili spojrzenia.

– Dość łatwa – odpowiedział Jaworski.

Castelluccio oraz asystujący jej Andrew Bream spotkali się z detektywami w jej biurze, by omówić sprawę śmierci Fowlera. Castelluccio była wschodzącą gwiazdą i chlubiła się niepokonanym rekordem pod względem liczby spraw, nad którymi pracowała, wcześniej przez pięć lat zajmując się przestępstwami seksualnymi. Nie była ulubienicą policjantów: miała opinię arogantki, opryskliwej pedantki i mądralińskiej, lecz przygotowywała się do kolejnych spraw z zapalem maratończyka trenującego przed ważnym biegiem, a dzięki procentowi wygranych zyskała sobie niechętnie okazywany przez innych szacunek.

– Przejrzałam dokumentację – powiedziała Castelluccio. – Mocny świadek, wyniki badań balistycznych... To dobre argumenty, ale spodziewałam się jeszcze kilku innych rzeczy, których nie znalazłam.

Jaworski wytrzymał jej spojrzenie, zachowując neutralny wyraz twarzy. Z Castelluccio było zawsze tak samo: dostawała prezent i narzekała na opakowanie.

– Na przykład jakich?

– Gdzie jest broń?

– To istna zagadka – spokojnie odpowiedział Jaworski. – Przewróciliśmy mieszkanie chłopaka do góry nogami i trzykrotnie przetrząsnęliśmy okolicę.

– Ma pan jakąś teorię, co się z nią stało?

Jaworski wzruszył ramionami; sprawa broni zbytnio go nie interesowała.

– Mogę przedstawić kilka teorii, ale to tylko domysły. Sprawca mógł porzucić broń w pobliżu miejsca zbrodni, a jakiś gość z sąsiedztwa capnął ją, zanim zaczęliśmy szukać. Nazario mógł też ukryć ją w miejscu, które przegapiliśmy, albo na przykład wrzucić do rynsztoka. Broń znika i się znajduje.

– Co z monitoringiem?

– Sama strzelanina miała miejsce poza polem widzenia kamer – odparł Jaworski. – Mamy zapis z kamery w bloku sprawcy, ale widać na nim w zasadzie tylko Nazario idącego korytarzem, stąd wiemy, kiedy wrócił do

domu i że miał dość czasu, by strzelić, ale to wszystko.

– Jak wygląda na nagraniu?

– Jest ziarniste jak cholera, nie można nawet dostrzec oczu chłopaka.

– Nie biegnie ani nic w tym rodzaju – dodał Gomez. – Wygląda po prostu jak każdy, kto wraca z pracy.

– Zarząd mieszkaniowy ma kamery na całym osiedlu – powiedziała Castelluccio. – Skąd Nazario mógłby wiedzieć, gdzie strzelić do Fowlera, żeby nie znalazło się to na taśmie?

– Kamery skierowane są raczej na budynki, nie na ich otoczenie – odpowiedział Jaworski. – Nie trzeba mieć umysłu kryminalisty, by nie dać się nagrać.

– Czy na budowie także zainstalowano kamery?

Jaworski skinął głową.

– Używa ich firma ochroniarska, tyle że i one pokazują budowę, a nie ulicę. Loomis udostępnił nam wszystkie nagrania, ale nie było na nich nic, co mogłoby nam pomóc.

– Nie znam Loomisa, ale wiem, że jest legendą. Czy któryś z was miał już z nim do czynienia?

– Nie miałem okazji go poznać – odpowiedział Jaworski. – Ale oczywiście znam te wszystkie historie.

– Czy są inni świadkowie? – zapytała Castelluccio. – Wiem, że było dość późno, ale mówimy przecież o East Village. Musieli się tam kręcić jacyś ludzie.

– Pierwsi na miejsce przestępstwa przybyli mundurowi. Zatrzymali dwóch osiedlowych dilerów, którzy przebywali w pobliżu Aurora Tower w czasie strzelaniny. Ci nie chcieli wyjść na kapusiów i stwierdzili, że nikogo nie widzieli. Naciskaliśmy i przetrzymaliśmy ich przez noc na komisariacie, ale nie pękli.

Castelluccio nachyliła się nad biurkiem z zainteresowaniem.

– Dilerzy nie widzieli Nazario uciekającego z miejsca zbrodni?

– Jeśli założymy, że wypatrywali klientów, to musieli zauważyć każdego przebiegającego obok nich. Ale nie rozmawiamy przecież o handlu prochami.

Castellucci nie odpuszczała.

– Byli notowani?

– Tylko jako nieletni – odpowiedział Jaworski. – Teraz nie toczy się przeciwko nim żadne postępowanie.

– Czy warto będzie ponownie ich przesłuchać?

Jaworski wzruszył ramionami, powstrzymując się od powiedzenia jej, że gdyby widział jakikolwiek sens w dalszym naciskaniu na dilerów, to uczyniłby to, nie czekając na sugestie płynące z biura prokuratora okręgowego.

– Jeśli nawet podadzą nam teraz nazwisko, to informacja ta nie będzie wiarygodna, ponieważ wcześniej nie chcieli z nami współpracować. Możemy im się dobrać do skóry, żeby zobaczyć, czy coś nie wycieknie, ale nie mamy w tym wypadku właściwie ani kija, ani marchewki.

– Jeden lub dwóch dodatkowych świadków na pewno by nie zaszkodziło. Czy podczas pierwszych przesłuchań powiedzieli coś, o co możemy się zaczepić?

Jaworski zerknął na Gomeza, którego usta drgnęły w niemal niezauważalny sposób, i odpowiedział:

– Nie mamy ich zeznań.

Wystarczyło już, że młodzi dilerzy nie kwapili się, by jakkolwiek pomóc w tej sprawie. Jaworski zaś nie miał najmniejszego interesu w tym, by jej aktywnie szkodzili.

– Jeden z nich zaprzeczył, by widział kogokolwiek przebiegającego obok, zapewne z powodu wszystkich tych bzdur o donosicielstwie.

Castelluccio zmarszczyła brwi. Zaczynała ją to wszystko irytować.

– Mówi mi pan, że facet nie złożył zeznań?

Jaworski zrozumiał, że zastępczyni prokuratora okręgowego ma zamiar przekonująco kwestionować jego racje, i postanowił jakoś z tym żyć. Spojrzał na przyglądającą mu się Castelluccio.

– To właśnie mówię – odpowiedział.

Castelluccio, wytrzymawszy jego spojrzenie, skinęła po chwili głową.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

Jaworski zawahał się. Castelluccio zauważyła to i uniosła brwi. Jaworski popatrzył na swego partnera, a asystentka prokuratora podążyła za jego wzrokiem.

Gomez nie był zbyt zachwycony z powodu tego zainteresowania.

– To nic takiego – powiedział. – W każdym razie nic pewnego. Chodzi o to, że kiedy Fowler pracował jeszcze w policji, mówiono o nim różne rzeczy.

Castelluccio nie spodobał się kierunek, w którym zmierzała rozmowa.

– Słyszał pan, że Fowler miał coś wspólnego z narkotykami?

Gomez, jak się tego spodziewała, zaczął się zaraz wycofywać, potrząsając głową i podnosząc ręce w obronnym geście.

– Nie powiedziałem, że miał coś wspólnego. Tak się tylko mówiło.

Castelluccio była zirytowana ogólnikowością wypowiedzi Gomeza. Doskonale znała niechęć policjantów do mówienia źle o kolegach, ale naprawdę nie miała ochoty na kurtuazyjne gierki.

– Co się zatem mówiło o Fowlerze? – zapytała.

– Że facet żył nie tylko z policyjnej pensji. Ale to tylko takie gadanie.

– Czy jest jakiś powód, dla którego powinniśmy o tym pomówić? – zapytała Castelluccio, ponownie kierując uwagę na Jaworskiego.

– Fowler odszedł z wydziału wiele lat temu – odpowiedział Jaworski. – Nawet gdybyśmy wiedzieli, że nie był czysty, a tego przecież nie wiemy, to nie byłoby powodu, by przypuszczać, że właśnie dlatego został zastrzelony.

– Nie komplikujmy więc prostej sprawy – powiedziała Castelluccio.

Załatwienie formalności i droga do ciasnego pokoju przesłuchań w więzieniu na Rikers Island, w którym Duncan i Blake mieli się spotkać ze swoim klientem, zajęły im godzinę, a oczekiwanie na pojawienie się Rafaela – dodatkowe piętnaście minut. Duncan zauważył zdenerwowanie Blake’a z powodu marnotrawienia czasu, za który można byłoby wystawić rachunek dobrze płacącym klientom, i zaczął się ponownie zastanawiać, dlaczego Blake’owi zależało na tej wizycie.

W końcu przyprowadzono Rafaela. Więzienny kombinezon zwisał luźno na jego chudym ciele, skulonym i spiętym, jakby było przygotowane na przyjęcie ciosu. Duncan przedstawił sobie mężczyzn, czując lekko irracjonalne rozczarowanie brakiem reakcji Rafaela, gdyż był przyzwyczajony, że w kręgach, w których obracał się na co dzień, traktowano Blake’a jak półboga.

– Duncan przedstawił mi pańską sprawę – powiedział Blake. – Lecz będzie najlepiej, jeśli dowiem się wszystkiego osobiście. Proszę mi opowiedzieć o pierwszym zatargu z ochroniarzem.

Duncan poznał fakty dotyczące tego konfliktu, zajmując się sprawą o eksmisję, lecz i teraz przysłuchiwał się z uwagą: ponowna relacja klienta doprowadzała często do ujawnienia nowych szczegółów; co więcej, teraz, gdy Rafaelowi groziło dożywocie, gra toczyła się o znacznie wyższą stawkę. Jeśli wcześniej Duncan cokolwiek przeoczył, to właśnie nadeszła chwila, by to wychwycić.

Rafael opowiedział im, że gdy parę miesięcy wcześniej wracał z pracy, Fowler zaczepił go jakieś pięćdziesiąt metrów od domu. Schylił się, podniósł niedopalonego jointa, który leżał akurat koło nogi chłopaka, i stwierdził, że widział, jak ten go upuścił. Rafael nie traktował tego poważnie, dopóki nie pojawili się dwaj funkcjonariusze z Biura do spraw Mieszkań. Chłopak usiłował zrozumieć, czy Fowler kłamie, czy też zwariował, lecz policjanci uwierzyli ochroniarzowi, a następnie aresztowali Rafaela.

Po niemal 24-godzinnym pobycie w celi Rafael spotkał się w końcu z obrońcą z urzędu. Prawniczka, najwyraźniej nie wierząc w przedstawioną przez chłopaka wersję wydarzeń, zachęciła go do przyznania się do zakłócenia porządku publicznego i powiedziała, że pobyt w areszcie i niewielka grzywna stanowią całą karę. Nie chcąc trafić do rejestru karnego, wyczerpany Rafael przyznał się do winy.

Myślał, że jest już po całym zamieszaniu, lecz w następnym tygodniu wydział mieszkaniowy wydał nakaz eksmisji jego i jego babci. Szukając rozwiązania problemu, babka Rafaela zwróciła się do organizacji świadczącej pomoc prawną i w taki właśnie sposób sprawa trafiła do Duncana.

Otrzymawszy polecenie poświęcenia części czasu na sprawy pro bono, Duncan wybrał sprawę o eksmisję, gdyż uznał to na najprostsze rozwiązanie, które pozwoli mu pewnie poczuć się w sądzie. Gdy poznał fakty dotyczące sprawy Nazariów, doszedł do wniosku, że uda mu się uchronić przed eksmisją przynajmniej Dolores, lecz przekonanie to szybko prysło, kiedy zapoznał się z prawem dotyczącym podobnych sytuacji. Kilka lat wcześniej Sąd Najwyższy wydał decyzję, zgodnie z którą posiadanie narkotyków w mieszkaniu komunalnym lub w jego pobliżu mogło stanowić podstawę do eksmitowania całej rodziny.

Rafael upierał się, że został wrobiony, i twierdził, że ochroniarze próbowali tej samej sztuczki z innymi mieszkańcami osiedla. Mogłoby to stanowić obiecujący wątek, lecz nie miało już w zasadzie znaczenia, skoro Rafael przyznał się w sądzie do winy. Oznaczało to, że Duncan nie mógł oprzeć się ani na przepisach prawnych, ani na faktach. Mógł tylko próbować doprowadzić do wycofania przyznania się do winy, co byłoby prawie niemożliwe, nawet przed aresztowaniem Rafaela pod zarzutem zamordowania Fowlera.

Po przebrnięciu przez kwestie związane z zatargiem z Fowlerem Blake przeszedł do strzelaniny. Poprosił, by Rafael opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Rafael, zatrudniony wtedy w kuchni restauracji Alchemy w East Village, skończył pracę tuż po jedenastej. Po zmianie pomaszerował do domu, nie spotkawszy po drodze nikogo znajomego. Był w domu i słuchał muzyki, kiedy niecałą godzinę później przed jego mieszkaniem pojawili się policjanci. Nie usłyszał nawet, jak pukają, ponieważ miał na głowie słuchawki, a muzyka była głośna. Zabrano go najpierw na posterunek w biurze przy Avenue C. Gdy siedział jeszcze skuty na tylnym siedzeniu samochodu, przyjrzał mu się jakiś mężczyzna w mundurze ochroniarza. Później Rafaela przewieziono na dzielnicowy komisariat policji i poddano jego ręce badaniu pozwalającemu na wykrycie pozostałości po strzałach z broni palnej. Zanim Rafael poprosił o adwokata, został jeszcze szybko przesłuchany przez detektywów, a jego dane wprowadzono do systemu i przesłano do centralnej bazy danych.

– Pomówmy o jeszcze kilku rzeczach – powiedział Blake, gdy Rafael

skończył. – Czy słyszał pan strzały?

Rafael skinął głową.

– Nie byłem pewien, czy ktoś strzela, ale tak sobie pomyślałem.

– Gdzie pan był, kiedy usłyszał strzały?

– Szedłem Avenue D. Pomyślałem, że może to samochód, ale nie potrafiłem określić, skąd je było słychać. To było chyba gdzieś za moimi plecami.

– Niczego pan nie widział? Nie widział pan Fowlera ani tego, kto strzelał?

– Jak już powiedziałem, nie byłem nawet pewien, że ktoś strzelał. I nie miałem zamiaru tego sprawdzać. Miałem dość rozumu, by się nie zatrzymywać.

– Co powiedział pan policji tamtego wieczoru?

– Tylko tyle że nic nie zrobiłem.

– Czy powiedział pan, że znał Fowlera?

– Wiedzieli już, że z jego powodu mieliśmy zostać wyrzuceni z mieszkania.

Duncan zastanowił się, w jaki sposób policji udało się tak szybko powiązać fakty. Motyw był jasny, chociaż Duncan nie podejrzewał, by Rafael doszedł do wniosku, że zastrzelenie Fowlera zażegna groźbę eksmisji. Zemsta ma jednak swój urok, a Duncan słyszał przecież, jak jego klient obrzuca Fowlera najrozmaitszymi epitetami.

– A czy policja pytała pana o eksmisję? – zapytał Blake.

– Tylko po to, żeby powiedzieć, że to dlatego sprzątnąłem Fowlera.

– Czy powiedziano panu o pozostałościach po wystrzałach?

– Tak, wyrwali się z tym i zaraz im powiedziałem, że nie zamierzam już z nimi rozmawiać. Myślałem, że sobie ze mną pogrywają, i nie brałem tego poważnie, dopóki pan R. nie powiedział mi, że naprawdę tak myślą.

– Czy tamtego wieczoru dotykał pan broni palnej?

– Pracuję w kuchni – odpowiedział Rafael. – Gdybym chciał kogoś sprzątnąć, zabrałbym ze sobą nóż rzeźnicki.

Duncan roześmiał się, lecz Blake zachował powagę.

– Panie Nazario – powiedział. – Zapewniam pana, że pytając, czy tamtego wieczoru miał pan do czynienia z bronią palną, nie żartowałem.

– Jasne, że nie miałem – odpowiedział rozzłoszczony Rafael. – Nigdy nie strzelałem z broni palnej i nie mam z nią nic wspólnego.

– A ochroniarz, który świadczy przeciwko panu – powiedział Blake. – Czy widział go pan kiedykolwiek wcześniej, przed tamtym wieczorem?

- Nie sądzę. W każdym razie go nie kojarzę.
 - W jaki sposób lub dlaczego, pańskim zdaniem, rozpoznał pana jako tego, który strzelał?
 - Albo się pomylił, albo kłamie. Wszyscy ci goście z ochrony to prawdziwe skurwysyny.
 - Na czym polega problem?
 - Traktują nas jak psy. Chociaż ludzie bywają mili dla psów, więc może mają nas raczej za szczury.
 - Zatem inni mieszkańcy osiedla też mieli z nimi problemy?
 - Jak cholera.
 - Czy wie pan coś o samym Fowlerze? Albo o kimś, kto mógłby mieć motyw, żeby go zastrzelić?
- Rafael wzruszył ramionami.
- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale dobrze byłoby wiedzieć, że ktoś jeszcze chciał śmierci tego dupka.
- Spędzili z Rafaelem kilka godzin, wracając do okoliczności, w jakich poznał Fowlera, a także do wieczoru, w którym popełniono morderstwo. Blake zadał Rafaelowi praktycznie wszystkie pytania, omawiając metodycznie punkt po punkcie. Duncan obserwował go w tej roli już dziesiątki razy, przy innych sprawach, lecz teraz wciąż czuł się zakłopotany, widząc swojego szefa w pokoju przesłuchań więzienia na Rikers Island.
- Jak to oceniasz? – zapytał, gdy rozmowa dobiegła końca i znaleźli się na więziennym parkingu, kierując się w stronę samochodu Blake’a. Nie zdawał sobie sprawy, jak silne było napięcie, które odczuwał, znajdując się wewnątrz, dopóki nie znalazł się na świeżym powietrzu.
 - Miał motyw, a jego alibi jest prawie żadne – odpowiedział Blake. – Zeznania świadka i wyniki badań to mocne dowody i nawet nasz klient, przedstawiając swą wersję wydarzeń, powiedział, że przechodził obok miejsca, w którym padły strzały.
 - Jest aż tak źle? – zapytał Duncan, spoglądając na szefa otwierającego drzwi samochodu.
 - Widzisz tu jakąś możliwość obrony? Nie twierdzą, że to zrobił, a jeśli nie zrobił, to wracając tamtego wieczoru do domu, musiał wdepnąć w najpaskudniejsze gówno na świecie.
 - Ale w rzeczywistości nie miał motywu. Zabicie ochroniarza nie przeszkodziłoby w eksmisji, a Rafael wierzył, że wygram sprawę. Wierzył zbyt mocno, jeśli już. Był wkurzony na Fowlera, to jasne, ale nie wierzę, że aż tak bardzo, żeby go zastrzelić.

Blake wzruszył ramionami.

– Impuls – powiedział. – Zbrodniarze nie muszą mieć szczególnie dobrego powodu, by robić to, co robią. Dlatego nazywamy to zbrodnią.

– Oczywiście – odrzekł Duncan. – Lecz chodzi mi o to, że naprawdę nie sędzę, by Rafael był zbrodniarzem.

– Nie ma co owijać w bawełnę – powiedział Blake lekceważąco. – Takim argumentem go nie uratujesz, więc nawet nie ma co próbować. Częścią zwycięstwa jest obrona osiągalnego celu, a w tym przypadku wygląda na to, że wygraną będzie uzyskanie wyroku innego niż dożywocie.

– Zarzut morderstwa pierwszego stopnia to beznadziejna sprawa – odparł Duncan.

W Nowym Jorku zarzut tego rodzaju stawiano na ogół w szczególnych wypadkach, na przykład gdy ofiarą zabójstwa był policjant lub ktoś, kogo zamordowano z zemsty za zeznania złożone w innej sprawie karnej. Uznanie Rafaela za winnego morderstwa pierwszego stopnia skończyłoby się dla niego dożywociem bez możliwości ubiegania się o warunkowe zwolnienie z więzienia. Duncan nie był przekonany, że prokurator okręgowy będzie umiał wykazać prawdziwość oskarżenia; podejrzewał, iż zarzut postawiony Rafaelowi miał związek z faktem, że Fowler był emerytowanym policjantem.

– Zatem naszym celem jest uzyskanie uczciwego wyroku za morderstwo drugiego stopnia – odpowiedział Blake.

Duncan zrozumiał, że nie jest to zaproszenie do debaty, lecz polecenie. Był zaskoczony własnym rozczarowaniem, ponieważ nie chciał tak szybko uznać sprawy za z góry przegraną i spisać jej na straty.

– Chyba trochę za wcześnie na ugodę, prawda? – powiedział. – To znaczy jeszcze go tak naprawdę nie przygwoździli.

Blake spojrzał na Duncana, po czym wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem już wygląda na skazanego na ukrzyżowanie – powiedział.

Duncan jadł właśnie najlepszą zupę w swoim życiu: pożywne i treściwe bisque z krabów przyprawione łagodnym curry. Marco Mucci, który ją przygotował, siedział naprzeciwko. Był o kilka lat starszy od Duncana i szybko zdobywał opinię jednego z najbardziej chwalonych szefów kuchni w mieście. W ubiegłym roku „Times” przyznał Alchemy trzy gwiazdki – wcześniej była to rzecz nie do pomyslenia w przypadku restauracji przy Avenue B.

Alchemy bywała otwarta jedynie w porze obiadu, więc o tej porze w pustej jadalni przebywała tylko hostessa odbierająca telefony. Kuchnia była jednak już czynna: Duncan słyszał dobiegającą z niej muzykę i od czasu do czasu podniesione głosy. Hostessa wpuściła go, usadziła przy stoliku na środku restauracji i poszła na zaplecze po Mucciego.

Marco od razu zapytał o rzecz najważniejszą: czy Duncan jadł już lunch. Duncan, który na ogół przegapił ten posiłek co najmniej raz w tygodniu i jadał go nie wcześniej niż późnym popołudniem, przyznał, że jeszcze nie. Usłyszawszy to, Marco natychmiast wycofał się do kuchni i wrócił po minucie z dwiema miskami zupy ułożonymi fachowo na przedramieniu.

Pomysł wizyty w restauracji, w której pracował Rafael, w celu znalezienia kogoś, kto mógłby wystawić mu dobrą opinię, podsunął Duncanowi Blake. Duncan nie był z tego zadowolony: pachniało to prawniczą kapitulacją. Blake kazał mu jednak skupić się zbieraniu faktów, które przemawiałyby na korzyść Rafaela i umożliwiły złagodzenie wyroku. Duncan nie czuł się dobrze z tym, że Blake chciał jak najszybciej zawrzeć ugodę z prokuratorem, lecz równocześnie nie chciał dać się wywieść ideałom w pole. Historia Rafaela o ochroniarzu podrzucającym trawkę nie trzymała się przecież kupy. Rafael nie potrafił też wyjaśnić, jak doszło do oskarżenia go o posiadanie narkotyków, a później o morderstwo. Duncan był pewien, że takie rzeczy nie dzieją się przypadkiem.

– Dziękuję za poświęcenie mi czasu – zwrócił się do Mucciego. – Jest pan z pewnością bardzo zajęty.

Marco machnął ręką.

– Cieszę się, że Rafa ma dobrego adwokata – powiedział. – Zastanawiamy się nad zbiórką pieniędzy, chociaż wątpię, by miała ona sens. Próbujemy też załatwić widzenie. Czy pracuje pan nad tą sprawą jako wolontariusz?

– W zasadzie tak – odpowiedział Duncan. – To wspaniale, że chłopak ma wsparcie.

– Rafa jest tu od ponad roku. Zrobimy wszystko, żeby do nas wrócił.

Duncan był zaskoczony, zważywszy na to, o co oskarżono Rafaela.

– Czy wspieracie tak wszystkich swoich pomywaczy? – zapytał.

Starał się zadać to pytanie beztroskim tonem, lecz Marco zmarszczył brwi.

– Rafael nie był już pomywaczem. Zajmował się wstępnym przygotowaniem dań. W mojej kuchni nie oceniam ludzi na podstawie stażu albo miejsca, w którym praktykowali. Restauracja jest formą sztuki, każdego wieczoru jest po części teatrem. Szukam w ludziach energii, kreatywności i entuzjazmu, a Rafa ma wszystkie te cechy. Wie pan, on naprawdę kochał tę pracę. Myślę, że lubił tu przebywać i być częścią naszego zespołu.

– Czy Rafael miał tu z kimkolwiek jakieś zatargi?

– Żadnych – odpowiedział Marco. – Czuł się tu jak w domu, właśnie tak traktował kuchnię. I nie tylko miał w sobie mnóstwo entuzjazmu, jest także dobrym kucharzem. Właśnie dlatego skierowałem go na kurs w CIA.

– W CIA?

– Przepraszam, to taki kuchenny skrót. Chodzi o Instytut Kulinaryny.

– Mówi pan o Rafaelu jako o wspaniałym pracowniku – powiedział Duncan. – A jak odbiera go pan jako człowieka?

Marco wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Pyta pan, czy sądzę, że Rafa mógłby kogoś zabić?

Duncan wzruszył ramionami.

– Skoro już pan o tym wspomniał...

– Wiem, skąd pochodzi Rafa – odpowiedział Marco. – Dorastałem na Czternastej Ulicy i to także moja dzielnica. Rafa nie jest pierwszą zatrudnioną przeze mnie osobą z osiedla przy Avenue D. Kilka sobie poradziło, kilka innych nie sprostało podstawowym obowiązkom. On należy do tych najlepszych. I jak by się sprawa tamtej strzelaniny zakończyła, jestem pewien, że Rafa nie miał z nią nic wspólnego.

– Jest pan przekonany o jego niewinności?

– Oczywiście – odpowiedział Marco, spoglądając na Duncana z zaciekawieniem. – A pan nie?

To pytanie brzęczało mu w głowie przez całą drogę powrotną do biura. Nie miał pojęcia, jak obalić tak mocne dowody, nie dostrzegał jednak w swoim kliencie mordercy. Nie był gotów, by porzucić próby

udowodnienia niewinności Rafaela. Wiedział, jak wielkim rozczarowaniem dla chłopaka byłaby wiadomość, że jego adwokaci już myślą o ugodzie. Tak szybkie poddanie się wyglądałoby na zdradę.

Wolały zatem pójść do Blake'a i spróbować go przekonać, że muszą przyrzeć się dokładniej dowodom przedstawionym przez prokuratora okręgowego. Blake na pewno by go wysłuchał, zwłaszcza jeśli Duncan przedstawiłby mu solidny plan ataku.

Wszedł do biura, zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik wykrochmalonej niebieskiej koszuli. Tego ranka włożył garnitur tylko dlatego, że udając się do Mucciego, chciał wyglądać jak prawnik. Ludzie niebędący prawnikami zawsze są zaskoczeni, dowiadując się, że Duncan rzadko nosi garnitur i krawat. Prawnikiem w niezobowiązującym stroju był po prostu rozczarowaniem.

Duncan miał poświęcić jednak resztę dnia na przygotowanie się do udziału w przesłuchaniu Prestona Thomasa. Thomas, dyrektor finansowy Roth Properties, przegrał wewnętrzne losowanie i miał zeznawać jako pierwszy świadek w procesie o nieumyślne spowodowanie śmierci. Następny był Tommy Nelson, inspektor nadzoru budowlanego Aurora Tower, a zarazem kluczowy świadek w sprawie. Firma Omni Construction korzystała z pomocy własnych adwokatów, którzy mieli być obecni przy przesłuchaniu Nelsona, chociaż chciała w nim wziąć udział także Lily.

Duncan zabrał się do wyszukiwania najważniejszych dokumentów i ich porządkowania w grubym segregatorze. Następnego dnia miał odbyć spotkanie przygotowawcze z Thomasem, którego przesłuchanie zaplanowano na przyszły tydzień. Chciał przygotować szkic służący mu jako przewodnik podczas zapoznawania Thomasa z dokumentacją.

Thomas był głównym negocjatorem dewelopera podczas zawierania kontraktów związanych z budową Aurora Tower i dotyczących zarówno inwestycji, jak i robót budowlanych. Duncan podążył zapisanymi na papierze śladami rozmaitych negocjacji, wszystkich maili, listów oraz szkiców kontraktów, na podstawie których stworzono umowy.

Wszystko to złożyło się na kosmicznie wielką stertę papierów. Największym pożyczkodawcą był fundusz hedgingowy, lecz w finansowanie budowy zaangażowanych było także kilka banków inwestycyjnych, z których każdy prowadził własne negocjacje. Duncan pobieżnie tylko przeglądał dokumenty finansowe, skupiając uwagę na negocjacjach z głównym wykonawcą: firmą Omni Constructions. Jeśli strona pozywająca chciała obciążyć Rotha odpowiedzialnością za wypadek, to przypuszczalnie

musiałyby wykazać, iż deweloper wywierał naciski na Omni, chcąc doprowadzić do cięcia kosztów.

Kartkując szybko wybrane dokumenty finansowe, Duncan zauważył, że zbliża się termin spłaty pożyczek w wysokości co najmniej dwustu milionów dolarów. Wiedział, że banki obostrzają warunki udzielania dużych kredytów komercyjnych, i podejrzewał, że teraz, gdy blask nieruchomości z górnej półki nieco przygasał, pożyczkodawcy zechcą wykorzystać chwilę, w której będą mogli się wycofać. Duncan zastanawiał się, czy firma Roth Properties dysponuje wystarczającymi do zakończenia budowy pieniędzmi, jeśli nie otrzyma kolejnych pożyczek.

Był nieco rozczarowany tym, że ich klient musiał się poddać czynnościom przedprocesowym: pomyślał, że miał dobrą okazję, by wystąpić z wnioskiem o oddalenie pozwu. Przygotował już jego wstępną wersję, a pracując nad nią, przekonał samego siebie do jej zalet. Sędziowie najczęściej nie uwzględniali wniosków tego rodzaju, a wycofanie się z procesu cywilnego przed rozpoczęciem czynności przedprocesowych było bardzo trudne. W praktyce oznaczało to, że nawet całkowicie pozbawione treści sprawy ciągnęły się często latami i kosztowały pozwanych całe miliony. Oznaczało to również, że Duncan, podobnie jak prawnicy procesowi reprezentujący inne wielkie firmy, musiał poświęcać większość czasu na mozolenie się z czynnościami przedprocesowymi i zajmowanie się wszystkim, co się z nimi wiązało – od przeglądania dokumentów po prowadzenie przesłuchań. Czynności przedprocesowe stanowiły siłę napędową kancelarii specjalizujących się w prawie procesowym, a ogromna – i niesłychanie żmudna – produkcja dokumentów powstających w czasie fakturowanych godzin była co roku źródłem milionów dolarów.

Duncan spędził resztę popołudnia i część wieczoru na przygotowywaniu szkicu zeznania na piśmie. Zrobił sobie przerwę na obiad, zdawszy sobie przy tym sprawę, że uporał się dopiero z mniej więcej dwiema trzecimi pracy.

Właśnie jadł sashimi, czytając *Ponad prawem* na monitorze komputera, gdy w drzwiach pojawiła się Lily. Nie odzywali się do siebie od sprzeczki w Rainbow Room, lecz Duncan udał, że nic się nie stało.

– Hej – odezwał się. – Zjesz coś? Zamówiłem dwie przystawki, danie główne i deser. Ryba nie jest pieczona – nie omieszkał dodać.

– Próbujesz przejść do innej kategorii wagowej? – zapytała Lily, ignorując oklepany żart Duncana, podnosząc stertę papierów z jednego z krzeseł i siadając.

– Jestem w bojowym nastroju – odpowiedział. – Po prostu zjadam połowę wszystkiego i zachowuję resztę na lunch następnego dnia. To oczywiście żadne wyrzeczenie.

– Walcz – powiedziała Lily. – Ja zjem w domu, przynajmniej taką mam nadzieję.

– Od czego to zależy?

– Od ciebie – odpowiedziała. – Sam Blake poprosił mnie, żebym sprawdziła, czy nie potrzebujesz pomocy w przygotowaniach do przesłuchania Thomasa. Powiedział, że jesteś zawałony pracą nad sprawą morderstwa.

Duncan usiłował ukryć swą reakcję. Było to coś, czego Blake zazwyczaj nie robił, ponieważ zakładał, że jego współpracownicy wykonują swą pracę bez jego kontroli.

– Blake przysłał cię, żebyś mnie sprawdziła?

– Można i tak to interpretować – odpowiedziała Lily.

– Gdybym potrzebował twojej pomocy, na pewno bym poprosił.

– Nie, nie poprosiłbyś.

– To prawda. A jak sądzisz, jakie są szanse na to, że teraz to zrobię?

– Mniej więcej zerowe. Jak już powiedziałam, mam nadzieję, że będę mogła szybko pójść do domu.

– Więc już idź.

Lily nie ruszyła się z miejsca i spoglądała na Duncana, który bezmyślnie błędził wzrokiem po jedzeniu.

– Naprawdę zajmujesz się sprawą morderstwa? – zapytała.

– Rafael od dawna jest naszym klientem. Zostawienie go na lodzie nie wyglądałoby najlepiej. Musimy dbać o PR.

Lily nie dała się na to nabrać.

– Bronimy mordercy dla PR-u? Nie sądziłam, że nasza firma ma aż tak marną reputację.

– PR jest jedynym powodem, dla którego zajmujemy się sprawami pro bono. Partnerzy są już zmęczeni słuchaniem o sprawie Karen Cleary.

– I myślą, że jeśli dołożą kilka spraw pro bono, pracowniczki zapomną o tym, że jesteśmy gnębione?

– Nawet nie lubiałaś Karen Cleary – powiedział Duncan. – Nie okazałaś cienia żalu, gdy nie została partnerem.

– Uważałam, że się do tego nie nadawała, ale to, że za nią nie przepadałam, nie miało z tym nic wspólnego. A teraz muszę się zajmować jej sprawą, ponieważ, czy chcę tego, czy nie, wpływa ona na moją karierę.

Z jednej strony są pewne plusy, bo teraz wszyscy partnerzy paranoicznie boją się oskarżeń o dyskryminację, a z drugiej to szkodzi, bo wszyscy partnerzy irytują się, że muszą na to zwracać uwagę.

– A czego się spodziewałaś? – zapytał Duncan.

– Racja. Niepodobna, żebym oczekiwała oceniania mnie na podstawie moich zalet lub z jakichkolwiek merytorycznych względów.

– To nie my ustalamy reguły – powiedział Duncan.

– A czasami nawet ich nie przestrzegamy – odparła Lily.

Po chwili wstała i zamknęła drzwi, co sprawiło, że Duncan poczuł zdenerwowanie.

– Posłuchaj, Dunk, chodzi mi o tamten wieczór.

– Nie nazywaj mnie Dunk.

– Wiem, wyżyłam się na tobie, przepraszam.

– W porządku – powiedział Duncan obojętnym głosem, bojąc się do tego wracać.

– To nie ty mnie rozzłościłaś. A ja nie mogę osądzać, jak sobie radzisz z tym, kim jesteś. Zwłaszcza w miejscu pracy.

Duncan się uśmiechnął.

– Robisz to, odkąd cię znam.

– Kiedy byliśmy razem, było inaczej. Wtedy była to przynajmniej w pewnym sensie moja sprawa. Gdybym utożsamiała się z białymi tak jak ty i gdybym nie musiała sobie radzić z tymi rasistowskimi bzdurami, to czybym się na ciebie wściekała? To nie w porządku oczekiwać, że będziesz komplikował sobie życie.

– Nie utożsamiam się z białymi bardziej niż jakikolwiek inny pieprzony Mulat – powiedział ostro Duncan. – To nie *Zwierciadło życia*.

– Nie wiedziałam... Cholera! Nie wiem, dlaczego tak to psuję. To dla mnie trudne, wiesz? Patrzę na ciebie i widzę kogoś, z kim byłam blisko, a nie faceta, który jest po prostu moim współpracownikiem.

– Wolałbym, żebyś umiała mnie postrzegać na wszelkie sposoby – odparł Duncan. – Zaczęliśmy się spotykać, wiedząc, że to może się kiedyś skończyć. Zawsze jest takie ryzyko.

– Ale wtedy dorzucasz kwestie rasowe i staje się to... To nie w porządku, że uważam cię za kogoś w rodzaju podwójnego agenta.

– Podwójnego agenta? – zapytał Duncan ze śmiechem, udając, że nie bardzo zrozumiał, co miała na myśli. Przez całe życie miał poczucie wykluczenia, w ten czy inny sposób, nawet jeśli nauczył się dość dobrze je ukrywać.

Lily popatrzyła na niego, nie pozostawiając mu wątpliwości, że przejrzała go na wylot.

– Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałeś? – zapytała, a wyraz jej twarzy przyprowadził Duncana o skurcz żołądka. – Pamiętasz tamten raz, kiedy się spóźniał... No wiesz... okres. Miałam niezłego stracha. A ty powiedziałeś, że nasze dziecko wyglądałoby jak przyszłość Ameryki. Było jasne, że raczej nie marzysz o jakimś szalonym trójrasowym mieszańcu. Ale miałam kolana jak z waty. Dzieciak... Byłam gotowa się pod tym podpisać.

Duncan czuł się skrępowany i spróbował zmienić temat.

– I wtedy powiedziałem, że włożę do kołyski „Golf Digest”, na wypadek gdyby się okazało, że bycie Tigerem Woodsem jest zapisane w genach każdego biało-żółto-czarnego dziecka – odparł.

Lily zignorowała ten zabieg.

– Mówię poważnie – powiedziała.

Duncan westchnął i potarł policzek. Nie rozumiał, dlaczego Lily chce do tego wracać.

– Pewnie, że pamiętam.

– Co pamiętasz? – naciskała Lily.

Zaszklily jej się oczy.

– Pamiętam, że myślałem głośno o ewentualnym dziecku. Pamiętam, jak wtedy na mnie spojrzałaś. Pamiętam to wszystko, okej? I pamiętam, że byliśmy blisko, bardzo blisko, ale nam nie wyszło. I wcale nie wiem dlaczego. Myślę, że ty też tego nie wiesz. I teraz jest, jak jest.

Lily przetarła oczy.

– Postąpiłam nieuczciwie, mówiąc, że nie rozumiesz mojego punktu widzenia. Ja niezupełnie rozumiem twój. Masz rację, było, minęło. Nie da się już nic z tym zrobić i przepraszam, że zachowywałam się tak, jakby było inaczej.

Duncan uśmiechnął się do niej, głównie z powodu ulgi, że potrafią w końcu rozmawiać o tym, nie wdając się w sprzeczkę.

– Doceniam twoje przeprosiny – powiedział.

Nugent nie dawał Candace zbyt wiele swobody. Nie wierzył, że uda jej się zebrać ciekawy materiał o prawniku Roth Properties reprezentującym nastolatka oskarżonego o popełnienie morderstwa. Wierzył jednak w instynkt Candace na tyle, by pozwolić jej przyjrzeć się sprawie.

Candace nie wiedziała dokładnie, czego szukać. Sprawa morderstwa nie miała dla niej wielkiego potencjału. Fowlera z Roth Properties łączyło tylko to, że w chwili śmierci pełnił służbę jako ochroniarz na ich budowie, a jedynym ogniwem pomiędzy oskarżonym a Rothem był prawnik – Duncan Riley.

Candace zbadała kancelarię Blake and Wolcott już wcześniej, po wniesieniu przeciwko niej pozwu o zniesławienie, i wciąż miała na komputerze folder z informacjami dotyczącymi tej firmy. Przejrzała zatem pliki, by sprawdzić, czy jakieś informacje nie nabrały nowego znaczenia w związku z zamordowaniem Fowlera.

Firma Blake and Wolcott powstała mniej więcej dekadę wcześniej i zatrudniała już prawie dwustu prawników – niewiele jak na dużą kancelarię, lecz niemało, jeśli wziąć pod uwagę jej staż na rynku. Niekwestionowaną gwiazdą w kancelarii był Steven Blake, były partner w firmie Davis Polk & Wardwell, jednej z największych firm prawniczych, której początki sięgały dziewiętnastego wieku. Blake był gwiazdą, bo w firmie brakowało dorównujących mu umiejętności prawników. Postanowił więc rozpocząć własną działalność. Zrezygnował z milionów, które zarabiał co roku jako główny prawnik procesowy Davisa Polka, i zapowiedział otwarcie małej kancelarii specjalizującej się w prawie procesowym. Jego nowa firma zaczęła odnosić sukcesy, co umocniło pozycję Blake'a jako jednego z najlepszych prawników procesowych w kraju i przyciągnęło do jego firmy dziesiątki adwokatów.

Lecz w ciągu ostatnich dwóch lat, po okresie dynamicznego rozwoju, słynnych wygranych i świetnej passy, firma wróciła na ziemię. Po części było to naturalnym następstwem błyskawicznego sukcesu kancelarii, w każdym razie jej blask nieco przygasł.

Przegląd historii firmy nie przyniósł Candace zbyt wielu użytecznych informacji. Było w niej kilka odnośników do Simona Rotha jako długoletniego klienta Blake'a; sam pozew o zniesławienie miał spory oddźwięk w prasie, lecz Candace nie dostrzegła niczego, co łączyłoby firmę

ze zmianami na osiedlu Jacob Riis. Postanowiła zatem przyjrzeć się konkretnej osobie: prawnikowi Duncanowi Rileyowi i wpisała jego nazwisko w Google. Pierwsze wyszukane informacje znajdowały się na stronie kancelarii: zamieszczono na niej krótką biografię zawodową i portretowe zdjęcie Duncana. Candace dowiedziała się, że tytuł licencjata otrzymał na Uniwersytecie Michigan, a dyplom prawnika na Harvardzie. Pracował jako urzędnik w biurze sędziego federalnego na Manhattanie, a jesienią 2001 roku rozpoczął pracę w działającej wtedy dopiero od kilku lat kancelarii Blake'a. Życiorys robił wrażenie, choć zapewne nieco różnił się od biografii większości współpracowników Blake'a i Wolcotta. Był dobrze zapowiadającym się pracownikiem firmy: miał na koncie wiele ważnych spraw. Candace słyszała o kilku z nich, w tym oczywiście o tej, w której była pozwana.

Przyjrzała się zdjęciu, które wykonane zostało w profesjonalnym studiu i przedstawiało Duncana w garniturze, uśmiechniętego i starającego się prezentować sympatycznie i kompetentnie. Miał dobrane do siebie krawat i koszulę w odcieniach jasnego błękitu. Uśmiechał się nieśmiało, a może ironicznie, jakby świadom tego, że przedstawia się jako prawnik zatrudniony w jednej z najlepszych kancelarii w kraju. Candace dostrzegła w jego twarzy coś, czego nie umiała wytłumaczyć: ciemnozielone oczy nie pasowały do śniadej cery. Miał ciemne, dość krótko przystrzyżone włosy. Candace nie potrafiła odgadnąć jego pochodzenia – pomyślała, że może mieć korzenie w którymś z krajów śródziemnomorskich albo jest Żydem, a może jasnoskórym Latynosem. Nazwisko nie pasowało jednak do żadnego z tych przypuszczeń.

Przyznała z niechęcią, że Duncan jest całkiem atrakcyjny. Musiała także przyznać, że podczas przesłuchania zrećnie ją odpytywał, uważnie słuchał odpowiedzi, wychwytyjąc uniki i dwuznaczności, grzecznie, lecz wytrwale wywierał na nią presję. Doceniła jego umiejętności, ale następnym razem to ona będzie zadawać pytania.

Głosowanie nad mianowaniem Duncana na współnika zbliżało się wielkimi krokami i wydawało się, przynajmniej niewtajemniczonym, że ma on sporą szansę na wejście do spółki. Udział w sprawie Rafaela Nazario był więc tym bardziej zaskakujący. Candace zalogowała się w bazie nowojorskich sądów i przystąpiła do wyszukiwania spraw, w których występował Duncan.

Odkryła, że dwa miesiące przed oskarżeniem Rafaela Nazario o zabicie Seana Fowlera miejski Wydział Spraw Mieszkaniowych wszczął

postępowanie eksmisyjne przeciwko chłopakowi oraz kobiecie, która, jak zgadywała Candace, musi być jego matką. W bazie danych dostępny był tylko jeden dokument elektroniczny: opinia sądu pierwszej instancji wydana na tydzień przed morderstwem. Candace zapisała PDF.

Ku jej zaskoczeniu sąd uznał wniosek o oddalenie pozwu. Powodem był jakiś wyjątkowy szczegół bez uszczerbku dla sprawy, co – według Candace jako córki prawnika – oznaczało, iż miasto będzie miało prawo do ponownego złożenia pozwu. Wciąż jednak wyglądało to na dobrą sytuację dla obrony.

Dlaczego więc, do cholery, Nazario zastrzelił ochroniarza tydzień później?

Internet nie zamierzał udzielić odpowiedzi na to pytanie, zatem Candace zwróciła uwagę na to, co w tym czasie działo się na osiedlu Jacob Riis. Wyświetliła wszystkie opublikowane przez jej gazetę artykuły poświęcone przebudowie, której plany ogłoszono kilka lat wcześniej. Pomysł polegał na wyburzeniu całej starej zabudowy, na którą – podobnie jak w przypadku innych osiedli komunalnych w Nowym Jorku – składały się niszczące wieżowce i podwórka będące swoistymi strefami wojny, i zastąpieniu ich budynkami dla rodzin o zróżnicowanych dochodach. W domach tych miałyby się znajdować dotowane mieszkania dla rodzin robotniczych oraz dorównujące im mniej więcej liczbą apartamenty przeznaczone na sprzedaż. Chciano w ten sposób położyć kres izolacji osiedli, a tym samym zwiększyć bezpieczeństwo w ich obrębie oraz doprowadzić do lepszego zintegrowania ich mieszkańców z bogatszym otoczeniem. Pomysł ten wypróbowano z pewnym powodzeniem w innych miastach, a entuzjaści tego planu – od Simona Rotha po burmistrza – bezustannie deklarowali, że sprawdzi się on szczególnie dobrze w Nowym Jorku.

Candace dobrze ich rozumiała: życie bogaczy i biedaków kontrastowało tu tak bardzo, jak w żadnym innym mieście w kraju. W Nowym Jorku istniały dzielnice zdominowane przez poszczególne grupy: okolice Park Avenue były dla zamożnych, wschodnia część Brooklynu – dla biednych. Czasem wystarczyło przejść kilka przecznic, by przenieść się ze świata obfitości do świata zdewastowanego przez ubóstwo i z powrotem. W ostatnich latach w całych dzielnicach nastąpiły zmiany, gdyż Nowy Jork dzięki dotacjom stał się o wiele bezpieczniejszy: dzielnica East Village, zapamiętana przez nastoletnią Candace jako pełna squatów, narkotyków i anarchistów, wydawała się tylko złym snem wobec tego, czym była obecnie.

Czy istniało zatem lepsze miejsce na eksperyment z budownictwem komunalnym niż osiedle Jacob Riis? Ciągnęło się ono od Trzynastej do Szóstej Ulicy, pomiędzy Avenue D a FDR Drive. Zbudowano je niedługo po drugiej wojnie światowej, początkowo z myślą o weteranach wojennych, którzy nie mogli sobie pozwolić na zakup mieszkania. Alphabet City było wtedy zamieszkiwane głównie przez białe grupy etniczne – Żydów i Włochów, robotników i ludzi o raczej zaściankowym sposobie myślenia, tworzących mimo to jedną społeczność. W latach siedemdziesiątych w dzielnicy tej nastąpiły jednak zmiany: East Village opanowane zostało przez niebezpieczną bohemę, a osiedla zamieszkane w tym czasie niemal wyłącznie przez Afroamerykanów i Latynosów stawały się coraz bardziej odizolowane.

Nadeszły lata dziewięćdziesiąte i dla Nowego Jorku rozpoczął się okres dobrobytu, tak nieprawdopodobny i długi, że dało się to zauważyć nawet w East Village: na jego ulicach, niegdyś pełnych narkomanów i bezdomnych, pojawiły się aktorki występujące w filmach niezależnych wytwórni oraz żądni przygód yuppies. East Village zaczęło przeobrażać się w nowojorską wersję Dzielnicy Francuskiej, zasiedlonej nie tyle przez prawdziwą bohemę, co przez jej atrapę rodem z parku rozrywki. Pędowi pozornej modernizacji oparła się tylko Avenue D, przy której nadal rozciągały się osiedla zajmujące całą wschodnią stronę ulicy przyległą do zatoki.

Ci, którzy mieli pieniądze i postanowili zamieszkać w East Village, prawdopodobnie czynili to głównie dla dreszczyku związanego z opinią East Village jako dzielnicy wyjętej spod prawa. Nawet ci, którym powodziło się całkiem nieźle, osiedlali się obok lokatorów mieszkań komunalnych, zwłaszcza gdy mogli kupić lokal po okazyjnej cenie. Pogoń za nieruchomościami na Manhattanie popychała przecież ludzi do jeszcze bardziej ekstremalnych wyczynów.

Mimo wielkiej skali projektu przebudowy osiedla Jacob Riis – zakładał on wybudowanie ponad tysiąca siedmiuset mieszkań – był on niczym w porównaniu z tym, co zakładano w odleglejszych planach. Gdyby udało się je pomyślnie zrealizować, miasto mogłoby przystąpić do przebudowy kolejnych osiedli, poczynając od tych przylegających do Jacob Riis od południa. Osiedla na wschodnim brzegu dolnego Manhattanu ciągnęły się wzdłuż East River od Trzynastej Ulicy aż po Delancey. Gdyby miasto było w stanie przebudować je wszystkie, miałoby to poważny wpływ na sytuację w całej Lower East Side, nie mówiąc już o możliwości przeprowadzenia

podobnych przekształceń w innych częściach miasta.

Jak można się było spodziewać, wśród artykułów poświęconych planom przebudowy osiedli nie zabrakło też takich, które wyrażały głosy sprzeciwu. Opozycji przewodziła osiedlowa organizacja zwana Koalicją Społeczności Alphabet City (ACCC), kierowana przez lokalną działaczkę Keiszę Dewberry. Candace nie mogła wywnioskować, jaki pozytywny program prezentowało to ugrupowanie, z artykułów wynikało natomiast jasno, czemu się ono sprzeciwiało: bogatym białym deweloperom, japiszonom, gentryfikacji i wysiedlaniu dotychczasowych mieszkańców z osiedli. Dewberry zadawała także oczywiste pytanie: jak mieszkańcy ci mieliby wrócić do swoich osiedli po przebudowie, skoro zaplanowano przyznanie im tylko jednej trzeciej mieszkań w nowych budynkach?

Candace weszła na stronę internetową sekretarza stanu i skopiowała wszystkie dostępne publicznie dane dotyczące ACCC. Koalicja, jako organizacja non profit, miała obowiązek udostępniania władzom stanowym szeregu dokumentów, które dostępne były online. Candace wydrukowała zeznanie podatkowe ACCC, zawierające informacje o jej władzach, zarządzie oraz głównych źródłach finansowania.

Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, iż zdecydowana większość funduszy ACCC pochodzi od miasta, a zwłaszcza z Wydziału Spraw Mieszkaniowych, który przekazał jej dotację w wysokości pół miliona dolarów. Dlaczego miasto wręczyło taką kwotę organizacji, której jedynym celem był sprzeciw wobec jego własnej inicjatywy?

Candace musiała z kimś to skonsultować. Pomyślała o Benie Cutlerze, swym wkrótce już byłym mężu i wykładowcy urbanistyki. Kilka wieczorów wcześniej Ben zostawił jej wiadomość, więc i tak powinna do niego zadzwonić. Postanowiła, że spróbuje, i wybrała swój stary numer domowy.

Ben ucieszył się, słysząc jej głos.

– Dzwoniłem w związku z urodzinami twojej matki – powiedział. – Zamierzałem wysłać jej liścik, ale nie wiedziałem, czy nie pomyślisz, że to jakieś dziwactwo.

– Jestem pewna, że się ucieszy – odparła z roztargnieniem, wpadając w panikę na myśl, że prawie przegapiła urodziny własnej matki.

Nie zamierzała mu tego mówić, ale to, że Ben chciał napisać do jej mamy, rzeczywiście było dziwne. Jej matka z pewnością jednak odebrałaby to inaczej, zawsze lubiła Bena. Z pewnością trzymała również kciuki za odwołanie rozwodu. Candace zastanawiała się, czy utrzymując kontakt z jej rodziną, Ben nie kieruje się ukrytymi motywami, czy nie konspiruje i nie

usiłuje doprowadzić do zjednoczenia sił, by ją odzyskać. Lecz w to właściwie nie wierzyła: nie był to sposób, w jaki działał Ben; brakowało mu przebiegłości i umiejętności skrytego działania, być może ze szkodą dla niego lub co najmniej ich małżeństwa.

– Nie próbuję, no wiesz... Wcale nie myślę, że to cokolwiek znaczy – powiedział Ben, czytając w jej myślach i przypominając jej w kłopotliwy sposób, jak dobrze ją zna. – W zeszłym miesiącu przysłała mi mail z życzeniami urodzinowymi.

Candace skrzywiła się i mocno zacisnęła powieki. Sama z rozmysłem zignorowała urodziny Bena. Zdziwiła się też, dlaczego matka jej o tym nie wspomniała.

– Mama zawsze cię lubiła – powiedziała, wciąż nie otwierając oczu. – Wiesz o tym. Byłeś dla niej kolejnym członkiem rodziny.

– Ale to nie ona wybiera, prawda?

– Ben...

– Wiem, ja tylko... A tak w ogóle, jak się miewasz?

– Dobrze – odpowiedziała Candace. – Jestem zapracowana, jak zwykle. Właśnie próbuję się do czegoś dogrzebać. Czy wiesz coś o przebudowie osiedla w East Village?

– Pewnie – odparł Ben pogodniejszym głosem.

Candace nigdy nie potrafiła zrozumieć, które z aspektów świata otaczającego Bena wydawały mu się godne uwagi. Ignorował on rozległe sfery życia, dysponując zarazem głębokimi pokładami wiedzy o wszystkim, co budziło jego zainteresowanie. Jego praca miała o wiele bardziej abstrakcyjny i teoretyczny charakter niż coś tak praktycznego, jak przebudowa osiedla mieszkaniowego.

– To strasznie zabawne – kontynuował Ben. – Nazwać osiedle bloków mieszkalnych imieniem legendarnego miejskiego kronikarza dokumentującego całe zło życia w domach czynszowych. Nie można celniej olać misji, której poświęcił całe życie.

– Słyszałeś o morderstwie, które tam popełniono?

– Tego jakoś nie kojarzę. Badasz sprawę morderstwa?

– Niezupełnie – odpowiedziała Candace. – Ale naprowadziło mnie ono na sytuację w Riis. Wiesz, że mają tam zamieszkać rodziny o zróżnicowanych dochodach?

– Już najwyższa pora. To żenujące, że Nowy Jork jest pod tym względem tak zapóźniony. Skoro Atlanta ma takie osiedla, to dlaczego nie my?

– Nawet wybudowane przez prywatnego dewelopera?

– Kto chce, by Wydział Spraw Mieszkaniowych wystawiał na sprzedaż mieszkania po cenach wolnorynkowych? Masz ochotę płacić trzy tysiące miesięcznie za to, co oni budują? Zatrudnienie prywatnych deweloperów to zło konieczne.

– I czerpanie zysku z budownictwa komunalnego – powiedziała Candace sceptycznym tonem. – Naprawdę pozwalają wam na takie poglądy na waszym wydziale?

– Użyłem słowa „zło” – zreplikował Ben. – Ostrożności nigdy za wiele. A skoro o tym mówisz, to mieszanie ze sobą ludzi z różnych klas społecznych i odkrywanie przed nimi, którzy mieszkają w lokalach komunalnych innych stron życia, to bardzo podstawowa idea. Jest o niebo bardziej postępową niż tłoczenie biedaków w gigantycznych budynkach odgradzonych murem od reszty miasta.

Candace zaczęła tracić zainteresowanie debatą o całościowym obrazie zmian w Jacob Riis.

– Tak czy owak – powiedziała – próbowałam się dowiedzieć, co się tam dzieje, i trafiłam na coś, czego nie rozumiem. W dzielnicy działa opozycyjna grupa, znana jako Koalicja Społeczności Alphabet City, roszcząca sobie prawo do reprezentowania interesów obecnych lokatorów Riis. Pogrzebałam w jej finansach i zauważyłam, że utrzymuje się z dotacji od miasta, a zwłaszcza od Wydziału Spraw Mieszkaniowych. Miasto popiera budowę nowego osiedla, zgadza się?

– Oczywiście. Burmistrz przeprowadził kampanię na rzecz tej idei.

– A jeśli podoba się to miastu, to czy nie powinno też podobać także wydziałowi? Dlaczego więc, do cholery, finansują działalność opozycji?

– Jak dla mnie zanadto się czepiasz.

– Czy znasz kogoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać?

Pytanie to zostało skwitowane wymowną ciszą.

– Jesteś w pracy? – zapytał Ben oschłym tonem.

Candace zawahała się. Zdała sobie sprawę, że sprawiła mu zawód.

– Po prostu oddzwaniam.

– Po dwóch dniach, i to z pracy, gdy potrzebujesz informacji – powiedział, nie tyle zły, co rozczarowany.

– Zamierzałam do ciebie oddzwonić, gdy tylko będę miała wolną chwilę – zaprotestowała Candace.

– Aha... W każdym razie... Tak, znam kogoś takiego. To Forrest Garber. Nie pamiętam dokładnie, jakie zajmuje stanowisko, ale to facet od polityki publicznej. Byliśmy razem w kilku komisjach. Dowiem się, czy mógłby

z tobą pomówić.

– Byłoby rewelacyjnie – powiedziała Candace.

Postanowiła zmienić temat.

– Jak ci idzie z książką? – zapytała.

– Nie zaczynaj, Cukiereczku – odpowiedział Ben.

Pracował od blisko pięciu lat nad opracowaniem swojej pracy doktorskiej. Pomimo dziesiątek rozmów Candace nigdy nie zrozumiała do końca jej tematyki: pomieszania wątków z historii Nowego Jorku z zawiłymi teoriami urbanistycznymi i semiotyką. Wszystko to brzmiało dla Candace jak kompletny sylabus Uniwersytetu Browna wrzucony do miksera. Powiedziała to kiedyś Benowi. Zbyttno go to nie rozbawiło.

– Myślę, że już nie powinieneś mnie tak nazywać – odparła Candace, starając się nadać swemu głosowi łagodne brzmienie. Musiała mu to powiedzieć, ponieważ nie znosiła tych jego nagłych przyływów czułości.

– Pewnie, że mogę – stwierdził Ben ze smutkiem. – Jeszcze przez sześć tygodni.

Obiecał, że się odezwie, gdy tylko skontaktuje się z Garberem, i pożegnali się. Powodem, dla którego Candace zatelefonowała do Bena z biura, była myśl, że dzięki temu rozmowa z nim sprawi jej mniej bólu. Tak się jednak nie stało, bo gdy się rozłączyli, poczuła, jak ogarnia ją znajomy smutek. Czowała się przede wszystkim winna tego, że zadzwoniła do Bena, poszukując informacji i wykorzystując go jako jeszcze jedno z jej źródeł.

Spróbowała się z tego otrząsnąć, by móc wrócić do sprawy osiedla Jacob Riis. Wciąż nie rozumiała sensu inwestycji Simona Rotha. Zbił przecież fortunę na luksusowych budynkach z najwyższej półki i jego zaangażowanie w budownictwo komunalne groziło osłabieniem marki. Candace pomyślała jednak, że może chodzić o skalę przedsięwzięcia: nowojorskim deweloperom rzadko zdarzało się mieć do wpływ na tak rozległy kawał miasta. A może Roth postrzegał to jako misję, jak mówił podczas spotkań z prasą, i chciał pod koniec kariery uczynić coś, co pozwoliłoby ludziom zapomnieć o jego wcześniejszej zachłanności?

Gdy zakończyła wstępne poszukiwania, było już po dziewiątej. Wszyscy inni reporterzy, których nie goniły ostateczne terminy, dawno poszli do domu. Siedząc na dupie w pokoju redakcji informacyjnej, Candace uzyskała jednak to, czego naprawdę chciała. Poznała kontekst, teraz musiała wyruszyć w teren – porozmawiać z mieszkańcami osiedla Jacob Riis oraz z kimś z władz miasta.

Candace lubiła wieczory w redakcji, pełne energii, z jaką podejmowano

ostateczne decyzje, i szarpaniny przed zamknięciem kolejnego numeru gazety. Nigdy nie spieszyła się z powrotem do swojego pustego jednopokojowego mieszkania na brooklińskim Boerum Hill. Mimo że po rozstaniu z Benem poczuła się wolna, teraz dokuczała jej samotność. Brakowało jej podstawowego poczucia, że ma do kogo wracać do domu.

Jak poszło Prestonowi? – zapytał Duncana Blake.

Znajdowali się w gabinecie Blake’a. Duncan spędził poprzedni dzień w sali konferencyjnej firmy, biorąc udział w przesłuchaniu Prestona Thomasa, dyrektora finansowego Roth Properties.

– Bardzo dobrze – odpowiedział.

– Czego szukali? – zapytał Blake.

– Zadawali mnóstwo pytań o strukturę umowy z wykonawcą i prowizję od gwarantowanej ceny maksymalnej w kontrakcie koszty plus marża. Przypuszczali chyba, że obniżając wydatki, Roth motywował Omni Construction do cięcia kosztów.

– W zasadzie jest to logiczne, nieprawdaż? – zapytał Blake, grając adwokata diabła.

– Pewnie. Ale obcięte kontrakty typu koszty plus marża należą do najczęstszych umów pomiędzy deweloperami a wykonawcami generalnymi. To nie Roth je wymyślił. Jeśli tylko sędzia to zauważy, to nie sądzę, by cokolwiek wskórali.

– Czy Preston zrobił dobre wrażenie?

– Był świetny – odpowiedział Duncan. – Zupełnie niewzruszony.

Blake skinął głową.

– Co nowego wiadomo w sprawie twojego gościa oskarżonego o morderstwo?

Zmiana toku myślenia zajęła mu chwilę, mimo że był na to przygotowany i chciał omówić z Blakiem i tę sprawę.

– Rozmawiałem z jego znajomymi, by móc go przedstawić prokuratorowi okręgowemu w korzystnym świetle. Wszyscy mówią to samo: że ich zdaniem to niemożliwe, by Rafael kogokolwiek zastrzelił.

Blake machnął ręką z lekceważeniem.

– To nie jest istotne.

– Jest, jeśli tego nie zrobił – zripostował Duncan i uśmiechnął się, by rozładować atmosferę.

– Mówią, że tego nie zrobił. A mogą mu zapewnić alibi? – zapytał Blake, biorąc Duncana w krzyżowy ogień pytań, co było oczywistą oznaką jego sceptycznego nastawienia.

– Nie.

– Więc co? Mają przecucie? Wiedzą, że nie byłby do tego zdolny?

Przecież to bzdury.

Duncan nie rozumiał, skąd u Blake'a tak negatywne nastawienie.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć, Steven – powiedział. – Ale zdążyłem już trochę poznać Rafaela i naprawdę nie wierzę, że jest winny.

– Z taką wiarą spokojnie możesz zacząć grać na loterii – odrzekł Black. – Znalazłeś jakieś luki w materiale dowodowym prokuratora okręgowego?

– Mają dwa punkty zaczepienia. Pierwszy to rozpoznanie domniemanego sprawcy, to nasz główny problem, ale istnieje wiele sposobów na podważenie tego dowodu. Jeden świadek, wieczór, duża odległość i tak dalej. Równie dobrze mogła to być pomyłka, z pewnością nie jest to koronny dowód. Drugi punkt to wyniki badań, które wykazały pozostałości prochu na ubraniu Rafaela. Chciałbym, żeby przejrzał je ktoś, kto ma do tego odpowiednie przygotowanie, i stwierdził, czy nie ma tu słabych punktów.

– A ty co, stałeś się nagle drugą Nancy Drew? – zapytał Blake.

Duncana dziwiło poirytowanie Blake'a. Przecież dochowywał tylko należytej staranności, co było automatyczne w pracy nad każdą sprawą.

– Posłuchaj – powiedział Blake. – Doskonale to rozumiem. To niezła zabawa: policjanci i złodzieje. Plus to, w co chcesz wierzyć: ludzka dobroć. Chcę, żebyś trzymał rękę na pulsie i koncentrował się na pracy.

– Chcesz, abym się skupił na wynegocjowaniu jak najkorzystniejszego wyroku. Jeśli obalimy kawał materiału dowodowego, to nic tak skutecznie nie zmusi prokuratora okręgowego do przedstawienia nam korzystnej oferty. Nawet najkorzystniejsza opinia o Rafaelu.

Blake zmrużył lekko oczy; zwykle oznaczało to, że przyznawał punkt adwersarzowi. Po chwili uprzejmie skinął głową.

– Powiedzmy więc, że porozmawiasz z kimś o badaniach pozostałości po wystrzałach. Pójdiesz z tym do prokuratury okręgowej, zobaczysz, jakie karty wyłożą na stół, i oszczędzisz wszystkim kłopotów związanych z procesem. Jak to się będzie miało do naszego planu?

Duncan szybko skinął głową, czując równocześnie zadowolenie i ulgę.

– Myślę, że to dobry kierunek. Pozwoli nam to wzbudzić niezbędne wątpliwości, co zawsze jest dobrym punktem wyjścia do negocjacji.

– Dobrze więc – powiedział Blake. – Możesz zatrudnić eksperta, który zbada sprawę prochu. Nie powinno mu to zająć więcej niż kilka godzin. Pamiętaj jednak, że prokuratura ma jeszcze świadka i motyw, a ty nie próbujesz wygrać meczu, tylko poprawić wynik.

– Zrozumiałem.

– Chcę także, abyś się skoncentrował na wszystkim, co dotyczy postępowania przedprocesowego w sprawie Rotha. To jeden wielki burdel, a ty musisz mieć nad tym wszystkim kontrolę.

– Mam – powiedział Duncan. – A skoro o tym mowa, to Lea Roth zaprosiła mnie na przyjęcie urodzinowe swojego ojca.

Blake uniósł brwi.

– Próbujesz podebrać mi klienta?

Duncan zaśmiał się sztucznie. Nie zamierzał poruszyć tematu przyjęcia u Rotha podczas rozmowy z szefem, ale chyba dobrze się stało, że to uczynił.

– Chce, abyśmy zostali sprzymierzeńcami – powiedział.

Blake pochylił się lekko. Był poważny.

– Lea prawdopodobnie poprowadzi firmę po przejściu Simona na emeryturę. Byłoby dobrze, gdybyś znalazł w niej sprzymierzeńca. Ale pamiętaj, że to nie jest rodzina królewska, a my jesteśmy zaledwie ich kamerdynerami.

Lily zapukała w otwarte drzwi i weszła do biura Blake'a. Za niecałą godzinę cała trójka miała się pojawić na spotkaniu w biurze prokuratora okręgowego, by zawrzeć porozumienie w sprawie ograniczenia liczby dokumentów, które miała udostępnić firma Roth Properties.

– Nie zapomnę, gdzie jest moje miejsce – powiedział Duncan do Blake'a, gdy Lily usiadła.

– Ci, którzy o nim zapominają, często mają trudności z jego ponownym odnalezieniem – odparł Blake.

Desmond Sullivan, zastępca prokuratora okręgowego prowadzący dochodzenie w sprawie Aurora Tower, spotkał się z Blakiem, Duncanem i Lily w sali konferencyjnej biura prokuratury okręgowej w Hogan Place. Fasada w stylu art déco budynku oddalonego o kilka kroków od głównego gmachu sądu karnego przy Centre Street była obecnie zasłonięta z prac remontowych.

Sullivan pełnił funkcję szefa biura do spraw walki z przestępczością zorganizowaną. Z powodu jej długotrwałych kontaktów z nowojorskim przemysłem budowlanym biuro to zajmowało się także wszystkimi dochodzeniami związanymi z wypadkami na budowach. Sullivan był pięćdziesięcioletnim o krótko przyciętych siwych włosach i przenikliwych niebieskich oczach, skazanym najwyraźniej na dożywocie u boku prokuratora okręgowego. Po przedstawieniu się, uściskach dłoni i rezygnacji przez gości z kawy, którą zaproponował im Sullivan, cała

czwórka zasiadła do rozmowy.

Blake zaczął od wręczenia Sullivanowi białej księgi, którą zrewidował po przygotowaniu przez Duncana i Lily jej wstępnej wersji. Licząca ponad pięćdziesiąt gęsto zapisanych stronic, zawierała argumenty przemawiające za udzieleniem przez prokuratora okręgowego zgody na ograniczenie liczby dokumentów, których przedstawienia zażądano od strony pozwanej, lub zwolnieniem jej z tego obowiązku. Przygotowanie tego dokumentu wymagało wielu godzin pracy. Duncan wątpił jednak, czy ktokolwiek w prokuraturze okręgowej zada sobie trud zapoznania się z jego treścią.

– Jak pan wie – zaczął Blake – firma Roth Properties dostarczyła już do pańskiego biura ponad sto tysięcy stron dokumentacji. Kosztowało ją to z grubsza ćwierć miliona dolarów. Stworzyliśmy co najmniej po kilka dokumentów dotyczących każdej z kategorii wezwania, a dostarczenie wszystkich kosztowałoby firmę kolejne pół miliona. Jesteśmy przekonani, że firma Roth Properties okazała dobrą wolę, a jej dokumentacja nie ma żadnej wartości w sprawie, którą pan prowadzi. Firma Roth jest tylko deweloperem i nie ma związku z dyskusjami lub decyzjami dotyczącymi kwestii bezpieczeństwa.

– Rozumiem pańskie stanowisko – powiedział Sullivan.

Duncan był zaskoczony łagodnością zastępcy prokuratora okręgowego; spodziewał się, że biurem zajmującym się przestępczością zorganizowaną kieruje ktoś bardziej przebojowy.

– Jak pan się zapewne domyśla – kontynuował Sullivan – jesteśmy jeszcze na dość wczesnym etapie przeglądania dokumentacji dostarczonej nam przez pańskiego klienta. Nie mam do dyspozycji armii współpracowników, którzy mogliby się tym zająć.

– Oczywiście – odpowiedział Blake. – Nasza biała księga podsumowuje to, co sprawdziliśmy do tej pory. Nic, co panu przekazaliśmy, nie jest istotne dla badanej przez pana sprawy.

– Skąd pan wie, co dokładnie badamy? – zapytał Sullivan.

Jego głos wciąż brzmiał neutralnie. Zaskoczony Blake zamilkł na chwilę.

– Założyłem, że jedynym celem dochodzenia jest stwierdzenie, czy doszło do niezamierzonych albo celowych zaniedbań związanych z techniką budowy lub względami bezpieczeństwa – odpowiedział. – Czy dochodzenie wykracza poza te kwestie?

– Wie pan, co udało mi się przejrzeć? Faktury – powiedział Sullivan tonem tak swobodnym, jakby opowiadał anegdotę podczas przyjęcia. – Wielka budowa z pewnością nie może się obejść bez mnóstwa faktur.

Zauważyłem jednak, że wiążącego betonu nie zabezpieczono podparciem pomocniczym, za które firma Pellettieri wystawiła rachunek, mimo że nie wykonała tej konstrukcji. W rzeczywistości znajdujemy całą masę rzeczy, za które firma ta pobrała opłaty, choć, jak się wydaje, nie wywiązała się z określonych zadań.

– Twierdzi pan, że Pellettieri okradał mojego klienta? – zapytał Blake.

Sullivan odpowiedział czymś pomiędzy wzruszeniem ramion a skinięciem głową.

– Nie mamy jeszcze ostatecznych liczb – odparł. – Ale wygląda to na manipulację wartą co najmniej trzy miliony dolarów w przeliczeniu na roboczogodziny i materiały, które zamawiano i na które wystawiano rachunki, lecz których nigdy nie dostarczono.

Blake szybko spojrział na Lily, której mina wskazywała na równie wielkie zaskoczenie. Duncan, obok Lily, lekko pokręcił głową, lecz Blake nie popatrzył w jego kierunku.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział. – Ale nie widzę przyczyny, dla której dokumentacja firmy Roth miałaby istotne znaczenie.

– Prawdopodobnie będziemy mogli dojść do porozumienia w sprawie niewielkiego ograniczenia zakresu informacji wymaganych przez prokuraturę – rzekł Sullivan. – Z pewnością jednak będziemy potrzebować wszystkich dokumentów finansowych oraz dotyczących komunikacji między Roth a kimkolwiek z Pellettieriego. Skoro nie wykonano prac, za które płacono, to dokąd trafiły pieniądze?

Blake zaczekał, aż dwójka jego współpracowników zajmie miejsca na tylnym siedzeniu taksówki.

– Dlaczego, do cholery, o tym nie wiedzieliśmy? – zapytał.

Lily siedziała pośrodku, między Duncanem i Blakiem, zasłaniając Duncanowi szefa.

– Nie byliśmy w stanie wywnioskować tego na podstawie dokumentacji Rotha – odpowiedziała. – Nie mieliśmy przecież papierów Pellettieriego. Nie można stwierdzić na podstawie opłaconej faktury, że praca nie została wykonana.

Blake wydawał się przynajmniej częściowo udobruchany.

– Wygląda na to, że Sullivan szykuje oskarżenie dotyczące przestępczości zorganizowanej w starym stylu – stwierdził. – Czy parę lat temu ta firma nie miała podobnych problemów?

Duncan skinął głową.

– Brat Pellettieriego został oskarżony o nielegalną działalność i trafił do

więzienia – odpowiedział. – Dwadzieścia lat temu większość dostawców betonu w tym mieście była zamieszana w ciemne interesy, ale od tamtej pory wniesiono przeciwko nim wiele aktów oskarżenia.

– Przypuszczam, że dobrą wiadomością dla mojego klienta będzie przynajmniej to, że Pellettieri jest mu winien sporo pieniędzy – powiedział Blake. – Będzie zaskoczony, gdy zadzwonię i poinformuję, że przez dłuższy czas go okradano.

Lea przybyła godzinę przed zaplanowanym rozpoczęciem przyjęcia z okazji siedemdziesiątych urodzin jej ojca. Zawsze gdy wracała do domu, w którym spędziła dzieciństwo – trzypiętrowego budynku na Wschodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, między alejami Madison i Park – sprawiał dla niej wrażenie opustoszałego, lecz tego wieczoru tętnił życiem, pełen pracowników firmy cateringowej zajętych przygotowaniami.

Ignorując cały ten zgiełk, Lea zaczęła szukać ojca. Miała na sobie sukienkę bez pleców. Wolała stroje biznesowe, dzięki którym nie wyróżniała się z tłumu, lecz doskonale wiedziała, że jej szczupła sylwetka świetnie wygląda w kreacjach wieczorowych.

W końcu znalazła ojca palącego cygaro w ogrodzie za domem. Wystroił się w koszulę i blezer, lecz nie miał krawata – była to jego wersja nieformalnego stroju, w którym zamierzał wystąpić.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, tatusiu – powiedziała Lea, całując go na powitanie.

– Gdzie jest twój brat? – zapytał Simon.

– Bóg raczy wiedzieć – odpowiedziała Lily. – Staram się go pilnować, co nie znaczy, że zawsze wiem, gdzie się podziewa.

– Burmistrz odwołał swój udział w przyjęciu – powiedział Simon z ponurą miną.

Lea zauważyła, że jej ojciec ma podły nastrój, co nie było dla niej niespodzianką. Zorganizował to przyjęcie pod presją namów, chociaż zawsze twierdził, że nie ma powodu, dla którego należałoby świętować urodziny po trzydziestce.

– Jestem pewna, że pojawi się kilka osób godnych uwagi – powiedziała Lea.

– Życie towarzyskie sprawiało mi przyjemność, gdy żyła twoja matka – powiedział Simon, spoglądając na miasto tak zdziwionym wzrokiem, jakby widział je pierwszy raz. – Była urodzoną gospodynią.

– Pamiętam – powiedziała Lea łagodnym tonem, spoglądając na ojca.

Podczas gdy większość mężczyzn w jego wieku i z jego pozycją miała już drugą, a nawet trzecią żonę – zwykle młodszą wersję poprzedniczki – Simon przeżył z matką Lei prawie ćwierć wieku, gdy rozłączyła ich jej śmierć z powodu nowotworu. Lea była wtedy w ostatniej klasie szkoły średniej. Mimo że w ciągu ostatniej dekady Simon wdał się w dość przypadkowy

związek, Lea dobrze wiedziała, że nawet nie pomyślał o powtórnym małżeństwie. Simon często bywał wyrachowany, a nawet brutalny wobec partnerów w interesach, ale jednocześnie potrafił być dobrym i wiernym mężem. Jako konserwatysta wierzył w instytucję małżeństwa i jej cywilizujące człowieka oddziaływanie. Nie krył też swego rozczarowania tym, iż żadne z jego dwojga ponadtrzydziestoletnich dzieci nie nosi jeszcze ślubnej obrączki.

Gdy zaczęli przybywać goście, Lea posłusznie zajęła miejsce u boku ojca, starając się odeprzeć smutną myśl, że pełni tym samym rolę swej matki. Simon, bez typowej dla niego zadziorności, był wyraźnie skrepowany rolą jowialnego gospodarza.

Jeremy pojawił się dopiero w trakcie przyjęcia. Lea natychmiast ruszyła w kierunku brata, a ten, widząc ją, uśmiechnął się niewyraźnie.

– Tata już się na ciebie wkurzył – powiedziała Lea. – Więc nawet nie pokazuj mu się urżnięty.

– Nie jestem urżnięty – odpowiedział Jeremy, usiłując przybrać obrażoną minę.

Lea nawet na niego nie spojrzała.

– Wiesz, to chyba dobry moment, byś wziął się w garść – powiedziała. – Wyciągnij może wnioski z ostatnich wydarzeń.

Jeremy udał, że potraktował to jak żart, i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale co byś wtedy robiła całymi dniami? – zapytał.

Lea nie zamierzała nawet droczyć się z bratem. Dostrzegła Duncana Rileya stojącego przy barze ze szklanką w dłoni. Wyglądał na samotnego i nieco zakłopotanego.

– Muszę z kimś porozmawiać – powiedziała.

Jeremy spojrzał na siostrę z ukosa.

– Słyszałem, że zaprosiłaś dziś kogoś na randkę. Cóż za odwaga!

Lea zignorowała te słowa. Ilekroć chodziło o mężczyzn, Jeremy dokuczał jej tak, jakby wciąż byli nastolatkami. Odkąd sięgała pamięcią, nigdy nie spotykała się z nikim, z kim jej brat mógłby mieć jakikolwiek temat do rozmowy.

– Trzymaj się z daleka od taty i staraj się nie popsuć nam wieczoru – powiedziała.

Duncan usiłował nie gapić się na mijających go ludzi. Czuł się tak samo, jak podczas pierwszego tygodnia w Harvardzie, gdy wędrował po kampusie raczej jak turysta niż student i wpatrywał się w bogato zdobione budynki, starając się pojąć, jak wielką gromadzą władzę i wpływy. Duncan

przyzwyczał się już do przebywania wśród bogaczy. Wielu partnerów w jego firmie zarabiało miliony dolarów rocznie. Teraz jednak miał do czynienia z zupełnie nowym poziomem: domyślił się, że posiadłość, w której się znalazł, musi być warta dziesiątki milionów, nawet jeśli nie brać pod uwagę kosztownych mebli i cennych dzieł sztuki wiszących na ścianach.

– Chyba nie bawi się pan najlepiej.

Duncan odwrócił się, słysząc głos Lei Roth. Wyglądała inaczej: miała rozpuszczone włosy i sukienkę na ramiączkach okrywającą jej smukłe ciało. Emanowała łagodnością i kobiecością, których Duncan wcześniej nie dostrzegł. Po raz pierwszy pozwolił sobie na myśl o pójściu z nią do łóżka. Spojrzawszy przez ramię Lei, Duncan dostrzegł Jeremy'ego Rotha z kwaśną miną.

– Tak naprawdę zastanawiam się, jak ukraść ten obraz – powiedział, wskazując głową późne dzieło Picassa wiszące na ścianie za barem.

– Jest wyposażony w instalację alarmową – powiedziała Lea. – Musiałby pan odciąć jej zasilanie albo poczekać na przerwę w dostawie prądu.

Duncan odwrócił głowę od obrazu, w który wcześniej wpatrywał się głównie dlatego, że nie wiedział, co ze sobą zrobić. Był to portret mężczyzny i kobiety; oboje mieli jasnoblękitną skórę, mężczyzna zaś trzymał miecz. Duncan pomyślał, że to nawiązanie do któregoś z dawnych mistrzów: muszkieter widziany przez filtr abstrakcji.

– Czy myśli pani, że ktoś by mnie zatrzymał, gdybym chwycił ten obraz i pobiegł w stronę drzwi?

– W tym pokoju jest co najmniej trzech ludzi noszących ukrytą broń.

Duncan roześmiał się, lecz Lea nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Mówi pani poważnie? – zapytał.

– Nie wiem, czy faktycznie strzeliliby do pana podczas próby ucieczki z obrazem – odpowiedziała Lea. – Jak pan zapewne wie, w Nowym Jorku obowiązują dość rygorystyczne przepisy dotyczące uzasadnionego użycia broni, ale nie mogę zareczyć, że by się do tego nie posunęli.

Duncan zrozumiał, że przyjęcie to ma zupełnie inny charakter niż te, do których się przyzwyczał. Nie spodziewał się bowiem obecności uzbrojonej ochrony.

– Czy istnieje jakaś szczególna przyczyna dla takich środków bezpieczeństwa?

– Taki zwyczaj.

Podszedł do nich ciemnoskóry mężczyzna zbliżający się do pięćdziesiątki, który pozdrowił Leę. Wysoki, mierzący prawie metr dziewięćdziesiąt,

w doskonale skrojonym garniturze, z ogoloną głową i przystrzyżoną kozią bródką. Duncan zauważył go wcześniej – był to jeden z kilku kolorowych obecnych na przyjęciu.

– Właśnie się zastanawiamy, czy Duncan zostałby postrzelony, gdyby zaczął uciekać do wyjścia z naszym Picassem. Darrylu, czy użyłbyś wówczas broni?

Mężczyzna odwrócił się do Duncana.

– Chce się pan o tym naprawdę przekonać czy tylko zastanawia się, ile kosztuje ten obraz?

– On mi się po prostu podoba – odpowiedział Duncan. – Chociaż widzę, że nie każdy jest w stanie go docenić.

– To właśnie prawnik, o którym opowiadałam ci kilka dni temu – powiedziała Lea.

Duncan nie rozumiał, co się dzieje, ale zauważył, że mężczyzna zeszywniał i popatrzył na niego ostrym wzrokiem. Zerknął pytająco na Leę. Odpowiedziała mu spojrzeniem i lekkim uśmiechem, którego nie zdołał rozszyfrować. Nie wiedząc, co robić, wyciągnął do mężczyzny rękę i przedstawił się.

Darryl spojrział na dłoń Duncana i odczekał chwilę, zanim ją uścisnął. Ta krótka zwłoka wystarczyła, by sytuacja stała się niezręczna.

– Czy nie uważa pan, że pańska praca pro bono nabrała teraz większego tempa? – zapytała Lea.

Duncan powiązał fakty: był to Darryl Loomis, właściciel firmy ochroniarskiej, dla której pracował Fowler. Poczł się niemile zaskoczony.

– Jak rozumiem, Blake już o tym z panią rozmawiał – zwrócił się do Lei.

– A ja z kolei rozmawiałam o tym z Darrylem.

Duncan ponownie spojrział na ponurego szefa ochrony.

– Jest mi przykro z powodu pana Fowlera – powiedział. – A także dlatego, że znajdujemy się po przeciwnych stronach tego sporu.

– Musi pan wykonywać swoją pracę – odparł Darryl.

– Doceniam pańskie zrozumienie.

Darryl uśmiechnął się złośliwie.

– Oczywiście Sean także tylko wykonywał swoje obowiązki – powiedział.
– Do samego końca.

Simon Roth beształ właśnie po cichu swego syna, gdy poczuł ciężką rękę na swoim ramieniu. Odwrócił się i spojrział w dół na uniesioną czerwoną twarz Sama Friedmana.

– Jesteś za mały na takie gesty, Sam – powiedział.

– Masz tupet – odparł Friedman.

– Dziękuję – odpowiedział Simon. – Ale o czym mówisz?

– O tym, że zapraszasz mnie na swoje przyjęcie urodzinowe, procesując się ze mną o sto pięćdziesiąt milionów dolarów.

Dorobiwszy się fortuny na nieruchomościach, Samuel Friedman kupił przed piętnastu laty „New York Journal”, gdy gazeta ta uchodziła jeszcze za łakomy kąsek. Friedman i Roth byli w tym samym wieku. Spotykali się kilka razy do roku na posiedzeniach zarządu, imprezach dobroczynnych i koktajlach. Byli do siebie zbyt podobni, by okazywać sobie więcej niż tylko obcesową serdeczność.

– Przecież wiesz, że to prawnicy wymyślili te liczby – powiedział Simon.

– I nie jest tak, że ta sprawa toczy się przeciw tobie.

– Pewnie, że przeciwko mnie – odparł Friedman. – A niby kogo uderza to po kieszeni?

– Twoją firmę ubezpieczeniową – odpowiedział Simon ze śmiechem. – W każdym razie jest mi miło, że nie powstrzymało cię to przed przybyciem na moje przyjęcie.

– Zjawiłem się, żeby ci powiedzieć, że jesteś cholernie bezczelny.

– Wszyscy po to przychodzą – powiedział Simon. – Ale zostają, bo zależy im na ciastkach z krabem.

– Mówię poważnie – powiedział Friedman. – Znamy się trzydzieści lat, a ty nawet nie dzwonicz, by poinformować mnie, że szczujesz mnie swoimi psami.

– A co byś wtedy zrobił? Artykuł już się ukazał. Poza tym myślałem, że nie ingerujesz w treść gazety.

– Bo nie ingeruję, ale moje wskazówki na pewno są brane pod uwagę. Wiesz, co się dzieje w branży gazetowej? W ostatnim kwartale „Journal” stracił dwanaście milionów dolarów. Cholera, tylko w ostatnim kwartale! Nasze przychody z reklam wyglądają na wykresie jak facet skaczący z urwiska. Rachunki od prawników są tej gazecie potrzebne tak samo, jak darmowe ogłoszenia w internecie wymyślone przez tego dupka Craiga.

– Nie kupiłeś chyba gazety, żeby się wzbogacić, Sam.

– Nie kupiłem jej też po to, żeby trwonić pieniądze. Nie możemy tego załatwić jak dżentelmeni?

Simon uśmiechnął się. Dostrzegł zbliżającego się Stevena Blake’a, który rozpoznawszy rozmówcę Simona, natychmiast odwrócił się na pięcie.

– Być może możemy – odpowiedział. – Ale nie tu. Moja żona surowo zabroniła mi załatwiania interesów podczas przyjęć w naszym domu.

– Twoja żona nie żyje, Simonie – powiedział Friedman łagodniejszym tonem.

– Ale ja wciąż przestrzegam jej zasad – odparł Roth.

Jeremy Roth, zastosowawszy się do polecenia przekazanego mu półgłosem przez ojca, poszukał Mattara Al-Falasięgo. Zastał go w ogrodzie. Ku swemu zdziwieniu dostrzegł, iż Mattar pali papierosa, trzymając szklaneczkę whiskey.

– Nie wiedziałem, że pijesz – palnął, zanim pomyślał, że uwaga dotycząca muzułmanina pijącego alkohol stanowiła pewien rodzaj *faux pas*.

– Nie piję w obecności ojca – odparł Mattar.

Mówił płynną, nieskazitelną angielszczyznę z akcentem Anglika należącego do klasy wyższej. Był wysoki i szczupły; miał krótko przystrzyżoną brodę, a jego ciemne zaczesane do przodu włosy nadawały mu chłopięcy wygląd, mimo że był młodszy od Jeremy'ego zaledwie o dwa lata.

– Choć wie, że piję od czasu do czasu – dodał.

– Ja też staram się powstrzymywać – powiedział Jeremy. – W obecności twojego ojca, ma się rozumieć, nie mojego.

Mattar uśmiechnął się i zaciągnął papierosem.

– Jak tamtego wieczoru w restauracji – rzekł Mattar. – Jestem pewien, że mój ojciec docenił ten gest. Może sprawiać wrażenie staroświeckiego, zwłaszcza w mieście takim jak to. Ale przypuszczam, że ojcowie zawsze wydają się swym synom staroświeccy.

– Dziś nie mógł być z nami? – zapytał Jeremy, usiłując skupić się na rozmowie.

– Musiał udać się z moim bratem do Waszyngtonu.

– W interesach?

– Uważamy, że mamy w waszym kraju także przyjaciół, nie tylko ludzi zainteresowanych prowadzeniem interesów z naszą rodziną.

– Oczywiście – powiedział Jeremy.

Uśmiechnął się do Mattara, zmartwiwszy się, że ponownie go uraził.

– Wielu z naszych przyjaciół mieszka, rzecz jasna, w stolicy.

– To zrozumiałe – odrzekł Jeremy, zastanawiając się, ilu amerykańskich polityków siedzi w kieszeni tej bliskowschodniej rodziny.

– Lecz mojemu ojcu zależało, bym został w Nowym Jorku i mógł się tu dziś zjawić.

– Tylko dlatego? Na pewno nasze przyjęcie nie jest tak ważne...

Mattar łyknął whiskey.

– Urodziny są ważne – powiedział. – Siedemdziesiąt lat to kamień milowy, nieprawdaż? Mój ojciec jest przekonany, że ktoś z naszej rodziny powinien być obecny.

– To miło z waszej strony – powiedział Jeremy, uznając całą rzecz za nieco śmieszną.

Na przyjęcie przybyło dwieście osób, byłoby więc trudno zauważyć brak jednego z gości. Z drugiej jednak strony ojciec Jeremy'ego należał do ludzi, którzy zadręczają się myślą o nieobecnych, ignorując przybyłych, może więc Mattar miał rację?

– Ty na kolacji uszanowałeś nasz zwyczaj, więc moja rodzina chce odwdziżyć się tym samym – powiedział Mattar. – Interesom musi towarzyszyć szacunek.

– Zupełnie jakbym słyszał swojego ojca – odrzekł Jeremy.

Mattar skinął głową, czyniąc to z taką powagą, jak gdyby on i Jeremy zgodzili się co do rozwiązania jakiejś ważnej kwestii.

– Tradycje są oczywiście ważne, lecz ludzie tacy jak ty i ja wiedzą, że świat się zmienił – powiedział. – Kiedy jestem w Dubaju, działam tak, jak się ode mnie oczekuje. Ale będąc w Nowym Jorku, lubię korzystać z tego, co oferuje to miasto.

Mattar spoglądał znacząco na Jeremy'ego. Obecny stan umysłu Jeremy'ego działał na jego wyraźną niekorzyść: Jeremy był zbyt nawalony, by dokładnie zrozumieć, co Mattar ma na myśli. Ten gość najwyraźniej nie był jednym z tych, którzy mówią wszystko otwarcie. Lecz Jeremy był niemal pewien, że zrozumiał intencje rozmówcy.

– Nowy Jork potrafi tętnić życiem – powiedział. – Zwłaszcza po zmroku. Mogę ci kiedyś pokazać, jak wygląda wieczór w tym mieście.

– Jeśli nie będzie to nadużycie twojej uprzejmości – odparł natychmiast Mattar, uśmiechając się i nie pozostawiając wątpliwości, że dobrze się zrozumieli.

Jeremi zrewanżował mu się uśmiechem. Ciekawe, jak w tej roli odnalazłby się ojciec lub, Boże uchroni, jego siostra. Choć z drugiej strony pewnie żadne z nich nie byłoby zainteresowane pozycją firmowego alfonsa.

Wspaniałe przyjęcie, Simonie – powiedział Steven Blake.

– Doprawdy? – odparł Simon. – Zupełnie nie zwróciłem uwagi.

– I jakże cudownych gości udało ci się zgromadzić!

– Ile wizytówek rozdałeś?

– Zapewniam cię, że już od dawna nie chodzę na przyjęcia, żeby robić interesy.

– Prawda jest taka, że żadne przyjęcie nie sprawiło mi przyjemności, odkąd Rachel odeszła – powiedział Simon. – To ona była duszą towarzystwa i żadna to tajemnica.

– Michele narzeka, że nigdy cię nie widuje – powiedział Blake.

– Dlaczego jej dziś z nami nie ma?

– Chyba już nigdy nie uda mi się wyciągnąć jej do miasta. Prawie cały rok spędza w Amagansett – odpowiedział Blake.

Michele, jego trzecia żona, była od niego o piętnaście lat młodsza, lecz mimo że nie dobiegła jeszcze pięćdziesiątki, była zmęczona miejskim życiem i spędzała w Hamptons nawet zimowe miesiące. Tęsknota za Simonem była jedynie kłamstwem Stevena wynikającym z uprzejmości. Z chwilą zawarcia małżeństwa Michele przestała udawać zainteresowanie biznesowymi partnerami swego męża.

– Lea powiedziała mi, że zaprosiła na przyjęcie młodego prawnika z twojej firmy – powiedział Simon. – Tego, którego przyprowadziłeś na spotkanie w ubiegłym tygodniu.

– Wspominał mi o tym – odrzekł Blake. – Przyznaję, jestem nieco zaskoczony, ale to jeden z naszych najlepszych pracowników. Kto wie, może nawet zostanie następnym Stevenem Blakiem.

– Z pewnością nie wychowałem Lei po to, by bratała się ze służbą.

Blake nie był do końca pewien, czy na pewno był to żart.

– Czy ci się to podoba, czy nie, następne pokolenie puka do naszych drzwi – odparł. – Mam nadzieję, że moja firma będzie reprezentowała Roth Properties przez następne dziesięciolecia.

Zamilkli, dostrzegłszy zbliżającą się Leę.

– Lepiej przestańcie rozprawiać o interesach – powiedziała. – Czy rozmawialiście już dziś z każdym, kogo nie znacie?

– Jeśli kogoś nie znam, to co, do cholery, ten ktoś robi na moim przyjęciu? – zachnął się Simon.

Lea przewróciła oczami.

– Zawsze był taki? – zapytała Blake'a. – A może byłam za mała, żeby to dostrzec?

– Simon zawsze reagował na upomnienia – odpowiedział Blake. – Ale nie sądzę, by kiedykolwiek jeszcze udało się go zmienić.

– Zauważyłam, że Jeremy stara się zaprzyjaźnić z Mattarem – zwróciła się do ojca Lea. – Skoro on potrafi bywać w towarzystwie, to ty z pewnością także.

– Tyle że on nie będzie o tym pamiętał, kiedy się jutro obudzi.

- Nie przesadzaj – odparła Lea.
- Nie kryj go – powiedział Simon.

Do rozmawiającej trójki zbliżył się Duncan, który dosłyszał ostatnią uwagę Simona.

- Proszę wybaczyć, że przerywam – powiedział przeproszającym tonem.
- Chciałem tylko życzyć państwu dobrej nocy.
- Mam nadzieję, że wracasz do biura – powiedział Blake, siląc się na kiepski żart.

Simon Roth popatrzył na Duncana takim wzrokiem, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Wychodzi pan tak wcześnie? – zapytała Lea, gdy cisza zaczęła stawać się niezręczna. – Nie mieliśmy nawet okazji porozmawiać. Zapraszam pana na krótki spacer.

- Na spacer? – zapytał Duncan.
- Po naszym ogrodzie.

Duncan wyszedł za Leą. Ogród miał powierzchnię niecałych osiemdziesięciu metrów kwadratowych i był niewiele większy od apartamentu Duncana. Był prawie pusty, jedynie przy wejściu do domu stała dwójka palaczy. Ogrodzenie z drewnianych listew pozwalało dojrzeć tylko górne okna sąsiedniego domu. Lea skierowała się ku najbardziej oddalonemu zakątkowi ogrodu, a Duncan zdał sobie sprawę, iż jest to prawdopodobnie jedyne miejsce, w którym mogą być naprawdę sami.

- Jest mi bardzo przykro, że kiepsko się pan bawił.

Duncan wymusił uśmiech i spojrzał na Leę patrzącą w nocne niebo.

- Kto powiedział, że kiepsko? – zapytał.

– Goście, którzy dobrze się bawią na przyjęciu, na ogół nie wychodzą po niecałej godzinie.

– Nie znam tu nikogo poza panią i moim szefem – powiedział Duncan. – Pani wypełnia obowiązki pani domu, a mój szef to jednak mój szef.

– Przepraszam, jeśli pana uraziłam. Gdy pana zapraszałam, pewnie pomyślał pan, że nie może mi odmówić.

- Chciałem tu przyjść – odpowiedział szybko Duncan.
- Naprawdę?

Duncan nie miał gotowej odpowiedzi, której najwyraźniej spodziewała się Lea. Szybko jednak zareagował, domyślając się, że Lea go sprawdza.

– Pomyślałem, że moja obecność na przyjęciu posłuży naszemu sprzymierzeniu – odpowiedział.

Słyszając to, Lea uśmiechnęła się. Duncan pomyślał, że to najszczęśliwszy

uśmiech, jaki kiedykolwiek ujrzał na jej twarzy.

– Dokładnie taki był mój zamiar – powiedziała. – Obawiam się jednak, że nie udało mi się go zrealizować. Dlatego należą się panu moje przeprosiny.

– Oczywiście nie musi pani za nic przeproszać.

– Myślę o tej niemiłej konfrontacji z Darrylem. Zachowałam się bardzo niegrzecznie.

Duncan zastanowił się nad tą sytuacją i rolą Loomisa na przyjęciu. Był gościem, pracował, a może jedno i drugie? Nie było to jednak pytanie, które zamierzał zadać.

– Jestem pewien, że nie miała pani złych zamiarów – odrzekł.

– Ależ miałam – odparła Lea, uśmiechając się i dotykając ramienia Duncana. – Uczyniłam to z absolutną premedytacją.

Duncan nie był pewien, czy Lea go prowokuje, czy też raczej pokazuje, kto tu rządzi. Postawił na to drugie: musiała wiedzieć, że nie odpowie ciosem na cios. Być może Lea ponownie pokazywała mu, gdzie jest jego miejsce.

– Jeśli ta historia ma jakiś morał, to chyba go przeoczyłem – powiedział.

– W pewnym sensie to ważne, byście się poznali – rzekła Lea. – Wykonujecie dla nas podobną pracę, choć nie wiem, czy widzi to pan w ten sposób. Czasami łatwiej wykonywać swoją pracę, gdy zapomina się, że po drugiej stronie także stoi człowiek. Rozumiem to. Ale chcemy, abyście obaj, pan i Darryl, byli po naszej stronie i nie postrzegali się jako przeciwnicy.

Duncanowi nie podobał się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Jeśli fakt, że zajmujemy się sprawą Nazario, jest dla was niewygodny, to proszę mi to po prostu powiedzieć, a ja poinformuję o tym Blake'a.

– Niech pan nie będzie niemądry, Duncanie – powiedziała Lea. – Rozmawiałam już z Blakiem. Darryl także to rozumie.

– Raczej nie okazywał zrozumienia.

– Zrozumienie i sympatia to dwie różne rzeczy – odparła Lea. – I nie zamierza mi pan zdradzić, dlaczego kiepsko się dziś bawił?

– Nie w tym rzecz – odpowiedział Duncan. – To chyba nie moja dzielnica, jeśli pani wie, co mam na myśli.

– Jest pan pewien? Prawo na Harvardzie, Blake and Wolcott. Czy to nie właściwe środki do celu?

– Do jakiego celu?

– Do bycia tutaj – odrzekła Lea. – Wszedł pan na salony. Przestrzeń za

magiczną kurtyną.

Duncan spojrział na jasno oświetlony dom i cienie sylwetek poruszające się w jego wnętrzu, jakby się spodziewając, że metafora Lei się zmaterializuje.

– Raczej stoję dopiero na schodach – powiedział.

– Oczywiście, że tak. Nie dziwię się, że ma pan tego świadomość, ale nie rozumiem, że woli pan wyjść, niż przedzierać się do środka i walczyć.

– Przykro mi, że panią zawiodłem. Choć nie do końca jestem pewien, jak miałyby w tym kontekście wyglądać ta walka.

Lea przyglądała się Duncanowi, sprawiając wrażenie lekko rozczarowanej. Było jasne, że Duncan ja zawiódł, lecz sam nie rozumiał, czego Lea od niego oczekiwała.

– Czyli dla pana to tylko praca? – zapytała.

Duncan wciąż usiłował ją rozgryźć, lecz bez powodzenia.

– Nie jestem pewien, czy wiem, o co pani pyta – powiedział w końcu.

– Czy teraz, gdy stoi pan ze mną w ogrodzie, jest pan tylko orędownikiem spraw swojej firmy? – zapytała ostro Lea.

Uśmiechając się, Duncan spojrział w dal, po czym popatrzył na Leę, która nie zmieniała wyrazu twarzy.

– Jeśli pyta pani, czy rozmowa z nią sprawia mi przyjemność, to odpowiem: tak, oczywiście – powiedział. – A jeśli chce pani wiedzieć, czy uważam, że być może bawi się pani, stawiając mnie na baczność, to odpowiedź jest taka sama.

– Punkt dla pana – odrzekła Lea. – A czy jeśli obiecuję, że przestanę pana musztrować, zechce pan umówić się ze mną na obiad? I proszę nie mówić „tak” tylko dlatego, że jestem pańską klientką. Choć, oczywiście, niezmiennie jestem.

– Umówię się z panią z przyjemnością – odpowiedział Duncan.

– Dobrze. Sądzę zatem, że może pan już odejść – powiedziała Lea.

Rafael wychował się na blokowisku, przez co wiele aspektów życia w Rikers Island nie było dla niego zaskoczeniem. Był oswojony z surową hierarchią instytucji. Więzienie było oczywiście gorsze: w dotkliwy sposób uświadamiało paraliżujący fakt zamknięcia, przykucia do więziennej pryczy. Ograniczało widok nieba i zieleni. Było pełne szmeru gróźb wypowiedzianych zarówno przez więźniów, jak i strażników. Na osiedlu, gdy atmosfera robiła się za gęsta, można było przynajmniej wyjść z domu i nie oglądać się za siebie.

Rafael starał trzymać się na uboczu, ze spuszczoną głową i nie zwracać nikomu uwagi. Miejsce to, zbyt zatłoczone i przepelnione agresją, nie pozwalało nikomu pozostać niezauważonym, lecz Rafael był na tyle mocny, że nikt nie próbował nim pomiatać.

Jedyną dobrą stroną postawienia mu zarzutu morderstwa było to, że otrzymał oddzielną celę. Pierwszy tydzień w więzieniu spędził w zbiorowej celi mieszczącej około pięćdziesięciu piętrowych łóżek. Później jednak przeniesiono go na oddział o zaostrzonym rygorze. Tu każdy ze więźniów przebywał sam.

Rafael trafił do bloku mieszczącego siedemdziesięciu pięciu więźniów, w którym przebywało mniej więcej tyluż Afroamerykanów, co Latynosów i tylko kilku białych. Po południu otwierano cele, by umożliwić więźniom pobyt we wspólnej sali, w której znajdowały się ciągi jaskrawych, plastikowych krzeseł i mały telewizor zamontowany na przeciwległej ścianie. Więźniowie gromadzili się na ogół przy stołach ustawionych w pobliżu telewizora – Afroamerykanie zajmowali jeden, Latynosi zaś drugi. We wspólnym pomieszczeniu były też cztery telefony, którymi również dzielono się według przynależności rasowej. Każdy biały, chcący zatelefonować, musiał poczekać na dogodny moment i szybko uwinąć się z rozmową.

Między czarnymi i latynoskimi więziennymi gangami panowała subtelna równowaga sił. Niemal wszystko – od telefonów po stoły w stołówce – kontrolowane było przez jedną bądź drugą frakcję. Podział ten był właściwie doskonały: każdy przebywał we własnej grupie, a niedochowanie tej zasady było równoznaczne ze staniem się ofiarą przemocy. Rafael jeszcze nigdy nie zetknął się z tak głębokimi podziałami rasowymi.

Zrozumiał gorzki dowcip, że tym, co zapewniało mu względne

bezpieczeństwo w więzieniu, jest to, że jako oskarżony o morderstwo jest zbyt niebezpieczny, by przebywać w towarzystwie innych więźniów. Z drugiej jednak strony większości przebywających w bloku Rafaela postawiono zarzuty brutalnych przestępstw i nie trzeba było wiele, by spokój panujący w bloku uległ zaburzeniu.

Więzień z sąsiedniej celi, Luis Gutierrez, również był Portorykańczykiem. Oskarżono go o napad z bronią w rękę. Luis był kilka lat starszy od Rafaela, niski, zbudowany jak zapaśnik. Na jego szyi widniała wytatuowana pajęczyna. Najwyraźniej nie należał do tych, z którymi ktokolwiek obdarzony odrobiną rozsądku chciałby mieć na pieńku.

Początkowo Rafael zmartwił się obecnością Luisa, lecz ten, wbrew obawom chłopaka, od samego początku traktował go przyjaźnie. Nazywał Rafaela bratem i przedstawił go innym Portorykańczykom przebywającym w bloku. Rafael nie miał wyboru: musiał to docenić, wiedział jednak, że nie może opuścić gardy.

Jedynym poza posiłkami, prysznicem i siłownią powodem, dla którego Rafael opuszczał swą celę, była praca w więziennej pralni. Miał nadzieję na przydział do kuchni, lecz okazało się, że nie ma na to szans. Nikt oskarżony o brutalne przestępstwo nie mógł pracować w takim miejscu: w kuchni znajdowało się o wiele więcej przedmiotów mogących stanowić broń niż w jakiegokolwiek innej części więzienia. Rafael spędzał więc czas na przygotowywaniu wyprawek dla więźniów. Każda składała się z koca, prześcieradła, ręcznika, mydła oraz szczoteczki i pasty do zębów. Rafael zawijał to wszystko w koc, formując niewielkie pakiety, które układał w stosy na wózkach.

Spędził w pralni poranek i skończył swą zmianę w południe, po czym udał się do stołówki. Ta, podobnie jak większość pomieszczeń więzienia na Rikers Island, była pełna jaskrawych kolorów podstawowych, pastelowych zieleni i żółceni, co sprawiało, że Rafael odnosił wrażenie, iż utknął w jakiejś sadystycznej wersji przedszkola. Znalazł wolne, odosobnione miejsce przy dalszym końcu stołu.

Lunchem była pieczeń rzymska, tak wstrętna, że Rafael posądził kuchnię o umyślny sabotaż. Pieczeń kruszyła się, była sucha jak przypalona grzanka i smakowała, jakby przyrządzono ją z tektury zmieszanej z popiołem z papierosów. Rafael uporał się z połową posiłku, wmuszając w siebie kolejne kęsy i żując je jak najkrócej, by ograniczyć wrażenia smakowe do minimum, gdy naprzeciwko usiadł mężczyzna, który zaczął się przyglądać jego zmaganiom. Był to krępy, trzydziestokilkuletni Latynos z włosami

obciętymi na jeża, kozią bródką i więziennym tatuażem na rękę. Jego bezpośrednio, przyjazne spojrzenie było uderzające, gdyż kontakt wzrokowy z obcym był na Rikers Island czymś rzadko spotykanym i potencjalnie niebezpiecznym.

– *Buenos días* – odezwał się mężczyzna.

– Co jest? – odparł Rafael, któremu instynkt nakazał odezwać się po angielsku.

Nie wiedział, kim jest ten człowiek ani czego chce, co oznaczało, że nie można mu ufać. Odpowiedź po hiszpańsku doprowadziłaby do zaakceptowania lekkiej więzi między nimi, do której Rafael nie zamierzał się przyznać.

– Nie mówisz po hiszpańsku? – zapytał mężczyzna.

Wyglądał na zaskoczonego. Jego angielski był dobry, choć naznaczony wyraźnym akcentem wskazującym, że nie jest to jego język ojczysty.

– Jesteś Rafael, zgadza się?

Rafaelowi nie spodobało się, że jego rozmówca chce wiedzieć, kim jest. Skinął tylko nieznacznie głową.

– Jestem Armando. Skąd jesteś?

– Z Alphabet.

Armando podniósł głowę. Jego porcja na talerzu wciąż pozostawała nietknięta.

– Nie, *amigo*, powiedz mi, skąd pochodzisz.

– Jestem z Portoryko.

Armando niedbale machnął ręką, najwyraźniej uznając tę odpowiedź za oczywistą.

– Skąd w Portoryko? – zapytał.

– Z Vieques – odpowiedział Rafael.

Dla niego była to tylko nazwa, nie zaś miejsce, z którym czułby się naprawdę związany.

– Moi mieszkają w San Juan – powiedział Armando. – Wiesz, mamy tu oko na wszystkich.

– Macie oko na wszystkich Portorykańczyków? – zapytał Rafael. – W takim razie musisz być bardzo zapracowanym człowiekiem.

Armando, przez chwilę zaskoczony, postanowił się roześmiać.

– To prawda, że jest nas tu mnóstwo, ale to nie był żart – powiedział. – Jesteś tu, bo zastrześliłeś białego.

Duncan ostrzegł Rafaela, by nie rozmawiał z nikim o swojej sprawie. Chłopak nie miał pojęcia, skąd Armando tyle o nim wiedział. Nie miał też

pojęcia, dlaczego Armando zainteresował się właśnie nim.

– Skąd to wiesz? – zapytał Rafael, nadając swemu głosowi nieco bardziej uliczne brzmienie.

– Bo jestem śniadym gościem, który wie, że nasi ludzie muszą dbać o swoje sprawy – odpowiedział Armando. – A to stanowi zagrożenie dla tych, którzy rządzą tym krajem.

Rafael przechylił głowę, nie chcąc okazać powątpiewania, nie wierzył jednak w to, co powiedział Armando.

– Trzymają cię tu dla przykładu? – spytał.

– Zamknęli mnie za coś, co chcą nazwać gangsterstwem – powiedział Armando. – Ale to tylko ich sposób na zrobienie ze mnie posłusznego. Przybywasz znikąd, próbujesz zyskać coś dla siebie i swoich ludzi, a oni nazywają cię przestępcą. Idziesz do szkoły, która należy do Ligi Bluszczowej, i już nazywają cię biznesmenem.

– W rzeczy samej – powiedział Rafael.

Był niemal pewien, że wie, do czego to wszystko zmierza, i ufał, iż Armando nie stanowi dla niego bezpośredniego zagrożenia. Lecz nie oznaczało to, że chce uczynić z Armanda swego przyjaciela.

– Wiesz, że jesteśmy ludźmi, którzy mają swój własny kraj. Zgadza się? – zapytał Armando.

– Dorastałem tu, w Nowym Jorku – odpowiedział Rafael.

– Rozejrzyj się dookoła, stary, widzisz tu Amerykę? Myślisz, że tak widzą Amerykę biali chłoptasie z tą całą ich kasą? A jak myślisz, kogo tu wsadzają? Jesteśmy ludźmi, których nie chcą na ulicach. To dotyczy również ciebie, *amigo*, bo siedzisz tu tak samo jak ja. Człowiek musi wiedzieć, skąd pochodzi, ponieważ tylko twoi cię poprą. Niezbyt wielu udaje się przetrwać w tym miejscu o własnych siłach.

– Jak dla mnie wszystko gra – powiedział Rafael. – Nie sraj, nie narzekaj, tu jest tak samo jak na ulicy.

– Tak samo jak na ulicy, jasne, tyle że tu skurwiele pogrywają ostrzej. I nie chodzi tylko o bezpieczeństwo. Chodzi o współdziałanie ze swoimi.

– Kumam to – powiedział Rafael.

– Tylko słuchaj, bracie, wszystkiego, co mówię. Może będziesz mógł się czegoś nauczyć i dowiesz się, gdzie jest twoje miejsce.

Rafael wiedział, że największym błędem, który mógłby popełnić w więzieniu, byłoby opowiedzenie się po niewłaściwej stronie samego siebie. Rozniosłoby się wtedy, że nie jest chroniony, a czarne gangi, skinheadzi i wszystkie inne rasistowskie jełopy nie odmówiłyby sobie okazji

wzięcia go na celownik. Ale Rafael wiedział też, że były to tylko slogany. Wiedział, że prawdziwym celem Armanda było jego zwerbowanie.

– Sam nieźle sobie radzę – powiedział. – Mam zamiar nie wychylać się i odsiedzieć swoje.

Armando lekko się uśmiechnął, choć wyraz jego oczu się nie zmienił.

– Twoi bracia będą ci tu jeszcze potrzebni – powiedział. – Są potrzebni każdemu.

Ma pani urocze mieszkanie – zwróciła się Candace do Dolores Nazario.

Nie była to do końca prawda: staranny wystrój nie był w stanie zatuszować tego, że budynek się rozpadał. Gospodyni zaproponowała Candace kawę i obie usiadły w salonie.

– Mieszkam tu od piętnastu lat – powiedziała Dolores. – I staram się jak mogę, żeby to wszystko jakoś wyglądało.

Candace postanowiła porozmawiać z Dolores, ponieważ przy zbieraniu informacji związanych z osiedlem Jacob Riis nie zdołała odkryć zależności pomiędzy jego transformacją a zamordowaniem ochroniarza. Był jeszcze prawnik Riley, lecz naczelny Candace dał jej jasno do zrozumienia, że kontaktując się z nim, niewiele wskóra. Jedynym pewnym punktem wyjścia do znalezienia owej zależności było samo morderstwo. Candace wiedziała, że Riley nie zechce z nią rozmawiać, a dostanie się do więzienia na Rikers Island, by zobaczyć się z Rafaelem, będzie bardzo trudne. Pozostawała tylko babka chłopaka.

– Więc, jak już mówiłam przez telefon, interesuje mnie nie tyle strzelanina, która miała tu miejsce, co wszystkie zmiany zachodzące na tym osiedlu. Dlaczego postanowiono wyeksmitować panią i Rafaela?

Dolores opowiedziała o ochroniarzu Fowlerze, który twierdził, że przyłapał Rafaela ze skrętem, a także o aresztowaniu Rafaela i jego przyznaniu się do winy, co doprowadziło do wydania nakazu eksmisji. Candace usiłowała nie okazywać sceptycyzmu, lecz cała ta historia nie trzymała się kupy.

– Wiem, jak to brzmi – powiedziała Dolores. – Ale wychowałam Rafaela tak, że nie kłamie. Jeśli coś mi mówi i obiecuje, że to prawda, to ja mu wierzę.

– A w jaki sposób Duncan Riley został waszym prawnikiem?

– Dzięki mojemu kościołowi. Polecono mi pójść tam, gdzie są prawnicy wolontariusze, którzy pomagają. Tak trafiliśmy do pana Riley.

– Czy pan Riley powiedział wam, że pracuje również dla deweloperskiej firmy Roth Properties, która stoi za zmianami na osiedlu?

Dolores sprawiła wrażenie zakłopotanej tym pytaniem.

– Pan Riley mówił nam, że pracuje dla pana Rotha, owszem, ale mówił też, że to nie problem, bo to przecież miasto jest przeciwko nam.

Candace nie zamierzała udawać, że rozumie niuanse prawniczej etyki,

lecz zaangażowanie Riley'a w sprawę Nazariów wydawało jej się podejrzane.

– Roth jest jednym z największych klientów jego firmy – powiedziała.

– Pan Riley ciężko dla nas pracuje, trzyma naszą stronę. Poszedł do sądu i pozew został wycofany. Teraz pan Riley próbuje wyciągnąć mojego *nieto* z więzienia i robi to za darmo.

Candace zrozumiała przekaz: miała nie stawać pomiędzy Dolores a prawnikiem, który usiłował wybronić jej wnuka od zarzutu morderstwa, a ją samą uchronić przed wyrzuceniem na bruk. Candace wciąż miała wątpliwości, czy naprawdę właśnie tym zajmuje się Riley.

– A co z Koalicją Społeczności Alphabet City? Zwróciła się pani do nich? – zapytała.

– Znam innych, którzy tam chodzili – odpowiedziała Dolores. – Ale nic się nie dzieje. Potrzebowałam prawnika, żeby nam pomógł, a nie kogoś, kto protestuje.

– Czy to ci, którzy byli eksmitowani, powiedzieli pani, że Koalicja im nie pomogła? – zapytała Candace. – Czy zna pani wielu innych mieszkańców, którym grozi eksmisja?

– Ci ochroniarze lubią dokuczać ludziom, którzy tu mieszkają. Rafa nie jest jedyny.

– Co pani sądzi, bardziej ogólnie, o tym, co się dzieje w Jacob Riis? O przemieszaniu mieszkań na sprzedaż z czynszowymi? Czy to mogłoby poprawić sytuację mieszkańców tego osiedla? – pytała dalej Candace.

– To byłoby dobre, pewnie, bo mniej przestępstw – odparła Dolores. – Ale to dobre dla tych, którzy tu wrócą, a nie wiem, ilu nas będzie.

– Nie uważa pani, że wrócą wszyscy?

– Muszą zrobić miejsce dla nowych, tych z pieniędzmi. To dlatego pozbywają się takich jak my.

Przykuło to uwagę Candace.

– Co pani ma na myśli?

– Na przykład to, co wyprawiają z Rafą i ze mną. Ochroniarze zawsze wymyślają jakieś powody, żeby wyrzucić ludzi z ich domów.

Candace nie miała pewności, do czego zmierza Dolores.

– Mówi pani, że ochroniarze podrzucają ludziom narkotyki, żeby można było ich eksmitować?

– Tak zrobili Rafie. Zgadza się. Słyszałam też o wielu innych.

– Ma pani jakieś dowody, że tak się dzieje?

Dolores wzruszyła ramionami.

– Ja i Rafa, my jesteśmy dowodem, prawda? – odpowiedziała.

Duncan zafundował drogi posiłek profesorowi Nathanowi Cole'owi. Wcale tego nie planował. Pomyślał, że tylko zajrzy do gabinetu profesora, lecz kiedy się zjawił, Cole natychmiast zaproponował, by porozmawiali przy lunchu.

Duncan posłusznie podążył za Cole'em. Poszli w stronę kampusu John Jay i Ósmej Alei, a następnie, po pokonaniu kilku przecznic, dotarli do Gallagher's, restauracji, w której serwowano jedne z najlepszych steków w mieście.

– Nie wiem, czy uda nam się wejść – powiedział Duncan.

– Zarezerwowałem stolik – odparł Cole.

Był niskim mężczyzną uczesany na niestaranną pożyczkę, odzianym w sztruksowe spodnie oraz sweter. Ubierał się tak, jakby chciał mieć pewność, że każdy, kto na niego spojrzy, weźmie go za akademika.

– Przerwa na lunch to jedyna pora, w której dziś mogłem się wyrwać – powiedział.

Duncan rozumiał, o co chodziło Cole'owi: profesor naciągnął firmę na kosztowny lunch, wykorzystując fakt występowania w roli eksperta. Duncan, mimo iż nie lubił być wykorzystywany, niespecjalnie się tym przejął, gdyż rachunek miał obciążyć budżet firmy. Widywał już innych ekspertów zachowujących się w podobny sposób i czerpiących profity z dorabiania sobie na boku.

Zresztą, jak każdy facet, uwielbiał dobre steki.

– Zatem – odezwał się Duncan, gdy już złożyli zamówienie (filet wołowy dla Duncana i rozbratel dla Cole'a) – miał pan okazję zapoznać się ze sprawozdaniem dotyczącym pozostałości po wystrzałach, który panu przesłałem?

Cole skinął głową i pociągnął tęgi łyk wybranego przez siebie kalifornijskiego zinfandela. Wcześniej zaproponował, by zamówić całą butelkę, lecz Duncan odmówił, wymawiając się pracą.

– Orientuje się pan, czym są pozostałości po wystrzale? – zapytał Cole.

Duncan uśmiechnął się szeroko.

– Dla potrzeb tej rozmowy udajmy, że nie.

– Pozostałości po wystrzale z broni palnej są bardzo charakterystyczne, ponieważ zawierają fuzję trzech pierwiastków: ołowiu, baru i antymonu. To jedyna sytuacja, w której współwystępują – rozpoczął wywód Cole. –

Wystrzał z broni palnej to w zasadzie niewielki wybuch, który wysyła pocisk w drogę. Wybuch ten wyrzuca też mikroskopijną chmurę owych pierwiastków w kierunku trzymającego broń. Na dłoni osoby zatrzymanej tuż po oddaniu strzału znaleźć można setki cząstek. Jeśli chodzi o seriale o CSI, to wszystkie te śledcze bzdury odpowiadałyby prawdzie, gdyby udało się złapać gościa na miejscu zbrodni kilka sekund po popełnieniu morderstwa. Ale skoro w grę wchodzi czas i odległość, w praktyce wygląda to zupełnie inaczej.

– Rafaela aresztowano godzinę po strzelaninie – powiedział Duncan. – Sądzi pan, że pozostałości po wystrzale mogłyby zaniknąć?

– Można tak podejrzewać – stwierdził Cole. – Pozostałości, o których mówimy, przypominają talk. By się ich pozbyć, wystarczy dokładnie umyć ręce.

– Tym, co zaskoczyło mnie w sprawozdaniu, jest informacja, że takie cząstki znaleziono na lewej ręce Rafaela – rzekł Duncan. – Ale on jest praworęczny.

– W rzeczywistości nie ma to tak wielkiego znaczenia, jak mogłoby się wydawać. W większości przypadków obie dłonie strzelającego dotykają broni lub znajdują się w jej pobliżu. Ponadto pozostałości po wystrzale mogą łatwo przedostać się z jednej na drugą; wystarczyłoby też, by po oddaniu strzału broń znalazła się choćby na sekundę w ręce niedominującej.

– Według sprawozdania na ręce Rafaela znaleziono sześć cząstek. To dużo czy mało, jeśli weźmiemy pod uwagę czas i odległość? – zapytał Duncan

– W każdym wypadku to raczej niewiele – odrzekł Cole. – Rzecz w tym, że kilka takich cząstek może się znaleźć na dłoniach wskutek przypadkowego kontaktu. Czy po zaarrestowaniu pańskiego klienta umieszczono go w policyjnym samochodzie?

– Tak.

– Podczas badania tylnego siedzenia wozu patrolowego można z łatwością wykryć pozostałości po wystrzale na włóknach tapicerki – zaczął Cole. – Niewielka liczba takich cząstek mogłaby się znaleźć na dłoni pańskiego klienta zarówno dlatego, że dotknął siedzenia radiowozu, jak i dlatego, że użył broni palnej. Cząstki pozostałości po wystrzale spotyka się także na komisariatach. Co więcej, niejednokrotnie odnotowano ich obecność w samych pomieszczeniach przeznaczonych do przeprowadzania tego typu badań, tam, gdzie nie powinny występować.

– A więc uważa pan, że pozostałości na dłoni Rafaela nie pozwalają

stwierdzić, czy rzeczywiście trzymał broń? – zapytał Duncan.

– Gdyby znaleziono sto takich cząstek, można byłoby orzec z niemal całkowitą pewnością, że miał z nią kontakt i strzelał – odpowiedział Cole. – Ale tych kilka cząstek, które wykryto? To mógł być czysty przypadek.

– Doskonale – rzekł Duncan.

– Musi pan przejrzeć oryginalne zapisy z laboratorium – stwierdził Cole. – Powiedzą one panu o wiele więcej niż końcowe sprawozdanie.

Duncan skinął głową.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że naprawdę mamy podstawy, by podważyć wyniki badania, któremu poddano Rafaela? – zapytał.

– Nauczyłem się nigdy nie lekceważyć wpływu prokuratora okręgowego na sędziów – odpowiedział Cole. – Lecz jeśli wszyscy będą uczciwie wykonywać swoją pracę, to tak: mamy sporą szansę.

– Myśli pan, że biuro prokuratora okręgowego zdaje sobie z tego sprawę?

Usłyszawszy to pytanie, Cole wybuchnął śmiechem.

– Pracuje pan w firmie Simona Blake’a, zgadza się? – zapytał.

– Zna go pan?

– Zobaczyłem jego nazwisko w gazecie. Wiem, że to wy przyjmujecie na siebie ciężar walki między korporacyjnymi gigantami. Prowadzi pan tę sprawę pro bono?

Duncan zeszywniał, uznawszy ton Cole’a za protekcyjny.

– Wkładamy w tę sprawę tyle samo wysiłku, co we wszystkie inne – odpowiedział.

– Nie o to mi chodziło – rzekł Cole. – Powiem inaczej: jak często, pańskim zdaniem, oskarżony, taki jak pański klient, ma kogoś takiego jak ja, kto jeszcze raz sprawdzi wyniki badań, o których mówimy? Zazwyczaj bywa tak: prokurator okręgowy stwierdza, że na rękach oskarżonego wykryto pozostałości po wystrzałach, a obrońca z urzędu mówi oskarżonemu, że powinien przyznać się do winy. Oskarżony się przyznaje i wszyscy rozchodzą się do domów. Powodem, dla którego się nie zastanawiają, czy mieli rację, jest, że w dziewięciu na dziesięć przypadków nikt nie sprawdza, jak było w istocie.

– I sądzi pan, że naprawdę możemy sprawić, by tym razem tak się nie stało?

– Jeśli trafimy na sprawiedliwego sędziego z IQ większym niż dziewięćdziesiąt, to mamy szansę – odpowiedział Cole. – W wypadku nowojorskiego sądu karnego oceniłbym ją na pięćdziesiąt procent.

Duncan był podekscytowany tym, czego dowiedział się od Cole'a, choć podczas lunchu starał się nie dać tego po sobie poznać. Przywykł do pracy nad wielkimi, toczącymi się powoli i często monotonnymi sprawami, w których miarą sukcesu były zwycięstwa przyrastające cząstkowo i często tak złożone, że było mało prawdopodobne, by ktokolwiek chciał zadać sobie trud ich zrozumienia.

Ta sprawa była inna. Wyeliminowanie kluczowego dowodu w przypadku oskarżenia o morderstwo miało w sobie coś podniecającego. Oczywiście jeśli nawet Cole miał rację i udałoby im się podważyć wiarygodność badania pozostałości po wystrzale, policja wciąż powoływałaby się na zeznania naocznego świadka – byłego policjanta – oraz oczywisty motyw przestępstwa. Nie oznaczałoby to wprowadzenia Rafaela z zarzutu morderstwa, ale zmieniłoby dynamikę sprawy i z pewnością wpłynęłoby na przebieg negocjacji podczas zawierania ugody obrończej.

Duncanowi wystarczyło to jednak, by pójść do Blake'a i powiedzieć mu, że będzie musiał jeszcze popracować nad sprawą Rafaela – przynajmniej do złożenia wniosku o wyłączenie dowodu z procesu. Duncan nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo się w nią zaangażował. Po części dlatego, że każdy, kto zaczynał studia prawnicze, chciał być Perrym Masonem. Nie dało się też zaprzeczyć, że proces o morderstwo był o wiele bardziej ekscytujący niż to, czemu Duncan poświęcał większość swego czasu. Lecz było jeszcze coś: poczucie rzeczywistego spełnienia, uczynienie dla klienta tego, czego inny prawnik – ktoś o bardziej ograniczonych możliwościach, pozbawiony zapału – nie byłby w stanie osiągnąć.

Do tego Duncan niemal zawałił sprawę. Gdyby nie wywarł presji na Blake'a, gdyby zabiegał jedynie o znalezienie osoby, która zaświadczyłaby o nieskazitelnym charakterze Rafaela i gdyby nie spotkał się z Cole'em, nie odkryłby wątpliwości dowodu przedstawionego przez biuro prokuratora okręgowego. Niewiele brakowało, by zrezygnował z wykonania tej pracy i podążył gigantycznym skrótem, na który nie mógłby się zdobyć, pracując dla płacących klientów, a tym samym przegapiłby możliwość dokonania pierwszego przełomu w sprawie. Duncan poczuł się tak, jakby o mało nie złamał prawniczej wersji przysięgi Hipokratesa: przede wszystkim pomóc klientowi. Miał w rękach życie Rafaela – zupełnie dosłownie – i niemal dał się przekonać, by uczynić mniej, niż to było możliwe. W oczach Duncana nie był to jedynie błąd: to zawodowy grzech.

Maszerując zatłoczonymi ulicami Midtown, Duncan postanowił poprosić

Blake'a o kilka minut rozmowy i wysłał mu wiadomość ze swojego BlackBerry. Nie otrzymał natychmiastowej odpowiedzi, co nie było niczym niezwykłym: możliwość skontaktowania się z Blakiem w godzinach pracy było czymś graniczącym z niemożliwością.

Wróciwszy do biura, Duncan zabrał się do pracy nad pozwem o zniesławienie wniesionym przeciwko „New York Journal”. Sprawa ta została nieco zaniedbana; nikt nie traktował jej z entuzjazmem, gdyż – zgodnie z cichym przekonaniem panującym w firmie – nie dało się jej wygrać. Najbliższym celem Duncana były poszukiwania prowadzące do wykrycia tajnego źródła informacji Candace. Duncan nie był pewien, czy przyniesie to jakikolwiek pożytek. Owszem, bardzo pomocne okazałoby się wyparcie się przez informatora jakichkolwiek związków z artykułem lub jego przyznanie się, że uraczył reporterkę kłamstwami lub chciał pomówić kogoś związanego z budową Aurora Tower. Każda z tych możliwości była jednak mało prawdopodobna, a gdyby się okazało, że za tym, co napisała Candace, stoi ktoś wiarygodny, ujawnienie tożsamości tej osoby przekreśliłoby szansę na wygraną. Gazeta nie musiała udowadniać prawdziwości tego, co w niej opublikowano – musiała jedynie dowieść, iż nie uczyniła tego, kierując się złymi intencjami, a wiarygodny informator stanowiłby jej zabezpieczenie.

Duncan poruszył wszystkie te kwestie, lecz Blake powiedział mu, że klient życzy sobie ujawnienia źródła informacji. W grę wchodziło niewielu podejrzanych – informacje niemal z całkowitą pewnością przekazane zostały przez osobę mającą związek z dochodzeniem. Logika podpowiadała, że był to ktoś z Wydziału Budownictwa – ktoś, kto przemówił pod wpływem frustracji, gdy Durant odmówił skierowania sprawy do biura prokuratora okręgowego.

Duncan kończył pracę nad półtuzinem wezwań do złożenia wyjaśnień, przeznaczonych dla osób, których związek z artykułem w „New York Journal” uznał za najbardziej prawdopodobny. Chcąc uszeregować potencjalnych informatorów Candace pod względem ważności, postanowił skierować pierwsze wezwanie do Williama Stanton, inspektora reprezentującego Wydział Budownictwa i badającego wypadek na budowie Aurora Tower. Jeśli ktokolwiek mógł czuć się oszukany decyzją o zakończeniu dochodzenia, to na pewno tym kimś był Stanton.

Dochodziła już ósma, gdy Blake wezwał w końcu Duncana do swego gabinetu.

– Spotkałem się dziś z doktorem Cole'em – powiedział Duncan, zająwszy

miejsce.

Blake lekko zmarszczył brwi.

– A któż to taki? – zapytał.

– Gość od kryminalistyki – odpowiedział Duncan. – Zna się na pozostałościach po wystrzałach.

– I znalazłeś jakąś odpowiedź?

– Cole sądzi, że mamy realną szansę na podważenie wyniku badań.

Blake zaczął coś mówić, ale przerwał i odchylił się w fotelu, odwracając wzrok od Duncana.

– Jeśli nawet tak jest, to wciąż mamy do czynienia z naocznym świadkiem oraz z motywem – powiedział po chwili.

– Nie wiem, czy Rafael byłby do tego zdolny – odparł Duncan, nie mogąc się powstrzymać.

Blake spojrzał na niego ze zdziwieniem, jakby usłyszał właśnie pytanie o sens życia.

– A czy ktoś żąda, żebyś to wiedział? – zapytał.

– Zdaję sobie sprawę, że powinniśmy się skupić na wynegocjowaniu jak najkorzystniejszej umowy – powiedział Duncan. – Lecz jeśli Rafael jest niewinny, to czy nie powinniśmy się skoncentrować właśnie na tym?

Rozdrażnienie Blake'a przeważało.

– Jezu, o co ci chodzi?! – wybuchł. – Odkryłeś w sobie nagle powołanie? Pozwoliłem ci prowadzić sprawę tego gościa, bo zauważyłem, że było ci przykro z powodu jego kłopotów, i byłem pewien, że moglibyśmy mu pomóc lepiej niż jakiś obrońca z urzędu. Nie oczekiwałem, że wyruszysz na poszukiwanie Świętego Graala.

– Idę tylko tam, dokąd prowadzi mnie ta sprawa – zaprotestował Duncan, nie do końca rozumiejąc reakcję Blake'a. – Zresztą postąpiłbym tak samo w każdym przypadku. Chcesz, żebym wynegocjował pierwszą lepszą w miarę przyzwoitą ugodę dla Rafaela, nawet jeśli sądzę, że mamy szansę na wygraną?

– Tak – odpowiedział bez wahania Blake.

Duncan spojrzał na niego, podejrzewając, że Blake go podpuszcza. Jego wyraz twarzy nie potwierdził jednak tej teorii.

– Ależ, Steven... Nie mogę tak po prostu... Przecież jestem prawnikiem.

– I gdybyś miał coś konkretnego... alibi, sposób na wyeliminowanie świadka... coś, co naprawdę potwierdzałoby, że twój klient nie zrobił tego, o co jest oskarżony... to powiedziałbym, że warto zaryzykować. Ale wiesz tylko, że prokurator okręgowy uważa, że ma trzy różne sposoby na twojego

klienta, a ty myślisz, że tylko dwa. Nie oznacza to, że reszta tego, czym dysponuje prokurator, nie jest prawdziwa. Poza tym masz tu mnóstwo roboty. Wiesz, ile policzyliśmy Rothowi tylko w ostatnim miesiącu? Prawie pół miliona. A wiesz, jaką część z tej kwoty zarobiłeś?

Duncan poczuł się skrepowany tą nagłą zmianą tematu.

– Poświęcam większość czasu na jego sprawy – odrzekł.

– Dwadzieścia procent – powiedział Blake. – Na litość boską, Lea Roth zaprasza cię na przyjęcia, spaceruje z tobą po ogrodzie swojego starego. Wiesz, co to znaczy mieć kogoś takiego po swojej stronie, kiedy zbliża się głosowanie – chyba nie muszę ci tego tłumaczyć? Jeden z naszych głównych klientów chce, byś został partnerem w tej firmie, więc jesteś pewniakiem. Gdy cię ostatnio pytałem, właśnie tego chciałeś, zgadza się?

– Oczywiście – odpowiedział szybko Duncan.

Blake nigdy jeszcze nie mówił o partnerstwie Duncana w tak otwarty sposób.

– To sport zespołowy – powiedział. – I potrzebuję cię w naszej drużynie. Jasne?

Duncan odchrząknął, nie chcąc, by głos go zawiódł.

– Jak słońce – odpowiedział.

Duncan usiłował ocenić swoją sytuację. Zrozumiał wydane mu rozkazy, lecz nie był pewien, czy będzie mógł je wykonać. W trakcie swej prawniczej kariery został już kilka razy poproszony o zrobienie wątpliwych etycznie rzeczy (jak wszyscy znani mu prawnicy firmy), lecz teraz po raz pierwszy miał odsunąć dobro klienta na dalszy plan. Czuł się, jakby miał przekroczyć nowego rodzaju granicę.

Ale przecież Blake nie prosił go o podłożenie się w sprawie Rafaela. Zresztą większość procesów karnych i tak kończyła się przyznaniem do winy. Blake próbował się jedynie upewnić, że Duncan będzie trzymał rękę na pulsie, i dać mu do zrozumienia, że powinien zebrać to, co ma, udać się do prokuratora okręgowego i sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

Duncan chciał w to uwierzyć, lecz zarazem nie był pewien, czy oskarżenie jest w ogóle prawdziwe. Musiał zasięgnąć jeszcze jednej opinii i porozmawiać z kimś, kto znał Blake'a, lecz nie miał nic wspólnego ze sprawą morderstwa.

Pomaszerował w kierunku gabinetu Lily. Przeżyli razem już niejedno i Duncan ufał jej do tego stopnia, że mógł z nią rozmawiać o podobnych sprawach.

Lily była u siebie. Stukała w klawisze komputera, słuchając trip-hopu

wydobywającego się z głośników stacji dokującej Bose, w której umieściła swojego iPoda.

– Mogę ci przeszkodzić? – zapytał Duncan.

– Właśnie to zrobiłeś – odpowiedziała Lily. Odchyliła się w fotelu, zapraszając Duncana do środka.

Duncan zamknął za sobą drzwi i usiadł. Wiedział, że wystarczy krótki opis sytuacji, by Lily ją zrozumiała. Przekazanie najnowszych informacji zajęło mu tylko dwie minuty.

– I co o tym myślisz? – zapytał.

Gdy mówił, Lily nie patrzyła na niego, co było u niej typową oznaką koncentracji. Teraz spojrzała na Duncana i skrzywiła usta.

– Pieprzysz jak potłuczony – powiedziała.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał, choć nie był też pewien, na ile poważnie powinien był potraktować to stwierdzenie.

– Słucham tego, co mi mówi Blake – zaczął. – Ale mam robotę do wykonania. Nie idealizuję swojej roli jako prawnika, przynajmniej taką mam nadzieję, ale w nią wierzę. Myślę, że prawnik jest kimś więcej niż tylko dziwką w garniturze.

– Pierwsze słyszę.

Duncan zignorował odruchowy sarkazm Lily.

– Lojalność – powiedział. – Wobec naszych klientów. Taka jest różnica. Twierdzenie, że jest się czyimś obrońcą, coś znaczy. Walczysz dla swoich klientów, nawet jeśli, do cholery, dobrze wiesz, że nie zasługują na wygraną. To jest powinność, zgadza się? Jeśli się z niej nie wywiążę, jeśli nie dokończę sprawy Rafaela tylko dlatego, że zajmuję się nią pro bono i mam inne zajęcia, to kim będę?

– Nie mam pojęcia, jaką odpowiedź byłbyś w stanie zaakceptować – odparła Lily. – Ale Blake każe ci odpuścić. Jeśli naprawdę uważasz, że to wbrew interesom twojego klienta, to jesteś do cna jebnięty.

– Ale jeśli wymyślę sposób na wygraną tej sprawy, to czy nie uważasz, że Blake zmieni zdanie?

– Może chce ci dać do zrozumienia, że wystarczająco dobre dla firmy było już okazanie pomocy twojemu klientowi, gdy został oskarżony i jego nazwisko pojawiło się w prasie, lecz sam proces nie przyniesie firmie nic dobrego. Pomyśl o tym.

Duncan zastanowił się, czy tak mogło rzeczywiście być. Miał nadzieję, że nie, bo oznaczałoby to, że firma przedkłada własne interesy nad interesy klientów. Mimo że nie miał złudzeń co do interesownej z zasady natury

swego pracodawcy, nie był skłonny zaakceptować, że można byłoby posunąć się aż tak daleko.

– Naprawdę uważasz, że Blake mógłby tak myśleć? – zapytał.

Lily wzruszyła ramionami.

– Nie mamy wglądu we wszystko, co się tu dzieje – odpowiedziała.

– Co zrobiłabyś na moim miejscu?

Lily wyglądała na zakłopotaną pytaniem.

– Zostań w grze jak najdłużej możesz. Wynegocjuj jak najkorzystniejszą ugodę. Oczywiście to twój klient zdecyduje, czy ją przyjąć. Ostatecznie jest to jednak klient, który nie płaci i pojawił się w twoim życiu w związku z zupełnie inną sprawą. Oboje jesteśmy dziećmi Blake'a. Wiesz przecież, na czym polega bycie partnerem w tej firmie.

– Nie zadawaj pytań i wykonuj polecenia. Taka jest twoja rada? To dość cyniczne.

Lily wzruszyła ramionami.

– Właśnie dlatego nazywają to pracą – odpowiedziała.

Duncan zabrał Leę do Jean Georges, poważnej kandydatki do tytułu najlepszej restauracji w mieście. Zazwyczaj miewał inne pomysły na pierwszą randkę – o ile była to właściwie randka. Zauważył jednak, że Lea przywykła do luksusu, i poczuł się zobowiązany do zaproszenia jej w najlepsze znane mu miejsce, w którym mógł jeszcze zarezerwować stolik, chociaż ten miał się zwolnić dopiero za kwadrans dziesiąta.

– Czy zawsze jada pan kolację tak późno? – zapytała Lea, gdy już usiedli.

– Lepiej być nie mogło – odpowiedział Duncan.

– Miał pan kłopoty z rezerwacją? Powinien był mi pan powiedzieć, zajęłabym się tym.

Duncan nie wiedział, czy Lea ponownie prowokuje go z rozmysłem, czy też po prostu zachowuje się protekcyjnie. Zdecydował, że ma prawo zapytać.

– Czy to było rozmyślnie?

– Co było rozmyślnie? – powtórzyła Lea niewinnym tonem, który nie przekonał Duncana.

– Pokazuje mi pani moje miejsce w szeregu, a miała pani tego nie robić.

Lea przechyliła głowę, lecz uczyniła to z cieniem uśmiechu.

– Nie zrobiłam nic takiego.

– Więc nie było to zamierzone?

– Chodziło mi po prostu o to, że powinien pan korzystać z mojej pomocy, jeśli tylko będę mogła jej udzielić.

Duncan uśmiechnął się, choć wiedział, że rozmowa tego rodzaju szybko wyczerpie pokład jego cierpliwości.

– Jestem nowoczesnym mężczyzną – powiedział. – Jeśli chce pani zarezerwować dla nas stolik, to proszę bardzo.

– Znowu pana uraziłam, tak?

– Jestem prawnikiem – odpowiedział Duncan. – Ludzie bez przerwy mówią mi przykre rzeczy.

– A jednak raz po raz nadeptuję panu na odcisk – powiedziała Lea. – Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Czy ma pan rodzeństwo?

– Przyrodnią siostrę i przyrodniego brata, lecz nie mam rodzonych rodzeństwa.

– Łączą was bliskie relacje?

Duncan czuł się zakłopotany tematem, lecz nie zamierzał kłamać.

– Szczerze mówiąc, niezbyt bliskie – odpowiedział.

– Wciąż mieszkają w Michigan?

Duncan skinął głową, nieco zaskoczony, że Lea zapamiętała, skąd pochodzi.

– Ma pan zamiar kiedyś tam wrócić?

– Raczej nie – powiedział Duncan, wzruszywszy ramionami. – Może pojedę tam na Gwiazdkę.

– Nie myślał pan nigdy o powrocie do rodzinnego stanu po ukończeniu prawa? – zapytała Lea. – Michigan potrzebuje prawników.

– Z pewnością – odparł Duncan. – Ale nie potrzebuje mnie.

– Zbyt prowincjonalne? – zapytała Lea z uśmiechem.

– Dziwi się pani?

– Niektórzy lubią miejsca, z których pochodzą.

– Naturalnie – powiedział Duncan. – Chociaż nie są to na ogół ludzie z Michigan.

Kelner przyniósł im pierwsze danie: poszarpa w mrożonym sosie wasabi, który topniejąc, uwalniał swój aromat. Restauracja, z jej perfekcyjną, a mimo to nierzucającą się w oczy obsługą działała jak mechanizm zegarka. Duncan, który poświęcił pięć lat kosztownego życia w Nowym Jorku na przyzwyczajenie się do takich miejsc, przyjął, że dla Lei ich istnienie jest czymś oczywistym.

– Rodzina jest oczywiście ważna – powiedziała Lea. – Lecz bywają chwile, w których chciałabym znaleźć się gdzieś na drugim krańcu kraju. Co sądzi pan o moim bracie?

– Nie znam go – odrzekł Duncan, czując ulgę, że jest tak w istocie, gdyż nie było to pytanie, na które chętnie by odpowiedział. – Spotkałem go tylko raz, w waszym biurze.

– Jeremy to słaby człowiek – powiedziała Lea z powagą, przyglądając się uważnie Duncanowi. – Przykro mi to mówić, ale to niezaprzeczalny fakt. W rzeczywistości prawdopodobnie właśnie to stanowi przyczynę, dla której mój ojciec zgodził się, bym przystąpiła do interesu. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że mój brat nie będzie w stanie go poprowadzić, a przynajmniej nie bez wydatnej pomocy.

Duncan zdziwił się, że Lea zdobyła się na to zwierzenie, lecz postarał się nie dać tego po sobie poznać.

– W jakim sensie słaby? – zapytał.

– Mój brat jest więźniem własnych zachcianek – odpowiedziała Lea. –

Nie potrafi ich kontrolować. Jest taki od czasu, kiedy zaczęliśmy dorastać. Czasami myślę, że jestem bardziej jego rodzicem niż siostrą.

– Czy przeszkadza mu to w pracy? – zapytał Duncan, zastanawiając się, dlaczego Lea mu to mówi.

– Niestety, przeszkadza mu to we wszystkim – usłyszał w odpowiedzi. – Ale robię to, co mogę. Rozumie pan zapewne, że moja rodzina to Roth Properties. To, co złe dla naszej rodziny, jest też złe dla firmy i na odwrót. Chronienie mojego brata przed nim samym dotyczy zatem nie tylko jego, ale też wszystkiego, co mamy.

Duncan nie był pewien, jaki charakter miało to zwierzenie: osobisty czy zawodowy?

– Rozumiem – powiedział.

– Czyżby? – zapytała Lea, a jej spojrzenie uświadomiło Duncanowi, że wcale nie jest pewna, czy mówi prawdę.

– Tak sędzę – odrzekł.

Jeden z kelnerów zabrał ze stołu puste talerze, drugi zaś dolał im wina. Duncan odchylił się na krześle i wymamrotał podziękowanie pod adresem kelnerów, czekając, aż się oddalą. Czy Lea dała mu do zrozumienia, że Jeremy potrzebuje jego pomocy? Czy Jeremy wpadł w prawne tarapaty, a Lea usiłowała utorować sobie drogę do ich omówienia?

– Czy chce pani porozmawiać o czymś konkretnym? – zapytał Duncan, gdy zostali sami.

– Nie teraz – odpowiedziała Lea lekceważąco.

Do czegokolwiek by zmierzała, najwyraźniej nie chciała powiedzieć więcej, niż powiedziała do tej pory.

– A jak przebiega pańska sprawa o morderstwo? Czy wciąż uważa pan, że zakończy się ona szybkim przyznaniem się oskarżonego do winy? – zapytała Lea.

Duncan zaczął przyzwyczajając się do nagłych zmian tematu.

– Nie jestem tego pewien – odpowiedział, instynktownie powstrzymując się od rozwinięcia tego wątku w czasie rozmowy z kimś innym niż jego klient.

– Czy coś się zmieniło?

– Kwestionujemy wyniki badania kryminalistycznego – odpowiedział Duncan. – To nie wystarczy, żeby wygrać tę sprawę, ale z pewnością wzmocni naszą pozycję.

– Rzuca pan wyzwanie nauce tylko po to, by coś zrobić, czy też dlatego, że ktoś popełnił błąd? – zapytała Lea.

Duncan zdziwił się zainteresowaniem Lei morderstwem, lecz pomyślał, że sprawy tego rodzaju interesują każdego, przynajmniej do pewnego stopnia.

– Ktoś naprawdę popełnił błąd – odpowiedział. – Nie usprawiedliwia to do końca gościa, którego bronię, ale to już coś.

– Odnoszę wrażenie, że sprawia to panu przyjemność – powiedziała Lea, odchylając się na krzesło, gdy kelner przystąpił do serwowania kolejnego dania: tym razem był to wymyślny confit z kaczki.

Duncan słuchał jednym uchem szczegółowych objaśnień kelnera dotyczących tego specjału.

– Szczerze? – powiedział, zanim wbił widelec. – To najbardziej przerażająca rzecz, jaką zrobiłem, od kiedy jestem prawnikiem. Ale przypuszczam, że to właśnie podoba mi się w tej sprawie.

– Strach bywa mimo wszystko doskonałym bodźcem do działania.

– Tak jest – odrzekł Duncan. – Strach albo spowija jak mgła, albo pobudza do działania. Mnie pobudza.

Lea ponownie spojrzała na Duncana, jawnie taksując go wzrokiem, choć tym razem dało się w nim dostrzec nieco więcej aprobaty.

– Czy zatem przestanie pan kiedyś czuć się skrępowany w moim towarzystwie? – zapytała.

Duncan uśmiechnął się i napotkał jej spokojne spojrzenie.

– Skąd pani wie, czy nie jest to moja wersja nieskrępowania?

– A jest właśnie taka, ponieważ jestem klientką czy dlatego, że jestem bogata?

– Czy możliwe jest równocześnie jedno i drugie? – zapytał Duncan.

– Mam nadzieję, że nie z powodu mojej szczerości.

– Skoro rozmawiamy poważnie, to chodzi głównie o to, że jest pani klientką – wyjaśnił Duncan. – Nie mam zwyczaju nawiązywać stosunków towarzyskich ze swoimi klientami.

– Blake utrzymuje takie stosunki z moim ojcem – odparła Lea.

– To nie to samo.

– Dlaczego? – zapytała Lea, uśmiechając się do Duncana z wyzywającym spojrzeniem. – Bo ja jestem dziewczyną, a pan chłopakiem?

Duncan nie był zaskoczony takim obrotem rozmowy, ale wcale nie poczuł się z tego powodu lepiej.

– Cóż mam powiedzieć? – odparł.

– Jestem w pełni świadoma, że jest pan chłopakiem – odrzekła Lea. – I zakładam, że zdaje pan sobie sprawę, że jestem dziewczyną.

– Chce pani, żebym był świadomy, że jest pani dziewczyną?

– W tym nie mogę pana wyręczyć – odpowiedziała Lea.

Duncan uśmiechnął się i udał, że saltuje. Jakikolwiek wątpliwości, czy jest to randka, zostały rozwiane.

– Blake mógłby być niezadowolony, gdyby się dowiedział, że byliśmy na kolejnym obiedzie – powiedział Duncan.

– Dlaczego miałby się tym przejmować?

– Mogę wymyślić kilka różnych powodów, ale żaden z nich nie wydaje mi się na tyle mądry, by go wymienić.

– Nie rozumiem, w jaki sposób nasze spotkanie w restauracji mogłoby wpłynąć na stosunki pomiędzy moim rodzinnym interesem a pańską kancelarią prawniczą – powiedziała Lea.

– Ja też nie – odrzekł Duncan. – Na wszelki jednak wypadek nie będę o tym wspominał Blake'owi.

Po obiedzie Duncan i Lea przystanęli na zewnątrz hotelu Trump, w którym znajdowała się restauracja Jean Georges.

– Nie pomyślałem, że zapraszam panią na obiad w jednym z budynków waszego konkurenta – powiedział Duncan. – Czy zachowałem się niewłaściwie?

– Donald nie jest naszym konkurentem – odparła Lea z lekceważeniem. – Ma oryginalną fryzurę i zajmuje się franczyzą, ale nie jest prawdziwym deweloperem.

– Wobec tego mogę spokojnie odetchnąć – powiedział Duncan. – W każdym razie nasze spotkanie sprawiło mi wielką przyjemność.

– Mnie również – odrzekła Lea. – Może zatem kiedyś je powtórzymy?

– Może tak – odpowiedział Duncan z uśmiechem. – Wezwać pani taksówkę?

Lea spojrzała na zaparkowanego nieopodal lincolna Town Car.

– To moja taksówka – powiedziała. – Podrzucić pana?

Duncan zastanowił się, jak długo musiał czekać kierowca luksusowego wozu. Korzystał z samochodów Town Car, by dostać się na przykład na lotnisko, ale nigdy nie zdarzyło mu się wrócić którymś z nich z obiadu.

– To tylko krótki spacer – powiedział.

Wędrując do domu, Duncan próbował ustalić, jaki jest jego stosunek do Lei i na czym mogą polegać jej zamiary. Podczas obiadu zbyt się pilnował, by móc się nim w pełni rozkoszować. Jawne manipulacje Lei były dla niego równie irytujące, co urzekające. Trudno było uwierzyć, że ktoś tak zamożny i wpływowy jak ona mógłby zainteresować się Duncanem.

Ukończenie prawa na Harvardzie oraz praca w elitarniej kancelarii prawniczej dawały mu wprawdzie pewien dostęp do przedsiionka salonów, lecz w porównaniu z towarzystwem z Upper East Side, w którym wychowała się Lea, był tylko drugoligowym graczem, a fakt, iż jego kancelaria pracowała dla jej firmy, podkreślał tylko tę różnicę, ta zaś – jak podejrzewał Duncan – wpłynęła na zainteresowanie, którym obdarzyła go Lea; Duncan przypuszczał też, że Lea lubiła kontrolę, którą jej zapewniała owa różnica. To z kolei jeszcze bardziej wzmogło czujność Duncana. Nie ufał on w szczerłość motywów, którymi się kierowała. Równocześnie jednak był świadomy atrakcyjności tej sytuacji oraz sposobu, w jaki Lea wykorzystywała swą władzę. Zdawał sobie sprawę z zaistniałej pokusy: tego, co pod względem osobistym i zawodowym mogło mu przynieść bycie z kimś takim jak Lea.

Lecz to, iż Lea była prawowitą dziedziczką jednej z największych fortun klientów kancelarii Blake'a, z pewnością wszystko komplikowało. Mimo braku ściśle określonych reguł zabraniających prawnikowi związków z klientami postępowanie takie traktowano zazwyczaj z dezaprobatą i Duncan nie miał wątpliwości, że Blake mógłby się wkurzyć. Mieszanie interesów firmy prawniczej z romansem było niebezpieczną grą, Duncan zaś wiedział, iż bardziej ostrożny prawnik nie brałby jej nawet pod uwagę. Być może właśnie dlatego poczuł się tak zaintrygowany.

Po rozmowie z Dolores Nazario Candace postanowiła przyjrzeć się innym przypadkom eksmisji na osiedlu Jacob Riis. Zaczęła od sporządzenia listy tych, które już trwały lub miały zostać przeprowadzone w najbliższym czasie. Okazało się, że ich liczba przekroczyła dwa tuziny. Candace była nią zaskoczona, choć nie dysponowała danymi porównawczymi. Przejrzała też wokandy sądowe dostępne online, lecz nie zdobyła w ten sposób zbyt wielu szczególnie pomocnych informacji. Nic nie świadczyło o tym, by ktokolwiek uznał eksmisje za wynik działań niezgodnych z prawem.

Przygotowała wykaz wszystkich rodzin stojących w obliczu eksmisji i zaczęła telefonować. Po dwóch dniach rozmów i szlifowania chodników natrafiła na garść osób, które stwierdziły, że przyczyną ich eksmisji stały się narkotyki, podrzucone przez prywatnych ochroniarzy prawie zawsze nastolatkom. Były to w zasadzie identyczne historie, co sprawiło, że Candace uwierzyła w ich prawdziwość.

Głównym motorem jej dziennikarskiego śledztwa nie była jednak chęć udowodnienia, że u podłoża eksmisji na osiedlu Jacob Riis leżały podrzucone narkotyki. Candace zauważyła, że oskarżenia eksmitowanych mieszkańców sugerujące rozmyślne działanie są spójne i wiarygodne. Mimo to musiała się również zapoznać z wersją zdarzeń przedstawioną przez strażników ochrony, a także odkryć, co tak naprawdę mogło kryć się za eksmisjami.

Pomyślała, że będzie najlepiej, jeśli zacznie od kwestii związanych z zamordowanym ochroniarzem Fowlerem. Strzelanina, w której zginął, stanowiła największą zagadkę w całej tej historii. Alex Costello, reporter opisujący morderstwo, przytoczył w swym artykule wypowiedź byłej żony Fowlera. Candace postanowiła dowiedzieć się więcej i powędrowała przez pokój redakcji informacyjnej do działu miejskiego, by znaleźć tam Alexa.

Costello pisał właśnie maila, głośno żując gumę. Miał poluzowany krawat i rozpięty górny guzik koszuli, a jego włosy wyglądały tak, jakby nie tknął ich od chwili, gdy rano zerwał się z łóżka. W biurowym boksie Costello panował kompletny bałagan. Był pełen rozmaitych dziwnych przedmiotów, wśród których Candace dostrzegła coś, co przypominało miniaturowe akwarium.

– A cóż to, u licha? – zapytała.

– Słonaczki – odpowiedział Costello. – Prezent urodzinowy dla faceta,

który ma już wszystko.

– To wygląda jak słoik brudnej wody – skomentowała Candace, pochylając się.

Przyjrząwszy się z bliska, dostrzegła drobne robaczki uwijające się żwawo w mętnej wodzie.

– Paskudztwo – powiedziała. – Ale do rzeczy. Badam pewien temat dla zespołu reporterów śledczych i pomyślałam, że może on mieć coś wspólnego ze sprawą, o której pisałeś.

– Zgaduję, że chodzi o zamordowanie Fowlera.

Candace, zdziwiona tym trafnym domysłem, mogła się założyć, iż Costello nie może się doczekać jej pytania: jak na to wpadłeś? Oparła się zatem pokusie i nie zapytała.

– Pomyślałam, że może byłoby warto jeszcze raz skontaktować się z byłą Fowlera – powiedziała. – Masz na nią jakieś zamiary?

– Zadzwoń do niej i zorganizuję spotkanie – odpowiedział Costello.

– To miło z twojej strony – rzekła Candace, nieco zaskoczona, gdyż propozycja Alexa miała niewiele wspólnego z silnym często terytorializmem reporterów.

– Jasne – powiedział Costello. – Kiedy mamy się z nią spotkać?

– Co masz na myśli, mówiąc „my”?

– Sprawa morderstwa jest moja – odpowiedział Costello. – To ja mam dojście do szlochającej wdowy.

– Nie interesuje mnie samo morderstwo – odparła Candace.

– To dlaczego chcesz z nią porozmawiać?

– Drażę obszerny temat związany z osiedlem Jacob Riis – odpowiedziała Candace. – Przyglądam się tamtejszym zmianom i sprawdzam, kto wygrywa, a kto traci.

– Ponieważ ma to związek z Simonem Rothem? – zapytał Costello. Tym samym Rothem, który właśnie teraz pozywa ciebie i resztę gazety o... Ile to było? Sto pięćdziesiąt milionów dolarów?

Candace przewróciła oczami.

– To tylko pierwsza lepsza liczba, którą wymyślili, żeby zwrócić na siebie uwagę – powiedziała.

– I jak im to idzie?

– Najwyraźniej dobrze, skoro potrafiłeś wymienić tę kwotę bez zastanowienia – odpowiedziała Candace.

– A ty szykujesz kolejny artykuł o Rocie? – zapytał Costello tonem pełnym sceptycyzmu.

Candace zrozumiała wreszcie, dlaczego się domyślił, że przyjdzie do niego, by porozmawiać o zamordowaniu Fowlera.

– Pozew o zniesławienie jest bezpodstawny. Nikt się nim nie przejął – powiedziała Candace.

– Jednak nawet wygranie tej sprawy nie będzie tanie – odparł Costello.

– Słyszałem ostatnio, że ta gazeta jest splukana. Słyszałem też, że w przyszłym miesiącu ma dojść do kolejnej rundy wykupów.

– Więc co? – zapytała Candace. – Nie będziemy już pisać o nikim, kto jest dość bogaty, by nas skarżyć? Mamy przecież słowo, którym określamy takie osoby: celebryci. Ludzie z pierwszych stron gazet.

– Mamy też nazwę, którą określamy reporterów stających się częścią opisywanej historii – odparł Costello.

Candace była zmęczona tą rozmową.

– Naprawdę? – zapytała.

Costello zyskał nad nią przewagę.

– Tak naprawdę... Nie – odpowiedział. – Wydaje mi się, że nie mamy. Ale wygląda na to, że powinniśmy.

– Daj mi tylko ten cholerny numer – powiedziała Candace.

– Nie ma mowy – odparł Costello. – Zawarłem z nią porozumienie. Jeśli chcesz się z nią zobaczyć, odwiedzimy ją razem.

Candace ledwie знаła Alexa Costello, lecz wiedziała, iż miał opinię bardzo ambitnego reportera. Oznaczało to z dużym prawdopodobieństwem, że polował na możliwość dołączenia do zespołu reporterów śledczych lub chciał zająć miejsce za redaktorskim biurkiem. Oznaczało to także, że stanie się wrzodem na tyłku, pilnującym swego terytorium w związku z każdym aspektem morderstwa Fowlera. Oczywiście zachowanie Costello chcącego podpiąć się do artykułu Candace nie różniło się od tego, co zrobiłaby ona, gdyby sytuacja była odwrotna. Pokoje redakcji informacyjnych były zawsze areną konkurencji, teraz jeszcze silniejszej, ponieważ w powietrzu bezustannie wisiała groźba zwolnień. Każdy chciał zyskać opinię niezastąpionego – lub uciec.

Żadna z tych rzeczy nie oznaczała jednak, że Candace nie wyeliminowałaby Costello z gry przy pierwszej nadarzającej się okazji. To miał być jej artykuł i zamierzała dzielić się tylko tym, co absolutnie konieczne.

Candace i Costello wybrali się na Staten Island. Jazda ciągnęła się w nieskończoność: najpierw musieli przebić się przez Manhattan, później zaś, klucząc, dotrzeć do mostu nad cieśniną Verrazano. Liz Pierce mieszkała

w małym domu w South Shore. Okolica ta miała tak prowincjonalny charakter, iż trudno było uwierzyć, że jest ona częścią wielkiej metropolii.

Liz była bladą kobietą dobiegającą pięćdziesiątki. W jej włosach widoczne były siwe pasma, a z kącików oczu zaczynały się rozchodzić pierwsze zmarszczki. Candace dyskretnie rozejrzała się po pokoju. Zauważyła zdjęcia dzieci, szkolne trofea na ścianie i rozmaite ledwie uporządkowane rupiecie. Z głębi domu dochodziły dźwięki gry wideo oraz, od czasu do czasu, dziecięce głosy.

Zgodnie z wcześniejszą umową rozmowę zaczął Costello. Zachowywał się, jakby nadrabiał stracony czas, i robił wszystko, by sprawić wrażenie, że on i Liz to starzy znajomi, a nie tylko reporter oraz była żona ofiar morderstwa. Candace siedziała naprzeciw Costello, na ustawionej w salonie kanapie, i usiłowała wyglądać na miłą, a do tego pełną współczucia. Zdążyła się już przyzwyczaić do wtrącania się w życie zupełnie obcych ludzi przeżywających trudne chwile. Lecz bezczynne siedzenie i przyglądanie się Costello kontrolującemu sytuację było dla Candace, jako tej, do której należało zdobycie informacji, o wiele bardziej kłopotliwe.

– Powodem, dla którego ponownie panią niepokoimy, jest artykuł poświęcony zmianom na osiedlu Jacob Riis, przygotowywany przez obecną tu moją koleżankę Candace – zaczął Costello.

– Nic nie wiem o tej sprawie – powiedziała Liz. – Rozwiodłam się z Seanem dwa lata temu, ale nie opowiadał mi wiele o swojej pracy nawet wtedy, kiedy byliśmy jeszcze małżeństwem, a on był gliniarzem.

– Ludzie często wiedzą więcej, niż im się wydaje – odezwała się Candace. Mówiła to już wcześniej, dziesiątki razy podczas innych wywiadów. – Nawet podstawowe informacje często okazują się pomocne. Czy wie pani, kiedy Sean zaczął pracować jako ochroniarz w Jacob Riis?

– Jakies pół roku temu – odpowiedziała Liz. – Sprowadzono go tu, gdy na osiedlu zaczęły powstawać pierwsze nowe budynki.

– Czym Sean zajmował się wcześniej?

– Robił to samo. Był ochroniarzem, chociaż nie zawsze pracował na budowach.

– Czy zatrudniano go do pilnowania innych budów firmy Roth Properties?

– Wydaje mi się, że tak. Mówi pani o tej samej firmie, która buduje w SoHo? Tej od wypadku?

SoHo, Aurora Tower. Candace nie miała pojęcia, że Fowler tam pracował. To, że ta sama prywatna firma ochroniarska obsługiwała większą

liczbę placów budowy Rotha, miało jednak sens.

– Czy Sean pilnował budowy w SoHo, kiedy doszło do tego wypadku? – zapytała Candace.

Liz skinęła głową.

– Pamiętam, jak mi o nim opowiadał.

– Co pani powiedział?

– Byliśmy rozwiedzeni – odpowiedziała Liz, wzruszając ramionami. – Nie przysłuchiwałam się już jego narzekaniom.

Candace dostrzegła szansę na dotarcie do Liz.

– Sama jestem w trakcie rozwodu – powiedziała. – Jedną z dobrych stron tego faktu jest z pewnością to, że nie musi się słuchać.

– I tak nie muszę – powiedziała Liz bez emocji, patrząc Candace prosto w oczy. – Sean nie żyje.

Zaskoczona Candace odchyliła się na kanapie.

– Czy pamięta pani coś, co mówił o wypadku? – zapytała po chwili.

Liz wydała się zakłopotana, a jej oczy straciły skupiony wyraz. Candace nie wiedziała, czy stało się to z powodu przywoływania bolesnych wspomnień, czy też dlatego, że Liz miała poczucie, iż nie powinna nikomu o tym mówić.

– Pewnego wieczoru, gdy pił, nie pamiętam, kiedy to było, rozmawialiśmy przez telefon, sprzecząc się o pieniądze. Nasza córka coraz bardziej lubi drogie ciuchy – powiedziała Liz. – Powiedział mi wtedy, że mogli coś zrobić, żeby temu zapobiec.

– Kto mógł coś zrobić? – zapytała Candace.

Liz spojrzała w kierunku, z którego dobiegały odgłosy gry wideo, jakby miała nadzieję, że jej dzieci przeszkodzą w tej rozmowie.

– Pomyślałam po prostu, że uzala się nad sobą i próbuje mnie przekonać, że jest ofiarą czegoś, z czym nie miał nic wspólnego – powiedziała. – Nie wypytywałam go dokładnie. Właściwie czekałam tylko, aż się wygada i będę mogła odwiesić słuchawkę. Sean potrzebował dużo czasu, by zrozumieć, że naprawdę nie jesteśmy już razem.

– Wiem, jak to jest – powiedziała Candace, wahając się, czy kontynuować próby utworzenia z Liz więzi opartych na wspólnych doświadczeniach związanych z rozwodem.

Zauważyła kątem oka, że Costello jej się przygląda, lecz to zignorowała.

– Ale Sean powiedział, że ktoś na Aurora Tower mógł zapobiec wypadkowi? – zapytała.

– Tak myślę. Tak – odpowiedziała Liz.

Candace zdała sobie sprawę, że to wszystko, czego mogła się dowiedzieć od Liz w sprawie Aurora Tower, lecz potencjalnie było tego dość sporo. Przeszła zatem do kwestii będących pierwotnym powodem jej wizyty.

– Czy Sean powiedział pani cokolwiek o zatrzymaniu Nazario palącego trawkę? – zapytała.

– Sean był długo gliną – odpowiedziała Liz. – Dla niego przyłapanie jakiegoś dzieciaka ze skrętem nie było czymś, czym by się przechwalał.

– Nie wspominał pani wcale o Rafaelu Nazario?

– Nie – odpowiedziała Liz.

– A eksmisje na osiedlu? Czy Sean mówił coś o rodzinach wyrzucanych z mieszkań?

Liz pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

– Dlaczego miałby mówić? – zapytała.

Candace zignorowała to pytanie.

– Czy Sean mówił kiedykolwiek o jakichś problemach, które miał na osiedlu Jacob Riis? Było widać, że ma kłopoty? – kontynuowała.

– Nie zauważyłam nic takiego – odpowiedziała Liz. – Wydawał się dość zadowolony, przynajmniej na tyle, na ile potrafił.

– Czy miał jakiś szczególny powód do zadowolenia? – zapytała Candace.

– Stał się finansowo na nogi, co ułatwiło życie nam wszystkim. Wcześniej zalegał z alimentami, tak było jeszcze w ubiegłym roku, ale udało mu się wyjść na prostą. Zaczął kupować to, czego nie musiał, na przykład Wii dla Seana juniora i różne inne rzeczy tego rodzaju.

– Skąd Sean miał tyle pieniędzy?

– Pracował dużo po godzinach – odpowiedziała Liz. – Widocznie miał tyle nadgodzin, ile chciał, a za każdą otrzymywał półtorej stawki. Powiedział, że jeszcze nigdy nie było tak dobrze.

Masz coś, prawda? – spytał Costello, gdy ponownie znaleźli się w samochodzie.

Candace wzruszyła ramionami, spoglądając na drogę.

– Może jedną albo dwie wskazówki – odpowiedziała. – Nic oczywistego.

– Chcę w to wejść.

– Nie ma żadnego wejścia – odparła Candace lekceważąco, rzucając szybkie spojrzenie na Costello.

– Więc co jest?

– Tylko ja, rozglądająca się dookoła. To wszystko.

– Jestem dobrym reporterem – zaprotestował Costello.

– To świetnie – powiedziała Candace. – Życzę wielu sukcesów.

– Jeśli to się wiąże z zamordowaniem Fowlera, to powinienem mieć w tym swój udział.

– Jeśli co się wiąże?

– To, że wypytujesz o ofiarę – odpowiedział Costello. – Myślisz, że istnieje jakiś związek?

– Akurat teraz krążę w ciemnościach z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Costello nie dał się jednak zwieść.

– Jeśli znajdziesz coś, co się wiąże z morderstwem, będę musiał o tym wiedzieć – powiedział. – Wciąż pracuję nad tą sprawą.

– Dobrze – odrzekła Candace. – O ile ty będziesz mnie informował o każdym szczególe tego morderstwa, który ma związek z Rothem lub eksmisjami na osiedlu Jacob Riis.

– Myślisz, że z eksmisją Nazariów jest coś nie tak? – zapytał Costello. – O to ci chodzi?

– Myślę, że coś gdzieś jest nie w porządku – odpowiedziała Candace. – A największy problem polega na tym, gdzie szukać tego czegoś.

Duncan przesłuchiwał Williama Stantona, inspektora Wydziału Budownictwa odpowiedzialnego za dochodzenie w sprawie wypadku na budowie Aurora Tower. Była to jedna z rozmów mających doprowadzić do ujawnienia tajnego źródła informacji Candace Snow. Stanton przyprowadził ze sobą Granta Sawyera, radcę z miejskiego biura prawnego. Duncan był zaskoczony tym, że prawnik ów nawet nie spróbował uczynić czegokolwiek, by unieważnić wezwanie do złożenia zeznań. Na spotkanie przybył także Daniel Rosenstein, prawnik reprezentujący „New York Journal”.

Duncan zaplanował, że od razu przejdzie do rzeczy. Nie zamierzał niepotrzebnie tracić czasu, gdyby miało się okazać, że to właśnie Stanton dostarczał Candace informacji.

– Panie Stanton – zaczął po zaprzysiężeniu świadka. – Był pan głównym przedstawicielem Wydziału Budownictwa prowadzącym dochodzenie w sprawie wypadku przy budowie Aurora Tower, zgadza się?

– Tak.

– I jako główny przedstawiciel wydziału prowadzący to dochodzenie miał pan obowiązek sformułowania wniosków dotyczących przyczyny wypadku?

– Zgadza się.

– Do jakich doszedł pan wniosków?

– Stalowe zbrojenie mające podpirać strop podczas wiązania betonu nie zostało prawidłowo zakotwione – powiedział Stanton pewnym tonem fachowca mającego doświadczenie techniczne, a zarazem przyzwyczajonego do wyjaśniania kwestii technicznych laikom. – Nie zastosowano też podparcia pomocniczego, dzięki któremu beton ma odpowiednio dużo czasu, by należycie stężeć. Członkowie ekipy budowlanej zwrócili uwagę na te niedociągnięcia, poinformowali również o zauważalnych pęknięciach betonu, które wskazywały na skalę naprężenia konstrukcji przed jego związaniem. Każdy budowlaniec znający podstawy swego fachu zorientowałby się, że oznaczało to znaczne ryzyko zawalenia. Moim zdaniem było to ewidentnie zamierzone zaniedbanie, o ile nie coś gorszego.

– W rzeczywistości pomyślał pan, że mogło to być przestępstwo, tak?

– Tak, dlatego zaleciłem przeprowadzenie śledztwa w sprawie karnej.

– Czy dołączył pan to zalecenie do wniosków wynikających z pańskiego dochodzenia przekazanych Wydziałowi Budownictwa?

– Tak, dołączyłem.

– Czy Wydział Budownictwa postąpił zgodnie z pańskim zaleceniem?

– Nie.

– Czy wydział zastosował się do innych zaleceń, które wynikały ze stwierdzenia zamierzonego naruszenia przepisów bezpieczeństwa?

Stanton wydawał się lekko poirytowany. Duncan nie wiedział, czy powodem tego rozdrażnienia jest uznanie przez Stanton'a pytania za oczywiste, czy też to, że przesłuchiwany właśnie inspektor przypomniał sobie niemożność przeforsowania swoich zaleceń.

– Nie – odpowiedział cierpko Stanton.

– Czy kiedykolwiek rozmawiał pan ze swoimi przełożonymi, by się dowiedzieć, dlaczego nie postąpiono zgodnie z pańskimi zaleceniami? – zapytał Duncan.

– Moi szefowie nigdy nie wyjaśniają mi powodów, dla których podejmują swe decyzje – odpowiedział Stanton. – W zasadzie dowiedziałem się o wszystkim dopiero po zapoznaniu się z końcowym sprawozdaniem.

– Czy nie przeszkadzało panu, że Wydział Budownictwa postanowił zrezygnować ze zbadania pańskich odkryć?

Stanton lekko się uśmiechnął.

– Martwię się trochę za każdym razem, kiedy ktoś się ze mną nie zgadza – odpowiedział. – Każdy myśli, że ma zawsze rację.

Duncan stwierdził, że nadeszła pora na przejście do sedna sprawy.

– Czy wie pan, kim jest Candace Snow? – zapytał.

– Jest reporterką, która napisała artykuł o wypadku na Aurora Tower – odpowiedział Stanton.

– Czy zna ją pan?

– Tak – odpowiedział Stanton.

Duncan wyczuł, że odpowiedź ta spowodowała zmianę panującego nastroju.

– Czy rozmawiał pan z nią o wypadku na Aurora Tower? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Stanton bez wahania.

Łatwość, z jaką się poddał, uderzyła Duncana, który spróbował nie dać tego po sobie poznać. Odczekał chwilę, chcąc ostrożnie i precyzyjnie sformułować kilka następujących pytań.

– Czy był pan tajnym źródłem dostarczającym Candace Snow informacji do jej opublikowanego w „New York Journal” artykułu o częściowym zawaleniu się Aurora Tower? – zapytał.

– Myślę, że tak.

– Myśli pan, że tak? Pan tego nie wie?

– „Tajne źródło” nie jest pojęciem, którego używam w życiu codziennym – odparł Stanton. – Nie wiem, co to dokładnie znaczy. Ale rozmawiałem z nią pod warunkiem, że nie wymieni mojego nazwiska. Jeśli to czyni ze mnie tajne źródło, to tak, byłem nim.

– Czy kiedykolwiek powiedział pan swojemu pracodawcy, że udzielał informacji wykorzystanych przez panią Snow w jej artykułach?

– Nie – odparł Stanton, zerkając na Sawyera zajętego zapisywaniem czegoś na żółtych kartkach notatnika. – Lecz coś mi mówi, że właśnie się tego dowiedział.

Duncan nie pomyślał wcześniej, że przesłuchanie to mogłoby przysporzyć Stantonowi kłopotów w Wydziale Budownictwa. Nie dlatego, że nie był to jego problem – straty w ludziach były częścią większości spraw sądowych.

– Co dokładnie powiedział pan pani Snow? – zapytał.

– Na pewno czytał pan już artykuł – odpowiedział Stanton.

– Proszę, by przypomnieli pan sobie to, co jej faktycznie powiedział. Nie to, co znalazło się w artykule.

Stanton rzucił gniewne spojrzenie na Duncana i napotkał jego spokojny wzrok.

– Przedstawiłem jej swój pogląd na wypadek i powiedziałem, że istnieje potrzeba jego zbadania pod kątem rozmyślnego działania, co doprowadziłoby do nałożenia dotkliwych kar i skierowania sprawy do prokuratora okręgowego w celu wszczęcia postępowania karnego. Powiedziałem jej też, że Ron Durant najwyraźniej widział to wszystko w zupełnie innym świetle i że mniej więcej miesiąc później opuścił on agencję i został zatrudniony w firmie architektonicznej Arps Keener.

Duncan nie chciał brnąć zbyt daleko, gdyż mogłoby się to obrócić przeciw jego klientowi. Wiedział, że Durant pracował właściwie dla Roth Properties, i rozumiał, że nie wyglądało to dobrze, mimo iż sam Roth uparcie twierdził, że współpraca ta nie przebiegała nigdy na zasadzie „coś za coś”.

– Czy zasygnalizował pan pani Snow, że na wnioski pana Duranta mogła mieć wpływ jakaś umowa, zgodnie z którą firma Roth Properties miała zatrudnić go jako architekta po jego odejściu z Wydziału Budownictwa?

– Nie mam żadnych dowodów, że zawarto taką umowę.

– Czy był pan jedynym w Wydziale Budownictwa źródłem informacji

potrzebnych pani Snow do napisania artykułu?

Stanton wzruszył ramionami.

– Nie pytałem i jestem pewien, że by mi tego nie powiedziała.

– Ile razy rozmawiał pan z panią Snow?

– Chyba cztery.

– Czy były to cztery różne wywiady dla potrzeb jej artykułu?

Stanton wiercił się na krześle i wyglądał na zakłopotanego.

– Był tylko jeden prawdziwy wywiad – powiedział. – Kiedy zadzwoniła do mnie po raz pierwszy, powiedziałem, że się zastanowię, czy chcę z nią rozmawiać. Później zatelefonowałem do niej i odbyliśmy rozmowę. Następnie ona zadzwoniła do mnie ponownie z prośbą o szybkie przekazanie kolejnych informacji, ponieważ przygotowywano artykuł do druku.

– A czwarta rozmowa?

Stanton przerwał i spojrzał na Sawyera, a następnie na Rosensteina.

– Zadzwoniłem do niej, gdy się dowiedziałem, że mam zostać przesłuchany.

– Zadzwonił pan do pani Snow, żeby jej powiedzieć o złożeniu zeznań?

– Tak.

– Dlaczego?

Stanton coraz bardziej się wahał.

– Nie chciałem, żeby wyszło na jaw, że to ja przekazałem jej informacje do artykułu – powiedział. – Moje nazwisko miało pozostać nieznane. Miałem nadzieję, że jej prawnik będzie w stanie uchronić mnie przed koniecznością złożenia zeznań.

Odpowiadając, Stanton zaczął otwarcie przyglądać się Rosensteinowi, który udawał, że niczego nie notuje.

– Czy pani Snow zapytała pana kiedykolwiek, czy pomyślał pan, że deweloper Aurora Tower, firma Roth Properties, miała udział w spowodowaniu wypadku?

– Być może. Nie jestem tego pewien.

– Czy uważa pan, że firma Roth Properties miała taki udział?

– Nie potrafię tego stwierdzić.

Odpowiedź ta nieco zaskoczyła Duncana.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– Wydział Budownictwa analizuje przyczyny wypadków ze względu na ich charakter fizyczny. Dlatego deweloper pod tym względem w zasadzie nigdy nie ma bezpośredniego udziału.

– Nie próbował pan zatem ustalić, czy firma Roth Properties mogła przyczynić się do wypadku?

– To raczej zadanie dla prokuratora okręgowego.

– Mogę więc założyć, że nigdy nie sugerował pan pani Snow, że to firma Roth Properties jest odpowiedzialna za wypadek?

– Tak – odpowiedział Stanton. – I nie przypominam sobie, by artykuł sugerował coś innego.

– Jeśli firma Roth Properties nie była odpowiedzialna za wypadek, to dlaczego próbowała doprowadzić do zakończenia dochodzenia?

– Sprzeciw – powiedział Sawyer. – To tylko spekulacje.

– Dochodzenie zazwyczaj spowalnia prace na budowie, co z kolei sprawia, że deweloper ponosi wyższe koszty – powiedział Stanton. – Na tym polega problem.

Duncan doszedł do wniosku, że właściwie dowiedział się już tego, czego zamierzał się dowiedzieć. Pozostało mu jedynie dochować należytej staranności, by mieć pewność, że Stanton nie posunie się do niespodziewanych ustępstw dotyczących dokładności informacji zawartych w artykule. Sięgnął po materiał dowodowy w postaci kopii artykułu w „New York Journal” i zaczął zadawać Stantonowi pytania związane z jego treścią. Uczynił to, by sprawdzić, czy nie zawierał on czegoś, czego Stanton mógł się wcześniej wyprzeć. Jak można się było spodziewać, nie zawierał: Stanton zgodził się, że to on był anonimowym źródłem informacji, zawartych w większości przytoczonych wcześniej obciążających fragmentów artykułu, i że oddawały one wiernie jego stanowisko w sprawie wypadku na Aurora Tower.

Gdy Duncan zakończył zadawanie pytań, do akcji wkroczył Rosenstein, który zmarnował sporo czasu, by dowieść, iż Stanton uznał treść artykułu za zgodną z ustaleniami, których dokonał, prowadząc dochodzenie w sprawie wypadku. Stało się to, czego obawiał się Duncan: ujawnienie źródła informacji wykorzystanych przez Candace odbyło się kosztem udzielenia jej przez Stantoną pełnego poparcia.

Wracając po przesłuchaniu do biura, Duncan nie mógł się pozbyć poczucia porażki. Blake zrozumiał, że ujawnienie tożsamości informatora reporterki prawdopodobnie storpeduje ich sprawę, lecz mimo to nakazał Duncanowi jej kontynuowanie bez względu na wszystko. Dlaczego? Duncan nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Nie potrafił dostrzec obrazu całości, w dużej części pozbawionego jakichkolwiek szczegółów. Było to uczucie, którego doznawał coraz częściej.

Duncan ponownie znalazł się w biurze prokuratora okręgowego w Hogan Place, czekając tym razem na spotkanie z jego zastępcami, zajmującymi się sprawą Rafaela Nazario. Negocjacje z prawnikami reprezentującymi stronę przeciwną nie były dla niego niczym nowym, teraz jednak przybrały zupełnie inny charakter. Duncan, zaprawiony w bojach o pieniądze, miał podjąć walkę o wolność swojego klienta. Dla zastępców prokuratora okręgowego – Gabrielle Castelluccio i Andrew Breama – występowanie w sprawach kryminalnych było chlebem powszednim. Mieli zatem pewność, że spotkanie z Duncanem odbywa się wyłącznie na ich terenie.

Jedyną do tej pory okazją do spotkania Duncana z prokuratorami była wizyta w sądzie, podczas której Andrew Bream odczytał Rafaelowi zarzuty. Duncan nie poznał jeszcze zastępczyni prokuratora okręgowego prowadzącej sprawę, zdołał się już jednak czegoś o niej dowiedzieć. Gabrielle Castelluccio była parę lat starsza od niego, ukończyła prawo na Uniwersytecie Columbia i po otrzymaniu dyplomu trafiła od razu do biura prokuratora okręgowego. Od kilku lat oskarżała w sprawach o zabójstwo i zdążyła już wystąpić w najgłośniejszych procesach.

Andrew Bream przyszedł po Duncana i zaprowadził go do sali konferencyjnej, w której czekała już prokurator Castelluccio siedząca u szczytu stołu. Wstała i uścisnęła dłoń Duncana. Była wysoka, szczupła i wysportowana. Miała długie ciemne włosy harmonizujące z czarnym kostiumem i białą bluzką. Mówiąc „dzień dobry”, nie uśmiechnęła się.

– Jak się żyje u Blake’a i Wolcotta? – zapytała.

– Nie narzekam – odpowiedział Duncan, zajmując miejsce naprzeciwko Breama.

– Paru moich znajomych ze studiów znalazło u nich zatrudnienie – powiedziała Castelluccio. – Między innymi moja dobra koleżanka Karen Cleary. Zna ją pan?

– Tak, znam. Co u niej?

Castelluccio wzruszyła ramionami.

– Prawo korporacyjne to nie dla mnie – powiedziała. – Ale Karen jest jedną z tych, którzy naprawdę się nim interesują. To, co się wydarzyło w firmie, nie było dla niej łatwe. Myślę jednak, że poczuje się lepiej, występując przed sądem.

– Prawdopodobnie nie powinienem o tym rozmawiać – odparł Duncan, mając niemal całkowitą pewność, że Castelluccio wspomniała o Karen tylko po to, by z nim zadrzeć. – Sprawa jest jeszcze w toku.

– Domyślam się zatem, że chce pan porozmawiać o Rafaelu Nazario – powiedziała Castelluccio.

Jej taktyka zadziałała: Duncan poczuł się wytrącony z równowagi. Castelluccio była godnym przeciwnikiem.

– Istotnie – odpowiedział Duncan. – Zamierzam podważyć wyniki badania kryminalistycznego.

– Na jakiej podstawie?

Duncan nie miał zamiaru wtajemniczać Castelluccio w szczegóły swego działania. Przed spotkaniem zaplanował, że udzieli jej jedynie ogólnych informacji.

– Policja umieściła Rafaela na tylnym siedzeniu radiowozu i nie zabezpieczyła jego dłoni przed ewentualnym zabrudzeniem – powiedział. – Badanie, które przeprowadzono dopiero kilka godzin później, wykazało obecność tylko kilku cząstek pozostałości po domniemanych wystrzałach. Mogły one trafić na dłonie mojego klienta w wyniku dotknięcia siedzenia równie łatwo, jak z powodu oddania strzałów z broni palnej.

Castelluccio zmarszczyła brwi i szybko zerknęła na Breama.

– Dowody tego rodzaju są dopuszczane – stwierdziła. – Moim zdaniem sprawa nie podlega dyskusji.

– Mój ekspert jest innego zdania – powiedział Duncan, sięgając do swej dyplomacji firmy Kenneth Cole. – Będę potrzebował dostępu do zapisów z laboratorium, na podstawie których sporządzono sprawozdanie. Przygotowałem stosowne pismo, proszę, oto ono.

– Nie sądzę, byśmy dysponowali tymi zapisami – odparła Castelluccio, spoglądając pytająco na Breama, który skinął głową. – Mamy tylko raport, podobnie jak pan.

Duncan miał zwyczaj zdobywania jak największej ilości materiałów, którymi dysponowali eksperci powoływani przez jego oponentów. Wiedział też, że zakładanie prawdziwości takich dokumentów jest błędem.

– Mój ekspert chce się zapoznać z tymi zapisami – powiedział. – Podlegają one obowiązkowi udostępnienia, a jeśli uważa pani, że stanowi ono jakiś problem, to z przyjemnością poinformuję sąd o pani stanowisku w tej sprawie.

– Nie musimy się spierać o zapisy z laboratorium – odparła wyraźnie poirytowana Castelluccio. – Skompletujemy je i udostępnimy pańskiemu

ekspertowi.

– Świetnie – powiedział Duncan. – Proszę więc posłuchać. Nie zna mnie pani osobiście i jestem pewien, że ma pani do czynienia z obrońcami, którzy składają niepoważne wnioski, wiedząc, że to i tak na nic. Ale ja nie składam swojego wniosku tylko po to, żeby to odfajkować. Pomyślałem, że zanim być może na tę sprawę padnie nowe światło, przekonam się, jakie karty chce pani wyłożyć na stół.

– Pański klient nie został aresztowany z powodu wykrycia na jego dłoniach pozostałości po wystrzałach – powiedziała Castelluccio. – Mamy motyw oraz świadka. I o ile się orientuję, uwzględnienie pańskiego wniosku sprawi, że prawdopodobieństwo skazania pańskiego klienta zmniejszy się najwyżej z dziewięćdziesięciu dziewięciu do dziewięćdziesięciu siedmiu procent.

– I właśnie dlatego nie proszę pani o wycofanie zarzutów – odparł Duncan. – Pytam tylko, co pani proponuje.

Castelluccio zamyśliła się, lecz Duncan stwierdził, że tylko udaje, a to, co zamierzała powiedzieć, wymyśliła już przed jego przybyciem.

– Zrezygnuję z dożywocia bez możliwości ubiegania się o warunkowe zwolnienie z więzienia i zażądam dwudziestu pięciu lat – powiedziała Castelluccio.

Duncan nie znał się zbytnio na praktyce prawa karnego, wiedział natomiast to i owo o negocjacjach z adwokatami strony przeciwnej.

– Zawsze to jednak morderstwo drugiego stopnia – odrzekł. – Taka oferta mogłaby paść, gdybym powiedział tylko, że Rafael to miły dzieciak.

– Nie – odpowiedziała Castelluccio. – Dobry dzieciak nie odbiera nikomu życia. Pański klient zabił Fowlera z powodu jego roli w poprzedniej sprawie, co sprawia, że mamy do czynienia z morderstwem pierwszego stopnia. Ja też stawiam sprawę uczciwie. Może pan to sprawdzić, jeśli jeszcze pan tego nie zrobił. Zdaję sobie sprawę, że jako kancelaria Blake and Wolcott możecie mi utrudnić życie, składając wnioski przedprocesowe przez dwa lata. Nic na tym nie zyskacie, lecz oderwiecie mnie od moich innych spraw. Jestem więc gotowa przystać na dwadzieścia pięć lat. Proszę potraktować to jako nagrodę za pańskie szybkie pojawienie się w moim gabinecie. Jeśli jednak będzie pan stwarzał problemy, wycofam tę propozycję.

– Myślę, że się dogadamy – powiedział Duncan. – Wygląda na to, że oboje będziemy mieli trochę pracy. Później zobaczymy, co ostatecznie udało nam się osiągnąć.

Castelluccio odchyliła się w fotelu i popatrzyła na Duncana z pogardliwym uśmiechem.

– A zatem jak się panu podoba bycie obrońcą chłopaka ze slumsów? – zapytała.

– Słucham? – odpowiedział zaskoczony Duncan, usiłując zrozumieć, co właśnie powiedziała.

– To chyba nie dla pana?

– Rafael jest moim klientem – przemówił w końcu Duncan.

Nie pamiętał już, kiedy się tak rozżłościł, rozmawiając z prawnikiem reprezentującym przeciwną stronę, gdyż, o ile dobrze zrozumiał, Castelluccio kwestionowała jego kompetencje. Mówił powoli, niskim głosem, lecz nie potrafił opanować jego drżenia.

– Miała to być sprawa o eksmisję – ciągnął. – Lecz teraz to już zupełnie co innego. To nie jest to, czym zajmuję się na co dzień, ale jestem prawnikiem, on jest moim klientem, a to, co dla niego robię, to moja powinność. Może mnie pani uważać za dyletanta, ja jednak wiem, na czym polega moja praca.

– Jestem pewna, że pan to wie, panie Riley – odparła Castelluccio. – Nie jestem tylko pewna, czy pańską pracą jest akurat to, co robi pan tu i teraz.

– Prawo to prawo – rzekł Duncan, spoglądając na swą oponentkę.

Castelluccio uśmiechnęła się blado.

– Czy właśnie tego uczą na Harvardzie? – zapytała.

Główna siedziba miejskiego Wydziału Budownictwa znajdowała się na dolnym Broadwayu, niedaleko ratusza. Candace spędziła kwadrans w holu na dziewiątym piętrze, zanim przyszedł po nią Forrest Garber. Przeprosił, że musiała czekać.

– Co u Bena? – zapytał, zapraszając gestem, by usiadła po przeciwnej stronie biurka.

– Nie bardzo się orientuję – odpowiedziała Candace.

Forrest popatrzył na nią zdezorientowany, a Candace zdziwiła się, dlaczego, u licha, Ben mu o niczym nie powiedział.

– Jesteśmy w separacji – dodała, widząc, że nie ma wyboru.

Forrest sprawił wrażenie bardziej zakłopotanego niż sama Candace.

– Kurczę, przykro mi – powiedział.

– To nie twoja wina – odparła Candace, rozglądając się po gabinecie Forresta, urządzonego praktycznie, lecz mało gustownie, w sposób spotykany jedynie w państwowych urzędach.

– Tak więc – odezwał się Forrest z zakłopotaniem – Ben powiedział mi, że interesuje cię sprawa przekształcenia Riis w osiedle dla rodzin o zróżnicowanych dochodach.

Candace skinęła głową. Wyjęła cyfrowy dyktafon i pokazała go Forrestowi, który gestem wyraził zgodę na nagrywanie rozmowy. Candace nacisnęła przycisk nagrywania i położyła dyktafon na brzegu biurka.

– W porządku – powiedziała. – Jaką funkcję tu pełnisz?

– Jestem zastępcą kierownika do spraw planowania polityki i analizy zarządzania. Biorę więc aktywny udział w zmianach związanych z budownictwem komunalnym.

– Rozumiem ogólną ideę tworzenia osiedli dla rodzin o zróżnicowanych dochodach – powiedziała Candace. – Rozumiem też, jakie to ma znaczenie dla waszego biura. Ale trochę dziwi mnie, że władze postanowiły zrealizować ten plan we współpracy z deweloperem komercyjnym.

– Można to łatwo wyjaśnić jednym słowem: pieniądze – odpowiedział Forrest. – Władze muszą stawić czoło wielkim niedoborom finansowym w budżecie, przede wszystkim z powodu wyczerpania się funduszy federalnych przeznaczonych na budownictwo komunalne. Większość naszych budynków wzniesiono po drugiej wojnie światowej. Nikt nie zakładał, że będą stały wiecznie, a nawet że przetrwają do tej pory.

Połączenie tych dwóch czynników sprawia, że nie możemy realizować naszych planów bez współpracy z sektorem prywatnym.

Candace słuchała tych słów ze sceptycyzmem.

– Więc budownictwo komunalne w tym kraju będzie komercyjne, jak więzienia i prywatni dostawcy broni? – zapytała.

Forrest uśmiechnął się, nie łapiąc przynęty.

– Zapewniam cię, że nowojorski deweloper zna lepsze sposoby na zarobienie pieniędzy – powiedział. – Zresztą tylko jedna trzecia osiedla zostanie wystawiona na sprzedaż.

– Przypuszczam jednak, że dla dewelopera jest to o wiele mniej ryzykowne niż zajmowanie się konwencjonalnym budownictwem komercyjnym – stwierdziła Candace.

– Pewnie – odpowiedział Forrest. – Ale deweloperzy uwielbiają ryzyko. W przeciwnym wypadku nie zajmowałiby się nieruchomościami.

Candace skinęła głową, przyznając Forrestowi rację.

– Interesuje mnie głównie, dlaczego wasze biuro przekazuje fundusze Koalicji Społeczności Alphabet City, skoro organizacja protestuje przeciwko wprowadzeniu zmian na osiedlu Jacob Riis – powiedziała Candace.

– Ben wspominał mi o tym, więc się przyjrzałem – odrzekł Forrest. – Pieniądze przechodzą przez nas, ale w rzeczywistości przydzielane są przez pewną miejską radną. Kwota przyznawana przez radę miasta na finansowanie niedochodowej organizacji tego rodzaju jest następnie przekazywana jej przez odpowiednią agencję, właściwą dla rodzaju projektu. Agencja zaś sprawuje nadzór nad organizacją i czuwa, by pieniądze zostały wykorzystane zgodnie z ich przeznaczeniem. Lecz to nie my decydujemy, do kogo naprawdę trafiają te fundusze.

– Co to za radna? – zapytała Candace.

– Karla Serran. To przewodnicząca komitetu mieszkalnictwa socjalnego, jest więc zainteresowana tymi sprawami.

Candace rozumiała wszystko, co powiedział jej Forrest, lecz nie potrafiła powiązać faktów w logiczną całość.

– To niewiele wyjaśnia – powiedziała. – Jedna z waszych agencji odpowiedzialna jest za przebudowę osiedla Jacob Riis, a zarazem przekazuje fundusze grupie, której jedynym celem wydaje się organizowanie protestów przeciw tym zmianom.

– Ironia, zresztą nazwij to, jak chcesz – odparł Forrest. – Ale jak już powiedziałem, nie mieliśmy żadnego wpływu na przyznanie pieniędzy Koalicji, a pieniądze te nie pochodzą z naszego funduszu operacyjnego. My

w zasadzie tylko je dystrybuujemy. Na takiej zasadzie odbywa się przydzielanie przez radę miejską funduszy organizacjom niedochodowym.

– Rozumiem – powiedziała Candace. – I, jak przypuszczam, nie odgrywacie żadnej roli w nadzorowaniu Koalicji?

– Najmniejszej – odpowiedział Forrest. – Tym, co się dzieje na osiedlu Jacob Riis, zajmowałem się tylko na wczesnych etapach planowania. Ale o ile wiem, kontrola wszystkiego, co dotyczy Koalicji, wypadła pomyślnie.

– Jej finansowanie naprawdę mnie interesuje.

– Rozumiem. Prawdopodobnie wygląda to z zewnątrz nieco dziwnie – powiedział Forrest. – Ale w gruncie rzeczy to nic niezwykłego. Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

– To chyba wszystko – odpowiedziała Candace i wyłączyła dyktafon.

Forrest sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej wizytówkę.

– To moje namiary, na wypadek gdybyś chciała się jeszcze czegoś dowiedzieć – powiedział. – Aha, jeszcze jedno: przykro mi, że tobie i Benowi wyszło tak, a nie inaczej. Separacja... To musi być trudne...

Candace nie zareagowała, choć nie była do końca pewna, czy Forrest aby nie sprawdza jej zainteresowania tą sprawą.

– Wszystko zależy od tego, z czym się porównuje separację – rzekła. – Można ją porównać na przykład z małżeństwem.

Gdy Forrest się roześmiał, Candace zauważyła obrączkę na jego palcu.

– Jak powiedziałem, gdybym mógł jeszcze coś dla ciebie zrobić...

Candace przyjęła wizytówkę i zasalutowała, przykładając kartonik do czoła.

– Z pewnością powiem Benowi, jak bardzo mi pomogłeś – oznajmiła.

Wróciwszy do redakcji, Candace zaczęła wyszukiwać informacje o miejskiej radnej Karli Serran, zastanawiając się, czy poparcie radnej dla Koalicji Społeczności Alphabet City nie stanowi części szerszego frontu oporu przeciwko zmianom na osiedlu Jacob Riis. Karla Serran, radna pierwszej kadencji, wychowała się właśnie na tym osiedlu. Musiało to wpłynąć na jej biografię polityczną. Uczęszczała do Stuyvesant i Cornell, po czym dostała się na prawo na Uniwersytecie Fordham. Poświęciła większość swej zawodowej kariery na pracę dla miasta – początkowo jako prawniczka, później jako działaczka samorządowa. W końcu została członkinią rady miejskiej.

Candace nie potrafiła znaleźć niczego, co łączyłoby Karłę Serran z Koalicją Społeczności Alphabet City. Wprost przeciwnie: radna publicznie wyrażała swoje poparcie dla przebudowy osiedla Jacob Riis, występując

w jego imieniu i mówiąc o jego fatalnym stanie oraz o niebezpiecznych stronach życia w miejscu, w którym sama się wychowała. Udzielając wsparcia Koalicji, Karla Serran zdawała się zatem grać na dwa fronty.

Candace wróciła do informacji dotyczących Koalicji Społeczności Alphabet City, usiłując znaleźć wspólny element łączący ją z radną Serran. W końcu jej się udało: dostrzegła, iż jednym z członków zarządu Koalicji jest Antonio Serran. Candace uznała, że w tym wypadku prawdopodobieństwo wystąpienia przypadkowej zbieżności nazwisk równe jest zero.

Jeśli Antonio był członkiem rodziny Karli, nie mogło dziwić, że pomagała ona w finansowaniu jego organizacji. Lecz będąc politykiem, kierować pieniądze do organizacji społecznej, w której zarządzie zasiada małżonek lub krewny, to kiepski pomysł. Oczywiście takie rzeczy w polityce zdarzały się zawsze. Pewnie wystarczyłoby to już na cały artykuł, lecz Candace postanowiła dowiedzieć się więcej o Koalicji Społeczności Alphabet City. Coś tu nie grało i Candace to czuła.

Ta ugoda nie jest taka beznadziejna – powiedział Duncan, choć nawet nie próbował udać entuzjazmu.

Przebywał sam na sam ze swym klientem w pokoju widzeń więzienia na Rikers Island. Pomieszczenie było ciasne, a siedzący naprzeciwko siebie Duncan i Rafael niemal stykali się kolanami. Jedna ze ścian, wykonana ze wzmocnionego szkła, pozwalała strażnikom obserwować przebywających w pokoju.

Duncan wiedział, że oczekiwano od niego nakłonienia Rafaela do przyznania się do winy, lecz nie miał do tego serca. Nie zamierzał zniechęcać swego klienta do przyjęcia propozycji prokuratora, a zarazem był daleki od natarczywych namów.

– Dwadzieścia pięć lat? – zapytał Rafael z niedowierzaniem. – Powiedział pan: dwadzieścia pięć lat?

– Taka jest propozycja prokuratora – wyjaśnił Duncan. – Ale to nie oznacza, że naprawdę będziesz musiał odbyć całą tę karę. Jest jeszcze dobre zachowanie i możliwość ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie.

– A jak może wyglądać beznadziejna ugoda? – zapytał Rafael. – Wywloką mnie na dziedziniec i strzelą mi w łeb?

– Postawiono ci zarzut morderstwa, Rafaelu – powiedział Duncan. – W takiej sytuacji zawarcie ugody obrończej zawsze kończy się poważnym wyrokiem.

Rafael wciąż nie dopuszczał do siebie myśli o możliwości spędzenia dwudziestu pięciu lat za kratkami.

– Poważnym wyrokiem? Za co? – zapytał. – Co takiego zrobiłem, że będę musiał pójść do więzienia?

– Mam obowiązek powiadomienia cię o terminie przedstawienia ci przez prokuratora okręgowego propozycji ugody. Muszę ci też wyjaśnić, jakie skutki może mieć przyjęcie tej propozycji w porównaniu z tym, do czego mogłoby doprowadzić uznanie cię za winnego w wyniku procesu sądowego. Nie oznacza to, że musisz przyjąć ofertę prokuratora. Nie oznacza też, że nie możemy zdecydować się na proces. Musisz jednak zrozumieć, że większość spraw o morderstwo nie kończy się pomyślnie dla oskarżonych.

– Ale mówił pan, że może powiedzieć sędziemu, że nie strzelałem, prawda?

Duncan zdawał sobie sprawę, że Rafael zbyt kurczowo trzyma się myśli, że jego sytuacja jest jedynie wynikiem nieporozumienia, które będzie można z łatwością wyjaśnić.

– Mam taką nadzieję, ale do końca tej sprawy jest jeszcze daleko – powiedział Duncan. – Nie myśl, że będę mógł wyciągnąć cię z tego ot tak, po prostu. To znaczy zrobię wszystko, co będę mógł, ale chcę, żebyś wiedział, że nie mogę ci niczego obiecać.

Rafael pokręcił z niedowierzaniem głową i odchylił się na krześle, a gniew malujący się na jego twarzy sprawił, że pokój przesłuchań wydał się jeszcze mniejszy.

– Więc mówi mi pan, że powinienem spędzić w więzieniu całe dwadzieścia pięć lat za coś, czego nawet nie zrobiłem? – zapytał.

Duncan pamiętał o poleceniach Blake'a, lecz równocześnie wierzył, że jego podstawowym obowiązkiem jest trzymanie strony klienta. W jakimś stopniu nie chciał też, by Rafael tak łatwo przyznał się do winy.

– Posłuchaj – powiedział. – Jeśli nie chcesz iść na układ z prokuratorem, to nie idź. Pamiętaj tylko, że nie jestem Supermanem. Nawet jeśli uda mi się podważyć wyniki badania pozostałości po wystrzale, to prokurator okręgowy ma jeszcze świadka i motyw. Najwyraźniej utrata tego dowodu nie napełnia go szczególną obawą. Nie mogę ci obiecać, że będzie lepiej niż teraz.

Rafael spojrzał na Duncana z uwagą.

– Chcę walczyć – powiedział. – Czy pan też będzie walczył?

Duncan napotkał wzrok Rafaela.

– Tak, będę – odpowiedział. – To mogę ci obiecać.

– Mimo że nie mam czym panu zapłacić?

Duncan poczuł się obrażony tym pytaniem, lecz szybko zdał sobie sprawę, że nie może winić Rafaela z powodu jego wątpliwości.

– Nie o to chodzi, Rafaelu – odrzekł. – Otrzymuję pieniądze za swoją pracę, w tym za bycie twoim obrońcą. Robię to, co robię, i mówię to, co mówię, niezależnie od tego, czy byłbyś w stanie mi zapłacić, czy nie.

– Ruszajmy więc na wojnę – powiedział Rafael.

Wracając wypożyczonym wozem z Rikers Island na Manhattan, Duncan zastanawiał się, jak powiedzieć o wszystkim Blake'owi, który bez wątpienia będzie niezadowolony.

Oznaczało to również konieczność obmyślenia dalszego sposobu prowadzenia sprawy. Pewną rzeczą było przesłuchanie w sprawie wyników badań kryminalistycznych. Miało ono pokazać, czy uda się odrzucić ten

dowód. Mimo tego, co powiedziała Castelluccio, przesłuchanie to prawdopodobnie mogłoby doprowadzić do wynegocjowania znacznie korzystniejszej propozycji ze strony prokuratury.

Zarazem jednak nadeszła pora na podjęcie prawdziwego wysiłku mającego doprowadzić do udowodnienia niewinności Rafaela. Duncan uznał, że niekoniecznie musi poinformować Blake'a o tej części planu, lecz nie widział sposobu na uniknięcie choćby minimum starań w tym kierunku. W sprawie Rafaela występował tylko jeden świadek; było więc rzeczą oczywistą, że należy bardzo dokładnie przyjrzeć się Chrisowi Driscollowi.

Duncan nie mógł otrząsnąć się z dziwnego uczucia, które prześladowało go od chwili, gdy Blake nakazał mu dalsze prowadzenie sprawy Rafaela. Działo się coś, czego Duncan nie rozumiał – coś, co przypominało realizację tajemnego planu. Duncan miał podejrzenie, że jest wykorzystywany. Nie domyślał się jednak, w jaki sposób ani przez kogo. Z kolei Blake zawsze niechętnie udzielał mu jakichkolwiek informacji, a ostatnie dwa tygodnie były pełne zamieszania, zwłaszcza z powodu pojawienia się w jego życiu Lei Roth. Duncan nie potrafił się w tym wszystkim połapać. Postanowił zatem zabrać się do tego, co miał do zrobienia. Wiedział, że jeśli dzieje się coś, z czego nie zdaje sobie sprawy, to w końcu i tak się o tym dowie – przy odrobinie szczęścia we właściwej chwili.

Witaj w naszej jaskini – powiedział Jeremy do Mattara al Falasiego.

Znajdowali się w Buddha Lounge, podziemnym nocnym klubie w Meatpacking District, ukryci w prywatnej sali dla VIP-ów, która faktycznie przypominała wystrojem jaskinię.

Alena, początkowo trochę protestując, przyprowadziła ze sobą swoją przyjaciółkę Ivy, która miała dotrzymać towarzystwa Mattarowi. Ivy była Azjatką, a do tego modelką, choć nie występowała już w tej roli tak często jak kiedyś. Jeremy nie był pewien, czy bezmyślny wyraz twarzy Ivy jest sposobem okazywania wyższości, czy też jedynie odzwierciedla jej wewnętrzną pustkę.

Mattar miał na sobie garnitur bez krawata. Jeremy, który nigdy jeszcze nie widział go w innym stroju, ubrał się bardziej swobodnie – włożył bluzę polo od Armaniego, nie chcąc wyglądać tak, jakby przybył do klubu prosto ze spotkania w interesach. Alena i Ivy wyglądały, rzecz jasna, wspaniale. Ivy wystroiła się w małą czarną – bez rękawów, za to z rozcięciami do połowy uda, Alena zaś w turkusową sukienkę z dekoltem w łódkę, tę, która najbardziej podobała się Jeremy'emu.

W prywatnych salach Buddha Lounge można było zamawiać jedynie całe butelki alkoholu. Jeremy zabulił trzysta pięćdziesiąt dolarów za litrową grey goose, którą można było kupić w sklepie monopolowym za mniej niż czterdzieści. Lecz wcale się tym nie przejął: koszty dzisiejszego spotkania z Mattarem, a tym samym rachunki z baru, miały obciążyć konto firmy. Ojciec Jeremy'ego wciąż trzymał go na krótkiej finansowej smyczy i w zasadzie zmuszał do przeżycia jedynie z pensji, podczas gdy poważne kwoty, których Jeremy nie mógł tknąć, ulokowane były w długoterminowych funduszach powierniczych i nieruchomościach.

Jeremy już od czasów szkoły średniej nie zadowalał się sumami, które otrzymywał. Nie można się temu było dziwić: wszyscy wiedzieli, jak bogatą ma rodzinę, i mieli pewne oczekiwania wobec jego stylu życia. Jeremy nie był w stanie nikogo przekonać, że otrzymuje od ojca zaledwie ułamek tego, co wszyscy sobie wyobrażają.

Blond barmanka pochyliła się, ukazawszy dekolt, naląła całej czwórce martini i z powrotem włożyła butelkę do pozłacanego kubelka z lodem. Był to dopiero pierwszy tego wieczoru drink Jeremy'ego. Spotkanie miało w końcu charakter biznesowy, więc Jeremy chciał zachować w obecności

Mattara przynajmniej częściową przytomność umysłu.

– Na zdrowie! – powiedział. – Za nową przyjaźń!

Wszyscy tręcili się kieliszkami, lecz dało się w tym wyczuć pewien przymus. Nikt z wyjątkiem Jeremy'ego nie starał się nawet udawać zadowolenia. Jeremy nie pojmował, dlaczego Mattar wydaje się tak obojętny – przecież cały wieczór zorganizowany został dla niego, a Jeremy sądził, że załatwił wszystko, o co Mattar poprosił.

– Czy twoja rodzina wróciła już do miasta? – zapytał.

– Mój ojciec przebywa w tej chwili w Dubaju, a brat poleciał do Los Angeles – odpowiedział Mattar.

Jeremy wiedział, jak rozmawiać o interesach, lecz inne tematy wprawiały go w zakłopotanie.

– Ivy wróciła właśnie z Paryża – powiedział, chwytając się pierwszej myśli, jaka przyszła mu do głowy.

Mattar spojrział na Ivy, siedzącą z niezmiennym, beznamiętnym i grzecznym wyrazem twarzy.

– O, naprawdę? – odparł. – To oczywiście piękne miasto, lecz dla mnie i dla moich przyjaciół relacje z Francuzami są zbyt trudne.

– Trudniejsze niż z Amerykanami? – zapytała Alena.

Jeremy'emu nie spodobał się taki obrót rozmowy.

– Z Amerykanami również bywa trudno – odpowiedział Mattar. – Irak, poparcie dla Izraela...

– Prawdę mówiąc, myślałam o jedenastym września – powiedziała Alena.

Mattar zamilkł na chwilę i skinął pojednawczo głową.

– Tak, oczywiście – powiedział. – Ale niektórzy Amerykanie zdają się uważać, że był to dzień, w którym Ameryka zetknęła się ze światem arabskim po raz pierwszy.

– Zetknęła się? Nazwałabym to nieco inaczej – stwierdziła Alena.

Jeremy pomyślał, że rozmowa wymyka się spod kontroli.

– Przestańmy już – powiedział.

– Była to oczywiście straszliwa tragedia – ciągnął Mattar, nie zważając na wtrącenie się Jeremy'ego. – Ale chodziło mi o to, że kiedy tu przebywam, Amerykanie, a zwłaszcza nowojorczy, w dalszym ciągu widzą we mnie osobę, a nie arabskiego terrorystę. Natomiast w Paryżu jestem tylko Arabem, niczym więcej.

– Tam jest inny świat – powiedział Jeremy, odezawszy się tylko dlatego, by nie pozwolić Alenie dojść do głosu.

Alena niespodziewanie wstała i powiedziała, że ma ochotę zatańczyć. Zaraz poderwała się Ivy.

– To nie dla mnie – powiedział Mattar. – Ale wy się nie krępujcie, śmiało.

– Zostanę z Mattarem – oświadczył Jeremy. – Bawcie się dobrze.

Alena i Ivy skierowały się na parkiet. Jeremy uśmiechnął się do Mattara, a następnie pociągnął łyk martini.

– Mam nadzieję, że odpowiada ci to miejsce – powiedział.

– Tak, bardzo tu miło – odpowiedział Mattar, rozglądając się dokoła, jakby istotnie zapomniał zrobić to wcześniej.

– A co sądzisz o towarzystwie? – zapytał Jeremy.

Mattar zawahał się, choć uczynił to bardziej z grzeczności niż z powodu niepewności.

– Jeśli mam być szczery, wolę inne – odpowiedział.

Jeremy nawet nie próbował ukryć swego zaskoczenia.

– Chodzi ci o Alenę? – zapytał.

– Wybacz, że powiem otwarcie: wolę białe dziewczyny – odrzekł Mattar z lekkim uśmiechem. – Być może prawdą jest też, że lubię trudne kobiety.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy – powiedział Jeremy i roześmiał się, ponieważ nie wiedział, jak powinien się zachować w tej sytuacji.

– Jeśli Azjatka jest dla ciebie atrakcyjna, to może... – Mattar nie dokończył.

Jeremy uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Nie, ale... Alena jest ze mną – odparł.

Mattar zarumienił się.

– To twoja dziewczyna? – zapytał.

– Może to nie do końca właściwe słowo, ale tak, widujemy się – odpowiedział Jeremy.

– Pomyślałem, że... Wybacz mi, proszę – powiedział Mattar.

– To zwykłe nieporozumienie – odrzekł szybko Jeremy, dopijając martini. – Nie myśl już o tym.

– Musisz uważać mnie za prostaka – powiedział Mattar. – Tam, skąd pochodzę, sprawy damsko-męskie wyglądają zupełnie inaczej. Gdy widzę kobiety chwalone się swoim ciałem, dochodzę być może do błędnych wniosków. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

– W porządku – odparł Jeremy. – Nic się nie stało.

Wmówił sobie, że to prawda, i postanowił uznać tę sytuację za zabawną. Ale, do licha, to przecież było zabawne, jeśli spojrzeć na to w odpowiedni

sposób. Alena z pewnością miałaby inne zdanie na ten temat. Ale ona po prostu nie potrafiłaby tego zrozumieć.

Rafael nie wiedział, że jego matka jest w Nowym Jorku, dopóki nie zobaczył jej w więzieniu. Yara przyszła sama, co zaskoczyło Rafaela: spodziewał się, że będzie się raczej kryła za plecami babki.

Yara urodziła Rafaela, gdy była niewiele starsza niż on teraz. Jego rodzice nigdy nie wzięli ślubu, chociaż mieszkali razem w Vieques przez kilka pierwszych lat życia chłopca. Gdy Rafael miał około trzech lat, jego ojciec wyjechał do Nowego Jorku w poszukiwaniu pracy. Yara i Rafael mieli dołączyć do niego po miesiącu, lecz miesiąc ten zamienił się w rok oczekiwania na wyjazd na północ.

Yara wzięła zatem sprawy w swoje ręce. Wzięła ze sobą Rafaela, wybrała się w podróż, chcąc złożyć jego ojcu niezapowiedzianą wizytę. Rafael był zbyt mały, by zapamiętać cokolwiek z tamtej wyprawy. W Nowym Jorku Yara odkryła, że jego ojciec zamieszkał z inną kobietą.

Zastanawiając się nad przeszłością, Rafael domyślał się, że jego matka musiała się spodziewać, co zastanie na miejscu. Niemniej jednak Yara postanowiła zostać w Nowym Jorku. Niedługo potem przybyła z Vieques matka Yary. Zamieszkała z córką i wnukiem. Sięgając do swych najwcześniejszych wspomnień, Rafael nie pamiętał niczego poza życiem w towarzystwie matki i babki na osiedlu Jacob Riis. Nigdy więcej nie zobaczył już ojca. Nie pamiętał go i nie byłby w stanie go rozpoznać, gdyby minęli się na ulicy.

Gdy miał dwanaście lat, jego matka trafiła do więzienia. Babka wzięła wówczas na siebie cały trud wychowania Rafaela, za co on odpłacił jej największym zaufaniem. Babka Rafaela przeżyła trudne lata, widząc śmierć jego wielu szkolnych kolegów, którzy mieli do czynienia z narkotykami i należeli do gangów. Rafael nie przerwał jednak nauki i zeszłej wiosny ukończył szkołę średnią. Został zatrudniony na pełny etat w Alchemy. Uwielbiał pracę w restauracji. Uczęszczał na zajęcia w Instytucie Kulinarnym, by pewnego dnia zostać szefem kuchni, a może nawet otworzyć własny lokal.

Teraz jednak realizacja tych marzeń wydawała mu się czymś bardzo odległym. Trudno myśleć o jakiegokolwiek przyszłości, gdy przebywa się w surowym więzieniu na Rikers Island. Rafael postanowił zatem skupić się na terażniejszości i na niespodziewanej wizycie matki.

Nie widział się z nią prawie rok. Minęło już prawie siedem lat od chwili,

gdy ją aresztowano i przestali razem mieszkać. Yara została zatrzymana podczas narkotykowej imprezy w mieszkaniu jej przyjaciela i oskarżona o posiadanie kokainy z zamiarem jej rozprowadzania. Upierała się, że ją wrobiono, do ostatniej chwili odmawiała przyznania się do winy i odmówiła składania zeznań obciążających jej partnera. Została skazana na osiem do dwunastu lat więzienia i odsiedziała pięć. Po wyjściu na wolność postanowiła wrócić do Vieques. Rafael nie brał pod uwagę wyjazdu z matką. Wychował się w Nowym Jorku, który stał się jego domem, a babka pełniła rolę rodzica lepiej niż Yara.

Rafael w ostatnich latach był w Portoryko dwa razy na Boże Narodzenie. Mimo to ostatni raz widział się z matką tuż po wypuszczeniu jej z więzienia. Po przeprowadzce do Vieques Yara ani razu nie pokazała się w Nowym Jorku. Winiła to miasto za całe zło, które ją spotkało. Rafael uznał to za bzdurę i chęć usprawiedliwienia się matki przed samą sobą.

– Nie musiałaś tu przyjeżdżać – powiedział po hiszpańsku, gdy usiedli naprzeciwko siebie.

– Oczywiście, że musiałam – odpowiedziała, również po hiszpańsku, Yara.

W jej oczach zaczęły się już zbierać łzy. Właśnie przekroczyła czterdziestkę, choć zdaniem Rafaela wyglądała starzej: utyła, a jej ciemne włosy poprzetykane były siwymi pasmami.

– Mój jedyny syn w więzieniu – powiedziała.

– Nie zrobiłem nic złego.

– Powinam była namówić cię do powrotu do domu – powiedziała Yara.

Po jej policzku stoczyła się łza. Yara nawet nie próbowała jej otrzeć, jakby wcale nie poczuła jej na twarzy.

– To przez to miasto – dodała. – Ono pożera naszych.

– Nie płacz, mamó – powiedział Rafael. – Nie chcę widzieć, jak płaczesz.

– Zawsze byłeś taki dobry... Wiem, zawiodłam cię... Ale próbowałam.

Wrażliwość Rafaela uzewnętrzniała się poprzez jego gniew.

– Jak mogłaś próbować, siedząc w więziennej celi? – zapytał.

Zauważył, że ubodło to matkę i że usiłuje ona pokonać własny gniew.

– Byłeś w moim sercu przez te wszystkie dni, które spędziłam w więzieniu – powiedziała. – Modliłam się za ciebie. To była pierwsza rzecz po przebudzeniu i ostatnia przed zaśnięciem.

Rafael nie wiedział, dlaczego o tym napomknął ani dlaczego znowu to przerabiają. Ale teraz, kiedy już zaczęli o tym rozmawiać, trudno mu było odpuścić.

– Mogłaś od razu dogadać się z prokuratorem – powiedział. – I mogłaś zeznawać przeciwko Emilio. Wcale nie musiałaś spędzić tylu lat w więzieniu.

Yara wyjęła w końcu chusteczkę i otarła łzy z twarzy. Rafael poczuł wstyd. Przysporzył matce dodatkowych cierpień, jakby nie wystarczył jej sam widok uwięzionego syna.

– Wtedy niełatwo mi było wybierać – powiedziała Yara. – Gdybym tylko mogła, na pewno postąpiłabym inaczej.

– Wiem, mamó – odparł Rafael pojednawczo.

– Po wyjściu z więzienia chciałam, żebyś ze mną wyjechał. W Vieques bywa ciężko, ale ludzie trzymają się tam razem.

– Moje miejsce jest w Nowym Jorku – odrzekł Rafael, choć nie był już pewien, czy to prawda. – Nauczyłem się tu jednego: zawsze będę Portorykańczykiem, nigdy Amerykaninem.

– Gdy wszystko się wyjaśni, może pomyślisz o wyjeździe do Vieques, żeby tam zamieszkać – powiedziała Yara. – Co mówi twój adwokat?

– Prokurator okręgowy proponuje mi dwadzieścia pięć lat, jeśli przyznam się do winy. Odrzuciłem tę ofertę i będziemy musieli powalczyć.

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie da się tego wszystkiego wyjaśnić.

Rafael zadawał sobie to samo pytanie, gdy aresztowano go po raz pierwszy. Teraz uznał je za naiwne.

– Nikogo nie obchodzi, co się naprawdę stało – powiedział. – Wystarczy tylko znaleźć pierwszego lepszego Portorykańczyka, który mógłby mieć powód do zastrzelenia białego, i wsadzić go za kratki. Tak jest od zawsze.

Yara ponownie się rozplakała, tym razem gwałtowniej.

– Wiem, że nabałaganiałam w twoim życiu – wydusiła z siebie. – I to miasto... Nie potrafiłam już tu mieszkać. Nie było mnie tu, kiedy mnie potrzebowałeś.

– Nie musiałaś tu wracać – odezwał się Rafael głosem, w którym wzbierał chłód.

Nie wierzył, że jego matka przyjechała tu dla niego, i nie zamierzał się przed nią otworzyć. Nie mogła mu tu pomóc. Nigdy mu nie pomogła, a on nie potrzebował kolejnego rozczarowania.

– Poradzę sobie z tym wszystkim, tak samo jak z innymi sprawami – powiedział. – Poradzę sobie sam.

Duncan nie przejmował się koniecznością odbycia rozmowy ze świadkiem strzelaniny, w której zginął Fowler, dopóki zakładał, że sprawa jego klienta zakończy się szybkim zawarciem ugody obrończej. Chris Driscoll, podobnie jak Fowler, był kiedyś policjantem, co oznaczało, że uznany zostanie za dobrego świadka, a zarazem zrobi wszystko, by doprowadzić do skazania domniemanego mordercy. Duncan chciał się przekonać, czy relacja Driscolla nie zawiera błędów, które można by było wykorzystać, i dowiedzieć, jak doszło do tego, że ochroniarz znalazł się w pobliżu miejsca zbrodni. Duncan zamierzał posłużyć się sprawdzonymi metodami, dzięki którym mógłby podważyć wiarygodność świadka: powołać się na możliwość niepewnego rozpoznania sprawcy, wynikającą z różnic rasowych lub efektu skupienia się na broni.

Nie mając pewności, czy Driscoll zgodzi się na spotkanie, Duncan postanowił zjawić się wieczorem bez zapowiedzi na osiedlu Jacob Riis i tam znaleźć ochroniarza. Wyszedł z biura około siódmej i udał się w okolice Avenue D oraz Dwunastej Ulicy. Dotarł tam taksówką z powodu znacznego oddalenia Alphabet City od sieci metra.

Nie była to dzielnica Duncana i nie miał wątpliwości, że to widać. Szedł jednak żwawym krokiem, maszerując z determinacją, choć nie wiedział nawet dokładnie, dokąd zmierza. Chciał wyglądać na pewnego siebie. Nie odczuwał niepokoju: dawno minęły czasy, gdy mawiało się, że litery oznaczające kolejne ulice Alphabet City znaczą Atakować, Bić, Ciąć i Dźgać. Wprawdzie Avenue D wciąż pozostawała daleko w tyle w stosunku do zachodzących zmian, lecz przechadzanie się nią nie wiązało się już z bezpośrednim zagrożeniem życia.

Przebudowa osiedla Jacob Riis szła pełną parą. Miasto burzyło stare bloki przecznica po przecznicy i przenosiło ich mieszkańców na inne osiedla albo zaopatrywało w vouchery, za pomocą których mogli pokryć koszty wynajmu prywatnych mieszkań. Wyburzono dotąd bloki między ulicami Trzynastą i Jedenastą – tam, gdzie można było spotkać najwięcej ochroniarzy, a zarazem w miejscu, w którym Duncan odnalazł w końcu Chrisa Driscolla.

Driscoll dobiegał pięćdziesiątki. Był przysadzisty, lecz wyglądał na sprawnego fizycznie. Miał płowe włosy, a jego bladoniebieskie oczy nadawały mu nieco demoniczny wygląd. Przechadzał się właśnie wzdłuż

linii dzielącej nowe budynki od starej, niewyburzonej jeszcze części osiedla. Gdy Duncan przedstawił się Driscollowi jako obrońca Rafaela, ochroniarz nie wyglądał na zaskoczony.

– Czy mógłbym zadać panu kilka pytań dotyczących tamtego wieczoru?
– zapytał Duncan.

On i Driscoll stali pod ogrodzeniem ze sklejki, które otaczało plac budowy. Duncan zdał sobie sprawę, że znajdują się o niecałą przecznicę od miejsca, w którym został zastrzelony Fowler.

– Czekałem na kogoś z jego strony – powiedział Driscoll. – Ale nic, co wiem, nie pomoże pańskiemu klientowi.

– Jak długo pracuje pan dla Darryla Loomisa?

– Prawie dwa lata.

– Czy dobrze znał pan Seana Fowlera?

– Widywałem go prawie codziennie, odkąd wyznaczono nas obu do pilnowania tego osiedla – odpowiedział Driscoll. – Nie mogłem nie poznać człowieka, z którym tak często pracowałem.

– Na czym dokładnie polega wasza praca jako ochroniarzy na tej budowie?

– Dokonujemy obchodów i pilnujemy terenu z budek, które ustawiamy w pobliżu sprzętu budowlanego. Naszym głównym zadaniem jest dopilnowanie, żeby nikt się tu nie wślizgnął i niczego nie wyniósł. Nikt tu teraz nie mieszka i dlatego niektórzy uważają, że dzięki temu można się łatwo obłować.

– Czy były tu jakieś kłopoty przed strzelaniną? – zapytał Duncan.

– Jakież dzieciaki próbowały przeskakiwać przez płot dla zabawy, nic szczególnego – odpowiedział Driscoll. – To żaden problem.

– Czy Fowler miał jakiegokolwiek zatargi z kimś w okolicy?

– Z kimś poza pańskim klientem?

Duncan nie połknął haczyka, uśmiechnął się tylko szeroko.

– Właśnie o to mi chodzi – odpowiedział.

Jeden z kącików ust Driscolla wykrzywił się w coś w rodzaju półuśmiechu.

– Interweniowaliśmy tu czasem z powodu spraw mniejszego kalibru – odpowiedział Driscoll. – Działy się tu różne rzeczy, które uchodziły ludziom na sucho, bo gliniarzy nie obchodzi, co się dzieje na Avenue D, dopóki nie ma trupa. Teraz zmuszają nas do pisania raportów. Nie da się przygotować tego miejsca do zamieszkania, dopóki nie oczyści się go z szumowin. Właśnie tym się zajmujemy i robimy to z powodzeniem, ale nie zyskujemy

przez to przyjaciół. Chociaż... Być może tak, bo na to zadupie trafiło też trochę naprawdę porządných ludzi. Tylko że oni nigdy nam nie podziękują.

Duncan poczuł, że zaczyna lubić Driscolla, choć kłóciło się to z jego zdrowym rozsądkiem.

– A co z wrogami? – zapytał.

– Goście od narkotyków nie rozwinęli przed nami czerwonego dywanu – odpowiedział Driscoll. – Ale kiedy się przekształca osiedle w miejsce, w którym da się zamieszkać, eliminuje się też miejscowych dilerów. Taki bonus.

– Handlowali tu na dużą skalę?

Driscoll wzruszył ramionami.

– Nie na większą niż na podobnych osiedlach – odpowiedział.

– Mielście z nimi kłopoty?

– Dilerzy są jak karaluchy – stwierdził Driscoll. – Wystarczy gdzieś zapalić światło, a wiedzą, dokąd uciec. Wynoszą się w inne miejsca.

– Ale to nie znaczy, że lubią, jak im się przeszkadza.

– To znaczy, że doskonale wiedzą, jak nas unikać – powiedział Driscoll. – Nie potrzebują rozgłosu. Nie mieliśmy tu nigdy problemów z dilerami.

– Dużo tu teraz sprzedają?

– Sporo. Wcześniej cała okolica, poczynając od Avenue B, przypominała mały Amsterdam. Kiedyś było tu pełno squatów i opuszczonych budynków, a dilerzy stali na każdym rogu. Teraz każdy uzależniony yuppie z East Village mieszka przy Avenue A, a gdy budowano mu mieszkanie, dilerzy się wynieśli. I yuppie przychodzi aż tutaj, na osiedle.

– Ścigacie dilerów?

– Żartuje pan? – roześmiał się Driscoll. – Jesteśmy tu po to, żeby chronić budowę. Nie zastępujemy gliniarzy.

– Ale Fowler podobno zatrzymał mojego klienta za palenie trawki.

– Jeśli ktoś sam pcha nam się w łapy, to jasne, dokonujemy zatrzymań obywatelskich, wzywamy policję i przekazujemy zatrzymanych. Pozbywamy się ludzi, którzy nie będą umieli żyć w ucywilizowanej wersji tego miejsca.

– Handlarze narkotyków nie łapią się do grupy tych, którzy mogą zostać? – zapytał Duncan.

– Nie wiem, w jakim to byłoby świecie. Ale nie jesteśmy w stanie dopaść hurtowników, a moim zdaniem drobni dilerzy sami się stąd wyniosą. Nie potrafią działać w normalnym otoczeniu. Gdy tylko wprowadzą się lokatorzy, dilerzy poszukają sobie innego miejsca.

– Jest pan tego pewien?

Driscoll wzruszył ramionami.

– Jestem tylko wynajętym ochroniarzem – odpowiedział. – Czego pan ode mnie chce?

Duncan doszedł do wniosku, że dowiedział się już dość o samym osiedlu, i postanowił zmienić temat.

– Czy może mi pan opowiedzieć o tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru? – zapytał.

– Nie mam zbyt wiele do powiedzenia – zaczął Driscoll. – Sean był na patrolu. Szedłem, żeby go zmienić. Gdy go zobaczyłem, z kimś się sprzeczał. Stali pod latarnią przy Dziesiątej. Widziałem Seana od tyłu, ale ten dzieciak, pański klient, był odwrócony w moją stronę. Znajdowałem się niecałą przecznicę od nich, kiedy pański klient wyjął broń i strzelił. Stało się to bardzo szybko. Niczego nie przeczulem i nie zareagowałem tak, jak zrobiłbym to dwadzieścia lat temu, kiedy patrolowałem ulice. Krzyknąłem. Chłopak wystartował i zniknął między blokami. Chciałem za nim pobiec, ale musiałem najpierw sprawdzić, co z Seanem. Jakąś minutę później zjawili się dwóch policjantów z Biura do spraw Mieszkań.

– Nie rozpoczął pan więc pościgu? – zapytał Duncan.

Driscoll pokręcił głową.

– Zostałem z Seanem – powiedział. – Gdy podbiegli policjanci, właściwie byłem już pewien, że nie żyje, ale nie chciałem go zostawić. Po przyjeździe karetki chcieliśmy spróbować szybko ustalić tożsamość tego, który strzelał. Biuro ma zdjęcia wszystkich mieszkańców, więc pojechałem na komisariat, gdzie pokazano mi każdego, kto przypominał napastnika wiekiem i wyglądem. Rozpoznanie zajęło mi nie więcej niż pięć minut.

– Co wydarzyło się później?

– Później policja zatrzymała chłopaka, a ja go rozpoznałem – odpowiedział Driscoll. – To wszystko.

– Był pan wtedy pewien, że to on? – zapytał Duncan. – Mimo że nigdy wcześniej nie widział pan Rafaela?

Driscoll roześmiał się, usłyszawszy tę sugestię.

– Byłem policjantem, jak pan był w podstawówce – powiedział. – Rozpoznawanie ludzi jest moją drugą naturą.

– Oczywiście, ale widział pan mojego klienta na tylnym siedzeniu wozu patrolowego. Policjanci na pewno powiedzieli panu, że to był on.

– Oni uważali, że to on, ja też – odparł. – Wszyscy uważaliśmy, że to on. Bo to był on.

Candace przedzierała się na wschód, w kierunku Dziesiątej Ulicy, zmierzając na osiedle Jacob Riis, gdy ich zobaczyła. Rozpoznała tylko Rileyę, lecz domyśliła się, że mężczyzna, z którym rozmawia, to Driscoll. Stali blisko bloku na dalszym końcu Avenue D. Driscoll – to właśnie jego chciała tu znaleźć.

Instynkt podpowiedział Candace, żeby trzymać się na uboczu. Zaczęła więc krążyć po chodniku bez celu. Jej pierwszą reakcją na widok rozmawiających mężczyzn była myśl, że za ich spotkaniem kryje się coś złego. Po krótkiej chwili Candace zdała sobie jednak sprawę, że nie ma podstaw do takich przypuszczeń. Gdyby stanęli twarzą w twarz, Duncan mógłby po prostu powiedzieć, że właśnie przepytuje świadka morderstwa, o które oskarżono jego klienta.

Lecz Candace nie wierzyła w to nawet przez sekundę. Obaj ci mężczyźni służyli temu samemu panu. O czymkolwiek by rozmawiali, ich spotkanie leżało w interesie Simona Rotha. Ustalali coś? Candace nie miała nic konkretnego, ale czuła, że coś się święci.

Riley był dość młody i wciąż zdobywał pozycję. Niewykluczone, że to go przerastało. Może coś powie. Do licha – może zechce coś powiedzieć. Candace postanowiła zaczepić Duncana i przekonać się, dokąd ją to zaprowadzi. Jeśli miała cokolwiek do stracenia, to nie wiedziała, co mogłoby to być.

Mężczyźni zakończyli wreszcie rozmowę i każdy z nich ruszył w swoją stronę. Duncan pomaszerował Avenue D na południe, idąc prosto na Candace, która wciąż stała na rogu ulicy. Patrzyła na nadchodzącego adwokata i czekała, aż ją zauważy.

Duncan dostrzegł Candace, stojąc jeszcze po drugiej stronie i czekając na zielone światło. Szybko odwrócił wzrok, udając, że jej nie widzi. Gdy znalazł się na przejściu dla pieszych, Candace zrozumiała, że postanowił pójść prosto przed siebie. Nawet ludzie mający coś do ukrycia zachowują się zazwyczaj bardziej subtelnie.

Candace zastąpiła Duncanowi drogę, zmuszając go do zatrzymania się.

– Pamięta mnie pan? – zapytała.

– Nie mogę z panią rozmawiać – odpowiedział, nie patrząc na nią.

– A to dlaczego?

– Dlatego że reprezentuje pani stronę przeciwną w sprawie, w której występuję. Nie wolno mi z panią rozmawiać ze względu na etykę zawodową.

– Nie przyszedłam tu po to, żeby rozmawiać o procesie o zniesławienie –

powiedziała Candace.

Najwyraźniej nie sprawiło to, żeby Duncan poczuł się mniej zakłopotany.

– Proszę posłuchać – powiedział. – To nie mój wymysł. Gdyby Rosenstein się dowiedział, że rozmawiałem z panią bez jego udziału, postawiłby mnie przed sądem.

– Niniejszym znoszę ten zakaz, na czymkolwiek by on polegał, okej?

– Chciała mnie pani znowu nazwać dupkiem? – zapytał Duncan.

Candace poczuła, że się rumieni.

– Przepraszam, że tak pana nazwałam – odpowiedziała. – Wiem, że wykonywał pan tylko swoją pracę. Jeśli to może stanowić dla pana jakieś pocieszenie, to powiem tylko, że nazywano już pana znacznie gorzej.

– Nietrudno mi w to uwierzyć – odparł Duncan. – A swoją drogą: czy pani mnie śledzi?

– Dlaczego miałabym to robić?

– Nie mam pojęcia. A jest jakiś inny powód, dla którego pani tu stoi?

– Powinniśmy porozmawiać.

– O czym?

– O Simonie Rocie – odpowiedziała Candace.

– Zatem nie rozmawiamy.

– Dlaczego nie?

Duncan wykrzywił usta.

– Nie wolno mi rozmawiać nie tylko z panią, ale także o nim – odpowiedział. – Rozmowa o Simonie Rocie absolutnie nie wchodzi w rachubę.

– Porozmawiajmy więc o Rafaelu Nazario – zaproponowała Candace.

Miała nadzieję, że zaskoczy tym Duncana. Nie przeliczyła się.

– Skąd pani wie o Rafaelu?

– To żadna tajemnica, że jest pańskim klientem, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział Duncan. – Ale nie wiem, dlaczego pani się nim interesuje.

– Porozmawiajmy o tym – powiedziała Candace. – Zapraszam na drinka.

Duncan spojrzał w bok, zdając się planować drogę ucieczki.

– Jestem jeszcze w pracy – powiedział.

– W takim razie zapraszam na latte. Chyba jest tu już jakiś Starbucks.

Przed rozpoczęciem rozmowy Duncan nakłonił Candace, by wystukała na swoim telefonie e-maila i wysłała go swojemu prawnikowi. Podyktował jej treść wiadomości. Był pewien, że swoim zachowaniem coraz bardziej upewnia Candace w przekonaniu, że jest kompletnym dupkiem, lecz rozmowa z reprezentantką strony przeciwnej pod nieobecność jej adwokata mogłaby zaprowadzić go przed oblicze komisji dyscyplinarnej. Duncan oświadczył więc, że rozmowa z Candace będzie miała charakter nieoficjalny; nie chciał, by reporterka wykorzystała jakkolwiek jego wypowiedź, zanim Blake nie zapozna się z jej treścią.

Nie znalazłszy w pobliżu Starbucksa, wyładowali w Life Café na rogu Dziesiątej i Avenue B.

– Muszę przyznać, że znałam to miejsce tylko z *Czynszu* – powiedziała Candace, gdy usiedli z kawą przy małym, rozklekotanym drewnianym stoliku.

– Z *Czynszu*? – zapytał Duncan, nie rozumiejąc.

– Nie zna pan tego musicalu? Nie widział pan *Czynszu*?

– Nie miałem okazji – odpowiedział Duncan, rozglądając się po ciasnej kafejce. – Wygląda na to, że trudno tu zrealizować spektakl ze śpiewem i tańcami.

– To prawda, ale *Czynsz* wystawiono na scenie – wyjaśniła Candace. – Myślę, że tu musiała powstać większa część scenariusza.

– To były czasy, hę?

– Przyznaję, nie podobało mi się, że cały Manhattan zamienia się w siedlisko funduszy hedgingowych – powiedziała Candace.

– *Czynsz* jest pewnie w pierwszej piątce rzeczy, które pogrzebały niekomercyjność East Village.

– A co z demolowaniem blokowisk na Jacob Riis? – zapytała Candace.

– To znaczy?

– Jak to wpłynie na okolicę?

– Nie wiem, być może będzie bezpieczniejsza – odpowiedział Duncan. – To kiepska perspektywa dla dilerów i bandziorów, więc burzy się to, co stare. Mam rację?

Candace nie zaprzeczyła. Nigdy nie rozumiała do końca ludzi uznających gentryfikację za najgorsze zło.

– Nie jestem przeciwniczką przekształcania bloków socjalnych w miejsca

nadające się do normalnego życia, ale ostatnio Simon Roth nie zachowywał się zbyt przyzwoicie.

– Jeśli zaprosiła mnie pani na kawę po to, żeby sprowokować rozmowę o Simonie Rocie, to straciła pani pięć dolarów – skwitował Duncan.

– Porozmawiajmy więc o panu – zaproponowała Candace. – Wie pan, że to Simon Roth buduje nowe, lepsze osiedle Jacob Riis?

– Oczywiście – odpowiedział Duncan bez wahania. – To wiedza powszechnie dostępna.

– I wie pan, że Sean Fowler pracował jako ochroniarz dla firmy Rotha, zgadza się?

– Bierze mnie pani w krzyżowy ogień pytań?

– W tej chwili zastanawiam się tylko, w jaki sposób może pan z jednej strony reprezentować Simona Rotha, z drugiej natomiast kogoś oskarżonego o zabicie jego pracownika – powiedziała Candace. – Mówi pan dużo o etyce, ale czy to nie jest jawny konflikt interesów?

– Nie – odpowiedział Duncan. – Rafael został oskarżony przez stan Nowy Jork, nie przez Simona Rotha. Nie ma w tym konfliktu prawnego.

Wyjaśnienie to nie rozwiało wątpliwości Candace, lecz nie była ona obeznana z niuansami etyki prawniczej.

– Ale jak może pan reprezentować Nazario, jeśli dla pańskiego klienta pracowali ofiara i naoczny świadek zabójstwa? – zapytała. – Roth chce, by pomógł pan gościowi, który zastrzelił ochroniarza zatrudnionego przez jego firmę?

Duncan usiłował znaleźć złoty środek, który pozwoliłby mu nie powiedzieć niczego o wewnętrznych dyskusjach w firmie, a zarazem sprowadzić Candace na ziemię i przekonać ją, że nie ma mowy o jakiegokolwiek zмовie.

– Nie zamierzam omawiać z panią stosunków mojej firmy z klientami – powiedział, ostrożnie dobierając słowa. – Jeśli więc właśnie to one są powodem pani podchodów, to obawiam się, że miała pani kiepski pomysł.

Candace poczuła, że traci grunt pod nogami.

– A jak odniesie się pan do tego, że wyrzuca się mieszkańców osiedla Jacob Riis, takich jak Nazario, z powodu sfabrykowanych zarzutów posiadania narkotyków? – zapytała.

Duncan pochylił głowę.

– O czym pani mówi?

– O postępowaniu eksmisyjnym przeciwko pańskiemu klientowi i jego rodzinie – odpowiedziała Candace. – Naprawdę nie wie pan, że Fowler

i pozostali ochroniarze doprowadzili do wszczęcia tuzina takich spraw?

Duncan nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– I wszystkie mają związek z posiadaniem narkotyków? – zapytał.

– Zgadza się. I jeszcze coś: wiem, że jednym z powodów przebudowy osiedla jest walka z narkotykami, ale nawet na Jacob Riis trudno sobie wyobrazić ludzi palących trawkę na oczach ochroniarzy.

Zaintrygowało to Duncana, chociaż nie wiedział, co o tym sądzić ani czy mogłoby to pomóc w sprawie Rafaela. Dolores Nazario powiedziała, że na osiedlu toczy się wiele spraw o eksmisję, lecz Duncan nie zwrócił na to szczególnej uwagi, nie widząc nic dziwnego w agresywnej polityce miasta, która przejawiała się usuwaniem lokatorów naruszających prawo. Nigdy też do końca nie wierzył w zapewnienia Rafaela, który wypierał się palenia marihuany.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – zapytał.

– Wygląda na to, że ochroniarze fingują zatrzymania za posiadanie narkotyków, żeby wykopać ludzi z Jacob Riis, i opróżniają to miejsce, żeby mogli w nim zamieszkać japiszony. Powinien pan wiedzieć o tym więcej niż ja.

– Dlaczego?

– Broni pan kogoś, kto jest ofiarą procederu, o którym mówię, a oczywisty podejrzany, który się za tym kryje, również jest pańskim klientem – powiedziała Candace. – Ma pan teraz okazję, by z tym skończyć.

Duncan spoglądał na Candace z niedowierzaniem i z otwartymi ustami, które w końcu ułożyły się w coś, co przypominało wymuszony uśmiech.

– Mówi pani poważnie? – zapytał. – Myśli pani, że biorę udział w jakimś spisku?

– Za dużo tu zbieżności, by mógł to być przypadek – odpowiedziała Candace. – Proszę posłuchać: mój ojciec jest prawnikiem w dużej firmie i wiem to i owo o ich funkcjonowaniu. Obecnie rozważana jest pańska kandydatura na partnera pańskiej kancelarii, zgadza się? Lecz nie doszedł pan jeszcze do poziomu, na którym się tylko telefonuje. Wciąż musi pan wykonywać polecenia. Gdy ktoś przychodzi do pana i mówi, że Roth chce, aby coś zostało zrobione, może pan pomyśleć, że chodzi o coś dziwnego, ale tak naprawdę nie ma pan wyboru i musi to coś zrobić. Może nie poukładał pan fragmentów w całość albo nie zadał pan pytań, na które nie chciał pan usłyszeć odpowiedzi? Ale teraz znajduje się pan w centrum wszystkich tych spraw, a ja jestem pańskim wyjściem.

Duncan uśmiechnął się szerzej, bardziej szczerze.

– A niech to! – powiedział. – Życie w świecie musi być naprawdę ekscytujące. Spiski, brudne chwytaki... Przykro mi, ale nie znajduję się w centrum czegokolwiek. Gdy przyjąłem sprawę Rafaela, chodziło o zwykłą eksmisję, o nic więcej. Eksmisją jego rodziny zajął się Wydział Mieszkaniowy miasta Nowy Jork, a nie Simon Roth. Rozumiem, że nie darzy pani Rotha sympatią, bo panią pozwał. Wiem też, że po przesłuchaniu może pani nie lubić również mnie, ale nie uczyniłem niczego niewłaściwego, nieetycznego lub czegoś, czego musiałbym się wstydzić.

Candace nie wiedziała, co myśleć. Wydawało jej się, że Duncan mówi prawdę. Lecz to nie znaczyło, że się myli.

– Coś w tym wszystkim nie gra – powiedziała, nie dając za wygraną. – Może nie uczestniczy pan w procederze, o którym mówię, ale wiem, że sprawa eksmisji jest podejrzana.

– Jeśli to, co mówi pani o eksmisjach, jest prawdą, to chcę się wszystkiego dowiedzieć. Mogłoby to pomóc mojemu klientowi.

– A jeśli stoi za tym Roth?

Duncan nie potrafił odpowiedzieć ani nie próbował udawać, że zna odpowiedź.

– Nie wiem nawet, czy istnieje jakieś „coś”, za którym mógłby stać Roth – stwierdził. – Cokolwiek wiem, pochodzi od pani.

– Z jakiego powodu miałabym powiedzieć panu wszystko, co wiem? – zapytała Candace.

– Dlaczego miałbym powiedzieć pani wszystko, co wiem? – odparował Duncan.

– Nie mam nic wspólnego z Simonem Rothem – odpowiedziała.

– Należy pani do grona jego przeciwników, a to może stanowić bardzo ściśle powiązanie – stwierdził Duncan.

– Moim jedynym celem jest dotarcie do prawdy – oświadczyła Candace.

– Tak, bo wszyscy reporterzy troszczą się tylko o to – powiedział Duncan z przekąsem. – Należy pani po prostu do sędziów świata, prawda? Jeśli zamierzamy ze sobą rozmawiać, postarajmy się bardziej.

– A zamierzamy?

– Co zamierzamy?

– Rozmawiać ze sobą.

– Nie wiem – odpowiedział Duncan. – Próbowałem panią przekonać, że nie jestem antychrystem. I interesuję się eksmisjami na osiedlu Jacob Riis.

– Musi mi pan coś obiecać.

– Nie sądzę, bym musiał, ale cóż to takiego?

– Proszę mi obiecać, że jeśli to, co panu powiedziałam, okaże się pomocne w sprawie Rafaela Nazario, to pan to wykorzysta. Niezależnie od tego, kogo to zaboli.

Duncan zamilkł. Najwyraźniej nie spodobało mu się żądanie Candace. Prawnicy są stworzeniami zawsze pełnymi rezerwy.

– Obiecuję – odezwał się w końcu. – Jeśli powie mi pani coś, co będzie mogło pomóc Rafaelowi, to na pewno zrobię wszystko, by pomogło – powiedział.

Candace zawahała się.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie przekaże pan Rothowi wszystkiego, co panu powiedziałam? – zapytała.

Duncan uśmiechnął się i odchylił na krześle.

– Pyta mnie pani, dlaczego powinniśmy sobie zaufać? W zaufaniu chyba niewiele jest miejsca na rozsądek?

– A jeśli informacje dotyczące eksmisji okażą się pomocne, to co otrzymam w zamian? – zapytała Candace.

– Udostępnię pani informacje związane ze sprawą Nazariów. Jeśli wydarzy się cokolwiek godnego opublikowania, będzie pani o tym wiedziała.

Candace pomyślała, że to może się opłacić, niekoniecznie jej, ale na pewno gazecie. Ostatecznie mogła to wcisnąć Costellowi. Może by się od niej odczepił.

– Na przykład jakie informacje? – zapytała.

– Okej, co powie pani na to: być może przeczytała pani gdzieś, na przykład we własnej gazecie, że policja wykryła pozostałości po wystrzałach na rękach Rafaela Nazario.

– Coś mi świta.

– Ale nie dowodzi to, że Rafael strzelał. Częstki tych pozostałości niemal z całkowitą pewnością znalazły się na jego dłoniach, gdy dotknął tylnego siedzenia radiowozu, w którym się znalazł. Pani gazeta może opublikować tę informację jako pierwsza.

– Nie jestem pewna, czy to wystarczy, by napisać artykuł, ale to chyba niezły początek – powiedziała Candace.

– Proszę zatem potraktować to jako znak dobrej woli.

Candace zamyśliła się na chwilę, po czym skinęła głową.

– Jeśli chodzi o eksmisję, to nie powiem panu, z kim konkretnie rozmawiałam – powiedziała. – Będzie pan musiał przeczytać o tym w gazecie. Powiem tylko, że usłyszałam tak wiele identycznych historii, że

pomyślałam, że coś jest na rzeczy. Myślę, że ochroniarze namierzają nastolatków i doprowadzają do postawienia im zarzutów związanych z narkotykami, a później wyrzucają ich rodziny na bruk. Tak jak zrobili z pańskim klientem.

– Ale dlaczego to robią? – zapytał Duncan.

– Gdybym szczerze odpowiedziała na to pytanie, prawdopodobnie wykorzystałby pan moją odpowiedź jako argument w sprawie o zniesławienie, którą wytoczył Roth – odparła Candace. – Obawiam się więc, że będzie pan musiał wyciągnąć własne wnioski.

– Uważa pani, że ochroniarze, a zwłaszcza Fowler i Driscoll, podrzucali narkotyki nastolatkom, by doprowadzić do wyeksmitowania rodzin z Jacob Riis?

– Jeśli nie wie pan, ile to jest dwa dodać dwa, to ja już nie muszę pana tego nauczyć – odpowiedziała Candace.

– Więc może to, czego się właśnie od pani dowiedziałem, może stanowić potwierdzenie relacji Rafaela? – przypuścił Duncan.

– Mam zaczekać, aż nadrobi pan zaległości, byśmy mogli w końcu porozmawiać? – zapytała Candace.

– Stwierdzam tylko to, co oczywiste – odparł Duncan.

– Po raz kolejny – stwierdziła Candace.

Duncan uśmiechnął się do niej, czyniąc to wbrew sobie.

– Prokurator okręgowy może nie uznać, że przemawia to za uniewinnieniem – powiedział. – Założę się, że jeśli Fowler wrobił Rafaela w posiadanie narkotyków, to prokurator pomyśli, że chłopak miał jeszcze lepszy powód do zemsty.

– A Driscoll? – zapytała Candace. – Wszystko wskazuje na to, że nie był tak bezstronnym obserwatorem, jak to przedstawił. Prawdopodobnie skłamał, opowiadając policji o tym, co się tu wydarzyło.

Ma rację, pomyślał Duncan. Udowodnienie, że Driscoll brał udział w podrzucaniu narkotyków, mogłoby się okazać bardzo pomocne.

– Jeśli Driscoll ma w zwyczaju wrabiać ludzi, to z pewnością stawia to pod znakiem zapytania wiarygodność dokonanej przez niego identyfikacji Rafaela – powiedział Duncan.

– Prowadzi nas to w interesującym kierunku, prawda?

– Driscoll i Fowler nie usuwaliby ludzi z osiedla tylko dla własnej rozrywki – stwierdził Duncan.

– Komu więc zależy, by na nowe, odmienione osiedle Jacob Riis powróciło mniej ubogich lokatorów? – zapytała Candace. – Kto byłby

władny nakazać Driscollowi i Fowlerowi, by to zrobili?

Duncan nie zamierzał tego głośno powiedzieć. Nie chciał nawet o tym myśleć. Przyjrzał się Candace: ona także milczała. Nie było ważne, czy słowa te zostaną wypowiedziane. Było jasne, że oboje wiedzą, kto jest jedyną osobą spełniającą kryteria zasugerowane przez Candace.

Był to Simon Roth.

Część druga

Koalicja Społeczności Alphabet City miała swą siedzibę w małym biurze z witryną, położonym po zachodniej stronie Avenue D, naprzeciwko osiedla Jacob Riis. W głównym pomieszczeniu znajdowało się pół tuzina biurek ustawionych na chybił trafił, lecz tylko dwa były zajęte w chwili, gdy na miejscu pojawiła się Candace. Umówiła się na rozmowę z Keishą Dewberry, pełniącą funkcję dyrektora wykonawczego organizacji. Jedna z osób przebywających w głównym pomieszczeniu rozmawiała właśnie przez telefon, druga była pochłonięta grą w scrabble na Facebooku.

Candace spodziewała się, że szefowa Koalicji stanie na głowie, by móc jak najszybciej porozmawiać z reporterką i zasypać ją lawiną oskarżeń wobec miasta oraz dewelopera dysponującego miliardami dolarów. Dewberry oddzwoniła jednak dopiero po trzech dniach. Mogło to wprawdzie niewiele znaczyć, ponieważ Dewberry wyjechała na pewien czas z Nowego Jorku, lecz skłoniło Candace do zastanowienia.

Dewberry miała około czterdziestu pięciu lat. Nosiła dredy i ubrana była w bluzkę z nadrukowanym afrykańskim wzorem. Zajmowała oddzielny gabinet, który wyglądał na zaadaptowany magazyn. Był ciasny, ledwie mieścił biurko i krzesło.

– A więc przygotowuje pani materiał o przekształceniu Jacob Riis w osiedle dla rodzin o zróżnicowanych dochodach? – zapytała Dewberry.

Candace skinęła głową.

– Dlaczego zaangażowała się pani w tę sprawę? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Od dawna aktywnie działam w sferze budownictwa komunalnego – odparła. – Zanim objęłam swoje obecne stanowisko, udzielałam się przez ponad dziesięć lat w Stowarzyszeniu na rzecz Natychmiastowych Reform. Czy istnieją jakieś szczególne motywy, które skłoniły panią do zajęcia się tym tematem?

– Nie – odpowiedziała Candace. – Wcześniej pisałam o Roth Properties, a zwłaszcza o zeszłorocznym wypadku na Aurora Tower. Jak pani organizacja odnosi się do przekształcenia osiedla Jacob Riis?

– Właściwie nie jesteśmy kategorycznymi przeciwnikami tego pomysłu – rzekła Dewberry. – Z jednego powodu: mieszkańcy osiedla należący do klasy średniej nie będą tolerować bałaganu, który panuje dziś w budynkach komunalnych. Nie zaakceptują nieczynnych wind, graffiti na korytarzach

ani robactwa. Pomijam kwestię budynków, które się rozpadają. Jeśli więc zmiany na osiedlu oznaczają lepsze warunki dla jego mieszkańców, to doskonale. Problemem jest oczywiście to, jak dokonać tych zmian, by nie zakłócić życia obecnych mieszkańców Jacob Riis. Czy przypadkiem zmiany na osiedlu są tylko zasłoną dymną, za którą kryje się plan przesiedlenia tych ludzi w mniej atrakcyjne miejsca?

Candace pomyślała, że to dobre pytanie.

– A jest? – zapytała.

– Zapewniam, że bacznie się wszystkiemu przyglądamy – odparła Dewberry. – Deweloperowi zależy, by jak największa liczba mieszkań w nowych budynkach przeznaczona została na sprzedaż. Natomiast naszym priorytetem jest ochrona dotychczasowych mieszkańców osiedla.

– Sprzeciwicie się udziałowi prywatnych firm w przedsięwzięciach tego rodzaju? – zapytała Candace.

– Wstrzymanie realizacji aktualnego planu nie jest już możliwe z powodu zaawansowania prac budowlanych – wyjaśniła Dewberry. – Skupiamy się zatem na zapewnieniu dotychczasowym mieszkańcom osiedla uczciwego traktowania.

– Z pewnością nie da się jednak uniknąć wysiedlenia niektórych mieszkańców Jacob Riis, prawda?

– Miasto twierdzi, że nie, lecz zdrowy rozsądek podpowiada, że musi być inaczej – odpowiedziała Dewberry. – Będziemy walczyć w każdy możliwy sposób, by do wysiedleń nie doszło.

– A eksmisje mające związek z narkotykami? Czy walczyacie również z nimi?

Candace była zdumiona: dostrzegła niezwykle zmieszanie malujące się na twarzy swej rozmówczyni.

– Zażywanie narkotyków to godny pożałowania fakt mający związek z osiedlami komunalnymi – stwierdziła Dewberry. Najwyraźniej posłużyła się wyćwiczoną frazą. – Tak to jest, gdy pozbawia się kogoś możliwości i nadziei.

– Na osiedlu Jacob Riis z pewnością zażywa się narkotyki – odparła Candace. – Ale nie o tym chciałam z panią porozmawiać. Czy słyszała pani, że mieszkańcy osiedla skarżą się, że pracownicy prywatnych firm ochroniarskich podrzucają nastolatkom narkotyki, by doprowadzić do eksmisji ich rodzin?

– Na pewno będziemy musieli się temu przyjrzeć – odpowiedziała Dewberry po chwili zastanowienia. – Nie zatrudniamy prawników, zatem

nie angażujemy się bezpośrednio w jakiegokolwiek kwestie prawne dotyczące mieszkańców.

Candace pomyślała, że to wszystko nie ma sensu. Każda z organizacji pokroju Koalicji Społeczności Alphabet City potraktowałyby sprawę eksmisji jako żyłę złota, a starając się wyczuć, co na osiedlu w trawie piszczy, z pewnością zdobyłaby jakiegokolwiek informacje, choćby oparte na plotkach. Działania prowadzone w Jacob Riis miały w sobie coś tak podejrzanego, że Candace zaczęła się zastanawiać, czy tak naprawdę tkwi w nich choćby odrobina przyzwoitości.

– Czy słyszała pani o prywatnych ochroniarzach sprawiających takie problemy? – zapytała.

– Z pewnością postaram się tego dowiedzieć – odrzekła Drewberry.

Najwyraźniej nie mogła się doczekać końca rozmowy.

– Cieszę się, że zwróciła mi pani na to uwagę – powiedziała.

Candace nie zamierzała ujawnić Drewberry zbyt wiele, spróbowała zatem inaczej.

– Przypuszczam, że zna pani historię prywatnego ochroniarza zastrzelonego na osiedlu – powiedziała.

– To straszna tragedia – odparła Drewberry bez emocji.

– O ile wiem, chłopak oskarżony w sprawie zarzuca ochroniarzom podrzucenie mu narkotyków – powiedziała Candace. – Czy pani organizacja zajmowała się sprawą rodziny Nazariów?

– Nic o tym nie wiem – odpowiedziała Drewberry.

Candace poczuła narastającą frustrację i stwierdziła, że rozmowa na pokojowej stopie nie ma już sensu.

– Zauważyłam, że jednym z członków zarządu Koalicji Społeczności Alphabet City jest Antonio Serran – powiedziała. – Ale chyba nie ma on nic wspólnego z miejską radną Karłą Serran, a może się mylę?

Dewberry zmarszczyła brwi i zmierzyła Candace podejrzliwym wzrokiem.

– Czy fakt, że Antonio ma jakiś związek z radną, ma jakieś znaczenie? – zapytała.

– Tego nie powiedziałam – odparła Candace. – Lecz z ostatniego zeznania podatkowego złożonego przez waszą organizację wynika, że dotuje was w większości miasto, a zwłaszcza Wydział Spraw Mieszkaniowych.

Dewberry, do tej pory jedynie bardzo spięta, zaczęła okazywać jawną wrogość.

– Skąd, do diabła, wytrzasnęła pani nasze zeznania podatkowe? – zapytała.

Candace, zdumiona tym pytaniem, pomyślała sobie: ta kobieta najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z tego, ile informacji można dziś wygrzebać w internecie.

– Dane dotyczące Koalicji Społeczności Alphabet City, jako organizacji non profit, są dostępne na stronie prokuratora generalnego – powiedziała.

– Ale dlaczego szukała pani tych informacji? – zapytała Dewberry.

Candace uśmiechnęła się, chcąc nieco rozładować napięcie.

– Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo, że chodzi o pieniądze i należy podążyć ich tropem – odpowiedziała.

Dewberry najwyraźniej nie zadowolona się tą odpowiedzią.

– Większość organizacji pozarządowych otrzymuje znaczne dotacje od rządu – stwierdziła zgryźliwie.

– Oczywiście – odparła Candace. – Zastanawiałam się jednak, dlaczego finansuje was Wydział Spraw Mieszkaniowych, skoro i on opowiada się za zmianami zachodzącymi na osiedlu Jacob Riis. Rozmawiałam z osobą z tego wydziału. I ten ktoś wyjaśnił mi, że w rzeczywistości pieniądze, które otrzymujecie, nie pochodzą z wydziału, tylko są uznaniowo przyznawane przez radę miejską, a następnie przekazywane za pośrednictwem właściwej agencji. Rozumiem więc, że to Karla Serran jest waszym patronem w kwestiach finansowania.

Dewberry wyglądała tak, jakby właśnie szykowała się do wyrzucenia Candace z gabinetu.

– Nie widzę w tym nic złego – powiedziała.

– Nie powiedziałam, że jest w tym coś złego – odparła spokojnie Candace. – Czy zaprzecza pani, że to radna Serran jest osobą kierującą pieniądze na wasze konto?

– Zabrzmiało to tak, jakby pani sugerowała, że Antonio i jego siostra czynią coś niewłaściwego – odpowiedziała Dewberry.

Jest postęp, pomyślała Candace. Skrawki, ale to zawsze coś.

– Więc są rodzeństwem? – zapytała.

– Czy pojawiła się tu pani właśnie z tego powodu? – odparła Dewberry.

– Próbuje pani sugerować, że finansowanie naszej organizacji obarczone jest jakimiś nieprawidłowościami?

– Wcale nie – zaprotestowała Candace. Zrozumiała, że rozmowa dobiegła końca.

– Obawiam się, że nie mogę poświęcić pani więcej czasu – rzekła

Dewberry.

Wracając metrem do redakcji, Candace usiłowała znaleźć sposób na rozwikłanie niejasności dotyczących Koalicji Społeczności Alphabet City. Miała pewne podejrzenia co do sposobu jej finansowania już przed rozmową z Keishą Dewberry – gdy tylko się dowiedziała, że w zarządzie Koalicji zasiada Antonio Serran. Natomiast defensywna reakcja Dewberry, połączona z brakiem podstawowej wiedzy o wydarzeniach na osiedlu Jacob Riis oraz prowizorycznym urządzeniem biura ACCC, skłoniła Candace do zastanowienia się nad legalnością działania tej organizacji.

Znalazłszy się w pokoju redakcji informacyjnej, Candace otworzyła folder z informacjami o Koalicji Społeczności Alphabet City. Miała zwyczaj ponownego przeglądania swych materiałów po każdym z wywiadów. Często odkrywała w ten sposób niezauważone wcześniej powiązania.

Początkowo nie dostrzegła niczego szczególnego. Czuła jednak, że musi być w nich coś, co było powodem irytacji Dewberry.

Sprawdziła listę osób wspierających finansowo radną Serran. W internecie dostępne były dane darczyńców każdego z polityków działających w mieście. Wygłoszone w obecności Dewberry stwierdzenie o podążaniu tropem pieniędzy było prawdziwe: Candace zawsze przyglądała się finansom, zwłaszcza wtedy, gdy miała do czynienia z polityką. Przejrzała wykaz, nie szukając niczego konkretnego.

Pierwszą pozycją, która przykuła jej uwagę, była darowizna w wysokości dwóch tysięcy dolarów przekazana przez Antonio Serrana. Datek ten wyróżniał się zdecydowanie, gdyż większość donatorów radnej wpłacała bez porównania niższe kwoty. Sam fakt, że członek rodziny przekazał pieniądze politykowi, nie był oczywiście niczym podejrzanym.

Coś wciąż nie dawało jej spokoju. Sięgnęła ponownie po zeznanie podatkowe Koalicji i sprawdziła, kiedy organizacja ta otrzymała pieniądze od Wydziału Spraw Mieszkaniowych. Darowizna Antonio Serrana wpłynęła na konto ACCC w kolejnym tygodniu.

Candace odkryła nie tylko to: w tym samym tygodniu Karla Serran otrzymała wiele innych darowizn na łączną sumę blisko stu tysięcy dolarów – było to o wiele więcej niż kwota, którą zgromadziła w ciągu kilku wcześniejszych i kilku późniejszych tygodni. Największą hojnością wykazała się Keisha Dewberry. Dokonała wpłaty dzień po Antonio Serranie.

Candace sporządziła listę darczyńców, którzy w tamtym miesiącu przekazali pieniądze radnej Serran. Postanowiła zbadać wszystkie przypadki i sprawdzić, czy wpłaty nie mają związku z Koalicją Społeczności

Alphabet City. Czyżby to Simon Roth chciał sobie kupić przychylność miejskiej radnej? Candace nie mogła pozbyć się wrażenia, którego doznawała być może raz lub dwa razy w roku: ledwie pozwalającej jej oddychać ekscytacji. Czowała, że stoi na progu odkrycia mogącego dać początek artykułowi o ogromnym znaczeniu.

Dziękuję, że zechciał pan się ze mną spotkać, panie Loomis – powiedział Duncan.

Darryl Loomis spojrział na niego zza biurka obojętnym wzrokiem. Po chwili wzruszył ramionami.

– Ma pan wysoko postawionych przyjaciół – powiedział.

Duncan uśmiechnął się w odpowiedzi, nie spowodowało to zmiany wyrazy twarzy Loomisa.

– To prawda, mamy wspólnych znajomych – powiedział. – Dlatego pozwoli pan, że dokładnie wyjaśnię cel mojej wizyty.

Darryl zachęcił Duncana gestem ręki do dalszej przemowy. Znajdowali się na siedemnastym piętrze, w narożnym gabinecie Loomisa przy Szóstej Alei, zaledwie kilka przecznic od kancelarii Duncana. Ściany pomieszczenia obwieszane były plakatami i fotografiami Darryla Loomisa w towarzystwie znanych osób – od burmistrza i szefa nowojorskiej policji po rekinów finansjery i gwiazdy hip-hopu. Duncan pomyślał, że gabinet ten przypomina bardziej gabinet szefa wytwórni płytowej niż to, czego spodziewał po biurze prywatnego detektywa.

Zresztą i tak nic w wyglądzie Darryla nie odpowiadało potocznym wyobrażeniom człowieka cichcem śledzącego ludzi, a faktyczna działalność detektywistyczna – jak to zrozumiał Duncan – stanowiła jedynie niewielki ułamek tego, czym zajmowała się jego firma. Darryl zatrudniał ponad setkę ludzi, głównie byłych policjantów. Zajmowali się oni różnymi sprawami: prowadzili dochodzenia dotyczące spółek, chronili kluby, celebrytów i VIP-ów, a także podejmowali się bardziej prozaicznych zajęć, na przykład pilnowania budów.

– Jestem pewien, że rozumie pan, że broniąc naszego klienta, Rafaela Nazario, musimy również przyjrzeć się ofercie, panu Fowlerowi, oraz świadkowi, panu Driscollowi – powiedział Duncan. – Obaj pracowali dla pana. Czy byli przyjaciółmi?

– O ile wiem, pozostawali ze sobą w przyjaznych stosunkach – odpowiedział Loomis.

– Czy wie pan o jakichkolwiek problemach, które miał Fowler? – zapytał Duncan.

– Czepiała się go była żona, takie tam zwykłe bzdury.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Rozwiódł się, miał dzieci. Mógł je odwiedzać, ale tylko w weekendy, zabierać na krótkie wakacje, musiał też płacić alimenty, krótko mówiąc, ugrzązł w tym gównie po samą szyję.

– Kiedy się rozwiódł?

– Dwa lata temu – odpowiedział Loomis. – Chyba już wtedy przeznaczyła go na odstrzał. Szkoda tylko, że Chris nie rozpoznał jej jako osoby strzelającej do Fowlera.

Biorąc pod uwagę warunki, w jakich odbywała się rozmowa, Duncan uznał sarkazm Darryla za oznakę pewnej zmiany. Udał rozbawionego jego odpowiedzią.

– Co sądzi pan o problemach na osiedlu Jacob Riis? – zapytał.

– Nic o nich nie wiem – odparł Loomis. – Musiałby pan zapytać Chrisa.

Duncan podejrzewał, iż Darryl wie o jego rozmowie z Driscollem. Nie dziwiła go też niezyczliwa postawa rozmówcy: ostatecznie trudno go było winić o brak chęci współpracy. Jedynym powodem, dla którego Darryl Loomis zgodził się w ogóle na rozmowę z Duncanem, była bez wątpienia interwencja Lei Roth.

– Przypuszczam, że wie pan, że Sean Fowler podobno przyłapał mojego klienta na paleniu trawki, co doprowadziło do wszczęcia postępowania eksmisyjnego wobec niego i jego rodziny – powiedział Duncan.

– Tak, wiem o tym – odparł Darryl. – Ale nie zwróciłem wtedy na to jakiejś szczególnej uwagi. Moi ludzie nie mieli z tym nic wspólnego.

Teraz albo nigdy, pomyślał Duncan.

– A inne eksmisje? – zapytał.

Darryl przesunął się lekko w fotelu, nie spuszczając jednak wzroku z Duncana.

– Eksmisjami zajmuje się miasto – odpowiedział.

Duncan przyglądał się Darrylowi, wypatrując oznak jego zakłopotania.

– Ale pańscy ludzie przyłapali na osiedlu co najmniej kilkanaście różnych osób, którym przypisano posiadanie narkotyków, i każda z tych spraw skończyła się złożeniem przez miasto wniosku o eksmisję ich rodzin – powiedział.

– Do czego pan zmierza? – zapytał Darryl opryskliwie.

Duncan nie starał się zinterpretować jego reakcji w jednoznaczny sposób. Mogła ona świadczyć o poirytowaniu wywołanym oskarżeniem, lecz równie dobrze mogło chodzić o coś innego.

– Mówi się, że zatrzymywanie osób, którym przypisuje się posiadanie narkotyków, jest sposobem na usunięcie części mieszkańców osiedla i że

dzięki temu miasto nie będzie musiało zajmować się sprawami związanymi z ich powrotem do nowych mieszkań.

– Przyszedł pan tu po to, by poinformować mnie, o czym się mówi? – odparł Darryl, uśmiechając się chłodno. – Ludzie wygadują różne bzdury, żeby tylko odwrócić uwagę od własnego burdelu. Ma pan jakieś dowody?

– A pan? – zapytał Duncan, rewanżując się uśmiechem, który ani trochę nie złagodził agresywnej postawy jego oponenta.

– Pracowałem dwadzieścia lat jako gliniarz – wycedził powoli Darryl. – Miałem do czynienia z mnóstwem prawników. I wiem, co robią adwokaci: klecą historyjki na podstawie byle plotek, które usłyszą.

– Nie mówię o plotkach – powiedział Duncan. – Mówię o podrzucaniu przez pańskich ludzi narkotyków i zatrzymywaniu mieszkańców osiedla, co prowadzi do kolejnych eksmisji.

Darryl przybrał surowy wyraz twarzy.

– Oskarża pan moich ludzi o przestępstwo? – zapytał. – Na podstawie skarg jakichś dzieciaków z osiedla, których przyłapano na zażywaniu narkotyków? Co za solidarność mieszkańców...

Ostatnie słowo zaskoczyło Duncana. Darryl zauważył to i uśmiechnął się.

– Choć patrząc na pana, nigdy bym się nie domyślił... – powiedział.

Duncan zastanawiał się, czy się nie przesłyszał.

– Nie domyślił się czego? – zapytał.

– ...gdybym nie zobaczył zdjęcia pańskiego ojca – dodał Darryl.

Duncan pomyślał, że to nie może być zwykłe nieporozumienie. Powstrzymał gwałtowną reakcję, nie chcąc, by jego rozmówca zyskał nad nim przewagę. Duncan niczego przecież nie ukrywał, nie potrafił jednak zrozumieć, dlaczego Darryl grzebie się w jego prywatnych sprawach.

– Do czego było potrzebne panu zdjęcie mojego ojca? – zapytał.

– Sprawdzamy każdego, zanim jeszcze postawi nogę w naszym biurze – odpowiedział Darryl. – Ostrożności nigdy za wiele. Chyba wie pan, o czym mówię? Człowiek niewinny to człowiek nieśledzony. Ale nie martw się, bracie, zachowam twój sekret dla siebie.

Gdy tylko prawnik wyszedł, Darryl podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Chrisa Driscolla, by wezwać go do biura. Driscoll zjawił się po trzech kwadransach. Miał zaczerwienione oczy. Pracował nocami, a gdy odebrał telefon, odezwał się zaspanym głosem, najwyraźniej wyrwany ze snu. Ale Darryl miał to gdzieś.

– Właśnie był tu prawnik, który broni Nazario – powiedział, gdy Driscoll usiadł naprzeciwko. – Powiedział, że ty i Fowler podrzucaliście narkotyki

dzieciakom z Jacob Riis.

Zauważył, że Driscoll z trudem opanował zaskoczenie.

– Robiliśmy to, co nam kazałeś i czego chciał Roth: mieliśmy oko na wszystkich, którzy popełniali przestępstwa i których mogliśmy przekazać policjantom z Biura do spraw Mieszkań. Pomagaliśmy w zmniejszeniu liczby mieszkańców, których trzeba byłoby z powrotem zameldować w nowych mieszkaniach.

– Wiem, co kazałem wam robić – powiedział Darryl. – Nie o tym mówię. Czy naprawdę podrzucaliście coś ludziom?

Driscoll zawahał się, lecz wiedział, że nie powinien okłamywać swego szefa.

– To Sean wpadł na ten pomysł – odrzekł. – Wiesz, że zawsze chciał sobie dorobić na boku. Powiedział, że skoro Roth chce zapłacić dwa tysiąki za każdego, którego uda nam się pozbyć, to byłoby szkoda zmarnować taką okazję.

Darryl nie mógł pojąć, jakim trzeba być idiotą, by wpaść na coś takiego.

– I wyście to robili? – zapytał. – I nie powiedzieliście mi o tym nawet wtedy, gdy ten skurwysyn zaczął nam podskakiwać?

– Myślałem, że nikt się o tym nie dowie – odpowiedział Driscoll. – Nie było żadnych wygłupów, skupialiśmy się tylko na nastolatkach, którym i tak nikt by nie uwierzył.

– Nie rób niczego bez mojej wiedzy – rzekł Darryl. – Wykonuj tylko polecenia. Moje polecenia. I bez ciebie mam dość kłopotów z tym całym gównem.

Driscoll spuścił wzrok i skinął głową.

– Spierdoliłem sprawę, przepraszam – powiedział. – Co możemy z tym zrobić?

– W tej chwili nic – odparł Darryl. – I wiedz, że nie wyrzucę cię na zbity pysk tylko dlatego, że nie mogę tego zrobić.

– Jasne – powiedział Driscoll.

Dni w więzieniu na Rikers Island zaczynały się wcześniej: śniadanie w bloku Rafaela podawano zazwyczaj od szóstej. Przyzwyczał się już do zasypiania o dwudziestej drugiej. Zanim trafił za kratki, kładł się o drugiej w nocy, a nawet później. Pracował w restauracji co najmniej do dwudziestej trzeciej. Potem, po zakończeniu swej zmiany, nierzadko dotrzymywał towarzystwa załodze kuchni i nawet nie imprezując, zjawiał się w domu po pierwszej.

Było około wpół do szóstej, gdy Rafaela obudził hałas dobiegający z korytarza. Półprzytomny, ziewając, posłusznie wstał z łóżka. Pomyślał, że to ekipa roznosząca śniadanie zaczęła wcześniej niż zwykle. Było jednak inaczej: na blok wkroczyła grupa interwencyjna mająca dokonać szczegółowego przeszukania.

Niespodziewane przeszukania były stałym elementem życia na Rikers Island, lecz było to niezmiennie irytujące. Przypominały nieco nalot antyterrorystów. Strażnicy z grupy interwencyjnej występowali w pełnym rynsztunku: mieli kaski szturmowe, zakryte twarze oraz tarcze mogące razić prądem, na tyle silnym, by obezwładnić więźnia.

Przeszukiwali po kilkanaście cel naraz, podczas gdy więźniowie czekali w kolejce na kontrolę zagłębień ciała. Przeprowadzano ją za pomocą skanera BOSS, przypominającego krzesło. Było to masywne, stalowoszare urządzenie służące do wykrywania metalu i rozmaitych przedmiotów ukrytych w ciele.

Po otwarciu drzwi celi Rafael wyszedł na korytarz i ustawił się w kolejce więźniów oczekujących na badanie skanerem. Stał tak, wciąż zaspany, gdy usłyszał podniesione głosy dochodzące zza jego pleców. Zerknął przez ramię, choć wiedział, że strażnikom nie podoba się, gdy więźniowie odwracają się i rozglądają. Zauważył, że jeden ze współwięźniów, przebywający kilka cel dalej, odmówił opuszczenia pomieszczenia. Rafael nie mógł jednak dosłyszeć dlaczego. Protestujący więzień trafił tu niedawno. Był to biały mężczyzna w średnim wieku. Miał długie strąkowate włosy i brakowało mu przednich zębów. Wszyscy omijali go z daleka, ponieważ był irytujący, mówił do siebie i zdawało się, że ma halucynacje. Rafael miał niemal całkowitą pewność, że facet jest kokainistą, chociaż wiele wskazywało i na to, że znacznie większą winę za jego zachowanie ponoszą zaburzenia psychiczne.

Pół tuzina strażników z elektrycznymi tarczami gotowymi do użycia szybko otoczyło drzwi celi. Inny włączył kamerę, by sfilmować akcję usunięcia osadzonego z pomieszczenia. Więzień krzyczał coś ze środka, lecz Rafael nie mógł rozróżnić słów. W bloku można było wyczuć narastające zdenerwowanie, zaledwie pięć minut wcześniej pogrążonych jeszcze we śnie. Czuć było zapach przemocy.

– Stać w szeregu, zachować spokój – powiedział ostrym tonem strażnik stojący naprzeciw Rafaela.

Strażnicy z grupy interwencyjnej wkroczyli do celi, która ledwo ich pomieściła. Rozległ się głośny krzyk, a potem tupot nóg w ciężkich butach. Strażnicy wynieśli więźnia. Nawet z daleka było widać, że jest nieprzytomny. Obezwładniono go tarczą elektryczną, Rafael zaś poczuł woń palącego się plastiku. Więźniowie zaczęli mamrotać, protestując przeciwko takiemu potraktowaniu jednego z nich, ale bez przekonania. Chodziło o białego, szalonego gościa, który nie miał tu kumpli ani nikogo, kto chciałby się za nim wstawić. Rafael domyślił się, że człowiek ten odmówił wyjścia z celi nie dlatego, że miał coś do ukrycia. Jego zachowanie było wyłącznie konsekwencją kiepskiej kondycji umysłowej.

Gdy tylko wyniesiono nieprzytomnego więźnia, strażnicy zaczęli wracać do cel, a więźniowie – siadać po kolei na BOSS-ie. W powietrzu wciąż wisiało napięcie wywołane przez użycie przemocy. Niebezpieczeństwo eskalacji zostało jednak zażegnane.

Rafael przesuwiał się w kierunku początku kolejki oczekujących na badanie. Gdy już znalazł się na jej czele, oparł brodę na oparciu skanera, a ten prześwietlił jego jamę ustną. Rafael usiadł, by można było sprawdzić, czy nie schował czegoś w odbycie. Był to najpopularniejszy na Rikers Island sposób ukrywania rozmaitych przedmiotów, a Rafael usłyszał już kilka dość nieprawdopodobnych historii o szmuglowanych w tej części ciała telefonach komórkowych i innych rzeczach. Wzdrygał się już na samą myśl o możliwości wepchnięcia sobie czegokolwiek do tylnej części ciała.

Po zejściu ze skanera Rafael stanął przed swą celą, w której wciąż przebywali więzienni funkcjonariusze. Jeden z nich badał właśnie pościel Rafaela zerwaną z łóżka; czynił to za pomocą ręcznego skanera, takiego samego jak te, których używa się na lotniskach.

Strażnik omiatał skanerem te same miejsca co zwykle. Zaczął się denerwować, gdy urządzenie zbliżyło się do kratki klimatyzacji biegnącej wzdłuż sufitów cel i zaczęło podążać zgodnie z jej kierunkiem. Rafael wiedział, że coś się za nią znajduje, nie wiedział jednak co ani czy skaner

potrafi to coś wykryć.

Kilka dni wcześniej zobaczył Luisa Gutierrezę majstrującego przy kratce. Siedział wtedy pięć metrów od niego i oglądał telewizję. Nie wiedział, co dokładnie robi Luis, lecz domyślił się, że zapewne próbuje coś schować. Chciał poprosić Luisa, by wybrał inne miejsce, lecz ostatecznie tego nie zrobił: zabrakło mu śmiałości.

Gdy strażnik przesuwiał skaner na wysokości pośłania Rafaela, rozległ się wysoki pisk. Urządzenie zasygnalizowało w ten sposób obecność jakiegoś przedmiotu. Obok strażnika ze skanerem zjawiono się natychmiast jego dwóch kolegów; jeden z nich zaczął odkręcać kratkę.

Rafael spojrział nerwowo na funkcjonariusza, który sięgnął w głąb otwartego przewodu klimatyzacji i wyjął z niego nóż domowej roboty: wąski kawałek metalu zaostrzony na jednym końcu i owinięty taśmą klejącą na drugim. Wokół szybko zebrali się inni strażnicy. Rafael wyczuł ruch za plecami i napiął mięśnie, próbując zachować spokój i nie dać strażnikom najmniejszego powodu do wyładowania na nim resztek skoku adrenaliny.

– Co masz?! – zawołał zbliżający się funkcjonariusz.

Rafael dostrzegł na jego rękawach paski oficerskie.

– Znaleźliśmy majcher schowany w klimatyzacji dokładnie nad tą celą – odpowiedział strażnik ze skanerem.

Oficer szybko skinął głową, po czym odwrócił się w stronę więźniów.

– Czyja to cela? – zapytał.

Jakiegokolwiek zaprzeczanie nie miałoby najmniejszego sensu, zatem Rafael wystąpił przed szereg.

– To nie mój nóż – powiedział.

– Nie wiem, co to za jeden – wtrącił strażnik trzymający ostrze.

Oficer wbił wzrok w Rafaela. Miał podniesioną przyłbicę kasku i takie samo wyposażenie bojowe jak wszyscy strażnicy grupy interwencyjnej. Rafael dostrzegł tylko, że to biały mężczyzna z siwiejącymi włosami.

– Jestem Ward, zastępca naczelnika tego więzienia – powiedział. – Jak się nazywasz?

– Rafael Nazario.

– Nazario? Ten, który zabił jednego z naszych?

Rafael zdziwił się, że Ward wiedział, z kim rozmawia.

– Nikogo nie zabiłem – odpowiedział. – A on nie był już policjantem.

– Chcesz się stawiać? – warknął Ward, wykonując dwa szybkie kroki i stając tuż przed Rafaelem.

Byli mniej więcej tego samego wzrostu, lecz Ward ważył jakieś dwadzieścia pięć kilo więcej.

Chłopak wcale nie próbował się stawiać. Ward nie myślał inaczej – po prostu usiłował go sprowokować.

– Nie, proszę pana – odpowiedział Rafael, spuszczać wzrok.

Chciał sprawić wrażenie uległego, by jak najszybciej dano mu spokój.

– Należysz do jakiejś grupy, Nazario? – zapytał Ward.

Rafael pokręcił głową, nie podnosząc wzroku.

– Nie – odparł.

– Przyznasz się, że to twój nóż?

– Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– Więc co robił akurat nad twoją celą? – zapytał Ward. – Jeśli to nie ty go schowałeś, to na pewno widziałeś tego, kto to zrobił.

Ward wpatrywał się w Rafaela, czekając na odpowiedź, lecz chłopak wiedział, że sypiąc, wpadłby w znacznie poważniejsze tarapaty. Najdotkliwsze nawet represje ze strony strażników byłyby niczym w porównaniu z tym, do czego są zdolni więźniowie, którzy uznają go za kapusia – zwłaszcza gdy, tak jak Luis, należą do gangu.

– Nikt przy mnie nie dłubał przy kratce – powiedział Rafael.

– Zamierzasz załatwić tu strażnika, jak wcześniej policjanta?

– Nigdy wcześniej nie widziałem tego noża – powtórzył Rafael, starając się powiedzieć to spokojnym głosem.

Ward uśmiechnął się szyderczo i jeszcze bardziej zbliżył się do Rafaela. Ich twarze dzieliło już tylko kilka centymetrów. Rafael zmusił się do wytrzymania wzroku Warda, a jego całe ciało przygotowało się na przyjęcie ciosu.

– Skuć go – powiedział Ward do strażnika stojącego za Rafaelem. – Zapijemy ten nóż na jego konto.

– On nie jest mój – zaprotestował Rafael.

– Więc powiesz nam, do kogo należy? – zapytał Ward.

Gdy nie doczekał się odpowiedzi, skinął głową.

– W takim razie wygląda na to, że od tej chwili należy do ciebie – powiedział.

Candace umówiła się na spotkanie z radną Serran w jej biurze w East Village. Obie panie miały porozmawiać w drodze z biura do leżącej niedaleko szkoły. Radna została bowiem zaproszona na zebranie szkolnego zarządu. Candace chciała ogólnikowo zarysować radnej Serran temat rozmowy: zamierzała wspomnieć tylko o tym, co pisała o zmianach na osiedlu Jacob Riis. Pomyślała, że radna dowiedziała się już o jej spotkaniu z Keishą Dewberry, co jednak niekoniecznie musiało wprawić ją w zakłopotanie.

Karla Serran była niską, przysadziłą Latynoską. Miała czterdzieści kilka lat i była ubrana w lekki żakiet z bawełny. Nosiła tenisówki i miała przy sobie aktówkę oraz wymiętoszoną torbę na zakupy.

– Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko rozmowie podczas przechadzki – zwróciła się do Candace. – Do szkoły idzie się jakieś piętnaście minut.

Candace miała buty na płaskiej podeszwie, jak zawsze, gdy była w pracy.

– To żaden problem – powiedziała.

Upał zaczął słabnąć i chociaż nie była to jeszcze pora, o której rozpoczyna się wieczorne życie w East Village, ulice zaroily się mnóstwem ludzi: nastoletnimi punkowcami, którzy nie zmienili się od czasów, gdy Candace miała tyle samo lat, co oni teraz, wieloma yuppies zmierzającymi do swych eleganckich mieszkań w budynkach, które dwadzieścia lat wcześniej były squatami, a także Ukraińcami i Portorykańczykami, wciąż narzekającymi na to, że jest im tu źle. Serran maszerowała tak szybko, że Candace musiała wydłużyć krok, by nie zostać w tyle. Wędrowały właśnie Avenue A. Candace zastanawiała się, czy tak szybkie tempo marszu narzucone przez Karłę Serran nie ma na celu maksymalnego skrócenia rozmowy.

– Jak rozumiem, przygotowuje pani artykuł poświęcony procesowi przekształcania Jacob Riis w osiedle dla rodzin o zróżnicowanych dochodach – powiedziała radna.

Candace skinęła głową. Zaplanowała, że postara się sprawiać takie samo wrażenie jak serialowy porucznik Columbo: nie chciała, by Serran czuła się osaczona. Ludzie, z którymi rozmawiała Candace, często nie uzmysławiali sobie, jak dokładnie przygotowuje się ona do każdego

wywiadu i jak wiele czasu spędza przed komputerem, zanim wreszcie spotka się ze swoim rozmówcą. Informacja stanowi pewien rodzaj władzy, nawet wtedy, gdy z góry wiadomo, że rozmówca nie zamierza odpowiedzieć na większość pytań. Candace była pewna, że Karla Serran nie cieszyła się na tę rozmowę.

– Podstawową rzeczą, której nie jestem w stanie zrozumieć, jest to, dlaczego to właśnie Jacob Riis zostało, przepraszam za wyrażenie, królikiem doświadczalnym – powiedziała Candace.

– Gdy po raz pierwszy usłyszałam o tym projekcie, mówiło się już o osiedlu Jacob Riis – odpowiedziała radna. – Później sprawą zajął się Komitet Mieszkalnictwa Socjalnego Rady Miejskiej.

Karla Serran była przewodniczącą tego komitetu. Candace domyśliła się zatem, że wybór osiedla był swoistym prezentem dla radnej, mającym zapewnić jej poparcie dla projektu.

– Czy to burmistrz podsunął pani ten pomysł? – zapytała.

– Nie, dowiedziałam się o tym od rzecznika Markowitza – odpowiedziała Serran.

David Markowitz, rzecznik rady miejskiej, był młody, elegancki i fotogeniczny. Uważano go powszechnie za najbardziej obiecującego i najambitniejszego miejskiego polityka nowego pokolenia. Candace pomyślała, być może niesprawiedliwie, że radna Serran z pewnością go nienawidzi.

– Ale nie wie pani, dlaczego to akurat rzecznik chciał, aby było to osiedle Jacob Riis?

Serran wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, by w dzielnicy Markowitza znajdowały się budynki komunalne – powiedziała.

Po czym szybko dodała:

– Mówię to nieoficjalnie.

Wywiad nie może zawierać niczego, co mówi się nieoficjalnie. Candace pomyślała, że każdy, kto zajmuje się polityką, powinien o tym wiedzieć. Nie polowała jednak na jakikolwiek chwytliwy cytat (choć Serran miała zapewne rację: Markowitz mieszkał w Upper East Side). Candace grała o znacznie większą stawkę.

– Jak doszło do tego, że spośród deweloperów mogących przebudować osiedla Jacob Riis wybrano właśnie firmę Roth Properties? – zapytała.

– Odbyło się to na zasadzie przetargu, został on zorganizowany przez Wydział Budownictwa – odpowiedziała radna. – Rada miejska nie miała na

to bezpośredniego wpływu.

– Zapewne zna pani osiedle Jacob Riis lepiej niż którykolwiek z nowojorskich polityków – powiedziała Candace, zamierzając schlebić Karli Serran, a zarazem myśląc, że tak jest w istocie. – Co tak naprawdę pani sądzi o pomysle przekształcenia go w osiedle dla mieszkańców o zróżnicowanych dochodach?

Radna spojrzała na Candace. Zapewne zastanawiała się, na ile szczeroci może sobie pozwolić.

– Oczywiście dużo nad tym myślałam – odpowiedziała radna Serran. – Nie chciałam, by całe to przedsięwzięcie zakończyło się wydaleniem dotychczasowych mieszkańców East Village, jak to się stało w przypadku Times Square. Choć pewnie turyści i tak nie zwróciliby na to uwagi. Ale jestem realistką i nie mam zamiaru udawać zbyt wielkiej tęsknoty za miejscem, w którym sama się wychowałam. Wiem, że część mieszkańców Jacob Riis jest przeciwna czemukolwiek, co ma związek z gentryfikacją, lecz to wszystko nie jest takie proste. Ale mogę panią zapewnić, że popierają ją moi wyborcy, właściciele sklepów, którzy pracują w pobliżu osiedla.

Candace i Karla Serran skręciły w pierwszą ulicę, zaledwie o kilka przecznic od Szkoły Publicznej Nr 19. Candace miała coraz mniej czasu, lecz uznała, że nie nadeszła jeszcze pora na zdecydowany atak.

– Przypuszczam, że słyszała pani o niedawnym morderstwie w Jacob Riis – powiedziała.

Twarz Serran przybrała obowiązkowy ponury wyraz.

– Chodzi o tego ochroniarza? – zapytała radna. – To dramat także dla całej społeczności. Ale nie miało to nic wspólnego ze zmianami na osiedlu, prawda?

– Rodzina Nazariów, z której pochodzi oskarżony o zabójstwo, ma zostać eksmitowana. Przyczynili się do tego prywatni ochroniarze z osiedla – odpowiedziała Candace. – Czy słyszała pani o jakichś zatargach pomiędzy ochroną a mieszkańcami albo o problemach mających związek z eksmisjami?

Serran pokręciła głową.

– Na osiedlu Jacob Riis niestety zawsze miały miejsce eksmisje – stwierdziła.

– Wiem ze swoich źródeł, że strażnicy ochrony wrabiają mieszkańców osiedla w posiadanie narkotyków, co wykorzystuje się jako pretekst do dokonywania eksmisji – powiedziała Candace.

Spoglądała na Serran, by zbadać jej reakcję, lecz na twarzy radnej

odmalowało się tylko zaskoczenie.

– Jeśli ludzie się na to skarżą, to powinna pani powiedzieć im, żeby zadzwonili do mojego biura – rzekła Serran.

Candace niezobowiązująco skinęła głową. Z zasady niechętnie pośredniczyła w takich sprawach, nie chcąc odgrywać aktywnej roli w relacjonowanych przez siebie historiach, nawet gdyby mogło to pomóc tym, których opisywała. Pomyślała, że pora na niespodziankę.

– Pani brat Antonio nic pani o tym nie mówił? – zapytała.

To zadziałało. Serran przeszyła Candace ostrym spojrzeniem i szybko odwróciła wzrok.

– Dlatego że pracuje w zarządzie Koalicji Społeczności Alphabet City? – odparła po chwili.

– Zgadza się – powiedziała Candace.

– Nie przypominam sobie, by poruszał ten temat – odpowiedziała radna.

– Zakładam, że śledzi pani uważnie działalność Koalicji – powiedziała Candace, przyglądając się Karli Serran. – I że czyni to pani nie tylko z powodu pani brata. Większość funduszy, które otrzymuje ta organizacja, pochodzi od pani, prawda?

Candace spodziewała się, iż stwierdzenie to wprawi radną w zakłopotanie, lecz Serran nie okazała jakichkolwiek oznak zdenerwowania. Przejeżdżająca obok karetka na sygnale dała jej pretekst do przerwania rozmowy na dłuższą chwilę.

– Zgadza się – odpowiedziała w końcu radna, gdy wycie syreny ucichło w oddali. – Nie ma w tym nic dziwnego. Osiedle Jacob Riis leży w moim okręgu wyborczym, a ja zajmuję się aktywnie sprawami budownictwa socjalnego, ponieważ jestem przewodniczącą Komitetu Mieszkalnictwa Socjalnego przy radzie miejskiej.

– Ale czy w ten sposób nie wspiera pani obu stron? – zapytała Candace.

– Opowiada się pani za zmianami na osiedlu, finansując równocześnie ich opozycję?

– Społeczność osiedla Jacob Riis zasługuje na ochronę – odpowiedziała Serran. – Jej zapewnieniem zajmuje się Koalicja Społeczności Alphabet City. Ja natomiast skupiam się na tym, by zapewnić mieszkańcom osiedla możliwość wyrażenia poglądów.

Bomby poszły, pomyślała Candace. Udawanie miłej prowadziło ją donikąd, nie miała też czasu na subtelne zagrania.

– Jak skomentuje pani to, że przydzieliła pani Koalicji pół miliona dolarów, a niedługo później otrzymała pani kilkadziesiąt darowizn od osób

związanych z tą organizacją? – zapytała. – Jak wynika z moich informacji, w ciągu miesiąca, który upłynął od chwili przekazania pieniędzy Koalicji, na pani konto wpłynęło co najmniej dwieście tysięcy dolarów, a dane dotyczące wpłat naprowadziły mnie na trop Koalicji Społeczności Alphabet City.

– Co pani sugeruje? – zapytała radna, zatrzymując się na środku chodnika.

Candace również przystanęła.

– Niczego nie sugeruję – odpowiedziała, patrząc Karli Serran prosto w oczy. – Lecz faktem jest, że wydarzenia, o których mówię, nastąpiły jedno po drugim. Sprawia pani, że Koalicja wzbogaciła się o wielką kwotę wypłaconą z kasy miejskiej. A następnie ludzie mający związek z Koalicją przekazali na pani konto poważne sumy przeznaczone na pani kolejną kampanię wyborczą.

– Nie zrobiłam nic niewłaściwego – zaprotestowała radna Serran niepewnym głosem.

Wyglądała na bardzo zdenerwowaną, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku.

– Do czego pani zmierza? – zapytała.

– Podążam tam, dokąd prowadzi mnie temat – odparła Candace. – Chciałam tylko zrozumieć ideę przekształcenia osiedla Jacob Riis, a moje poszukiwania doprowadziły mnie do Koalicji. Odnoszę wrażenie, że organizacja ta składa się z jednego biura, numeru telefonu i kilku biurk. Gdyby Koalicja dobrze wykorzystowała pół miliona dolarów, które otrzymała od miasta, można byłoby to bez trudu zauważyć. Lecz tego nie widać, być może dlatego, że pieniądze jedynie przeszły przez konto Koalicji, a przeznaczone są na sfinansowanie pani kampanii wyborczej.

– Jezu... – jęknęła Serran, sprawiając wrażenie tak wstrząśniętej, że Candace uznała, iż radna postanowiła udąć, że naprawdę o niczym nie wiedziała.

– O ile mi wiadomo, wszystkie datki na kampanię, które otrzymałam, pochodzą z legalnych źródeł – dodała Serran. – Nie jest też niczym nielegalnym, jeśli pracownicy organizacji finansowanej przez miasto przekazują darowiznę miejskiemu politykowi.

– Lecz prawdopodobnie byłoby czymś nielegalnym, gdyby Koalicja zajmowała się praniem miejskich funduszy, by mogły one później zostać wykorzystane na jego kampanię.

Radna Serran poczerwieniała, ale pohamowała wybuch złości.

– Gdyby na moje konto wpłynęły pieniądze z podatków, na pewno bym je zwróciła – odparła. – Lecz nic mi nie wiadomo o takich wpłatach.

– Utrzymuje pani zatem, że nie miała pojęcia, iż otrzymała darowizny od tak wielu osób związanych z Koalicją Społeczności Alphabet City? – zapytała Candace.

– Może to mój brat je do tego zachęcił – odpowiedziała Serran. – Nie widzę w tym nic złego.

Candace nie zamierzała kwestionować tej odpowiedzi, choć nie wydała się jej ona szczególnie przekonująca.

– Jeśli nie chce pani, bym skupiała się na niej, musi pani skierować moją uwagę na coś innego – powiedziała.

– A cóż takiego miałabym zrobić? – zapytała radna.

Ona i Candace wciąż tkwiły na środku chodnika, bombardowane wrogimi spojrzeniami przechodniów, którzy musieli je omijać.

– Jest pani najważniejszą w tym mieście osobą zajmującą się mieszkalnictwem socjalnym – powiedziała Candace. – Przypuszczam, że Simon Roth chciał mieć panią po swojej stronie, by umocnić swą pozycję jako dewelopera przebudowującego osiedle Jacob Riis. Czy ktoś zasugerował pani założenie Koalicji Społeczności Alphabet City jako opozycji protestującej przeciwko przekształceniu Jacob Riis w osiedle dla rodzin o zróżnicowanych dochodach? Mogłaby pani równocześnie ją finansować i otrzymywać pieniądze na kampanię wyborczą. Czy była to pani nagroda za poparcie dla tego projektu?

– Czy dokładnie to mi pani sugeruje? – zapytała radna, wpatrując się uważnie w rozmówczynię.

Candace zdała sobie sprawę, że przeceniła swoje siły.

– Chcę, by powiedziała mi pani prawdę – odrzekła.

– To, co mi pani właśnie powiedziała, mogłoby oznaczać, że wzięłam łapówkę za poparcie dla przemian w Jacob Riis – stwierdziła Serran.

– Były to jedynie rozważania teoretyczne – powiedziała Candace. – Chodzi mi tylko o to, że jeśli istnieje szerszy kontekst, w którym chciałaby pani przedstawić mi całą tę sprawę, to chętnie pani wysłucham.

– Nikt nie wręczył mi łapówki za moje poparcie dla projektu przebudowy osiedla Jacob Riis – oświadczyła radna. – Wierzę, że zmiany są tam po prostu potrzebne.

Candace zirytowała się. Była rozczarowana samą sobą: nie powinna była przeprowadzać tej rozmowy, zakładając z góry, że Serran doprowadzi ją do Simona Rotha.

– Jak to się stało, że pani brat zaczął pracować dla Koalicji? – zapytała.

– Czy może pani nie wciągać w to wszystko Antonia? – poprosiła Karla Serran niemal błagalnym tonem, wyglądając, jakby za chwilę miała się rozpłakać. – Mój brat nie jest osobą publiczną. Wiem, że mnie można krytykować, ale Antonio jest zwykłym facetem, który próbuje jakoś przetrwać kolejny dzień. Nie musi pani niszczyć go na pierwszej stronie gazety.

– Nie mam zamiaru nikogo niszczyć – zaproponowała zaskoczona Candace.

Umiała sobie radzić z czymś gniewem, lecz błagalna postawa radnej Serran była dla niej czymś nieoczekiwanym, a zarazem trudnym do zniesienia.

– Ale sama pani widzi, jak to wygląda z mojego punktu widzenia – powiedziała.

– Może to wyglądać tak, jak tylko pani zechce – odparła Serran.

Nie spodobało się to Candace: nie zamierzała posłużyć się insynuacją, by móc wykorzystać ją jako pretekst do spreparowania skandalu.

– Myślę, że rzeczy wyglądają zwykle na takie, jakimi rzeczywiście są – stwierdziła. – A ta sprawa wygląda tak, jakby pieniądze podatników trafiały do pani wyborczej skarbonki. Jeśli jednak zechce pani opowiedzieć mi inną historię, to oczywiście chętnie jej wysłucham, lecz ma pani na to bardzo mało czasu.

Po powrocie do redakcji Candace zostawiła Nugentowi wiadomość głosową, informując swego szefa, że – jej zdaniem – wpadła na trop czegoś, co może stać się tematem bardzo ważnego artykułu, a następnie zabrała się do wyszukiwania informacji o Davidzie Markowitzu. Chciała sprawdzić, czy nie uda jej się znaleźć informacji, które mogłyby wskazać powód jego wielkiego zaangażowania w projekt przebudowy osiedla Jacob Riis. Zaczęła od przejrzenia archiwalnych artykułów, opublikowanych w jej gazecie od chwili, gdy Markowitz został rzecznikiem rady miejskiej. Przeczytała o jego dorastaniu w dobrze usytuowanej rodzinie mieszkającej w Upper East Side (nie różniło się ono zbyt od dorastania samej Candace), o college’u w Princeton i studiach prawniczych w Yale, o kilku latach pracy dla senatora Schumera i dwóch następnych spędzonych w biurze prokuratora stanowego, o wyborze do rady miejskiej i wreszcie o objęciu przez Markowitza stanowiska jej rzecznika. W związku ze zbliżającym się końcem kadencji obecnego burmistrza mówiło się o Davidzie Markowitzu jako o jednym z kandydatów, którzy będą ubiegać się o to stanowisko

w najbliższych wyborach.

Candace postanowiła poszukać powiązań między Markowiczem a przebudową osiedla Jacob Riis. Natknęła się na materiały opisujące poparcie Markowicza dla tego projektu. Nie znalazła w nich jednak niczego, co dotyczyłoby powodów, dla których go udzielał. Zaczęła szukać informacji o związkach rzecznika z rodziną Rothów, lecz i tym razem musiała zadowolić się tylko ogólnikowymi wzmiankami.

Weszła na stronę nowojorskiego Departamentu Stanu i wydrukowała listę darczyńców Markowicza. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, przeglądając wykaz, było to, że rzecznik otrzymywał bez porównania więcej dotacji niż radna Serran, a kwoty pochodzące z poszczególnych źródeł były znacznie wyższe: wiele z nich osiągało dozwolone maksimum ustalone na dwa tysiące dolarów. Co więcej: podczas gdy darczyńcami Serran były bez wyjątku osoby prywatne, Markowicza finansowała spora liczba firm.

Candace zauważyła też, że liczne darowizny ze świata biznesu pochodziły od przedsiębiorstw, o których nigdy nie słyszała. Zaznaczyła ich nazwy i przystąpiła do sprawdzania wpisów na stronie Departamentu Stanu.

Trzecia z kolei firma była spółką z ograniczoną odpowiedzialnością i nosiła nic niemówiącą nazwę MTS Sp. z o.o., lecz adres, pod którym ją zarejestrowano, wydał się Candace znajomy. Reporterka nie potrafiła jednak powiedzieć dlaczego – do chwili gdy ujrzała, że to ten sam adres, pod którym znajduje się obsługująca firmę kancelaria Blake and Wolcott.

Duncan uczestniczył w przesłuchaniu Jacka Pellettieriego, szefa firmy dostarczającej beton na plac budowy Aurora Tower. Pellettieri miał własnego adwokata. Duncan pełnił funkcję obserwatora, którego zadaniem było sprawdzenie, czy Pellettieri nie powie czegoś, co mogłoby zaszkodzić firmie Roth Properties.

Znajdowali się w biurze obrońcy Pellettieriego, Harveya Petersa, który plasował się w prawniczej hierarchii o wiele niżej niż Blake i Wolcott. Biuro położone było w jakimś budynku w pobliżu Madison Avenue. Sala konferencyjna, w której odbyło się przesłuchanie, była mała, duszna i pozbawiona okien. Dłuższy pobyt w tym pomieszczeniu mógł łatwo wprawić w przygnębienie.

Duncan przybył na miejsce tuż przed dziewiątą jako ostatni – wszyscy pozostali uczestnicy spotkania byli już na miejscu. Atmosfera poprzedzająca przesłuchania tego rodzaju bywała zazwyczaj swobodna; tym razem jednak czuło się wyjątkowe napięcie, okazywane zwłaszcza przez Pellettieriego. Nawet Isaac Marcus, prawnik strony pozywającej, był bardziej zamknięty w sobie niż zwykle. Z uwagą przeglądał dokumenty i ledwie podniósł wzrok, usłyszawszy wchodzącego Duncana.

Napięcie wiszące w powietrzu było zrozumiałe: Duncan domyślił się, że ma to być najważniejsze przesłuchanie związane z wypadkiem na Aurora Tower. Nie widział sposobu, w jaki Pellettieri mógłby wywinąć się od odpowiedzialności, i zastanawiał się tylko, czy pogrąży jeszcze kogoś.

Marcus od razu przeszedł do rzeczy: zapytał o brak zabezpieczenia wiążącego betonu. Spotkało się to z gwałtownym sprzeciwem Petersa, który stanowczo i głośno zaczął pouczać Marcusa odnośnie do zadawanych przez niego pytań. Marcus nie pozostał mu dłużny i ripostował ostrym tonem. Rozsiadłszy się swobodnie na krześle, Duncan przysłuchiwał się z boku tej sprzeczce, skupiając uwagę na Pellettierim, który również zdawał się ignorować słowną utarczkę prawników.

Szybko stało się jasne, że Pellettieri postanowił zgodzić się ze wszystkimi zarzutami. Przyznał, że wylanie betonu nastąpiło z opóźnieniem. Przyznał także, że stalowe zbrojenie mające wzmocnić warstwę wiążącego betonu nie zostało należycie zakotwione. I przyznał, że tymczasowe podpory, których zadaniem było dodatkowe zabezpieczenie twardniejącej betonowej masy, ustawiono w niewłaściwy sposób, przez co zawaliły się, gdy tylko puściło

zbrojenie. Pellettieri nie miał wyboru: musiał przyznać, że doszło do złamania zasad sztuki budowlanej.

Słuchając Pellettieriego, Marcus prezentował faktury wystawione przez jego firmę i włączał je kolejno do materiału dowodowego. Pellettieri przyznał bez większych oporów, że jego firma wystawiła rachunki za prace zabezpieczające, których w rzeczywistości nie wykonała.

Nie oznaczało to jednak, że zgodził się ponieść osobistą odpowiedzialność za którekolwiek z zaniedbań. Wręcz przeciwnie: oświadczył, iż nie wiedział o nieuzasadnionych oszczędnościach związanych z budową. Duncan nie uwierzył mu. Pewnie tak samo jak nie uwierzyli wszyscy inni przebywający w sali konferencyjnej. Nie miało to już zresztą większego znaczenia, gdyż i bez tego firma Pellettieriego znajdowała się w trudnej sytuacji.

Nawet przyciskając go do muru, Marcus nie wydawał się usatysfakcjonowany. Przeszedł do następnej serii pytań, chcąc się dowiedzieć, czy ktokolwiek z firmy Omni (była ona głównym wykonawcą robót budowlanych na Aurora Tower) nakłaniał Pellettieriego do rezygnacji z wykonania zabezpieczeń albo wiedział, że nie zostały one wykonane. Pellettieri, nie okazując emocji, dwukrotnie zaprzeczył. Niemożność dobrania się przez Marcusa do Omni pozwalała z dość dużą pewnością przypuszczać, że nie będzie też mógł dobrać się do deweloperów. Firma Roth Properties mogła opierać swe działania jedynie na informacjach dostarczanych przez głównego wykonawcę. Jeśli zatem nikt w firmie Omni nie wiedział o problemach, to nie było powodu, by sądzić, że wiedział o nich Roth.

Pellettieri najwyraźniej nie był zachwycony ciągami, które zebrał od oskarżyciela. Sprawiał wrażenie gwałtownika z rodzaju tych, którzy kojarzą się z bójkami w podrzędnych barach. Był wysokim mężczyzną o wydatnym brzuchu i miał wyraźne zakola na głowie. Jego mięsista twarz poczerwieniała, a skronie pokryły się potem. Pellettieri ze złością opukiwał je czubkami palców. Duncan miał nadzieję, że nie zakończy się to zawałem.

Gdy ogłoszono przerwę na lunch, Duncan pomyślał, że zakończenie sprawy jest już bliskie. Pellettieri nie miał zbyt wielkiego wyboru: musiał zaproponować wysokie odszkodowanie, którego kwota, zdaniem Duncana, nie powinna przekroczyć dziesięciu milionów dolarów, a być może wyniesie nie więcej niż cztery lub pięć. Jedną z ofiar był nielegalny imigrant, co podawało w wątpliwość wysokość jego niedoszłych dochodów i mogło znacznie obniżyć kwotę zadośćuczynienia.

Duncan wybrał się na lunch w towarzystwie Petersa i Pellettieriego. Udali się do restauracji z grillem. Pellettieri, wciąż zdenerwowany, nie odezwał się przez całą drogę ani słowem, a gdy już zajęli miejsca przy stoliku, zamówił glenlivet z lodem.

– To naprawdę kiepski pomysł – powiedział Peters, kładąc rękę na ramieniu swego klienta.

Pellettieri szarpnął się, uczyniwszy to tak gwałtownie, że kelnerka odruchowo odskoczyła od stolika.

– O co ci chodzi? – zapytał Pellettieri drżącym głosem. – I tak jest po sprawie.

Peters pochylił się w jego stronę i zaczął szeptać mu coś do ucha. Duncan, czując zakłopotanie, odwrócił wzrok. W końcu udało im się złożyć zamówienie, lecz Pellettieri nie zamierzał zrezygnować z whiskey.

Duncan był nieco zaskoczony rozmiarami, do jakich urósł gniew Pellettieriego. Musiał przecież wiedzieć o zbliżającym się przesłuchaniu i mógł mieć pretensje tylko do siebie. Peter wciąż usiłował uspokoić swego klienta, mówiąc mu, że najgorszą część przesłuchania mają już za sobą. Lecz Pellettieri już go nie słuchał i tylko rozglądał się po restauracji, zachowując się tak, jakby był jedyną osobą siedzącą przy stoliku. Wrócił do rzeczywistości dopiero na widok swojego drinka przyniesionego przez kelnerkę. Jednym łykiem opróżnił szklaneczkę do połowy i popatrzył na Duncana nienawistnym wzrokiem.

– Może pan powiedziec temu kutasowi, że zrobiłem to, co miałem zrobić – rzekł.

Duncan był zbity z tropu.

– Słucham? – odparł.

– Mówię o tej zapijaczonej mendzie – powiedział Pellettieri. – Proszę mu to powiedzieć.

– Nie mam pojęcia, o kim pan mówi – stwierdził Duncan.

W pierwszej chwili pomyślał, że chodzi o Blake'a, lecz przecież nie można było go nazwać zapijaczoną mendą.

– Niech mi pan nie wciska kitu – powiedział Pellettieri. – Przecież przyszedł pan po to, żeby mu później wszystko powtórzyć. Może nie?

Duncan wciąż nie rozumiał całej tej sytuacji, chociaż domyślił się, że chodzi o kogoś związanego z Rothami.

– Nie wciskam żadnego kitu – odpowiedział, świadom, że nerwową reakcją przyznaje się do winy.

– Daj spokój, Jack – odezwał się Harvey. – Dość już tego gadania.

Pellettieri zatrzymał wzrok na Duncanie i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Może pan o niczym nie wie – powiedział. – Więc jest panu łatwiej.

Duncan zerknął na Harveya, lecz ten nie zrewanżował mu się spojrzeniem.

– O co tu chodzi?

– Proszę zapytać swoich ludzi – odpowiedział Pellettieri.

Duncan zawahał się. Nie był pewien, jak powinien zareagować. Jeśli oświadczenia złożone przez Pellettieriego podczas przesłuchania były nieprawdziwe, to nawet nie chciał o tym słyszeć, bo kierując się etyką zawodową, powinien odpowiednio zareagować, co doprowadziłoby do ogromnego zamieszania. Wrodzona ciekawość Duncana walczyła w nim z prawniczym doświadczeniem. I przegrała.

– Przykro mi, że jest pan zdenerwowany – powiedział głosem pozbawionym emocji, ucinając rozmowę.

– Proszę mu tylko powiedzieć – powtórzył Pellettieri. – Proszę mu powiedzieć, że się poddałem, jak tego ode mnie oczekiwano.

W trakcie spotkania z Neilem Levinem przy drinku w Royaltonie Duncan wciąż próbował zrozumieć, co wydarzyło się podczas lunchu. Zapytał Neila, czy badając dokumenty firmy Roth Properties, nie natknął się na informacje dotyczące Jacka Pellettieriego.

– Chodzi o tego gościa od betonu? Pamiętam, że doszło do przepychanek. Jeremy Roth poinformował firmę Omni o swoich zastrzeżeniach dotyczących dostawcy betonu, który przedstawił najtańszą ofertę. Chciał, żeby beton dostarczał Pellettieri. Ale to oczywiście stara historia.

– Nie znalazłeś niczego, co świadczyłoby o problemach z Pellettierim? – zapytał Duncan. – Mam na myśli faktury albo informacje o niewłaściwym wykonaniu robót. Cokolwiek.

Neil pokręcił głową i upił nieco swojego manhattana.

– Dlaczego pytasz?

Duncan uznał, że nie musi relacjonować Neilowi całej historii.

– Pellettieri zachowywał się bardzo dziwnie podczas dzisiejszego przesłuchania – odpowiedział. – Czy natrafiłeś na coś, co świadczyłoby o bezpośrednich relacjach Pellettieriego z firmą Rotha?

Neil zastanawiał się przez chwilę.

– Nie sądzę – odparł w końcu. – O ile mi wiadomo, nikt od Rotha nie kontaktował się z podwykonawcami.

Nic dziwnego, pomyślał Duncan: nie czynił tego żaden z deweloperów.

– Możesz coś dla mnie zrobić? – zapytał. – Poproś zespół o wyselekcjonowanie wszystkich dokumentów zawierających informacje o kontaktach Pellettieriego, a nawet tych, w których tylko pojawia się jego nazwisko, i dokładnie im się przyjrzyj.

– W porządku – odparł Neil. – Ale czego mam szukać?

– Nie mam pojęcia – powiedział Duncan. – Po prostu wszystkiego, co wyda ci się podejrzanе.

– Aż strach pomyśleć, ile jeszcze dokumentów będziemy musieli przejrzeć – stwierdził Neil. – I nie mają one nic wspólnego z wypadkiem.

– Prokurator okręgowy szeroko zarzuca sieci.

– Wciąż jest mi trochę trudno oswoić się z myślą, że musimy poświęcać tak dużo czasu na zajmowanie się sprawami, które są z gruntu nieistotne – powiedział Neil.

Duncanowi zdarzyło się pewnego razu spędzić dwadzieścia pięć długich dni w jednym z podmiejskich składów w New Jersey. Zajmował się wówczas sporem patentowym i musiał przekopać tony notatek laboratoryjnych, których większość napisano tak technicznym żargonem, że nie miał zielonego pojęcia, o co w nich chodzi. Neil nie musiał mu więc mówić, jak ogłupiające bywa przeglądanie dokumentów.

– Czasami trzeba się trochę pomęczyć, ot i tyle – powiedział. – Warto być cierpliwym, bo później można się zająć czymś bardziej interesującym.

– Na przykład sprawą morderstwa? – zapytał Neil. – A właśnie: jak tam twoja sprawa?

Duncan opowiedział mu o odrzuceniu ugody proponowanej przez prokuratora w zamian za przyznanie się Rafaela do winy, a także o konsultacjach z profesorem Cole'em, które miały doprowadzić do podważenia wyników badania pozostałości po wystrzałach. Opowiadając, zauważył błysk w oczach Neila i poczuł, że jego rozmówca zazdrości mu udziału w tej sprawie. Nie miało to zresztą większego sensu, ponieważ Neil, gdyby tylko chciał, mógłby zostać dobrym obrońcą w sprawach karnych, choć zarabiałby tylko ułamek tego, co otrzymywał w kancelarii Blake and Wolcott.

– Może mógłbym ci jakoś pomóc w tej sprawie? – zapytał Neil. – Na przykład współpracując z twoim ekspertem?

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział Duncan. – To sprawa pro bono.

Tak naprawdę jednak traktował sprawę Rafaela jak swoją własność. Cieszył się, że ma ją wyłącznie dla siebie.

Neil dokończył drinka i rozejrzał się, wypatrując kelnerki. Ledwo powstrzymywał złośliwy uśmiezek.

– Wiesz, słyszałem o tobie plotkę – powiedział.

Duncan pomyślał najpierw, że chodzi o coś, co ma związek ze zbliżającym się głosowaniem w sprawie jego wyboru na partnera kancelarii, lecz zastanowiwszy się, uznał, że niepodobna, by Neil szczególnie interesował się pogłoskami tego rodzaju.

– Jaką plotkę? – zapytał.

– Mówi się, że ty i Lily byliście parą – odpowiedział Neil.

Duncan spodziewał się od dawna, że będzie o tym głośno, dziwne jednak, że nastąpiło to tak długo po ich rozstaniu.

– Umówiliśmy się na parę randek jakiś rok temu – wyznał. – Ale to stara sprawa, a poza tym nigdy nie byliśmy prawdziwą parą.

Neil wyglądał na rozczarowanego.

– Słyszałem, że zerwaliście podczas przyjęcia w Rainbow Room – powiedział.

Duncanowi nie spodobało się, że jest obiektem plotek, lecz skoro już plotkowano, wolał dowiedzieć się więcej.

– Lily wkurzyła się podczas tamtego przyjęcia – wyjaśnił. – Lecz nie z mojego powodu. I to niemożliwe, byśmy wtedy ze sobą zerwali, skoro nie byliśmy razem.

– Czyżbyś należał tych białych chłopaków, którzy mają bzika na punkcie Azjatek? – zapytał Neil.

Duncan z trudem się opanował. Chociaż czasem ludzie wygadują różne rzeczy tylko dla samego mówienia i nie mają złych zamiarów Duncan nigdy nie wspomniał Neilowi o swym pochodzeniu, nie spodziewał się więc, że Neil sam wykaże się tu większą wrażliwością. Uznał ostatecznie, że nie ma co robić z tego afery.

– Jak mówiłem, spotkaliśmy się tylko parę razy – powtórzył.

– Nie chodzi mi o to, że musisz mieć jakąś azjatycką obsesję, by umawiać się z Lily – odparł szybko Neil. – Ona jest bardzo ładna, ale trochę przesadza, gdy próbuje zagonić do pracy naszych młodszych pracowników.

– Lily mogłaby nauczyć cię wielu rzeczy – powiedział Duncan.

– Tego jestem pewien – odparł Neil, unosząc zalotnie brwi.

Duncan był już trochę wkurzony, lecz usiłował tego nie okazywać.

– Mogłaby nauczyć cię wielu rzeczy z dziedziny prawa, ty dupku – powiedział.

– Z dziedziny prawa również – zgodził się Neil.

Dzień dobry, panie rzeczniku – powiedział Simon Roth, zapraszając Davida Markowitza, by usiadł. – Co możemy dla pana zrobić?

Lea zajęła miejsce obok Markowitza. Usiadła zwrócona twarzą do ojca. Roger Carrington, główny radca prawny firmy, usadowił się na kanapie stojącej na tyłach gabinetu. To, że Markowitz przybył do biura Rothów, nie byłoby niczym nadzwyczajnym. Znacznie bardziej intrygujące było to, że zjawił się sam, co oznaczało, że czymś się martwi i będzie chciał się dowiedzieć, co stanowi przyczynę jego trosk.

– Ta Snow, reporterka z „New York Journal”, wydzwania do mojego biura i chce się umówić na rozmowę – powiedział Markowitz, patrząc tylko na Simona. – Zaczęła sprawdzać wszystkie darowizny przekazane przez spółki z ograniczoną odpowiedzialnością na moją kampanię wyborczą i chyba się domyśliła, że to pan kontroluje te firmy.

– Czy potwierdził pan, że te firmy należą do nas? – zapytał Roth.

– Jeszcze nie rozmawiałem z nią osobiście – odpowiedział Markowitz. – Poleciałem tylko moim ludziom, by ją poinformowali, że zbadamy tę sprawę i że darowizny od spółek z ograniczoną odpowiedzialnością są jak najbardziej zgodne z prawem.

– Bo są – wtrącił Carrington z głębi gabinetu. – Ograniczenia wysokości dotacji na kampanię wyborczą mają zastosowanie do każdej firmy z osobna. I reguła ta obowiązuje w każdym wypadku, na przykład gdy ktoś jest właścicielem pięćdziesięciu spółek z ograniczoną odpowiedzialnością.

Markowitz potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. Lea wiedziała, że to, co powiedział Carrington, miało nie tyle uspokoić rzecznika rady miejskiej, co zapewnić jej ojca, że jego firma nie zostanie narażona na szwank.

– Czego pan ode mnie oczekuje, Davidzie? – zapytał Simon.

Lea zauważyła, że jej ojciec mówi tak, jakby nikt nie towarzyszył mu w gabinecie. Nie zwracał uwagi nawet na nią.

– Chodzi jej o pana – powiedział Markowitz. – Złamanie mojej kariery politycznej byłoby z jej punktu widzenia jedynie skutkiem ubocznym.

– Pańska kariera nie jest w żaden sposób zagrożona – odparł Simon. – Takie sytuacje są powszechne, nawet jeśli się o nich niewiele mówi. Przejmiemy inicjatywę, przedstawimy wszystko w odpowiedniej perspektywie, pomyślimy też, jak załatwić sprawę wojenki, którą chciałyby nam wytoczyć Snow.

– Wygląda na to, że próbuje wykazać, że sprawa ma związek z Jacob Riis – powiedział Markowitz. – Na zasadzie „coś za coś”: darowizny i pan jako deweloper, który otrzymał zlecenie na przebudowę tego osiedla.

Lea dostrzegła, że jej ojciec z trudem hamuje zniecierpliwienie.

– Pani Snow może szukać, gdzie tylko jej się spodoba – powiedział Simon. – Sama się przekona, że nie uda się jej niczego znaleźć. Przecież dobrze wiemy, że takich spraw nie załatwia się na papierze, prawda?

Markowitz osłupiał. Wyglądał na przerażonego, nawet gdy już do niego dotarło, że Simon żartuje.

– To nie było zabawne – wydusił w końcu. – Wystarczy, że ktoś zamieści kilka informacji w gazecie, a ludzie natychmiast wyciągają pochopne wnioski. Znam sprawy federalne, które wytoczono z powodu znacznie niższych kwot.

– To zwykła dziennikarska zabawa w politykę – odparł Simon.

– Wiem też, że Snow węszy wokół eksmisji na Jacob Riis i interesuje się pańskimi ochroniarzami – powiedział Markowitz. – Czy jest się czego obawiać?

Lea zdziwiła się, widząc zakłopotanie na twarzy ojca. Zastanowiła się, czy on dostrzegł u niej taką samą reakcję.

– Na przykład czego? – zapytał Simon.

– Słyszałem, że Snow sprawdza, czy ochroniarze nie uczestniczyli w eksmisji mieszkańców osiedla, byście nie musieli później zaprzętać sobie głowy sprawami związanymi z ich powrotem – odpowiedział Markowitz.

– Jacob Riis to przecież prawie pięć tysięcy osób – stwierdził Simon. – Czy Snow myśli, że zamierzamy usunąć po kolei wszystkich tych ludzi?

– Wiem tylko, że szuka winnego – powiedział Markowitz. – Co takiego zrobił pan tej kobiecie?

– Nazwał ją kłamczynią – odezwała się Lea.

To będzie wymagało trochę pracy – odezwał się Simon do Lei, gdy Markowitz, odprowadzany przez Rogera Carringtona, opuścił gabinet.

– Odradzałam ci wnoszenie sprawy o zniesławienie – odparła Lea. – Ale ty zamachałeś przed nią czerwoną płachtą, a ona wpadła w szal. Co to za sprawa z eksmisjami, której tak się uczepliła?

Simon zawahał się.

– Żeby wprowadzić w życie pomysł osiedla dla rodzin o zróżnicowanych dochodach, musimy pozbyć się robaczywych jabłek – odpowiedział.

Lea nie dała jednak za wygraną.

– A dokładniej: w jaki sposób? – zapytała.

– Każde mieszkanie, do którego nie wrócą dawni lokatorzy, przyniesie dodatkowy dochód w postaci około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie – wyjaśnił Simon, zignorowawszy pytanie córki. – Więc jeśli wygospodarujemy tylko czterdzieści takich mieszkań, to w ciągu roku zarobią one dodatkowy milion. Pomnóż to przez kilka lat, a przekonasz się, że mówimy o naprawdę poważnych pieniądzach.

Lea nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. W zamian za udzielenie przez miasto zezwolenia na budowę każdy z deweloperów dokonywał pewnych ustępstw, oddając część mieszkań za cenę niższą niż ich wartość rynkowa. W takich wypadkach zawsze należało się liczyć z możliwością stosowania różnych wybiegów. Lecz na litość boską, tym razem rzecz dotyczyła budownictwa komunalnego, a zła opinia mogła zaprzepaścić cały projekt!

– Kazałeś ochroniarzom wyrzucać lokatorów? – zapytała Lea.

– Nie wyrzucamy nikogo bez powodu – odpowiedział Simon. – Po prostu powiedziałem ludziom Loomisa, żeby zwracali uwagę na wszystkie niewłaściwe zachowania. W Wydziale Spraw Mieszkaniowych dobrze rozumieją, że pozbycie się szumowin przed wprowadzeniem się klientów komercyjnych jest niezbędne, by projekt wypalił. Pozbycie się ludzi, którzy nie będą pasować do nowej wersji osiedla, ma sens dla każdego.

Lea miała wrażenie, że ojciec nie mówi jej wszystkiego.

– Czy zachęciłeś jakoś ochroniarzy Loomisa, by się tym zajęli? – zapytała.

Simon spróbował ukryć zakłopotanie.

– A jeśli nawet, to co? – odparł.

– Jezu, tato, i nigdy nie przyszło ci do głowy, że ci ochroniarze mogli pójść na łatwiznę i wyrzucać, kogo się tylko dało?

– Ludzie Darryla wiedzą, że nie należy grać nieczysto.

Lea nie podzielała optymizmu Simona w tym względzie, lecz dalszy spór byłby bezsensowny.

– Reporterka drąży tę sprawę i wiemy, że przedstawi ją w niekorzystnych dla nas barwach – powiedziała Lea. – Jak możemy ją przed tym powstrzymać?

Simon odwrócił wzrok. Lea zastanawiała się, czy jej ojciec wciąż czuje się nieswojo, kiedy wspólnie z nią ustala strategię dalszego działania.

– Powiem Darrylowi, żeby się nią bardziej zainteresował – odpowiedział.

– Dolalibyśmy w ten sposób oliwy do ognia – odparła Lea.

Simon wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie był zainteresowany

przeciąganiem tej dyskusji.

– Przyzwyczała się boksować zgodnie zasadami markiza Queensberry – powiedział. – Ciekawe, jak sobie poradzi z wolnoamerykanką.

– Naprawdę myślisz, że Darrylowi uda się odstraszyć ją od napisania czegokolwiek więcej? – zapytała Lea.

– To tylko jeden ze sposobów – odpowiedział Simon. – Zamierzam dotrzeć do Friedmana, który próbuje powstrzymać rozlew krwi. Ale musimy też, w trosce o nas i o Davida, przedstawić nasze stanowisko w sprawie dotacji od spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. I będziemy musieli udzielić reporterce odpowiedzi w tej sprawie. Nie możemy pozwolić, by David zebrał wszystkie cięgi. Może chcesz się tym zająć? Porozmawiaj z Rogerem, pamiętaj, by nie przespać sprawy ze spółkami, i zadzwoń do tej dziewczuchy od PR-u, niech coś wymyśli.

Specjalistka od wizerunku firmy Roth Properties była bezczelną kobietą po pięćdziesiątce i nikomu nie przyszłoby do głowy, by nazwać ją dziewczuchą. Lea nie miała ochoty na żarty i nie zamierzała reagować na prowokację ojca.

– Coś jeszcze? – zapytała, wierząc się na krześle.

– Co ze sprawą nieumyślnego spowodowania śmierci na Aurora Tower? – zrewanżował się pytaniem Simon.

Lea nie chciała rozmawiać o tym z ojcem, lecz gdyby nie podjęła tematu, Simon i tak dowiedziałby się o wszystkim od Blake'a.

– Obecnie trwają przesłuchania – oświadczyła. – Właśnie zeznawał dostawca betonu i wygląda na to, że będzie musiał ponieść odpowiedzialność. Jesteśmy czyści.

– Dlaczego to właśnie nim się interesują? – zapytał Simon.

Lea zawahała się, chcąc ograniczyć do maksimum informacje, które mogłaby przekazać ojcu.

– Dlatego że nie wykonał wymaganych zabezpieczeń – odpowiedziała.

Simon przyglądał jej się przez chwilę, marszcząc brwi.

– I nikt nie zwrócił na to uwagi? – odezwał się w końcu.

– Na to wygląda – odparła Lea. – My z pewnością nie byliśmy w stanie tego stwierdzić.

– Ale zapłaciliśmy mu za wykonanie zabezpieczeń?

– Wszystko wskazuje, że wystawiał na ogół zawyżone faktury. Ale nie składał ich, przyznając, że nie wykonał prac, które zostały w nich wyszczególnione. Więc jesteśmy czyści.

Simon wyglądał tak, jakby miał się zagotować.

– Na ile nas naciągnął? – zapytał.

– W tej chwili nie to jest najważniejsze – odpowiedziała Lea. – Zajmijmy się najpierw procesem, o pieniądzach pomyślimy później.

Simon nie lubił, gdy ktoś mu mówił, o co ma się troszczyć. Popatrzył na córkę podejrzliwie.

– Co przede mną ukrywasz? – zapytał.

– O co ci chodzi?

– Wiem, ile klas skończyłaś, więc nie udawaj głupiej, Lea – powiedział Simon.

– Oszczędzam ci tylko niepotrzebnych szczegółów – odpowiedziała. – Panuję nad wszystkim.

Mówiąc to, starała się ze wszystkich sił wytrzymać spojrzenie ojca. Nigdy nie potrafiła go okłamywać.

Lea przygotowywała Duncanowi kolację. Od spotkania w Jean Georges mailowali do siebie praktycznie codziennie, lecz musiało minąć nieco czasu, zanim wolne terminy w ich kalendarzach pokryły się i pozwoliły na ponowne spotkanie. Duncan nie spieszył się ani trochę. Postanowił, że cokolwiek by się działo, będzie postępował z wielką rozwagą. Ale gdy tylko podjął tę decyzję, Lea wszystko skomplikowała: zaproponowała mu kolację w swoim mieszkaniu w piątkowy wieczór.

Mieszkała w Tribeca, w luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze, w niewielkiej odległości od miejsca, w którym powstawała Aurora Tower. Loft Lei, choć znacznie mniejszy i skromniejszy niż dom jej ojca, był bardziej stylowy, utrzymany w stonowanych kolorach. Z wyeksponowanymi ścianami z cegieł i podłogą z desek.

Tylko sypialnia i łazienka były pomieszczeniami zamkniętymi. Reszta apartamentu stanowiła jedną przestrzeń. Duncan, który podobnie jak większość nowojorczyków potrafił z wprawą szacować wielkość wnętrza, ocenił powierzchnię apartamentu Lei na prawie trzysta metrów kwadratowych i wyliczył, że w tej okolicy musiał on kosztować około sześciu milionów dolarów. Było to bez wątpienia mieszkanie bogatej osoby, choć trzeba przyznać, że pełna przepychu willa Stephen'a Blake'a w Westchester miała prawdopodobnie podobną wartość.

– To mieszkanie jest wprost niesamowite – powiedział Duncan.

– Czuję się tu trochę dziwnie – odparła Lea. – Nie mam za grosz zmysłu artystycznego.

– Mogę się założyć, że twoja rodzina sprzedała mnóstwo loftów w centrum miasta ludziom, którzy nie są artystami.

– Ale to nie rozwiązuje mojego problemu. Drinka?

– Pewnie.

– Mam białe i czerwone wino, wódkę, gin, szkocką, brandy i porto.

– A cygara? – zapytał Duncan, unosząc brew.

Lea uśmiechnęła się.

– Tak, wiem, to zawartość barku z alkoholami jakiegoś sześćdziesięciolatka – powiedziała.

– Będę pił to samo, co ty – rzekł Duncan. – Chyba że będzie to porto.

Lea ruszyła do kuchni, prosząc Duncana, by usiadł. Zmierzając w kierunku kanapy, Duncan rozejrzał się po apartamencie. Jego uwagę

przykuł sporych rozmiarów współczesny obraz: przedstawiał dwie ciemne postacie w abstrakcyjnym czerwonym krajobrazie. Wyglądały, jakby wynurzały się z płomieni.

Lea wróciła z dwiema lampkami białego wina. Wręczyła jedną Duncanowi i usadowiła się obok na kanapie. Miała na sobie swobodny strój: ciemną spódnicę i kremową bluzkę z krótkimi rękawami. Rozpuściła włosy. Duncan nigdy nie widział jej w takiej fryzurze w pracy.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać – oświadczył Duncan.

– Czy rozpoznaję twój służbowy ton? – zapytała Lea.

– Obawiam się, że tak.

Lea pokręciła głową.

– Jest piątkowy wieczór i właśnie nalałam nam wina – powiedziała. – Jesteś z tych prawników, u których nie ma wyłącznika?

– Nie wspominałbym o tym, gdyby to nie było ważne – odpowiedział Duncan, myśląc już o czymś zupełnie innym.

– Czy to wiąże się z dzisiejszym wieczorem?

– To coś pilnego, ale nie aż tak.

– Więc zapomnij o tym i pij – powiedziała Lea z uśmiechem.

– W porządku – odrzekł Duncan, czując delikatne rozgoryczenie.

Wciąż nie był pewien, gdzie przebiega granica pomiędzy łączącymi go z Leą sprawami służbowymi a ich prywatną relacją. Jego wizyta w mieszkaniu Lei w piątkowy wieczór z pewnością jednak nie miała nic wspólnego z interesami.

– Kolacja będzie gotowa za dwadzieścia minut – odezwała się Lea, najwidoczniej tylko po to, by przerwać ciszę.

– Naprawdę nie musiałaś niczego przyrządzać – odrzekł Duncan.

– Pewnie, że nie musiałam – odparła Lea. – Ale pomyślałam, że to miłe. I chciałam ci pokazać, że naprawdę umiem gotować. Może nawet ci zaimponuję.

– Nie wątpię, że poradzisz sobie w kuchni – powiedział Duncan. – Głupio mi, że z mojego powodu zadałaś sobie tyle trudu.

– Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie: czy masz wyłącznik?

– Który wyłącza we mnie prawnika? Tak, ale z każdym rokiem działa gorzej – odpowiedział Duncan.

– I to był jeden z powodów, dla których nigdy nie zaczęłam praktykować prawa – rzekła Lea. – Uważałam, że studia prawnicze pozwalają nauczyć się pewnego myślenia, lecz spojrzenie prawników na świat wydawało mi się zawsze śmiertelnie suche.

– Suche?

– Tak, suche. Jak pustynia – odpowiedziała Lea. – Bałam się, że mogłoby stać się pożywką dla tej części mnie, której nic chciałam pozwolić dojść do głosu.

– Jaka to część?

– Ta, która rozgrywa moje życie jak partię szachów – wyjaśniła Lea, odstawiając swą lampkę na stolik kawowy.

Wstała.

– Muszę zajrzeć do kuchni – powiedziała. – Włączysz jakąś muzykę?

– Pewnie.

Duncan podszedł do odtwarzacza, do którego podłączony był iPod, i przez kilka minut przeglądał jego zawartość, chcąc poznać muzyczne upodobania Lei. Wybrał w końcu stary album Sade, którego nie słuchał od kilkunastu lat. Gdy zabrzmiała muzyka, Lea spojrzała na Duncana rozbawionym wzrokiem.

– Czy właśnie to puszczałeś, uwodząc dziewczyny w college’u? – zapytała.

– Nie – odparł Duncan. – Ale chwileczkę: wydaje mi się, że pewnego razu puściła to dziewczyna, która chciała uwieść mnie.

Lea podała kolację: pieczonego miecznika z pilawem. Danie było proste, lecz doskonale przyrządzone. Przygasiła światła nad stołem, przy którym siedzieli. Miało to służyć podkreśleniu, jak zmysłowy jest *Smooth Operator*.

– Uśmiechasz się do siebie – powiedziała.

– Naprawdę?

– Czy to oznacza, że w końcu się trochę odprężyłeś?

– To chyba wino – odpowiedział Duncan.

– Zatem nie przerywaj picia. Może zapomnisz.

– O czym?

– O tym, że jesteś moim prawnikiem.

Duncan uśmiechnął się kwaśno, czując zakłopotanie tematem rozmowy.

– Wspaniały miecznik – odezwał się po chwili.

– Jesteś zaskoczony?

– Ani trochę. Jestem pewien, że udaje ci się wszystko, co robisz.

– Zgadza się – powiedziała nieco smutniej Lea. – Nie wiem, gdzie bym skończyła, gdyby nie start, który zapewniła mi rodzina. Ale pochodzenie z bogatej rodziny zmusza do kompromisu: tak naprawdę nigdy nie robisz tego, na co naprawdę masz ochotę.

Po kolacji Lea napełniła kieliszki porto.

– Faktycznie, jest obłędnie dobre – stwierdził Duncan, upiwszy łyk.
– Porto jest niedoceniane – powiedziała Lea. – Nawet bez cygar. Czy mogę już cię oprowadzić?
– Orowadzić? – zapytał Duncan. – Zaczniemy stąd?
– Stąd nie ma najlepszego widoku – odparła Lea. – Zaczniemy na przykład od sypialni.

– Oczywiście – powiedział Duncan. – Orowadź mnie.

Kochając się z Duncanem, Lea patrzyła mu w oczy. Duncan czuł się z tym dziwnie: ich bliskość wzniosła się przez to na inny poziom i stała się niemal nieznośna, przynajmniej za pierwszym razem. Lea miała bladą skórę i była bardzo szczupła, a gdy kładła się na plecach, można było wyraźnie dostrzec łuki jej żeber. Duncan rozpoczął wędrówkę w dół jej ciała. Poczł w końcu jej smak i powoli ruszył w drogę powrotną. Całując ją w szyję, poczył, że zaprasza go do środka. Nie spieszył się. Poruszał wolno, chwytając jej spojrzenie, a później całując jej małe piersi, by go uniknąć. Lea była cicha, trudno było odgadnąć, czego chce. Starał się wytrzymać jak najdłużej, lecz nie potrafił dostrzec jakichkolwiek oznak jej zbliżającego się orgazmu. W końcu dał się porwać fali rozkoszy. Gdy doszedł do siebie, Lea pocałowała go w szyję, głaszcząc jego włosy.

– Muszę przyznać, że jesteś doskonałą przewodniczką – powiedział, układając się przy niej.

– Więc o czym chciałeś ze mną wcześniej porozmawiać? – zapytała Lea.
Duncan roześmiał się.

– Nie mogliśmy mówić o interesach przed kolacją, ale możemy w łóżku?

– Nie chciałam, żeby ten wieczór zamienił się w spotkanie służbowe – odpowiedziała Lea. – Teraz już się tego nie obawiam.

– Ta sprawa może poczekać – odparł Duncan.

– Ale o co chodziło?

– To naprawdę nie najlepszy moment.

– Powiedz mi tylko, co to takiego – powtórzyła Lea żartobliwym tonem, choć Duncanowi przemknęło przez myśl, że mogła udawać.

– Jeśli ci powiem, w czym rzecz, skończy się na tym, że będziemy teraz tylko o tym rozmawiać.

– Ale właśnie zaczęło mnie to ciekawić – powiedziała Lea.

Duncan przetarł oczy i podniósł się nieco na łóżku.

– Byłem na przesłuchaniu Jacka Pellettieriego – powiedział. – I podczas lunchu wydarzyło się coś dziwnego. Pellettieri był wkurzony i powiedział mi, żebym przekazał swojemu szefowi, że zrobił to, czego od niego

oczekiwano, to znaczy wziął na siebie winę za wypadek.

– Powiedziałeś o tym Blake’owi? – zapytała Lea.

– Pellettieri nie miał na myśli Blake’a – odparł Duncan. – Wydaje mi się, że mówił raczej o twoim bracie lub ojcu.

Duncan poczuł, że Lea zeszywniała.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytała.

– Mogę się mylić – odpowiedział szybko Duncan. – Pellettieri nie jest wzorem czystości. Ale mówił o kimś z waszej firmy, nie mojej. Tego jestem pewien.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem dokładnie, co się dzieje, ale wiem dość, by mieć świadomość, że prawdopodobnie nie chcę nic więcej wiedzieć – odpowiedział Duncan. – Nie mam też pojęcia, co, jeśli w ogóle, wiesz o tym ty. Ale to niebezpieczna gra. Pellettieri nie zaatakował mnie bez powodu.

– Nie prowadzimy żadnej gry – odparła Lea ze złością.

– Posłuchaj: ja też w nic nie gram. Mówię ci to jako twój prawnik i sprzymierzeniec – powiedział Duncan. – Nie mogę chronić cię przed czymś, o czym nic nie wiem. Jeśli nie chcesz tego, nie będę też próbował się dowiedzieć, o co chodzi, i nie będziemy o tym więcej rozmawiać. Pomyślałem, że muszę jednak komuś powiedzieć, że Pellettieri przekazał mi tę wiadomość.

– Nie miałam okazji poznać Jacka Pellettieriego – rzekła Lea.

– Zapomnijmy o tym – odparł Duncan.

– Przepraszam, że byłam uszczypliwa – powiedziała Lea po chwili. – Ale to ponura sprawa. Mam na myśli wypadek.

– Czy możemy odroczyć to posiedzenie? – zapytał Duncan, kładąc rękę na biodrze Lei.

– Oczywiście – odpowiedziała, zbliżając się do niego.

Wybierając się do Lei, Duncan zostawił swój telefon w domu, na co z reguły nie pozwalał sobie nawet w piątki. Poszli z Leą na brunch, więc było już dobrze po południu, gdy wrócił do swego mieszkania.

Zaczął od sprawdzenia telefonu. Stwierdził, że jego uzależnienie od tego gadżetu jest naprawdę żalosne. Rzadko wytrzymywał więcej niż godzinę bez sprawdzania poczty, chyba że zdarzyło mu się przysnąć lub przebywać w sądzie. Teraz zauważył kilkanaście nowych maili oraz informację o wiadomości na poczcie głosowej. Przejrzał pobieżnie korespondencję, lecz nie znalazł niczego, co nie mogłoby poczekać do poniedziałku. Odsłuchał wiadomość głosową.

Był zaskoczony, słysząc głos swego ojca. Max rzadko do niego telefonował. Ostatni raz rozmawiali przed miesiącem. Ojciec nagrał się w piątek o dwudziestej trzeciej, prosząc Duncana, by jak najszybciej oddzwonił. Mówił przygaszonym głosem.

Duncan wybrał numer.

– Czy coś się stało? – zapytał, gdy ojciec podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

– Chodzi o twoją matkę – odpowiedział Max.

– Wszystko z nią w porządku? – zapytał znów Duncan, lecz wiedział już, że nie, że jest źle, choć nie wiedział jeszcze, o co dokładnie chodzi. Nie wiedział, dopóki ojciec nie wymówił słów, których Duncan nie chciał usłyszeć. Powiedział, że jego matka nie żyje.

„New York Journal”, numer z 9 sierpnia 2008 roku:
KONTROWERSYJNE EKSMISJE ZATRZYMAJĄ ZMIANY NA OSIEDLU JACOB
RIIS

Candace Snow

Siedemnastoletnia LaShonda Jennings, której strażnik ochrony podrzucił marihuanę, sądziła, że zrobił to tylko dla żartu. Teraz nikogo już nie bawi fakt, że całą rodzinę dziewczyny aresztowanej za posiadanie narkotyków czeka eksmisja.

Rodzina Jenningsów nie jest jedyna. Wydział Spraw Mieszkaniowych prowadzi jeszcze kilkanaście podobnych spraw, prawdopodobnie w oparciu o sfabrykowane zarzuty posiadania narkotyków.

Błokowisko Jacob Riis w ramach programu pilotażowego ulega obecnie przekształceniu w osiedle dla rodzin o zróżnicowanych dochodach. Krytycy tego planu od dawna wskazują na problem natury czysto matematycznej: pojawienie się nowych mieszkańców sprawi, że zabraknie miejsca dla obecnych lokatorów.

Jak wynika z akt miejskich, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy Wydział Spraw Mieszkaniowych wszczął co najmniej dwadzieścia pięć spraw o eksmisję ponad siedemdziesięciu pięciu mieszkańców osiedla Jacob Riis. Liczba ta jest o wiele wyższa niż w przypadku innych osiedli mieszkaniowych podobnej wielkości. W 2006 roku, jeszcze przed początkiem transformacji Jacob Riis, miasto złożyło jedynie siedem wniosków o eksmisję jego mieszkańców.

W przypadku co najmniej dwunastu prowadzonych obecnie spraw o eksmisję to prywatni strażnicy ochrony zatrudnieni przez dewelopera przyłapali młodych mieszkańców osiedla, zazwyczaj nastolatków, na posiadaniu lub paleniu marihuany. Aresztowanie mieszkańca pod zarzutem zażywania narkotyków może stanowić podstawę do eksmitowania całej jego rodziny. Jednak wielu z zatrzymanych nastolatków relacjonuje wydarzenia w zaskakująco podobny sposób: młodzi ludzie twierdzą, iż zostali wrobieni przez ochroniarzy, a następnie przyznali się do zakłócenia porządku publicznego (co jest jedynie wykroczeniem), czyniąc to tylko po to, by uniknąć kłopotów i nie narażać się na oskarżenie o przestępstwo. Nastolatkowie ci nie zdawali sobie jednak sprawy, że ich przyznanie się do wykroczenia może zostać wykorzystane jako podstawa do

wszczęcia postępowania eksmisyjnego.

Typowym przykładem jest historia LaShondy. Dziewczyna twierdzi, że rozmawiała z kolegą, siedząc na ławce przed swoim blokiem, kiedy podszedł do nich strażnik ochrony, który oświadczył, że widział, jak zwijają skręta. „Najzwyczajniej w świecie podrzucił nam narkotyki”, relacjonowała LaShonda. „To jakiś obłąd. Nie rozumiałam, dlaczego to zrobił, dopóki nie dostaliśmy pisma, że mają nas wyeksmitować”.

Kolejnym nastolatkiem zatrzymanym przez prywatnego ochroniarza jest dziewiętnastolatek Rafael Nazario. Został on rzekomo przyłapany na paleniu marihuany przez strażnika ochrony, byłego policjanta Seana Fowlera. Gdy przyznał się do zakłócenia porządku publicznego, jemu i jego babce groziła eksmisja. Rafael Nazario został później aresztowany pod zarzutem zastrzelenia Fowlera.

Darryl Loomis, były porucznik policji, a obecnie szef agencji ochrony powiązanej z opisywanymi tu wydarzeniami, nie zareagował na szereg próśb o komentarz. Rzecznik Wydziału Spraw Mieszkaniowych oświadczył natomiast, że decyzje o wszczęciu postępowań eksmisyjnych wynikają z faktu, iż każde aresztowanie mieszkańca budynku socjalnego stanowi z zasady podstawę do takiego działania. „Nikt nie informował nas, że wyrzucą nas z domu, jeśli przyznamy się do winy”, powiedziała LaShonda Jennings. „Przyznałam się, ponieważ mój adwokat twierdził, że gdybym tego nie zrobiła, trafiłabym do rejestru karnego”.

Matka LaShondy stwierdziła, że jeśli dojdzie do eksmisji, jej rodzina nie będzie mogła sobie pozwolić na dalszy pobyt w Nowym Jorku i będzie musiała przenieść się do rodziny na Południe. „Być może dla kogoś to osiedle niewiele znaczy”, powiedziała pani Jennings. „Ale właśnie tu wychowałam swoje dzieci i tu jest mój dom. Miasto próbuje mi go odebrać, podpierając się kłamstwem”.

Widok Henry’ego Tacy, wojowniczego redaktora naczelnego, sunącego przez redakcyjny pokój prosto na Candace, mocno ją przeraził, tak samo zresztą jak każdego z reporterów „New York Journal” w podobnej sytuacji. Candace pomyślała, że pojawił się jakiś problem z jej opublikowanym tego dnia artykułem lub tekstem dotyczącym radnej Serran, który właśnie kończyła. Nie uspokoił jej nawet uśmiech, z jakim zbliżał się do niej naczelny.

– Przynoszę dobre wieści – oznajmił Tacy swym tubalnym głosem.

Wszyscy, którzy znajdowali się w promieniu dziesięciu metrów i przestali już przyglądać się nadchodzącemu Tacy’emu, ponownie odwrócili się w jego stronę.

On zaś powiedział:

– Otóż, moja droga, nie jesteś już pozwana w sprawie o zniesławienie.

Minęła chwila, zanim dotarło do Candace to, co usłyszała.

– Nie będzie procesu? – zapytała w końcu. – Jak to?

– Roth zdecydował się wycofać pozew – odpowiedział Tacy. – Chyba zdał sobie sprawę z własnych błędów.

To, że Simon Roth tak po prostu zrezygnował z dochodzenia swoich racji na drodze sądowej, zupełnie do niego nie pasowało.

– Tego się nie spodziewałam – rzekła Candace.

– Może prawnicy Rotha przekonali go, że nie wygra – odparł Tacy. – A może sam pomyślał, że będzie musiał dowieść swoich racji.

– Nieważne, liczy się wynik – powiedziała Candace. – To naprawdę wspaniała wiadomość. Kamień spadł mi z serca.

Tacy skinął głową.

– Oczywiście nie braliśmy pod uwagę przegranej – stwierdził. – Ale sprawa mogłaby się ciągnąć parę lat i Bóg jeden wie ile musielibyśmy wydać na prawników.

– Bardzo się cieszę, że mogę w końcu skupić się na pracy – powiedziała Candace.

– Oczywiście – Tacy lekko się uklonił. – Nie krępuj się.

Dwie godziny później w boksie Candace, wciąż nieposiadającej się z radości, zjawił się Brock Anders.

– Właśnie się dowiedziałem – powiedział. – Gratulacje, Pani Była Pozwana.

Candace podziękowała mu i opowiedziała, jaka to ulga dowiedzieć się, że widmo procesu sądowego przestało wisieć nad jej głową. Było ono jak czarna plama widniejąca obok jej nazwiska i mówiąca, że Candace speprzyła sprawę, zamieszczając w swym artykule oskarżenie, którego podstaw jeszcze nie dowiedziono.

– Musimy to uczcić, kochanie – powiedział Brock. – Dziś wieczorem?

Candace zawahała się, lecz nie dlatego, że miała już inne plany na wieczór. Tak naprawdę bowiem nie zerwała jeszcze do końca z Gabrielem. Po prostu przestała do niego dzwonić, on zaś albo zrozumiał tę aluzję, albo też traktował znajomość z Candace w sposób równie niezobowiązujący, co ona.

– Tylko jeśli obiecasz mi, że nie zatrzymasz mnie do późnej nocy – odpowiedziała.

– Absolutnie nie zamierzam ci tego obiecywać – odparł Brock. –

Zasłużyłaś na długi wieczór. Chcę zobaczyć, jak jutro w południe wczłogujesz się w ciemnych okularach do redakcji.

– Jestem za stara na kaca w środku tygodnia.

Brock pokręcił głową.

– Słowo daję, to już nie ta sama redakcja co kiedyś – powiedziała. – Gdzie się podziali ci wszyscy pijacy?

– Wylecieli z pracy – odparła Candace.

– Dziś wieczorem nie będzie nudno – rzekł Brock. – Możemy zacząć od imprezy u de la Renty, w Meatpacking District.

– Dlaczego wszystkie wydarzenia, w których bierzesz udział, to zawsze imprezy? – zapytała Candace.

– To nieprawda – odpowiedział Brock. – Czasami chodzę na premiery.

Zadzwoił telefon Candace.

– Odezwę się do ciebie – powiedziała do Brocka, zanim podniosła słuchawkę.

Telefonował William Stanton, który zażądał natychmiastowego spotkania z Candace. Nie chciał rozmawiać przez telefon, nie wyjaśnił nawet, o co chodzi. Candace nie miała akurat ochoty na rozmowę. Było jednak pewne, że William jest zdenerwowany. Mówił drżącym głosem i stanowczo domagał się spotkania.

Ostatnio zadzwonił do Candace przed dwoma tygodniami, tuż po otrzymaniu wezwania do złożenia zeznań podczas spotkania, które miała zorganizować kancelaria Duncana. Nie była to miła rozmowa. Stanton nalegał wówczas na Candace, by zrobiła coś, co pozwoliłoby mu uniknąć konfrontacji z prawnikami. Candace obiecała, że porozmawia ze swoim adwokatem, choć już wtedy miała całkowitą pewność, że nie ma sposobu na odwołanie przesłuchania. Stanton natomiast stracił panowanie nad sobą i zaczął krzyczeć, przypominając jej, że obiecała, iż nie ujawni tożsamości swego informatora.

Candace rozmawiała o tym z Rosenstemem, który stwierdził, że nie da się nic zrobić. Zadzwonił do Candace po przesłuchaniu, stąd wiedziała, że to Stanton wyjawiał prawdę. Nie miała wątpliwości, że może mieć do niej jeszcze większe pretensje. Był jednak dobrym informatorem i dlatego wiedziała, że powinna przynajmniej z nim porozmawiać, nawet gdyby miał wyładować na niej swą frustrację.

Spotkali się w restauracyjce przy Dziewiątej Alei, niedaleko redakcji „New York Journal” znajdującej się na zachód od Madison Square Garden. Gdy Candace weszła, Stanton siedział już przy stoliku nad filiżanką kawy.

– O co chodzi? – zapytała.

– Właśnie byłem na spotkaniu z prawnikiem – powiedział Stanton zmęczonym i zachrypniętym głosem.

– Do czego potrzebny panu prawnik?

– Wylali mnie – odpowiedział Stanton bez emocji.

– Został pan zwolniony z Wydziału Budownictwa? Dlaczego?

Stanton wybuchł urywanym śmiechem. Zakaszał.

– Niesubordynacja – wyjaśnił.

Mimo że Candace trudno było uwierzyć, to jeśli Stanton mógłby zostać zwolniony pod jakimkolwiek pozorem, niesubordynacja wydała jej się najbardziej prawdopodobna.

– Co się stało? – zapytała.

– Stało się to, że z panią rozmawiałem – usłyszała w odpowiedzi.

Skrzywiła się.

– Czy ktoś to panu powiedział? – zapytała.

– Nikt nie musiał mi tego mówić. Poszedłem w odставку kilka miesięcy temu, kiedy zaczęto podejrzewać, choć nikt nie mógł tego udowodnić, że to ja przekazywałem pani informacje. A teraz, kiedy wszystko się wydało, nadeszła pora, by się mnie pozbyć.

Candace wątpiła, że faktycznym powodem zwolnienia Stantoną było to, że z nią rozmawiał, ale może po prostu nie chciała w to uwierzyć.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wydział mógłby się zemścić na panu za rozmowę ze mną – powiedziała. – Jak do tego doszło?

– Podobno wprawiłem wydział w zakłopotanie – odpowiedział Stanton.

– Wywołałem do tablicy Duranta, który na pewno ma o wiele ważniejszych znajomych niż ja.

– I co panu powiedziano?

– Niedyskrecja. Dla mnie to jasne jak cholera.

– Nie, to czyste brednie – powiedziała Candace, chcąc nieco udobruchać Stantoną i wesprzeć go na duchu. – Spotkał się pan z prawnikiem, żeby porozmawiać o procesie?

– Prawnikiem powiedział mi, że nie mam argumentów – odparł Stanton. – Nie mogę oskarżyć miasta o jakikolwiek rodzaj dyskryminacji. Musiałbym więc powiedzieć, że była to zemsta za udzielanie informacji prasie. Ale, jak powiedział prawnik, anonimowe rozmowy tego rodzaju nie liczą się jako argument przemawiający za byciem informatorem. W każdym razie nie w taki sposób, który dawałby mi jakiekolwiek prawa.

– Więc nie może pan nic zrobić?

– Powiedziała mi pani, że nikt się nie dowie, że z panią rozmawiałem – rzekł Stanton z wyrzutem.

Candace wierciła się na krześle. Chciała się bronić, ale rozumiała jednocześnie prawo Stanton'a do zdenerwowania.

– Powiedziałam, że zachowam pańską tożsamość w tajemnicy – oświadczyła. – Tak też zrobiłam. Gdy mnie przesłuchiowano, odmówiłam odpowiedzi na wszelkie pytania związane z moimi źródłami informacji. Gdybym mogła zrobić coś więcej, na pewno bym to zrobiła. Nawet przez chwilę nie pomyślałam, że Roth mógłby oskarżyć mnie o napisanie nieprawdy.

– Co z pani procesem? – zapytał Stanton. – Czy będę musiał zeznawać?

– Dowiedziałam się właśnie, że Roth wycofał pozew – odpowiedziała Candace, starając się powstrzymać entuzjazm. Ta informacja zapewne i tak jeszcze bardziej rozjuszy Stanton'a.

Stanton wyglądał raczej na zszokowanego.

– Wydało się, że byłem pani informatorem, zostałem wylany z pracy i już po wszystkim? – zapytał z niedowierzaniem. – Czyli cała ta sprawa była jakimś polowaniem na czarownice, a ja zostałem ofiarą?

Candace nie dziwiła się Stantonowi. Jego paranoja była wywołana okolicznościami, w jakich się znalazł. Nie widziała jednak powodu, by ją jeszcze podsycać.

– Nie wyobrażam sobie, by ktoś zrobił to tylko po to, by pana zdemaskować – powiedziała. – Zresztą chyba nie wierzy pan, że za pańskim zwolnieniem stał Simon Roth.

– Mógł mieć z tym coś wspólnego – odparł Stanton. – Oczywiście, że mógł.

Faktem było, że Candace nie miała pojęcia, dlaczego Roth niespodziewanie wycofał pozew przeciwko gazecie, ani nie rozumiała, dlaczego stało się to tak szybko. Podejrzewała jednak, że Simon Roth mógł ukarać Stanton'a dla przykładu.

– Nawet dla Roth'a proces sądowy oznacza duże wydatki i kłopoty z udowodnieniem, że był pan moim informatorem – powiedziała. – Mogę jednak panu powiedzieć, co moim zdaniem chciał osiągnąć, chociaż nie wiem, czy to właśnie on przyczynił się do pańskiego zwolnienia z pracy.

– A na czym polegała pani rola? – zapytał Stanton. – Gdybym o to nie zapytał, cały czas musiałbym się nad tym zastanawiać.

On ma rację, pomyślała Candace. I rzeczywiście ją miał.

– Przykro mi – odpowiedziała. – Zrobiłam wszystko, co mogłam, by pana

chronić. I proszę mi uwierzyć: w mojej karierze zawodowej to pierwszy przypadek ujawnienia tożsamości informatora. Czuję się z tego powodu fatalnie, ale w sumie chyba nieźle się spisaliśmy, prawda?

Stanton niechętnie skinął głową.

– Zanim zostałem zwolniony, w wydziale chodziły pogłoski, że szykowane są akty oskarżenia z powodu tego, co się stało na Aurora Tower – powiedział. – Czy pani o tym słyszała?

Candace miała nadzieję, że dowie się czegoś więcej o dochodzeniu wszczętym po opublikowaniu jej artykułu o wypadku na Aurora Tower. Usiłowała opanować emocje i nie naciskać zbyt mocno, by nie zniechęcić Stantona do powiedzenia wszystkiego, co wiedział.

– Nie, nie słyszałam – odpowiedziała. – O jakiego rodzaju zarzuty chodzi?

Najwidoczniej nie była dość delikatna, gdyż Stanton spojrzął na nią złowrogo.

– Chryste, czy tylko o tym zawsze pani myśli? – zapytał. – Chodzi pani o opisanie tej sprawy w gazecie? To były tylko plotki, nic pewnego.

Candace nie zamierzała nalegać. Zanotowała jednak w pamięci, żeby podążać tropem podsunętym przez Stantona, choć oczywiście nie miała jeszcze pojęcia, jak się do tego zabrać. Wiedziała też, że dalsze usprawiedliwianie się tym, że Stantona oszukano i nie da się już nic w tej sprawie zrobić, nie ma sensu.

– Nie wiem, co powiedzieć – rzekła. – Powtarzam: gdybym mogła coś zrobić, by pana chronić, to z pewnością bym to uczyniła. Lecz gdyby pan ze mną nie rozmawiał, winni wypadku nie zostaliby pociągnięci do odpowiedzialności.

– Cóż... Wcale nie czuję się przez to lepiej – powiedział Stanton.

Candace pozwoliła Stantonowi wyrzucić z siebie gniew. Miał do tego prawo. Nie mogła przecież pomóc mu w inny sposób. Gdy ich spotkanie dobiegło końca, Candace wyruszyła Dziewiątą Aleją do redakcji. Jej wcześniejszy dobry nastrój był już tylko mglistym wspomnieniem. Opublikowany właśnie artykuł w gazecie oraz wycofanie pozwu o zniesławienie schowały się w cieniu paskudnego uczucia, które nie opuszczało Candace od chwili, gdy się dowiedziała, co przydarzyło się Stantonowi.

Zagubiona w myślach, ledwie zarejestrowała za plecami czyjeś kroki: ktoś szybko biegł w jej stronę. Chciała się odwrócić, lecz zanim to zrobiła, poczuła, że się przewraca.

Upadła na dłonie i kolana, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje. Ktoś wpadł na nią z wielkim impetem. Teraz ten sam człowiek pociągnął ją za ramię. Candace runęła na chodnik. Poczła silne szarpnięcie.

Napastnik staranował ją, by ukraść jej torebkę. Spojrzała w górę i zauważyła mężczyznę oddalającego się sprintem. Nie udało jej się zobaczyć jego twarzy, dostrzegła tylko džinsy i bejsbolówkę.

Candace miała rozdarte spodnie na kolanie, a jej dłonie, którymi podparła się, upadając, były pokaleczone i krwawiły. Obok zatrzymały się dwie osoby. Jedna z nich pomogła Candace wstać, druga zadzwoniła pod 911. Złodziej już dawno gdzieś zniknął.

Dwie przecznice dalej Darryl Loomis siedział za kierownicą zdezelowanego forda taurusa z włączonym silnikiem. Zauważył Assante Webbera, gdy tylko ten wypadł zza rogu, kierując się w stronę samochodu. Assante przez wiele lat był tajnym informatorem Darryla, który trzykrotnie uchronił go przed aresztowaniem: dwa razy z powodu kradzieży z włamaniem, raz w związku z kradzieżą torebki. Assante był już zmęczony spłacaniem swego długu.

Teraz biegł chodnikiem, z czerwoną torebką przewieszoną przez ramię. Darryl zerknął za plecy Assante, sprawdzając, czy ktoś go nie ściga. Upewniwszy się, że nikt nie ruszył w pogoń, Darryl zwiększył obroty silnika. Na ten umówiony sygnał Assante wsiadł do wozu. Darryl ruszył i skręcił w Jedenastą Aleję. Zawrócił i wyjechał na West Side Highway. Jechał powoli. Nie musiał się spieszyć. Wiedział, że udało im się uciec.

Ojciec Duncana czekał na lotnisku. Witając się z synem, objął go i przytrzymał o wiele dłużej niż kiedykolwiek. Max Riley przekroczył właśnie sześćdziesiątkę. Miał rzednące siwe włosy i gęstą srebrną brodę. Nikt, kto widział tych dwóch mężczyzn razem, nie wziąłby ich za ojca i syna. Jakiegokolwiek podobieństwa między nimi nie dostrzegał nawet sam Duncan.

Zgodził się spędzić kilka dni u ojca, choć tak naprawdę tego nie chciał i wolałby zatrzymać się w hotelu. Jego obecność była dla Maxa bardzo ważna, chociaż gościnność ojca wydała się Duncanowi dość wymuszona. Nigdy nie byli ze sobą blisko, a od czasu rozvodu rodziców Duncan za każdym razem spędzał w domu ojca najwyżej weekend.

Nie potrafił szczerze odpowiedzieć sobie na pytanie, czy nie kryły się za tym kwestie rasowe. Jego ojciec mieszkał jednak w części Detroit zasiedlonej niemal całkowicie przez czarnych, a Duncan już jako dziecko zdawał sobie sprawę ze swej odmienności. Kiedy miał około dwunastu lat, spotkała go z tego powodu paskudna przygoda. Gdy po południu wyszedł sam do sklepu na rogu, otoczyła go grupa dzieciaków z sąsiedztwa. Nazywały go białasem (był to jedyny raz, gdy użyto wobec niego tego słowa jako rasowej obelgi). Otrzymał kilka mocnych ciosów i zabrano mu pieniądze. Dzieciaki zostawiły go krwawiącego z nosa i z ust.

Duncan był wystarczająco duży, by zrozumieć, dlaczego tak się stało. Lecz gdy wrócił do domu, ani jego ojciec, ani matka, która dowiedziała się o wszystkim, gdy zjawiała się następnego wieczoru po syna, nie chcieli przyznać, że pobito go i obrabowano, ponieważ wzięto go za białego chłopca przebywającego w okolicy zamieszkaną przez czarnych.

Pozostawiony własnym myślom, nie winił ciemnoskórych dzieciaków. Nie doznał poważnych obrażeń – chociaż był to jedyny raz, gdy został pobity – i rozumiał, że napastnicy uznali okolicę za swoją, a jego za intruza. Ale właśnie o to chodziło: dano mu jasno do zrozumienia, że to nie jego miejsce. Patrząc na Duncana, ludzie widzieli białego. Sam zresztą się za takiego uważał. Ameryka zachowywała się tak, jakby nie dostrzegała ludzi pochodzących z mieszanych związków: była czarna i biała, a kolor skóry jednoznacznie decydował o postawieniu każdego po jednej lub drugiej stronie.

Żadne z rodziców Duncana nie miało ochoty na opowiadanie mu

o sobie, więc jego pojęcie o tym, jak stali się parą, było równie mgliste, jak znajomość powodów ich rozstania. Duncan nie rozumiał też, jak to się stało, że jego matka zaczęła od mieszanego małżeństwa w Detroit, a skończyła na wychowaniu swego dwurasowego syna w Troy, małym mieście, którego wszyscy mieszkańcy byli biali. Każde z rodziców Duncana wróciło po rozwodzie do świata swojej rasy, Duncan zaś zastanawiał się często, czy ich związek nie był oparty na resztkach idealizmu lat sześćdziesiątych, dogasającego jeszcze w latach siedemdziesiątych, później niedającego się już podtrzymać.

Dla Duncana zawiłości czasu jego dorastania nie były czymś błahym. Choć nigdy nie skłamał w sprawie swego pochodzenia, nie zdradzał się też z nim żadnej z osób, z którymi był blisko. Dorastając w środowisku białych, będąc wychowywanym przez białą kobietę, Duncan definiował się po prostu jako biały.

Wciąż nie docierało do niego, że jego matka nie żyje, i nie miał pojęcia, kiedy wreszcie sobie to uświadomi. Kobieta, która mnie wychowała, przemykało mu bezustannie przez myśl. Matka Duncana nigdy ponownie nie wyszła za mąż, a jego ojciec był daleko. Musiała więc sama zajmować się wieloma sprawami.

Mimo to jednak dla Duncana wciąż stanowiła zagadkę. Z jednej strony, widział ją jako obdarzoną miękkim sercem pracownicę socjalną, która poślubiła mężczyznę o odmiennym kolorze skóry. Z drugiej – pamiętał swe mało ekscytujące dorastanie na prowincji i to, że jego własne ambicje były równie nieokreślone, co ambicje jego matki.

Jej śmierć nadeszła bez ostrzeżenia: doznała udaru mózgu. Z tego co wiedział, zawsze cieszyła się doskonałym zdrowiem. Żałował, że ta śmierć spadła jak grom z jasnego nieba, że nie dane mu było się na nią przygotować, pożegnać się z matką ani zrobić czegokolwiek, co winien zrobić syn, wiedząc, że matka odchodzi. Nie ma jednak właściwego sposobu, nie można przygotować na śmierć i nigdy nie da się powiedzieć wszystkiego, co by się chciało.

Jadąc z lotniska, Duncan i jego ojciec prawie nie rozmawiali. Duncan wyglądał przez okno. Cała znana sceneria Michigan wydawała mu się teraz inna. Jakie to dziwne uczucie, pomyślał Duncan, zobaczyć miejsce, które kiedyś było jego domem.

Ale to była już tylko przeszłość. Nie z powodu przeprowadzki. Jego świat zdecydowanie różnił się od tego, w którym dorastał. Od dnia, w którym otrzymał zawiadomienie o przyjęciu na prawo na Harvardzie, wiedział już,

że jego dorosłe życie będzie miało niewiele wspólnego z wychowaniem.

Nie była to łatwa przemiana. Duncan czuł się nie tyle jak świeżo upieczony student Harvardu, co jak ktoś, kto powoli przenika do nowego świata. Pamiętał, że gdy rozpoczął studia, próbował opowiedzieć matce o cieplarnianej atmosferze uczelni pełnej studentów nastawionych na sukces. Przełożenie odczuć na słowa okazało się jednak niemożliwe.

Wybierając prawo, Duncan kierował się niejasną ideą czynienia dobra, lecz nie zainspirowało go do tego żadne z rodziców. Harvard miał swą subkulturę składającą się ze studentów chcących w przyszłości prowadzić działalność publiczną i wykorzystywać prawo do zmieniania świata. Dopiero po pewnym czasie Duncan zrozumiał, że większość z nich ma ze sobą coś wspólnego: rodzinne fortuny. Ukrywanie pieniędzy stało się na Harvardzie bardziej modne niż afiszowanie się z bogactwem.

Duncan pojął w końcu i to, że im intensywniej naprawiacze świata wykorzystywali swe wykształcenie prawnicze, by nieść pomoc pokrzywdzonym, tym większe istniało prawdopodobieństwo, że ich zabawa w uszczęśliwianie innych na siłę subsydiowana była z odziedziczonego majątku. W odróżnieniu od owych marksistów z funduszami powierniczymi Duncan nie sądził, by mógł sobie pozwolić na luksus użycia swego harwardzkiego dyplomu do uprawiania donkiszoterii, za którą otrzymywałyby czterdzieści tysięcy dolarów rocznie. Nigdy się nie dowiedział, czy praca w spółce prawniczej była dla jego matki rozczarowaniem. On jednak widział, jak źle znosiła życie na pierwszej linii frontu pomocy ludziom. Nie chciał iść w jej ślady.

Dom jego ojca był mały i schludny. Znajdował się w okolicy zdominowanej przez domy jednorodzinne, niegdyś zamieszkaną przez klasę średnią i toczącej nieudaną walkę o utrzymanie swego statusu. Z każdym rokiem przybywało tu domów z oknami zabitymi sklejką, a każdy z kolejnych opuszczonych budynków stopniowo obniżał prestiż tego miejsca. Z powodu postępującego od dekad kryzysu miasto skurczyło się tak bardzo, że istnienie dzielnic na jego obrzeżach, takich jak Conant Gardens, straciło sens. Większość mieszkańców Detroit należących do klasy średniej i tak opuściła już jakiś czas temu to miasto.

Duncan wszedł za ojcem do środka i usłyszał odgłosy dochodzące z kuchni. Beverly, jego macocha, krzyknęła coś na powitanie i pojawiła się w salonie. Wytarłszy ręce ścierką do naczyń, objęła pasierba.

Duncan poczuł się przytłoczony całą tą troską. Bardzo chciałby teraz znaleźć się w hotelu, zamówić coś do pokoju i pooglądać telewizję. On

i Beverly nigdy nie czuli się dobrze w swoim towarzystwie. Podobnie jak w każdej sprawie mającej coś wspólnego z jego rodziną, Duncan nigdy do końca nie wiedział, jaką rolę odgrywają w tym wszystkim kwestie rasowe. Być może Beverly wolałaby, żeby jej mąż nie miał syna z pierwszego małżeństwa. Może problemem było to, że jego syn wygląda jak biały.

Za Beverly weszła Kaleena, młodsza od Duncana o dziesięć lat. Była mu najbliższa z nich wszystkich. Relacje z nią po prostu układały się lepiej.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – powiedziała, gdy się objęli.

– A gdzie Antoine? – zapytał Duncan o jej starszego brata.

Gdy tylko o nim wspomniał, Kaleena szybko posmutniała. Wychwycił ostre spojrzenie skierowane przez Beverly w stronę jego ojca.

– Antoine jest znowu w więzieniu – odrzekł po chwili Max.

– Cholera – rzucił Duncan, bardziej zdziwiony tym, że nikt mu o tym nie powiedział, niż samym faktem.

Jego przyrodni brat co rusz wpadał w kłopoty. Zwieńczeniem jego zatargów z prawem stało się oskarżenie o poważne przestępstwo.

– Co się stało? – zapytał Duncan.

– Kurator sądowy Antoine’a nie dawał mu spokoju – wyjaśniła Kaleena.

– Wciąż groził, że dobierze się mu do skóry za to czy za tamto, i w dwa tygodnie temu dopiął swego.

– I nie powiedziałaś mi o tym? – zwrócił się Duncan do ojca.

Max spochmurniał.

– Dawno nie rozmawialiśmy, a kiedy już musiałem zadzwonić, doszła do nas wiadomość o śmierci twojej matki. Nie był to chyba najlepszy moment, żeby rozmawiać o Antoine – powiedział. – Zresztą i tak nie mógłbyś w tej sprawie nic zrobić.

Duncan nie potrafił tego zrozumieć. Antoine był dzieckiem dobrych ludzi i wychował się w spokojnym domu, lecz nie wiedzieć czemu, skończył jako kryminalista. To tak jakby dorastał w najgorszej części śródmieścia Detroit. Ilekroć Duncan zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby miał ciemniejszą skórę, zawsze przychodził mu na myśl Antoine ze zdaną maturą, policyjną kartoteką i zamkniętą przyszłością.

Duncan znajdował się już na skraju wytrzymałości psychicznej, a to, czego dowiedział się teraz, groziło całkowitym załamaniem. Poczul, że oczy napełniają mu się łzami, chociaż nie wiedział, czy rzeczywiście z powodu Antoine’a. Jakby tego było mało, ulokowano Duncana w dawnym pokoju jego przyrodniego brata. Antoine nie mieszkał w nim od lat, dlatego pomieszczenie to, teraz już nienoszące prawie żadnych śladów jego

dawnego właściciela, przerobiono na pokój dla gości. Duncan pamiętał jednak wielki plakat z Tupakiem wiszący na ścianie, a także to, że w pokoju Antoine'a unosił się zawsze delikatny zapach zioła.

Rozpakował się, ograniczając się do niezbędnego minimum, i położył się na łóżku. Znowu miał tu spędzić weekend, choć nie chciał zostać aż tak długo. Miał jednak wiele do zrobienia.

Pogrzeb miał się odbyć następnego dnia po południu. Duncan wciąż nie mógł w to uwierzyć. Tego wieczoru musiał jeszcze zadzwonić do swojej ciotki Marie, z którą miał się spotkać w domu matki z samego rana. Dom miał zostać wystawiony na sprzedaż, gdy tylko zostanie uporządkowany. Marie zajęła się już organizowaniem wszystkich spraw, lecz pomyślała, że Duncan będzie chciał coś zatrzymać. On zaś postanowił, że przekaże jak najwięcej rzeczy matki na cele dobroczynne. Raczej niewiele z nich chciałby zatrzymać.

Duncan zapadł w drzemkę, z której wyrwał go ojciec. Obiad na stole. Duncan był lekko zaspany i czuł się jeszcze bardziej skrępowany. Rozmowa przy posiłku się nie kleiła. Uznał, że okoliczności zwalniają go z obowiązku podejmowania jakichkolwiek wysiłków. Po obiedzie Kaleena wyszła na umówione spotkanie, Beverly zaś wycofała się do sypialni, zostawiając Duncana sam na sam z ojcem.

Mężczyźni przeszli do salonu. Ojciec Duncana przyniósł dwa piwa. Sytuacja ta wydała się coraz bardziej skrępowanemu Duncanowi po prostu sztuczna. Przecież nigdy nie byli ze sobą tak blisko, więc wspólne picie piwa nie było naturalne.

– Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu twojej mamy – odezwał się Max. – Sylvia była dobrą kobietą.

– Nie musimy do tego wracać – odparł Duncan. – Rozstaliście się przecież dawno temu.

– Jesteś na tyle dorosły, żeby wiedzieć, że to nie jest takie proste – zaoponował ojciec. – Nie chcieliśmy, by nasz związek zamienił się w męczarnię, co nie znaczy, że twoja mama zupełnie przestała się dla mnie liczyć. Tego, że się kochało drugą osobę przez tyle lat i ma się razem dziecko, nie da się nigdy zapomnieć.

– Nieźle udało wam się ukryć tę prawdę – powiedział Duncan. – Wiem, że kiedyś na pewno bardzo się kochaliście, tyle tylko że tego nie pamiętam.

Max przyglądał się przez chwilę Duncanowi, ten zaś nie wiedział dlaczego. Nie próbował przecież wszczynać sporu i nie czuł w sobie złości. Chciał być szczery, jeśli ojciec zechce o tym dalej mówić.

– Byliśmy w sobie zakochani, gdy przyszedłeś na świat – powiedział Max.

– Ale mnie nie planowaliście – odparł Duncan, zanim zdał sobie sprawę z tego, co powiedział.

Wychodząc za Maxa, jego matka była w piątym miesiącu ciąży. Duncanowi wspominał o tym ostatnio, gdy był jeszcze nastolatkiem. Myślał, że ta sprawa to dla niego już przeszłość.

– W porządku, tato – powiedział. – Takie rzeczy się zdarzają. Cieszę się, że jestem na świecie.

Max zmagał się z samym sobą, starając powstrzymać wybuch.

– Wspólnie z twoją mamą podjęliśmy właśnie taką decyzję. Że będziemy mieć to dziecko – odrzekł po chwili, cedząc słowa. – I zawsze się z tego cieszyliśmy, nawet gdy było nam bardzo trudno. A teraz sam zobacz, jakim stałeś się mężczyzną, Duncanie.

Duncan roześmiał się chrapliwie. Jakby ktoś wsypał mu do gardła suchą kredę.

– A kim tak naprawdę się stałem? – zapytał. – Pomagam bogatym zarabiać jeszcze więcej i, do jasnej cholery, robię to przez cały boży dzień. Najczęściej pomagam im wyłgiwać się od różnych rzeczy. Nie sądzę, że mama właśnie dokładnie tak wyobrażała sobie moją przyszłość.

Max pokręcił głową.

– Twoja mama była dumna z tego, że będziesz prawnikiem i dostałeś się na Harvard – odparł. – Mimo wszystko stworzyliśmy ci możliwości, których sami nie mieliśmy, a to najlepsze, co rodzice mogą zrobić dla dziecka.

– Wiem i jestem wam wdzięczny – powiedział Duncan. – Tylko że... Co ja tak naprawdę robię? Zarabiam pieniądze, to miłe, ale co dalej?

Zbolały wyraz twarzy Maxa świadczył o tym, że rozmowa potoczyła się inaczej, niż oczekiwał. Pociągnął tęgi łyk piwa i począł zdrapywać naklejkę z butelki.

– Nie wiedziałem, że nie jesteś zadowolony ze swojej pracy – rzekł.

– Nie mówię, że nie jestem – odpowiedział Duncan. – Ale gdybyś piętnaście lat temu zapytał mnie, co zamierzam robić, to dziś na pewno nie usłyszałybyś tego, co właśnie powiedziałem.

– Pamiętam cię jako nastolatka – odparł Max. – Na twoim miejscu nie przywiązywałbym zbyt wielkiej wagi do tego, co wtedy myślałeś.

Duncan zdobył się na uśmiech.

– Tak, chciałem być głównym gitarzystą w jakiejś kapeli – powiedział. – Nie twierdzę, że był to najlepszy pomysł, ale sądziłem, że będę mógł robić

coś znacznie bardziej znaczącego niż to, co robię teraz.

– Na przykład co, bronić związków zawodowych? Wiesz, że jesteśmy w samej dupie? To tonący statek i każdy zdaje sobie z tego sprawę, a nie możemy iść na żadne ustępstwa, bo wszyscy się boją, że wyjdziemy na słabeuszy. Przez większość czasu walczę o ludzi, których General Motors chce wylać z roboty. Żeby się ich pozbyć, firma musi to ze mną skonsultować. Wiadomo, że dalsze zatrudnianie tych ludzi byłoby złe dla fabryki. Zjawiają się tacy w robocie o dziewiątej rano, zalani, a do tego kradną, ale skoro należą do związków, to musimy ich bronić.

Duncan nigdy jeszcze nie słyszał swego ojca mówiącego tak otwarcie o ciemnych stronach swojej pracy. Nie mógł jednak powstrzymać się przed cyniczną uwagą.

– O ile pamiętam, mama nigdy nie traktowała swojej pracy tak jak ty – powiedział. – Przypomnij sobie tylko, z jakim gównem miała bez przerwy do czynienia: bite dzieci i ich rodzice kłamiący, że nic się nie stało... Ale dalej robiła swoje.

– A czy wiesz, dlaczego twoja matka nigdy nie awansowała i nie zeszła z ulicy? – zapytał Max. – Bo była niezłym wrzodem na tyłku swoich współpracowników. Bez przerwy, od kiedy tylko zaczęła pracować, wdawała się w kłótnie z szefami. Nie znałeś jej z tej strony. Po mnie odziedziczyłeś jedną przydatną cechę, Duncanie: zdolność do pracy w systemie.

– To miewa swoje plusy i minusy – odparł Duncan.

– Nie da się, kurwa, zaprzeczyć – powiedział Max. – Ale brak tej zdolności był jednym z powodów, dla których twoja matka nie mogła zajść wyżej. Myślę, że pogodziła się z tym już dawno temu. Interesowało ją niesienie pomocy innym, podobnie jak ciebie, Duncanie. Czy nie dlatego zostałeś prawnikiem?

– Zostałem prawnikiem, nie mając zielonego pojęcia, na czym tak naprawdę polega ta praca – odpowiedział Duncan.

– Być może twój cynizm nie pozwala ci dostrzec tego, co dla mnie jest oczywiste – powiedział ojciec. – Jesteś podobny do swojej matki o wiele bardziej, niż myślisz.

Candace spotkała się z Tommym Nelsonem w McGees, irlandzkim barze w West Fifties. Poznała go w tym samym miejscu w ubiegłym roku. Szukała wtedy informacji dotyczących wypadku na Aurora Tower, a ich rozmowa miała nieoficjalny charakter. Tommy zwracał się do barmana po imieniu, toteż Candace uznała, iż Tommy jest tu stałym bywalcem.

Nelson, zatrudniony w firmie Omni Constructions, był kierownikiem montażu koordynującym prace na placu budowy Aurora Tower. Już wcześniej, na początku swego dziennikarskiego dochodzenia w sprawie wypadku, Candace odbyła z nim parę nieoficjalnych rozmów, lecz nie dowiedziała się zbyt wiele. Nelson obarczył wtedy winą za wypadek Jacka Pellettieriego. Skupiał się na zaniedbaniach podwykonawcy i jednocześnie próbował się usprawiedliwić, przedstawiając powody, dla których nie zauważył jakichkolwiek nieprawidłowości. Candace przypuszczała, że Nelson rozmawiał z nią za wiedzą i przyzwoleniem swego pracodawcy i że chciał sprawdzić, czy głównym wątkiem jej artykułu nie będzie działalność firmy Omni Constructions. Ich rozmowy właściwie spełzły na niczym. Candace nie wykorzystała prawie niczego, co powiedział jej Nelson. Uznała go jednak za dość porządnego typu.

Gdy Candace weszła do baru, Nelson rozmawiał z dwoma mężczyznami. Usiadła parę metrów dalej i zamówiła piwo, chociaż i tak nie zamierzała go wypić. Zerknęła na Nelsona, dopóki nie napotkał jej wzroku. Zauważywszy Candace, powiedział coś swym kompanom, zabrał swego drinka i podszedł.

– Czego, do diabła, pani znowu chce? – zapytał na powitanie.

Był wysokim mężczyzną o siwych włosach i policzkach usianych popękkanymi żyłkami.

– Ja również się bardzo cieszę, że pana widzę – odparła Candace, podnosząc szklanekę piwa i udając, że wznosi toast.

Tommy, do cna irlandzki dżentelmen, rzeczywiście na chwilę się w niego przeistoczył.

– Czy już nie dość mnie pani wykorzystała? – zapytał.

– Ależ Tommy, nawet w połowie.

– Przecież sprawa Aurory to stara historia.

– Mimo to sądzę, że wkrótce wróci na pierwsze strony gazet – rzekła Candace.

– Naprawdę? – zapytał Nelson tonem pozbawionym emocji i pociągnął

łyk swojej whiskey. Przed połknięciem potrzymał ją przez chwilę w ustach.

– Pojawilo się oskarżenie – powiedziała Candace. – Prokurator okręgowy twierdzi, że przyczyną wypadku było nie tylko zaniedbanie, lecz także celowe działanie. Jeszcze jednego Jamesona?

– Ma pani dobrą pamięć – stwierdził Nelson, po jego twarzy przemknął lekki uśmiech.

– Oczywiście. Ale pan przecież o wszystkim wie – powiedziała Candace, machając ręką i usiłując przywołać barmana.

Nelson udał zaskoczonego, lecz Candace nie dała się na to nabrać.

– Zapewne rozmawiał już z panem prokurator okręgowy – powiedziała. – O ile oczywiście nie jest pan podejrzanym w tej sprawie.

Słowa Candace wywołały gwałtowną reakcję Nelsona, który przesadnie mocno pokręcił głową, a następnie szybko poszukał wzrokiem kelnera i zamówił kolejnego drinka.

– Rozmawiamy nieoficjalnie – powiedział po chwili.

– Koniecznie? – zapytała Candace.

– To pani poprosiła mnie o tę rozmowę – odparł Nelson. – Ja czułem się naprawdę doskonale z myślą, że już nigdy więcej pani nie zobaczę.

– Dobrze, niech będzie nieoficjalnie – zgodziła się Candace.

Nelson podszedł do baru po swoją whiskey, wymienił kilka słów z barmanem i wypił łyk. Wróciwszy do stolika, zauważył plastry na obu dłoniach Candace.

– Co się pani stało? – zapytał.

– Kilka dni temu napadnięto mnie i obrabowano, w biały dzień.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Upadłam na chodnik i obtarłam sobie to i owo – wyjaśniła Candace. – A to wszystko z powodu jakichś czterdziestu dolarów.

Ku jej zdziwieniu już godzinę po napadzie policjanci znaleźli jej torebkę, ciśniętą do kosza na śmieci przy Jedenastej Alei. Ktoś zabrał gotówkę, nie tknąwszy innych wartościowych rzeczy: prawa jazdy Candace, jej kart kredytowych ani nawet BlackBerry.

– W każdym razie, o tym miał pan mówić? – zapytała.

Nelson rozejrzał się dookoła i lekko pochylił się ku Candace.

– Zeznawałem przed wielką ławą przysięgłych – odpowiedział cicho.

– Kogo, pańskim zdaniem, chcą oskarżyć? – zapytała Candace.

Nelson pochylił się jeszcze bardziej. Tak że zetknęli się ramionami.

– Pellettieriego – szepnął.

– Tylko jego? – zdziwiła się Candace, ścisząc głos, choć w zatłoczonym

barze mogło się to wydać zupełnie bezsensowne.

– O ile wiem, to tak.

– Prokurator okręgowy zwykle nie zajmuje się chyba sprawami tego rodzaju?

– Gdyby rzecz dotyczyła tylko o zaniedbania, pewnie wcale by się tym nie zainteresował – odpowiedział Nelson. – Ale w tym przypadku najwyraźniej chodzi o celowe działanie.

– Jak to?

– Pellettieri wystawił rachunki za prace, których jego firma w rzeczywistości nie wykonała – wyjaśnił Nelson.

– Więc chcą go dorwać z powodu defraudacji?

Nelson wzruszył ramionami. Wziął krótką czerwoną słomkę i zaczął bawić się lodem pływającym w whiskey.

– Nie żyją już trzy osoby, Candace – powiedział.

Candace poczuła, że serce jej stanęło.

– Zamierzają oskarżyć go o zabójstwo? – zapytała.

– A pani by tego nie zrobiła? – odparł Nelson.

– Pan naprawdę o niczym wtedy nie wiedział?

Zakłopotanie Nelsona było aż nadto widoczne, Candace zaś zyskała pewność, że instynkt jej nie zawiódł: ten gość był zbyt bystry, by nie zauważyć różnych podejrzanych spraw rozgrywających się tuż pod jego nosem.

– Proszę posłuchać – powiedział. – W zasadzie należę tylko do kierownictwa średniego szczebla. Jestem tylko kierownikiem montażu, na którego dzień w dzień spada całe gówno. Z dołu do góry.

– Ale wiedział pan, że z Pellettierim jest coś nie tak – odrzekła Candace. W tym momencie była już tego pewna. – I nie zrobił pan niczego, co mógł, by temu zapobiec. Coś zmusiło pana do przymknięcia oka.

– Na pewno nic takiego nie powiedziałem – zaperzył się Nelson, nie mogąc jednak przy tym spojrzeć Candace prosto w oczy.

– To nieoficjalna rozmowa, Tommy – powiedziała. – Więc jeśli pan chce, możemy rozważyć wszystko w sposób czysto hipotetyczny. Załóżmy, że wiedział pan o nieprawidłowościach, których dopuścił się Pellettieri. Co zatem sprawiło, że nie puścił pan pary ust?

– Nie wiedziałem, że Pellettieri ciął koszty związane z bezpieczeństwem – odpowiedział Nelson. – Z pewnością nie poparłbym takiego działania. Załóżmy jednak, że wiedziałem, że wystawiał lewe faktury, zatrudniał martwe dusze i kombinował na inne sposoby. Gdybym o tym wiedział i nie

reagował, to powodem byłoby zapewne to, że ludzie, których powinienem poinformować, wiedzieli o wszystkim równie dobrze, jak ja.

– O kim mówimy, Tommy? – zapytała Candace.

– Mówiłem tylko hipotetycznie.

– A zatem, hipotetycznie, czy Simon Roth wiedział, co robi Pellettieri?

Nelson pokręcił głową i lekko się uśmiechnął.

– Simon Roth nie miał nic wspólnego z Aurorą – odpowiedział. – Wszystkim zarządzał jego syn.

Candace odchyliła się. Myśli kotłowały się w jej głowie. Wiedziała, że przedstawicielem dewelopera wznoszącego Aurora Tower był oficjalnie Jeremy Roth, lecz sądziła, że stał się nim tylko formalnie, na pokaz. Nie wiedziała o nim zbyt wiele i nie podejrzewała, że mógł odegrać znaczącą rolę w tym, co się wydarzyło.

– Dlaczego Jeremy Roth przymknął oko na podwykonawcę, który zdierał z niego pieniądze? – zapytała, raczej głośno myśląc.

Nelson pociągnął kolejny łyk, zwlekając z odpowiedzią.

– Zatem Jeremy sprzeniewierzył pieniądze własnej firmy z pomocą Pellettieriego – stwierdziła Candace.

– To by wiele wyjaśniało, prawda? – powiedział Nelson.

– Czy powiedział pan łąwie przysięgłych, że Jeremy Roth wiedział, co kombinuje Pellettieri? – zapytała Candace.

Nelson sprawiał wrażenie zakłopotanego. Patrzył na nią nieobecny wzrokiem.

– Nie pytano mnie o to – odpowiedział.

– Zatem prokurator okręgowy w ogóle nie interesuje się Jeremym Rothem? – zapytała zaskoczona Candace.

– Wiceprokurator okręgowy Sullivan nie przedstawił mi swojej strategii – odparł Nelson. – O ile mi wiadomo, długa jak cały Manhattan ława przysięgłych interesuje się tylko Pellettierim.

– I nie powiedział pan niczego Sullivanowi?

– Jak już wspomniałem, o nic takiego mnie nie pytał – powiedział Nelson. – I przypominam, że rozmawiamy nieoficjalnie, co cholernie różni się od zeznawania w sądzie. Gdy się chce zaatakować króla, należy być zdolnym go zabić, prawda? Jeśli wydam rodzinę Rothów, już nigdy nie znajdę w tym mieście pracy. Wiceprokurator weźmie ją na celownik i zapewne chybi, i też już nie znajdzie tu posady. To samo spotka panią, jeśli tylko spróbuje pani napisać o tym artykuł.

Candace zamierzała zlekceważyć to ostrzeżenie.

– Ktoś musiał pośredniczyć pomiędzy Jeremym a Pellettierim – powiedziała. – Bo chyba nie siedzieli w jednym pokoju i nie liczyli wspólnie studolarówek.

Nelson się uśmiechnął.

– Jest jeszcze ta prywatna firma ochroniarska, którą Roth wynajął do pilnowania budowy – powiedział. – W takich miejscach zawsze zatrudnia się ochroniarzy, nie tylko by zapobiec ulatnianiu się sprzętu, ale też po to, by mieć na oku związki zawodowe i tak dalej. Na wielkiej budowie dzieje się wiele dziwnych rzeczy i to właśnie ci goście zajmowali się sprawami, o których ludzie tacy jak ja nawet nie chcą wiedzieć.

Słuchając Nelsona, Candace starała się ze wszystkich sił wyczytać coś między wierszami. Szybko jednak zrozumiała, że nie dowie się już niczego więcej.

– Czy to znaczy, że ludzie Loomisa zajmowali się szantażem? – zapytała.

Nelson drgnął, zdziwiony, że Candace zna to nazwisko.

– Tak, jeden z nich na pewno miał z tym coś wspólnego – odpowiedział.

– Ale proszę nie robić sobie żadnych nadziei, bo on i tak nic pani nie powie.

– Skąd pan wie, że nie zechce ze mną porozmawiać?

– Bo nie żyje.

Usłyszawszy to, Candace poczuła się, jakby wpadła do lodowatej wody.

– Chodzi o Seana Fowlera? – zapytała.

Nelsonowi ponownie nie udało się ukryć zaskoczenia.

– Niech spoczywa w pokoju – odezwał się po chwili. – Cholerny kutas.

Uścisk Lei Roth w publicznym miejscu wprawił Duncana w zakłopotanie. Spotkali się w barze w hotelu Algonquin, zaledwie kilka przecznic od kancelarii, więc Duncan obawiał się, że zobaczy ich któryś z jego współpracowników.

Nie widział się z Leą od czasu, gdy spędzili noc w jej apartamencie. Nie miał też szczególnej ochoty na to spotkanie. Był zmęczony i otępiały, niezdolny do rozmowy z Leą. Żaloba dawała o sobie znać. Smutek nie tylko go wyczerpywał, ale też przyprawiał o tępy ból w całym ciele. Zupełnie jakby zachorował na ciężką gripę.

Duncan wrócił do Nowego Jorku kilka dni wcześniej. Sprawami związanymi z domem matki zajęła się jego ciotka. Był jej za to wdzięczny. Pragnął jak najszybciej wyjechać z Michigan, bo cały pobyt w rodzinnych stronach okazał się dla niego trudny do zniesienia.

Uroczystości pogrzebowe poprowadził ksiądz katolicki, chociaż Duncan był pewien, że jego matka nie postawiła stopy w kościele od czasu jego pierwszej komunii. Mimo iż przez swe całe zawodowe życie wykonywała tę samą pracę, na pogrzebie pojawiła się tylko dwójka jej współpracowników. Duncan przybył z rodziną swego ojca. Wszyscy jej członkowie traktowali udział w uroczystości zapewne jako narzucony im obowiązek. W pogrzebie matki Duncana, pomagającej zawsze wszystkim potrzebującym, uczestniczyło niecałe dwadzieścia osób.

Otrzymawszy wiadomość, w której Lea zasugerowała spotkanie przy drinku, Duncan wiedział, że nie może odmówić – po części z powodu braku granicy oddzielającej ich stosunki służbowe od prywatnej relacji, po części zaś dlatego, że przesłuchanie Jeremy'ego Rotha w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci zbliżało się wielkimi krokami, a Duncan, przygotowując go poprzedniego dnia do przesłuchania, nabrał obaw, czy Jeremy sobie poradzi.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – powiedziała Lea, gdy usiedli przy małym stoliku. – Ja straciłam swoją, gdy byłam jeszcze nastolatką. Była spoiwem naszej rodziny, ale myślę, że nie wiedzieliśmy, jak mocnym, dopóki jej nie zabrakło. Wszystko w porządku?

Duncan wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę nie wiem – odpowiedział. – To było jak grom z jasnego nieba, wciąż nie mogę uwierzyć.

Zamówili drinki. Duncan czuł, że musi się napić.

– Chcesz już wrócić do pracy? – zapytała Lea. – Jestem pewna, że Steven dałby ci jeszcze trochę wolnego.

– I co bym wtedy robił? Siedzenie w domu na pewno nie uleczy mnie ze smutku. Wolę się czymś zająć.

– Wiesz, żałoba ma swoje dobre strony – powiedziała Lea. – Może trudno w to uwierzyć, lecz tak jest w istocie.

– Nie obawiaj się: oplakuję swoją matkę – odparł Duncan. – Tylko nie chcę tego robić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Pewnie, praca może przynieść pocieszenie, a przynajmniej pozwala zająć czymś myśli.

Duncan postanowił zmienić temat.

– Ale, jak się dowiedziałem, nie będę już musiał poświęcać czasu na sprawę o zniesławienie – powiedział, dziękując skinieniem głowy kelnerowi, który postawił przed nim szklaneczkę manhattana.

– Próbowałam przekonać tatę, by w ogóle nie wnosił tego cholernego pozwu – rzekła Lea, zaskakując Duncana goryczą, którą wyczuł w jej głosie.

– Ale doprowadziło to tylko do tego, że wstrętna reporterka jeszcze bardziej się na nas uwzięła. A tata, jak mi się zdaje, powiedział coś o ludziach opowiadających reporterom bajki o naszych interesach.

Duncan nie był pewien, co Lea chciała przez to powiedzieć, lecz postanowił nie pytać. Uniósł szklaneczkę, ale wstrzymał się z pociągnięciem pierwszego łyku.

– Prawdę mówiąc, rozmawiała też ze mną – powiedział.

Po twarzy Lei przemknął cień niepokoju.

– Mówisz o Candace Snow? – zapytała.

– Tak, parę tygodni temu nagle wpadła na mnie na ulicy – odpowiedział Duncan. – Przedstawiła mi jakąś zwariowaną teorię spiskową związaną ze sprawą Nazario.

Uznając to tylko za niewiele znaczącą anegdotę, Duncan zauważył, że Lea potraktowała jego opowieść znacznie poważniej.

– O czym mówisz? – zapytała.

– Candace Snow podejrzewa, że podjęcie się przeze mnie obrony Nazario ma związek z przebudową osiedla Jacob Riis, którą zajmuje się wasza firma – odrzekł Duncan. – Chyba uważa, że biorę udział w próbie zatuszowania niewygodnych faktów.

– Jakich faktów?

Poruszenie Lei zdumiało Duncana.

– Po prostu pomyślała, że to podejrzone, że reprezentuję byłego lokatora Jacob Riis, ponieważ wasza firma przekształca to miejsce w osiedle dla rodzin o zróżnicowanych dochodach. Wyjaśniłem jej, że nie stanowi to konfliktu interesów i że nie macie nic wspólnego z eksmisjami.

– Nie chcę, żebyś kiedykolwiek jeszcze z nią rozmawiał – powiedziała ostrym tonem Lea. – Ona szuka sposobu, by się na nas zemścić, i jak powiedziałeś, jest przekonana o istnieniu spisku. Pisze artykuł o morderstwie?

– Sądzę, że udało mi się ją uspokoić – odparł Duncan. – Była zainteresowana nie tyle morderstwem, co sposobem, w jaki mogłaby was z nim powiązać.

Lea odchyliła się, najwyraźniej próbując opanować emocje.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało histerycznie, ale Candace Snow naprawdę grzebie we wszystkim, co robimy my i nasi biznesowi partnerzy. Szuka czegoś, co mogłaby obrócić w skandal.

– I tak nie lubię rozmawiać z reporterami – stwierdził Duncan. – Pomyślałem właśnie, że nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś z jej gazety pojawił się w przyszłym tygodniu na przesłuchaniu Nazario.

– Co to za przesłuchanie?

– Podważam wiarygodność badań na obecność resztek po wystrzałach.

Lea przechyliła głowę.

– Naprawdę masz jakieś podstawy, żeby się tego podjąć? – zapytała.

– Mój ekspert uważa, że tak – odpowiedział Duncan. – Zaczął skakać z radości, gdy zobaczył notatki laboratoryjne, które otrzymaliśmy od policyjnego specjalisty.

– Jakie znaczenie dla sprawy mogłoby mieć obalenie tego dowodu?

– Na pewno by jej nie zakończyło – stwierdził Duncan. – Ale to byłoby coś.

Lea uśmiechnęła się blado, wciąż zdawała się czymś trapić.

– Jak ci poszło z moim bratem? – zapytała.

Duncan zawahał się, wiedząc, że stąpa po cienkim lodzie.

– Bądź szczerzy – powiedziała Lea.

– Jak bardzo szczerzy?

– Jest aż tak źle? – zapytała.

– Przynajmniej na razie wyglądało to tak, jakby cała sprawa nie bardzo go interesowała – odparł Duncan. Próbował zbliżyć się do prawdy na tyle, żeby nie musieć czuć zakłopotania. – Jestem pewien, że uda mu się skoncentrować bardziej podczas prawdziwego przesłuchania.

– Wiesz, że złożyliśmy propozycję ugody – powiedziała Lea. – Właściwie nie tyle my, co Pellettieri. Ale dość tego, nie o tym chciałam dziś z tobą mówić. Zamierzałam porozmawiać o tobie.

– Lepsze dla mnie jest myślenie o pracy, naprawdę – odparł Duncan.

– Spędziłeś trochę czasu ze swoim ojcem?

Duncan skinął głową. Pomyślał, że oto nadarzyła się okazja, by opowiedzieć o nim Lei. Próbował już kiedyś wyjaśnić jej swoje pochodzenie, lecz wtedy się zawahał. Z reguły przypuszczał, że informacja o ciemnoskórym ojcu nie wprowadziłaby nikogo, a przynajmniej żadnego z kosmopolitycznych nowojorczyków, w zakłopotanie. W tym przypadku miał zupełnie inne odczucia, chociaż nie potrafił dociec dlaczego. Być może ze względu na jej zamożność oraz przekonanie, że i tak już nie należy do jej świata.

Być może tylko to sobie uroił. Lea była Żydówką. Jej dziadek przybył do Stanów ze wschodniej Europy, przez co rodzina Rothów różniła się znacznie od typowych rodzin arystokratycznych. Duncan nie rozmawiał nigdy z Leą o religii. Nie wiedział, czy ma dla niej jakieś znaczenie fakt, że nie jest Żydem. Przerabiał już tę kwestię w poprzednich związkach i nigdy nie stanowiła problemu. Duncan nie miał też podstaw, by przypuszczać, że tym razem będzie inaczej. To było nie fair wobec Lei – świat się zmienił i chyba już tylko on wierzył w te uprzedzenia. Mimo to nie potrafił opowiedzieć swojej historii.

W czym mogę pani pomóc, Candace? – zapytał zastępca prokuratora okręgowego Sullivan.

– Może pan potwierdzić, że zamierza pan postawić Jackowi Pellettieremu zarzut zabójstwa.

Oczy Sullivana przymknęły się ze zdziwienia. Spotkali się w barze Mustang Sally's leżącym kilka przecznic od Madison Square Garden. Candace domyśliła się, że Sullivan nie zechce spotkać się z nią w pobliżu swego biura. Wolałyby pewnie nie narażać się na bycie widzianym podczas rozmowy z reporterką.

Gdy tuż po siódmej Candace pojawiła się w Mustang Sally's, Sullivan już na nią czekał. Siedział plecami do ściany w kącie baru przy oknie. Miał przed sobą szklaneczkę z przezroczystym płynem. Candace pomyślała: czy to alkohol? Sullivan wybrał najbardziej odizolowane miejsce, w którym nie można go było podsłuchać i z którego był w stanie dojrzeć wszystkich przebywających w lokalu. Być może trąciło to nieco paranoją, lecz Sullivan, jako szef manhattańskiego Biura do spraw Walki z Przestępczością Zorganizowaną, miał bez wątpienia sporo wrogów.

– Przebieg posiedzeń ławy przysięgłych jest utajniony. Jestem pewien, że pani o tym wie – odezwał się Sullivan.

Candace uśmiechnęła się.

– Stawia pan zatem Pellettieriego przed sądem?

– Czy ja tak powiedziałem? – odpowiedział Sullivan, robiąc minę niewiniątka. – Najpierw musimy ustalić pewne zasady. Nie poda pani mojego nazwiska i nie zacytuje słowo w słowo tego, co pani powiem.

– Nie zająłby się pan wypadkiem na Aurora Tower, gdybym to ja go nie opisała.

Sullivan lekko skinął głową.

– Jak pani myśli: dlaczego tu teraz siedzę?

– Mam nadzieję, że dlatego, żeby przedstawić mi swój plan działania związanego z oskarżeniem.

Sullivan, bębniąc po stole palcami prawej ręki, uśmiechnął się oschle.

– A dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał.

– Bo mogę zaoferować coś w zamian. Oferuję panu medium – odpowiedziała Candace. – Występuje pan przeciwko ludziom, którzy wiedzą, jak przekazać opinii publicznej swoje racje. A pan?

– Moją areną jest sala sądowa – rzekł z uporem Sullivan.

– Oczywiście, ale myślę, że oboje wiemy, jak teraz działa świat – odparła Candace. – Czy Pellettieri jest jedyną osobą, którą chce pan postawić w stan oskarżenia?

– Kilka dni temu czytałem pani artykuł o radnej Serran – powiedział Sullivan. – Słyszałem też, że biuro prokuratora generalnego wszczyna dochodzenie w jej sprawie. Myśli pani, że uda jej się wyjść z tego obronną ręką?

– Przypuszczam, że nie – odpowiedziała Candace. – Czy próbuje pan zmienić temat?

Sullivan wzruszył ramionami i zlustrował wnętrze baru.

– Czy osiągnęliśmy porozumienie co do warunków tej rozmowy? – zapytał.

– Jest to nieoficjalna rozmowa z funkcjonariuszem związanym z dochodzeniem – wyrecytowała Candace.

Sullivan, mający doświadczenie w prowadzeniu takich rozmów, skinął głową

– Pellettieri jest pierwszą osobą, którą zamierzam oskarżyć – powiedział.

– Oskarżenie buduje się stopniowo, po jednej cegielce, i zaczyna się od sprawy, co do której ma się pewność wygranej.

– Więc uważa pan, że w wypadek zamieszany jest nie tylko Pellettieri? – zapytała Candace.

– Uważam, że warto się tego dowiedzieć – odpowiedział Sullivan. – Zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę dawniejsze przewinienia.

– Pańskim zdaniem jego firma ma związek z wypadkiem na Aurora Tower. Co to oznacza?

– Wie pani, że oskarżałem też jego brata – powiedział Sullivan. – W poprzedniej sprawie firma Pellettieri Concrete ukrywała wiele faktów, zawyżała ceny i wystawiała podwójne faktury, wykorzystując wszelkie mafijne sposoby na drenowanie finansowe przemysłu budowlanego. Teraz dostrzegam to samo w odniesieniu do Aurora Tower.

Candace zrozumiała, że Sullivan podejrzewa istnienie zorganizowanej grupy przestępczej maczającej palce w realizacji tego projektu. Pomyślała, że Sullivan podąża fałszywym tropem, lecz nie zamierzała mu tego mówić.

– Dlaczego więc nie przerwał pan działalności Pellettieriego? – zapytała.

– Jego firma legalnie produkowała beton, a my nic na niego nie mieliśmy – odpowiedział Sullivan. – Co nie znaczy, że Jack nie miał niczego na sumieniu. Po prostu nie udało mi się wykryć jego przekrętów.

– Sprawdza pan, czy o kombinacjach Pellettieriego wiedzieli ci, którym podlegał jako dostawca betonu na Aurora Tower?

Pytanie to najwyraźniej zaskoczyło Sullivana.

– Pellettieri wygrał przetarg, chociaż jego oferta nie była najniższa – powiedział. – Był to sygnał ostrzegawczy. Ale takie rzeczy się zdarzają: ktoś komuś jest winien przysługę albo zamawiający nie ufa, że ten, kto oferuje najniższą cenę, dobrze wywiąże się z umowy. Nie ma powodu, dla którego firma Omni miałyby pozwolić, by jej podwykonawca uniknęła odpowiedzialności za jakiegokolwiek machlojki. Bardziej interesuje mnie to, czy za Pellettierim nie stoi mafia.

Sullivan spojrział na Candace, która domyśliła się, że jej rozmówca liczy na potwierdzenie tezy o zorganizowanej grupie przestępców zaangażowanych w budowę Aurora Tower.

– Ma pan nadzieję, że dowie się pan tego dzięki Pellettieriemu? – zapytała.

– Jest jeszcze za wcześnie, by spekulować na ten temat – odpowiedział Sullivan. – Może więc teraz dowiem się czegoś od pani?

Candace nie uśmiechało się okazywanie pomocy przedstawicielom organów ścigania. To do nich należała praca nad wykrywaniem przestępstw. Nie chciała, by zbyt często łączono z nimi jej nazwisko. Ale wiedziała też, że czasami należy podzielić się informacją, by w zamian uzyskać inną.

– Czy prowadząc dochodzenie, uwzględnił pan w ogóle sprawę Seana Fowlera? – zapytała.

Spodziewała się, że Sullivan zwrócił już uwagę na to nazwisko, lecz prokurator, usłyszawszy je, wyglądał na zaskoczonego.

– A któż to taki? – zapytał.

– Sean Fowler pracował jako ochroniarz na budowie Aurora Tower – wyjaśniła Candace. – Został zamordowany.

– Czy miał coś wspólnego z Pellettierim? – zapytał Sullivan.

– Miałam nadzieję, że dowiem się tego od pana – odparła, nie chcąc powiedzieć więcej niż powinna. – Ale słyszałam różne plotki.

– Czy aresztowano kogoś w związku z tym morderstwem?

Candace skinęła głową.

– Nastolatka z osiedla – odpowiedziała.

Sullivan zmarszczył brwi.

– Sugeruje pani, że śmierć Fowlera łączy się w jakiś sposób ze sprawą Aurora Tower? – zapytał.

– Nie mam na to żadnych dowodów – odpowiedziała Candace. – Ale sprawdzenie, czy nie było tak w istocie, to chyba dobry pomysł.

– Co łączyło Fowlera z Pellettierim? – zapytał Sullivan.

– Pieniądze, którymi obracał Pellettieri. Słyszałam, że podobno nie wszystkie trafiały do jego kieszeni, a Fowler mógł odgrywać rolę kanału, przez który przepływały. Zasłużyłam na nagrodę?

– Twierdzi pani, że muszę podążać tropem martwego przestępcy? Nic mi o nim nie wiadomo.

– Być może zadawał pan do tej pory niewłaściwe pytania – odparła Candace.

Duncan starał się skoncentrować. Bronił właśnie Jeremy'ego Rotha składającego zeznania, a przysłuchiwanie się pytaniom i zgłaszanie sprzeciwów wymagało znacznego wysiłku.

Dzień, który poświęcił na przygotowanie Jeremy'ego do przesłuchania, okazał się niezwykle frustrujący. Jeremy spóźnił się trzy kwadransy. Wyglądał na skacowanego (Duncan domyślił się, że to właśnie on miał być ową zapijaczoną mendą, o której wspomniał Pellettieri) i nie był zainteresowany współpracą z Duncanem. Zdawał się wręcz okazywać mu wrogość. Duncan zastanowił się, czy Jeremy nie dowiedział się o jego dobrze zapowiadającym się związku z Leą i w ten sposób nie manifestował swego sprzeciwu wobec związku ze „służbą”.

Przesłuchanie Jeremy'ego było pierwszym poważnym zadaniem Duncana po powrocie z pogrzebu matki. Ostatnio źle sypiał, co przynajmniej usprawiedliwiało jego ciągłe rozdrażnienie. Postawa Jeremy'ego sprawiła, że Duncan stracił wiarę w jakikolwiek pożytek z ich spotkania. Czas upłynął im na pozorowaniu pracy w atmosferze wzajemnej, niemal jawnie okazywanej pogardy.

Przybywszy na przesłuchanie, Jeremy miał dla odmiany przynajmniej trzeźwe spojrzenie. Zachowywał się zadziornie, zbyt zadziornie: jego odpowiedzi były rozwlekłe i aroganckie.

Duncan nieco się zdziwił, że przesłuchanie Jeremy'ego w ogóle doszło do skutku. Sądził, że sprawa ta została już rozstrzygnięta. Oskarżyciele zajęli się bowiem Pellettierim. Ten zaproponował im ugode, lecz jego propozycję odrzucono. Nie mając bezpośrednio do czynienia z negocjacjami, Duncan zaledwie z grubsza orientował się w obecnym stanie rzeczy.

– Panie Roth, czy pełnił pan nadzór nad realizacją projektu budowy Aurora Tower? – zapytał Isaac Marcus.

Minęła już druga godzina przesłuchania i Marcus zaczął w końcu zbliżać się do sedna sprawy.

– To zależy, co ma pan na myśli – odpowiedział Jeremy. – Nadzorowałem ten projekt ze strony dewelopera, co różni się znacząco od nadzorowania samej budowy.

– Czy można zatem powiedzieć, że to właśnie pan był przedstawicielem firmy Roth Properties, któremu znana była większość codziennych działań na placu budowy?

– Zgadzałoby się to tylko w odniesieniu do działań naszej firmy, chociaż nawet i to stwierdzenie mogłoby wprowadzić osobę postronną w błąd – odpowiedział Jeremy. – Nie skupiamy się na zagadnieniach czysto budowlanych, a już na pewno nie na tym, co się dzieje na budowie każdego dnia. Tym zajmuje się główny wykonawca.

– Czy przed wypadkiem wiedział pan, że firma Pellettieri Concrete wystawiła faktury za wykonanie tak zwanego podparcia pomocniczego, którego zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa podczas wiązania betonu? – zapytał Marcus.

– Mówimy o projekcie budowlanym wartym pół miliarda dolarów, mecenasie – odpowiedział protekcyjnym tonem Jeremy. – Nie mogę kontrolować każdej drobnej faktury.

– Czy dzisiaj, będąc tu, jest pan świadom, że faktury te rzeczywiście przedkładano?

– Tak.

– Czy zapłacono za te faktury?

– Oczywiście – odpowiedział Jeremy. – Gdyby było inaczej, wykonawca przerwałby pracę i wykorzystałby przysługujące mu prawo zastawu na nieruchomości.

– Czy prace, o których mówimy, faktycznie wykonano? – zapytał Marcus.

– Teraz wiem, że nie.

– Kiedy po raz pierwszy zdał pan sobie z tego sprawę?

– Nie pamiętam – odparł Jeremy.

Marcus spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Czy informacja ta nie była dla pana ważna? – zapytał.

– Wówczas ważne było to, że na placu budowy zginęło trzech ludzi – odpowiedział Jeremy. – Nie mieliśmy wtedy czasu na szukanie przyczyn wypadku, a zastanawianie się, czy zapłaciliśmy za wykonanie pracy, było mało istotne.

– Czy był pan świadom faktu, że przed wypadkiem nie wykonano prac zabezpieczających?

– W jaki sposób miałbym się o tym dowiedzieć? – odpowiedział zirytowany Jeremy. – Nie odwiedzałem placu budowy od uroczystego wbicia pierwszej łopaty. Wiedziałem tylko to, o czym mówiono podczas comiesięcznych spotkań. Wtedy jednak nikt nie dyskutował o problemach dotyczących podparcia pomocniczego ani o innych sprawach związanych z betonem.

– Czy nie uważa pan, że obowiązkiem waszej firmy jako dewelopera było upewnienie się, że faktycznie wykonano zabezpieczenia mające podstawowe znaczenie dla bezpieczeństwa?

– Pytanie to dowodzi podstawowej nieznajomości zasad pracy dewelopera – odpowiedział Jeremy.

Duncan wolałby, by Jeremy nie okazywał wyższości aż tak ostentacyjnie. Musiał zatem wymyślić sposób, w jaki mógłby wyperswadować mu to delikatnie podczas przerwy, choć i tak wątpił, czy uda mu się cokolwiek wskórać.

– Deweloperzy nie wizytują budów i nie sprawdzają, czy każdy właściwie wykonał swoją pracę – ciągnął tymczasem Jeremy. – Zadanie to należy do głównego wykonawcy. Nie jestem ekspertem w zakresie bezpieczeństwa w budownictwie. Tę rolę powierzamy wykonawcom. Naprawdę nie wiem, co jeszcze mógłbym panu powiedzieć.

Jeremy przez cały wieczór starał się nie myśleć o sprawie. Podczas kolacji w Chanterelle Alena dopytywała, czym się martwi, lecz Jeremy nie odpowiadał. Interesowały go wyłącznie dwa kieliszki martini, które opróżnił, zanim na stole pojawiły się przystawki. Dopiero pod koniec posiłku zaczął zachowywać się swobodniej, a opróżniwszy wspólnie z Aleną butelkę château haut brion, stał się bardziej rozmowny, jak zawsze, kiedy już wlał w siebie kilka drinków. Po powrocie do apartamentu (Alena wciąż nie potrafiła nazwać tego mieszkania swoim) Jeremy zapalił skręta. Alena pociągnęła raz, lecz nie miała ochoty na więcej. Trawka sprawiła jedynie, że Jeremy stał się jeszcze bardziej rozdrażniony. Zajął miejsce obok Aleny, która zdążyła tymczasem usadowić się przed telewizorem i zaczęła przeskakiwać z kanału na kanał.

Jeremy zatonął w myślach. Poradził sobie nieźle podczas przesłuchania, lecz gdy było już po wszystkim, w jego umyśle zaczęły ożywać wszystkie niepowodzenia. Poczuł, że cała ta sprawa może być jednym z najgorszych doświadczeń w jego życiu. Gdy tylko dowiedział się o wypadku na Aurora Tower, domyślił się, że zamieszany w niego jest Pellettieri. Powinien był wiedzieć, że ten dupek nie cofnie się przed wyciągnięciem wszelkich korzyści z ich umowy.

Ustalili bowiem wcześniej, że faktury za beton wystawiane przez Pellettieriego i przedkładane firmie Roth Properties będą zawyżane, lecz większość uszczkniętych w ten sposób pieniędzy trafi do kieszeni Jeremy'ego, choć i Pellettieri otrzyma swój udział. I wszystko przebiegałoby bez zakłóceń, gdyby Pellettierim nie zawładnęła chciwość. Umowa nie

przewidywała wystawiania kogokolwiek na ryzyko.

Wypadek sprawił, że Jeremy czuł się jak szmata. Jego jedyna wina polegała na tym, że zaczął czerpać nielegalne dochody z przedsięwzięcia. Rozumiał jednak, że wypadek podwyższa ryzyko ujawnienia tego procederu. Jego ojciec zatelefonował już kilka razy do Rona Duranta z Wydziału Budownictwa, lecz nie uczynił tego, obawiając się o wyniki śledztwa ani dlatego, że podejrzewał syna o machlojki. Martwił się jedynie, że przedłużenie dochodzenia doprowadzi do jeszcze większego opóźnienia prac budowlanych. Jeremy nabrał wówczas przekonania, że wystarczy wszystko przeczekać i zachowywać się tak, by nie wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń. Później, gdy Wydział Budownictwa nałożył na jego firmę kilka niewielkich kar finansowych, był już niemal pewien, że cała sprawa zmierza do w miarę szczęśliwego końca.

Ale wtedy pojawił się artykuł, który wywołał ponowne zamieszanie. Krótco po jego opublikowaniu do gabinetu Jeremy'ego wtoczył się Fowler. Zjawił się nagle, nie zadawszy sobie wcześniej trudu zapowiedzenia swej wizyty.

– Co tu robisz? – zapytał go Jeremy, gdy tylko tamten zamknął za sobą drzwi.

– Spokojnie, nikt nie wie, że tu jestem – odparł Fowler, siadając po drugiej stronie biurka.

Był wielkim facetem z okazałym brzuchem piwnym i poruszał się charakterystycznym dla policjantów krokiem.

– Nigdy nie wiadomo, kto na co zwraca uwagę – powiedział Jeremy. – Musimy zachować ostrożność.

– Słyszałem, że sprawą zajął się prokurator okręgowy – rzekł Fowler tak swobodnie, jakby mówił o pogodzie, a nie o dochodzeniu kryminalnym, w wyniku którego obaj mogli wylądować w więzieniu.

Jeremy skinął głową.

– I właśnie dlatego musimy siedzieć cicho – powiedział. – Musimy mieć tylko pewność, że Pellettieri będzie trzymał gębę na kłódkę.

– Mówienie nic mu nie da – rzekł Fowler.

Jeremy wciąż nie rozumiał, co Fowler robi w jego gabinecie. Mógłby się jednak założyć, że gość cieszy się, widząc jego zdenerwowanie, i próbował sobie wmówić, że to on tu rządzi: znajdowali się przecież w jego gabinecie, w gabinecie wiceprezesa dużej firmy deweloperskiej, podczas gdy Fowler był kimś niewiele ważniejszym od zwykłego dozorca. Lecz sytuacja nie była tak oczywista, w każdym razie nie w odniesieniu do Fowlera, który zdawał

się ją kontrolować.

– Nie powinniśmy się ze sobą spotykać i nie powinieneś być tu przychodzić – powiedział Jeremy.

Ku jego zdziwieniu Fowler się uśmiechnął. Żuł gumę z otwartymi ustami. Rozejrzał się po gabinecie z udanym zainteresowaniem.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie powiem nikomu tego, co wiem – rzekł.

Jeremy'ego ogarnęły złe przeczucia.

– Oczywiście – powiedział.

– Sądzę jednak, że skoro okoliczności uległy zmianie, to należy mi się małe co nieco, żebym na pewno pozostał w cieniu – dodał Fowler.

Stało się zatem to, czego Jeremy się obawiał. Fowler otrzymywał swoją działkę i nigdy nie skarżył się na jej wysokość. Być może jednak chciwość jest zaraźliwa.

Jeremy spojrzął na Fowlera, wciąż żującego gumę i nieprzejawiającego jakichkolwiek oznak wstydu czy zakłopotania.

– Chcesz więcej pieniędzy? – zapytał.

Fowler zareagował tak, jakby to Jeremy wpadł na ten pomysł.

– Mała nagroda za lojalność? Dlaczego nie? – odparł.

– Nie mam przy sobie zbyt wiele – powiedział Jeremy. – Może ze dwieście dolców.

Fowler zachichotał, jakby Jeremy opowiedział mu naprawdę niezły dowcip.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby opróżnić twój portfel – powiedział. – Pieniądzy, o jakich mówię, nie trzyma się w biurze. A może się mylę?

Jeremy bardzo chciałby uwierzyć, że nie ma do czynienia z jawnym szantażem. Nie mieściło mu się to w głowie. Najchętniej zatrzymałby czas, by sprowadzić kogoś, kto potrafi sobie radzić w takich sytuacjach.

– Jaką kwotę masz na myśli? – zapytał.

Fowler wzruszył ramionami.

– Jakieś dwieście pięćdziesiąt kawałków – odpowiedział.

Jeremy nie wiedział, jakiej odpowiedzi się spodziewać, lecz to, co usłyszał, kompletnie go zszokowało.

– Chyba nie masz pojęcia, o czym mówisz – odparł. – Nie dysponuję taką kwotą.

– Wydaje mi się, że jest jednak inaczej – powiedział Fowler. – Skoro skubnąłeś Aurorę na co najmniej dwa miliony, to dwieście pięćdziesiąt tysięcy nie powinno chyba stanowić dla ciebie większego problemu.

Jeremy poczuł mdłości.

– Mówisz serio? – zapytał.

Fowler uniósł się z krzesła i popatrzył na Jeremy'ego z góry.

– Nie musisz odpowiadać w tej chwili – stwierdził. – Daję ci na to dwadzieścia cztery godziny i nie próbuj zrobić z nich dwudziestu pięciu.

Jeremy podejrzewał, że Fowler blefuje, lecz nie mógł ryzykować. Nie potrafił znieść nawet myśli o zagrożeniu, które zawisło nad jego głową. Zebrał więc ćwierć miliona dolarów w gotówce, mając nadzieję, że uda mu się kupić milczenie Fowlera, a zgodziwszy się zapłacić, dał mu jasno do zrozumienia: to pierwsza, a zarazem ostatnia kwota za trzymanie języka za zębami. Fowler przystał na to bez wahania.

Niecałe pół roku później zjawiał się ponownie, także bez zapowiedzi. Jeremy wyszedł właśnie na spotkanie, a gdy wrócił do firmy, sekretarka przekazała mu wiadomość. Już sam widok nazwiska zapisanego na małej różowej karteczce przyprawił Jeremy'ego o drżenie rąk.

Jeremy nie zamierzał spędzić reszty życia pod butem Fowlera. Nie wiedział, jak się od niego uwolnić, był jednak pewien, że musi coś zrobić. Potrzebował czyjejś rady, a najbardziej odpowiednią osobą wydała mu się jego siostra. Jeszcze tego samego wieczoru zjawiał się w jej apartamencie.

– Jest problem z Aurorą – powiedział.

Lea spojrzała na brata i zmarszczyła brwi.

– Jeśli to sprawa służbowa, to dlaczego nie powiedziałeś mi tego w pracy? – zapytała.

– O tym nie można rozmawiać w biurze – odpowiedział Jeremy. – Wpadłem w kłopoty, Lea.

– Z powodu Aurory? Jak to? Co się dzieje?

Jeremy wiedział, że Lea się wkurzy, i to bardzo. Uznał jednak, że nie ma wyboru i musi się komuś zwierzyć.

– Miałem umowę z Pellettierim – powiedział. – Tata wciąż trzyma rękę na naszych pieniądzech. Ulokował je w głupich funduszach i nieruchomościach, których nie możemy sprzedać.

– Wiem, jak trudno wyżyć za dwa miliony rocznie – odparła z przekąsem Lea. – Ale co to ma wspólnego z Pellettierim i Aurorą?

– Jak już mówiłem, doszliśmy do porozumienia – rzekł Jeremy. – Firma dostarczająca nam beton zawyżała kwoty na fakturach, a ja się pod tym podpisywałem. Nie było to dużo jak na inwestycję wartą pół miliarda, w każdym razie nic takiego, co miałoby przynieść nam straty. Zresztą to i tak nasze pieniądze.

Lea usiadła na kanapie obok Jeremy'ego. Całe jej ciało było napięte, jakby zbierający się w niej gniew zaciskał je w wielką, wszechogarniającą pięść, która zaraz uderzy w Jeremy'ego.

– Okradałeś Aurorę? Z Pellettierim? – zapytała.

– Miał tylko lekko zawyżać faktury – odpowiedział Jeremy. – Nie było mowy o fikcyjnych robotach i to on jest odpowiedzialny za wypadek. Ja nie miałem zielonego pojęcia o całym tym gównie z brakiem zabezpieczenia. Gdybym wiedział, co kombinuje, nie pozwoliłbym mu na to.

– Jezu, Jeremy, mógłbyś pójść za to do więzienia – powiedziała Lea. – A jeśli ktoś powiąże cię z wypadkiem?

– Właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać – rzekł Jeremy. – Ktoś o wszystkim wie i chce pieniędzy za milczenie.

Oczy Lei zacisnęły się boleśnie.

– Któż to taki? – zapytała.

– Ochroniarz – odpowiedział Jeremy. – Pracował z nami. To znaczy pomagał w braniu pieniędzy. Kilka miesięcy po wypadku przyszedł do mnie, żądając zapłaty za milczenie. Powiedziałem mu wtedy, że otrzyma ją tylko raz. Ale znów się pojawił.

– Ile chce?

– Dwieście pięćdziesiąt.

– Dwieście pięćdziesiąt czego?

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Chce ćwierć miliona.

Usłyszawszy to, Lea lekko podniosła brwi.

– Ma coś na ciebie? – zapytała.

– Więcej niż trzeba – odpowiedział Jeremy.

– Co tak naprawdę robiliście, biorąc te pieniądze?

– Nie muszę ci mówić, że załatwiliśmy wszystko pod stołem. A później, jak już się dogadaliśmy, nie rozmawiałem więcej z Pellettierim. Naszym pośrednikiem był ochroniarz Fowler.

– Gdyby ten ochroniarz poinformował o wszystkim władze, nie miałyby znaczenia nawet to, czy musiałbyś stanąć przed sądem – stwierdziła Lea. – Ta historia zniszczy cię, a nawet może doprowadzić do upadku naszą firmę. Jak mogłeś być tak głupi?

– Nie powiedziałem ci tego tylko po to, żebyś wyzywała mnie od idiotów – odparł Jeremy. – Potrzebuję twojej pomocy, Lea. Nie mogę płacić temu gościowi w nieskończoność. Co mogę zrobić, żeby dał mi spokój?

Lea roześmiała się chrapliwie.

– Skąd ja, kurwa, mam wiedzieć? W życiu by mi nie przyszło do głowy

mieszać się w takie gównno. Skąd w ogóle pomysł, że mogę rozwiązać twój problem?

– Musiałem komuś o tym powiedzieć – odpowiedział Jeremy.

– A tata?

– Przecież by mnie zabił.

– Nie ciesz się. Chyba sama to zrobię – rzekła Lea.

Przymknęła oczy, usiłując zmusić się do myślenia.

– Mało prawdopodobne, że ochroniarz chce cię rzeczywiście wydać. Jest na pewno świadomy własnej winy – powiedziała po chwili. – Chodzi mu o pieniądze. Zapłaciłeś mu, więc jeśli zagrozi, że cię wyda, zrewanżuj mu się tym samym.

Twarz Jeremy'ego pojaśniała.

– Rzeczywiście – powiedział. – Uświadomimy mu, że sam też pójdzie na dno.

– Tyle tylko że ty masz o wiele więcej do stracenia – odparła Lea. – Porozmawiam z Darrylem Loomisem. Może znajdzie jakieś rozwiązanie. Tymczasem zbywaj gościa tak długo, jak to tylko możliwe. No i co?

– Wiem.

– Co wiesz?

– Że gruntownie to wszystko spierdoliłem.

Jeremy uznał, że śmierć Fowlera położyła kres całej sprawie. Pomylił się jednak: zatrzymała ona wszystko, w tym ten wieczór, luksusową kolację z piękną i chętną do wszystkiego kobietą leniwie rozpartą u jego boku. Wszystko to przeszło gorzkim smakiem kłopotów, których sam narobił.

– Nikt nie miał ucierpieć – odezwał się nagle, przerywając długą ciszę.

Alena spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Kto ucierpiał? – zapytała.

– Ci trzej mężczyźni. Oni zginęli.

– Mówisz o wypadku na budowie?

– To moja wina – odrzekł. – Przyczyniłem się do ich śmierci.

Alena przyzwyczaiła się już do sposobu, w jaki Jeremy jej się zwierzał: do jego urywanych i melodramatycznych wybuchów, chociaż nigdy nie wiedziała, ile było w nich przesady zrodzonej z uzalania się nad sobą.

– Czy właśnie dlatego ktoś cię szantażuje? – zapytała.

– Z szantażem już koniec – odpowiedział Jeremy lekceważąco, machnąwszy ręką, jakby wyganiał ten temat z ich rozmowy. – Rzecz w tym, że nie powinienem był dopuścić do tego, co spotkało tych trzech robotników.

Alena nie wiedziała, czy dobrze zrozumiała. Nie była też pewna, czy chce zrozumieć to, co właśnie powiedział jej Jeremy.

– Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś, że dojdzie do wypadku? – zapytała. Jeremy pokręcił głową.

– Mimo to nie powinienem był do tego dopuścić – odparł. – Dałem gościom od betonu palec, a oni chwycili całą pieprzoną rękę. I nie da się już tego odkręcić.

– Czy ktoś pytał cię o to w sądzie?

Jeremy ponownie machnął ręką, najwyraźniej nie chcąc odpowiadać na pytania.

– Wszystko jest pod kontrolą – powiedział. – Ale mimo to czuję się jak skończone gówno.

– Nie rozumiem – rzekła Alena. – Dlaczego na to pozwoliłeś?

– Jeszcze pytasz? Potrzebowałem tej jebanej forsy.

Opóźnienie prac na Aurora Tower wynosiło już pół roku. Otoczenie budynku było wprawdzie całkowicie wykończone, lecz jego wnętrze znajdowało się w niemal surowym stanie. Gdy doszło do wypadku, wykonawcy spóźniali się o dwa miesiące. Później, gdy miasto wydało nakaz wstrzymania prac i Wydział Budownictwa wszczął dochodzenie, minął kolejny miesiąc. A kiedy budowlańcy zaczęli już nadrabiać zaległości, wznowiono dochodzenie. Z chwilą ponownego pojawienia się na placu budowy miejskich inspektorów roboty stanęły i opóźnienie wzrosło jeszcze bardziej.

Tommy Nelson nieszczęśliwie się tym martwił. Prędzej czy później dochodziło do opóźnień na większości wielkich budów, zwłaszcza jeśli na którejś z nich zdarzył się wypadek. Nelson, jako obecny na budowie inspektor nadzoru reprezentujący głównego wykonawcę, pełnił rolę zwiadowcy, a zarazem rozjemcy. Przyglądał się poczynaniom podwykonawców wznoszących Aurora Tower, poświęcając większość czasu na godzenie jednych z drugimi: betoniarze nie cierpieli zbrojarzy, którzy musieli uwinąć się ze swoją robotą, by można było wylać beton, jedni i drudzy zaś nienawidzili hydraulików – ci zachowywali się tak, jakby nie goniły ich terminy i jakby to właśnie oni pracowali najciężej.

Opóźnienia pociągały za sobą dodatkowe koszty i wymagały od deweloperów zwiększenia wydatków. Zajmowanie się deweloperami należało do obowiązków Nelsona, Rothowie zaś podnieśli umiejętność narzekania do rangi swoistej sztuki, a skarżąc się, nie szczydzili ryków i gróźb. Lecz dla pracodawcy Nelsona największą troską związaną z opóźnieniem na Aurora Tower było niebezpieczeństwo wyczerpania funduszy dewelopera wynikające z nieprzewidzianych kosztów i mogące doprowadzić do zawieszenia robót. Działo się tak coraz częściej, gdyż z powodu zastoju na rynku nieruchomości przeznaczonych na sprzedaż banki odmawiały dalszego finansowania inwestycji, których wartość spadała o co najmniej dziesięć procent jeszcze przed ich ukończeniem.

Nelson zajmował największy barakowóz, ustawiony na tyłach budowy. Panował tam względny spokój. W barakowozie mieściło się nie tylko biuro Nelsona, ale też pokój konferencyjny, w którym odbywały się cotygodniowe spotkania szefów wszystkich firm podwykonawczych. Trwały one czasem i pół dnia, a nierzadko przeradzały się w giełdę wzajemnych pretensji.

W swej karierze inspektora nadzoru Nelson został nawet kilkakrotnie zmuszony do przerwania wymiany argumentów prowadzonej za pomocą pięści.

Rozmawiał właśnie przez telefon, gdy do jego barakowozu weszli dwaj nieznani mu, prawie pięćdziesięcioletni mężczyźni: ciemnoskóry i biały. Byli to wielcy faceci w garniturach. Nelson, równie zdziwiony, co rozżłoszczony, podniósł wzrok, zastanawiając się, jak się dostali na plac budowy. Przyjrzawszy się im uważniej, uznał ich za policjantów.

– Jakiś problem, panowie? – zapytał, odkładając słuchawkę.

– Problemem jest to, z kim rozmawiałeś, Tommy – powiedział Darryl Loomis, obok którego stał Chris Driscoll, trzymając ręce w kieszeniach.

– O czym pan mówi?

– O tej reporterce Snow – odparł Darryl. – Co jej powiedziałeś?

Obaj mężczyźni zachowywali się zupełnie jak gliniarze.

– Kim pan jest? – zapytał Nelson.

– Jestem skurwysynem, na którego pytania masz teraz odpowiadać – odpowiedział Darryl, pochylając się do przodu. – Więc co jej powiedziałeś?

– Kto powiedział, że rozmawiałem z jakąś reporterką?

– Widzieliśmy was w barze, więc nie marnuj, kurwa, mojego czasu – rzekł Darryl.

Driscoll zrobił kilka kroków i stanął obok biurka, zagradzając Nelsonowi drogę, Darryl zaś podszedł bliżej. Obaj znaleźli się zbyt blisko Nelsona, najwyraźniej po to, by wyrzucić jeszcze większą presję. Nelson nie należał jednak do tych, którzy dają się łatwo zastraszyć, zwłaszcza we własnym biurze. Zastanawiał się, czy ma wstać, czy też podnieść słuchawkę telefonu i wezwać policję. Żadna z tych możliwości nie wydała mu się właściwa. Postawił więc na buńczuczność.

– Z jaką sprawą do mnie przychodzicie? – zapytał ostrym tonem.

Darryl uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Chyba nie zrozumiałeś, na czym polega ta rozmowa – powiedział.

– Dość mam tych bredni – odparł Nelson. – Albo mi powiecie, kim, do kurwy nędzy, jesteście i czego, do cholery, chcecie, albo wypierdalajcie z mojego biura.

– Pracujemy dla tych, którzy cenią dyskrecję – wyjaśnił Darryl. – I musimy ci skopać dupsko, żebyś przestał chlapać ozorem na lewo i prawo.

Ruch był tak szybki, że Nelson zdołał zauważyć go jedynie kątem oka. Driscoll wykonał krok do przodu, trzymając w ręce krótką metalową rurkę i wykonawszy błyskawiczny zamach, uderzył nią w prawe kolano

inspektora nadzoru.

Nelson skulił się z bólu, czym naraził się na kolejny cios. Następny spadł na czubek jego głowy, zrzucił go z fotela na podłogę. Czując ostry i obezwładniający ból, oszołomiony Nelson zwinął się w kłębek i instynktownie osłonił głowę rękami.

– Możesz teraz wybrać jedną z dwóch wersji swojej przyszłości – powiedział Darryl, nie zmieniając tonu. – Niezależnie od tego, na którą się zdecydujesz, już nigdy więcej nas nie zobaczysz. Wersja pierwsza: będziesz trzymał język za zębami, a my znikniemy z twojego życia. Wersja druga: nie zamkniesz się i chociaż wtedy też nas nie zobaczysz, będzie to dla ciebie oznaczało ostateczny koniec gry. Czy to do ciebie dotarło?

Nelson leżał w bezruchu, zaciskając mocno oczy. Driscoll uderzył ponownie. Rozległ się trzask łamiącej się lewej kostki Nelsona.

– Kiedy o coś pytam, należy odpowiedzieć – rzekł Darryl.

– Tak – zdołał wydusić przez zaciśnięte gardło Nelson.

– Co tak?

– Tak, wszystko do mnie dotarło – odezwał się chrapliwym szeptem, balansując na granicy omdlenia. – Nigdy więcej nie będę rozmawiał z tą reporterką.

– Widzisz? To wcale nie było takie trudne – stwierdził Darryl. – A teraz powtórz mi wszystko, co jej powiedziałaś.

Duncan musiał udać się do sądu w pojedynkę, bowiem Blake nie zamierzał dłużej udawać, że interesuje się sprawą Rafaela Nazario. Wcześniej wyraził się też jasno, że przesłuchanie dotyczące badania pozostałości po wystrzałach to dla Duncana wóz albo przewóz. Lecz Duncan nie narzekał: cieszył się, że dano mu swobodę działania i że nie będzie musiał pracować w obecności starszego kolegi zagląającego mu bez przerwy przez ramię. Było to coś, czego mu brakowało podczas procesów, w których stawką były setki milionów dolarów.

Tego dnia zobaczył się z Rafaelem, którego przywieziono na przesłuchanie z więzienia na Rikers Island, po raz pierwszy od kilku tygodni. Spotkali się w sali widzeń na jedenastym piętrze. W obszernym wnętrzu znajdował się długi szereg krzeseł zajmowanych przez prawników i oddzielonych pancerną szybą od drugiego, ustawionego naprzeciwko równie długiego rzędu krzeseł, na których sadzano więźniów doprowadzanych na rozmowę. W sali widzeń było bardzo głośno, więc Duncan robił, co mógł, by nie zwracać uwagi na otoczenie i skupić się wyłącznie na Rafaelu. Pomyślał, że skoro tak wygląda część więziennego systemu, którą pozwala się zobaczyć z prawnikiem, to jak musi się przedstawiać codzienność za więziennymi murami? Pomyślał też o swoim przyrodnim bracie, Antoine, który naruszył zasady zwolnienia warunkowego i ponownie trafił za kraty. Nie mógł nic dla niego zrobić, mógł jednak pomóc Rafaelowi.

– Wszystko w porządku? – zapytał, usiadłszy naprzeciwko nastolatka.

– Wtrącili mnie do piekła – odpowiedział Rafael, mówiąc szybko, z entuzjazmem graniczącym z histerią. – Ktoś schował majcher w wentylacji nad moją celą i teraz odsiaduję trzydzieści dni w izolatce.

– Cholera – powiedział Duncan, poczuwszy znowu bezsilność. – Czy przesłuchano cię albo przynajmniej mogłeś złożyć wyjaśnienia, zanim cię tam zamknięto?

Jeszcze tego samego dnia, w którym znaleziono nóż, odbyło się administracyjne przesłuchanie Rafaela. Orzekająca ciemnoskóra kapitan w średnim wieku była przynajmniej miła i wysłuchała chłopaka, który upierał się, że nóż nie należy do niego i że naprawdę nie wie, kto go ukrył w przewodzie wentylacyjnym. (Rafael czuł, że nie ma wyboru i musi skłamać). Słuchając, funkcjonariuszka wypełniała formularz, z rzadka tylko

podnosząc wzrok. Spojrzała Rafaelowi prosto w oczy dopiero wtedy, gdy zapytała go, czy wie, kto ukrył broń.

Rafael trafił do Centralnego Karnego Oddziału Izolacyjnego, zwanego przez więźniów hałdą. Jego mieszkańców trzymano pod kluczem przez dwadzieścia trzy godziny na dobę, z godzinną przerwą na pobyt na świeżym powietrzu i prysznic. Lecz nawet ta jedna, różniąca się od pozostałych godzina była dla Rafaela tylko inną formą samotności. Nie interesowało go bratanie się z zatwardziałymi kryminalistami przebywającymi w tym miejscu. W hałdzie przebywała też pewna liczba świrów, lecz obecność więźniów, którzy mieli nie po kolei w głowie, nie przeszkadzała gangsterom. Życie w zwykłej więziennej celi wydawało się Rafaelowi monotonne, lecz było niczym w porównaniu z pobytem w izolatce. Czas włókł się w niej niemiłosiernie, o ile w ogóle płynął, a każdy dzień stawał się testem wytrzymałości.

– To przesłuchanie to jedna wielka bzdura – powiedział Rafael.

Duncan chciał coś zrobić w tej sprawie, ale nie był pewien, czy jest to w ogóle możliwe. Zastanawiał się, czy Rafael, mówiąc o nożu, powiedział mu prawdę. Nie wiedział, ile przemocy kryje się za murami więzienia ani jak bardzo zagrożony czuje się chłopak.

– Czy można się jakoś od tego odwołać? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedział Rafael. – Wygląda na to, że mogą tu ze mną zrobić wszystko, co im się podoba.

– Czy miałeś jakieś kłopoty, zanim znaleziono nóż?

– Co ma pan na myśli? – zapytał Rafael.

Duncan wzruszył ramionami, czując się paskudnie z powodu tego, o czym musiał rozmawiać.

– Chodzi mi po prostu o to, czy nie masz jakichś problemów w więzieniu, czy nie mógłbym ci jakoś pomóc.

– Nie – odpowiedział Rafael. – Poradzę sobie w Rikers. – Co się będzie działo w sądzie?

Duncan zastanowił się, czy powinien odpowiedzieć na to pytanie, lecz w gruncie rzeczy nie wiedział, jak pomóc Rafaelowi, kiedy ten siedzi w więzieniu. Postanowił zatem skupić uwagę na swym obecnym zadaniu.

– Myślę, że mamy naprawdę spore szanse – powiedział. – Mam kilka asów w rękawie, które pokażę ekspertowi prokuratora generalnego.

– Do nikogo nie strzelałem, więc to, co mówi ten świadek, musi być kłamstwem – odparł Rafael.

Duncan rozumiał, o co chodzi, ale jednocześnie miał świadomość, że

w sądzie nie wszystko jest tak oczywiste.

– Być może dziś sędzia nie wyda jeszcze orzeczenia – powiedział. – I jeśli nawet wygramy, nie będzie to oznaczało zakończenia procesu.

– Rozumiem – odparł Rafael. – Ale przynajmniej udało mi się wyrwać na dzień z Rikers Island.

– Czy twoja babcia przekazała ci jakieś wiadomości dotyczące eksmisji?
– zapytał Duncan, chcąc dodać Rafaelowi otuchy.

Rafael pokręcił głową.

– Nie może ze mną rozmawiać, kiedy trzymają mnie w hałdzie.

– Jakiś czas temu pojawił się w gazecie artykuł o ochroniarzach, którzy mieli podrzucać prochy ludziom z Jacob Riis – poinformował Rafaela Duncan. – Jest w nim mowa o tobie i o Fowlerze. Tak czy inaczej, miasto ogłosiło, że zawiesza wszystkie postępowania eksmisyjne, z którymi ochroniarze mieli coś wspólnego, do czasu rozpatrzenia całej sprawy. Zatem twoja babcia nie musi się martwić, że straci mieszkanie. W każdym razie nie nastąpi to szybko.

Rafael rozpromienił się.

– Więc jeśli wiedzą, że Fowler mnie zrobił, to jaki to ma wpływ na zarzut morderstwa? – zapytał.

– Prawdę mówiąc, bardzo niewielki – odpowiedział Duncan. – Przypuszczam nawet, że prokurator okręgowy uzna kłamstwa Fowlera na twój temat za jeszcze silniejszy motyw popychający do jego z mordowania. Zobaczmy, chociaż nie sędzę, że to wiele zmieni.

– Mimo wszystko to dobrze – powiedział Rafael. – Ta eksmisja to jakieś szaleństwo.

– Twoja babcia będzie dziś w sądzie – rzekł Duncan. – Być może będziesz mógł z nią porozmawiać. Powiniennem już iść, żeby to załatwić. Myślę, że to nasz dobry dzień.

Duncan wszedł do sali rozpraw za piętnaście dwunasta, kwadrans przed rozpoczęciem przesłuchania Rafaela. Prawnicy prowadzący kończącą się sprawę spierali się właśnie o oddalenie pozwu. Mocno zaczerwieniony sędzia, Jacob Lasky, strofował obrońcę podniesionym głosem. Niezbyt miły widok, pomyślał Duncan.

Sędzia Lasky, mężczyzna po sześćdziesiątce, przewodniczył rozprawom od ponad dziesięciu lat. Poświęcił większość swej zawodowej kariery na pracę w biurze prokuratora okręgowego. Mawiano o nim, że jest drażliwy i praworządny – że jest szorstkim, niezyciowym sędzią, który ma wszystko na oku. To kiepska, ale i nie najgorsza perspektywa dla obrońcy, pomyślał

znowu Duncan.

Dostrzegł Dolores Nazario siedzącą w drugim rzędzie (pierwszy był zarezerwowany dla prawników oraz policjantów) i usiadł obok, uśmiechnąwszy się na powitanie. Zauważył też Candace Snow i idącego za nią jej kolegę z „New York Journal”, lecz był dostatecznie zdenerwowany, by nie przejmować się obecnością dziennikarzy.

Zakończywszy rozprawę, sędzia Lasky zarządził piętnastominutową przerwę. Gdy ponownie zasiadł w fotelu, było już po wpół do pierwszej. Mimo że to obrona przedstawiła wnioski o oddalenie dowodu, ciężar dowiedzenia jego dopuszczalności spoczywał na stronie skarżącej. Jako pierwszy przemówił zatem prokurator. Każda ze stron zamierzała przedstawić jednego tylko świadka: obrona – profesora Cole’a, oskarżenie zaś – Kevina Logana, policyjnego laboranta, który przeprowadził badanie pozostałości po wystrzałach. Duncan i Cole spędzili razem większość weekendu w sali konferencyjnej kancelarii: przygotowywali się do czekającego ich przesłuchania, a gdy skończyli, Duncan był przekonany, że Cole doskonale sobie poradzi.

Logan był mniej więcej sześćdziesięcioletnim mężczyzną z pokaźną łysiną zakrytą tu i ówdzie pasmami siwych włosów biegnącymi przez czubek głowy. Miał na sobie sportową marynarkę i krawat. Przesłuchiwał go pomocnik prokuratora okręgowego Bream, który najpierw krótko omówił kompetencje oraz doświadczenie zawodowe swego eksperta, a następnie opisał z detalami sposób, w jaki Logan, posługujący się mikroskopem elektronowym, zbadał pozostałości po wystrzałach. Duncan przysłuchiwał się uważnie, robiąc szczegółowe notatki. Przedstawienie miało się zapocząć dopiero z chwilą rozpoczęcia zadawania pytań przez obrońcę.

Sędzia Lasky nie udawał nawet, że jest zainteresowany przebiegiem przesłuchania. Przyniósł ze sobą stertę dokumentów i, jak się zdawało, zaznaczał coś, rzadko tylko spoglądając na Breama. Ten, widząc ów brak zainteresowania, mówił zwięźle, a przesłuchanie Logana zabrało mu nie więcej niż dwadzieścia minut.

Gdy skończył, Duncan wstał i powoli podszedł do podium ustawionego naprzeciwko miejsca dla świadka. Sala sądowa była dość niewielka, toteż odległość pomiędzy Duncanem a Loganem wynosiła zaledwie około trzech metrów. Duncan był zdenerwowany, lecz w pozytywnym znaczeniu: czuł adrenalinę i był przygotowany do walki. Podczas weekendowych przygotowań doktor Cole zaopatrzył go w mnóstwo naukowej amunicji,

pozwalającej na pokonanie Logana.

– Ile cząstek pozostałości po wystrzałach wykrył pan na rękach mojego klienta, panie Logan? – zapytał Duncan.

– Sześć.

– Czy cząstki te znajdowały się na obu jego rękach?

– Nie, tylko na lewej.

– Wie pan, czy mój klient jest lewo-, czy praworęczny?

– Nie, nie wiem.

– Czy zdziwiłby się pan, dowiedziawszy się, że w rzeczywistości jest on osobą praworęczną?

– Nie, wcale bym się nie zdziwił.

– Czy nie zaskoczył pana fakt, że pozostałości po wystrzałach znajdowały się na niedominującej ręce mojego klienta? – zapytał Duncan.

Spodziewał się, że Logan zaprzeczy, że to ma znaczenie, lecz pytanie to było tylko częścią większego planu.

– Nie, właściwie nie – odpowiedział Logan z uśmiechem.

Wyglądał na lekko odprężonego, co odpowiadało Duncanowi, który miał nadzieję, że Logan uzna, że było to wszystko, czym obrońca mógł go zaatakować.

– Dlaczego nie? – zapytał Duncan.

– Z wielu powodów – odpowiedział Logan. – Pozostałości po wystrzałach mogą z łatwością przedostać się z jednej ręki na drugą. Podsądny mógł też dotknąć broni ręką niedominującą krótko po oddaniu strzałów. Ponadto nierzadko zdarza się, że strzelający trzymają broń w obu rękach.

– Wspomniał pan, że cząstki pozostałości po wystrzałach łatwo ulegają przenoszeniu – kontynuował Duncan. – Czy możliwe jest ich przedostanie się na rękę nie z broni, lecz z innej powierzchni, na której się znajdowały?

Logan spojrzał najpierw na Breama, jakby potrzebując jego przyzwolenia na odpowiedź, nawet na to pytanie.

– Tak, to możliwe – odpowiedział.

– Czy zatem cząstki takie mogły się znajdować na przykład na tylnym siedzeniu radiowozu, którym przewożono oskarżonego? Czy mógł je na nim pozostawić ktoś, kto wcześniej strzelał z broni palnej i zajął miejsce w samochodzie?

– Mogło się tak zdarzyć.

– A czy później cząstki te mogły przedostać się na dłoń innej osoby, która usiadła na tylnym siedzeniu radiowozu? – zapytał Duncan, starając się utrzymać szybkie tempo przesłuchania i skłonić Logana do udzielania

odpowiedzi w narzuconym mu rytmie.

– Przypuszczam, że tak – odpowiedział Logan. – Ktoś prawdopodobnie musiałby tylko otrzeć się o tylną kanapę.

– Więc mogłoby do tego dojść, gdyby ktoś miał ręce skute z tyłu i dotknął nimi tylnego siedzenia, zgadza się?

– Naprawdę trudno powiedzieć.

– Zdrowy rozsądek podpowiada, że jest to z bardzo możliwe, prawda? – zapytał Duncan z lekkim uśmiechem.

Nie zamierzał wywoływać wrażenia, że dąży do konfrontacji. Sugerował, że to, o co prosi Logana, jest jedynie potwierdzeniem pewnych oczywistości. Skupił się całkowicie tylko na nim, nie zwracając najmniejszej uwagi na pozostałych obecnych w pomieszczeniu.

– Wydaje się to możliwe – usłyszał w odpowiedzi.

– A co sądzi pan o pokoju przesłuchań na komisariacie? – zapytał. – Czy i w nim mogły się znajdować cząstki pozostałości po wystrzałach?

– Nie sądzę, by strzelanie z broni palnej było czymś, co powszechnie praktykuje się w policyjnych pokojach przesłuchań – odpowiedział Logan drwiącym tonem.

Czy Logan celowo udaje głupiego?, pomyślał Duncan.

– Nie mówię o cząstkach, które pojawiły się w pokoju przesłuchań w związku z użyciem broni palnej. Mówię o takich, które dostały się do niego na skórze lub odzieży osób wchodzących do takiego pomieszczenia – powiedział.

– Coś takiego mogłoby się zdarzyć – odpowiedział Logan. – Ale sądzę, że wtedy mielibyśmy do czynienia być może z jedną przypadkową cząstką, lecz nie z tyloma, które może wnieść na sobie tylko ktoś, kto właśnie strzelał z broni palnej.

Przygotowując się do przesłuchania, Duncan przejrzał dość materiałów dotyczących pozostałości po wystrzałach, by wiedzieć, że to, co powiedział Logan, nie do końca odpowiada prawdzie. Nie wiedział tylko, czy odpowiedź ta była skutkiem ignorancji, czy też przemyślności.

– Panie Logan, czy powszechnie uznaje się komisariaty policji za miejsca, w których cząstki pozostałości po wystrzałach pojawiają się w opisany przeze mnie sposób?

Logan wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co rozumie pan pod pojęciem „powszechnie uznaje się” – odpowiedział.

– Czy jest pan świadomy faktu, że badania przeprowadzone wielokroć

na komisariatach ujawniły obecność licznych cząstek pozostałości po wystrzałach? – zapytał Duncan.

– Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek zapoznał się z wynikami takich badań – odpowiedział Logan.

– Czy wie pan, że gdy zachodzi konieczność przeprowadzenia badań na obecność cząstek pozostałości po wystrzałach, dłonie zatrzymanego powinny zostać odpowiednio zabezpieczone, by wyeliminować możliwość pojawienia się przypadkowych zanieczyszczeń? – zapytał Duncan.

– Zalecamy policji takie postępowanie – odpowiedział Logan. – Lecz, niestety, nasze rady nie zawsze są brane pod uwagę.

– W swoim pisemnym sprawozdaniu – powiedział Duncan – oświadcza pan, że, cytuję: „Na dłoniach podejrzanego wykryto sześć cząstek pozostałości po wystrzałach”. Czy przypomina pan sobie, że pan to pisał?

– Tak, tak napisałem.

Duncan szykował się do zadania ostatecznego ciosu, choć wątpił, czy ktokolwiek z obecnych w sali sądowej zdawał sobie z tego sprawę.

– W swych notatkach laboratoryjnych opisał pan bardziej szczegółowo sześć cząstek, które pan wykrył? – zapytał.

Logan zmarszczył twarz i zamilkł.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł po chwili.

– Przypominam, że tylko jedna ze zbadanych przez pana cząstek zawierała ołów, bar i antymon – powiedział Duncan. – W pozostałych pięciu wykrył pan tylko ołów oraz bar, zgadza się?

– Musiałbym zajrzeć do notatek – powiedział Logan.

Duncan wręczył mu ich kopię. Drugą podał Breamowi, który poczuł się już bardzo nieswojo. Duncan powziął podejrzenie, że pomocnik prokuratora nie zadał sobie nawet zbyt wiele trudu, by zapoznać się z pracą dochodzeniową związaną ze sprawozdaniem Logana. Pewnie myślał, że przesłuchanie to miało jedynie wydłużyć proces. Nawet nie spodziewał się, jaka niespodzianka go czeka.

– Tak – powiedział Logan, zerknąwszy do zapisków. – Dokonałem właśnie takich ustaleń.

Szykując się do zadania następnego pytania, Duncan czuł wielkie napięcie.

– Panie Logan, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że obecność związków ołowiu i baru nie dowodzi jeszcze, że mamy do czynienia z pozostałościami po wystrzałach? – zapytał.

W sali zapadła martwa cisza. Duncan rozkoszował się tą chwilą, widząc,

jak kompletnie bezbronny Logan zastanawia się nad odpowiedzią.

– Sądzę, że cząsteczki chemiczne zawierające ołów i bar można zaklasyfikować dokładnie jako pozostałości po wystrzałach – powiedział w końcu Logan.

– A czy wie pan, że FBI nie podziela pańskiego przekonania?

Pytanie Duncana zawisło na chwilę w absolutnej ciszy. Duncan zdał sobie sprawę, że ma przeciwników w garści. Poczłł to wyraźnie. Przypomniał sobie, że musi zachować stoicki spokój i nie może sobie pozwolić na jakąkolwiek oznakę tryumfu.

– Nie wiem, do czego pan nawiązuje – odezwał się Logan.

– W 2004 roku wziął pan udział w konferencji szkoleniowej poświęconej metodom badań kryminalistycznych, zorganizowanej przez FBI w Quantico, zgadza się? – powiedział Duncan.

Logan był najwyraźniej zaskoczony nagłą zmianą tematu.

– Tak – odpowiedział.

– Czy podczas tej konferencji wziął pan udział w sesji dotyczącej pozostałości po wystrzałach?

– Tak.

– Czy pamięta pan, że w trakcie sesji odbyła się dyskusja poświęcona faktowi, iż za pozostałości po wystrzałach można uznać wyłącznie te cząsteczki, które zawierają równocześnie ołów, bar i antymon, lecz nie takie, w których wykryto tylko dwa pierwsze? – zapytał Duncan.

Logan skurczył się, pochylił i opuścił ramiona.

– Nie pamiętam – odpowiedział.

– Mam tu kopię materiałów wykorzystanych podczas prezentacji – powiedział Duncan i wniósł o włączenie dokumentów do materiału dowodowego. – Panie Logan, czy mógłby pan głośno odczytać zaznaczony ustęp?

Duncan zbliżył się do wiercącego się niespokojnie na krześle Logana i zaczął, aż ten zacznie czytać.

– „Ze względu na to, iż cząsteczki związków chemicznych zawierające ołów oraz bar występują nie tylko w pozostałościach po wystrzałach, lecz także w niektórych farbach, okładzinach klocków hamulcowych i innych materiałach przemysłowych, Federalne Biuro Śledcze uznaje, że unikatowe dla pozostałości po wystrzałach są tylko cząsteczki zawierające równocześnie ołów, bar i antymon”.

– Czy odczytanie tego ustępu odświeżyło pańskie wspomnienia związane z tym, czego dowiedział się pan podczas szkolenia, o którym mówimy? –

zapytał Duncan.

Nie interesowało go już, jak odpowie Logan: najważniejsze zostało już w zasadzie powiedziane. Przyparł do muru stanowego eksperta i nie widział sposobu, w jaki ten mógłby obronić swe stanowisko.

– Nie pracuję dla FBI, więc jeśli nawet takie są standardy federalnych, to ja nie jestem zobowiązany do ich przestrzegania – powiedział Logan.

Duncan cofnął się na krok od podium, chcąc w ten sposób ponownie zwrócić na siebie uwagę Logana.

– Ponieważ osobiście uważa pan równoczesną obecność dwóch pierwiastków w cząsteczkach jako wystarczającą, by mówić o pozostałościach po wystrzałach? – zapytał.

– Tak, jeśli znaleziono również cząsteczki zawierające wszystkie trzy pierwiastki – odpowiedział Logan, spojrzawszy na Duncana.

– Czym może pan poprzeć takie przekonanie?

– Swym własnym doświadczeniem zawodowym – odparł Logan, spuszczając wzrok.

– Czy są panu znane jakiegokolwiek inne, niezależne od pańskiego doświadczenia zawodowego źródła, na przykład materiały naukowe, agencje wymiaru sprawiedliwości lub jakiegokolwiek inne, które mogłyby potwierdzić słuszność pańskiego poglądu w sprawie, o której mówimy, a zarazem zakwestionować słuszność stanowiska FBI? – zapytał Duncan.

– Jestem odpowiednio przygotowanym ekspertem w tej dziedzinie – powiedział Logan, wykazując przynajmniej odrobinę woli walki.

– Zauważyłem – rzekł łagodnie Duncan. – Czy uważa pan tak dlatego, że bierze pan udział w takich szkoleniach, jak to w Quantico?

– Po części – odparł Logan.

– Wygląda na to, że podczas szkoleń nie słucha pan zbyt uważnie – powiedział Duncan, pozwalając sobie na pewną dozę uszczypliwości.

– Sprzeciw! – wtrącił ostro Bream.

– Podtrzymuję – powiedział Lasky przyciszonym głosem.

Duncan zerknął na sędziego, który odłożył swe papierzyska i zaczął przyglądać się świadkowi znad okularów.

– Czy wie pan, jak oskarżony zarabia na życie? – zapytał Duncan.

– Nie, nie wiem – odpowiedział Logan.

– Zatem nie wie pan także, czy pan Nazario mógł mieć kontakt z cząsteczkami chemicznymi zawierającymi po dwa pierwiastki, o których rozmawialiśmy, na przykład wtedy, gdy używał w kuchni zmywaków do szorowania naczyń lub zmywarki?

– Nie.

– Oprócz cząsteczek zawierających po dwa pierwiastki wykrył pan również jedną, która zawierała trzy, nieprawdaż? – zapytał Duncan.

– Zgadza się – odpowiedział Logan, dając po sobie poznać, że pozorne ustępstwo Duncana sprawiło mu ulgę.

– Czy jest pan, panie Logan, świadomy faktu, że według protokołów FBI wykrycie jednej cząstki pozostałości po wystrzałach nie jest dostatecznym dowodem, że badany posłużył się bronią, z której strzelano? – zapytał Duncan.

Logan milczał, jakby czekając na natchnienie albo ratunek.

– Nie, nie przypominam sobie, bym o tym wiedział – odparł.

– Czy był pan świadomy faktu, że według FBI u podstaw stwierdzenia obecności jednej cząsteczki może równie dobrze leżeć użycie broni palnej, co zanieczyszczenie? – zapytał Duncan, starając się postępować metodycznie i trzymać emocje na wodzy.

Nie chciał wyglądać na tryumfującego. Zamierzał natomiast delikatnie wypatroszyć Logana, czyniąc to jak Blake, któremu przyglądał się wiele razy, i usiłując jak najlepiej naśladować technikę swego szefa.

– Nie – odpowiedział zrezygnowanym tonem Logan.

Uszły z niego resztki oporu. Duncan stwierdził, że wyciągnął z Logana wszystko, co mógł. Teraz pozostało mu już tylko przesłuchać Cole'a, by wbić gwóźdź do trumny oskarżenia.

– Nie mam więcej pytań – zwrócił się do sędziego i odwróciwszy się, ruszył w stronę swojego krzesła.

Kroczył powoli, chcąc się przyjrzeć niektórym z obecnych w sali rozpraw. Rzadko miewał okazję przesłuchiwać świadków w sądzie i jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się żadnego zmiążyć tak jak przed chwilą. Castelluccio i Bream, siedzący przy stole prokuratora okręgowego, nie próbowali nawet szczególnie ukryć frustracji wywołanej kiepską postawą Logana. Duncan dostrzegł Dolores Nazario, która wyglądała na zadowoloną, a za jej plecami notujących coś skrzętnie reporterów. Zobaczył też Candace: ta spojrzała na Duncana i, ku jego zaskoczeniu, uśmiechnęła się do niego. Rafael, zajmujący miejsce przy stole obrony, szczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Prokurator okręgowy nie miał innych dowodów, które mogłyby przedstawić, zatem Duncan wezwał Cole'a. Profesor zeznawał w sądzie jako biegły już dziesiątki razy, toteż Duncan pomyślał, że zajęcie to jest dla niego lepszym źródłem dochodów niż etat na uczelni.

Cole zajął miejsce dla świadków i Duncan zaczął wypytywać go o jego kwalifikacje. Jak się okazało, były one bez porównania wyższe niż kwalifikacje Logana.

– Doktorze Cole, czy zapoznał się pan ze sprawozdaniem sporządzonym przez pana Logana w sprawie Nazario, dotyczącym pozostałości po wystrzałach? – zapytał Duncan.

– Tak – odpowiedział Cole.

Siedział odchyłony do tyłu, z nogą założoną na nogę, i wydawał się całkowicie odprężony.

– Czy sformułował pan opinię dotyczącą wartości tego sprawozdania?

– Tak. Stwierdziłem, że sprawozdanie to zawiera tak wiele błędów, że jest zupełnie bezwartościowe jako dowód naukowy.

– Czy dochodząc do takiego wniosku, opierał się pan na ogólnie przyjętych zasadach obowiązujących w badaniach na obecność pozostałości po wystrzałach? – zapytał Duncan.

– Stosuję standardy przyjęte przez Federalne Biuro Śledcze, a także przestrzegane w wielu stanach, które ustaliły minimalne formalne standardy określające dopuszczalność wyników badań na obecność pozostałości po wystrzałach – odpowiedział Cole.

– Czy po zapoznaniu się ze sprawozdaniem pana Logana był pan w stanie potwierdzić fakty, na których oparł on swoją opinię?

– Nie – rzekł Cole. – Musiałem zapoznać się z notatkami laboratoryjnymi pana Logana, by zapoznać się z faktami, a nie tylko z wnioskami, do których doszedł.

– Czy w takim razie był pan w stanie wydać własną ekspercką opinię opartą na tych faktach?

– Tak, byłem – odpowiedział Cole. – Stwierdziłem, że na dłoniach pana Nazario wykryto tylko jedną autentyczną cząstkę pozostałości po wystrzałach. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że pan Nazario, podobnie jak wielu uzbrojonych funkcjonariuszy, przebywał w radiowozie oraz na posterunku policji, to jest więcej niż prawdopodobne, że cząstka pozostałości po wystrzałach znalazła się na jego dłoni przypadkowo, nie zaś w wyniku użycia przez niego broni palnej. Zgodnie z moją opinią wniosek sformułowany na podstawie badań na obecność pozostałości po wystrzałach i wskazujący na użycie przez pana Nazario broni palnej jest całkowicie bezpodstawny.

– Wróćmy do pozostałych pięciu cząstek, które zawierały tylko po dwa pierwiastki – powiedział Duncan. – Czy ma pan jakąś teorię dotyczącą ich

obecności na rękach mojego klienta?

– Określenie ich pochodzenia jest niemożliwe – odpowiedział Cole. – Mogły one stanowić przypadkowe zanieczyszczenie, pochodzące na przykład z radiowozu. Mogły też pochodzić z czegoś, czego pan Nazario używał w restauracji, na przykład z urządzeń w kuchni. Problem z cząsteczkami zawierającymi tylko dwa interesujące nas pierwiastki polega na tym, że nikt nie jest w stanie ustalić ich pierwotnego źródła.

– Dziękuję, doktorze Cole, nie mam więcej pytań – rzekł Duncan.

Bream i Castelluccio siedzieli skuleni. Castelluccio była wściekła, Bream zaś wyglądał tak, jakby ktoś właśnie kopnął go w jaja. Wracając do swego stołu, Duncan obdarzył ich promiennym uśmiechem.

– Wysoki sędzie, czy moglibyśmy poprosić o krótką przerwę na przygotowanie się do przesłuchania doktora Cole'a przez stronę przeciwną? – zapytał Bream.

– A o cóż chcecie go pytać? – warknął poirytowany sędzia Lasky. – Zamierzacie podważyć opisanie przez niego ogólnie przyjęte metody naukowe, stosowane w dziedzinach, w których jest ekspertem?

Bream, świadomy porażki, zerknął na Castelluccio z niemym błaganiem o pomoc, lecz ona właśnie piorunowała sędziego wzrokiem, nie zwracając uwagi na swego kolegę.

– Chcielibyśmy naradzić się w tej sprawie z panem Loganem – odezwał się w końcu Bream.

– Dziękuję, doktorze Cole – zwrócił się Lasky do świadka. – Może pan wrócić na miejsce.

– Wysoki sędzie... – zaprotestował Bream.

– Właśnie przyjął pan do wiadomości, że nie ma pan żadnych podstaw do przesłuchania tego świadka – stwierdził Lasky. – Zresztą mam już godzinę opóźnienia, panie Bream. Przesłuchanie zostaje zawieszona. Swą decyzję ogłoszę w późniejszym terminie. A teraz zapraszam strony do mojego gabinetu.

Duncan podążył za Breamem i Castelluccio w stronę otwartych drzwi na tyłach sali sądowej, przytrzymywanych przez pomocnika sędziego.

– Mike, nie wiesz, dlaczego sędzia chce z nami rozmawiać? – zwróciła się do swego współpracownika Castelluccio.

– A któż to wie? – odpowiedział. – Stary zaskakuje dziś wszystkich raz za razem.

Zaprowadzono ich do gabinetu sędziego. Zamiast zasiąść za biurkiem, Lasky zajął miejsce u szczytu niewielkiego stołu i gestem nakazał

przybyłym, by usiedli. Rozpiął toge, pod którą miał pogniecioną szarą koszulkę polo. Duncan usiadł naprzeciwko Breama i Castelluccio. Nigdy wcześniej nie widział sędziego w takiej koszulce.

– W ilu sprawach ów Logan zeznawał jako świadek powołany przez pani biuro? – zwrócił się sędzia do Castelluccio, gdy wszyscy zajęli miejsca.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała zastępczyni prokuratora okręgowego. – Ale sądzę, że w co najmniej kilkudziesięciu.

– Proszę nie udawać, że nie widzi pani, że właśnie otworzyła się puszcza Pandory – powiedział Lasky.

– Chyba nie do końca rozumiem – odrzekła Castelluccio.

– Jak pani myśli: w ilu jeszcze przypadkach ten pajac wykrył cząsteczki zawierające tylko dwa pierwiastki i uznał je za pozostałości po wystrzałach? – zapytał sędzia. – Jeśli teraz wystawię opinię o tej sprawie i napiszę, co się naprawdę stało, to każdy kiedykolwiek uznany za winnego w sprawach, w których zeznawał Logan, zażąda nowego przesłuchania.

– Nie sądzę, by jego dzisiejsze wystąpienie wypadło aż tak źle – zaprotestowała Castelluccio.

– Niechże mi pani da święty spokój! – odparł Lasky. – Ten gość zidentyfikował próbki jako pozostałości po wystrzałach, chociaż w rzeczywistości wcale nimi nie były. Dla mnie dwa i dwa to cztery. I zapewniam panią, że nie zdarzyło się to pierwszy raz.

– Pozwolę sobie, z całym szacunkiem, nie zgodzić się z interpretacją wysokiego sądu – powiedziała Castelluccio. – Rozumiem jednak, że opinia wydana przez wysoki sąd będzie wiążąca.

– Ma pani cholerną rację – odparł sędzia Lasky. – Nie potrzeba mi więcej wrogów, w tym pani szefa. A prokurator okręgowy na pewno nie będzie zadowolony, gdy napiszę, co się właśnie przydarzyło pani świadkowi.

Castelluccio zaciskała dłonie tak mocno, że jej knykcie zbieleły.

– Co więc wysoki sąd sugeruje? – zapytała.

– Zrezygnuje pani z Logana jako ze świadka – powiedział Lasky. – A pani biuro nie będzie go powoływać, przynajmniej dopóty, dopóki się nie pozbiera i nie zacznie działać jak należy.

Castelluccio osłupiała, lecz nie spuściła wzroku z sędziego. Duncan zaś nie mógł do końca uwierzyć w to, czego był świadkiem. Rozumiał jednak, że teraz jedyną słuszną rzeczą, jaką mógł zrobić, jest trzymanie się z boku.

– Ale jego sprawozdanie... – zaczęła Castelluccio.

– Skoro nie może pani powołać się na swojego eksperta, to z pewnością nie może też posłużyć się jego sprawozdaniem – uciął sędzia Lasky.

– Wysoki sąd każe mi więc wycofać ten dowód?

– Jeśli pani tego nie zrobi, to będę musiał sam się tym zająć – powiedział sędzia. – Ale wtedy wszyscy wyjdą na tym o wiele gorzej.

Duncan wymaszerował radośnie z gabinetu sędziego, mając przed sobą wypadającą jak burza Castelluccio i trzymającego się jej Breama. Zszedł za nimi do holu, po czym skierował kroki do sali sądowej. Miał nadzieję, że będzie mógł opowiedzieć Rafaelowi o tym, co się właśnie wydarzyło. Jednak sala była pusta, co oznaczało, iż prawdopodobnie odesłano już Rafaela do więzienia na Rikers Island. Duncan postanowił zatem, że później zadzwoni do babki swego klienta. Wyszedłszy z sali sądowej, dostrzegł Candace Snow, która stała, opierając się o ścianę.

– Było naprawdę gorąco – powiedziała.

– Słucham? – odparł po chwili Duncan, mając nadzieję, że jego reakcja pozostała niezauważona.

– Naprawdę tak uważam. Sama zarabiam na życie zadawaniem pytań – wyjaśniła Candace.

Uśmiechała się do Duncana i miała o wiele przyjaźniejszy wyraz twarzy niż podczas ich poprzedniego spotkania. Była ubrana dość swobodnie: miała na sobie czarne dżinsy oraz ciemnofioletową bluzkę. Żakiet był jedyną oznaką szacunku dla miejsca, w którym się znajdowali. Duncan pomyślał, że Candace zdaje sobie sprawę ze swej urody i wie, że dzięki niej wiele rzeczy uchodzi jej na sucho.

– Raz, a może dwa razy w mojej karierze miałam okazję napisać o kimś, kto, tak jak pan dzisiaj, pokazał, z kim tak naprawdę mamy do czynienia – powiedziała Candace. – To było mistrzostwo świata.

Duncan uśmiechnął się. Nie otrząsnął się jeszcze z emocji i wciąż czuł mocne pulsowanie krwi.

– Pisze pani artykuł o tym przesłuchaniu? – zapytał.

– Nie, ale był tu kolega z mojej gazety – wyjaśniła Candace. – Wrócił do redakcji, żeby napisać to na czysto.

– I nawet nie poprosił mnie o wypowiedź? – rzekł Duncan, chcąc zażartować.

Zdał sobie jednak sprawę, że mówiąc to, dał też wyraz swemu lekkiemu rozczarowaniu. Pragnął przecież uznania z powodu znokautowania Logana.

– Ależ poprosił – zaprotestowała Candace. – Mojemu koledze zależy na zacytowaniu pańskiej wypowiedzi, a ja zgodziłam się mu pomóc. Czekalam tu, by zadać panu kilka pytań. Możemy teraz porozmawiać, prawda?

Duncan poczuł się miło zaskoczony: prosząc go o rozmowę, Candace nie

okazała najmniejszej nawet odrobiny zaczepności lub sarkazmu.

– Pozew o zniesławienie został już wycofany – powiedział. – Zatem zgoda, nic już nie zabrania mi rozmów z panią.

– Skoro mowa o pozwie o zniesławienie, to czy słyszał pan o Williamie Stantonie? – zapytała Candace. – Został wylany z Wydziału Budownictwa.

– Dlaczego? Ponieważ z panią rozmawiał? – odparował po chwili Duncan.

Poczuł się paskudnie, dowiedziawszy się, że Stanton stracił pracę, lecz nie zamierzał się za to obwiniać.

– To niesprawiedliwe – zaproponowała Candace.

– Przy przesłuchaniu Stantonowi obecny był prawnik reprezentujący miasto – powiedział Duncan. – Domyślam się, że wydziałowi nie spodobało się publiczne pranie brudów.

– Chroniłam Williama – rzekła Candace. – Wyrzucono go tylko dlatego, że pan go ścigał.

– Nie miałem nic przeciwko Stantonowi – odparł Duncan. – Jest mi przykro, jeśli został niesprawiedliwie potraktowany, ale musiałem wykonać swoje zadanie.

– William uważa, że jedynym celem wniesienia pozwu o zniesławienie było wylanie go z pracy.

Duncan przypomniał sobie, co o tym pozwie powiedziała Lea: miał to być strzał ostrzegawczy zniechęcający do krytykowania jej rodziny.

– Nie dziwię się, że Stanton skupia się na sobie, ale chyba jednak przesadza – powiedział, nie chcąc dać za wygraną.

– Czy może pan zaręczyć, że zwolnienie Stantonowi naprawdę nie było celem tego pozwu? – zapytała Candace.

Duncan pomyślał, że chyba w ogóle nie powinien był z nią rozmawiać, nawet pomimo wycofania pozwu. Z jednej strony zabroniła mu tego Lea, z drugiej zaś – Blake'owi nie spodobałoby się to, że opowiada prasie o sprawie Nazario. Doszedł jednak do wniosku, że jeden cytat z jego wypowiedzi zamieszczony w prasie raczej mu nie zaszkodzi. Trudno mu było zaakceptować decyzję sędziego o zatuszowaniu szerszego problemu z dowodami w postaci wyników badań pozostałości po wystrzałach – jeśli Logan wygłosił równie bezpodstawne opinie podczas innych przesłuchań, to oskarżeni mieliby prawo domagać się ich podważenia. Sędzia oraz prokurator okręgowy mogli być zbyt zaangażowani w utrzymanie maszyny prawnej w ruchu, by się tym nie przejmować, lecz Duncan nie miał takiego obowiązku. Postanowił, że spróbuje wymyślić coś, co pozwoli mu wyrzucić

nacisk na prokuratora i doprowadzić do uprzątnięcia bałaganu, do którego sam się przyczynił.

– Myślę, że nie powinniśmy rozmawiać o pozwie o zniesławienie – zwrócił się do Candace. – Udzielę pani wypowiedzi o przesłuchaniu Nazario, lecz będzie to nasza jedyna oficjalna rozmowa.

– Skoro tak pan sobie życzy... – odrzekła Candace.

Duncan spojrział na nią, lecz nie zauważył, by miała notatnik i długopis.

– Jest pani gotowa? – zapytał.

– Śmiało.

– Proszę dać mi chwilę – powiedział Duncan.

Przymknął oczy i powrócił w myślach do atmosfery panującej w sali sądowej. Nie spieszył się – gazeta i tak nie opublikuje tej przerwy.

– Okej, sprawa wygląda tak – zaczął. – Poważnie się obawiam, że opinia naukowa przedstawiona w tej sprawie przez pana Logana była niedokładna, a co gorsza, że można podać w wątpliwość jego umiejętności związane z wykonywaniem obowiązków zawodowych. Nie mam wątpliwości, że tak zwane dowody naukowe przeciwko mojemu klientowi nie mają żadnej wartości, i oczekuję, że biuro prokuratora okręgowego postanowi z nich zrezygnować. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby biuro prokuratora okręgowego zrewidowało inne sprawy, w których wykorzystano ekspertyzy sporządzone przez pana Logana.

– W porządku, dziękuję – powiedziała Candace. – Czy to wszystko?

Stojąc, wciąż miała opuszczone ręce.

– Zapamiętała pani to, co powiedziałem? – zapytał sceptycznie Duncan.

– Tak.

– Przecież niczego pani nie zapisała.

– Nagrywam naszą rozmowę – wyjaśniła Candace.

Duncan spojrział na nią, krzywiąc się.

– I właśnie w tej chwili rejestruje pani naszą rozmowę na taśmie? – zapytał.

– Technicznie rzecz biorąc, to zapis cyfrowy.

– Mówi pani poważnie? – zapytał Duncan, zdając sobie sprawę, że to oczywiste, iż Candace nagrała jego wypowiedź. – Czy to w ogóle legalne?

– Oczywiście – odpowiedziała Candace. – Nowy Jork jest stanem, w którym wystarczy zgoda jednej strony. By móc zarejestrować własną rozmowę, ma się rozumieć.

– Zatem wystarczy – rzekł Duncan.

Nie podobało mu się, że jego wypowiedź jest nagrywana, choć nie był

nawet pewien, czy używanie dyktafonu ma jakiegokolwiek znaczenie podczas rozmowy z reporterką.

– Jasne – powiedziała Candace.

Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni żakietu i wyłączyła dyktafon.

– Czy możemy teraz pójść gdzieś indziej i spokojnie porozmawiać? – zapytała.

Tego Duncan się nie spodziewał. Nie chciał rozmów z reporterami, a zwłaszcza z Candace.

– O czym mamy rozmawiać? – zapytał.

– Chciałabym zadać panu dwa pytania. Jedno dotyczy pańskiej kancelarii, drugie tej sprawy.

– Co interesuje panią w związku z tą sprawą?

– Chciałabym omówić z panem pewną teorię.

– A jak brzmi pytanie?

– Dlaczego ktoś mógłby chcieć śmierci Seana Fowlera?

Candace i Duncan usiedli w Peking Duck House na Mott Street. To Duncan zasugerował to miejsce: Blake uwielbiał kaczkę i w ubiegłym roku, gdy prawnicy z jego kancelarii brali udział w procesie toczącym się w położonym w pobliżu sądzie federalnym, cały zespół przychodził tu raz w tygodniu na lunch. Pomysł przyprowadzenia Candace do Peking Duck House i zjedzenia z nią posiłku był dziwny. Duncan musiał jednak wy badać, co Candace wie, a do tego był naprawdę głodny. Było już dobrze po czternastej.

– Co chciała mi pani powiedzieć o Fowlerze? – zapytał, gdy już złożyli zamówienie.

– Nic za darmo – odpowiedziała Candace. – Najpierw moja kolej: zakładam, że wie pan, kim jest David Markowitz.

– Ten polityk? Owszem, słyszałem o nim.

– Pańska kancelaria posiada zapisy dotyczące wielu dotacji wyborczych przekazywanych na rzecz Markowitza przez różne fasadowe firmy – powiedziała Candace. – Chciałabym potwierdzić źródła pochodzenia tych pieniędzy.

Duncanowi nie spodobał się ton tej wypowiedzi.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł. – Mogę popytać tu i ówdzie, lecz niczego nie gwarantuję. Sugeruje pani, że dzieje się coś nielegalnego?

– To pan jest prawnikiem.

– Czy nie może pani po prostu zapytać o to Markowitza?

– On mnie unika – odpowiedziała Candace. – Ale nie jest to najlepszy sposób na umknięcie mojej uwadze.

– Odezwę się do pani w tej sprawie – rzekł Duncan, nie mając najmniejszych wątpliwości, że unikanie Candace jest najgorszym z pomysłów. – To wszystko, do czego mogę się zobowiązać. Co pani wie o Fowlerze?

Candace przyglądała się przez chwilę Duncanowi.

– Przypuszczam, że już pan wie, że Sean Fowler był zatrudniony na Aurora Tower, zanim trafił do Jacob Riis – powiedziała.

Duncan był zaskoczony: nie samą informacją, lecz tym, że była dostępna.

– Nie wiedziałem o tym, ale właściwie wcale mnie to nie dziwi – odparł.

– Jak rozumiem, na budowie Rotha zatrudnia się tych samych ochroniarzy.

– Nigdy zatem nie słyszał pan o tym, co kombinował Fowler, zanim zatrudniono go w Jacob Riis?

– Znam kilka spraw dotyczących Aurora Tower i nigdy nie słyszałem, by Fowler miał z nimi jakikolwiek związek – odpowiedział Duncan. – Ochroniarze nie mają nic wspólnego z wypadkiem na tej budowie, jeśli akurat do tego pani zmierza.

Candace odchyliła się, założyła ręce i ponownie zaczęła się przyglądać Duncanowi. Nie wiedział, o co jej chodzi.

– Czy pamięta pan naszą pierwszą rozmowę? – zapytała w końcu.

Duncan uśmiechnął się szeroko.

– Wtedy, gdy nazwała mnie pani dupkiem? – zapytał. – Jakże mógłbym zapomnieć?

Candace przez chwilę straciła rezon, lecz szybko się pozbierała.

– Przesłuchanie to nie rozmowa – rzekła. – Zapytałam wtedy, czy mógłby mi pan obiecać, że wykorzysta pan wszystko, co wie, by pomóc Nazario.

Słowa te potwierdziły podejrzenia Duncana: to, co Candace wiedziała o Fowlerze, jest w jakiś sposób powiązane z firmą Roth Properties.

– Pamiętam – powiedział neutralnym tonem Duncan.

– Dlaczego więc pan nie wie, zakładając, że naprawdę pan nie wie, że Fowler był zamieszany w to, co się działo na Aurora Tower?

– Właśnie w tej chwili słyszę po raz pierwszy, że jego nazwisko pojawiało się w kontekście Aurory – odpowiedział Duncan. – I nie mam pojęcia, co ma pani na myśli, mówiąc, że coś tam się działo.

– A Jack Pellettieri?

– Co z nim? – zapytał Duncan.

Candace zrobiła znudzoną minę.

– Proszę powiedzieć mi coś, co mnie przekona, że naprawdę rozmawiamy – powiedziała.

Duncan uśmiechnął się, lecz Candace nie zrewanżowała mu się tym samym. Pociągnął łyk zielonej herbaty, mocno rozwodnionej i zbyt gorącej. Zastanawiał się, czy powierzyć Candace prawdziwy sekret: powiedzieć jej, że negocjacje w sprawie odszkodowania z powodu nieumyślnego spowodowania śmierci dobiegają końca, że strony ugodziły się już co do jego wysokości i że należy już tylko dopracować formalne szczegóły ugody. Odszkodowanie miał zapłacić Pellettieri, więc firma Rotha nie brała bezpośredniego udziału w negocjacjach. Lecz cała ta sprawa wciąż była poufna, toteż Duncan zdecydował, że opowiedzenie o niej reporterce byłoby

zbyt ryzykowne.

– Jack Pellettieri to kawał chuja – powiedział zamiast tego.

– Próbowałam z nim porozmawiać, kiedy pisałam artykuł, z powodu którego mnie pozwaliście – rzekła Candace. – Myślałam, że się na mnie rzuci. Ale nie wnikiem w to, czy pan lubi tego gościa.

– A teraz nieoficjalnie – wycedził Duncan. – Proszę to głośno powtórzyć, na wypadek gdyby pani znowu miała włączony dyktafon

Po chwili Candace skinęła głową.

– Nieoficjalnie – powiedziała, przewracając oczami.

– Pyta mnie pani, czy Pellettieri wdepnął w gówno – rzekł Duncan. – Odpowiedź brzmi: tak.

– A co to dokładnie oznacza?

– Aurora Tower. Wypadek. On jest czarnym charakterem w tej historii. Czy to dostatecznie jasne? – rzekł Duncan.

– Dostatecznie jasne, lecz nie dość dobre – odparła Candace.

Tym razem to Duncan zaczął odczuwać lekką frustrację. Doszedł jednak do wniosku, że nie jest winien Pellettieriemu jakiegokolwiek ochrony.

– Pellettieri zajmował się wymuszeniami na Aurora Tower – powiedział.

– Zawyżał faktury i ciął koszty. Nie robił tego, co należało, by zapewnić bezpieczeństwo pracy.

– I uważa pan, że to na nim spoczywa odpowiedzialność? – zapytała Candace, potrząsając głową. – Chyba się nie dogadamy.

Duncan poczuł się jak piesek, który nie dostał nagrody.

– Co to miało znaczyć? – zapytał.

– Nie jest pan głupi, a ja nie wyobrażam sobie, by mógł pan być tak naiwny – wyjaśniła Candace. – W pańskim przypadku wiedzieć tak niewiele oznacza, że albo nie stara się pan dowiedzieć więcej, albo wie pan dużo, ale mi niczego nie mówi. Ale jak by nie było, i tak mi się to nie opłaca.

– Jest pani pewna, że coś powinienem wiedzieć? – zapytał Duncan.

– Dlaczego wszystko uchodziło Pellettieriemu na sucho, zanim doszło do wypadku.

– Myśli pani, że ta afera sięgała wyżej?

– Ja to wiem – odpowiedziała Candace z naciskiem.

– I uważa pani, że Fowler był w nią w jakiś sposób zamieszany?

– Należał do tych, którzy stanowili źródło problemów na Aurora Tower.

Kelner przyniósł kaczkę i zaczął ją kroić na porcje. Duncan był wdzięczny za tę przerwę. Mógł się zastanowić, w jaki sposób przeprowadzić rozgrywkę z Candace. Gdy kelner zniknął, Duncan, strasznie głodny, zabrał

się natychmiast do jedzenia. Candace nie sięgnęła nawet po sztućce i tylko przypatrywała się swemu rozmówcy. Duncan rozpamiętywał wybuch Pellettieriego podczas lunchu i zastanawiał się nad jego wypowiedzią o spełnieniu czyichś oczekiwań. Lecz nie mógł powiedzieć o tym Candace. Nie mógł, jeśli prowadziło to do tych osób, o których myślał.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu. – Sugeruje pani, że skoro Pellettieri robił to, co robił, to musiał mieć czyjeś błogosławieństwo. Okej, ale dlaczego miałyby w tym wszystkim odegrać jakąś rolę ochroniarz?

– Jeśli się chce przekazywać pieniądze w taki sposób, by nikt tego nie zauważył, należy znaleźć kogoś, kto ma pozwolenie na bezkarne wałęsanie się po kwadracie.

Candace sugerowała zatem, że Fowler był pośrednikiem.

– Gdyby nawet Fowler miał jakieś powiązania z Pellettierim, to jak może to pomóc Rafaelowi? – zapytał Duncan.

Candace zaśmiała się oschle.

– Fowler był zamieszany w przekręt na Aurora Tower, który doprowadził do śmierci trzech ludzi – powiedziała. – Myślę, że wiedział o tym za dużo. Jak pan sądzi, trudno będzie znaleźć osobę, która chciałaby, by w tej sytuacji Fowlerowi przytrafiło się coś złego?

– Czy poza wrodzoną podejrzliwością ma pani jakieś dowody na poparcie tej tezy? – zapytał Duncan.

– To pan jest prawnikiem – odpowiedziała Candace. – Czy nie powinien pan poszukać kogoś innego, kogo można oskarżyć o to morderstwo?

– Chętnie, ale jako prawnik, a nie jako reporter, muszę wziąć pod uwagę dowody – rzekł Duncan.

Poza jego sarkazmem kryła się pewna myśl: jeśli Fowler pośredniczył w sprzeniewierzeniach funduszy przeznaczonych na budowę Aurora Tower, to powinny istnieć finansowe tropy, które mogłyby to potwierdzić. Duncan mógłby więc zażądać przedstawienia wyciągów z konta Fowlera i sprawdzić, czy nie pojawiło się w nich coś, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

– Jeśli pan coś znajdzie, to powie mi pan o tym, prawda? – zapytała Candace.

– Oczywiście, będzie pani jedyną reporterką, z którą o tym porozmawiam – odpowiedział Duncan. – Czy naprawdę pani myśli, że śmierć Fowlera ma coś wspólnego z Aurora Tower?

– Jedynym powodem, dla którego miałam wątpliwości, że zastrzelił go Nazario, było to, że podjął się pan obrony tego dzieciaka.

Po raz pierwszy podczas tego lunchu Duncan i Candace wymienili się uśmiechami. Duncan zdał sobie sprawę, że tak naprawdę lubi Candace, co wcześniej nie było dla niego tak oczywiste.

– Cieszę się, że zajmując się tą sprawą, ma pani tak otwarty umysł – powiedział.

– Nie jestem uprzedzona do firmy Roth Properties – wyjaśniła Candace.

– Chodzi tylko o to, że wiem już, w jaki sposób działa.

– Słówko o byciu prawnikiem: nie muszę udawać, że jestem bezstronnym obserwatorem. Udawanie bezstronności pozostawiam sędziemu – rzekł Duncan.

– Myśli pan, że udaję obiektywną?

– Nie. Prawdę mówiąc, sądzę, że pani nawet na tym zależy – odpowiedział Duncan. – Najwyraźniej kieruje się pani własnym interesem.

Candace pokręciła głową. Miała poważną minę.

– Ależ skąd – powiedziała. – Wydawało mi się, że pisząc po raz pierwszy o Aurora Tower, wyczerpałam temat, ale teraz zdaję sobie sprawę, jak byłam od tego daleka i że ta sprawa może dać początek czemuś zupełnie nowemu. Chcę dotrzeć do prawdy, bo na tym polega moja praca.

Duncan wzruszył tylko ramionami, nie chcąc doprowadzić do scysji.

– Skoro pani tak mówi... – odparł.

– Nie jest też tak, że kupuję całe to prawnicze bajdurzenie o tym, że interesuje pana wyłącznie pański klient i nic poza nim – dodała Candace. – Wiem, jak bardzo mój ojciec nie aprobował pewnych rzeczy, których musiał bronić. Nie powstrzymywało go to przed wykonywaniem pracy, ale jednocześnie bardzo martwiło. W każdym razie jest to nasza druga rozmowa, podczas której dałam więcej, niż otrzymałam. Nie tak to ma wyglądać.

– Działam w dobrej wierze – zaprotestował Duncan. – Przyjrzę się Fowlerowi pod kątem jego związków z Aurora Tower, a jeśli odkryję coś interesującego, dam pani znać.

– Przekáže mi pan także informacje o spółce z ograniczoną odpowiedzialnością?

– Zgoda – odpowiedział Duncan.

Candace sięgnęła do torebki, Duncan do portfela. Wyjęli wizytówki i wymienili się nimi nad stołem, co wypadło nieco niezgrabnie. Duncan zauważył, że Candace nie ma obrączki.

– Dlaczego nie nosi pani obrączki? – zapytał spontanicznie. – Nalegała pani bardzo stanowczo, by zwracać się do niej jak do mężatki.

Ku jego zaskoczeniu Candace natychmiast się zarumieniła.

– O Boże, coś było ze mną wyraźnie nie tak podczas przesłuchania. Gadałam jakieś bzdury – odpowiedziała. – Właśnie się rozwodzę.

Duncan nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Wie pani, że zeznawała pod przysięgą, nieprawdaż? – zapytał.

– Z formalnego punktu widzenia wciąż jestem mężatką – odpowiedziała Candace. – Przepraszam, że byłam taką suką, wtedy, podczas przesłuchania, i później, gdy zaciłam się na pana pod Jacob Riis.

– W porządku – odparł Duncan. – Zatem rozejm?

– Jeśli odkryję, że wcisnął mi pan jakiś kit, obsmaruję pana w gazecie – odparła Candace. – Ale zgoda, rozejm. Tak długo, jak długo nasza gra będzie czysta.

Lea żwawo przemaszerowała przez hol budynku, w którym znajdowało się jej biuro, wyszła na zewnątrz i zbliżyła się do czekającej na nią limuzyny Town Car. Usiadła z tyłu i złowiła spojrzenie Darryla Loomisa widzącego ją we wstecznym lusterku. To Darryl wpadł na pomysł spotkań w samochodzie: dzięki temu nie musieli rozmawiać na widoku.

Lea przypomniała sobie pierwsze takie spotkanie z Darrylem. Miało ono miejsce zaledwie dwa miesiące wcześniej, choć mogło się wydawać, iż od tamtej chwili minęły już całe wieki. Tego wieczora, kiedy Jeremy wyznał, że jest szantażowany, Lea zadzwoniła do Darryla i powiedziała mu, że muszą jak najszybciej omówić na osobności pewną delikatną sprawę.

Umówili się wtedy, że Darryl odwiezie ją następnego ranka do pracy. Gdy o wpół do dziewiątej wyszła z domu, Darryl czekał już w zaparkowanej limuzynie Town Car. Wcześniej Lea spotkała się z nim już kilkakrotnie, lecz nigdy sam na sam. Darryl zawsze traktował ją z należnym szacunkiem, nie demonstrując właściwej sobie pewności siebie, na której opierała się jego reputacja, lecz umiejętność dopasowywania się do otoczenia była jednym z jego przymiotów.

Tej nocy Lea kiepsko spała, a jej umysł zmagał się z perspektywą czekającej ją rozmowy. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak zareaguje Darryl. Wiedziała, że był zamieszany w to, czym zajmował się Fowler, i że poruszenie tego tematu mogłoby tylko wszystko pogorszyć.

– W czym mogę pani pomóc, panno Roth? – zapytał Darryl, gdy ruszyli.

– Mów mi po imieniu. To paskudna sprawa, więc powiem od razu, o co chodzi. Jeden z twoich pracowników dowiedział się czegoś kłopotliwego o moim bracie. Czegoś więcej niż kłopotliwego. I poprosił o rekompensatę za zatrzymanie tego dla siebie. Przypuszczam, że nic o tym nie wiesz?

Z tylnego siedzenia niełatwo było dostrzec reakcję Darryla, zwłaszcza że prowadził on zatłoczoną w godzinie szczytu Houston Street.

– Jeden z moich ludzi próbuje przestraszyć twojego brata? – zapytał po chwili.

Lea zdziwiła się, dlaczego Darryl sformułował to tak oględnie. Przecież to był szantaż i głupotą byłoby nazywanie tego inaczej.

– Zgadza się – powiedziała.

Zatrzymawszy samochód na czerwonym świetle, Darryl odwrócił się i spojrzał na Leę.

– Chodzi pewnie o jakieś nieporozumienie? – zapytał.

– Mój brat zapłacił mi już ćwierć miliona dolarów – odpowiedziała dość ostrym tonem. – Ale ten człowiek chce więcej.

Darryl skrzywił się i pokręcił głową. Kierowca samochodu stojącego za nimi zatrząbił: mieli zielone światło. Darryl zaklął pod nosem i ruszył.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – zapytał. – Natychmiast położyłbym temu kres, i to naprawdę szybko, a twój brat nie musiałby płacić.

– Sama dowiedziałam się o wszystkim dopiero wczoraj wieczorem.

– O kogo chodzi?

– Nazywa się Sean Fowler – odpowiedziała Lea. – Nie znam go osobiście.

– Czy ta sprawa ma coś wspólnego z Aurora Tower?

Lea poczuła suchość w gardle.

– Tak – powiedziała, niemal dławiąc się tym słowem.

– Jest mi bardzo przykro, że do tego doszło – rzekł Darryl. – W swojej firmie jeszcze nigdy nie miałem problemów tego rodzaju. Zajmę się tym.

– W jaki sposób? – zapytała Lea.

– Sądzę, że wolałabyś tego nie wiedzieć – odpowiedział bez wahania Darryl.

Lea nie zastanawiała się wcześniej, czego może oczekiwać od Darryla. Uświadomiła sobie, że nie zapytał jej nawet, o co chodzi Fowlerowi.

– Nie możemy doprowadzić do aresztowania Fowlera – powiedziała. – Wszystko, co wie, wyszłoby wtedy na jaw i mogłoby nam wyrządzić wielkie szkody.

Darryl rzucił szybkie spojrzenie Lei widocznej w lusterku wstecznym.

– Nie chodziło mi o doprowadzenie do jego aresztowania – odparł.

W tym właśnie momencie kołacząca się w głowie Lei myśl o zlikwidowaniu Fowlera, dotąd nieuświadomiona i niekonkretna – przybrała swój ostateczny kształt. Darryl nawet tego nie powiedział. Najwyraźniej starał się być jak najbardziej oględny. Lea zrozumiała, że starał się w ten sposób ochronić raczej ją niż siebie.

Podobnie jak jej brat, tkwiła w tym po uszy. Oboje byli narażeni na powiązanie z tym, co robi Fowler. Wiedziała, że przymykanie oczu i udawanie, że o niczym nie wie, i tak niczego nie zmieni.

– Zamierzasz go zabić? – zapytała.

Darryl zachował się tak, jakby nie usłyszał jej pytania. Prowadził ze wzrokiem wlepionym w drogę.

– Bo jeśli Fowler zginie – dodała po chwili, słysząc drzenie we własnym

głosie – a podczas dochodzenia wyjdzie na jaw, że szantażował mojego brata, to będziemy mieć kłopoty. To prawdopodobne, zwłaszcza jeśli trafią na ślad pieniędzy, które już dostał.

Lea myślała przez chwilę, że Darryl, jadący Houston Street na północ, i tym razem nie odpowie.

– Są sposoby na odwrócenie uwagi policji – odparł w końcu.

– Na przykład jakie?

Darryl nie potrafił już opanować frustracji.

– Proszę posłuchać, panno Roth... – zaczął.

– Leo.

– Właśnie z tego żyję, Leo – powiedział. – Z całym szacunkiem dla twojej pracy, płacicie mi dlatego, że posiadam umiejętności, jakimi nie dysponuje nikt inny w waszej firmie.

– Ja to rozumiem – powiedziała lekko zirytowana Lea, która wyczuła protekcyjny ton Darryla. – Ale cała ta sytuacja mogłaby zniszczyć moją rodzinę, a także moją firmę. Muszę wiedzieć, co zamierzasz zrobić.

– Istnieje pewne ryzyko, które się z tym wiąże – rzekł Darryl.

– Chyba będę musiała je podjąć – odparła Lea.

Głupia brawura, pomyślała. Naprawdę wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jaką cenę przychodzi płacić za wiedzę ani jak długo jest się wystawionym na związane z nią ryzyko. Nie sądziła, że nie będzie odwrotu. Ale teraz było już za późno. Musiała się skupić na teraźniejszości. Przesunęła się na siedzeniu i złowiła spojrzenie Darryla zerkającego we wsteczne lusterko.

– Co się stało? – zapytała.

– Chodzi o tę reporterkę, Snow. Warto było przyczepić jej ogon. Teraz wiemy, że ma coś na Aurora Tower.

Lea podejrzewała to od dłuższego czasu, lecz ta świadomość nie ułatwiła jej przyjęcia wiadomości. Gdy szum, który podniósł się po opublikowaniu artykułu o eksmisjach na osiedlu Jacob Riis, zaczął właśnie przycichać, Candace Snow wróciła, uderzając tym razem w Aurora Tower.

– Kto? – zapytała Lea.

– Tony Nelson – odpowiedział Darryl.

Zdziwiła się: sądziła, że Tommy Nelson miał więcej oleju w głowie. Jako inspektor budowlany, który, choć niesprawiedliwie, podpadł głównemu deweloperowi, poważnie naraził się teraz na znalezienie się na czarnej liście i utratę środków do życia.

– Wiesz, co jej powiedział? – zapytała Lea.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Darryl dwornie skinął głową.

– Próbował trochę się stawiać, ale odpuścił, kiedy go przekonaliśmy, że mówimy serio.

Lea zmarszczyła brwi i wbiła wzrok we wciąż opanowanego Darryla. Początkowo nie interesowała się szczegółami jego działania, lecz zmieniła zdanie, gdy narobiono rabanu wokół eksmisji w Jacob Riis. Wprawdzie Darryl twierdził z uporem, że nie miał pojęcia, iż Fowler podrzucił narkotyki mieszkańcom tego osiedla, ale marna to była pociecha. Teraz zaś miasto rozpatrywało sprawy eksmisyjne, co doprowadziło do zamieszania mogącego wstrzymać całe przedsięwzięcie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Lea.

– Że teraz chodzi o kulach.

– Jezu...

Brutalne potraktowanie Nelsona wydawało się niepotrzebnym ryzykiem, lecz Lea wiedziała także, że nie należy wtrącać się w poczynania Darryla. Jeśli wyrządził komuś krzywdę, to uczynił to z konieczności i postrzegał jako środek prowadzący do celu.

– Czego się od niego dowiedziałeś? – zapytała Lea.

– Powiedział reporterce, że pieniądze wypływają przez Pellettieriego i że przedstawiono mu zarzuty – odpowiedział Darryl.

Lea głośno nabrała powietrza.

– A co w związku z moim bratem? – zapytała.

– Wygląda na to, że Snow sporo wie – odparł Darryl. – I ciągle węszy. Wie, że Fowler był wtajemniczony w całą tę sprawę.

– Dowiedziała się tego od Nelsona? – zapytała Lea z niedowierzaniem. – Jak on na to wpadł?

– Miał mieć oczy dookoła głowy, żeby obserwować wszystko, co się dzieje na budowie, a Sean nie zawsze był wystarczająco ostrożny – odpowiedział Darryl.

– Więc Snow mogła poskładać to w całość...

– Tak, na ile tylko było to możliwe.

– Nie wolno było do tego dopuścić – powiedziała stanowczym tonem Lea.

– To znaczy? – zapytał Darryl, odwróciwszy się i spojrzawszy na Leę.

– Chryste, nie, nie o to chodzi – odpowiedziała natychmiast. – Żeby reporterkę?

– U Rosjan to się sprawdza – odparł Darryl.

– I tak już poszło to za daleko – rzekła Lea.

– Mogę ją przycisnąć mocniej – powiedział Darryl. – Ale zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że obróci się to przeciwko nam.

– Tata popracował już nad gazetą – odparła Lea. Miała nadzieję, że wysłuchała już wszystkich złych wieści i może się zabrać do działania. – On i Friedman znają się od bardzo dawna.

– Powinniśmy jednak założyć, że Pellettieri przegra – rzekł Darryl. – A wtedy będziemy mieli do czynienia już nie z reporterką, ale z prokuratorem okręgowym.

– Nie znam Pellettieriego – powiedziała Lea. – Czy, twoim zdaniem, wytrzyma?

– Nie liczyłbym na to.

Lea westchnęła ciężko. Nie to chciała usłyszeć.

– Jak myślisz: co w takim razie powinniśmy z nim zrobić? – zapytała.

– Pieniądze niczego nie załatwią, nie będzie bardziej lojalny niż do tej pory. Nie sądzę też, że przestraszy się nas bardziej niż więzienia. Mogłabyś mu kupić bilet w jedną stronę do Buenos Aires.

– Jakie są szanse, że się na to zgodzi?

– Niewykluczone, że w sytuacji, w której się znalazł, będzie szukał jakiejś drogi wyjścia – odpowiedział Darryl. – Chcesz, żebym go o to poprosił?

– Nigdy nie zaszkodzi poprosić – odparła obojętnie Lea.

Na chwilę zamknęła oczy.

– W porządku – powiedziała. – Przyciskaj dalej reporterkę i złóż propozycję Pellettieriemu. Żadnych śladów. I musimy powstrzymać całą tę eskalację. Za każdym razem kiedy już rozwiążemy jeden problem, pojawiają się dwa następne. To musi się skończyć.

– Zazwyczaj właśnie tak to wygląda – rzekł Darryl.

– Jeśli ktoś da się złapać – odparła Lea.

Na polecenie Castelluccio detektywi Jaworski i Gomez sprowadzili Dwayne'a Stevensona. Dwayne był jednym z chłopaków wystających na rogu ulicy, a wykończeni policjanci wskazali go jako potencjalnego świadka ucieczki Rafaela Nazario z miejsca zbrodni. Castelluccio zażądała, by detektywi przesłuchali go ponownie, gdyż dowody prokuratury przeciwko Nazario okazały się kompletnie bezwartościowe. W dniu strzelaniny Dwayne nie został przesłuchany ani przez Jaworskiego, ani przez Gomeza, którzy musieli szybko dokonać aresztowania. Trafił wtedy pod opiekę dwóch innych detektywów, lecz ci zaprowadzili go tylko do pokoju przesłuchań i kazali mu w nim kisnąć przez większość nocy. Uznali, że wywołane tym zmęczenie okaże się ich najlepszym sojusznikiem i skłoni Dwayne'a do mówienia.

– Dwayne Stevenson – powiedział Jaworski, przeglądając plik dokumentów i trzymając je pod takim kątem, by Stevenson nie mógł się zorientować, że są to niemal wyłącznie czyste kartki.

Stevenson był niski i przysadzisty. Mimo młodego wieku sprawiał wrażenie, że resocjalizacja nie będzie już w jego przypadku możliwa. – Widzę, że ciąży na tobie zarzut nielegalnego posiadania broni.

Dwayne założył ręce.

– Czekam na rozprawę – powiedział. – Jeśli chcecie o tym pogadać, to będzie najlepiej, jak sprowadzicie mojego adwokata.

– Niepotrzebny ci tu adwokat, Dwayne – odparł Gomez. – Nie zamierzamy z tobą rozmawiać o twoich niezbyt udanych próbach podjęcia działalności przestępczej. Chcemy porozmawiać o zastrzeleniu Seana Fowlera.

– Nie znam nikogo takiego.

– Tak nazywał się ochroniarz zabity na twoim osiedlu – powiedział Jaworski.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – zaprotestował Dwayne. – Trzymaliście mnie tu całą noc z powodu jakiejś bzdury.

– Nie sprowadziliśmy cię tu wtedy ani teraz, dlatego że to ty strzelałeś – wyjaśnił Jaworski. – Wiemy, kto to zrobił. Po zastrzeleniu strażnika ten gość przebiegł obok ciebie i twojego kolegi i uciekł. Znasz Rafaela Nazario, prawda?

– Chodziliśmy razem do szkoły – odpowiedział Dwayne. – Nie byliśmy

kumplami.

– Ale zobaczyłeś, jak biegnie z powrotem na osiedle, gdy już zastrzelił ochroniarza, zgadza się?

– Tak mówili tamtego wieczoru gliniarze. Jedynym biegnącym człowiekiem, jakiego wtedy widziałem, był czarnoskóry mundurowy.

– Wiemy, co się dzieje z twoją rodziną, Dwayne – odezwał się Gomez.

Powiedział to łagodnym tonem, grając dobrego policjanta.

Dwayne nie dał się nabrać na tę sztuczkę. Wydał tylko usta.

– Gównu wiecie – rzucił z pogardliwym spojrzeniem.

– Wiemy, że eksmitują was, ponieważ zostałeś zatrzymany za rozprowadzanie kokainy – rzekł Jaworski. – Matka na ulicy to chyba niezbyt miła perspektywa.

– Wziąłem to na siebie – powiedział Dwayne, okazując lekkie zawstydzenie, jakiego Jaworski się nie spodziewał. – Ale to nie ma nic wspólnego z jakimś debilnym ochroniarzem, który dał się zastrzelić.

– Nie, nie ma i nie będzie miało, jeśli czegoś nie zrobisz.

Dwayne spojrzał na Jaworskiego.

– Co mam zrobić? – zapytał.

– Wiesz, jak to działa – odpowiedział detektyw. – Ręka rękę myje: ty pomożesz nam, a my tobie. Przypomnisz sobie tylko, co widziałeś tamtego wieczoru: Nazario uciekającego z miejsca zbrodni, może nawet z bronią w rękę, a wtedy my szepniemy słówko w twojej sprawie i zobaczymy. Być może uda się uniknąć waszej eksmisji.

Dwayne dał po sobie poznać, że mu nie dowierza.

– I po to mnie tu przywlekliście? – zapytał. – Wciskacie mi jakiś kit, że to, co powiem, ma nam niby pomóc? Chyba myślicie, że upadłem na głowę.

– Możemy ci pomóc – odpowiedział natychmiast Gomez. – Nawet prokurator okręgowy jest za. Naprawdę.

– Mogę już sobie pójść? – zapytał Dwayne. – Nie chce mi się z wami gadać.

– Możemy pomóc twojej matce w sprawie domu – powiedział Jaworski.

– Skoro powiedział pan, że nie może wezwać mojego prawnika, to chyba nie zostałem aresztowany – odparł Dwayne. – W takim razie myślę, że już sobie pójdę, mam rację?

Jaworski machnął dłonią, dając do zrozumienia, że chłopak jest wolny.

– Dobra, wynoś się – powiedział.

Słyszałeś, co powiedział? – zapytał Jaworskiego Gomez.

Detektywi siedzieli naprzeciwko siebie, przy biurkach ustawionych

w pokoju odpraw. Parę tygodni wcześniej obaj przerzucili się na dzienne zmiany. Stało się to dokładnie wtedy, gdy żona Gomeza pozwoliła mu na powrót do domu. Gomez zaczął wreszcie pojawiać się w pracy na czas – co więcej, nieskacowany. Być może wciąż nieco popijał, lecz najwyraźniej czynił to w sposób kontrolowany. Minusem dla Jaworskiego było to, że Gomez stał się straszliwym, zbyt pełnym energii i przypominającym wrzód na tyłku służbistą.

– Właściwie to nic nie powiedział – odparł Jaworski.

– A właśnie że powiedział: że namawiamy go do kłamstwa.

– I co z tego?

– Założyliśmy, że nie puszczają farby, bo między tymi frajerami istnieje jakaś pieprzona umowa – powiedział Gomez. – Ale gdyby chodziło tylko o to, Dwayne jak zwykle, powiedziałby, że nie chce rozmawiać z glinami. Ale powiedział coś innego: że tamtego wieczoru nie widział Nazario biegnącego przez dziedziniec.

Jaworskiego miał to gdzieś.

– Może... – powiedział. – A może Dwayne po prostu nie chce z nami współpracować? Może Nazario przesmyknął się za jego plecami albo Dwayne był wtedy naćpany? Kto to, kurwa, wie? Ale to nie oznacza, że Nazario nie pobiegł w kierunku swojego osiedla.

– Jesteś tego pewien?

– Do czego zmierzasz?

– Do niczego – odpowiedział Gomez. – Ale też nie udaję, że tego nie słyszałem.

– O co ci chodzi? Już zmieniłeś zdanie i twierdzisz, że to nie Nazario?

– Tego nie powiedziałem – odparł Gomez. – Ale tak sobie myślę...

– Sprawa jest zakończona – rzekł Jaworski, najwyraźniej ucinając rozmowę.

Gomez spojrzał na swego partnera.

– Więc się domyślam, że nie powinniśmy się już martwić, czy została przeprowadzona jak należy – powiedział.

Zanim Duncan się obudził, w skrzynce odbiorczej jego BlackBerry zaczęły się mnożyć, jeden za drugim, maile dotyczące artykułu, w którym Candace donosiła, że ława przysięgłych postawi Pellettieremu zarzuty nieumyślnego spowodowania śmierci oraz oszustwa. Przeczytawszy artykuł, Duncan zaczął pośpiesznie przygotowywać się do wyjścia, chcąc jak najszybciej znaleźć się w kancelarii.

Ledwie się w niej pojawił, został wezwany przez Blake'a. W gabinecie szefa była już Lily.

– Musimy jak najintensywniej zająć się tą sprawą – powiedział Blake. – Nasz klient z pewnością niepokoi się i zastanawia, czy sprawa nadmiernie się nie rozrośnie.

– Jak Pellettieri może winić jeszcze kogoś? – zapytała Lily.

– Ludzie mający w perspektywie oskarżenie o zabójstwo potrafią być naprawdę kreatywni.

W głowie Duncana pojawiło się nieproszone wspomnienie Pellettieriego z przesłuchania. Duncan odniósł wtedy wrażenie, że Pellettieri wie coś, co mogłoby zaszkodzić Rothom. Teraz zastanawiał się, jak powiedzieć o tym Blake'owi.

– Myślę, że musimy zapytać Jeremy'ego Rotha wprost, co ma na niego Pellettieri – rzekł.

Blake spojrzał w jego stronę. Nie spodobało mu się to, co usłyszał.

– Była o tym mowa podczas przesłuchania? – zapytał.

– Zgadza się – odpowiedział Duncan.

Opowiedział o wybuchu Pellettieriego. Blake wysłuchał Duncana z pokerową twarzą i podziękował mu za relację, lecz nie okazał najmniejszej choćby ochoty na dyskusję o tej sprawie.

– Porozmawiam z Jeremym – odparł. – Dowiem się, czy jest coś, czym musielibyśmy się przejmować.

Zaledwie Duncan usiadł z powrotem za swym biurkiem, zatelefonowała do niego Lea Roth.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? – zapytała z pretensją.

Jej głos zdradzał napięcie. Duncan stwierdził, że Lea wpadła w panikę. Zdziwił się, że tak łatwo okazywała strach. Zaczął się zastanawiać, czego mogła się bać.

– Blake zadzwoni za chwilę do twojego ojca – powiedział. – Uprzedzanie

go o tym to nie moja działka.

– Naprawdę chcą to uznać za morderstwo? Przecież to był wypadek.

– Nawet wypadek nie wyklucza zarzutu nieumyślnego spowodowania śmierci – odparł Duncan. – Podobnie jak w przypadku jazdy po pijanemu. Pellettieri wiedział, że wystawia ludzi na niebezpieczeństwo.

– Nie możemy zostać w to wciągnięci.

Duncan nie potrafił zrozumieć, dlaczego Lea, również prawniczka, a zarazem bystra i trzeźwo myśląca bizneswoman, chciała od niego zapewnienia, że uczyni coś, czego najwyraźniej nie był w stanie zrobić.

– Czego od nas oczekujesz, Leo? – zapytał.

– Mam wrażenie, że chcesz mi powiedzieć, że nie możecie nic zrobić – odparła Lea, podnosząc głos.

– Pracujemy nad tą sprawą – oświadczył Duncan. – Ale nie możemy sprawić, że sądy w magiczny sposób znikną.

– Nie proszę was o magię, tylko o wyniki. I mam nadzieję, że się ich w końcu doczekam.

– Sądzę, że jesteś trochę...

– Na twoim miejscu liczyłabym się ze słowami – przerwała Lea surowym głosem. – Nie myśl, że nasz osobisty związek ma wpływ na sposób, w jaki nasza rodzina ocenia działanie waszej kancelarii. Czy to jasne?

– Z pewnością uzyskamy pożądane wyniki – odpowiedział po chwili Duncan.

Lecz jego słowa trafiły w próżnię: Lea odłożyła już słuchawkę.

Dlaczego muszę tam iść? – zaproponowała Alena.

Robiąc makijaż, wykrzykiwała przez otwarte drzwi łazienki do Jeremy'ego, który siedział na kanapie i szykował skręta.

Jeremy miał właśnie zabrać Mattara Al-Falasięgo na obiad. Rodzina Al-Falasię wyjechała ze Stanów kilka tygodni wcześniej, nie podjąwszy żadnych decyzji w sprawie wspólnych interesów. Simon Roth zdążył jeszcze tylko spotkać się z Ubajdą, ojcem Mattara, i ustalić z nim plany współpracy, lecz nie doczekał się jasnej odpowiedzi. Kilka dni temu Mattar przesłał Jeremy'emu wiadomość: poinformował go, że przyjeżdża do Nowego Jorku, i zaproponował spotkanie przy obiedzie. To nie tyle zaproszenie, co nakaz stawiennictwa – pomyślał z urazą Jeremy, choć odpowiadając, posłusznie udał entuzjazm.

– Mattar chyba cię polubił! – odkrzyknął.

– Chyba nie chcesz, żebym znowu stręczyła mu Ivy?

Jeremy oparł się pokusie opowiedzenia Alenie o gafie, którą Mattar popełnił w klubie.

– Mam wrażenie, że nie chodziło o nią – odpowiedział.

– Nie rozmawiacie o interesach? – zapytała Alena.

– Od tego są nasi ojcowie. Ja mam tylko dostarczać rozrywek.

– A co ja mam wam zapewnić? – zapytała Alena, wchodząc do salonu.

Miała na sobie wyjściową kreację: suknię w kolorze czerwonego wina niezakrywającą ramion. Widok ten wystarczył, by Jeremy poczuł przyływ pożądania. Alena posiadała bezbłędną umiejętność ubierania się w sposób, dzięki któremu mogła zachwycić swymi kształtami.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Jeremy.

– To znaczy to, co znaczy.

– Jezu, zaczniesz jeszcze, kurwa, zaraz mówić do mnie od tyłu?

– Chodzi o to, że nie rozumiem, dlaczego chcesz, żebym tam poszła.

– To nam bardzo pomoże – powiedział Jeremy. – Naprawdę nie wiem, jak mam rozmawiać z tym gościem. Na pewno nie będzie mówił o byle czym. Trzeba będzie czytać między wierszami.

Jeremy i Alena mieli odebrać Mattara z jego hotelu za dziesięć minut. Na dole czekała już na nich limuzyna. Jeremy zapalił skręta, chcąc szybko zjarać się przed wyjściem. Mattar wpadł na pomysł, by zamówić stolik w słynącej ze steków brooklińskiej restauracji Peter Luger.

- Co mam zjeść u Lugera? – zapytała Alena.
- Jedyne porządne miejsce w życiu – odpowiedział Jeremy.
- Przecież wiesz, że nie jadamy czerwonego mięsa.
- Chyba nie wybierasz się jutro na wybieg?
- Ale to nie oznacza, że przestałam o sobie dbać.
- Dbanie o siebie jest przereklamowane – odparł Jeremy.

Musieli poczekać kwadrans, aż zwolni się ich stolik. Restauracja Charles Luger nie należała do miejsc, w których VIP-y mogły liczyć na szczególne względy. Obok sączył drinka Bill Murray, co, ku zdumieniu Jeremy'ego, wzbudziło w Mattarze wielki entuzjazm. Zapamiętał bowiem o wiele lepiej niż Jeremy to, co się działo w *Pogromcach duchów* i *Szarży*. Nawet kiedy już usiedli, widać było, że Mattar jest wciąż podniecony obecnością gwiazdora.

Jeremy nie do końca rozumiał cel obecnego spotkania. Za dwa dni Simon Roth miał się spotkać na obiedzie z ojcem Mattara, by, jak domyślał się Jeremy, rozmówić się z nim ostatecznie w sprawie interesów. Jeremy doskonale wiedział, iż jego ojciec nie zaangażowałby go do tego uwodzicielskiego tańca, gdyby był pewien, że uda mu się dojść do porozumienia z dubajczykami.

Złożyli zamówienie i zapadła niezręczna cisza. Jeremy usiłował ją przerwać. Chciało mu się nawijać, co było dość częste, gdy się naćpał. Nie chciał jednak pleść bzdur, żeby nie wyjść na idiotę. Alena zamknęła się w sobie, nie siląc się nawet na zachowanie pozorów towarzyskości. Najwyraźniej miała zamiar przeczekać resztę wieczoru. Nawet Mattar wydawał się lekko spięty, jakby i on musiał odegrać przydzieloną mu rolę, będącą częścią jakiegoś większego planu. Mając nadzieję, że alkohol rozluźni atmosferę, Jeremy poprosił o martini. Mattar uczynił to samo.

– Mam nadzieję, że przed nami jeszcze wiele takich obiadów – zagał Jeremy. – Jako partnerami w interesach, rzecz jasna.

– Mój ojciec niepokoi się pewnymi sprawami – odparł Mattar.

Jeremy był poirytowany, lecz zmusił się do skupienia uwagi, zastanawiając się nad całą tą sytuacją.

– O jakiego rodzaju obawy chodzi? – zapytał.

– Z pewnością rozumiecie – zaczął Mattar – że my, ludzie z Bliskiego Wschodu inwestujący w waszym kraju, zdajemy sobie sprawę z braku zaufania ze strony niektórych Amerykanów. Interesy z waszymi portami okazały się niefortunne. Trzeba też przyznać, że były dla nas kłopotliwe. Lecz Dubaj jest przyjacielem Ameryki i mamy nadzieję, że będziemy traktowani tak, jak traktuje się przyjaciół.

– Oczywiście – powiedział Jeremy ze zrozumieniem, kompletnie nie rozumiejąc, do czego zmierza Mattar.

Mattar zaś, opanowany i pewny siebie, siedział wyprostowany naprzeciwko Jeremy'ego, patrząc mu prosto w oczy.

– Angażując się tu w interesy, musimy zwracać szczególną uwagę na to, w jaki sposób są one postrzegane – rzekł. – Musimy też mieć pewność, że nie wzbudzają one żadnych kontrowersji. W przeciwnym razie cała uwaga skupia się na nas, co może być dla naszych interesów niezwykle niefortunne. Rozumiesz?

Jeremy nie rozumiał.

– Pewnie – odpowiedział.

– Ten wypadek, do którego doszło w ubiegłym roku... – powiedział Mattar. – Policja wciąż prowadzi dochodzenie, co jest dla nas zrozumiałe.

Jeremy poczuł niemiłe zaskoczenie. Było mu gorąco, czuł krople potu spływające po czole i nieznośny ucisk krawata. Pociągnął łyk martini, zbyt duży: zakrztusił się i sięgnął po wodę, by wypłukać smak wódki. Alena przyglądała mu się tak, jakby był robalem, który właśnie zaczął pełzać po stole.

– Sprawa w końcu przycichnie – powiedział Jeremy, starając się mówić pewnym głosem. – Był to, oczywiście, tragiczny wypadek, ale takie rzeczy zdarzają się przecież na budowach. A winę za to wydarzenie ponosi podwykonawca.

– Mimo to sprawa ta doczekała się znacznego rozgłosu. Mówi się o niej do dziś – odparł Mattar. – Pozwaliście nawet gazetę.

– Pozwał ją mój ojciec, o zniesławienie – powiedział Jeremy.

– Jak rozumiem, w tym kraju procesy sądowe traktowane są przez niektórych ludzi jako sposób na prowadzenie interesów – oświadczył Mattar. – Nie zgadzając się w jakiejś kwestii, chcecie podjąć walkę. Lecz nas na ten luksus nie stać.

Jeremy zastanawiał się, dlaczego Mattar porusza ten temat przed spotkaniem ich ojców. Był pewien, że Mattar nie uczynił tego z własnej inicjatywy. Musiało to być coś, o czym zadecydowała dubajska rodzina. Być może miał to być strzał ostrzegawczy albo sposób na przygotowanie gruntu do wycofania się z umowy.

– Rozumiem – rzekł, walcząc ze wzburzeniem, jakie wywołały w nim insynuacje Mattara.

Czyżby Mattar się spodziewał, że Roth zrezygnuje ze swego bezkompromisowego sposobu prowadzenia interesów, by zadowolić kilku

gości w turbanach, bo przewrotny Bóg stworzył złoża ropy naftowej akurat w tym, a nie innym, lichym pod każdym innym względem zakątku świata?

– Ale, ale: zanudzamy twoją przyjaciółkę całą tą niezbyt miłą gadaniną o biznesie – powiedział Mattar i spojrzął na Alenę, uśmiechając się szeroko.
– Wygląda dziś pani wyjątkowo uroczo.

– Dziękuję – odpowiedziała Alena z wyuczonym wdziękiem, właściwym kobietom, które przez całe życie słyszą komplementy tego rodzaju.

– Wie pani z pewnością – ciągnął Mattar – że w stronach, z których pochodzę, nie pozwala się kobietom eksponować piękna w sposób, jaki przyjęty jest tutaj. Muszę przyznać, jako mężczyzna, że wizyta w waszym kraju to prawdziwy luksus. Oczywiście nie mam na myśli nic złego.

Dodawszy szybko ostatnie zdanie, spojrzął na Jeremy'ego.

– Zrozumiałam intencję pańskiej wypowiedzi – odparła Alena, Jeremy natomiast zastanowił się, cóż, do diabła, to miało znaczyć.

– Doskonale – rzekł Mattar. – Czy nie zabrmi to zbyt banalnie, jeśli zapytam, czy była pani modelką?

– Tak – odpowiedziała Alena.

– Tak dla „banalnie” czy tak dla „modelki”? – zapytał z uśmiechem Mattar.

– Była modelką – wtrącił Jeremy, nie czekając na odpowiedź Aleny.

– Wciąż nią jestem – rzekła Alena.

– W waszym kraju tak bardzo kultywuje się młodość... Uważam, że kobieta powinna wyglądać jak kobieta, nie jak dziewczynka – powiedział Mattar.

Jeremy poczuł narastające poirytowanie. Mattar flirtował z Aleną na jego oczach. Lecz z drugiej strony: był naćpany, a trawka czasami sprawiała, że próbując odczytać czyjeś intencje, popadał w paranoję.

Po posiłku Mattar zaproponował wypad na drinka gdzieś na Manhattanie. Jeremy nie miał wyboru i poparł ten pomysł. Gdy Mattar wyszedł do toalety, Alena spojrzała na Jeremy'ego lodowatym wzrokiem.

– Czy mogę udać zmęczoną i wrócić do domu? – zapytała. – Moglibyście sobie urządzić męski wieczór.

– Nie chcę zostać z nim sam na sam – zaprotestował Jeremy. – Zresztą myślę, że Mattar lubi cię bardziej niż mnie.

– Podejrzewam, że ma ku temu jakiś powód – rzekła Alena.

– Jest po prostu podekscytowany towarzystwem kobiety, która nie ma zasłony na twarzy – powiedział Jeremy. – Dziwisz się?

– Chciałabym wrócić już do domu.

– Wypijemy tylko po drinku gdzieś na mieście, ziewniemy parę razy, powiemy, że jesteśmy zmęczeni, i wrócimy do siebie – odparł Jeremy. – To chyba nie najgorszy pomysł, prawda?

Alena nie odwzajemniła jego spojrzenia.

– Ty tu rządzisz – powiedziała.

Dotarli do Plunge, baru na dachu jednego z wieżowców w Meatpacking District, niedaleko apartamentu Aleny. Lokal ten cieszył się popularnością parę lat wcześniej, później trendsetterzy przenieśli się gdzie indziej. Mattar zasugerował, że chciałby się znaleźć w cichszym miejscu, Jeremy zaś tak naprawdę polubił Plunge dopiero wtedy, gdy jego atmosfera się uspokoiła.

Weszli do baru. Alena poprosiła Jeremy'ego, by zamówił dla niej lampkę chardonnay, i udała się do toalety. Gdy tylko znikła, Mattar uśmiechnął się i popatrzył na Jeremy'ego.

– Skoro jesteśmy na mieście o tak późnej porze, to przyjmuję do wiadomości, że nie jesteś żonaty – powiedział.

Jeremy, zakłopotany tym pytaniem, wybuchł wymuszonym śmiechem.

– Z Aleną? Mój Boże, w żadnym razie! – odparł.

– Ależ nie chodzi mi o Alenę – rzekł Mattar. – Myślałem o kimś z... wyżyn? Tak to nazywacie?

– Z elit? – zapytał Jeremy. – Nie, nie mam żadnej żony.

– I nie masz żadnej przyjaciółki?

– Żadnej poza Aleną – rzekł Jeremy.

Mattar lekko się zmarszczył i nieco zawahał, zanim ponownie przemówił.

– Ale Alena nie jest, jak to się mówi... z tych, które możesz przedstawić swemu ojcu, prawda?

– To prawda – odpowiedział Jeremy.

– W Dubaju jest wiele kobiet podobnych do Aleny – oświadczył Mattar. – Więcej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

– Wyobrażenie sobie tego nie szczególnie trudne – odparł Jeremy. – Miejmy nadzieję, że wkrótce będę mógł przekonać się o tym osobiście.

– Wróćmy jednak do Aleny – rzekł Mattar. – Ma w sobie ogień, nie uważasz?

– Tak. To prawda.

– Taka cecha może zafascynować. Sprawia, że czujesz się tak, jakbyś musiał poskromić kobietę.

Jeremy poczuł się niezręcznie. Machnął ręką, przywołując kelnera.

– Mogę porozmawiać z moim ojcem – powiedział Mattar. – Jeśli

rozproszę jego obawy co do współpracy między naszymi rodzinami, poczuje się zapewne mniej skrępowany.

– Byłoby wspaniale – odparł Jeremy.

– Cieszę się, że mogę wyświadczyć ci tę przysługę – dodał Mattar.

Jeremy popatrzył na niego, usiłując skupić uwagę. Mattar proponował mu układ.

– Doceniam to – powiedział Jeremy w chwili, gdy Alena wróciła do stolika.

Był zdenerwowany i usiłował wszystko przemyśleć.

Dochody ze sprzedaży apartamentów w Aurora Tower, mające pokryć większość krótkoterminowej pożyczki w wysokości trzystu milionów dolarów, okazały się nierealne, a zapaść na rynku kredytowym sprawiła, że pożyczkodawcy zaczęli domagać się gwałtownie zwrotu należności. Rok wcześniej odroczenie terminu spłaty kredytu udzielonego na cele budowlane również nie byłoby łatwe, zwłaszcza przy obciążających go wysokich odsetkach, teraz jednak, gdy zabrakło pieniędzy i gdy rodzina Al-Falasi ociągała się z przystąpieniem do spółki, Rothowie musieliby dofinansować budowę Aurora Tower za pomocą własnych środków.

Lecz Rothowie ich nie mieli. Oficjalnie ojciec Jeremy'ego był miliarderem, tyle tylko że Rothowie ulokowali znaczną większość fortuny w nieruchomościach. Jedynym sposobem na zdobycie trzystu milionów dolarów była sprzedaż całego apartamentowca. Teraz jednak wydawało się to prawie niemożliwe: pomimo spadku cen nikt nie interesował się jego kupnem, a gdyby Rothowie przedstawili korzystną ofertę sprzedaży, wszyscy poczuliby, że coś się święci. Nabywcy waliliby drzwiami i oknami, usiłując zyskać jak najwięcej. Jedna inwestycja, której harmonogram robót legł w gruzach, mogłaby doprowadzić do zniszczenia rodzinnej firmy budowanej od sześćdziesięciu lat. Był to zarazem pierwszy budynek, za którego wznoszenie odpowiadał Jeremy – jakiegokolwiek niepowodzenie uznano by za wynik popełnionych przez niego błędów, za dowód, że nie dorasta do pięt swojemu ojcu. Ostatnią szansą Jeremy'ego na zapobieżenie temu wszystkiemu było wciągnięcie do gry swej dziewczyny.

Jeremy pomyślał, że jego związek z Aleną i tak nie miał być czymś wiecznym. Im dłużej trwał, tym większe było ryzyko, że Jeremy straci czujność i że Alena go zrani. Prędzej czy później stałoby się to, co było nieuniknione: jedno z nich zdradziłoby drugie.

Przyniesiono drinki. Jeremy natychmiast wlał w siebie całą zawartość szklanki.

– Posłuchajcie – powiedział. – Jutro o ósmej mam ważną rozmowę telefoniczną. Będę musiał porozmawiać z kimś z rządu Singapuru. Ale nie musicie przerywać sobie wieczoru z tego powodu. Zostawię wam limuzynę i złapię taksówkę.

Mattar udał z troską.

– Chyba też powinnam już sobie pójść – odezwała się szybko Alena.

– Ale ma pani jeszcze pełną lampkę wina, nawet go pani nie spróbowała – rzekł Mattar. – Dotrzymam pani towarzystwa, przynajmniej dopóki go pani nie wypije.

– W porządku, zostańcie – powiedział Jeremy. – Muszę wcześniej wstać, więc już się pożegnam.

Alena spojrzała na niego. Jeremy nie dostrzegł w jej oczach gniewu. Zobaczył smutek.

– Chcesz, żebym została?

– Pewnie – odpowiedział Jeremy. – Pozwól Mattarowi cieszyć się widokami. Przecież dlatego tu przyszliśmy.

– Dobrze – powiedziała łagodnie Alena, nie spojrzawszy na żadnego z mężczyzn. – Możesz odejść.

Duncan poszedł w końcu za radą Candace i zaczął kolejno sprawdzać przypadki zaaranżowanych eksmisji na osiedlu Jacob Riis, z którymi mieli związek prywatni ochroniarze. Nie traktował tego priorytetowo, ponieważ wiedział, że ma do czynienia z obosiecznym mieczem: gdyby udowodnił, że ochroniarze wrabiali mieszkańców osiedla, by doprowadzić do ich eksmisji, i podważył tym samym wiarygodność zeznań Driscolla, kłamstwo Fowlera w sprawie Rafaela urosłoby do rangi znacznie poważniejszego motywu popełnienia zbrodni przez chłopaka. Początkowo myślał tylko o odszukaniu LaShondy, dziewczyny, której wypowiedź pojawiła się w artykule Candace, lecz ostatecznie zdecydował się na wykonanie całej pracy od zera. Uznał, że bezsensowne byłoby podążanie szlakiem przetartym już przez Candace.

Przeszukał internetową sądową bazę danych, przyglądając się wszystkim sprawom, w których stroną pozywającą był Wydział Budownictwa. Chciał sporządzić listę pozwanych przez wydział mieszkańców osiedla Jacob Riis. Poświęcił na to żmudne zajęcie kilka godzin, a skompletowawszy nazwiska, zabrał się do szukania numerów telefonów. Udało mu się znaleźć połowę.

Pierwsze dwie osoby, z którymi próbował się skontaktować, nie odebrały telefonu. Następna rozłączyła się, gdy tylko się odezwał. Kolejny numer należał do Betty Stevenson. Duncan wyjaśnił jej, że reprezentuje Rafaela Nazario i dzwoni w związku z eksmisjami na osiedlu.

– Mój syn ma już adwokata – powiedziała Betty. – Chociaż nie wiem, czy to coś da.

– Nie zamierzam się ubiegać o reprezentowanie pani syna – odparł Duncan. – Próbuję natomiast ustalić, czy ochroniarze na osiedlu Jacob Riis nie wrabiają ludzi i nie podrzucają im narkotyków, by stworzyć pretekst do eksmisji. Miasto twierdzi, że to właśnie posiadanie narkotyków stało się powodem wszczęcia postępowania eksmisyjnego wobec pani rodziny, prawda?

– O posiadanie narkotyków posądzono mojego najstarszego syna, Dwayne'a.

– Czy prywatni ochroniarze mieli związek z jego aresztowaniem?

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? – zapytała podejrzliwie Betty.

– Reprezentuję Rafaela Nazario, który mieszka w Jacob Riis – wyjaśnił Duncan. – Jakiś czas temu oskarżono go o zastrzelenie ochroniarza. Czy zna pani Nazariów? Rafaela albo jego babkę Dolores?

– Policja dopiero co zawracała mojemu chłopcu głowę w ich sprawie – odpowiedziała Betty. – Ale on nic nie wie.

Duncan poczuł się podwójnie zaskoczony: po pierwsze, że policja przesłuchiwała Dwayne'a w związku z morderstwem, po drugie, że stało się to niedawno. Gliniarze najwyraźniej robili coś, o czym Duncan nie wiedział.

– Policja rozmawiała z pani synem o zastrzeleniu Fowlera? – zapytał z ostrożnością, chcąc się upewnić, że nie ma tu mowy o nieporozumieniu, i usiłując nie spłoszyć Betty.

– Nie znam tego latynoskiego chłopca – odpowiedziała Betty – ale chcę, żeby mój syn wystąpił w sądzie i skłamał, że go widział. Kilka dni temu zabrali Dwayne'a, mówiąc, że uchronią nas przed wyrzuceniem na bruk, jeśli zezna, że widział, jak ten drugi chłopak ucieka po oddaniu strzałów do ochroniarza.

– Przepraszam panią, ale nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem – odparł Duncan. – Czy policja usiłowała nakłonić pani syna do wystąpienia w roli świadka zeznającego na niekorzyść Rafaela?

– Przecież właśnie to panu powiedziałam – odrzekła zniecierpliwiona Betty.

Duncan starał się jak najszybciej pojąć konsekwencje tego, co usłyszał.

– Czego policja oczekiwała od pani syna: co miał powiedzieć? Że co widział?

– Że widział latynoskiego chłopaka, który uciekł po tym, jak zastrzelił tamtego człowieka.

Duncan wziął głęboki oddech.

– Czy Dwayne jest w domu? – zapytał.

– Zamieszanie w jakieś morderstwo jest ostatnią rzeczą, której potrzebuje mój chłopiec.

– Rozumiem to – odparł Duncan. – Ale mój klient to także młody chłopak, który mieszka w Jacob Riis i co gorsza, może spędzić w więzieniu resztę życia z powodu czegoś, czego nie zrobił. Muszę porozmawiać z pani synem.

Betty w końcu złagodniała i powiedziała, że Dwayne'a nie ma wprawdzie w domu, lecz spróbuje przekonać syna, by zaczekał na Duncana, jeśli ten zajrzy do nich wieczorem. Było około dwudziestej, kiedy Duncan wsiadł do taksówki i wyruszył w kierunku Jacob Riis. Zapadał już zmrok i, wbrew sobie, Duncan poczuł się nieswojo, zbliżając się do osiedla. Przyzwyczał się do takich miejsc, gdyż były one wplecione w tkanę miasta, lecz tak naprawdę przyzwyczajenie to oznaczało jedynie, że nauczył

się owe miejsca ignorować. Bowiem tajemnicą udanego życia w Nowym Jorku była umiejętność dostosowania się do przygnębiających aspektów tego miasta.

Idąc w stronę osiedla i szukając bloku, w którym mieszkali Stevensonowie, Duncan poczuł instynktowny opór. Nie miał wątpliwości, że każdy, kto na niego spojrzał, traktował go jako obcego. Pochwycił kilka twardych spojrzeń ludzi cisnących się na ławkach ustawionych wzdłuż osiedlowych drózek, lecz nikt nie odezwał się do niego ani słowem.

Za kuloodporną szybą w przedsionku bloku siedział mocno znudzony ochroniarz, który poprosił Duncana o dowód tożsamości, a następnie zadzwonił do mieszkania Stevensonów. Gdy tylko Duncan wszedł do środka, stało się jasne, że Dwayne nie ma ochoty na jakąkolwiek rozmowę. Chłopak siedział sztywno na wystrzępionej kanapie, sprawiając wrażenie sztubaka umieszczonego w szkolnej kozie.

Duncan zajął miejsce naprzeciwko Dwayne'a, Betty zaś stanęła w głębi pokoju. Nie wyszła, choć nie zamierzała włączać się do rozmowy. Mieszkanie Stevensonów miało podobną powierzchnię i było w podobnym stanie, co mieszkanie Nazariów, lecz brakowało mu dekoracyjności, która rozjaśniała nieco dom klientów Duncana. Dwayne był przysadzisty i wyglądał na twardziela. Duncan poczułby się niepewnie, gdyby ich drogi skrzyżowały się na ulicy. Przedstawił się i zaczął wyjaśniać Dwayne'owi powód swej wizyty, lecz chłopak patrzył nieobecny wzrokiem i zdawał się go nie słuchać.

– Prywatni ochroniarze aranżują zatrzymania pod fałszywym zarzutem posiadania narkotyków – powiedział Duncan. – Ludzie, którzy zostaną przez to wyrzuceni z osiedla, nie będą mogli na nie wrócić, gdy zostanie przebudowane. Czy ochroniarze mieli coś wspólnego z twoim aresztowaniem?

Dwayne pokręcił głową.

– Zabrała mnie policja mieszkaniowa – powiedział. – Nie wiem, o co, do cholery, biega z tymi ochroniarzami.

– Znasz Rafaela Nazario?

– Wiem, co to za jeden. Pomaga mu pan w sprawie o morderstwo, prawda?

– Zgadza się – odpowiedział Duncan. – Twoja matka powiedziała mi, że policja próbuje nakłonić cię do złożenia zeznań obciążających Rafaela.

– Chcą, żebym powiedział, że widziałem, jak ucieka z miejsca, w którym zastrzelono tamtego gościa – wyjaśnił Dwayne. – Zwinęli mnie tamtego

wieczora. Powiedziałem im, że widziałem tylko biegnącego człowieka w mundurze, ale to im nie pasowało. Kilka dni temu znowu przyjechali. Zabrali mnie i powiedzieli, że jak nakłamię, to nam pomogą i nie wylecimy na bruk.

– A dokładniej: co miałeś zmyślić? – zapytał Duncan.

– Ja i mój kumpel Lamar siedzieliśmy na ławce pod blokiem – odpowiedział Dwayne. – Wtedy nadbiegli tamci gliniarze i zaczęli nas wypytywać, czy nie zauważyliśmy, jak ktoś koło nas przebiegł. Powiedzieliśmy, że nie widzieliśmy nic takiego. Zabrali nas, trzymali całą noc i chcieli nam wmówić, że widzieliśmy Rafaela. Powiedziałem im, że nie jestem kapusiem, a poza tym tamtego wieczora naprawdę go nie widziałem.

– I na pewno rozpoznałbyś Rafaela, gdyby przebiegł obok ciebie?

Dwayne najwyraźniej uznał to pytanie za głupie.

– Nie jestem ślepy – oświadczył.

– Jasne – odparł Duncan, wstając.

Pomyślał, że dowiedział się wystarczająco dużo, przynajmniej na razie.

– Dziękuję, że zechciałeś ze mną porozmawiać – powiedział. – Bardzo mi pomogłeś.

Dwayne nie wyglądał na uszczęśliwionego tą uwagą.

– Ale przecież niczego nie widziałem – rzekł.

– I właśnie o to chodzi – powiedział Duncan.

Candace potrafiła określić, kiedy po raz pierwszy poczuła, że ktoś ją śledzi. Ta świadomość zakradała się do jej umysłu powoli, opanowując najpierw dalekie peryferie jej świadomości. Jako kobieta mieszkająca w wielkim mieście zdawała też sobie sprawę z rzucanych na nią spojrzeń, a chodząc ulicami, czuła wzrok wielu mężczyzn. Początkowo nie rozgraniczała owych odczuć, lecz z biegiem czasu zaczęła je rozpoznawać. I choć nie umiała jeszcze dokładnie powiedzieć, o co chodzi, nauczyła się rozpoznawać podążając za nią krok w krok osobę. Uczucie bycia śledzoną nie przemijało. Narastało wręcz, a Candace szybko przestała wątpić, iż ma ono realne podstawy.

Chciała z kimś o tym porozmawiać, lecz nikt nie wydał jej się odpowiednim rozmówcą. Jej rodzice pewnie by się przestraszyli i kazali zadzwonić na policję. Gdyby opowiedziała o wszystkim redakcyjnym kolegom, zapewne poczuliby się zobowiązani do zwołania zebrania, a może nawet wciągnęliby do współpracy prawników. Rzecz jasna, jeśli by jej uwierzyli – w przeciwnym razie zapewne skończyłoby się na żartach. Candace postanowiła jednak, że jak tylko dowie się czegoś konkretnego, opowie o tym Nugentowi.

Zaczęła wychodzić z telefonem komórkowym gotowym do zrobienia zdjęcia – na wypadek gdyby kogoś rozpoznała. Po dwóch dniach bezskutecznych starań poczuła się głupio i dała sobie z tym spokój. Wiedziała, że być może zaczęła popadać w obłąd i ma wrażenie, że zawiązano przeciwko niej jakiś spisek. Nigdy wcześniej uczucie zagrożenia nie było równie mocne, jak teraz. A jeśli działa się to naprawdę, to nie miała najmniejszych wątpliwości, kto za tym stoi.

Uzyskawszy separację z mężem, Candace wynajmowała jednopokojowe mieszkanie w pobliżu Smith Street w Boerum Hill. Kiedy tamtego wieczoru weszła do swego lokum, natychmiast poczuła, że coś się stało. Zauważyła najpierw, że pod drzwiami nie czekał na nią jej kot, witający ją zwykle, gdy wracała do domu.

Ktoś tu był. Przekonała się o tym, gdy tylko zaczęła się rozglądać: w mieszkaniu panował bałagan, po podłodze walały się książki, a ekran telewizora był roztrzaskany.

W pierwszym odruchu Candace chciała opuścić to miejsce. Stała w otwartych drzwiach jak słup soli, wyteżając słuch, by się przekonać, czy

nieproszony gość już sobie poszedł. Po chwili z sypialni wymaszerował jej kot. Lazlo bał się obcych i nie wyszedłby spod łóżka, gdyby włamywacz przebywał jeszcze w mieszkaniu. Candace nie miała już wątpliwości, że jest sama, lecz mimo to, idąc do sypialni, zabrała najpierw z kuchni największy nóż. Sypialnia przedstawiała równie opłakany widok: ktoś powyciągał szuflady komody, porozrzucił ubrania i wywrócił materac na łóżku. Serce Candace waliło jak młot, a nóż w jej dłoni drżał niczym wibrujący kamerton.

Candace zadzwoniła pod 911 i zgłosiła włamanie. Miała rozedrgane nerwy: najpierw kradzież torebki, a teraz to. Życie w Nowym Jorku bywało ciężkie, lecz dwa takie incydenty jednego lata to chyba zbyt wiele. Czyżby ktoś chciał jej w ten sposób coś przekazać?

Candace odsunęła od siebie tę myśl i postanowiła sprawdzić przed przybyciem policji, czego brakuje. Włamywacz opróżnił kasetkę z biżuterią, choć ta, z nielicznymi wyjątkami, nie miała większej wartości. Zniknął też iPad i ledwie napoczęty flakon perfum od Very Wang. Candace, tknięta nagłym przeczuciem, wróciła pospiesznie do salonu, by skontrolować go ponownie.

Nie myliła się: zniknął jej laptop. Gdy tylko zdała sobie z tego sprawę, brak pozostałych przedmiotów wydał jej się błahostką. Od czasu do czasu przesyłała notatki, a nawet brudnopisy artykułów do redakcyjnego komputera, lecz jej domowy laptop był jak drugi mózg. Był nawet czymś więcej – pełnił rolę okna, przez które można było przyjrzeć się wszystkiemu, nad czym pracowała, i śledzić jej postępy w pracy.

Laptop był najcenniejszą rzeczą skradzioną z mieszkania Candace, a wartość, jaką dla niej przedstawiał, była nieporównywalnie wyższa od kosztu jego zakupu. Candace natychmiast zadała sobie pytanie, czy to nie on był powodem wizyty złodziei.

Dość szybko w jej mieszkaniu pojawili się dwaj umundurowani policjanci. Candace wyliczyła wszystko, co znikło, i podkreśliła, że laptop był dla niej najważniejszą ze skradzionych rzeczy. Oparła się jednak pokusie powiedzenia, iż – jej zdaniem – za włamaniem stoi Simon Roth.

Spakowała walizkę i zamówiła taksówkę. Pojechała na Manhattan, do mieszkania Brocka Andersa, u którego zamierzała zamieszkać na jakiś czas. Zaplanowała, że zadzwoni do ślusarza i zleci mu wymianę zamków w drzwiach, a może nawet wyposaży swe mieszkanie w instalację alarmową; nie była jednak pewna, czy dzięki temu poczuje się choćby odrobinę bezpieczniej. Brock oświadczył, że będzie mogła zostać u niego tak

długo, jak tylko zechce. Uparł się też, żeby skorzystała z jego wielkiego łóżka; Candace, choć podeszła niechętnie do tej propozycji, doznała jednak pewnej ulgi, wiedząc, że nie będzie sama w pokoju.

Gdy pojawiła się rano w redakcji, poszła prosto do Nugenta i zrelacjonowała mu wydarzenia z poprzedniego dnia. Redaktor wyglądał na zatroskanego, mimo że nie do końca rozumiał, dlaczego Candace postanowiła opowiedzieć o wszystkim właśnie jemu.

– Chcesz wziąć dziś wolne, żeby się tym zająć? – zapytał.

Candace niecierpliwie pokręciła głową.

– Martwię się, czy nie zrujnuje to mojego artykułu – odpowiedziała.

– Włamanie?

– Zniknął mój laptop – wyjaśniła Candace. – Razem z różnymi materiałami, w tym z zapisami rozmów i innymi ważnymi informacjami.

– Nie sugerujesz chyba, że ktoś zaplanował to włamanie w związku z twoimi artykułami? – zapytał Nugent.

– Mówię, że biorę pod uwagę taką możliwość – odpowiedziała Candace.

– Uważasz, że to przesada?

– Zapisalaś w notatkach nazwiska swoich źródeł?

– Nie ma w nich pełnych nazwisk, ale czasami są inicjały. Ktoś, kto jest obeznany z tematem, prawdopodobnie mógłby je rozszyfrować.

– Powinnaś być bardziej ostrożna – stwierdził Nugent.

Candace z trudem poskromiła nagłą chęć podniesienia się z krzesła i ciśnięcia nim w głowę swojego szefa.

– Bill, nie zostawiłam tego pieprzonego laptopa na tylnym siedzeniu taksówki – warknęła. – Ktoś go zabrał z mojego mieszkania.

Bill uniósł rękę w geście przeprosin.

– Co powiedziała policja? – zapytał.

– Zapisali, co mi skradziono, i powiedzieli, że nigdy nic nie wiadomo i że czasami udaje się znaleźć skradzione rzeczy. Ale niespecjalnie przykładali się do swojej roboty.

Nugent skinął głową. Wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytał w końcu.

– Nie wiem, jak na ciebie patrzę, ale czy nie sądzisz, że to trochę dziwne? – odparła Candace. – Ktoś włamuje się do mojego mieszkania i kradnie mój laptop akurat wtedy, kiedy grzebię w sprawie Rotha. Już raz ten ktoś pokazał mi, jak ostro lubi grać.

Nugent zadarł głowę, nie usiłując nawet ukryć powątpiewania.

– Czy myślisz, że to Simon Roth włamał się do twojego mieszkania? –

zapytał.

– Nie osobiście.

– Czy w takim razie powinienem cię w ogóle pytać o jakikolwiek dowód na potwierdzenie jego związku z tym włamaniem?

Candace zmusiła się do zachowania spokoju. Pomyślała, że Nugent traktuje ją szalenie protekcyjnie, i zastanowiła się, czy zachowałby się tak samo, gdyby była mężczyzną. Nugent oczywiście nie wiedział, że jest przekonana, iż ktoś ją śledzi, lecz na razie nie zamierzała mu o tym mówić.

– Posłuchaj – powiedziała. – Doskonale rozumiem, że dochodzi do różnych włamań i zdarzają się zbiegi okoliczności. Uważam jednak, że być może nie doceniłeś znaczenia tego, z czym mamy do czynienia w sprawie Rotha. Nie mam pewności, że to właśnie on za tym stoi, ale nie sądzę, że popadam w paranoję.

Nugent wciąż spoglądał na Candace wzrokiem, który jej się nie podobał.

– Wiesz, nad czym się teraz zastanawiam? – zapytał. – Zastanawiam się, czy nie zajmujesz się tą sprawą zbyt długo.

Candace zrezygnowała z dalszej rozmowy z szefem i wróciła do swojego biurka. Była jednak zbyt rozzłoszczona, by móc myśleć o czymkolwiek innym. Po minucie wpadła na pewien pomysł i sięgnęła po telefon.

Słuchawkę telefonu w barakowozie Tommy'ego Nelsona podniosła jakaś opryskliwa kobieta, która poinformowała Candace, że Nelson nie jest już zatrudniony przy budowie Aurora Tower. Zapytana, w jaki sposób można się z nim skontaktować, stwierdziła tylko, że wybrał się na zwolnienie lekarskie.

Candace zaczęła się zastanawiać, czy Roth nie dotarł w jakiś sposób do Nelsona. I pomyślała: Jezu Chryste, a może Nugent miał rację i zaczynam popadać w obłąd?

Zanim La Sombra założył nasze stowarzyszenie, był już poważnie zaangażowany w walkę o wyzwolenie naszego narodu – powiedział Armando Medina.

Siedzieli przy stole w kącie stołówki: Armando, Rafael oraz trzech innych Portorykańczyków.

– Z tego powodu wsadzono go do *cárcel* w jego własnym kraju – ciągnął Armando. – A kiedy La Sombra przebywał za kratami, zdał sobie sprawę, że obowiązują za nimi te same prawa, co na zewnątrz, tyle tylko że w *cárcel* nikt tego nie ukrywa. Oto jedyna korzyść z przebywania tu, *hermanos*: widzicie wyraźnie, co wasz kraj o was myśli. Bo wszyscy wiemy, że jest tu niewiele inaczej niż na ulicy. Że chcą nas przetrzymywać w klatkach, bić, kiedy tylko im się spodoba, i trzymać z dala od wszystkich dobrych rzeczy, które chcą mieć tylko dla siebie. La Sombra zrozumiał, że jeden człowiek nie jest w stanie wystąpić przeciw niesprawiedliwości. Założył w El Oso Blanco nasze stowarzyszenie, którego zadaniem jest wspieranie braci i bronienie ich przed przemocą w więzieniu. La Sombra został zamordowany w El Oso Blanco, lecz organizacja rosła i stała się silniejsza. W *Nueva York* jest nas teraz więcej niż w naszej ojczyźnie, są nas tu setki. Strażnicy i *policía* nazywają nas gangiem. Gdybyśmy byli bogatymi białymi, nazwaliby nas partią polityczną, *hermanos*, ale jesteśmy biedni i mamy ciemną skórę, więc mówią na nas gang. Nie jesteśmy gangiem. Sto pięćdziesiąt procent *corazón* – oto, co mamy. Serce, moi bracia. Serce. Nie każde zamknięte oko śpi. Nie każde otwarte oko widzi.

Rafael zrozumiał, że Armando poczęstował go dobrze wyuczonym chwytem marketingowym, i przyjrzał się innym młodym ludziom, którzy słuchali tej gadki. Zdumiał go ich zachwyt: wszyscy sprawiali wrażenie gorliwych uczniów chcących przypodobać się swemu ulubionemu nauczycielowi. Rafael pojął ten głód: był to głód ochrony, głód władzy, głód czynienia czegokolwiek w przytłaczającej więziennej monotonii i harówce.

Kilka dni wcześniej Armando zagadnął Rafaela, który właśnie wrócił z oddziału o zaostrzonym rygorze. Usiadł naprzeciwko chłopaka, podobnie jak za poprzednim razem.

– Luis powiedział mi, dlaczego trafiłeś na hałdę – powiedział. – Z powodu majchra.

– Nie był mój – odparł Rafael.

– Wiem, że nie był. Powiedziałem Luisowi, żeby nigdy więcej nie pakował cię w takie kłopoty. Wiem też, że mogłeś coś powiedzieć temu dupkowi Wardowi, kiedy urządzili cały ten najazd. Ale trzymałeś gębę na kłódkę, odsiedziałeś trzydzieści dni i nie narobiłeś nikomu kłopotów. Wzięłeś wszystko na siebie jak prawdziwy mężczyzna.

Rafael nie odpowiedział. Popatrzył tylko na Armanda.

– Wróciłeś do pracy w pralni i kompletujesz wyprawki, zgadza się?

Rafael skinął głową.

– Chcę pracować w kuchni, ale mi nie pozwalają – odpowiedział.

– Pichcicie sandwicze spod żelazka? – zapytał Armando. – To głównie smakuje lepiej niż cokolwiek, co wychodzi z kuchni.

Rafael uśmiechnął się. Przyrządzanie sandwiczów z serem umieszczanych w torebkach z szarego papieru i przygrzewanych żelazkiem do prasowania było jedną z podstawowych specjalności na Rikers Island. Armando miał rację: sandwicze spod żelazka faktycznie smakowały o niebo lepiej niż większość więziennych posiłków.

– Tak, robimy te sandwicze – odpowiedział Rafael. – To zawsze coś.

– Pralnia jest tu jak poczta – rzekł Armando. – Można w niej załatwić różne sprawy. Pokazałeś już, że jesteś twardy, i nie zakapowałeś Luisa z powodu majchra. Chętnie posłucham, co możemy dla ciebie zrobić, *hermano*.

Rafael zdziwił się nieco, że Armando zwrócił się do niego kolejny raz, mimo iż poprzednio chłopak okazał mu swą niechęć. Pierwszy raz był jednak, zanim Rafael natknął się na zastępcę naczelnika więzienia i został posądzony o coś, czego nie zrobił.

Armando odezwał się do Rafaela, przerywając jego sen na jawie.

– Co z tobą? – zapytał. – Rozumiesz chyba, że wszyscy jesteśmy owocami z jednego drzewa?

Rafael zawahał się, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Jestem dumny, że jestem Portorykańczykiem – odparł w końcu.

– Tu już coś, chociaż jeszcze nie wszystko – powiedział Armando. – Palisz, *hermano*?

– Fajki?

Armando się roześmiał i przemówił do pozostałych:

– Coś pali, ale nie papierosy. Mamy i to. Organizacja dba o organizację. Mówię tak, bo organizacja to my, jej członkowie, a my to organizacja.

Armando wykonał szybki gest: uniósł rękę, ukazując wnętrze dłoni i krzyżując palec wskazujący ze środkowym w taki sposób, że ten drugi leżał

na pierwszym. Więziennych strażników szkolono tak, by wypatrywali znaków pokazywanych przez członków gangów, a każdemu, kogo przyłapano na wykonywaniu określonych gestów, groził pobyt w izolatce.

– Jak możemy wstąpić do armii? – zapytał młody człowiek siedzący obok Rafaela.

– Musicie wykonać siedem kroków – odpowiedział Armando. – Niech każdy z was, który chce mieć braci na całe życie, przyjdzie do mnie później. Porozmawiamy o tym.

Gdy Rafael wstał od stolika, Armando znalazł się obok.

– Czy zobaczymy się później, *hermano*? – zapytał.

Rafael zrozumiał sens wygłoszonego przez Armanda wykładu o braterstwie. Wiedział też, do czego mogłoby doprowadzić go wstąpienie do gangu, po czym zadał sobie pytanie: czy ma inny wybór?

– Muszę się zastanowić – powiedział.

– Tu nie da się przetrwać bez braci – rzekł Armando i położył rękę na ramieniu Rafaela. – To ważne, by być częścią większej całości.

– Rozumiem – odparł Rafael.

Armando uśmiechnął się.

– Walcz, dziel się, idź naprzód i żyj w zgodzie – powiedział.

– Amen – skwitował Rafael.

Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – zapytała Lea.

Jeremy nie słuchał, w każdym razie niezbyt uważnie. Nawet w najlepszych chwilach zwracanie uwagi na to, co mówiła jego starsza siostra, nie było jego najmocniejszą stroną. Jeremy nie potrafił skupić się nawet przez krótką chwilę i było z tym coraz gorzej.

Wciąż nie mógł zrozumieć, co go skłoniło do podsunięcia Aleny Mattarowi. Zdał sobie sprawę z ogromu swego błędu, gdy tylko wrócił tamtego wieczoru do domu. Zadzwoił wtedy na komórkę Aleny, lecz nie odebrała telefonu. Wykończony, pojechał do jej mieszkania i wszedł do niego o trzeciej w nocy, obawiając się tego, co mógłby zobaczyć.

Lecz Aleny nie było w domu. Postanowił na nią zaczekać. W końcu zasnął, a gdy się obudził tuż przed dziesiątą rano, nic nie wskazywało na to, że się pojawiła. W pracy, strapiony i nieszczęśliwy, Jeremy zostawił parę wiadomości w poczcie głosowej Aleny, a po pracy ponownie pojechał do jej mieszkania.

Gdy przybył na miejsce, zauważył, że wszystkie rzeczy Aleny zniknęły. Meble zostały na swoim miejscu, lecz wnętrza zostały wysprzątane, jak przystało na pokazowy apartament. Na próżno szukał jakichkolwiek oznak obecności Aleny – czegoś, co mogłoby zaświadczyć, że w ogóle tu była.

Jeremy nie miał pojęcia, jak ją odszukać. Przed wprowadzeniem się do apartamentu Alena, dzieląca mieszkanie z parą współlokatorów, mieszkała gdzieś w Lower East Side, ale Jeremy nigdy jej tam nie odwiedził. Jediną przyjaciółką Aleny, którą poznał, była Ivy – lecz Jeremy nie znał nawet jej nazwiska, nie wiedział też, jak można się z nią skontaktować. Jedynym śladem Aleny był numer jej telefonu, w którym teraz od razu włączała się poczta głosowa.

Jeremy nie spodziewał się, że będzie aż tak bardzo tęsknił za Aleną. Od początku był przekonany, że ich związek ma charakter transakcji i przypomina nie tyle romans, co handel wymienny, w którym towarem jest seks. Przypisawszy Alenie taką motywację, usiłował się w niej nie zakochać. Nie miał zamiaru cierpieć. Być może właśnie dlatego zostawił ją z Mattarem: zrozumiał, że prędzej czy później jedno z nich odejdzie, a nie zamierzał stać się ofiarą. A jeśli zdrada Aleny nie była nieunikniona? Jeśli on i Alena mieli szansę na coś trwałego, a on to zniszczył? Jeśli motorem zachowania Jeremy'ego były paranoja i niewiara w jej czyste intencje? Ta

strata była jedynie niewielkim ułamkiem samosprawdzającej się przepowiedni, u której źródeł tkwił autodestruktywny charakter Jeremy'ego.

Od tamtego wieczoru Jeremy nie widział się też z Mattarem. Przypuszczał, że już nigdy na siebie nie trafią. Kilka dni później ich ojcowie spotkali się, żeby porozmawiać o interesach. Pod koniec rozmowy Al-Falasi oficjalnie oświadczyli, iż rezygnują z roli potencjalnych udziałowców w budowie Aurora Tower. Simon Roth nie zdradził szczegółów rozmowy, a Jeremy zrozumiał, że lepiej o nie nie pytać.

Jakiegokolwiek by więc były powody, dla których podsunął Alenę Mattarowi, zabieg ten nie przyniósł oczekiwanego skutku. Jeremy nie wiedział, do kogo jego ojciec zwróci się w sprawie kilkuset milionów dolarów, których potrzebowali, by móc kontynuować budowę.

– Jeremy? – odezwała się Lea podniesionym głosem, jak zawsze, kiedy się na niego złościła. – Powiedz, że nie jesteś na haju.

Wyrwany z zamyślenia Jeremy spojrzął na siostrę i przewrócił oczami. Zbliżało się południe, a oni znajdowali się w jej gabinecie.

– O czym ty mówisz? – zapytał poirytowany.

– Nie słuchasz mnie dla zasady? – zapytała Lea. – Pamiętaj, że to ty narobiłeś kłopotów.

Niezliczone następstwa wypadku na Aurora Tower były jeszcze jedną rzeczą, z którą Jeremy nie potrafił sobie poradzić. Zastanawiał się, czy nie wynikało to z zaniku jego instynktu samozachowawczego. Wiedział, że sytuacja wymknęła się spod kontroli i jest za późno, by mógł powiedzieć całą prawdę. Grzech tuszowania faktów stał się cięższy niż samo przestępstwo, które popełnił.

– Do dupy, że prokurator okręgowy zabrał się za Pellettieriego, ale nie sądzę, że możemy jeszcze cokolwiek z tym zrobić, a już na pewno nie teraz – powiedział.

– Pellettieri może cię pogrążyć – odparła Lea.

– Chcesz, żebym z nim porozmawiał?

– Zwariowałeś? Nie możecie się nawet pokazać razem – powiedziała Lea. – I tak jest już wkurzony.

Jeremy zerknął na siostrę, która wstała od biurka, odwróciła się do okna i spojrzała na Central Park.

– Co chcesz zrobić? – zapytał.

– Darryl uważa, że powinniśmy namówić go do ucieczki.

– Do ucieczki? Z kraju?

- Darryl mógłby to zorganizować. Jest zawodowcem.
- Czy nie zależy to od Pellettieriego?
- Niekoniecznie – odpowiedziała szorstko Lea.
- Co to znaczy?

Lea odwróciła się. Była zbyt zdenerwowana, by usiąść.

– Posłuchaj – zwróciła się do brata. – To nie przez nas Pellettieri znalazł się w obecnej sytuacji. Sam się o to prosił. To on doprowadził do śmierci tych ludzi.

Jeremy poczuł nagłe ukłucie żalu.

- Martwię się o ciebie, Lea – powiedział. – To zaszło za daleko.
- Uważasz, że powinnam była zostawić cię z tym wszystkim? – zapytała Lea. – Przecież nie dałbyś sobie rady.
- Jesteś moją siostrą, nie matką.
- Mama kazała mi o ciebie dbać – powiedziała Lea, nie zdążywszy ugryźć się w język.

W przeszłości udawało jej się przed tym powstrzymać.

Jeremy lekko się uśmiechnął.

- Aha – rzekł. – A niby kiedy ci to powiedziała?
- Tuż przed śmiercią – odparła cicho Lea, żalując, że o tym wspomniała.
- Mama powiedziała mi, że będziesz potrzebował mojej opieki.
- Wątpię, by to miała na myśli – odpowiedział Jeremy, nie kryjąc sarkazmu.

– To nie jest zabawa – powiedziała Lea. – Cały ten bałagan jest efektem twojej chciwości.

– Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

– Myślisz, że to ma jakiegokolwiek znaczenie? – zapytała Lea, patrząc na brata i czując narastający niej gniew. – Nikogo nie obchodzi, czego chciałeś. Ważne jest to, co się stało.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał ze złością Jeremy. – Przepraszam? Jest mi naprawdę kurewsko przykro, okej? Zwróciłem się do ciebie w sprawie Fowlera tylko dlatego, że nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić. Chodziło mi tylko o radę. Nie wiedziałem, że powołasz do życia pierdolony szwadron śmierci.

– O, nie – powiedziała Lea, cedząc słowa. – Nie zwalaj wszystkiego na mnie.

– Dobra – odparł rozgniewany Jeremy. – Skończyliśmy już?

Lea wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić.

– Nie możemy się teraz kłócić, Jeremy – rzekła. – Nikomu nie wyjdzie to

na dobre. Wszystko poza tym w porządku?

Zdezorientowany Jeremy spojrział na siostrę.

– O co ci chodzi?

– Ostatnio mam wrażenie, że jesteś w kiepskiej formie.

– Od wypadku na Aurorze wszystko się pierdoli.

– Tak? – zapytała Lea. – Zdaje się, że sprawy zaczęły się sypać znacznie wcześniej?

Tym razem to Jeremy spiorunował siostrę wzrokiem.

– Co to ma znaczyć? – zapytał.

Lea zawahała się i postanowiła przemilczeć to, co pomyślała: że nic, co robił Jeremy, nie trzymało się kupy, zwłaszcza odkąd zmarła ich matka. Ojciec nie powinien był powierzyć Jeremy'emu zarządzania budową Aurora Tower. Był to błąd, którego Simon nigdy by nie popełnił, gdyby nie chodziło o jego syna.

– Nic takiego – odpowiedziała Lea. – Chodziło mi tylko o to, że odnoszę wrażenie, jakbyśmy zajmowali się tym nie wiadomo jak długo. Masz rację: jak się wali, to wszystko naraz, a za każdym razem, gdy usiłujemy coś kontrolować, wszystko się komplikuje.

– Myślisz, że ojciec coś podejrzewa? – zapytał Jeremy.

– Nie sądzę, by w ogóle był w stanie sobie wyobrazić, że w jego firmie dzieje się cokolwiek, o czym nie wie. A już z pewnością nic tak niedorzecznego.

– Zabiłby nas, gdyby się dowiedział – powiedział Jeremy. – I to dosłownie, nie sądzisz?

– To mogłoby raczej zabić jego – rzekła Lea. – Lepiej nie sprawdzać.

– A jak to ty znosisz? – zaczął wypytywać siostrę Jeremy.

– Daję sobie radę.

– Pieprzysz się z tym prawnikiem, co?

Lea była zaskoczona, nie tyle samym pytaniem, ile sposobem, w jaki zadał je Jeremy.

– Nie mów do mnie w ten sposób – powiedziała.

– Pieprzysz się?

– To nie twoja sprawa – odparła Lea. – Ja nigdy cię nie pytam o twoje nędzne dziewczuchy.

– Ten prawnik dużo wie – powiedział Jeremy. – Dlaczego cię to nie martwi?

– Bo on należy do naszego zespołu. To, co wie, jest poufne. Rozumie też, że lepiej nie myśleć za dużo. Nasi prawnicy wiedzą o naszych grzechach.

W każdym razie o większości z nich.

Po rozmowie z Dwayne'em Stevensonem Duncan musiał niezwłocznie złożyć wniosek o udostępnienie mu przez prokuratora okręgowego wszystkich policyjnych notatek dotyczących rzekomego świadka zabójstwa Fowlera. Poprosił także o nałożenie służbowych sankcji w związku z pominięciem zasady Brady'ego, która wymusza przekazanie obronie wszystkich materiałów przemawiających za niewinnością jej klienta. Zapisawszy plik, przesłał jego kopię Candace.

Od mniej więcej tygodnia nieregularnie wymieniali się mailami. Duncan wysyłał wiadomości ze swojego prywatnego konta w Gmailu. Pierwsza, którą otrzymała od niego Candace, dotyczyła spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Duncan zbył wtedy reporterkę, informując ją grzecznie, że jego kancelaria powstrzyma się od jakichkolwiek komentarzy. Candace męczyła go dalej, czyniąc to jednak w dość zartobliwy sposób. Duncan był prawie pewien, że delikatnie ze sobą flirtują, co wydawało się dziwne, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Niełatwy rozejm, który zawarli, był jednak faktem, a znajomość z przedstawicielką prasy mogła okazać się bardzo przydatna, szczególnie w sprawie Nazario.

Kilka dni po złożeniu wniosku zaskoczony Duncan odebrał telefon od zastępcy sędziego Lasky'ego i dowiedział się, że sędzia życzy sobie spotkania z nim oraz z oskarżycielem w swym biurze pod koniec tygodnia. Duncan uznał to za dobrą wiadomość, uważając, że sędzia zechce dojść do porozumienia w sprawie wniosku poza salą sądową. Lasky już wcześniej oświadczył, że nie zamierza zawracać głowy prokuratorowi okręgowemu.

Gdy w piątkowe popołudnie Duncan wszedł do biura sędziego, zauważył zastępczynię prokuratora okręgowego. Castelluccio czekała już na spotkanie, siedząc w sekretariacie. Pozdrowił ją, lecz jedyną odpowiedzią prokurator było krótkie spojrzenie. Duncan wiedział, że jego prośba o nałożenie sankcji nie poprawi ich stosunków, ale mimo to uznał zachowanie Castelluccio za dziecinadę.

Po dziesięciu minutach siedzenia w milczeniu Duncan i jego adwersarka zostali zaproszeni do gabinetu sędziego. Tym razem Lasky ubrał się bardziej formalnie: włożył białą garniturową koszulę i zawiązał krawat. Jego sędziowska toga wisiała przy drzwiach. Siedząc za biurkiem, na którym leżała rozłożona gazeta, sędzia Lasky zerknął znad okularów na wchodzących. Poprosił gestem, by zajęli miejsca, sięgnął po gazetę i zaczął

głośno czytać:

– „Po przesłuchaniu Rafaela Nazario jego adwokat Duncan Riley oświadczył, iż oczekuje, że biuro prokuratora okręgowego pominię Logana jako świadka. Duncan Riley przewiduje też, że bierze pod uwagę możliwość przeprowadzenia kontroli innych spraw, w których wykorzystano przedstawione przez Logana dowody w postaci wyników badań pozostałości po wystrzałach”. Czy tak pan powiedział, panie Riley? – zapytał Lasky.

Duncan wiedział, że taki wstęp nie zapowiada niczego dobrego.

– Nie pamiętam, jakich dokładnie słów użyłem, ale to prawda, powiedziałem coś podobnego – odpowiedział.

– Mogę jedynie przypuszczać, że uczynił pan to, ponieważ chciał pan przysporzyć nam problemów – rzekł sędzia Lasky, mówiąc coraz ostrzejszym tonem.

– Nie chciałem niczego przysparzać – zaprotestował Duncan. – Przed salą rozpraw zaczął mnie reporter. Usiłowałem tylko dać mu do zrozumienia, że nie sądzę, by prokurator okręgowy uwzględnił dowód w postaci wyników badania pozostałości po wystrzałach.

– Na podstawie tego artykułu wnoszę, że to nie wszystko, co pan powiedział – oświadczył Lasky. – Czy usiłował pan nakłonić reportera do przyjrzenia się innym sprawom, w których występował Logan?

– Nie – odpowiedział Duncan. – Ale jeśli skazano niewinnych ludzi...

– Posłuchaj, dziecko – przerwał mu sędzia Lasky. – Nie wiem, jak się pracuje w twojej szacownej kancelarii i jak wygląda sądenie się o miliardy w sądzie federalnym, ale pozwól, bym ci uświadomił, gdzie się znajdujesz. Masz do czynienia z systemem karnym miasta Nowy Jork i zapewniam cię, że zjadłem zęby na poznawaniu zasad jego funkcjonowania. Wiem o nim o wiele więcej, niż ty jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Duncan nie znosił, gdy ktoś, nawet sędzia, traktował go w sposób tak protekcyjny. Zarazem zdawał sobie sprawę, że dalsze wkurzanie Lasky'ego nie leży w interesie jego klienta.

– Tak, wysoki sądzie – powiedział.

– System ten znajduje się w bardzo delikatnej równowadze – kontynuował Lasky. – Rozpatrujemy tysiące spraw rocznie i codziennie spada na nas nowa sterta gówna. A my musimy utrzymywać całą tę maszynę w ruchu, bo inaczej wszystko się zawali. Czy rozumiesz, o czym mówię?

– Tak.

– Więc nie popisuj się przed mediami i nie próbuj robić ze zwycięstwa swojego klienta widowiska dla całej ludzkości – powiedział sędzia Lasky. – Nakładam zakaz udzielania wypowiedzi: od tej chwili ani panu, ani komukolwiek innemu związanemu z tą sprawą nie wolno rozmawiać o niej z prasą. Czy to jasne?

– Jak słońce – odpowiedział Duncan.

Nie spodobał mu się zakaz, lecz sędzia miał prawo go nałożyć i najwyraźniej nie zamierzał wdawać się w dyskusję.

– Co wiadomo w sprawie Logana? – zapytał Lasky, zwracając się do wiceprokurator Castelluccio.

– Pan Costello z „New York Journal” interesuje się innymi sprawami z udziałem pana Logana jako biegłego – odpowiedziała, ignorując zupełnie Duncana i mówiąc tylko do sędziego. – Zadzwoił w związku z tym do naszego biura, a także, o ile wiem, dotarł do kilku obrońców.

– Wygląda zatem na to, że mleko się wylało – stwierdził sędzia Lasky. – Nie zamierzałem rozpatrywać zamkniętych już spraw, ale nic na to nie poradzę. Jaka będzie reakcja pani biura?

– Trudno powiedzieć – rzekła Castelluccio. – Sądzę jednak, że poważnie bierze się pod uwagę możliwość zrewidowania innych ekspertyz pana Logana związanych z badaniami pozostałości po wystrzałach.

Sędzia pokręcił głową.

– Gratuluję, panie Riley – powiedział pogardliwym tonem. – Przy odrobinie szczęścia i dzięki pańskiemu wścibstwu niektórzy z brutalnych morderców doczekają się ponownego procesu. A jakież to dyrdymały przygotował pan na dziś?

Sędzia rozgniewał się nie na żarty, lecz Duncanowi nie pozostawało nic innego, jak tylko działać zgodnie z planem, choć mogło to spotkać się z jawną wrogością.

– Odkryłem właśnie istnienie świadka, który w chwili oddania strzałów przebywał między miejscem zbrodni a miejscem zamieszkania mojego klienta. Wbrew temu, co oświadczył pan Driscoll, ów młody człowiek nie widział mojego klienta uciekającego z miejsca zbrodni w kierunku domu. Nowy świadek został dwukrotnie przesłuchany przez policję: tuż po dokonaniu morderstwa oraz parę dni temu. Co więcej, oświadczył, że podczas drugiego przesłuchania policja zaproponowała mu pomoc w rozwiązaniu jego problemów z prawem w zamian za złożenie zeznania obciążającego mojego klienta. Mimo to, i wbrew zasadzie Brady’ego, nie przekazano mi żadnych materiałów dotyczących tych przesłuchań.

Sędzia Lasky przyglądał się przez chwilę Duncanowi, a następnie zwrócił się do Castelluccio.

– Czy policja przesłuchiwała kogoś, kto zaprzeczył Driscollowi? – zapytał.

– Wysoki sędzie, podczas przeszukiwania terenu krótko po strzelaninie policjanci zauważyli dwóch znanych dilerów narkotyków, którzy odmówili, cytując: „kapowania”. Świadek, o którym mowa, nie powiedział, że nie widział oskarżonego, lecz raczej odmówił opowiedzenia o tym, co widział, przez co uznano, że jego zeznanie wcale nie przemawia na korzyść oskarżonego.

– Czy ma pani coś przeciwko przekazaniu obronie jakichkolwiek istniejących zapisów z przesłuchań, którym poddano świadka? – zapytał sędzia.

– Ale zapisy te właściwie nie należą do materiałów objętych zasadą Brady’ego...

– Zatem staną się one najlepszym dowodem, że pan Riley traci tylko czas – przerwał Lasky. – Lecz jeśli ma na to ochotę, to nie zamierzam go od tego powstrzymywać. Naradźmy się lepiej nad jego wnioskiem, dogadajmy się w sprawie przekazania mu materiałów i idźmy do domu.

– Obawiam się, wysoki sędzie, że wyraźnym zamiarem pana Riley’a jest zasugerowanie, że policja zaproponowała coś świadkowi za jego współpracę – powiedziała Castelluccio.

– Przypilnuję, by pan Riley przestrzegał w mojej sali rozpraw zasad logiki – oświadczył sędzia Lasky. – Przypilnuję też, by zachował swe wypowiedzi dla sądu i nie przekazywał ich treści prasie. To moje pierwsze, a zarazem ostatnie ostrzeżenie, panie Riley.

– Nie należę do tych, którym trzeba powtarzać dwa razy, wysoki sędzie – odparł Duncan.

Firma Pellettieri Concrete mieściła się nad East River, przy Verona Street, w przemysłowej części Red Hook. Jack Pellettieri siedział samotnie w swoim biurze, którego drzwi zamknął za sobą na klucz. Niedawno minęła dwudziesta druga, Jack zaś był zajęty wertowaniem ksiąg i przygotowywaniem swej firmy do bankructwa. Ledwie atrament, którym podpisano ugode w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci, zdążył wyschnąć, a już, na podstawie rozdziału 11, obmyślił plan, który należało wprowadzić w życie przed pojawieniem się powodów żądających swych pieniędzy. Na czele listy tych, którzy mieli ponosić koszty procesów Jacka, znajdowała się jego firma ubezpieczeniowa, lecz istniała pewna obawa, że odmówi ona zapłaty, skoro przyczyną wypadku na Aurora Tower stało się umyślne działanie na czyjąś szkodę.

Zanosilo się na długą i wyczerpującą walkę, lecz Pellettieri nie chciał nawet zastanawiać się, kto zostanie ostatecznym zwycięzcą w tej sprawie. Jego firma szła na dno i już nie można było temu zapobiec: po wypadku rozwój wydarzeń zaczął przypominać drogę skazańca prowadzonego na szafot. Jack Pellettieri przestał otrzymywać nowe zlecenia, a z chwilą zakończenia robót na Aurora Tower jego główną troską stała się strategia prowadzenia sporu sądowego z deweloperem i głównym wykonawcą. Firma Omni Construction nie dawała mu spokoju.

Pellettieri postanowił zatem zrobić rzecz ostateczną: zabrał się do porządkowania firmowych ksiąg. Nie było to zadanie, które mógłby powierzyć komuś innemu. Zanim jego firma złożyła wniosek o bankructwo, wyprzedał wszystkie aktywa. Zapisy w księgach Pellettieri Concrete miały bardzo luźny związek z jej rzeczywistymi operacjami. Cały sprzęt, z którego korzystała – od betoniarek i ciężarówek po najdrobniejsze wyposażenie – wypożyczały jej inne firmy, które także należały do Pellettieriego. Jack używał zatem sprzętu, który wynajmował samemu sobie za cenę znacznie przekraczającą stawki rynkowe, a tym samym dodatkowo zarabiał na każdym kontrakcie. Z technicznego punktu widzenia dopuszczał się w ten sposób oszustw, lecz tę metodę działania stosowało wielu innych przedsiębiorców. Pellettieri starał się zawsze sprowadzać wartość aktywów swej firmy do minimum i dopilnowywał, by jak największa ich część trafiała do innych firm, których był właścicielem.

Jack podejrzewał, że nie dane mu będzie cieszyć się tymi dobrami, a jeśli

już, to nieprędko. Znajdował się na celowniku Biura do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Wynajęty przez niego prawnik dał mu jasno do zrozumienia, że jego szanse na uniknięcie odsiadki są niemal zerowe. Pellettieri zaczął już nawet myśleć o ugodzie obrończej – wystąpienie w procesie w roli oskarżonego o nieumyślne spowodowanie śmierci byłoby dla niego zbyt ryzykowne.

Dziwił się, jak bardzo był z tym pogodzony. Lecz do wypadku doszło z jego winy: w końcu to on był zbyt chciwy i podjął niepotrzebne ryzyko. Ukrywanie dochodów przed skarbowką oraz faktury za fikcyjne roboty to jedno, ale narażenie na niebezpieczeństwo ludzi, którzy dla niego pracowali, to zupełnie inna sprawa. Droge, którą poszli, wytyczył oczywiście Jeremy Roth, lecz Pellettieri nie potrafił już obarczać go winą za to, co się stało. Jeremy był głupim bogatym dzieciakiem, który nigdy się nie usamodzielniał, a przecież nie można obwiniać dziecka za błędy popełnione przez mężczyznę. Pellettieri, wyrwany z zamyślenia przez niespodziewany szmer, podniósł wzrok znad dokumentów. Po chwili dostrzegł ciemną postać w otwartych drzwiach biura.

– Ślęczysz po nocach, stary? – powiedział Darryl Loomis, wchodząc do środka.

Pellettieri wstał zza biurka. Dawniej, gdy współnikiem Jacka był jego brat Dominic, w szufladzie leżał pistolet, ale tamte czasy dawno już minęły.

– Jak tu wszedłeś?

– Od tygodni mam klucz do tego pomieszczenia – odpowiedział Darryl.

– Żartujesz? – zapytał Pellettieri, wciąż stojąc.

– Nie obawiaj się, niczego nie ukradłem – odpowiedział Darryl, po czym spojrzał na swego rozmówcę. – Dlaczego wy wszyscy jesteście tacy nerwowi? Usiądź i wrzuc na luz.

– Szpiegowaliście mnie? – zapytał Pellettieri, niechętnie wracając na swoje miejsce.

Darryl, wciąż stojąc przed biurkiem Jacka, uśmiechnął się tylko półgębkiem, dając do zrozumienia, że jego cierpliwość się kończy.

– Oczywiście – odpowiedział. – Myślałem, że to dla ciebie oczywiste.

– Zrobiłem wszystko, o co poprosiliście – oświadczył Pellettieri.

Powiedział to, spoglądając w górę. Dlatego Darryl kazał mu usiąść.

– Nie narobiłem wam kłopotów – powiedział.

– Mimo to wpadliśmy w tarapaty, Jack – odparł Darryl. – Czy wiceprokurator Sullivan chciał się z tobą dogadać i zawrzeć umowę?

– Umowę?! Jaką umowę? – oburzył się Jack. – Przecież nawet mnie nie

aresztowano, więc jak mieliby mi cokolwiek zaproponować?

Pomyślał, że gdyby Darryl przyszedł tylko po to, by go zabić, z pewnością nie trwonilby czasu na rozmowę ani nie przyszedł w pojedynkę. Pellettieri nie miał jednak pewności, czy było tak w istocie.

– Nie ma lepszego sprawdzianu czyjegoś poczucia lojalności niż perspektywa długiej odsiadki – powiedział Darryl. – Widziałem, jak brat zwracał się przeciwko bratu.

– Zasłużyłem na trochę więcej szacunku, Darryl – odparł ze złością Pellettieri.

– Możesz tak myśleć – rzekł Darryl. – Istnieje jednak rozwiązanie dobre dla wszystkich. Uciekaj.

Pellettieri nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Mam pięćdziesiątkę na karku, żonę i dzieci – odparł.

– Twoje dzieci są już dorosłe – powiedział spokojnie Darryl. – A twoja żona raczej nie będzie zadowolona z odwiedzin w więzieniu.

– Jeśli ucieknę, ale mnie znajdą, to znajdę się w jeszcze gorszej sytuacji.

– Zafunduję ci bilet w jedną stronę do Meksyku – rzekł Darryl. – Zorganizuję to.

– A jeśli powiem nie?

Pytanie to nie wywarło na Darrylu najmniejszego wrażenia. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Nie okazał cienia emocji i wciąż spoglądał na Jacka obojętnym wzrokiem.

– Myślisz, że ktoś cię pyta o zdanie? – zapytał.

Przepraszam, że musiała pani czekać, pani Snow – powiedziała Lea, wyciągając rękę na powitanie.

Candace czekała blisko pół godziny. Nie była z tego zadowolona, czemu dała wyraz: zawahała się przez chwilę, zanim uścisnęła dłoń Lei.

– Dziękuję, że zgodziła się pani na spotkanie – rzekła. – Wiem, że rodzina Rothów nie należy do moich największych fanów.

Udając zakłopotanie, Lea gestem wskazała Candace drogę do swojego gabinetu.

– Nie sędzę, by moja rodzina zdążyła wyrobić sobie o pani jakąkolwiek opinię, pani Snow – powiedziała.

– Mów mi: Candace.

– Mów mi: pani Roth – odparła Lea.

Candace spojrzała na swą rozmówczynię i dopiero po sekundzie zdała sobie sprawę, że był to rodzaj żartu.

– To jeden ze starych żartów mojego ojca – wyjaśniła Lea. – Być może sprawdza się lepiej wśród mężczyzn.

– Być może – powiedziała Candace. – Mówiąc, że nie jesteście moimi fanami, nie miałam na myśli mojej pracy. Chodziło mi tylko o pozew o zniesławienie.

Weszły do biura Lei, z którego rozciągał się wspaniały widok na park. Candace zastanawiała się: zignorować ten fakt czy zdecydować się na komplement? Wziąwszy pod uwagę niezbyt fortunny początek rozmowy, postawiła na to drugie.

– Ojej, cóż za widok! – powiedziała.

– Dzięki – odparła Lea. – Domyślam się, że pracujesz w biurowym boksie.

– Tak, mam swoje stałe miejsce w pokoju redakcji informacyjnej – odpowiedziała spokojnie Candace, nie dając się sprowokować.

– Jestem pewna, że sprzyja to budowaniu zespołowego ducha pracy – powiedziała Lea.

– Pracuję głównie poza redakcją – odparła Candace. – Jak już wiesz, odkrywam afery korupcyjne i zajmuję się innymi sprawami tego rodzaju.

Lea lekko się uśmiechnęła, dając do zrozumienia, że zaznaczywszy wcześniej swe terytorium, zamierza wykonać następny krok.

– Zatem, jak rozumiem, interesowałaś się dotacjami na kampanię

wyborczą rzecznika Markowitza? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała Candace, sięgając do torby i wyjmując zadrukowaną kartkę. – Mam tu listę spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, które dokonały przelewów na jego konto. Zastanawiam się, czy możesz potwierdzić, że niektóre z tych firm należą do twojej rodziny.

Lea sięgnęła po listę, lecz nawet na nią nie zerknęła.

– Zarządzamy wieloma firmami przekazującymi finanse na cele polityczne – oświadczyła. – Niektóre z tych firm wsparły rzecznika Markowitza, który jak sądzimy, ma przed sobą świetlaną przyszłość w tym mieście, a może nie tylko. Z powodu ograniczeń dotyczących wysokości dotacji na cele polityczne każda z firm traktowana jest jako odrębna jednostka, niezależnie od tego, do kogo należy. Zatem to, że mamy udziały w różnych firmach dokonujących takich dotacji, nie jest niczym niezgodnym z prawem ani niczym niewłaściwym.

– Czy ograniczenia dotacji nie stanowią luki prawnej, która pozwala wam omijać ograniczenia? – zapytała Candace.

Lea nie podjęła wyzwania.

– Jak już powiedziałam, w świetle prawa każda z firm, o których mówimy, traktowana jest jako odrębna jednostka i można ją porównać do indywidualnej osoby – odpowiedziała. – Jeśli zatem duża rodzina może wnieść w udziale więcej niż mała, to tak samo może postąpić ktoś, kto jest właścicielem wielu firm.

– Czy firmy te prowadzą faktyczną działalność? – dopytywała Candace.

– O ile wiem, są tylko przykrywkami, a ich jedynym zadaniem jest przekazywanie darowizn na cele polityczne.

Lea traciła powoli cierpliwość.

– Nasi doradcy podatkowi obsługują różne jednostki korporacyjne – powiedziała. – Zapewniam cię, że wszystkie te firmy zostały zarejestrowane zgodnie z prawem stanowym i działają legalnie.

– Czy możesz więc potwierdzić, że wszystkie firmy wymienione na tej liście należą do twojej rodziny i są przez nią zarządzane? – zapytała Candace.

– Trudno mi sobie to teraz przypomnieć – odpowiedziała Lea. – Ktoś się z tobą skontaktuje w tej sprawie. Mogę jednak potwierdzić, że obsługujemy wiele spółek o ograniczonej odpowiedzialności, które dotują polityków. Chcę też podkreślić, że pan Markowitz nie jest jedynym politykiem wspieranym przez nas w podobny sposób. Jakikolwiek artykuł dotyczący

wyłącznie pana Markowitza i sugerujący, że działał on w złej wierze, mógłby nie tylko minąć się z prawdą, ale też stać się powodem wniesienia pozwu o zniesławienie.

Candace zaczęła rozumieć, dlaczego Lea chciała się z nią spotkać: chodziło jej o to, by Markowitz nie znalazł się w centrum zainteresowania.

– Czy mogłabyś udostępnić mi wykaz pozostałych firm, które przekazały fundusze na kampanię radnego Markowitza? – zapytała.

– Akurat nie mam jej na swoim biurku – odpowiedziała uszczypliwie Lea. – I naprawdę nie sądzę, że udostępnienie ci takiego wykazu jest naszym obowiązkiem.

Candace pomyślała, że wywieranie dalszego nacisku w tej sprawie to strata czasu.

– Jest jeszcze coś, o co chciałam zapytać – powiedziała. – Sean Fowler.

Lea wyglądała na zaskoczoną. Jednak Candace uznała to za pozę. Czyżby Lea spodziewała się, że Candace wspomni o Fowlerze?

– Co w związku z nim? – zapytała Lea.

– Wiesz, o kim mówię?

– O ochroniarzu, którego zamordowano, gdy dla nas pracował – odpowiedziała cierpko Lea. – Oczywiście, wiem, kim był.

– Pracował dla was także na Aurora Tower, prawda?

Lea zmieszana się po raz pierwszy podczas tej rozmowy.

– Co ma wspólnego śmierć pana Fowlera z Aurora Tower? – zapytała.

– Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz – odbiła piłeczkę Candace.

Lea roześmiała się, lecz jej śmiech zabrzmiał bardzo sztucznie.

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz – powiedziała.

– Sądzę, że pan Fowler był zamieszany w malwersacje związane z budową Aurora Tower – oznajmiła Candace. – A może się mylę?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła Lea. – Ten człowiek nie żyje, Candace. Mam nadzieję, że nie zszargasz jego imienia z powodu niepotwierdzonych plotek.

Candace postanowiła zmienić temat rozmowy. Nie miała podstaw, by przypuszczać, że Lea wiedziała, co kombinował Fowler. Zadała następne pytanie.

– Jak skomentujesz sprawę aktu oskarżenia przeciwko Jackowi Pellettieriemu?

– Wiem tylko tyle, ile przeczytałam w twojej gazecie – odpowiedziała Lea. – Zgodziłam się porozmawiać z tobą o naszych dotacjach na cele polityczne, Candace, lecz nie o wypadku na Aurora Tower.

– Pomińmy zatem sprawę wypadku. Co wiesz o machlojkach Pellettieriego?

– Jesteśmy świadomi możliwości pojawienia się problemów związanych z fakturowaniem – rzekła Lea. – Biorąc jednak pod uwagę, że jest ono przedmiotem dochodzenia, nie będę szerzej skomentować tej sprawy.

– Nie obawiasz się, że twój brat mógł być zamieszany w sprzeniewierzenia, których dopuścił się Pellettieri?

Lea spojrzała na Candace zimnym wzrokiem.

– Ani trochę – odpowiedziała szybko ostrym tonem.

– Słyszałam, że twój brat brał aktywny udział w zawyżaniu kosztów budowy, a także, że w proceder ten był zamieszany również Sean Fowler – powiedziała Candace. – Ale on oczywiście już nic nie powie, prawda?

– Jeśli napiszesz coś takiego, to cię pozwiemy – oświadczyła Lea. – Nie masz absolutnie żadnych podstaw, by tak twierdzić. Nie masz ani świadków, ani dokumentów. Nie masz niczego.

Przekonanie, z jakim to powiedziała, zdezorientowało Candace. Ale najbardziej interesujące było to, że reporterka miała całkowitą pewność, iż Lea przewidziała taki rozwój rozmowy.

– To, o czym mówię, nie jest moim wymysłem – powiedziała Candace. – Mam swoje źródła. Lecz skoro odmawiasz komentarza, to może twój brat zechciałby wypowiedzieć się w tej sprawie?

– Moim zdaniem nie masz żadnych źródeł – odparła Lea. – Tommy Nelson wyrwał się jak filip z konopi. Ma dziwne poczucie humoru.

Candace poczuła, że traci dotychczasowy dystans. Przypomniała sobie, że po włamaniu zadzwoniła do biura Nelsona na Aurora Tower, lecz powiedziano jej, że Nelson już tam nie pracuje.

– Nie ujawniłam, kto jest moim źródłem – wykrztusiła z ledwością.

– A ja o to nie pytałam – powiedziała Lea. – Nie pytam nikogo o coś, co już wiem.

Chciałeś się ze mną widzieć? – zapytał Duncan, wchodząc do gabinetu szefa i siadając.

Blake nie oderwał nawet wzroku od ekranu swego komputera. Od pewnego czasu Duncan nie czuł się swobodnie w jego towarzystwie. Blake był wprawdzie obcesowy, podobnie jak inni partnerzy w kancelarii; był to nieuchronny skutek pracy w szybkim tempie, lecz wcześniej Duncan wierzył, że szef jest po jego stronie. Ostatnio jednak przestało to być dla niego oczywiste.

Wpatrując się w dalszym ciągu w ekran, Blake w końcu przemówił.

– Sprawa o morderstwo – rzekł. – Nie możemy nad nią dłużej pracować.

Duncan pomyślał, że źle zrozumiał.

– Co masz na myśli? – zapytał.

Blake podniósł wreszcie wzrok. Był wyraźnie poirytowany.

– Zaistniał konflikt prawny mający związek z naszym obecnym klientem – powiedział. – Nie możemy już reprezentować chłopaka oskarżonego o morderstwo.

Duncan siedział przez chwilę w milczeniu, mając kompletny zamęt w głowie.

– Czy chodzi o Rotha? – zapytał.

Blake zmarszczył brwi.

– Nie uważasz chyba, że muszę ci się tłumaczyć? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Duncan pokręcił głową, nie starając się nawet ukryć frustracji.

– To nie jest takie proste – powiedział. – Rafael jest ubogi, a do tego wyznaczono już datę rozprawy. Będziemy potrzebowali zgody sędziego na wstrzymanie...

– Więc uzyskamy jego zgodę – przerwał mu Blake. – Załatwię to.

– Ale przecież sprawa idzie w dobrym kierunku – odparł Duncan, nie mogąc się powstrzymać, choć zdał sobie sprawę, że dalsza dyskusja z Blakiem nie ma już sensu.

– Przekażesz wszystko, co masz, nowemu obrońcy dzieciaka. On zajmie się resztą – oznajmił Blake. – Nie jesteś niezastąpiony, Duncanie. Dajemy sobie spokój z tą sprawą. Koniec i kropka.

Nie bardzo wiedząc, z kim jeszcze należałoby porozmawiać, Duncan udał się na górę do Lily, a wszedłszy do jej gabinetu, zamknął za sobą drzwi.

Lily spojrzała na niego z uśmiechem.

– Znowu za zamkniętymi drzwiami? – zapytała. – Czy to nie zbyt późna pora na nowe plotki o nas?

– Blake odsuwa mnie od sprawy Nazario – poinformował Duncan. – Firma wycofuje się z niej, bo podobno doszło do konfliktu prawnego. Nie wiem, co to, kurwa, znaczy!

– Myślę, że znaczy to tylko tyle, że ponieważ nie jest to konwencjonalny konflikt interesów w znaczeniu: dwóch klientów stanowiących przeciwne strony w sporze sądowym, to stanowisko, jakie zajmiemy, reprezentując jednego klienta, będzie kolidowało z naszym stanowiskiem w stosunku do drugiego. Ale w jaki sposób wiąże się to z morderstwem...

Duncan domyślał się już, na czym mogło polegać owo powiązanie, postanowił jednak nie dzielić się z Lily swymi przypuszczeniami.

– Z pewnością ma to coś wspólnego z Rothem – powiedział tylko. – Tyle tylko, że Blake się do tego nie przyzna.

– Sądziłam, że Roth nie miał nic przeciwko waszemu udziałowi w tej sprawie – powiedziała Lily.

Duncan zawahał się i zastanowił, ile może jej powiedzieć.

– Myślę, że wszystko miało się odbyć według planu, który zakładał, że zdecydujemy się na szybkie zawarcie ugody obrończej – rzekł w końcu.

Słyszając to, Lily zmarszczyła brwi. Otworzyła usta, lecz zreflektowała się natychmiast. Doszła do wniosku, że lepiej nie ciągnąć Duncana za język.

– Chyba nie nadażam – powiedziała tylko.

– Chodzi o to, że Blake i Roth chcą, bym zostawił tę sprawę – wyjaśnił Duncan. – Gdy zacząłem obalać argumenty prokuratora, niespodziewanie zaistniał konflikt. Więc co, do diabła, mam z tym zrobić?

Lily obrzuciła go zagadkowym spojrzeniem.

– A co w ogóle możesz zrobić? – zapytała.

– Mógłbym złożyć rezygnację – odpowiedział, po części dlatego, że chciał usłyszeć siebie mówiącego te słowa i przekonać się, jak zabrzmiały.

Lily zerknęła na Duncana z niedowierzaniem i uśmiechnęła się.

– I co? Otworzyłbyś jednoosobową kancelarię adwokacką przy Pine Street? Mając jednego klienta, który w dodatku nie może ci zapłacić? Twój sprzeciw jest zrozumiały, ale nie dajmy się zwariować.

Duncan wzruszył ramionami, uznając absurdalność swego pomysłu. Lily oczywiście miała rację: przecież nie zamierzał składać wymówienia.

– Mam chyba jednak pewne zobowiązania w związku z tą sprawą? – zapytał.

– Duncan Riley usiłuje postąpić honorowo – zadumała się Lily. – Jak długo byłam w śpiączce?

– Ten gość jest moim klientem i robiłem dla niego wszystko, co było w mojej mocy. Czy naprawdę mam tak po prostu wycofać się z tej sprawy na komendę?

– Jeśli masz inne wyjście, to naprawdę nie wiem jakie – odparła Lily.

Sfrustrowany Duncan wrócił do swego gabinetu. Nagle, nie wiadomo skąd, w jego głowie pojawiła się myśl, że już nigdy nie będzie mógł porozmawiać z matką, która zmarła. Lecz gdyby nawet było to możliwe, nie poprosiłby jej o radę. Był jednak pewien, że z pewnością nie pozwoliłaby mu tak tego zostawić.

Stało się coś? – zapytała Lea, gdy Duncan pojawił się w drzwiach jej gabinetu.

Duncan zdawał sobie sprawę z ryzyka związanego z tą wizytą, lecz wiedział, że nie zdecydowałby się na nią, gdyby tylko zaczął się dłużej zastanawiać. Był to winien Rafaelowi, a zarazem sobie samemu: chciał zachować poczucie własnej integralności.

– Sprawa Nazario – powiedział. – Blake poinformował mnie nagle, że się z niej wycofujemy.

– Dlaczego przychodzisz z tym właśnie do mnie?

– Ponieważ to wasza zasługa, prawda?

Lea lekko się uśmiechnęła. Zaczynała tracić do niego cierpliwość.

– Czy nie sądzisz, że gdybym czuła potrzebę omówienia tej kwestii z tobą, to już bym to zrobiła? – zapytała.

Zajęła swe miejsce za biurkiem. Duncan wciąż stał, lecz w końcu postanowił usiąść naprzeciwko Lei. Miał nadzieję, że pozwoli to nieco rozładować napiętą atmosferę.

– Reprezentowałem Rafaela – mówił powoli i łagodnie – bo myślałem, że tego chcecie.

– Co to ma znaczyć? – zapytała Lea równie łagodnym tonem, który sprawił jednak, że w jej słowach dało się wyczuć wyraźną groźbę.

Duncan poczuł, że stąpa po cienkim lodzie, lecz dalej parł przed siebie.

– Byłem zaskoczony, kiedy pozwolono mi bronić Rafaela oskarżonego o morderstwo – powiedział. – Pomyślałem sobie wtedy, że nie chcecie, byśmy mieli cokolwiek wspólnego z tą sprawą. Później otrzymałem jasny przekaz: Blake zażądał ode mnie szybkiego zawarcia ugody obrończej. Przypuszczam, że w rzeczywistości był to przekaz od waszej rodziny.

– Sądzę, że nie zrozumieliśmy się co do właściwego charakteru twoich

kontaktów ze mną – rzekła Lea.

– Nie lubię być manipulowany – odparł Duncan. – Nawet przez klienta. A nawet przez ciebie.

Lea westchnęła i wbiła wzrok w ekran komputera, dając Duncanowi do zrozumienia, że nie jest szczególnie zainteresowana dalszą rozmową.

– Dlaczego tak bardzo zaangażowałaś się w sprawę tego dzieciaka? – zapytała. – Gdybyś chciał bronić morderców, nie pracowałbyś przecież dla Blake’a.

– Nie mam ochoty bronić morderców – odpowiedział Duncan. – Ale Rafael jest moim klientem. Kiedy się pracuje w moim zawodzie, łatwo się pogubić. Walka dla dobra moich klientów, nieważne, kim są ani co zrobili, stanowi dla mnie sens bycia prawnikiem, więc jakiegokolwiek ustępstwa z mojej strony oznaczałyby, że w rzeczywistości ta sprawa nic dla mnie nie znaczyła.

Lea przyjrzała się Duncanowi z uwagą.

– Ta decyzja nie zależy od ciebie – powiedziała.

– Nie bujam w obłokach – odparł Duncan. – I nie przyszedłem tu po to, by wyznaczać jakieś granice. Ale nikt nie chce mi nawet wyjaśnić, o co tu naprawdę chodzi.

– A jeśli się okaże, że nie chcesz tego wiedzieć? Bo kiedy już się dowiesz, nie będziesz mógł nacisnąć klawisza z napisem „cofnij”.

– Rozumiem – powiedział Duncan, zastanawiając się, czy jest tak w istocie.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że zamordowanie Fowlera może poważnie zaszkodzić naszym interesom – rzekła Lea. – Wolelibyśmy załatwić tę sprawę po cichu. Nie tak, jak ty to robisz.

– Uważasz, że wykonuję swą robotę zbyt dobrze? – zapytał Duncan. – Ale w jaki sposób może to zaszkodzić twojej rodzinie?

– Nie zamierzam ci tego rysować.

– On jest niewinny, Leo. Nie próbuję wyrządzić krzywdy twojej rodzinie. Nie chcę nikomu zaszkodzić. Próbuję tylko wyciągnąć niewinnego człowieka z więzienia.

Lea odwróciła wzrok, Duncan zaś pomyślał, że być może uda mu się coś wskórać.

– Czy wiedziałaś, że w latach trzydziestych, kiedy budowano drapacze chmur, niepisana zasada głosiła, że zbudowanie każdego piętra kosztuje życie jednego robotnika? – zapytała Lea. – Pomyśl o tym, przechodząc następnym razem obok Empire State Building.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że Rafael jest tylko kolejną cegiełką, którą musicie wmurować w wasze budynki? Nie mam obowiązku pomagania wszystkim, lecz czuję się odpowiedzialny za los tego chłopaka.

– Nie bądź naiwny, Duncanie – odparła Lea. – Daję ci tylko do zrozumienia, że fundamenty każdego wielkiego budynku w Nowym Jorku naznaczone są czyjąś krwią. Taka jest cena działania na skalę, na jaką pracujemy. Lecz wcale tego nie bagatelizuję. Jestem po prostu realistką. Możesz być po naszej stronie albo po stronie Rafaela, ale nie po obu równocześnie. To twój wybór, ale przypuszczam, że powinien on być bardzo łatwy.

Duncan pokręcił głową, czując bezsilność.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – powiedział.

– Już masz – odparła Lea.

Część trzecia

Duncan spędził dwadzieścia minut w oczekiwaniu na Rafaela, który pojawił się w końcu w asyście strażników. Krótki pobyt w więzieniu zmienił go. Delikatna twarz Rafaela stała się lekko obrzmiała, a kiepskie jedzenie i brak ruchu sprawiły, że chłopak przybrał na wadze. Najbardziej zauważalne nie były jednak zmiany fizyczne: uleciał gdzieś bowiem młodzińczy entuzjazm Rafaela, teraz posępnego i zamkniętego w sobie. Od pobytu w izolatce nie był to już ten sam młody człowiek, Duncan zaś doskonale wiedział, że jego wizyta z pewnością nie zmieni niczego na lepsze.

– Obawiam się, że przynoszę ci złe wieści – rzekł, gdy usiedli.

Rafaël odpowiedział mu twardym spojrzeniem, które sprawiło, że Duncan zawahał się, zanim dopowiedział resztę.

– Coś się wydarzyło w naszej kancelarii: stwierdzono, że zaistniał konflikt – zaczął wyjaśniać. – Jak już ci mówiłem, reprezentujemy firmę Roth Properties, dewelopera, który przebudowuje Jacob Riis. Krótko mówiąc, przedstawiciele tej firmy stwierdzili, że reprezentując ich, nie możemy równocześnie reprezentować ciebie, bo rodzi to pewną sprzeczność. Próbowałem to z nimi przedyskutować, ale...

Gdy Duncan zamilkł, Rafael spojrzał na niego zdziwionym wzrokiem.

– O czym pan mówi? – zapytał.

Duncan zmusił się, by spojrzeć chłopakowi prosto w oczy.

– Moja firma będzie musiała zrezygnować z reprezentowania cię – powiedział. – Oznacza to, że już nie będę mógł być twoim obrońcą.

Rafaël pokręcił głową, najwyraźniej usiłując pojąć to, co właśnie usłyszał.

– Zostawia mnie pan? – zapytał. – Nie mam już prawnika?

– Sąd zapewni ci adwokata – rzekł Duncan. – Prawdopodobnie obrońcę z urzędu. Przekażę mu wszystkie dokumenty. Będziesz miał prawnika o wiele bardziej doświadczonego w sprawach kryminalnych niż ja.

Rafaël wykrzywił usta.

– Powiedział pan, że mogę panu zaufać – rzekł rozgoryczonym tonem.

– Nie mogę już nic zrobić – powiedział Duncan. – Ale twoja sprawa ma szansę na pomyślne zakończenie. Mamy otrzymać raport z policyjnego przesłuchania Dwayne’a Stevensona. Mam nadzieję, że twój nowy obrońca będzie mógł powołać go na świadka.

– Myślałem, że pan naprawdę wierzy, że nie maczałem palców w tym gównie.

– Wierzę – odparł Duncan. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteś niewinny.

– Powiniennem się domyślić, że ktoś taki jak pan nigdy naprawdę nie stanie po mojej stronie. Nikt nigdy się za mną nie wstawiał, więc dlaczego pan miałby być inny?

– Gdyby zależało to ode mnie...

Rafał już nie słuchał. Patrzył tylko na Duncana złym i bezlitosnym wzrokiem.

– Tak się mówi, właśnie kiedy się kogoś zawiedzie – powiedział.

Po powrocie do kancelarii Duncan nie potrafił się skupić, a jego morale sięgnęło bruku. Nie będąc w stanie zająć się którąkolwiek z normalnie opłacanych spraw, zabrał się do przeglądania poczty, którą jego sekretarka zostawiła w jego przegródce na korespondencję. Przesyłki dostarczane Duncanowi za pośrednictwem poczty były na ogół mało ważne. Należały do nich najczęściej czasopisma prawnicze oraz listy reklamowe różnych firm świadczących usługi prawne, toteż Duncan przeglądał swą korespondencję zazwyczaj tylko raz w tygodniu.

Jedna z kopert nie wzbudziła z początku jego większego zainteresowania. Widniała na niej nazwa „Bank of America”. To nie wystarczyło, by pobudzić zmęczony umysł Duncana. Powodowany umiarkowaną ciekawością, Duncan otworzył kopertę i wyjął z niej kilka arkuszy papieru. Zorientował się, że trzyma w ręku wyciągi bankowe Seana Fowlera. Miesiąc wcześniej złożył wniosek o ich dostarczenie, nie mając jednak pewności, czy bank będzie skłonny do współpracy. I oto nadeszły.

– Co to, kurwa, jest? – mruknął do siebie Duncan, wpatrując się w liczby.

Sean Fowler, były glina zatrudniony jako ochroniarz na budowie, w chwili swej śmierci miał na koncie grubo ponad dwieście tysięcy dolarów.

Candace skończyła artykuł o zarządzanych przez Rothów fasadowych firmach, które przekazały fundusze na kampanię wyborczą rzecznika Markowitza, i przesłała go szefowi zespołu reporterów śledczych. Nie była to przełomowa historia, Candace zaś nie miała powodu, by sądzić, że sprawą tą interesuje się jakikolwiek inny reporter, i dlatego nie liczyła na szybkie opublikowanie tekstu. Był to artykuł z rodzaju tych, które wymagają uważnego przejrzenia ze względów politycznych. W tym przypadku było to szczególnie istotne, ponieważ Candace napisała o lubiących się procesować Rothach. Ze względu na niedawny tekst dotyczący tej rodziny Candace spodziewała się, że Nugent zaprzęgnie do weryfikowania tekstu prawników, co oznaczało, że wszystko potrwa dwa razy dłużej.

Candace załączyła tekst artykułu do maila i wysłała go do Nugenta w porze lunchu, licząc na to, że szef zespołu reporterów śledczych odezwie się do niej najdalej za godzinę. Upłynęło jednak o wiele więcej czasu, zanim Nugent w końcu odpowiedział, prosząc Candace, by przyszła do gabinetu Henry'ego Tacy.

Idąc do jaskini naczelnego, Candace miała złe przeczucia. Narożny gabinet Tacy'ego znajdował się w głębi redakcji informacyjnej. Był przestronny, a jedną z jego ścian zapełniały niezliczone zdjęcia uśmiechniętego Henry'ego pozującego w towarzystwie znanych ludzi: od Billa Clintona po Billa Gatesa. Gdy Candace weszła, Tacy siedział za biurkiem, a Nugent na kanapie pod przeciwległą ścianą.

– Zwalniacie mnie? – zapytała, chcąc w ten sposób przynajmniej częściowo złagodzić napięcie.

– Bzdura – odparł Tacy. Candace pomyślała, że powiedział to nieco zbyt wesoło.

Tacy nie należał do ludzi, którym z łatwością przychodzi udawanie entuzjazmu.

– Miałem sporo telefonów w sprawie twojego artykułu – powiedział. – Poprosiłem więc Billa, żeby dał mi cynk, gdy robocza wersja tego tekstu będzie już gotowa.

– Telefonowano do pana w związku z artykułem, który jeszcze nawet nie jest gotowy? – zapytała Candace.

– Przyjaciele rzecznika Markowitza – wyjaśnił Tacy. – Najwyraźniej

wielu ludzi wierzy w jego świetlaną przyszłość.

– Dzwonili tylko po to, żeby to panu powiedzieć?

– Ludzie, którzy do mnie telefonują, mówią mi różne rzeczy – odpowiedział Tacy. – Nie oznacza to jednak, że ich wysłuchuję. Ale w sprawie twojego artykułu dzwoniли również do pana Friedmana, a ja zawsze słucham tego, co mówi.

– Zatem dobrze zapowiadający się polityk ma wysoko postawionych przyjaciół? – wtrącił Nugent. – Kto by pomyślał?

Candace uśmiechnęła się do Nugenta, dziękując mu w ten sposób za to, że się odezwał. Być może jej szef oraz właściciel gazety poddawani byli naciskom częściej, niż sądziła, lecz dopiero teraz zetknęła się z tym osobiście. Nie wątpiła, że miała w tym swój udział rodzina Rothów.

– W każdym razie – powiedział Tacy – miałem okazję przyjrzeć się twojemu artykułowi. To oczywiście cholernie dobry materiał, ale wydaje mi się, że czegoś w nim brakuje. Nie zrozumiem mnie źle. Sprawa śmierdzi przekrętem. W najlepszym razie to, co robią, jest niestosowne. A do tego najwidoczniej istnieje luka w przepisach dotyczących finansowania kampanii wyborczych, którą wykorzystują. Lecz wciąż nie wiemy, czy Roth i Markowitz są jedynymi, którzy postępują w ten sposób. Z pewnością zamieszani w ten proceder są politycy, którzy otrzymują takie dotacje, i firmy, które przekazują duże kwoty. Czy spółki wykorzystywane są w ten sposób tylko przez rodzinę Rothów? A może to powszechna praktyka? Ilu polityków otrzymuje pieniądze na tej zasadzie?

Candace nie do końca zrozumiała, do czego zmierza Tacy.

– Zgadza się – powiedziała. – Byłoby dobrze ocenić skalę tego zjawiska, lecz wyszukanie danych w źródłach informacji publicznej i przejrzanie wszystkich zapisów zabierze mi parę miesięcy. Możemy zacząć całą imprezę, drukując to, co już wiemy.

– Pośpiech nie ma sensu, skoro nie wiemy jeszcze wszystkiego – odparł Tacy. – Damy ci czas na zajęcie się tym tematem.

Candace próbowała zrozumieć: czy Tacy naprawdę sądzi, że w ten sposób wyświadcza jej przysługę?

– Tyle tylko że to długo potrwa, a mam już za sobą połowę pracy nad wyszukiwaniem tropów, które mają związek z Aurora Tower – powiedziała.

Tacy lekko zmarszczył brwi, po czym rzucił szybkie spojrzenie Nugentowi.

– Przecież ten artykuł nie ma nic wspólnego z Aurorą – stwierdził.

– Nie bezpośrednio, ale to właśnie moje śledztwo w sprawie Aurory

naprowadziło mnie na ślad tej afery.

Tacy najwyraźniej nie podzielał zdania Candace.

– Tematem tego artykułu nie jest Simon Roth ani tym bardziej Aurora Tower – powiedział. – To artykuł o pieniądzach i politykach. A poza tym nieposzerzenie zainteresowań ci zaszkodzi.

– Jak mam to rozumieć? – zapytała Candace, nie mogąc się powstrzymać od pytania.

Tacy wzruszył ramionami, lecz nie spojrzał jej w oczy.

– Widziałem już wielu reporterów owładniętych manią polowania na białego wieloryba – odpowiedział.

– Ja nie popieram kłusownictwa – zaprotestowała Candace.

Tacy głośno westchnął.

– Nie szukajmy dziury w całym – powiedział. – Wszyscy uważają, że pracujesz z wielkim zacięciem. Trafiaś na prawdziwą żyłę złota i możesz porządnie się w nią wgryźć, więc się nie wahaj, a inne sprawy odłóż na razie na bok.

– Czy to polecenie? – zapytała Candace.

Tacy lekko się uśmiechnął.

– No, łagodną sugestią bym tego raczej nie nazwał – powiedział.

Candace uświadomiła sobie, że zachowywała się jak nadąsane dziecko. Powiedziała sobie: dość tego. Tacy miał rację, zanosilo się na głośny artykuł. Kto wie, jak szerokie kręgi zatoczy ta sprawa? Wyszedłszy z gabinetu Tacy'ego, Candace nie mogła się powstrzymać od zadania pytania Nugentowi, który jej towarzyszył.

– Pozwoliłeś mu na to?

– Henry nie poddał tej kwestii pod głosowanie – odparł Nugent. – Mam szefów, podobnie jak ty.

– Tematem mojego artykułu nie są spółki z ograniczoną odpowiedzialnością – powiedziała Candace. – Opisuję Rotha, który kupił polityków, by otrzymać zlecenie na przebudowę Jacob Riis, co z kolei ma związek z Aurorą i przekupywaniem ludzi, których na niej zatrudniono.

Nugent westchnął.

– Opierajmy się na faktach – rzekł. – Masz dużą swobodę działania. Wykorzystaj ją, by dokładnie zbadać aferę, którą wykryłaś. Mogłabyś doprowadzić do załatwienia dużej luki w stanowym prawie regulującym finansowanie kampanii wyborczych. A kto wie, co jeszcze uda ci się wykryć.

– Mam więc nie brać pod uwagę faktu, że dobrze sobie radzę z artykułem o Rocie? – zapytała Candace. – Właśnie w taki sposób wpadłam na trop

tego, co miało miejsce w Jacob Riis. Muszę robić swoje.

– Sama polityka, jak zwykle – odparł Nugent.

– Jest jeszcze trup: ochroniarz, który pracował na tym osiedlu. Myślę, że jego śmierć ma związek z Aurorą. Powinam się tym zająć.

– A jak do tego doszłaś? – zapytał z przekąsem Nugent. – Czyżby kobieca intuicja?

Candace spojrzała na szefa.

– Chyba używanie tego argumentu jest *passé* – odrzekła.

– Masz przeczucie. Nie wiem jakie, ale to tylko przeczucie – powiedział Nugent. – Simon Roth oraz rzecznik Markowitz z pewnością będą wątkiem twojego artykułu. Zobaczmy jednak najpierw obraz całej sprawy, zanim powiemy, co przedstawia.

Odstraszyłam cię, prawda? – zapytała Lea.

Duncan przesunął się nieco na kanapie, próbując zdobyć się na uśmiech.

– Powiedziałbym raczej, że jestem ciągnięty w sprzecznych kierunkach – odrzekł i pociągnął łyk białego wina, którego nalała mu Lea.

Nie miał ochoty na tę wizytę, lecz gdy otrzymał maila od Lei, informującej go, że muszą o czymś porozmawiać, stwierdził, że znów nie ma wyboru. Przypuszczał, że chodzi o ucieczkę Jacka Pellettieriego, który najwyraźniej opuścił kraj i przebywał pewnie gdzieś na Karaibach. Duncan nie wiedział, co ma myśleć. Ucieczka Pellettieriego prawdopodobnie oznaczała koniec kryminalnego dochodzenia w sprawie Aurora Tower, co stanowiło dobrą wiadomość dla jego klientów. Duncan zastanawiał się także, czy Rothowie nie mieli czegoś wspólnego z ucieczką dostawcy betonu. Pellettieri, któremu groził wieloletni pobyt w więzieniu mógł, rzecz jasna, opuścić kraj bez dodatkowej zachęty. Ale mógł też zapomnieć o znowie i zacząć zeznawać. Lea najwyraźniej brała to pod uwagę, Duncan zaś był prawie pewien, że Pellettieri wiedział coś, co mogłoby zaszkodzić rodzinie Rothów.

Nie miał jednak dowodów, które potwierdziłyby te przypuszczenia, ani powodu, by takich dowodów szukać. Najrozsądniej było zatem przyjąć założenie, że Pellettieri uciekł z własnej woli, i nie zadawać jakichkolwiek pytań.

– Zdaję sobie sprawę, że postawiłam cię w trudnej sytuacji, zarówno z powodu twoich obowiązków zawodowych, jak i naszej relacji – powiedziała Lea. – Ledwie zaczęliśmy się widywać, gdy zostałam humorzastą klientką z piekła rodem.

– Nie powiedziałbym, że jesteś „humorzasta” – odparł Duncan.

– Nie musisz się silić na grzeczność.

– Na nic się nie siłę. Użyłbym znacznie gorszego słowa.

Na twarzy Lei pojawił się uśmiech, lecz atmosfera wciąż była napięta.

– Pięknie – odezwała się Lea. – Jest mi naprawdę przykro, że straciłeś tę sprawę.

Zakłopotany Duncan wzruszył ramionami.

– Sama powiedziałaś, że decyzja w sprawie Nazario nie należała do mnie – powiedział.

– Jeśli sprawiłam, że musiałeś złamać swe zasady, to jeszcze raz

przepraszam – rzekła Lea. – Ale lojalność bywa nagradzana.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czy naprawdę chcesz poświęcić resztę życia na pracę w kancelarii prawnej?

To pytanie zaskoczyło Duncana.

– A widzisz jakąś alternatywę? – zapytał.

– Z pewnością rozumiesz, że nawet taki prawnik jak Steven Blake znaczy niewiele więcej niż kapitan w wojsku – odpowiedziała Lea. – Generałami są ludzie tacy jak ja: to klienci, czyli ludzie interesu. Ile spraw, nad którymi pracowałeś, zakończyło się procesem? Jak często pracujesz dwa miesiące, poświęcając dwadzieścia godzin dziennie na przygotowanie się, po czym dochodzi do ugody?

– Zdarza mi się to co najmniej raz do roku – rzekł Duncan.

– Ponieważ twoja praca i całe to szykowanie się do bitwy to jedynie pozory. Manewr. Jesteś tylko piechurem na jednym ze skrzydeł i widzisz zaledwie część tego, co się dzieje.

– Tak, z pewnością – odparł Duncan, podnosząc kieliszek. – Lecz w moim przypadku jest już chyba trochę za późno na rzucenie prawa.

– Dyplom prawnika można wykorzystać na wiele sposobów poza kancelarią – powiedziała Lea. – Znasz już Rogera, naszego głównego radcę prawnego?

Duncan zaczął się zastanawiać, czy Lea zmierza do tego, o czym pomyślał.

– Poznaliśmy się, ale nic ponadto – powiedział.

– Roger zajmuje się prawie wyłącznie transakcyjną stroną naszych spraw i nie uczestniczy w procesach. Dlatego to ja przyglądam się sprawom, które prowadzisz. Lecz to zajęcie wymaga nieco innych umiejętności niż te, które posiadam, i prawdę mówiąc, przeszkadza mi w mojej codziennej pracy. Myślę, że bardzo by nam się przydał prawnik pracujący na pełnym etacie i nadzorujący wszystkie nasze procesy.

– Naprawdę? – odparł neutralnie Duncan.

– Ktoś taki podlegałby Rogerowi, ale pełniłby funkcję wiceprezesa – wyjaśniła Lea. – A nasze premie przyznawane wiceprezesom są naprawdę wysokie.

Duncan poczuł się zakłopotany. Pomyślał, że jeśli pieniądze miałyby stanowić rekompensatę za jego rezygnację z udziału w sprawie Rafaela, to Lea nie rozumiała go zbyt dobrze.

– Proponujesz mi pracę? – zapytał.

– A jeśli tak, to czy jesteś nią zainteresowany?

– Byłabyś więc nie tylko moją klientką, ale i szefową. Czy nie skomplikowałoby to wszystkiego jeszcze bardziej?

– Szefową? Nie. Chyba tylko w sensie technicznym.

– „W sensie technicznym” firma należy do twojej rodziny, prawda?

Lea uśmiechnęła się.

– Być może to sformułowanie nie jest najwłaściwsze – powiedziała.

– Twoja propozycja bardzo mi pochlebia, lecz nie bardzo rozumiem, w jaki sposób moja zgoda mogłaby wprowadzić przejrzystość do naszych wzajemnych relacji.

– Stanowiłaby potwierdzenie, że jesteśmy po tej samej stronie – odparła Lea. – Posłuchaj, Duncanie: jestem już dorosła i nie mam zwyczaju sypiania z kimś, z kim nie próbuję czegoś zbudować.

Duncan poczuł, że oddała się od Lei. Zaufanie, którym ją darzył, legło w gruzach, i nie wyobrażał sobie, że uda się je odbudować.

– Nie należę do twojego świata, Leo – powiedział.

– Skończyłeś prawo na Harvardzie, na miłość boską! To nie to samo, co wysiąść z autobusu na Bronksie.

– Lecz moje pochodzenie jest niemal przeciwieństwem twojego – rzekł Duncan.

Nie był do końca pewien, do czego zmierza.

– Kiedy się poznaliśmy, powiedziałam ci, że mimo swej pretensjonalności nie jestem snobką z Upper East Side – powiedziała Lea. – Cenię kompetencje i nie interesuje mnie, czy twoja rodzina przyplłynęła tu na Mayflower albo czy dorobiła się fortuny. Jeszcze nie tak dawno temu ci sami ludzie odmawiali Rothom prawa wstępu na swe salony. Ale odnosimy sukcesy, nieprawdaż?

Duncan wymownie skinął głową. Rozmowa ta wprawiła go w zakłopotanie. Postanowił zatem powrócić do kwestii zatrudnienia.

– Jeśli chodzi o pracę, to nigdy nie aspirowałem do stanowiska, o którym mówisz. Moje miejsce w okopach jak najbardziej mi odpowiada – powiedział.

– Mógłbyś się zaangażować w pracę strategiczną, jak tego chciałeś.

Duncan dokończył wino i odstawił pusty kieliszek na stół. Rozmowa przestała się kleić. Powtarzając te same frazy, krążyli wokół tematu, nie zahaczając nawet o sedno sprawy. Duncan postanowił w końcu zapytać wprost.

– Dlaczego proponujesz mi to właśnie teraz?

Lea zrobiła kwaśną minę.

– Myślisz, że to łapówka? – zapytała. – Za co? Za twoje milczenie? Przecież już je zyskałam, prawda?

– Tak, zyskałaś, i nie, nie sugeruję, że to łapówka.

– Co jest z tobą nie tak? Dlaczego nie doceniasz własnych umiejętności?

– Nie o to chodzi – odpowiedział Duncan. – Nie jestem tylko do końca przekonany, czy to właściwe umiejętności do pracy, którą mi proponujesz.

– Jeśli chcesz to wszystko przemyśleć, to może umów się na spotkanie z Rogerem. Nie musimy się spieszyć.

– Oczywiście – rzekł Duncan, wstając. – Prześpię się z tym. Muszę już iść. Mam telekonferencję jutro o dziewiątej.

Lea podniosła wzrok, a fasada jej chłodu zaczęła lekko pękać.

– Jeśli chcesz, możesz zostać – powiedziała.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli pozwolimy, by sytuacja się nieco uspokoiła.

– Odstraszyłam cię na dobre? – zapytała Lea.

– Wcale nie – odpowiedział Duncan.

Chciał, by zabrzmiało to przekonująco. Nie dlatego, że była to prawda: przestraszył się tego, co mogłaby zrobić Lea, gdyby zauważyła, że skłamał.

Co słyhać u twojego ulubionego prawnika? – zapytał Costello.

– Nie wiedziałam, że mam takiego – odparła Candace, podnosząc wzrok znad monitora swego komputera.

Zasłużyła na przerwę, gdyż od dwóch godzin przeczesywała rejestry dotacji przekazanych przez spółki finansujące kampanię wyborczą. Miała nadzieję, że ucieczka Pellettieriego stanie się dla niej nową przepustką do pracy nad sprawą Aurora Tower, lecz tak się nie stało. Ślady operacji finansowych sugerowały, że Pellettieri dotarł przez Meksyk na Kajmany. Był poszukiwany przez władze, ale nic nie wskazywało, że moment jego aresztowania jest bliski. Candace postanowiła poczekać na rozwój sytuacji; liczyła na pojawienie się nowych informacji mających wyraźny związek z innymi wydarzeniami na Aurora Tower. Na razie jednak przerwała swe dziennikarskie śledztwo i czekała, aż coś się wydarzy.

– Mówię o Duncanie Rileyu – powiedział Costello.

– Co z nim?

– Właśnie to ciebie o to pytam.

– Tak, ale z nas dwojga tylko ty wiesz, o czym mówisz.

– Wycofał się ze sprawy Nazario.

Candace była zaskoczona. Choć nie była pewna, czy całkowicie ufa Duncanowi, nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby zrezygnować z udziału w procesie. Zwłaszcza że szło mu tak dobrze. Chyba że, pomyślała, właśnie to stanowiło problem.

– Pierwsze słyszę – powiedziała. – Skąd to wiesz?

– Dziś odbyło się w sądzie zebranie w sprawie ustalenia terminów rozpraw – zaczął Costello. – I nagle co? Zjawia się sam Steven Blake, który natychmiast informuje sędziego, że zamierza złożyć jakiś wniosek, i prosi go o rozmowę na osobności w jego gabinecie. Wychodzą. Gdy wrócili po godzinie, sędzia ogłosił, że sprawa zostanie wznowiona z chwilą znalezienia nowego obrońcy.

– Dziwna sprawa – powiedziała Candace, nie wiedząc, co myśleć. – Próbowałeś porozmawiać z Blakiem?

– Zbyt mnie – odpowiedział Costello. – Czy aby wcześniej nie miałaś wrażenia, że Riley podjął się obrony Nazario niejako na polecenie Rothów?

– Owszem, przemknęło mi to przez myśl, chociaż nigdy nie udało mi się tego potwierdzić – stwierdziła Candace.

– Rozmawiałaś z Rileyem o wiele częściej niż ja – rzekł Costello. – Myślisz, że chciałby teraz z tobą gadać? Dzwoniłem do niego trzy razy i nie mogłem się przebić przez jego sekretarkę.

– Jeśli nie odbiera twoich telefonów, to dlaczego miałby podnieść słuchawkę, kiedy ja zadzwonię?

– Faceci czują się w obowiązku oddzwaniać do dziewczyn. Już taki nasz los.

– Zajmę się tym i dam ci znać – powiedziała Candace.

– Świetnie, dzięki. Aha, jeszcze jedno: gratuluję w związku z rezygnacją Serran. Niezła zdobycz.

Gratulacje Costello wprawiły Candace w lekkie zakłopotanie. Radna Serran zawarła bowiem ugodę obrończą z prokuratorem generalnym, by uniknąć odsiadki. Candace była pewna, że Serran nie padła ofiarą pomówień: było oczywiste, że prała pieniądze, które za pośrednictwem Koalicji Społeczności Alphabet City trafiały do jej wyborczej skarbonki. Lecz Candace podejrzewała, że to tylko czubek góry lodowej, wielkiej afery korupcyjnej powiązanej ze zmianami na osiedlu Jacob Riis.

– Dzięki – powiedziała. – A skoro już o tym rozmawiamy: czy wiesz, co mogło łączyć Fowlera z wypadkiem na Aurora Tower?

– Nie. Dlaczego o to pytasz?

– Słyszałam plotki, że mógł być zamieszany w malwersacje, do których doszło w trakcie jej budowy.

– Czy to pewne? – zapytał Costello.

– Nie mam dowodów, ale jestem o tym przekonana.

– Jakie są przesłanki?

– Miałam nadzieję, że ty mi coś powiesz.

Costello pokręcił głową.

– Nie pracuję nad tą sprawą. Czasem tylko pobieżnie śledzę to, co dzieje się w sądzie – powiedział. – Zauważyłem, że prawie utknęła w martwym punkcie.

Może i tak, pomyślała Candace, wzruszając ramionami.

Ale gdy Costello wyszedł, Candace, skazana na spędzenie reszty dnia na przeglądaniu dokumentacji finansowania kampanii wyborczej, nie potrafiła już uwolnić się od myśli o Fowlerze i Aurora Tower. Postąpiła wprawdzie zgodnie z poleceniami i odłożyła te kwestie na bok, by móc się skupić na artykule o charakterze politycznym. Teraz zaczęła jednak ponownie rozmyślać nad rozmową z Leą Roth, która nie tylko wiedziała, co powiedział jej Nelson, ale zdawała się też mieć pewność, że odwoła on

swoje słowa. Postanowiła zatem sprawdzić, czy Lea miała rację.

Wyszukanie numeru domowego telefonu Nelsona okazało się bardzo łatwe. Candace wiedziała, że mieszka on w pobliżu McGee's, i już po chwili znalazła numer Thomasa Nelsona zameldowanego przy Zachodniej Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Trafiła: Nelson podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

– Cześć Tommy, tu Candace z „New York Journal” – powiedziała. – Dowiedziałam się, że nie pracujesz na Aurora Tower ze względu na zdrowie, i chciałam...

– Nie mogę z tobą rozmawiać – przerwał jej Nelson.

– Mam tylko jedno krótkie...

– *Nie mogę*. Wiedzą, że rozmawialiśmy.

– Rothowie? – zapytała Candace, nie chcąc, by Nelson się rozłączył.

Pomyślała jednak, że skoro nie uczynił tego, gdy tylko ją usłyszał, to jest to dobry znak.

– Powiedziałem ci, że jeśli im się postawię, to będzie po mojej karierze – rzekł Nelson. – Być może znalazłem się już na czarnej liście.

– Pomówmy zupełnie nieoficjalnie, Tommy – zaproponowała Candace. – Powiedz mi po prostu, co się dzieje.

Nelson ciężko westchnął, a czekająca na jego odpowiedź Candace poczuła, że serce wali jej jak młot.

– Po naszej rozmowie odwiedziło mnie dwóch gości – powiedział w końcu Nelson. – Miałem ich za policjantów, dopóki nie zabrali się do wybijania mi z głowy wszystkich bzdur świata.

– Poinformowałeś o tym policję?

Nelson zaśmiał się gorzko.

– No, trochę nie na tym to polega – powiedział.

– Co masz na myśli?

Nelson zignorował pytanie Candace.

– Powiedzieli, że widzieli nas w McGee's – mówił. – Nie wiem, dlaczego mieliby mnie śledzić. Czy nie uważasz, że interesowali się raczej tobą?

Candace zawahała się.

– Faktycznie, od pewnego czasu czuję się nieco dziwnie, kiedy poruszam się po mieście – odpowiedziała. – A ostatnio ktoś włamał się do mojego mieszkania.

Nelson lekko parsknął.

– Zachowaj ostrożność – powiedział. – Nie gniewaj się, moja droga, ale to była nasza ostatnia rozmowa.

– Poradzisz sobie? – zapytała Candace.

– Gdyby chcieli mnie zabić, już bym nie żył – odpowiedział Nelson. – Nie zamierzam jednak prowokować ich do ponownych przemyśleń. Żegnaj, Candace. Uważaj na siebie.

Candace siedziała jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w przerywany sygnał w słuchawce telefonu. Z walącym sercem zastanawiała się, w co, do diabła, wdepnęła.

Nigdy wcześniej nikt jej nie śledził. Candace nie wiedziała więc, jak pozbyć się ogona. Postanowiła zatem wymknąć się z pracy i, zamiast opuścić redakcję głównym wejściem, udała się na tyły budynku – tam, gdzie podjeżdżały samochody dostawcze, na które ładowano gazety opuszczające drukarnię w suterenie. Dziesiątą Aleją dotarła do Macy's i przez kilka minut wędrowała zygzakiem po rozległym i dość zatłoczonym wnętrzu sklepu. Wyszła na ulicę przecznicę dalej i wskoczyła do pierwszej wolnej taksówki. Uznawszy, że nie da się już nic więcej zrobić, by zgubić tych, którzy mogli ją śledzić, Candace skierowała się do apartamentu Duncana Riley'a.

Dwie godziny wcześniej skontaktowała się z Duncanem: zadzwoniła do jego biura i zapytała, czy będą mogli spotkać się po pracy i porozmawiać. Liczyła się ze sprzeciwem, lecz Duncan przystał na jej propozycję bez wahania.

– Czy zna pan jakieś odosobnione miejsce? – zapytała. – To długa historia, ale nie powinien pan, zwłaszcza teraz, być widywany w moim towarzystwie.

– Nawet pani nie wie, ile w tym prawdy – odparł Duncan.

Jego apartament znajdował się w wieżowcu w West Fifties. Gdy Candace, zapowiedziana przez portiera, wjechała na górę i wysiadła z windy, Duncan czekał w otwartych drzwiach. Zdążył się przebrać po powrocie z pracy: włożył džinsy i czarny T-shirt, a jego wilgotne włosy zdradzały, że niedawno wyszedł spod prysznica.

– Czy mogę zaproponować piwo, a może coś innego? – zapytał, zaprosiwszy Candace do środka.

– Jeśli ma pan piwo, to poproszę.

Duncan skinął głową i wszedł do kuchni.

Candace skorzystała z okazji, by się rozejrzeć. Mieszkanie Duncana było nowe i stylowe. Wyposażenie sugerowało, że jego właściciel zarabia tyle, że nie do końca wie, co robić z pieniędzmi. Na jednej ze ścian wisiał płaski pięćdziesięciocalowy telewizor, a wnętrze wypełnione było armią głośników.

– Miło tu – powiedziała Candace, gdy Duncan wrócił i wręczył jej butelkę bassa.

– Dzięki – odparł. – Istnieje nadzieja, że zostanę partnerem kancelarii, więc chyba mogę sobie pozwolić na mieszkanie w tym miejscu.

– Jakie ma pan szanse?

– Staram się o tym nie myśleć – stwierdził Duncan, wzruszając ramionami.

Zaprosił Candace gestem do zajęcia miejsca na kanapie, sam zaś usiadł na jedynym krześle, jakie znajdowało się w salonie.

– Są rzeczy, na które nie mam wpływu – powiedział.

– Bycie protegowanym Blake'a to chyba dobry punkt wyjścia.

Duncan najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać.

– Ostatnio pewne związane z tym sprawy nieco zboczyły z założonych wcześniej torów – odparł.

– Czy ma to coś wspólnego z pańskim wycofaniem się ze sprawy Nazario?

– I właśnie o tym chciała pani ze mną rozmawiać? – zapytał Duncan.

Obecność Candace w jego mieszkaniu wprawiała go w zakłopotanie. W tym, że piła piwo, siedząc na jego kanapie, było bowiem coś intymnego, niezależnego od tematu rozmowy.

– Powiedział mi pan, że w kwestii reprezentowania Nazario przez pana nie było nic nadzwyczajnego – przypomniała Candace. – Możemy chyba przyjąć, że to już nieaktualne?

Duncan zmusił się do uśmiechu.

– Mogę tylko powiedzieć, że doszło do konfliktu – rzekł. – Ale nie mówię tego nawet nieoficjalnie.

– Czy ma to coś wspólnego z Simonem Rothem? – naciskała Candace.

– Chyba nie spodziewa się pani odpowiedzi?

– Nadzieja umiera ostatnia. Nikt się nie dowie, że wiem to od pana.

Duncan roześmiał się.

– Nie obrazi się pani, jeśli nie zaufam na słowo? – powiedział i pociągnął łyk piwa.

– Nigdy nie zdradzam tożsamości moich informatorów. Nazwisko jednego z nich wypłynęło tylko raz, i to za pana sprawą. Obawia się pan, że musiałby zataić własną tożsamość?

Duncan wzruszył ramionami i spojrzał w dal.

– Sam nie wszystko rozumiem – powiedział.

– Powiem szczerze, dziwi mnie, że zrezygnował pan z obrony Nazario.

Duncan zastanawiał się, czy Candace nie próbuje mu schlebiać.

– Myśli pani, że to moja decyzja? – zapytał.

– Czy wspomniany przez pana konflikt wiąże się z czymś, co odkrył pan, reprezentując Nazario?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Candace usiłowała ukryć frustrację. Miała nadzieję, że Duncan okaże się bardziej rozmowny.

– Wiem, że chce pan pomóc Rafaelowi – powiedziała. – Widać to jak na dłoni. I myślę, że wiem też, co się stało: odkrył pan prawdę, a przynajmniej zbyt dużą jej część.

– O jakiej prawdzie pani mówi?

– Dowiedział się pan czegoś, co wskazuje na związek między śmiercią Fowlera a przekrętami na Aurora Tower. Znalazł pan dowód, że Fowler brał udział w rozprowadzaniu tego, co zarabiał na lewo Pellettieri.

Duncan podniósł butelkę i pomyślał przez chwilę, zanim ją przechylił. Candace się myliła: nie podejrzewał nawet, że śmierć ochroniarza łączy się w jakikolwiek sposób z Aurorą.

– Obawiam się, że nie – powiedział. – Ale jest coś, co mogę pani powiedzieć. Pod warunkiem że nie poinformuje pani nikogo, że informacja ta pochodzi ode mnie. Zażądałem prawa wglądu do wyciągów bankowych Fowlera. Kiedy został zamordowany, miał na koncie o wiele większą sumę, niż można by się było spodziewać.

Candace pochyliła się w jego stronę.

– Ile? – zapytała.

– Prawie ćwierć miliona.

Candace była wyraźnie zaskoczona.

– To chyba naprawdę dużo, jak na pośrednika – powiedziała.

– Nie wiem, jakie są aktualne stawki, ale też tak uważam.

– Spróbuję się temu przyjrzeć – rzekła Candace. – Naprawdę nie domyśla się pan, skąd Fowler miał tyle pieniędzy? Jeśli naprawdę chce pan pomóc Nazario, to rozmowa ze mną jest w tej chwili pańskim jedynym sposobem.

Duncan uśmiechnął się drwiąco.

– Nawet mi pani nie ufa – powiedział.

– To nieprawda – odparła Candace. – Uważam, że w gruncie rzeczy jest pan szczerzy i usiłuje pomóc Rafaelowi zgodnie z prawem. Myślę też, że zaangażował się pan w tę sprawę bardziej, niż się panu wydaje.

– I to właśnie pani ma mi pomóc? – powiedział z powątpiewaniem Duncan. – Dlaczego, do licha, opowiada mi pani o swych podejrzaniach wobec Rothów?

Candace musiała przyznać, że to właściwie niegłupie pytanie. Odpowiedź była prosta: nie było nikogo innego, z kim mogłaby o tym porozmawiać, gdyż redakcyjni koledzy już nie chcieli jej słuchać. Candace

nie wiedziała wszystkiego, a jedyną osobą, która być może mogłaby uzupełnić luki w jej wiedzy, był Duncan. Lecz Candace nie sądziła, że opowie jej o wszystkim, i nie była skłonna go do tego nakłaniać.

– Włamali się do mojego mieszkania i ukradli mi laptopa – oznajmiła. – Jeden z moich informatorów został pobity, ponieważ ze mną rozmawiał. Niedawno obrabowano mnie na ulicy. Jestem śledzona.

Duncan wyglądał na porażonego tym, co usłyszał.

– Ja nic o tym nie wiem – powiedział. – Jezu...

Candace uwierzyła mu.

– Wciąż pan nie wie, z jak nieczystą grą mamy do czynienia? – rzekła.

Duncan pomyślał, że Candace ma rację. Nigdy nie uważał się za naiwnego, lecz gdy rozmowa zesłała na Rothów, stopniowo zaczął podejrzewać, że się myli.

– Myślałem o rezygnacji – oświadczył nieoczekiwanie.

Zaskoczona Candace spojrzała na niego i cicho się roześmiała.

– Ja również – odparła. – Kiedy mi powiedziano, że mam sobie odpuścić pisanie artykułu.

– Więc dlaczego pani nie zrezygnowała? – zapytał Duncan.

– Przecież nie wygrywa się każdej bitwy, prawda? Nie przyniosłoby mi to nic dobrego. Ciężko pracowałam, by dojść do tego, co mam, a moja rezygnacja i tak niczego by nie zmieniła.

– Ostra gra i naginanie zasad nigdy nie przyprawiały mnie o wyrzuty sumienia, bo działałem w imieniu swoich klientów – powiedział Duncan. – Lecz prawnik, który nie staje po stronie tych, których broni, przestaje być prawnikiem.

– Cóż zatem zamierza pan począć?

Duncan, powodowany nagłym odruchem, przysunął się do niej.

– A gdyby pani naprawdę rozgryzła tę sprawę? – zapytał. – Czy i wtedy szefowie powstrzymaliby panią przed jej nagłośnieniem?

– Gdybym podała im wszystko jak na tacy i powiedziała, że jeśli ich to nie interesuje, to pójdę z tym do „Timesa”, to chyba nie. Nie sądzę. Ale dlaczego pan o to pyta?

– Chcę wyciągnąć Rafaela z więzienia – powiedział Duncan. – I chcę się rozprawić z całym tym towarzystwem.

– Jak zamierza pan to zrobić?

– Nie mam pojęcia. Zechce mi pani pomóc?

Candace spojrzała na Duncana z powątpiewaniem.

– Gryzie pana sumienie? – zapytała.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu pańskiej kariery.

– Odnoszę wrażenie, że obserwując swego ojca, nie wyrobiła sobie pani zbyt pochlebnej opinii o zawodzie prawnika – odparł Duncan. – Z jaką kancelarią jest związany?

– Z Cleary Gottlieb – odpowiedziała Candace. – I tak naprawdę wcale nie narzeka. Chyba zawsze uderzała mnie przepaść pomiędzy tym, na ile pochłaniała go praca, a niewielkim entuzjazmem, jaki w nią wkładał.

– Znam prawników, którzy pasjonują się tym, co robią – powiedział Duncan. – Jednym z nich jest Blake. Wie pani, on walczy jak lew. Ja także walczę, na tyle, na ile mogę. Ale bywa to trochę... Tak, zgadzam się: miło mieć świadomość, że naprawdę się stoi po jasnej stronie mocy.

– Prawnik, który chce stać po jasnej stronie mocy... – rzekła Candace. – Brzmi to jak przepis na klęskę.

Duncan pomyślał, że Candace może mieć rację.

– Więc naprawdę sądzi pani, że włamali się do pani mieszkania? – zapytał. – A kim są ci „oni”?

Candace wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, kto faktycznie dokonał tego włamania – oświadczyła. – I nie potrafię udowodnić związku tego wydarzenia z tym, nad czym właśnie pracuję. Myślę jednak, że jest bardzo możliwe, że włamywacz działał na polecenie Simona Rotha.

– Tak czy inaczej, to musi być dla pani trudne. Wciąż tam pani mieszka?

– Po włamaniu wyprowadziłam się na kilka dni do kolegi, kazałam też wymienić zamki – odpowiedziała Candace. – Lecz jeśli za tym wszystkim stoi Roth, to przeprowadzka nie na wiele się zda.

Duncan poczuł się winny: ostatecznie należał do zespołu Rotha, przez co był niejako zamieszany w to, co się stało.

– I naprawdę ktoś panią śledzi? – zapytał.

– Na to także nie mam dowodów, ale jestem tego niemal pewna. Na wszelki wypadek wymknęłam się z redakcji tylnym wyjściem.

– Boi się pani?

– Cholernie – odpowiedziała ze śmiechem Candace. – Jestem reporterką, nie agentką CIA. Nie na to się pisałam, a oni próbują wybić mi temat z głowy.

– Nie da się pani zniechęcić.

– Miałam tak po prostu pozwolić im, żeby mnie rozjechali? Najpierw za pomocą pozwu, a później, kiedy to nie wypaliło, poprzez włamanie do

mojego mieszkania? Jakby tego było mało, Rothowi udało się zastraszyć gazetę. Ale jeśli ja dam się zastraszyć, to nie będę mogła wykonać swojego zadania.

Duncan, początkowo sceptyczny, poczuł podziw dla Candace. Jej zdecydowanie, zwłaszcza w świetle tego, co przeszła, wywierało na nim coraz większe wrażenie. Powstrzymał jednak nagłą chęć powiedzenia jej tego. Podniósł tylko butelkę i opróżnił ją do końca.

– Jeszcze jedno? – zapytał, lecz powiedziawszy to, zauważył, że Candace wypila zaledwie pół piwa.

Candace również spojrzała na swą butelkę i zawahała się.

– Chyba nie powinnam zabierać panu więcej czasu – odparła, wstając.

Duncan pomyślał, że mógłby poprosić Candace, by została, lecz zrezygnował: jego życie stało się bowiem już i tak dostatecznie skomplikowane, a ponadto nie wiedział, co mógłby usłyszeć w odpowiedzi. Gdy wstał i zrobił krok w kierunku wyjścia, chcąc wskazać drogę, stanął tuż przed Candace. Niespodziewana bliskość sprawiła, że oboje znieruchomieli na sekundę.

– Dobranoc, Candace – rzekł Duncan. – Uważaj na siebie.

– Dobranoc – odpowiedziała Candace. – Ty też.

Chcąc omówić sprawę Rafaela z nowym obrońcą, Duncan ustalił, że osobiście dostarczy mu kopie dokumentów. Wypełniły zaledwie pół pudła – to niewiele w porównaniu z tym, z czym Duncan miał zwykle do czynienia. Większość spraw prowadzonych przez jego kancelarię wymagała przekazywania tam i z powrotem setek tysięcy, jeśli nie milionów stron dokumentów.

Robert Walker, nowy obrońca Rafaela, prowadził jednoosobową kancelarię przy położonej w centrum Thomas Street. Budynek, do którego wszedł Duncan, urzekł stylem art déco, chociaż nie wyglądał na szczególnie zadbane: winda jadąca w górę poruszała się resztką sił i trzeszczała, jakby miała się za chwilę rozsypać. Biuro Walkera było ciasne i zapuszczone. Duncan tak właśnie wyobrażał sobie lokale, w których urzędowali prywatni detektywi z lat trzydziestych. W pomieszczeniu panował wszechobecny bałagan, wszędzie walały się papiery i próżno było szukać jakichkolwiek oznak organizacji. Biuro Duncana wyglądało wprawdzie podobnie, lecz wyposażone zostało w archiwum z odpisami oryginałów dokumentów i było obsługiwane przez personel pomocniczy.

– Dzięki za fatygę – powiedział Walker, wskazując Duncanowi miejsce na pudło: wolny fragment starego, wypłowiałego dywanu.

Walker był przysadzystym brodaczem przed pięćdziesiątką, który niewątpliwie nabył swój garnitur jakieś dziesięć kilogramów temu.

– Przecież mógł pan przesłać to wszystko pocztą – dodał.

– Pomyślałem, że przyda nam się rozmowa – rzekł Duncan.

– O czym?

Duncan nie wiedział, jak zacząć.

– Sprawa Rafaela Nazario ma pewne niezwykle aspekty, o których może nie być mowy w aktach – oświadczył.

– Na tym etapie naprawdę nic mi o tym nie wiadomo – powiedział Walker. – Ale jeśli po dokładniejszym przyjrzeniu się tej sprawie będę miał jakieś pytania, zadzwonię do pana.

– Oczywiście – odrzekł Duncan, wyjmując wizytówkę.

Walker zerknął na kartonik.

– Blake and Wolcott, tak? – rzucił i spojrzał na Duncana. – Czyli jak: była to dla pana sprawa pro bono?

– Tak, była, ale...

– Może i nie mam fikuśnego biura, ale zajmuję się prawem karnym od ponad dwudziestu lat – przerwał Walker. – Miałem do czynienia dosłownie z tysiącami poważnych przestępstw.

Duncan nie uwierzył w to zapewnienie. Potwierdziło ono raczej jego wrażenie, iż Walker to jeden z ostatnich obrońców ustanowionych przez sąd i zarabiających na życie dzięki samej liczbie osób przewijających się przez system wymiaru sprawiedliwości.

– Nie wątpię w pańskie umiejętności ani doświadczenie, panie Walker – powiedział. – Chciałem tylko móc porozmawiać z panem o sprawach, o których po prostu nie dowie się pan, czytając akta.

– Wszystko to brzmi bardzo tajemniczo, panie Riley – odparł Walker. – Mam nadzieję, że nie bierze pan za dobrą monetę wszystkiego, co mówią pańscy klienci. Z mojego doświadczenia wynika, że sprawy kryminalne nie kryją w sobie więcej, niż mogłoby się wydawać.

– Mam powód, by podejrzewać, że ofiara, z którą ma związek ta sprawa, została uśmiercona przez kogoś zupełnie innego i z zupełnie innych powodów – odparł Duncan. – Myślę też, że Rafaela wrobiono w to zabójstwo. Może będę mógł pomóc.

Walker zerknął na zegarek.

– Za dwadzieścia minut muszę być w sądzie – powiedział. – Pańska teoria jest z pewnością fascynująca, a jeśli zechce pan opisać wszystko, o czym pan mówi, a potem mi to przesłać, chętnie poczytam. Mam jednak na głowie mnóstwo spraw i na ogół nie doszukuję się teorii spiskowych.

– Gdyby jednak mógł pan poświęcić mi jeszcze tylko kilka minut...

– Jak już powiedziałem, nie mam kilku minut, panie Riley. Zwrócę się do pana w tej sprawie najszybciej, jak tylko będę mógł. Dzięki za podrzucenie akt.

Darryl Loomis niespiesznie krążył limuzyną po zapchanych ulicach Midtown, wożąc Leę Roth, która jak zwykle zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Był wczesny wieczór. Zaczęła się godzina szczytu, a piesi poruszali się szybciej niż samochody.

– A zatem opanowaliśmy w końcu sytuację – powiedziała Lea.

Darryl zerknął w lusterko wsteczne.

– Nie jestem tego taki pewien – odparł.

– Zablokowaliśmy dziennikarkę i odsunęliśmy Riley'a od sprawy Nazario.

W czym problem?

– Nie sądzę, że naprawdę mamy ich z głowy.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ niedawno odwiedziła go wieczorem w jego mieszkaniu – odpowiedział Darryl.

Nie mógł się powstrzymać od głośnego śmiechu, kiedy usłyszał, że Candace, usiłując pozbyć się ogona, wymknęła się z redakcji tylnym wyjściem i krążyła po Macy's, zanim wreszcie udała się do mieszkania prawnika. Zabiegi te przyniosły wprawdzie spodziewany skutek w sensie fizycznym, lecz nie miało to najmniejszego znaczenia. Ludzie Darryla podążający za Candace mieli przede wszystkim ją zastraszać.

W skradzionej torebce Candace Darryl zainstalował program szpiegujący w jej BlackBerry, a potem postarał się, by reporterka odzyskała swą własność. Od tej pory mógł nie tylko czytać jej maile: telefon zaczął też pełnić rolę lokalizatora GPS, dającego się w każdej chwili precyzyjnie namierzyć. Przebywając poza domem, Candace praktycznie nie rozstawała się z BlackBerry, dzięki czemu Darryl wiedział, gdzie jej szukać – nawet wtedy, gdy nikt nie podążał jej śladem.

Lea poczuła osobistą zazdrość, a zarazem poczuła się zawodowo zdradzona. Zaciśnęła zęby.

– Jak długo tam była? – zapytała.

Darryl spojrział w lusterko. Najwyraźniej nie takiego pytania się spodziewał.

– Jakąś godzinę – odpowiedział.

– Właśnie zaproponowałam mu pracę w naszej firmie – oświadczyła Lea.

Próbowała zachować spokojny wyraz twarzy. Nie chciała, by Darryl dostrzegł głębię jej rozczarowania.

– Miał bzika na punkcie wyjaśnienia sprawy zamordowania Fowlera – mówiła dalej Lea. – Myślałam, że w ten sposób uda mi się go uspokoić.

– Ile wie? – zapytał Darryl.

– Trochę, ale jestem pewna, że znacznie więcej się domyśla – powiedziała Lea. – Ale daleko mu do pełnej wiedzy – dodała szybko, impulsywnie chroniąc Duncana.

– Jesteś tego całkowicie pewna?

Lea energicznie skinęła głową.

– Zresztą ma w sobie zbyt wiele z prawnika, by przekazać reporterce coś, co mogłoby nam zaszkodzić – rzekła.

– Być może.

– I na tym polega cały problem. Właśnie dlatego nie odpuści tej sprawy – powiedziała Lea. – Coś jeszcze w związku z reporterką?

– Przejrzałem jej komputer. Próbuje ustalić związek między Fowlerem a Aurorą, ale nie wygląda na to, żeby zebrała wszystkie fragmenty układanki. Interesuje się głównie osiedlem Jacob Riis i politykami. Czy mogłaby ustrzelić Markowitza?

– Myślę, że nawet nie spróbuje – odpowiedziała Lea. – Ojciec zawarł porozumienie z Friedmanem, więc Snow nie będzie miała najmniejszego pola manewru w redakcji.

– Założmy jednak, że reporterka i Riley próbują podsumować wszystko, co wiedzą. Jeśli tak, to może wszystko zaczyna im się układać w całość?

– Nawet w takim wypadku będą to tylko spekulacje – odparła Lea. – Jak je wykorzystają? „Journal” nie publikuje materiałów niepopartych dowodami. Co więcej, Riley nie jest już nawet obrońcą Nazario. Nie zaszkodzą nam.

– Nie jestem przekonany, czy możemy czuć się aż tak bezpiecznie – wyraził powątpiewanie Darryl, skręcając w ulicę, przy której znajdowało się biuro Lei.

– Poradzę sobie z Duncanem Rileyem i gazetą – zapewniła Lea. – Co z Pellettierim?

– Mamy go z głowy – odpowiedział Darryl.

– Nie będę pytała o szczegóły – oświadczyła Lea, otwierając drzwi limuzyny. – Nie chcę wiedzieć nic więcej.

W drodze do swego gabinetu Lea zaczęła zastanawiać się po raz setny, dlaczego sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej. Kiedy przekroczyła granicę? Stało się to, gdy zaczęła nalegać, by Darryl powiedział jej, co zamierza zrobić z Fowlerem. Doprowadziło to do następnej rozmowy,

podczas której Lea wzięła aktywny udział w planowaniu śmierci mężczyzny.

Podczas porannej przejażdżki Darryl nie był skory do rozmowy. Lea wymogła zatem na nim wieczorne spotkanie. Teraz przypomniała sobie, że stało się to tego samego dnia, w którym Duncan zabrał ją na lunch do Blue Fin. Około osiemnastej Darryl zaparkował limuzynę przed frontowym wejściem do kancelarii, a gdy Lea wyszła z budynku i zajęła miejsce z tyłu, ruszyli przez Midtown.

Darryl najwyraźniej w dalszym ciągu nie zamierzał zwierzać się ze swych planów.

– I tak już w tym siedzę, niezależnie od tego, czy mam na to ochotę, czy nie – powiedziała Lea. – Obecnie najbardziej martwi mnie, czy ktoś nie powiąże śmierci Fowlera z moim bratem.

– Jak już powiedziałem, istnieją sposoby na ograniczenie zakresu policyjnego dochodzenia.

– Na przykład podsuniecie policji kogoś, kogo można byłoby zaarrestować? – zapytała Lea. – O to ci chodzi?

Darryl uniósł lekko brwi, nie odrywając jednak wzroku od drogi. Lea odniosła wrażenie, że mu zaimponowała.

– Tak, istnieje taka możliwość – usłyszała. – Skoro policja zadaje niewłaściwe pytania, to nieważne, jakie uzyska odpowiedzi.

– W związku z tym wpadłam na pewien pomysł – ciągnęła Lea, mówiąc szybko ze świadomością, że jest amatorką pouczającą zawodowca. – Prawnik z obsługującej nas zewnętrznej firmy ma klienta, który ma zostać wyeksmitowany z Jacob Riis, ponieważ Fowler przyłapał go na paleniu trawki. To nastolatek. Pomyślałam, że możemy przejąć kontrolę nad tą sprawą i odwrócić od siebie niepotrzebną uwagę.

Lea nie była w stanie rozszyfrować reakcji Darryla. Zamilkła, nie mając pewności, czy się nie wygłupiła.

W końcu Darryl przemówił.

– To mogłoby się sprawdzić – powiedział. – Ale nie chcielibyśmy, by dowiedzieli się o tym prawnicy. Zbyt duże ryzyko.

– Nie będą o niczym wiedzieć – odparła Lea. – I to właśnie jest piękne.

Pomysł uczynienia kozła ofiarnego z klienta Duncana był w zasadzie dziełem improwizacji, Lea zaś sądziła, że Duncan o niczym się nie dowie. Gdyby jednak tak się stało, pomyślała, można będzie, podobnie jak w odniesieniu do większości ludzi, liczyć na jego lojalność powodowaną względami praktycznymi. Opowiedzenie się po stronie rodziny Rothów stanowiło łatwy wybór – przynajmniej tak to sobie wyobrażała Lea.

Zaangażowanie się w romantyczny związek z Duncanem w tak trudnej chwili było głupotą. Lea uznała to za sposób na zagwarantowanie jego lojalności, lecz się pomyliła. Duncan wzmógł jedynie swą czujność. Motywy, którymi kierowała się Lea, uwodząc go, miały nie tylko strategiczną naturę. Lea uważała Duncana za intrygującego. Chciała się przekonać, czy powie jej o sobie to, o czym już wiedziała.

Niedługo po morderstwie Darryl, nieodmiennie wykonujący swą pracę z należytą starannością, sprawdził Duncana, a przedstawiając Lei krótkie podsumowanie, czego się dowiedział, poinformował ją o niespodziewanym fakcie: o czarnoskórym ojcu Duncana. Zaczawszy spotykać się z Duncanem, Lea oczekiwała, że sam jej to powie, lecz, ku jej zaskoczeniu, tak się nie stało. Nie miało to jednak znaczenia – uczyniło tylko Duncana jeszcze bardziej interesującym. Pochodzenie z wpływowej rodziny zawsze wywoływało w Lei poczucie osaczenia, dlatego pociągali ją zawsze ludzie zawdzięczający wszystko samym sobie, Duncan zaś reprezentował ich bez porównania lepiej niż ktokolwiek znany dotąd Lei.

Lea zdawała sobie sprawę, że nie każdy potraktowałby kwestię pochodzenia Duncana tak jak ona. Jej ojciec nie zaaprobowałby jej związku z kolorowym, choć byłby pewnie na tyle rozsądny, by tego nie komentować. Lea zastanawiała się, czy milczenie Duncana nie wynikało z obawy o potraktowanie przez nią tego faktu w podobny sposób.

Pamiętała to, co powiedziała kiedyś Duncanowi o swym życiu: porównała je do gry w szachy. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy porównanie to było prawdziwsze niż kiedykolwiek wcześniej. Lea dostrzegła sposób, w jaki mogłaby posłużyć się Duncanem, i nie zawahała się – pomimo zainteresowania, które wzbudził w niej młody prawnik.

Lecz wyborów dokonywał także Duncan. Gdy nadeszła chwila, w której miał się opowiedzieć po jednej ze stron, zwrócił się przeciwko Lei. Jego lojalność wobec biednego nastolatka z blokowiska wzięła górę nad osobistymi ambicjami. Od tej pory Duncan mógł obwiniać tylko siebie o to, co miało mu się przydarzyć.

Liz Pierce przybyła do biura wiceprokurator Castelluccio, by uzyskać najnowsze informacje w sprawie przeciwko zabójcy jej byłego męża. Zajmowanie się rodzinami ofiar było najmniej lubianą przez Castelluccio częścią jej zajęcia, choć stanowiło inspirację do pracy dla niektórych prokuratorów okręgowych. Rodziny nie były ich klientami w sensie dosłownym – w tej roli występował stan – ale to one w oczywisty sposób najbardziej angażowały się w sprawy. Stanowiło to problem: członkowie rodzin w żałobie, wstrząśnięci śmiercią ukochanej osoby, okazywali mało cierpliwości wobec tajemniczych procedur sądowych, kwestii materiałów dowodowych oraz luk w przepisach prawa karnego. Nie można ich było za to winić, lecz wysłuchiwanie pretensji z powodu błędów wymiaru sprawiedliwości nie czyniło pracy prokuratorów przyjemniejszą.

Castelluccio postanowiła, że w rozmowie udział wezmą detektywi Jaworski i Gomez, a także pomocnik prokuratora okręgowego Bream. Nie przybyli oni jednak w charakterze wsparcia, na wypadek gdyby Liz Pierce przestała panować nad emocjami. Castelluccio wiedziała, że Liz odbierze obecność trzech mężczyzn jako oznakę empatii.

– Zanim przejdziemy do najnowszych ustaleń, chciałabym panią zapewnić, że wciąż dysponujemy całkiem mocnymi argumentami – zaczęła Castelluccio. – To prawda: zaistniał pewien problem. Musieliśmy wycofać wyniki badań pozostałości po wystrzałach, lecz nie zmienia to istoty zarzutów. Dowiedzieliśmy się też właśnie, że handlarz narkotyków siedzący podczas strzelaniny w pobliżu budynku, w którym znajduje się mieszkanie Nazario, nie potwierdza, że widział owego młodego człowieka przebiegającego obok. Lecz to naprawdę nie ma większego znaczenia. Jest bardzo prawdopodobne, że ów świadek nie chce być postrzegany w swym otoczeniu jako ktoś, kto współpracuje z policją. A jeśli nawet mówi prawdę, to jego zeznania w rzeczywistości niczego nie dowodzą, chociaż obrona będzie mogła próbować je wykorzystać. A oto najnowsza wiadomość: obrońca oskarżonego zrezygnował z jego reprezentowania, a sędzia postanowił dać nowemu adwokatowi czas na zapoznanie się ze sprawą. Dlatego prawdopodobnie zakończy się ona nieco później.

– Nie jest dobrze, prawda? – zapytała po chwili Liz.

Castelluccio zerknęła szybko na Jaworskiego, który nie spuszczał wzroku z Liz.

– Co ma pani na myśli? – zapytała.

– Wczoraj odwiedziła mnie ta reporterka – wyjaśniła Liz. – Zdobyła w jakiś sposób wyciągi z konta Seana i wie, że miał w banku o wiele więcej pieniędzy, niż zarabiał.

Castelluccio nie interesowała się do tej pory finansami Fowlera, chociaż dwa tygodnie wcześniej zastępca prokuratora okręgowego Sullivan spotkał się z nią oraz detektywami, by ustalić, czy Fowler był zamieszany w malwersacje na budowie.

– Nie wiem, czy dobrze panią rozumiem – rzekła Castelluccio.

– Właśnie pani mówię, że na kilka miesięcy przed śmiercią mój były mąż wpłacił na swoje konto ćwierć miliona dolarów – odparła Liz. – Nie mam pojęcia, skąd pochodziły te pieniądze.

– Sugeruje pani, że miały one jakiś związek ze śmiercią pani byłego męża? – zapytała Castelluccio.

– Reporterka tak uważa.

– Jak się nazywa?

– Ma na imię Candace i pracuje w „New York Journal”.

– Czy kiedykolwiek kontaktowała się z wami? – zapytała detektywów Castelluccio.

Jaworski pokręcił głową.

– Kiedy dokonaliśmy zatrzymania, zadzwonił do mnie ktoś z tej gazety – powiedział. – Ale to był mężczyzna.

Castelluccio ponownie zwróciła się do Liz.

– I dowiedziała się pani o tych pieniądzach? – zapytała. – To znaczy po śmierci męża?

– Otrzymały je nasze dzieci, więc tak. Nie wiedziałam tylko, że ich większość wpłynęła na konto tuż przed śmiercią Seana. Byłam zaskoczona, że miał aż tyle pieniędzy, chociaż wiedziałam, że brał mnóstwo nadgodzin, więc...

Liz zamilkła, a Castelluccio zrozumiała: Liz wiedziała przez ten czas o zbyt dużej kwocie na koncie byłego męża, lecz nie powiedziała ani słowa, gdyż chciała, by pieniądze pozostały własnością jej dzieci.

– Dlaczego myśli pani, że owa dodatkowa kwota ma coś wspólnego z zamordowaniem pani byłego męża?

Liz spojrzała tylko na Castelluccio, która zastanowiła się, czy nie zadała pytania w zbyt agresywny sposób. Castelluccio nie pojmowała zarazem, dlaczego Liz poruszyła tę kwestię. Im dłużej o tym rozmawiały, tym bardziej stawało się prawdopodobne, iż konieczne będzie poinformowanie

o wszystkim obrony. Castelluccio nie widziała powodu, dla którego pieniądze miałyby mieć związek ze śmiercią Fowlera, lecz – niezależnie od tego, co uczynił zamordowany – ich obecność prawdopodobnie postawiłaby go w niekorzystnym świetle.

– Myślę, że tuż przed śmiercią Sean wpadł w jakieś kłopoty – odezwała się w końcu Liz.

– Co skłania panią do takiego przypuszczenia? – zapytał Jaworski.

Castelluccio zrozumiała, że detektyw postanowił zadać Liz kilka pytań, by wydobyć z niej nowe informacje mogące mieć związek z morderstwem. Odchyliła się lekko w fotelu, chcąc dać Jaworskiemu do zrozumienia, że ma jej przyzwolenie. Pomyślała, że sytuacja przypomina katastrofę: prosta z początku sprawa zaczęła się gmatwać i przybierać nieoczekiwany obrót.

– Nie wiem. To było... Ten sposób, w jaki mówił w ostatnim miesiącu... Poznałam, że zbyt dużo pije i że coś go gryzie. Myślę, że to wszystko miało związek z wypadkiem na budowie, na której był zatrudniony.

– Aurora Tower. Tak, wiemy, że tam pracował – powiedział lekko sfrustrowany Jaworski. – A o co, pani zdaniem, mogło chodzić?

– Nie wiem – odpowiedziała Liz. – Przypuszczam, że Sean wiedział o problemach, które się tam pojawiły.

– Zbadamy tę sprawę – rzekł Jaworski. – Ale naprawdę nie rozumiem, w jaki sposób mogłoby się to wiązać z zamordowaniem Seana na Avenue D miesiąc później.

Liz spojrzała na Castelluccio, jakby oczekiwała od niej wsparcia w obliczu sceptycznej postawy detektywa.

– Jeśli jesteście pewni, że ten Nazario zrobił to z powodu eksmisji, to pewnie chodzi o coś zupełnie innego – powiedziała. – Ale ci, dla których pracował Sean, nie chcą ze mną rozmawiać o tym, co go spotkało. Zapytałam Darryla Loomisa o pieniądze, a on powiedział mi tylko, że Sean je zarobił, lecz nie wyjaśnił, w jaki sposób. Chris Driscoll nawet nie odpowiada na moje telefony. Dlaczego nie chce oddzwonić?

– Driscoll jest byłym policjantem – odparł Jaworski. – I prawdopodobnie dręczy go, że był świadkiem zabójstwa, lecz nie potrafił zapobiec temu, co się stało. Zapewne trudno mu o tym rozmawiać.

– Czy macie pewność, że to Nazario zamordował Seana? – zapytała Liz.

– Mamy mocne dowody – oświadczyła Castelluccio. – Nie mamy powodu, by wątpić, że oskarżony jest tym, który zastrzelił pana Fowlera.

Castelluccio odprowadziła Liz do windy, po czym wróciła do swojego gabinetu, w którym czekali na nią obaj detektywi oraz Bream. Usiadła

i popatrzyła po kolei na każdego z mężczyzn, nie chcąc przemówić jako pierwsza. Przez chwilę panowała cisza.

– Dziwne, co? – odezwał się w końcu Gomez.

– Co jest dziwne? – zapytała Castelluccio.

Gomez wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam, żeby na tym etapie którakolwiek z rodzin ofiar miała wątpliwości, czy zatrzymaliśmy właściwego gościa – wyjaśnił. – Nie spotkałem się z czymś takim nawet w przypadku spraw poszlakowych. Rodziny dla własnego spokoju wierzą, że się nie mylimy. I bez wątpliwości jest im przecież trudno.

– Nie jest łatwo być eksmałżonką ofiary morderstwa – zaproponowała Castelluccio.

– To prawda – rzekł Gomez. – Lecz to dziwna sprawa...

Castelluccio zgodziła się z tym, choć nie wyraziła tego głośno.

– Zgadzałoby się to z tym, co powiedział nam Des Sullivan – stwierdziła.

– Wydaje się, że na kilka miesięcy przed śmiercią Fowler zgarnął trochę pieniędzy do własnej kieszeni. Czy przyjrzelście się tej historii w kontekście wypadku na budowie?

– Jak już powiedzieliśmy Sullivanowi, przejęliśmy sprawę zabójstwa godzinę po oddaniu strażów – wyjaśnił Jaworski. – Nigdy nie sprawdzaliśmy, co robił Fowler.

– Może powinniśmy to zrobić teraz? – zapytał Gomez, spoglądając na Castelluccio.

– Wciąż dysponujemy mocnymi dowodami – powiedziała wiceprokurator. – Mamy naocznego świadka: byłego policjanta obecnego na miejscu zbrodni. Rozpoznał on bezbłędnie sprawcę, który miał motyw oraz sposobność. Badania pozostałości po wystrzałach wykazały, że to on strzelał.

– Wyniki tych badań zostały odrzucone – rzekł Gomez.

– Zostały odrzucone, ponieważ grupa dochodzeniowa postanowiła zabawić się w amatorów – skwitowała Castelluccio. – Lecz obecność takich pozostałości na rękach Nazario jest faktem, nawet jeśli nie możemy wykorzystać go do celów procesowych.

– Mamy zatem sprawdzić Fowlera? – zapytał Jaworski.

– W jakim celu? – odparła Castelluccio. – Żebyśmy, zgodnie z zasadą Brady'ego, musieli przygotować materiały dla obrony? Ta sprawa już i tak przyprawiła nas o większy ból głowy, niż powinna. Czy któryś z was miał już do czynienia z tym nowym obrońcą, Walkerem?

– Jakież dwa lata temu brałem udział w procesie, podczas którego bronił oskarżonego o morderstwo – odpowiedział Jaworski.

– Jak wypadł?

– To najlepszy obrońca, jakiego można sobie wymarzyć. Z naszego punktu widzenia, rzecz jasna.

– Jest aż tak kiepski?

– Jego klienta oskarżono o napaść z bronią w ręku – rzekł Jaworski. – Podczas rozprawy Walker zadawał mi pytania, dzięki którym mogłem pogrążyć jego klienta. Ustalenie werdyktu zajęło ławie przysięgłych zaledwie godzinę.

– Miejmy nadzieję, że Walker wie, że jest słabym obrońcą – powiedziała Castelluccio. – Bo wydaje mi się, że pora zacząć myśleć o ugodzie.

Duncan dotarł do domu tuż przed dziesiątą – jak na niego wcale nie pracował zbyt długo. Prawie nigdy nie zdarzało mu się wracać wcześniej niż o dziewiątej. Do wyjątków należały dni, kiedy mógł sobie pozwolić na wyjście z kancelarii około siódmej i spędzić godzinę w siłowni.

Mniej więcej trzy razy w tygodniu Duncan jadał obiady przy swoim biurku, zamawiając posiłki przez internet w SeamlessWeb. Ostatnio jednak czuł się w biurze nieco nieswojo i z coraz większą niecierpliwością wyczekiwał wyjścia do domu. Jeszcze sześć miesięcy wcześniej był pewien, że zostanie partnerem i spędzi resztę swego zawodowego życia w kancelarii. Ostatnio jednak wszystkie te przewidywania wzięły w łeb, Duncan zaś nie wiedział nawet dlaczego. Nie uczynił niczego, co byłoby wymierzone przeciwko Blake'owi, a jego jedynym przewinieniem było niezastosowanie się do sugestii, zgodnie z którą miał doprowadzić sprawę Nazario do szybkiej ugody.

Był w domu od mniej więcej dziesięciu minut, gdy zadzwonił portier. Duncan, właściwie nigdy nieodwiedzany przez niezapowiedzianych gości, podszedł do domofonu. Portier mówił niewyraźnie, z silnym słowiańskim akcentem. Wsłuchujący się w jego słowa Duncan domyślił się w końcu, że zaanonsowanym właśnie gościem jest Lea Roth.

Lecz Lea jeszcze nigdy nie była w jego mieszkaniu, Duncan zaś nie wiedział nawet, jak zdobyła jego adres. Nie miał też pojęcia, co skłoniło ją do złożenia tak nagłej wizyty. Był jednak prawie pewien, że nie będzie to spotkanie towarzyskie.

Nie wiedział, jak przywitać się z Leą, ale zrobił wszystko, by zmusić się do okazania życzliwości, chociaż było to sprzeczne z jego odczuciami. Opanowanie Lei wydało mu się lekko wymuszone. Czyżby była zdenerwowana?

– Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam? – zapytał.

– To najmniej istotna z rzeczy, które wiem – odpowiedziała.

– Napijesz się czegoś? Wody, piwa, drinka?

– To będzie krótka wizyta – odpowiedziała Lea. – Powiedziałam ci, Duncanie, żebyś trzymał się od tej reporterki z daleka. Dlaczego mnie nie posłuchałeś?

Duncan poczuł lekki strach, lecz spróbował to zignorować.

– Masz na myśli reporterkę z „New York Journal”? Interesowała się

sprawą Nazario, to wszystko – powiedział.

– Myślałam, że prawnicy wiedzą, jak nie dać się przyłapać na kłamstwie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kilka dni temu Candace Snow odwiedziła cię w twoim mieszkaniu.

A przecież zrezygnowałeś już z udziału w sprawie Nazario.

– Skąd wiesz, kto był w moim mieszkaniu? – zapytał Duncan, nie kryjąc gniewu. – O co tu chodzi, Lea?!

Wyglądała na prawdziwie zasmuconą.

– Zaoferowałam ci tak wiele, Duncanie... – powiedziała. – Była to wyjątkowo dobra propozycja, zwłaszcza że w zamian nie musiałeś niczego robić.

Duncan zwrócił uwagę na czas przeszły, którego użyła Lea. Zaczął się więc zastanawiać, co mógłby uczynić, by się z nią pojednać.

– Nie zdradziłem ani ciebie, ani twojej firmy – odezwał się. – Nie wiem, co cię trapi, ale nie zrobiłem nic niewłaściwego.

Lea pozbierała się.

– Jeśli powiedziałaś reporterce chociaż jedno słowo, którego nie powinieneś być powiedzieć, postaram się, żebyś straciła licencję prawniczą – oświadczyła.

Duncan poczuł się zmęczony groźbami Lei.

– Widzę, że przerzuciłaś się z marchewki na kij – powiedział z półuśmiechem.

– Pamiętaj tylko, że to ty dokonałeś wyboru – rzekła Lea. – To jest pożegnanie. Od tej chwili twoje życie będzie pełne wyzwań.

Jedno spojrzenie na nowego obrońcę wystarczyło, by Rafael zaczął tęsknić za Duncanem Rileyem. Robert Walker nosił tani, od dawna już za ciasny garnitur, a jego ramiona były lekko przyprószone łupieżem. Miał też rozluźniony krawat i wystrzępiony kołnierzyk poźółkłej koszuli. Był niechlujem i nie przejawiał najmniejszej nawet odrobiny właściwego Duncanowi doskonałego profesjonalizmu. Gdy wprowadzono Rafaela, Walker nie podniósł się nawet z miejsca. Trzymał na kolanach kilka kartek i czytał jeszcze przez chwilę, zanim w końcu wyciągnął rękę.

– Przybywam z dobrymi wiadomościami – powiedział. – Prokurator okręgowy złożył ci propozycję, i to dobrą.

Rafaelowi nie w głowie była ugoda, zwłaszcza od rozmowy z Duncanem, podczas której chłopak postanowił, że będą walczyć. Patrząc na Walkera, Rafael zastanawiał się jednak, czy jakakolwiek wojna z prokuraturą wchodzi jeszcze w grę.

– Jaka to propozycja? – zapytał.

– Prokurator chce zmienić zarzut na morderstwo drugiego stopnia i wnioskować o osiemnaście lat. Oznacza to, że ze względu na dobre zachowanie wyjdiesz po piętnastu. Ale jeśli uprzesz się przy procesie, będziesz mógł zostać skazany nawet na dożywocie bez możliwości warunkowego ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie, a wtedy możesz już nigdy nie wyjść na wolność. Skoro ten martwy gość był kiedyś gliną, to propozycja prokuratora jest naprawdę cholernie korzystna.

– Piętnaście lat w więzieniu to cholernie korzystna propozycja? – zapytał sceptycznie Rafael.

– W porównaniu z dożywociem bez warunkowego zwolnienia? Tak, myślę, że akurat w twojej sytuacji piętnaście lat to doskonała oferta.

– Ale pan Riley uważa, że będzie mógł mnie wybronić – zaprotestował Rafael.

Ponownie poczuł się zdradzony z powodu utraty prawnika, który, jak wierzył, miał dość siły, by wygrać z wymiarem sprawiedliwości.

– Zapewniam cię, że ostatnią rzeczą, której potrzebujesz, jest jakiś młody zbuntowany prawnik, chcący wyrobić sobie nazwisko, podczas gdy twoja przyszłość wisi na włosku – powiedział Walker. – Nawet najlepsi obrońcy w sprawach kryminalnych o wiele częściej przegrywają, niż wygrywają, taka jest prawda. Twój były adwokat prawdopodobnie mówił ci tylko to, co

chciałeś usłyszeć, ale nie licz na uniewinnienie, bo to nierealne. Jesteś młody. Zdecyduj się na ugodę: kiedy wyjdiesz z więzienia, wciąż będziesz miał przed sobą całe życie.

– Więc mówi pan, że powinienem się zgodzić na piętnaście lat?

– Piętnaście pod warunkiem dobrego sprawowania. Zdecydowanie uważam, że powinieneś przystać na propozycję prokuratora. Jeśli tego nie zrobisz, popełnisz wielki błąd.

Rafael nie wiedział, jaki naprawdę ma wybór. Walka miałaby sens, gdyby udało się ją wygrać, chłopak zaś nie był już pewien, czy jest to jeszcze możliwe. A nawet jeśli, to na pewno nie z pomocą nowego obrońcy.

– Więc sądzi pan, że moja sprawa jest nie do wygrania? – zapytał.

To pytanie zadane wprost wprowadziło Walkera w zakłopotanie.

– Świadkiem, który zeznaje przeciwko tobie, jest były glina – odpowiedział obrońca. – Wiadomo też, że miałeś motyw i przebywałeś na miejscu zbrodni, kiedy do niej doszło.

– Mój stary prawnik uważał, że może wygrać – powtórzył Rafael.

– Posłuchaj, Ramon. Poznałem twojego poprzedniego obrońcę. Jest młody, nadęty i nigdy wcześniej nawet nie próbował wystąpić w sprawie karnej. Rozumiem, że wywarł na tobie wielkie wrażenie, bo ma kwalifikacje i Bóg wie czego mu jeszcze nie brakuje, ale ty potrzebujesz prawnika, który naprawdę jest otrzaskany z sądami karnymi w tym mieście i wie, jak wygląda prawdziwe życie. Dlatego to właśnie ja byłem w stanie załatwić ci natychmiast dobrą propozycję ugody.

Rafael nie zamierzał przyznać się do morderstwa, którego nie popełnił, ani nawet nie wyobrażał sobie, że mógłby to zrobić. Jeszcze nie tak dawno był pewien, że uda mu się odeprzeć zarzuty i wyjść z więzienia, a może i doczekać się przeprosin. Teraz nie wierzył już, że jego sprawę wygra ktoś, kto nie potrafi nawet zapamiętać jego imienia.

Musiał wszystko przemyśleć i zasięgnąć czyjejś rady. Matka i babka Rafaela były święcie przekonane o jego niewinności. Sądziły, że to wystarczy, by chłopak odzyskał wolność. Z początku wierzył w to także sam Rafael, lecz ostatecznie przestał się łudzić: przekonał się, że bycie niewinnym to zbyt wątła gwarancja bezpieczeństwa. Chętnie omówiłby swą sytuację z Duncanem Rileyem, ale właśnie został pozbawiony takiej możliwości. W grę wchodziła już tylko jedna osoba.

* * *

Znalezienie Armanda zajęło Rafaelowi cały dzień. Spotkał go w końcu w stołówce. Armandowi towarzyszyło kilku Portorykańczyków, między

innymi Luis Gutierrez. Od czasu, kiedy Armando wygłosił gadkę o portorykańskim stowarzyszeniu, Rafael unikał go, chcąc przetrwać na Rikers Island bez konieczności sprzymierzania się z kimkolwiek. Tego dnia zmusił się jednak, by podejść i poprosić go o chwilę rozmowy na osobności.

Armando wydawał się zaskoczony tą prośbą, lecz zgodził się. Rzucił szybkie spojrzenie i mężczyźni siedzący z nim przy stole znikli. Rafael usiadł.

– Mam problem z moją sprawą i nie wiem, z kim mogę o tym pogadać – powiedział. – Mój prawnik chce, żebym przystał na ugodę. Mówi, że wyjdę za piętnaście lat.

Armando przyglądał się przez chwilę swemu rozmówcy.

– Piętnaście lat za morderstwo... Hmm, to nawet nieźle – powiedział. – Jak już wyjdiesz z pudła, to i tak będziesz miał przed sobą jeszcze mnóstwo czasu.

– Przecież nikogo nie zastrzeliłem – powiedział Rafael. – Ta sprawa to jedna wielka pomyłka.

Usłyszawszy to, Armando uśmiechnął się.

– To nie pomyłka – powiedział. – Wciąż wierzysz, że wymiarowi sprawiedliwości zależy na dojściu do prawdy. Lecz rzeczywistość wygląda inaczej: chcą nas pozamykać. Nieważne, co zrobiliśmy, ważne, kim jesteśmy.

Wcześniej Rafael nie chciał w to wierzyć i z uporem odsuwał myśl, że mogłoby tak być w istocie. Lecz nie miał już siły powtarzać, że jego aresztowanie to nieporozumienie, które da się wyjaśnić. Zaufał Duncanowi Rileyowi, ale ten już nie mógł mu pomóc. Nowy obrońca, zupełnie niezainteresowany wygraniem sprawy, chciał jedynie jak najszybciej ją odfajkować. Gdyby doszło do procesu, wszyscy usłyszeliby słowo Rafaela przeciwko słowu Chrisa Driscolla, byłego policjanta.

– Więc uważasz, że powinienem się zgodzić na piętnaście lat? – zapytał Rafael.

– To bardzo dużo, wiem – powiedział Armando. – Ale jeśli staniesz przed sądem pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia, wlepią ci dożywocie i nie będziesz miał szansy na skrócenie wyroku, co znaczy, że umrzesz w więzieniu. To najgorszy scenariusz z możliwych. A piętnaście lat da się wytrzymać. Jeśli się do nas przyłączysz, wykonasz siedem kroków i zostaniesz naszym bratem na całe życie, zatroszczymy się o ciebie. Wszędzie mamy swoich ludzi.

Rafael zaczął się zastanawiać, czy naprawdę mógłby spędzić piętnaście

lat za kratkami, nie korzystając z ochrony, którą zapewniłby mu gang? Przeżycie na Rikers Island, kiedy jest się zdanym wyłącznie na siebie, to jedno, lecz doczekanie do końca wieloletniego wyroku w więzieniu o zaostrowym rygorze to już zupełnie inna sprawa.

Armando pochylił się i spojrzał Rafaelowi prosto w oczy.

– Zamierzam pójść na ugodę – powiedział. – Mam odsiedzieć siedem lat. To mój najdłuższy wyrok. Ale nikt nie będzie ze mną pogrywał. I jest coś jeszcze: pomagamy tu sobie wzajemnie. *Hermano*, powiedz tylko jedno słowo, a uczynię cię jednym z nas.

Telefony od nieznanym, nieskorych do przedstawiania się, lecz oferujących wyjawienie największych tajemnic, były nieodłącznym, standardowym elementem dziennikarskiej profesji Candace. Rozmowa z pragnącą zachować anonimowość kobietą, która oświadczyła, iż może dostarczyć informacji w sprawie wypadku na Aurora Tower, wprowadziła jednak reporterkę w rozedrganie. Candace musiała zwalczyć pierwszy odruch odmowy spotkania z anonimową rozmówczynią. Uchylenie się od rozmowy nie wchodziło w grę: strach przed kontaktem z potencjalną informatorką oznaczałby, że z dziennikarstwem pora skończyć. Candace, odczuwająca bezustanny niepokój, odkąd ktoś włamał się do jej mieszkania, postanowiła jednak, że się nie podda i nie pozwoli, by cokolwiek powstrzymało ją od wykonywania pracy. Mimo to zrobiła coś, czego nie miała w zwyczaju: wysłała Nugentowi wiadomość, w której poinformowała go o spotkaniu z nieznaną.

Umówiła się z tajemniczą informatorką w Starbucksie w pobliżu Union Square. I tym razem, usiłując uwolnić się od niepożądanego towarzystwa, wymknęła się tylnym wyjściem budynku redakcji, a jadąc metrem, przeszła przez szereg wagonów. Rozglądała się, by sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi. Gdy pociąg linii N dotarł wreszcie do Union Square, Candace wyskoczyła w ostatniej chwili przez zamykające się drzwi. Czowała się głupio, jak ktoś, kto odgrywa rolę tajnego agenta, a zarazem robiła to, co wydawało jej się konieczne – zwłaszcza że miała zobaczyć się z kimś chcącym porozmawiać o Aurora Tower.

Rozmawiając z nieznaną przez telefon, opisała swój wygląd. Gdy stanęła na środku kawiarni, zauważyła po kilku sekundach machającą do niej kobietę. Podeszła i przedstawiła się. Niespełna trzydziestoletnia, wyjątkowo piękna dziewczyna zawahała się nieco, zanim uścisnęła jej dłoń. Najwyraźniej nie witała się w ten sposób zbyt często, w każdym razie nie z kobietami.

– Skoro mamy porozmawiać, chciałabym się dowiedzieć, kim pani jest – powiedziała Candace. – Mogę zagwarantować pani anonimowość, jeśli chodzi o artykuł, lecz muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, lecz w końcu skinęła głową.

– Nazywam się Alena Porter – przedstawiła się.

– Zatem, Aleno, o czym chciała ze mną pani porozmawiać?

– Przeczytałam artykuł o Aurora Tower i pomyślałam, że zainteresuje panią to, co wiem o rozgrywających się tam wydarzeniach.

Candace wątpiła, czy jej rozmówczynie może znać sekrety jednej z największych inwestycji budowlanych w mieście.

– Domyślam się, że nie jest pani zawodowo związana z tą budową – powiedziała.

Alena, z początku zakłopotana, uśmiechnęła się.

– Zastanawia się pani, skąd mogę cokolwiek wiedzieć? – zapytała. – Spotykałam się z Jeremym Rothem.

Candace jak rażona piorunem, z trudem ukryła podekscytowanie. Zdała sobie bowiem sprawę, że być może, od czasu ubiegłorocznej rozmowy z Williamem Stantonem, sprawa doczeka się kolejnego wielkiego przełomu.

– Opowiadał pani, co tam się działo? – zapytała.

– Jeremy nie jest najlepszy w formułowaniu swoich myśli, lecz udało mi się wychwycić kilka informacji.

– Bolesne rozstanie? – nie mogła się powstrzymać Candace.

Alena wykrzywiła lekko usta.

– Słucham?

– To dlatego chce pani ze mną rozmawiać?

– Tak, bolesne – odpowiedziała Alena. – Myślę, że można tak to nazwać.

– Proszę tylko pamiętać, że jeśli pani już coś mi powie, nie da się tego cofnąć. To chyba jasne?

– Tak, bardzo dobrze zdaję sobie z tego sprawę – odparła prowokacyjnie Alena.

– W porządku – rzekła Candace, nie chcąc powiedzieć już niczego, co mogłoby skłonić jej rozmówczynię do wycofania się. – Co zatem ma mi pani do powiedzenia?

Alena wahała się tak długo, że Candace zaczęła się zastanawiać, czy dziewczyna nie zdezerteruje.

– Jeremy był zamieszany w kradzież – zaczęła w końcu szybko opowiadać Alena. – Współpracował z człowiekiem dostarczającym beton. Z tym, który uciekł. Brał od niego pieniądze, a w zamian przymykał oko na jego nadużycia. Udawał, że nie wie, że betoniarz oszczędza na robotach mających zapewnić bezpieczeństwo na budowie.

Candace nie usłyszała nic nowego, lecz jeśli wziąć pod uwagę, że straciła poprzedniego informatora, informacje przekazane jej przez Alenę były bez wątpienia cenne i dowodziły uczciwości jej rozmówczynie.

– Jeremy to pani powiedział? – zapytała.

Alena skinęła głową.

– Ktoś, kto o tym wiedział, szantażował Jeremy’ego, a on miał obsesję na tym punkcie. Ale później przestał się przejmować i powiedział, że ten ktoś nie będzie już dłużej się mu naprzykrzał.

Candace powiązała fakty. Fowler znał ciemne interesy na budowie, a gdy zginął, miał na koncie podejrzenie dużą kwotę. Nie został jednak zamordowany, bo wiedział za dużo – zamordowano go, bo swą wiedzą szantażował Jeremy’ego Rotha.

– Czy wie pani, kim był szantażysta? – zapytała, mając nadzieję, że w końcu dowie się tego od Aleny.

– Był to ktoś związany z Aurorą i jestem prawie pewna, że chodzi o mężczyznę. Ale to wszystko, co wiem.

– Mówi pani coś nazwisko Sean Fowler? – spytała Candace.

Alena pokręciła głową.

– Któż to taki?

Candace ledwie ukryła rozczarowanie. Była przekonana, że skompletowała układankę, lecz teraz, skoro Alena nie wiedziała, kto szantażował Jeremy’ego, nie miała żadnych dowodów, które pozwoliłyby jej opublikować opis całej tej sprawy.

– Sean Fowler był zatrudniony na budowie i został zamordowany dwa miesiące temu – powiedziała. – Kiedy Jeremy wspomniał, że koniec z szantażem?

Na dźwięk słowa „zamordowany” Alena zbladła. Spoglądała przez chwilę na Candace.

– Nie pamiętam dokładnie – odezwała się w końcu. – Było to jakiś czas temu.

– Czy Jeremy mówił pani coś o zniknięciu Jacka Pellettieriego?

– Nie.

– Czy widziała się pani kiedykolwiek z Pellettierim?

– Jediną osobą, którą poznałam w związku z interesami Rothów, był jeden z Arabów, od których Jeremy próbował uzyskać pieniądze.

Candace nie wiedziała, o czym mówi Alena.

– Pieniądze na co? – zapytała.

– Na Aurora Tower. Nie znam szczegółów, ale wiem, że Rothowie potrzebowali wielkiej sumy, by móc kontynuować prace na tej budowie. Szukali setek milionów dolarów.

– I otrzymali je?

– Od Arabów nie. A czy pożyczył im ktoś inny? Nie wiem.

– Czy ma pani coś na potwierdzenie tych informacji? Jakies maile albo nagrania z automatycznej sekretarki?

Alena pokręciła głową.

– Nie wierzy mi pani? – zapytała.

– Wierzę pani całkowicie – odpowiedziała Candace. – Lecz jeśli będę chciała opublikować artykuł, moi szefowie zażądają czegoś więcej niż pani słowa. Musielibyśmy się dowiedzieć, kto szantażował Jeremy’ego.

– Powiedziałam wszystko, co wiem – odparła Alena, sprawiając wrażenie sfrustrowanej.

Candace widywała już taką reakcję u informatorów, którzy dzielili się z nią swą wiedzą z powodów osobistych: chcieli, by to, co powiedzieli, ukazało się następnego dnia na pierwszej stronie gazety. I choć Candace była pewna, że tak się nie stanie, Alena dostarczyła ostatnią część potrzebną w tej układance. Właśnie zebrała wszystkie informacje potrzebne jej do napisania artykułu. Nie miała jednak nic na ich poparcie, co oznaczało, że nie będzie mogła go opublikować.

Wróciwszy do redakcji, Candace udała się do gabinetu Nugenta, by opowiedzieć mu o swej nowej informatorce. Nugent słuchał uważnie, a gdy Candace skończyła, wstał i zamknął drzwi. Zaskoczona Candace nie przypominała sobie, by kiedykolwiek zachowywał się w taki sposób.

– Pomyślałem, że i tak się dowiesz – powiedział.

– O czym?

– Ta rozmowa nigdy nie miała miejsca, rozumiesz?

– Teraz to mój własny szef rozmawia ze mną nieoficjalnie?

– Zgadza się. Czy to jasne?

– W porządku, Bill. O co chodzi?

– Właściwie nie jest żadną tajemnicą, że ponosimy straty – zaczął Nugent. – Jediną rzeczą, która spada szybciej niż nasz nakład, są przychody z reklam. Zwolnienia z odprawą tego lata dały nam tak niewiele, że nie możemy nawet marzyć o załataniu dziury w finansach. Rozważamy zwolnienie dziesięciu procent zatrudnionych w redakcji informacyjnej. Każdy jest zagrożony. Ja też, do cholery.

Candace nie wiedziała, do czego zmierza Nugent, lecz najwyraźniej nie zanosilo się na nic dobrego.

– Chcesz mi powiedzieć, że wylecę z pracy? – zapytała.

– Nie, chociaż nie mogę ci też obiecać, że nie wylecisz. Ale nie o tym chciałem mówić. Chodzi o to, że tracimy pieniądze błyskawicznie i musimy zachować pewną... ostrożność. Nawet bezpodstawne pozwy o zniesławienie

mogą nas kosztować setki tysięcy dolarów, a to oznaczałoby konieczność zwolnienia kilku następnych osób.

– Zatem gazeta martwi się, że Simon Roth znowu nas pozwie?

– Problem polega na tym, że Roth uważa, że chcesz się na nim zemścić. Ma rację czy nie, rzecz w tym, że wszystko, co o nim napiszesz, najprawdopodobniej doprowadzi do procesu.

Candace nie wierzyła własnym uszom.

– Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że gazeta prowadzi obecnie politykę niepisania o Simonie Rocie? – zapytała.

– Nikt nie powiedział, że Roth nie będzie się pojawiał w gazecie – odrzekł Nugent. – Ty natomiast musisz sobie odpuścić.

– Ale przecież znalazłam swoje źródła informacji i już niewiele mi brakuje do napisania artykułu – oburzyła się Candace.

– Masz informacje w sprawie zamordowania Fowlera, to przekazaj je Alexowi Costello – powiedział Nugent.

Polecenie to przelało czarę goryczy.

– Costello nie jest reporterem śledczym – powiedziała Candace. – Zresztą to największy artykuł, nad jakim zdarzyło mi się dotąd pracować. Taki, który mógłby wywołać olbrzymią sensację.

– To nie moja decyzja, Candace – odparł Nugent. – Tak postanowił Friedman, a ja tylko przekazuję ci tę informację. Zresztą i tak miałaś nie szukać informatorów wiedzących coś o Rocie.

– Informatorka sama się do mnie zgłosiła, nie szukałam jej – powiedziała Candace. – Swoją drogą: potwierdziła moje przypuszczenia.

– Niemniej jednak nie powiedziała ci niczego, co możemy wydrukować. Ktoś szantażował Jeremy'ego Rotha, lecz nie wiedziała kto. Spekulowałabyś tylko, że był to Sean Fowler, a gdybyś to opublikowała, doszłoby do procesu, który byśmy z pewnością przegrali.

– Moja informatorka jest drugą osobą, która mi powiedziała, że Jeremy Roth brał aktywny udział w malwersacjach – oświadczyła Candace. – Już nawet tylko o tym warto napisać.

– Prawdopodobnie – rzekł Nugent. – Lecz to nie ty będziesz o tym pisać. Przekaż swoje materiały Costello i wróć do artykułu o finansowaniu kampanii wyborczej.

– To jakaś bzdura.

– To jest życie – odparł Nugent.

Po wyjściu z gabinetu Nugenta Candace udała się na poszukiwanie Brocka Andersa. Serwis plotkarski, w którym pracował, mieścił się

w niewielkim pomieszczeniu oddzielnym od redakcji informacyjnej. Candace zastanawiała się zawsze, kogo w ten sposób chroniono: reporterów przed felietonistami od plotek czy odwrotnie?

Brock, siedzący właśnie w swym boksie i piszący maila, od razu poznał, że Candace jest zdenerwowana. zaproponował, by dotrzymała mu towarzystwa w przerwie na papierosa. Poszli na tyły budynku, w stronę ramp załadowniczych, przy których zbierali się firmowi palacze.

– Coś nie tak? – zapytał Brock, zapaliwszy papierosa.

Trafiłam na bardzo ważny wątek, który mogłabym wykorzystać w artykule o Aurora Tower, lecz szefowie zabraniają mi dalszego zajmowania się tą sprawą – odpowiedziała Candace. – Najwyraźniej bardzo się boją, że Roth wystąpi z nowym pozwem, więc kazali mi się zamknąć, mimo iż w artykule nie ma się do czego przyczepić.

Brock pokręcił głową.

– Myślę, że w tych czasach nie możemy sobie nawet pozwolić na wygranie procesu – powiedział. – Słyszałem, że mają nastąpić kolejne zwolnienia z odprawami. Przystałbym na to, gdybym się nie bał, że później nie będę mógł znaleźć pracy.

– Rozumiem, że brakuje pieniędzy, a gazeta to biznes – odparła Candace. – Ale kiedy pozwalamy bogatym oszustom dyktować, o czym mamy pisać, to może po prostu pora wywiesić białą flagę i wymaszerować z okopów.

– Przecież nikt ci nie mówi, żebyś w ogóle przestała pracować. Wiem, że sytuacja jest do dupy, ale w tym błotnistym bajorze jest jeszcze mnóstwo innych ryb.

– I każda z nich ma instrukcję, jak mnie uciszyć.

– Widzisz, co się dzieje, kiedy traktujesz pracę za poważnie?

– Mam już prawie cały artykuł – powiedziała Candace. – Wielki, sensacyjny materiał, tyle że poza zasięgiem gazety. To mnie dobija.

– Nikt nie dostaje każdego artykułu, Candace – odparł Brock. – Wiesz o tym.

– Co innego, gdybym nie potrafiła połączyć tego wszystkiego w całość. To się zdarza, jasne. Ale przecież to mój własny zespół usuwa mnie z boiska.

– To po prostu nie jest walka, którą w tym momencie możesz wygrać – rzekł Brock, dopalając papierosa. – Jeśli założyć, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Wracamy?

– Muszę jeszcze stąd zadzwonić – powiedziała Candace.

Brock uniósł brwi, lecz powstrzymał się od pytań. Gdy się oddalił,

Candace wyjęła komórkę i wybrała numer jedynej, jej zdaniem, osoby, którą naprawdę mogłoby zainteresować jej odkrycie.

– Co się stało? – zapytał Duncan.

– Odkryłam prawdziwy powód, dla którego zamordowano Seana Fowlera – odpowiedziała Candace.

Duncan był podenerwowany. Spędził cały dzień na nadzorowaniu przygotowywania dokumentacji Rotha, która miała trafić do biura prokuratora okręgowego. To żmudne zajęcie szło tym gorzej, że myślami był zupełnie gdzie indziej. Planował spotkanie z Candace, z którą umówił się na ósmą. Zadzwoiła tego popołudnia i oświadczyła, że dokonała przełomowego odkrycia w sprawie zabójstwa Fowlera. Od tej pory dzień zaczął się wlec niemiłosiernie: Duncan nie mógł się doczekać nowych wieści.

Tuż po piątej zadzwonił Blake. Kazał Duncanowi natychmiast przyjść do swego gabinetu. Duncan był nieco zaskoczony, gdyż rzadko spotykał się z Blakiem, nie wiedząc, o co chodzi.

– Zamknij drzwi – powiedział Blake, gdy Duncan wszedł.

Młody prawnik spełnił jego życzenie, słysząc dzwonki alarmowe brzęczące w jego głowie.

– Spałeś z Leą Roth? – zapytał Blake.

Duncan spodziewał się złych wieści, lecz nie takiego pytania. Był kompletnie zdezorientowany i wiedział, że nie udało mu się tego ukryć.

– Słucham? – zapytał po chwili, tylko po to, by coś powiedzieć.

– Odpowiedz na pytanie – nalegał Blake.

– Od kiedy to firma interesuje się moim życiem prywatnym?

– Jeśli spałeś z jedną z moich klientek, to interesuje mnie to, i to bardzo.

Duncan wciąż się zastanawiał, jak odpowiedzieć. Zdał sobie sprawę, że Blake mógł dowiedzieć się o wszystkim tylko od Lei. Był to jej kolejny ruch – gra, której finałem miało być wyeliminowanie Duncana.

– Spędziliśmy ze sobą trochę czasu, towarzysko – powiedział Duncan. – To ona zapoczątkowała nasze spotkania.

– To twoja ostatnia szansa: jeśli chcesz zaprzeczyć, że z nią spałeś, zrób to teraz.

– Jezu, Steven, dlaczego mnie o to pytasz?

– Uprawianie seksu z klientką firmy to poważna sprawa – odpowiedział Blake. – Jestem pewien, że o tym wiedziałeś i nikt nie musiał ci tego mówić. Lea zadzwoniła do mnie i powiedziała, że nie chce, żebyś dłużej pracował nad jej sprawami. Gdy zapytałem dlaczego, stwierdziła, że byłoby to dla niej krępujące z powodu waszego krótkotrwałego bliskiego związku i że miałyby wątpliwości, czy mogłyby ci wciąż ufać.

– Te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego, niezależnie od relacji, jaka nas łączyła – odparł Duncan, usiłując zdobyć się na uśmiech.

Blake uniósł rękę.

– Nie chcę tego słuchać – powiedział.

– Chciałbym jednak przedstawić swój punkt widzenia...

– Gównu mnie obchodzi twój punkt widzenia – przerwał Blake. – Rozumiesz? Złamałeś zasady i tylko to się liczy.

– Porozmawiam z Leą – powiedział Duncan. – Przykro mi, że zostałeś w to wplątany, ale mogę wszystko wyjaśnić.

Blake pokręcił głową.

– Nie rozumiesz, Duncanie – rzekł. – Na to jest już zdecydowanie za późno. Lea Roth jest prawdopodobnie przyszłym dyrektorem generalnym firmy, która należy do naszych kluczowych klientów. Naraziłeś na szwank stosunki łączące naszą kancelarię z nią i jej rodziną, a tego nie możemy i nie będziemy tolerować.

Duncan nie chciał uwierzyć w to, o czym właśnie pomyślał.

– Co chcesz powiedzieć, Steven? – zapytał.

– Mówię: zostałeś właśnie zwolniony – odpowiedział Blake.

Wylali cię? – zapytała Candace z niedowierzaniem.

Spotkali się w pamiętającym jeszcze czasy starej Hell's Kitchen barze Rudy's przy Dziewiątej Alei. Gdy Candace weszła, Duncan już czekał, i to od dłuższej chwili, co nietrudno było zauważyć.

Usiedli pod ścianą, na jednej z półokrągłych ciemnoczerwonych kanap. Duncan wyglądał dość nieciekawie: koszula wysunęła mu się ze spodni i miał szkliste oczy. Candace nie wiedziała, do jakiego stopnia należałoby winić za to alkohol, a do jakiego szok, którego najwyraźniej doznał.

– Zostałem wylany, spoko... – powiedział Duncan.

– Co się stało?

– Powiem krótko: wkurwiłem Leę Roth.

– Jak ci się to udało?

– Wystarczyło, że z tobą rozmawiałem. Wiedziała, że byłaś w moim mieszkaniu. Jak sądzę, pomyślała, że ją zdradzam, bo nie chciałem zrezygnować ze sprawy Nazario.

– I, ot tak, była w stanie sprawić, że wyrzucono cię z firmy?

– Jej rodzina miała w tym swój udział – odpowiedział Duncan z kamienną twarzą.

Candace pomyślała, że za tą sprawą kryje się coś więcej, lecz postanowiła nie naciskać.

– Jej rodzina mi z kolei podcięła skrzydła w gazecie – powiedziała. – Chociaż zdaje sobie sprawę, że to nie to samo.

– Nie, to nie to samo – potwierdził Duncan. – A co z twoją wielką nowiną dotyczącą Fowlera?

Candace czuła się źle, mając rozmawiać o tym w tej sytuacji, lecz Duncan wyglądał tak, jakby naprawdę chciał się wszystkiego dowiedzieć.

– Dowiedziałam się ze swojego źródła, że Jeremy Roth był szantażowany przez kogoś, kto wiedział o jego malwersacjach na Aurora Tower – odpowiedziała. – Moje źródło nie zna nazwiska szantażysty, ale to musiał być Sean Fowler.

Candace dostrzegła, że Duncan usiłuje powiązać fakty i staje się coraz bardziej podekscytowany.

– Wyjaśniąoby to sprawę pieniędzy – powiedział w końcu.

Candace skinęła głową.

– Fowler staje się coraz bardziej pazerny, więc Jeremy go wykańcza – powiedziała. – Naoczny świadek, Chris Driscoll, jest niedaleko. Cholera, może to on jest mordercą?

Duncan pociągnął łyk whiskey i zaczął chrupać kostkę lodu.

– Czy możesz to opublikować? – zapytał.

– Nie ma szans – odpowiedziała Candace. – Nie mam jeszcze dość informacji, by napisać o szantażu, a gdybym nawet je miała, to nie potrafiłabym powiązać szantażu z Fowlerem.

– Nawet wiedząc o jego pieniądzach?

Candace potrząsnęła głową.

– To zbyt daleko idące spekulacje – powiedziała. – Zwłaszcza w odniesieniu do Rothów. Kazano mi przestać się nimi zajmować.

– Dlaczego?

– Gazeta cienko przędzie i boi się kolejnego pozwu. Żeby móc opublikować artykuł, musiałabym mieć twarde, niepodważalne dowody, a daleko mi jeszcze do ich zdobycia.

– W zeszłym tygodniu rozmawiałem z nowym obrońcą Rafaela, ale to jakiś głupi kutas – powiedział Duncan. – Nie potrafię sobie wyobrazić, że cokolwiek wskóra.

Candace wyglądała przez chwilę na zakłopotaną. Nagle jej oczy rozszerzyły się.

– Cholera, przecież ty nic nie wiesz! – stwierdziła.

– O czym?

– Nazario się przyznaje.

Duncan podniósł głowę.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Przyznaje się do popełnienia morderstwa. Myślałam, że już wiesz. Wyznaczono mu termin stawienia się przed sądem.

Duncan zbladł.

– Nie ma, kurwa, takiej możliwości – oświadczył. – Rafael nie brał pod uwagę ugody. To wojownik, dlaczego miałby pójść na układ?

– Nie mam pojęcia. Przecież nawet go nie znam.

Duncan dokończył drinka i zagrzechotał lodem w pustej szklaneczce.

– Rafael nie może się przyznać – powiedział. – Tylko on nam został.

– Właśnie o to chodzi – odparła Candace. – I o to, że tego nie zrobił.

– Zgadza się – rzekł wkurzony Duncan. – Ten dzień nie może już być gorszy, dzięki za świetne wieści.

Candace wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Duncan spojrzał zaskoczony na swą towarzyszkę.

– Co zrobimy? – zapytała Candace, czując zakłopotanie i cofając rękę.

Nie zamierzała pójść z Duncanem do łóżka. Nie dziś.

– Napiję się jeszcze whiskey – odpowiedział. – Ej, ty masz pracę, możesz zamówić kolejkę!

Candace posłusznie poszła w stronę baru i po chwili przyniosła drinka. Sama wypłała do tej pory zaledwie pół piwa.

– Miałam na myśli coś bardziej przyszłościowego – powiedziała, siadając.

– Jeśli Blake naprawdę postanowił mnie skreślić, to nie zechce mnie żadna z pierwszoligowych kancelarii – rzekł Duncan. – W zasadzie mam już przesrane.

– Skończyłeś prawo na Harvardzie. Jestem pewna, że ktoś cię zatrudni.

– Byłem pieścioszkiem Blake'a, a za kilka miesięcy zostałem udziałowcem firmy. Wiesz, ile zarabia udziałowiec kancelarii Blake and Wolcott?

– Co znaczy pieścioszek Blake'a? – zapytała Candace. – Zresztą nie chcę wiedzieć. Naprawdę wyrzucono cię za to, że ze mną rozmawiałeś?

– Nie tylko, także za to, że nie wykonywałem poleceń. Lea natomiast zaproponowała mi pracę, której nie chciałem, co, jak sądzę, przekonało ją, że nie może mi ufać. Zakładam, że teraz, kiedy doprowadziła do mojego zwolnienia, jej propozycja nie jest już aktualna.

– Lea – powiedziała Candace, na co Duncan odwrócił wzrok.

Instykt podpowiedział Candace, że związek Duncana z Leą miał

osobisty charakter.

– Jeśli Rafael pójdzie na ugodę, to wywiną się ze wszystkiego – powiedział Duncan, zmieniając temat i czując, że ponownie wzbiera w nim gniew. – Wywiną się ze wszystkiego.

– Już się wywinęli, Duncanie. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale to prawda.

– Nie, jeśli uda mi się nakłonić Rafaela, by się nie przyznawał.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Zostanę ponownie jego obrońcą.

Candace potrzebowała chwili, by zrozumieć, że Duncan mówi poważnie. Nie oznaczało to, rzecz jasna, że będzie równie przekonany do tego następnego dnia rano. Lecz dla Candace było też jasne, że Duncan przeszedł linię, zza której nie ma już powrotu, i jedyną rzeczą, którą mógłby się zająć, jest ukierunkowanie własnego gniewu.

– Co z tak zwanym konfliktem, o którym wspominałeś? – zapytała Candace. – Czy Rothowie mogliby powstrzymać cię od reprezentowania Rafaela?

– Nie wiem, w jaki sposób – odpowiedział Duncan. – Musieliby dowieść, że wykorzystywałem poufne informacje, które zdobyłem, reprezentując ich firmę.

– Jeśli nawet ponownie zostaniesz obrońcą Rafaela, to czy jesteś pewien, że będziesz mógł wygrać tę sprawę?

Duncan roześmiał się.

– Nie, do cholery – odpowiedział. – Pierwszym problemem jest Driscoll. Musi być w to zamieszany, ale udowodnienie tego to zupełnie inna sprawa. Nie zanosz się na to, że Driscoll załamie się przed sądem i przyzna tylko dlatego, że zadam mu kilka pytań. W tej chwili nie potrafię też udowodnić, że Jeremy Roth i Chris Driscoll się znają. Bardzo możliwe, że nigdy się nie spotkali.

Duncan siorbnął whiskey.

– Czyżbym miała niańczyć cię dziś wieczorem? – zapytała Candace.

Duncan spojrzał na nią.

– Brzmi to jak... Cóż, nie jestem do końca pewien, jak to brzmi – powiedział.

Candace zignorowała tę insynuację.

– Powinieneś chociaż coś zjeść, skoro masz zamiar wlać w siebie więcej gorzały – powiedziała.

Zakończyli wieczór w pizzerii John's przy Czterdziestej Czwartej Ulicy.

Duncan uparł się, że zje coś niezdrowego. Candace stwierdziła, że jej towarzysz ma do tego pełne prawo.

– Zdaję sobie sprawę, że nikt nie lubi być wyrzucany z pracy – powiedziała, gdy złożyli zamówienie. – Ale czy naprawdę nie widzisz w tym niczego, co mogłoby okazać się dla ciebie korzystne?

– Na przykład czego? Że będę miał czas na pracę nad swoją poezją?

– Myślałam, że pracownicy wielkich kancelarii prawnych nie mogą się doczekać, kiedy się z nich wyrwą.

– Więc tak naprawdę chodzi ci o to, że powinienem mieć dość rozsądku, by móc zająć się czymś innym?

– Poszedłeś na prawo, bo chciałeś robić to, co robisz?

– Nie miałem wtedy zielonego pojęcia, w co się pakuję – odpowiedział Duncan. – Tak jest z większością ludzi, którzy wybierają się na prawo. W przeciwnym razie uczelnia świeciłaby pustkami.

– Dlaczego więc postanowiłeś zostać prawnikiem?

– Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę? – zapytał Duncan.

Candace skinęła głową.

– Wybrałem prawo po części dlatego, że moi rodzice zajmowali się sprawami, które miały z nim jakiś związek: ojciec działał w związkach zawodowych, a mama była pracownikiem socjalnym. Lecz oboje należeli do klasy pracującej, a ja zawsze wiedziałem, że chcę, bym osiągnął więcej. Miałem też większe możliwości niż oni. Prawo wydawało mi się przepustką do świata.

Słowa te zaskoczyły Candace, która sądziła, że pochodzenie Duncana przypomina jej własne.

– Chłopak z małego miasteczka czyni dobro, tak? – powiedziała.

– Urodziłem się w Detroit, więc nie do końca masz rację.

Candace uśmiechnęła się.

– Gdzieś na przedmieściach? – zapytała.

– W samym Detroit – oświadczył Duncan.

Nie był to pierwszy raz, kiedy ktoś doszedł do wniosku, że Duncan mówiący o Detroit w rzeczywistości miał na myśli Bloomfield Hills albo Grosse Point.

Candace wyglądała na zaskoczoną.

– Nie wiedziałam, że w Detroit żyją jeszcze biali – powiedziała.

– Nie jestem biały – odparł Duncan bez wahania. – Mam czarnego ojca.

Candace zarumieniła się.

– Przepraszam, jeśli...

– Niepotrzebnie – przerwał jej Duncan, unosząc ręce. – Wiem, jak wyglądam.

Candace była pod wrażeniem, choć nie była pewna, czy Duncan nie zachował się nieco protekcyjnie.

– Pamiętam, jak zobaczyłam cię pierwszy raz i pomyślałam, że masz w sobie „to coś” – powiedziała. – Pochodzisz więc z mieszanego małżeństwa, urodziłeś się w Detroit, a do tego zostałeś prawą ręką Stevena Blake’a i doradcą Rothów.

Duncan pogroził palcem Candace, czyniąc to najwyraźniej dla zabawy.

– Nie mów tak, bo nagle stanę się interesującym facetem – zażartował.

– W porządku. Przyznaję, że początkowo wzięłam cię za jakiegoś eleganckiego palanta z Connecticut.

– Łatwo powiedzieć, że pieniądze się nie liczą, gdy się pochodzi z bogatej rodziny – odparł Duncan. – W mojej rodzinie jestem pierwszą osobą, która otrzymała prawdziwą szansę na wykształcenie i wysokie zarobki, więc skorzystałem z okazji. Gdyby to mój ojciec był nowojorskim prawnikiem pracującym dla wielkich firm, prawdopodobnie zajmowałbym się czymś innym.

Candace uśmiechnęła się.

– Jestem prawie pewna, że zostałbyś reporterem – powiedziała.

– Czy za dziesięć lat będą jeszcze istniały gazety? – zapytał Duncan.

– Może nie, ale wciąż będą istnieli reporterzy. Nie jestem szczególnie przywiązana do gazet na papierze, chociaż wiele osób z redakcji informacyjnej uznałoby to za zdradę.

Kelner przyniósł pizzę z pepperoni i czarnymi oliwkami. Nawet Candace, zwolenniczka zdrowej żywności, musiała przyznać, że danie wyglądało naprawdę wspaniale. Duncan sięgnął po porcję i odgryzł duży kawałek.

– Tłuszcz łączy się z alkoholem – powiedział. – Niebo w gębie.

Po wyjściu z pizzerii przystanęli na chodniku.

– Poradzisz sobie jakoś? – zapytała Candace. – Mam na myśli dzisiejszy wieczór.

– Jakoś przez to przebrnę – odpowiedział Duncan. – Chyba nie mam wyboru.

Niespodziewanie, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, Candace wykonała krok do przodu i objęła Duncana, który zaskoczony odwzajemnił jej uścisk dopiero po chwili.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała, miękko szepcząc mu do ucha.

– Rafael też jej potrzebuje. Pozostań w tej grze.

Odchyliła się i z bliska spojrzała Duncanowi prosto w oczy, po czym szybko się odwróciła i odeszła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Duncan stał i patrzył, jak się oddala. W ułamku sekundy zapomniał o katastrofie, której ofiarą stał się tego dnia. Pragnął, by Candace wróciła z nim do jego mieszkania, lecz dzień, w którym wylano go z pracy, nie był odpowiedni, by cokolwiek rozpoczynać... A już na pewno nie to, na co tak bardzo liczył. Duncan pomaszerował więc Ósmą Aleją do domu, wiedząc, że ma przed sobą długą, samotną noc.

Obudziwszy się następnego dnia, Duncan był zdezorientowany. Miał kaca, lecz ten – w porównaniu z mgłą, która zamazała wspomnienia z poprzedniego wieczoru – był czymś niemal mile widzianym. Duncan powstrzymał się przynajmniej od zaproszenia Candace do siebie, choć musiał bardzo zwalczać tę pokusę. Na to było jeszcze za wcześnie, jego życie wymagało uporządkowania, a zawodowa współpraca z reporterką stała się zbyt ważna. Pomyślał jednak, że istniała szansa, iż Candace powie mu „tak”.

Duncan wstał i zaparzył kawę, jak to czynił każdego poranka. Lecz ten dzień różnił się od innych: miał upłynąć na bezczynności. Duncan wykonywał tę samą pracę od siedmiu lat, poświęcając na nią prawie trzy tysiące godzin rocznie. Pięciominutowa rozmowa wystarczyła, by to wszystko przepadło.

Wiedział, że znajduje się w bez porównania lepszej sytuacji niż większość tych, którzy nagle tracą pracę. Spłacił większość swych studenckich kredytów, ulokował pięćdziesiąt tysięcy dolarów w funduszu inwestycyjnym, a jego mieszkanie było warte ponad sto tysięcy. Wystawił też na sprzedaż dom po matce i otrzymał sześciocyfrową kwotę z jej polisy na życie. Równocześnie jednak musiał wydawać co miesiąc trzy tysiące dolarów na spłatę pożyczki hipotecznej i pokrywać niemałe koszty życia w Nowym Jorku. Nie pracując, zdołałby spokojnie przeżyć rok, lecz jeśli Steven Blake wziął go na ząb, to znalezienie pracy mogłoby mu zająć znacznie więcej czasu.

Duncan przypomniał sobie pytanie Candace i zastanowił się: czy naprawdę chciał dostać się z powrotem w tryby prawniczego młyna, pracując dla wielkich firm? Nie mógł zaprzeczyć, że obrona Rafaela Nazario wprawiała go niemal w euforię, której nie doświadczył w ciągu swej całej kariery prawnika. Miał poczucie sensu swego zadania i – w odróżnieniu od typowych spraw, nad którymi pracował – nie musiał tego udawać.

Poważnie rozważał możliwość ponownego reprezentowania Rafaela, chociaż rzeczywistość zdawała się go do tego zniechęcać. Duncan nie miał biura, sekretarki ani papieru firmowego. Nie był nawet ubezpieczony od błędów w sztuce prawniczej. Pomysł wynajęcia biura i rozpoczęcia własnej działalności wydawał mu się nierealny.

Lecz Duncan wiedział też, że nie może pozwolić, by Lea Roth wygrała. Próbowwała go zniszczyć i zapewne wierzyła, że dopięła swego. Duma Duncana nie pozwalała mu jednak pogodzić się z przegraną. Postanowił ujawnić prawdę i sprawić, by jego przeciwniczka poniosła klęskę. Nie wiedział tylko, jak to zrobić.

Odziany w bokserki i T-shirt z logo Knicksów zaniósł kawę na biurko, usiadł przy komputerze i zabrał się do pracy.

Jeremy wszedł do mieszkania, z którego pozwalał korzystać wcześniej Alenie. Zaglądał tu często, z coraz bardziej oddalającą się nadzieją, że wróci. Wciąż zresztą miała klucz, więc było możliwe, że może się jeszcze pokazać. Czas płynął jednak nieubłaganie i Jeremy uznał, iż możliwość powrotu Aleny uznać należy za nierealną.

Po piątym drinku i opróżnieniu trzech czwartych butelki szkockiej Jeremy napełnił szklankę do pełna. Pomyślał, że powinien być już zapomnieć o Alenie, lecz działało się odwrotnie: jej nieobecność doskwierała mu coraz bardziej. Nieco się sobie dziwiąc, poczuł, że za nią tęskni. Zniknięcie Aleny z jego życia stało się dla niego zagadką, coraz trudniejszą do rozwikłania z każdym mijającym dniem.

Dramat z powodu głupiego nieporozumienia. Oczywiście Jeremy nie chciał zasugerować, że Alena powinna przespać się z Mattarem. Czy naprawdę mogła tak to zrozumieć? Drink, może nawet mały flirt – oczywiście, lecz nic ponadto. Wyłącznie życzliwość. Nic, czego Alena nie robiła, odwiedzając kluby. Jeremy chciał tylko, by Mattar dobrze się bawił i mógł popatrzeć na ładną dziewczynę. Zamierzał to wyjaśnić Alenie i przekonać ją, że wcale jej nie stręczył. Nigdy by tego nie zrobił. Na litość boską, przecież się spotykali. Darzył ją jakimś uczuciem. Prawdziwym uczuciem.

Jeremy podszedł do okna w salonie. Wychodziło na rzekę Hudson. W oddali ledwie majaczyło New Jersey. Pora dorosnąć – powiedział do siebie Jeremy. Często to powtarzał. Pora na położenie kresu dziecinadzie, na doprowadzenie się do porządku, na ograniczenie picia, na jakieś osiągnięcia i na skoncentrowanie wysiłków na firmie. Na Aurora Tower wciąż panował bałagan, lecz Jeremy pomyślał, że nikt się o tym nie dowie, nawet jego ojciec. Nie cierpiał już na bezsenność, jak wtedy, gdy sądził, że skończy w więzieniu. Niewiele brakowało, pomyślał. Gdyby i to nie przekonało go, że musi się zmienić, to nie wiedział, co jeszcze byłoby w stanie do tego doprowadzić.

Pociągnął haust szkockiej i poczuł ciepło w żołądku. Pierdolony idiota, pomyślał. Szumne deklaracje o zmianach w życiu i szklaneczka w rękę? I jeszcze całe to zamieszanie, bo Alena źle go zrozumiała, podczas gdy on miał jedynie mgliste pojęcie, co powinien był zrobić tamtego wieczoru. Nie zaufał Alenie i chciał ją zranić, zanim ona zraniłaby jego. Chciał jej

pokazać, kto rządzi. Nie różnił się od siostry i ojca i podobnie jak oni używał pieniędzy jako broni.

Jeśli miał zacząć zmieniać swe życie, potrzebował do tego Aleny. Potrzebował szansy na wytłumaczenie się, na danie sobie i jej szansy na stworzenie prawdziwego związku. Tym razem to nie mrzonki. Wyobraził sobie leżącą na kanapie Alenę w rozchylonym szlafroku i wspomniął jej kształty. Tak bardzo pragnął się z nią pieprzyć, a jej nieobecność sprawiała, że miał ochotę krzyczeć.

Zdał sobie sprawę, że może ją namierzyć. Dysponuje przecież odpowiednimi środkami. Dlaczego nie? Wyjął komórkę i zadzwonił.

– Darryl? Co tam? Mówi Jeremy. Posłuchaj: jest mały problem i mam nadzieję, że możesz mi pomóc go rozwiązać.

– Mój brat J.R.! – odparł Darryl Loomis. – Pomaganie w rozwiązywaniu problemów to moja specjalność.

Duncan wciąż figurował na liście więzienia na Rikers Island jako jeden z obrońców Rafaela, dzięki czemu mógł go odwiedzić. Wszedłszy, rozglądał się ukradkowo. Obawiał się, że ktoś może go zatrzymać, lecz dotarł do sali bez przeszkód. Mniej więcej dziesięć minut później wprowadzono Rafaela, który na widok Duncana stanął jak wryty.

– Co pan tu robi? – zapytał chłopak. – Myślałem, że pan sobie odpuścił.

Słyszając to, Duncan uśmiechnął się. Rafael zachował poważną minę.

– Zapewniam, że nie, Rafaelu. To nie ja podjąłem decyzję o wycofaniu się z twojej sprawy – zdecydował o tym ktoś inny.

– Mimo to zajmuje się nią jakiś palant. Więc czego pan jeszcze chce?

– Słyszałem, że chcesz pójść na ugodę – rzekł Duncan.

– Czemu się pan interesuje tym, co robię?

– Bo wiem, że nie zastrzeżesz Seana Fowlera, Rafaelu.

Rafael wzruszył ramionami, unikając wzroku Duncana.

– Mój nowy prawnik załatwił mi tę ugodę – powiedział. – Mówi, że będę musiał odsiedzieć piętnaście lat, a jeśli zażadam procesu, dostanę dożywocie bez szansy na wcześniejsze wyjście.

– Lecz jeśli tego nie zrobiłeś...

– Zrobiłem to czy nie, i tak wszyscy mają to w dupie – przerwał gniewnym głosem Rafael. – Potrzebowałem tylko trochę czasu, żeby to zrozumieć. Pan też miał to gdzieś, więc zrezygnował pan z mojej sprawy.

Zakłopotany Duncan pokręcił głową.

– To nie tak – powiedział.

– Wszystko jedno. Nie zamierzam pana do niczego przekonywać.

– Rozumiem, że jesteś na mnie wkurzony. Lecz przyjechałem tu dlatego, że chciałbym ponownie zostać twoim obrońcą.

Dopiero te słowa sprawiły, że zaskoczony Rafael popatrzył na Duncana z zainteresowaniem.

– Przecież dopiero co postanowił pan się wycofać.

– Tak postanowiła moja firma – odparł Duncan, nie do końca wiedząc, jak wyjaśnić Rafaelowi ostatnie wydarzenia. – Krótko mówiąc, nie pracuję już w kancelarii, więc nie ma mowy o konflikcie. Sytuacja jest dość skomplikowana, ale chciałbym ci pomóc przebrnąć przez to wszystko. Teraz już wiem, co się naprawdę wydarzyło.

– I obieca mi pan, że stąd wyjdę? – zapytał wyzywającym tonem Rafael.

Zakłopotany Duncan odwrócił wzrok.

– Wiesz, że nie mogę ci niczego obiecać – powiedział. – Ale uczynię wszystko, co w mojej mocy. Czy naprawdę chcesz odsiedzieć długie lata za coś, czego nie zrobiłeś?

– Pewnie, że nie – odparł chłopak. – Ale nie chcę też spędzić tu reszty życia.

– Nie pojmuję, co się zmieniło – rzekł Duncan. – Chciałeś przecież walczyć.

– To było wtedy, kiedy jeszcze myślałem, że ta walka może być uczciwa – powiedział Rafael, a jego oczy zaiskrzyły gniewem. – Niech się pan rozejrzy i pojmie, gdzie jesteśmy. Uczciwość nie ma z tym miejscem nic wspólnego.

Duncan zdecydował się na prosty komunikat.

– Chciałbym ci pomóc, Rafaelu, tylko mi na to pozwól – poprosił. – Prokuratura ma zaledwie jednego świadka, a ja wiem, jak się do niego dostać. Co ty na to?

Rafael pozostał niewzruszony.

– Lubiałem pana, panie R., i nie chcę się z panem spierać – powiedział. – Ale raz panu zaufałem, a pan mnie opuścił. Już panu nie wierzę, bo jest pan częścią tego systemu jak cała reszta. Wiem, że pan temu zaprzeczy, ale to prawda.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz – odrzekł Duncan, gorączkowo szukając sposobu na przełamanie oporu Rafaela.

– Nie wychyłam się i odsiaduję swoje – odparł chłopak. – Nie stać mnie na ryzyko, bo nie chcę tu tkwić do końca życia.

– Piętnaście lat za kratkami. W prawdziwym więzieniu gdzieś na północy – może w Sing Sing albo w Green Haven. Zdajesz sobie sprawę, co cię tam czeka?

Rafael lekceważąco machnął ręką.

– Białemu chłopakowi, takiemu jak pan, mogłoby tam być ciężko – odparł. – Ale ja poznałem tu wielu swoich. Będą mnie chronić.

Duncan zastanawiał się, czy jego pochodzenie nie pozwoliłoby mu nawiązać nici porozumienia z Rafaelem, lecz na to było chyba jeszcze za wcześnie.

– Twój w więzieniu o zaostrowym rygorze nie będą podobni do ciebie. Do tej pory udawało ci się uniknąć stania się takim jak oni i tego się trzymaj.

Słowa Duncana odniosły odwrotny skutek.

– Człowieku, pierdol się! – wybuchnął ogarnięty gniewem Rafael. – Co ty o mnie wiesz? Wiesz, co przeszedłem? Gówno wiesz, więc skończ z tą gadką.

Chłopak gwałtownie wstał i się odwrócił.

Duncan poczuł, że przegrał, choć nie wiedział dlaczego.

– Naprawdę uważam, że mogę wygrać twoją sprawę. Daj mi tylko szansę – powiedział, próbując raz jeszcze.

Lecz Rafael się nie odwrócił.

– Strażnik! – zawołał. – Koniec rozmowy.

Jak ci poszło? – zapytała Candace.

Duncan zdobył się na smutny uśmiech.

– Rafael powiedział, żebym się od niego odpiardolił – rzekł, wręczając Candace piwo i siadając naprzeciw.

Mieszkanie Duncana stało się domyślnym miejscem ich spotkań, chociaż nie wiedział, co o tym myśleć. Rzadko tu kogoś gościł – chyba że z kimś sypiał. Nowojorskie życie towarzyskie toczyło się na ogół w restauracjach i barach. Candace nie chciała spotykać się z Duncanem w miejscach publicznych. Wiedząc, że może być śledzona, i biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, dobrze to rozumiał. Obecność Candace, siedzącej na kanapie i pijącej piwo, dawała Duncanowi coraz większe poczucie bliskości.

Było tuż po ósmej, gdy Candace, wracająca właśnie z pracy, ponownie wpadła do Duncana. Miała jeszcze na sobie formalny strój, Duncan zaś zwykle dzinsy. Wybierając się na Rikers Island, wystroił się wprawdzie w garnitur, lecz poza tym, z chwilą otrzymania wymówienia, przestało mu zależeć na reprezentacyjnym wyglądzie.

– Nazario wciąż jest wkurzony, że przestałeś go bronić? – zapytała Candace.

– Tak, i nie mam mu tego za złe. Ale jest jeszcze coś: wydaje się na tyle zrezygnowany, że chce zawrzeć ugodę. Wygląda na to, że cała ta sytuacja tak go przytłoczyła, że pogodził się z myślą spędzenia wielu lat za kratkami z powodu czegoś, czego nie zrobił.

– Trudno się dziwić, że przestał wierzyć w sprawiedliwość – odparła Candace. – To chyba nie przypadek, że właśnie Rafael ma odegrać rolę kozła ofiarnego. Co stało się najpierw: ty zaczęłaś go bronić czy on został wrobiony?

Duncan odwrócił wzrok. Zaczął odrywać z butelki kawałki naklejki i zwijać je w palcach. Candace, umiejąca cierpliwie czekać, siedziała w milczeniu.

– Rozmawiamy nieoficjalnie, prawda? – zapytał w końcu Duncan.

– Już ci mówiłam. Mam zakaz pisania o tej sprawie. Jesteśmy teraz parą zwykłych rozmawiających ze sobą ludzi.

Duncan zmierzył Candace wzrokiem.

– A jesteśmy? – zapytał.

Candace wydała się lekko zdezorientowana. Gdy stało się jasne, że nie

zamierza się odezwać, Duncan zaczął mówić dalej.

– Oczywiście nie potrafię tego udowodnić – powiedział. – Lecz jestem prawie pewien, że wybrano akurat Rafaela, bo byłem już wtedy jego obrońcą.

Candace skinęła głową.

– Moim zdaniem masz za duże wyrzuty sumienia.

– Nie mam żadnych wyrzutów sumienia – zaprotestował Duncan.

– Tak? Szkoda, bo to, że je masz, było w tobie najbardziej interesujące.

Tym razem to Duncan poczuł zakłopotanie.

– Czuję się odpowiedzialny, a to wielka różnica – odparł.

– Może dla prawnika – powiedziała Candace z lekkim uśmiechem. – I co teraz? Jeśli nie możesz reprezentować Nazario, to koniec gry?

– Niekoniecznie – rzekł Duncan. – Nawet jeśli nie będę jego oficjalnym obrońcą, być może uda mi się przynajmniej dostać na salę sądową. Ale kiedy już się tam znajdę, będę potrzebował sposobu na oczyszczenie Rafaela z zarzutów.

– Nie ma na to sposobu.

– Zgadza się. Muszę porozmawiać z osobą, która przekazała ci informacje o Jeremym – powiedział Duncan.

– Wiesz, że nie mogę zdradzić jej tożsamości.

– Posłuchaj: ja też stosowałem się do szlachetnych zasad. I co z tego mamy?

– Zobaczę, czy uda mi się ją przekonać, by z tobą porozmawiała – rzekła Candace. – Nie sądzę jednak, by wiedziała na tyle dużo, żeby ci pomóc. Nie ma nawet pojęcia, kim był Sean Fowler.

Duncan pociągnął długi łyk piwa, usiłując pozbyć się wrażenia, że zawiódł, a to, co robi, jest jedynie waleniem głową w mur.

– Jeśli masz lepszy pomysł, to może mi go podsuń – powiedział.

– Potrzebujesz albo informatora z wewnątrz, który będzie zeznawał, albo konkretnych niepodważalnych dowodów. Zgadza się?

– Jest gorzej – odpowiedział Duncan. – Dowody niewinności Rafaela nie wystarczą, skoro nie jestem już jego obrońcą i nie będzie procesu. Muszę mieć możliwość wykazania, że został wrobiony, i wskazać przez kogo. Ale nie wiem, kto faktycznie zabił Fowlera, i nie mam dowodów, że stało się to na polecenie Rothów.

Candace przyjrzała się badawczo Duncanowi.

– Brałeś więc pod uwagę możliwość przegranej? – zapytała. – Nie masz klienta ani dowodów. Czy nie są to podstawowe rzeczy, których potrzebuje

prawnik, by wygrać sprawę?

Candace czytała w myślach Duncana, choć nie chciał jej tego przyznać.

– Mogę tylko walczyć – powiedział. – To jedyne, co mi zostało. Jeśli nie spróbuję, będzie po wszystkim.

Candace obdarzyła Duncana ciepłym uśmiechem, on zaś bezwiednie go odwzajemnił, choć nie miało to związku z tym, co właśnie powiedział.

– Powiedzieć ci coś dziwnego? – zapytała Candace. – Dziś się rozwiodłam.

Duncan poczuł się nieco zbity z tropu. Czy Candace chciała mu w ten sposób powiedzieć, że stała się oficjalnie wolna? A może chciała mu dać do zrozumienia, że uśmiech, który wymienili, nie był przypadkowy?

– Nie wiem, co mam powiedzieć: mam gratulować czy współczuć? – powiedział Duncan.

Candace była zakłopotana, jakby żałując, że powiedziała o rozwodzie.

– Jedno i drugie – rzekła. – Albo ani jedno, ani drugie. Cholera, nie mam pojęcia.

– Byłaś dziś w sądzie? – zapytał Duncan.

Candace pokręciła głową.

– Nie wdawaliśmy się w spory – odpowiedziała. – Wystarczył rok separacji, bym mogła oświadczyć, że doszło do trwałego rozpadu naszego związku. Otrzymałam wyrok pocztą. Było to trochę... rozczarowujące.

– To musi być rzeczywiście dziwne uczucie – rzekł Duncan. – Lecz skoro nie byliście ze sobą przez cały rok, to miałaś chyba dość czasu, żeby się z tym oswoić.

– Trudno o tym mówić jako o zaskoczeniu. Zaskakujący jest tylko sposób, w jaki się to odbywa – powiedziała Candace, wyglądając, jakby chciała powstrzymać nagły napad smutku. – A co z tobą? Dlaczego się nie ożeniłeś?

Duncan pomyślał, że Candace czuje się głupio, więc próbuje odwrócić rolę.

– Nie mam nic przeciwko małżeństwu – odpowiedział. – Po prostu tak wyszło. Przez ostatnie siedem lat pracowałem po sześćdziesiąt godzin tygodniowo, a to nie pomaga w związkach. Co gorsza, większość ludzi, których spotykam, to prawnicy, a wiesz, jacy oni są. Jak długo byłaś mężatką?

– Prawie sześć lat, jeśli nie liczyć roku separacji. Przed ślubem byliśmy ze sobą trzy lata. Zatem nie najgorzej, jak na nieudane małżeństwo.

Duncan postanowił dowiedzieć się czegoś jeszcze.

– Co było nie tak? – zapytał.

– To chyba moja wina – odpowiedziała Candace. – Nie było wielkiego skandalu, zdrady ani niczego podobnego. Doszliśmy do momentu, w którym należało pomyśleć o dziecku, i nagle przestraszyłam się myśli, że uziemi mnie to na dobre dwadzieścia lat. Może byliśmy trochę za młodzi. Nikt w Nowym Jorku nie pobiera się, mając zaledwie dwadzieścia kilka lat. Chyba różniliśmy się, przede wszystkim podejściem do życia. Ben jest typem naukowca, prawdziwy świat właściwie go nie interesuje, a dla mnie jest wszystkim.

Duncan dokończył piwo, odstawił pustą butelkę na stolik kawowy i spojrzał na Candace.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał, wcale się nie drocząc.

– O rozwodzie? – odparła zaskoczona Candace. – Bez powodu. Nikomu o tym nie mówiłam, bo nie wydawało mi się, że powinnam trąbić o tym dookoła.

– A moim zdaniem chciałaś, żebym wiedział, że jesteś do wzięcia – powiedział Duncan na tyle żartobliwie, by móc się jeszcze wycofać i wiarygodnie zaprzeczyć.

– Daj spokój – odparła Candace. – Nawet nie masz pracy. Trzeba się szanować.

Duncan czekał przeszło godzinę przed siedzibą firmy Roth Properties, zanim w końcu dostrzegł wychodzącą Leę Roth. Zmierzała w kierunku szeregu zaparkowanych w pobliżu limuzyn. Podeszedł do niej, gdy szła chodnikiem.

Zobaczywszy Duncana, przerażona Lea zastygła, jakby się obawiała, że zaatakuje ją na zatłoczonej ulicy. Duncan uniósł ręce i pokazał puste dłonie.

– Musimy chwilę porozmawiać – powiedział.

– Nie mamy o czym – odparła Lea, usiłując się uspokoić.

– Mamy. To potrwa pięć minut.

– Miałeś wiele okazji, by ze mną porozmawiać. Wolałeś jednak zaniedbać swe zawodowe obowiązki, a także osobiste zobowiązania w stosunku do mnie.

– Nie jestem tu po to, by przeproszać, wyjaśniać czy się przed tobą płaszczyć. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby sprawa nie była poważna. Daj mi więc te pięć minut.

Lea zawahała się, lecz w końcu skinęła głową. Duncan miał nadzieję, że ciekawość zwycięży.

– Poświęcę ci te pięć minut, ale ani sekundy więcej – powiedziała Lea.

Duncan podeszedł z nią do limuzyny i usiadł obok na tylnym siedzeniu. Owa fizyczna bliskość wprawiła go w dziwny stan: Duncan poczuł gwałtowny przypływ złości i nagłą chęć wyrządzenia Lei fizycznej krzywdy za to, co mu zrobiła. Lea musiała to wyczuć: spojrzawszy kątem oka na Duncana, odsunęła się i oparła niemal całym plecami o drzwi samochodu.

– Reprezentując panią, uświadomiłem sobie, że prowadzi pani działalność przestępczą i bierze udział w zмовie – zaczął Duncan. – Zmowa ta doprowadziła do późniejszego popełnienia czynów karalnych.

– Na co ty sobie, do cholery, pozwalasz? – przerwała mu Lea, kierując wzrok na kierowcę.

Siedzący za nim Duncan mógł dostrzec jedynie tył głowy mężczyzny.

Zignorował pytanie Lei.

– Jednym z tych czynów jest próba wprowadzenia w błąd wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza w związku z oskarżeniem Rafaela Nazario o zamordowanie Seana Fowlera. Dlatego proszę, by poinformowała pani o owym oszustwie sędziego prowadzącego tę sprawę. Jeśli pani odmówi, nie będę miał wyboru i zrobię to sam.

Duncan nie zdążył dokończyć zdania, gdy mężczyzna za kierownicą odwrócił się w jego stronę. Wstrząśnięty zobaczył przed sobą twarz Darryla Loomisa.

– Powinnaś chyba przyjąć, że nasz wybielony przyjaciel nagrywa tę rozmowę – zwrócił się do Lei Darryl, mówiąc łagodnym głosem, w którym dało się wyczuć groźbę.

Lea zignorowała tę uwagę (tak się przynajmniej wydawało) i wybuchnęła wymuszonym śmiechem. Duncan zastanawiał się, czy Darryl powiedział już Lei o jego czarnoskórym ojcu i czy miało to dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

– Nie brałam udziału w żadnej znowie – powiedziała. – A już na pewno nie w takiej, która miałaby związek z tragiczną śmiercią pana Fowlera, zamordowanego przez twojego klienta. Jakąkolwiek próbę zasugerowania, że było inaczej, potraktuję jako oszczerstwo, a także jako naruszenie przez pana, jako mojego byłego prawnika, zasad etycznych. Nie wystarczy panu, panie Riley, że stracił pan pracę z powodu niewłaściwego zachowania w stosunku do mnie? Czy naprawdę chce pan stracić także prawo wykonywania zawodu?

Duncan wciąż usiłował zrozumieć, co, do cholery, Darryl robi za kierownicą limuzyny.

– Nie nagrywam tej rozmowy ani nie próbuję sprowokować pani do wyznań – oświadczył. – Proszę tylko oficjalnie, by zechciała pani wyjawic sądowi prawdę o zamordowaniu Fowlera.

– A cóż takiego miałabym powiedzieć? – zapytała Lea.

– Że Fowler został zamordowany, ponieważ szantażował pani brata z powodu Aurora Tower – odpowiedział Duncan. – Że miał w tym swój udział Driscoll, a być może i obecny tu pan Loomis. Lecz za wszystkim stała pani, nieprawdaż?

Jedyną reakcją Lei dostrzeżoną przez Duncana były jej zaciskające się coraz mocniej szczęki. Umiała zachować zimną krew.

– Rozumiem, że jest pan zdenerwowany, Duncanie – powiedziała. – Aż za bardzo.

– Nie pozwolę pani się z tego wywinąć. Gdyby nie zrobiła pani kozła ofiarnego z niewinnego człowieka, sprawa wyglądałaby inaczej. Nie będę jednak stał i patrzył, jak Rafael idzie do więzienia za coś, czego nie zrobił. Jeśli nie znajdzie pani sposobu, żeby go stamtąd wyciągnąć, udam się do sądu i powiem wszystko, co wiem.

Duncan mówił spokojnie, choć nie do końca udało mu się powstrzymać

lekkie drzenie głosu. Lea spojrzała na Loomisa, a potem na Duncana.

– Jeśli nawet sędzia zgodzi się pana wysłuchać, to czym go pan przekona? – zapytała. – Jakie ma pan dowody?

– Wyłożyłem już swoje karty na stół. To pani wybrała Rafaela jako kozła ofiarnego. Nie mogło być inaczej. A zrobiła to pani dlatego, że byłem jego obrońcą. Sama mnie pani w tę sprawę wplątała.

Lea zerknęła na Loomisa, usiłując powściągnąć swój gniew.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi – rzekła oschle.

Duncan nie oczekiwał wyznania przez nią win.

– Dzięki pani stałem się najniebezpieczniejszym typem człowieka: gościem, który nie ma nic do stracenia – oświadczył.

– Może pan stracić naprawdę dużo, mecenasie – warknął Darryl.

Duncan otworzył drzwi limuzyny, głośno nimi trzasnął i oddalił się szybkim krokiem. Lea zerknęła w lusterko wsteczne i napotkała wzrok Darryla.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – zapytała.

– Próbował wyciągnąć z ciebie informacje – odparł Darryl. – Jestem pewien, że miał podsłuch.

– Myślisz, że to sprawka policji?

– Nie. Myślę, że zrobił to na własną rękę, mając nadzieję, że cię zaskoczy. Pozostaje tylko pytanie, czy naprawdę będzie mógł pójść do sędziego.

– Niech tylko spróbuje, a sprawię, że straci swoją licencję prawniczą.

– Nie będzie to miało dla ciebie większego znaczenia, jeśli wylądujesz w więzieniu – powiedział Darryl. – Wygląda na to, że Riley wie, co się dzieje.

– Wiedzieć a udowodnić to dwie zupełnie różne rzeczy. Riley nie ma dowodów. Popełniłam błąd, doprowadzając do jego zwolnienia. W ten sposób straciłam nad nim kontrolę. Przesadziłam.

– Jeśli nawet nie będzie w stanie niczego udowodnić, to i tak wpadniemy w niezłe gówno, gdy ujawni publicznie swoje informacje.

Lea ponownie zerknęła w lusterko wsteczne i spojrzała Darrylowi w oczy.

– Mam nadzieję, że niczego nie sugerujesz – powiedziała. – On jest prawnikiem, rozmawia z tą reporterką i wyleciał przeze mnie z pracy. Można to wszystko łatwo ułożyć w całość.

– Nie ma wątpliwości, że Riley jest groźny – rzekł Darryl. – Czy wasza rozgrywka jest aż tak bardzo osobista?

Pytanie Darryla zaskoczyło nieco Leę. Pomyślała jednak, że odpowiedź jest oczywista.

– Już nie – powiedziała.

Posiedzenie sądu, podczas którego Rafael Nazario miał się przyznać do winy, wyznaczono na czternastą. Duncan pojawił się w sądzie kwadrans wcześniej, lecz Rafael przebywał jeszcze poza salą sądową. W pomieszczeniu zebrało się około dziesięciu osób, w większości znanych Duncanowi: zastępca prokuratora okręgowego, kilku reporterów, w tym Costello z „New York Journal”, a także babka Rafaela, obok której siedziała Latynoska w średnim wieku. Duncan zastanawiał się dla zabicia czasu, czy to nie matka Rafaela.

Bream dostrzegł Duncana i mruknął coś do Castelluccio, która odwróciła się z gniewnym wyrazem twarzy. Duncan skinął jej lekko głową, lecz Castelluccio nie zareagowała. Był pewien, że pani prokurator nadal nie może na niego patrzeć.

Za pięć drugą do sali wpadł zasapany Robert Walker. Przymaszerował obok Duncana, zdając się go nie zauważać, i podszedł do stołu obrony. Dwie minuty później weszła Lily Vaughan. Usiadła z tyłu, rozejrzała się i zatrzymała wzrok na Duncanie. Zawahała się, zanim do niego podeszła.

– Do tu robisz, Dunk? – zapytała.

– Nie mów tak do mnie. Myślę też, że ciekawsze jest, co ty tu robisz.

– Wiesz pewnie lepiej niż ja – odparła Lily.

– Przypuszczam, że przyszedł tu, żeby sprawdzić, czy nie narobię kłopotów.

– To akurat bardzo prawdopodobne – rzekła Lily. – A masz taki zamiar?

Duncan się uśmiechnął. Nie gniewał się, że go szpieguje.

– Jakbym nie miał nic lepszego do roboty – odpowiedział.

Lily rozejrzała się i ściszyła głos.

– O co tu, do cholery, chodzi? – zapytała. – Co takiego zrobiłeś, że Blake cię wyrzucił?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Lily wzruszyła ramionami, dając za wygraną.

– Powinam się martwić? Oczywiście o firmę.

– Prywatnie nie mam nic do Blake’a – rzekł Duncan. – Ale jeśli przy okazji i on oberwie, to na pewno nie będę go żałował.

Lily odwróciła wzrok.

– Myślę, że powinnam ci powiedzieć... Udało mi się.

Duncan potrzebował chwili, by zrozumieć.

– Zostałaś współpracowniczką?

Lily skinęła głową. Duma walczyła w niej z zakłopotaniem.

– To nieoficjalna wiadomość, ale Blake dał mi słowo – powiedziała Lily.

– Poszło łatwiej, niż mogłam się spodziewać.

Zobowiązanie Blake'a zaskoczyło Duncana, ponieważ stanowisko udziałowca kancelarii nigdy nie było czymś gwarantowanym, nawet jeśli ubiegali się o nie najwięksi firmowi gwiazdorzy. Duncan spojrzął na Lily, która wciąż unikała jego wzroku.

– Wykorzystałaś moje zwolnienie, prawda? – zapytał. – Ty i Karen Cleary... Zaczęłaś działać i zmusiłaś Blake'a do wykonania konkretnego ruchu.

Lily zmusiła się do spojrzenia na Duncana.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, że to niesprawiedliwe.

Duncan uśmiechnął się do niej, chcąc, by zobaczyła, że nie ma jej tego za złe.

– Nikt nie obiecywał, że życie będzie sprawiedliwe – odparł.

– Radzisz sobie? – zapytała Lily.

– No co ty? Sypiam do dziesiątej i codziennie chodzę do siłowni. To dopiero życie!

– Wiedziałeś, że może do tego dojść? Że wylądujesz na bruku z powodu tego, co się stało?

Duncan pokręcił głową.

– Wierz mi lub nie, ale nie miałem złych zamiarów – powiedział. – Wykonywałem tylko swoją pracę. I wciąż robię tylko to.

– Przykro mi, Duncanie. Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie jesteś niczemu winna, Lily. Życzę ci jak najlepiej. Przykro mi, że nic z tego nie wyszło, ale to nie powód, żebyśmy nie mogli się przyjaźnić.

Przez chwilę Lily spoglądała na Duncana ze smutkiem, po czym skinęła głową.

– Więc co tu się będzie działo? – zapytała.

– Sam jestem ciekaw – odparł Duncan, wstając na widok wchodzącego sędziego Lasky'ego, który po chwili zasiadł za swym stołem.

Strażnicy sądowi wprowadzili w końcu Rafaela, a urzędnik sądowy zaczął odczytywać sygnaturę akt jego sprawy, co oznaczało oficjalne rozpoczęcie posiedzenia sądu.

Gdy tylko skończył, Duncan wstał i z bijącym sercem zbliżył się do stołu sędziowskiego.

– Wysoki sędzie – powiedział, czując na sobie wzrok wszystkich

zebranych. – Przed wysłuchaniem przez wysoki sąd przyznania się oskarżonego do winy muszę przekazać pewne istotne informacje.

Sędzia Lasky zerknął na Duncana znad okularów.

– Panie Riley, o ile wiem, nie jest pan już adwokatem pana Nazario – powiedział.

– To prawda, wysoki sędzie. Dlatego nie przemawiam jako jego obrońca, lecz jako rzecznik wymiaru sprawiedliwości. Jestem przekonany, że zasady etyki adwokackiej zobowiązują mnie do zabrania głosu.

– Pan Riley nie jest uprawniony do zwracania się do sądu w tym postępowaniu – odezwała ze złością Castelluccio.

– Do mojego gabinetu – powiedział opryskliwie sędzia Lasky. – Tylko prawnicy. Pan również, panie Riley.

Wchodząc do gabinetu Lasky'ego, Castelluccio wciąż dowodziła, że sędzia nie powinien nawet słuchać tego, co mówi Duncan. Za Castelluccio weszli Bream i Walker. Duncan trzymał się z tyłu.

– Dlaczego nie mielibyśmy wysłuchać jedynej obecnej w tym pomieszczeniu osoby, która naprawdę wie, o co w tym wszystkim chodzi? – zwrócił się do Castelluccio Lasky, gdy już zasiadł u szczytu stołu i gestem zaprosił pozostałych do zajęcia miejsc.

Duncan usiadł obok Walkera, który natychmiast się odsunął.

– Wysoki sędzie – zaczął Duncan. – Reprezentując innego klienta, zorientowałem się, że bierze on udział w zмовie. Jednym z jej celów było zatajenie przed tym sądem istotnych informacji.

– Czy zamierza pan naruszyć tajemnicę adwokacką? – wtrąciła się Castelluccio.

– To ja tu będę pytał – powiedział ostro Lasky i powrócił do rozmowy z Duncanem. – Ale to dobre pytanie. Czy proponuje pan ujawnienie poufnych informacji, które uzyskał pan od klienta?

– Nie, ponieważ nie uzyskałem owych istotnych informacji na podstawie stosunku służbowego łączącego mnie z tym klientem. A gdyby nawet zaistniała taka obawa, to w tym przypadku można zastosować przepis dotyczący zatajenia informacji o zbrodni.

– Przepis ten ma bardzo ograniczone zastosowanie – zripostował sędzia.

– Istnieje również przepis dyscyplinarny 7-102(b)(1) – powiedział Duncan.

Jego wielka przewaga, jako jedynej osoby przygotowanej do tej rozmowy, polegała na tym, że tylko on przeanalizował tę kwestię, a zatem wiedział, o co chodzi.

– Przepis ten nakazuje prawnikowi, który się dowie, że jego klient zataja informacje przed sądem, wezwać go do złożenia sprostowania – kontynuował Duncan. – Bezskutecznie poprosiłem o to klienta, o którym mowa. Skoro mój klient odmówił, to moim zawodowym obowiązkiem wynikającym z tego przepisu jest poinformowanie o tym wysokiego sądu.

– Czy ma to związek z konfliktem, który wystąpił w pańskiej kancelarii z powodu tej sprawy? – zapytał sędziego.

– Tak, ma – odpowiedział Duncan, mimo że nie wiedział, jaki powód podał Blake.

Lasky wpatrywał się w Duncana przez dłuższą chwilę.

– Nie wiem, czy postępuje pan słusznie, chcąc ujawnić to, co pan wie – przemówił w końcu. – Wiem jednak, że jeśli naruszy pan tajemnicę adwokacką, a ja ostatecznie uznam, że nie miał pan do tego prawa, to będę musiał poinformować o tym adwokaturę. Wtedy nie będzie pan już mógł tłumaczyć się dobrymi zamiarami.

Mimo iż słowa sędziego nie zaskoczyły Duncana, ich wysłuchanie nie było dla niego niczym przyjemnym.

– Zrozumiałem, wysoki sędzie – powiedział.

Lasky spojrzał na Duncana z czymś w rodzaju politowania.

– Panie Riley, mam nadzieję, że wie pan, w co się pakuje – rzekł. – Jest pan z pewnością utalentowanym prawnikiem, ale obawiam się, że za bardzo lubi pan wzbudzać sensację. Miejmy nadzieję, że to pana nie pogrąży. A teraz, nie podając nazwiska klienta, o którym mowa, proszę mi przedstawić w ogólnych, podkreślam: naprawdę ogólnych zarysach to, co panu wiadomo w związku z zatajaniem informacji przed tym sądem.

– Dowiedziałem się, że mój były klient zamieszany był w nielegalną działalność, której szczegóły nie są w tej sprawie istotne. Ale dowiedziałem się również, że Sean Fowler brał udział we wcześniejszym nielegalnym procederze, a później szantażował mojego byłego klienta, ponieważ wiedział o jego działalności niezgodnej z prawem. Reakcją na szantaż pana Fowlera było zawiązanie zмовы, która miała na celu jego zamordowanie i zrzucenie winy na Rafaela Nazario. Reprezentując pana Nazario, stałem się mimowolnym uczestnikiem tej zмовы, ponieważ wywierano na mnie naciski mające nakłonić mnie do szybkiego zawarcia ugody obrończej w jego sprawie.

Duncan skończył mówić. Sędzia Lasky siedział w milczeniu, lecz Castelluccio nie mogła się powstrzymać.

– W życiu nie słyszałam czegoś równie idiotycznego – powiedziała. –

Mamy przecież świadka, który widział, jak oskarżony zastrzelił Fowlera.

– Chris Driscoll brał udział w tej zмовie – odparł Duncan.

Castelluccio roześmiała się chrapliwie.

– Czy pan oszalał? Więc może i ja wzięłam?

– Nie – odpowiedział Duncan. – Pani jest tylko bezkrytyczna i żądna krwi.

– Dość – przerwał sędzia Lasky.

Przymrużył oczy i nie przestawał przyglądać się Duncanowi.

– Jeżeli to tylko popisy, to naprawdę ich pan pożałuje – powiedział. – I chyba nie muszę panu mówić, że jeśli nie będzie pan w stanie potwierdzić tej raczej mało wiarygodnej historii, to pańska prawnicza kariera raptownie się zakończy.

– Uważam, że etyka, a tym samym i sprawiedliwość nakazują mi postąpić w ten właśnie sposób – odparł Duncan.

– Wysoki sędzie – odezwała się Castelluccio, usiłując opanować złość. – Jeśli nawet przyjmemy, że wszystko, co powiedział pan Riley, jest prawdą, to w tej sprawie będzie on świadkiem obrony. Obrona będzie mogła wykorzystać jego zeznania podczas procesu, o ile tylko pan Riley będzie w stanie przedstawić dostateczne dowody. Jego słowo przeciwko, między innymi, słowu pana Driscolla. Nie widzę powodu, by traktować pana Riley'a inaczej niż pozostałych świadków.

– Nie będzie żadnego procesu – powiedział Duncan. – Rafael miał dziś przyznać się do winy. Gdyby to zrobił, próba ukrycia informacji zakończyłaby się powodzeniem.

– Jakże ma pan dowody? – domagała się odpowiedzi Castelluccio. – Mają nam wystarczyć tylko pańskie słowa? Adwokat obrony, który mówi, że jego klient jest niewinny. No naprawdę, to rewolucja w wymiarze sprawiedliwości.

Lasky przyglądał się raz Duncanowi, a raz Costelluccio, aż wreszcie zwrócił się do Walkera, który siedział z założonymi rękami.

– Pan coś wie w tej sprawie? – zapytał.

– Nic a nic, panie sędzio – odpowiedział Walker.

Sędzia Lasky potarł twarz i ciężko westchnął.

– Nie mogę zignorować prawnika, który przekazuje mi nawet tak niepewne informacje – oświadczył w końcu. – Muszę więc zapytać, w jaki sposób zamierza pan dowieść prawdziwości tego, co pan powiedział, panie Riley.

Duncan też chciałby to wiedzieć.

– Przesłucham świadków – powiedział. – Dzięki temu nie przedstawię znanych mi informacji osobiście i nie ujawnię niczego, co mogłoby wywołać kontrowersje odnośnie do tajemnicy adwokackiej.

– Chce pan zaryzykować swą karierę prawniczą, żeby przekonać mnie podczas przesłuchania o istnieniu wymyślnego spisku, którego celem było wrobienie pana Nazario? – zapytał sędzia Lasky.

– Tak – odrzekł Duncan. – Zrobię to, co wydaje mi się konieczne.

Gdy po chwili wszyscy ponownie zebrali się w sali sądowej, sędzia wygłosił krótkie i zagadkowe oświadczenie o odroczeniu posiedzenia sądu. Rafael, wyprowadzany przez strażników, spojrzał na Duncana, zupełnie nie rozumiejąc, co się stało.

Po krótkiej chwili tuż przed Duncanem wyrósł Costello, za którym czaiła się Lily.

– Żadnych komentarzy, przepraszam – powiedział Duncan, zanim reporter zdążył otworzyć usta.

– Czy może pan przynajmniej...

– Nie mogę – uciął Duncan i ominął reportera, który ruszył za adwokatem, nie przestając zadawać pytań.

– Co jest, do cholery, Dunk? – zapytała Lily.

Duncan uśmiechnął się do niej i położył palec na ustach.

– Chyba nie pozwolisz mi wrócić do Blake'a z pustymi rękami? Może chociaż jakaś mała sugestia?

– Jest już trochę za późno, żeby się martwić o zasady – powiedział Duncan.

Ominął Lily i wyszedł z sądu.

Nie sądziłam, że pan się jeszcze odezwie – powiedziała Candace.

Zastępca prokuratora okręgowego Sullivan wzruszył tylko ramionami. Siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku w Mustang Sally's i właśnie zamówili lunch.

– Poprzednim razem mówiłem serio – powiedział Sullivan. – Wiem, że sprawa Aurora Tower trafiła do mnie przede wszystkim dzięki pani artykułowi. To, co pani teraz powiem, powiem również nieoficjalnie, bardzo nieoficjalnie. Cholera, umówmy się, że tej rozmowy w ogóle nie było. Przekażę tę informację tylko pani, a opublikuje ją pani dopiero wtedy, kiedy dam sygnał. Zgoda?

– Jeśli nie mogę jej od razu opublikować, to dlaczego chce pan przekazać mi ją właśnie teraz?

– Bo mam nadzieję, że mi pani powie, o co, pani zdaniem, może tu chodzić.

Candace nigdy nie rezygnowała z możliwości zdobycia informacji, nawet takich, których nie mogłaby opublikować, i zwykle walczyła o zgodę na ujawnienie, a przynajmniej na ogólne scharakteryzowanie ich źródła. Zdawała sobie jednak sprawę, że Sullivan nie zgodzi się na jakiegokolwiek negocjacje.

– Śmiało – powiedziała.

Sullivan przyglądał się przez chwilę mężczyźnie mijającemu ich stolik w drodze do toalety, a potem pochylił się w jej stronę.

– Dwa dni temu morze wyrzuciło na plażę w New Jersey ciało, w każdym razie jego większość – powiedział. – Znajdowało się w zaawansowanym stanie rozkładu, więc ostateczną pewność co do tożsamości denata zyskamy dopiero po przeprowadzeniu dodatkowych testów. Wstępne wyniki badań wskazują jednak, że to ciało Jacka Pellettieriego.

Candace nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale to, co usłyszała, zupełnie ją poraziło. Zastanawiała się gorączkowo, co to może oznaczać.

– Został zamordowany? – zapytała.

– Trudno powiedzieć – rzekł Sullivan. – Brakuje nam jego głowy. Lecz nikt nie sądzi, że był to wypadek na rybach.

– Myślałam że macie dowody potwierdzające jego obecność w Meksyku czy na Karaibach?

– Właśnie – powiedział Sullivan. – Nie ustaliliśmy ostatecznie, jak długo jego ciało było w wodzie, ale na pewno przez dłuższy czas, co wskazuje na to, że ktoś próbował naprowadzić nas na fałszywy trop.

Candace zastanawiała się, o co w tym wszystkim chodzi.

– To chyba nie lada przedsięwzięcie, jeśli wziąć pod uwagę potrzebne środki i umiejętności – stwierdziła po chwili.

– Faktycznie, to nie napad na spożywczak.

– Dużo zachodu jak na niewiele znaczącego Jacka Pellettieriego – stwierdziła Candace.

– I właśnie dlatego tu jestem – oświadczył Sullivan. – Biorąc pod uwagę to, co powiedziała mi pani poprzednio o Aurora Tower i Pellettierim, jestem prawie pewien, że ma pani rację.

– Pellettieri zginął, ponieważ wiedział za wiele o Rothach, a oni nie mogli ryzykować, że dostanie się w pańskie ręce. Lecz proszę nie żądać ode mnie dowodów, które by to potwierdziły, bo ich nie mam.

Sullivan wyprostował się, ponieważ do stolika podeszła kelnerka z talerzami.

– Zasięgnąłem informacji w sprawie morderstwa, o którym mi pani opowiadała – powiedział po chwili. – Chodzi mi o tego ochroniarza, Fowlera. Rozmawiałem o tym z zastępczynią prokuratora okręgowego.

– Słyszałam, że ona jest jak pitbul: podobno jak chwyci, to nie chce puścić.

– Wiceprokurator Castelluccio jest utalentowaną oskarżycielką i ma przed sobą świetlaną przyszłość – rzekł Sullivan. – Jej zdaniem nie ma powodu, dla którego śmierć Fowlera miałaby mieć jakikolwiek związek z wypadkiem na budowie w SoHo.

– Najpierw prowadzi pan swoje małe dochodzenie, a teraz przychodzi do mnie?

– Jeden z detektywów spojrział na to nieco inaczej – powiedział Sullivan, ignorując przytyk Candace. – Nie uwierzył w zasadność zarzutów postawionych Nazario. Nieczęsto spotykam takich gliniarzy, zwłaszcza gdy już kogoś zatrzymają.

– Lecz nie udało się panu powiązać śmierci Fowlera ze śmiercią Pellettieriego?

– Ani ze śmiercią Pellettieriego, ani z czymkolwiek. Wiele śladów z pewnością już znikło, a do tego nie bardzo wiemy, gdzie szukać. Nie wiemy, gdzie i kiedy pozbyto się ciała. Będę mógł utrzymać tę sprawę w tajemnicy tylko do chwili stuprocentowego potwierdzenia tożsamości

nieboszczyka, więc zabójca już niebawem zorientuje się, że wiemy, kim był zamordowany.

– Nie dziwię się zatem, że musi pan prosić mnie o pomoc – powiedziała Candace.

Nie uśmiechała jej się myśl o podsunieciu Sullivanowi jakiegokolwiek tropu, lecz mogło jej się to bardzo opłacić, gdyby Sullivan, jako jej informator, rozwiązał tę sprawę. Postanowiła zatem podzielić się z nim częścią swej wiedzy.

– Wiem, że Fowler posiadał na swym koncie bankowym o wiele więcej pieniędzy, niż wynikałoby to z jego zarobków – powiedziała. – Ale pan z pewnością ma znacznie skuteczniejsze sposoby, by to dokładnie sprawdzić.

– Jak dotarła pani do jego wyciągów? A może nie powinienem o to pytać?

– Przez Duncana Rileya, byłego obrońcę Rafaela Nazario. Duncan jest jedyną, poza mną, osobą, której udało się połączyć wiele faktów dotyczących tej sprawy.

– Riley z kancelarii Blake and Wolcott? Poznałem go, prowadząc sprawę o nieumyślne spowodowanie śmierci na Aurora Tower. To chyba nie przypadek?

– Jeszcze chwila i uwierzę, że szef Biura do spraw Walki z Przestępczością Zorganizowaną wierzy w przypadki – odparła Candace. – Riley w dalszym ciągu próbuje pomóc Rafaelowi, mimo że już go nie reprezentuje. Czasu jest coraz mniej.

– Nie mogę pomóc komuś, kogo oskarża moje biuro – powiedział Sullivan.

– Czy Castelluccio jest pańską podwładną?

– Nie składa mi sprawozdań, a ja nie jestem wyżej postawiony niż jej szef. Sprawa ta nie jest też pod moją jurysdykcją – odpowiedział Sullivan.

– Będzie, jeśli wyjaśnienie okoliczności śmierci Fowlera otworzy furtkę do rozwiązania sprawy zamordowania Pellettieriego.

– Wtedy być może tak – rzekł Sullivan. – Potrzebowałbym jednak realnych dowodów.

– Mogłabym się tym zająć – odparła Candace.

Lea nie widziała nigdy tak zaskoczonego Stevena Blake'a. Jednak tym razem Blake nawet nie próbował ukryć zdumienia, gdy mu powiedziała, że Duncan Riley wezwał ją właśnie do złożenia zeznań podczas przesłuchania w sprawie śmierci Fowlera.

– Podejrzywałem, że nie wiem o wielu rzeczach – powiedział Blake po chwili. – Wygląda jednak na to, że będę musiał poznać przynajmniej szczegóły niektórych.

Lea energicznie skinęła głową.

– Najpierw powiem, jakich zarzutów Duncana się spodziewam, a później zastanowimy się nad możliwymi odpowiedziami – rzekła. – Duncan twierdzi, że mój brat był zamieszany w wyprowadzanie pieniędzy z Aurora Tower, w czym miał mu pomagać Pellettieri. Miał pośredniczyć w tym również Sean Fowler i po zamieszczeniu wywołanym przez dochodzenie w sprawie Aurory, Fowler próbował szantażować Jeremy'ego, za co został zamordowany. Dla pewności się, że śmierć Fowlera nie doprowadzi do Jeremy'ego, a tym bardziej nie zostanie skojarzona z Aurora Tower, wrobiono w to morderstwo Rafaela Nazario, a pańska firma miała doprowadzić do szybkiego przyznania się Nazario do winy. Twierdzi też, że dzięki wystawieniu Nazario jako kozła ofiarnego zatailiśmy coś przed sądem i że z tego powodu będzie mógł dowieść naszego zaangażowania w tej sprawie.

Wcześniejsze zdumienie Blake'a było niczym w porównaniu z tym, co wyrażała teraz jego twarz. Lea zaś, wbrew sobie, doznała perwersyjnego uczucia dumy: oto powaliła na kolana weterana sądowej wokandy. Pomyślała jednak, że to dziecinna reakcja, która zupełnie nie przystaje do sytuacji. Zrozumiała, jak nisko upadła.

Blake próbował coś powiedzieć, lecz z jego ust nie wydobyło się ani jedno w pełni wyartykułowane słowo. Potarł policzek i zerknął na Leę, która zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Odwrócił wzrok i poblądł. Trwał w milczeniu przez dobrą minutę.

– Nieźle mnie podpuściłaś – odezwał się w końcu. – Powiedziałaś mi, że chcesz, aby adwokat z mojej kancelarii nie nagłaśniał tej sprawy, bo mogłoby to doprowadzić do referendum w sprawie przekształcenia Jacob Riis. „Załatw to szybko i cicho, żeby budowa szła jak należy”. Tak powiedziałaś.

– Może nie byłam do końca szczerą – zgodziła się Lea. – Ale w tej sytuacji chyba lepiej już o tym zapomnieć.

Blake spojrzał na Leę, odzyskując swój normalny wyraz twarzy.

– Czy Duncan ma mocne dowody, które mogłyby potwierdzić jego oskarżenia? – zapytał.

Lea pokręciła głową.

– O ile wiem, to nie bardzo – powiedziała. – Opiera się tylko na swojej teorii.

– Musi mieć jakieś klocki, z których ją ułożył. Będzie mi łatwiej odeprzeć jego zarzuty, gdy się dowiem, czym dysponuje.

– Ile mam powiedzieć? – zapytała Lea.

– I tak zostanę uznany za współnika przestępstwa: sprawa Nazario, konflikt interesów, zwolnienie Duncana... Duncan prawdopodobnie myśli, że maczałem palce w tej aferze.

– Bo tak było – powiedziała chłodno Lea. – Postanowił pan tylko trwać w błogiej nieświadomości.

– Czy jest w to zamieszany także twój ojciec? – zapytał Blake. – Czy w ogóle o tym wie?

Lea ledwie zdołała się opanować.

– Nie musi pan przejmować się moim ojcem – stwierdziła.

– Znam Simona dwadzieścia pięć lat – rzekł Blake. – Nigdy mi nie wybaczy, jeśli się okaże, że zburzyłaś wszystko przy mojej pełnej tego świadomości.

– Najprostszym dla nas wszystkich sposobem jest uniemożliwienie Duncanowi przeprowadzenia przesłuchania. Czy naprawdę istnieje podstawa prawna, która mu na to pozwala?

– Nie spotkałem się jeszcze z taką sytuacją – odpowiedział z kamienną twarzą Blake. – Prawnik ma obowiązek udać się do sądu, by zapobiec krzywoprzysięstwu, lecz to co innego. Zasadniczo jedynym powodem usprawiedliwiającym złamanie tajemnicy adwokackiej jest zapobieżenie popełnieniu przestępstwa, ale i to nie do końca pasuje do całej tej sytuacji. Poświęciłem jednak siedem lat na nauczanie Duncana wyszukiwania niemożliwych z pozoru rozwiązań... Byłoby mi łatwiej kontrolować sytuację, gdybyś nie nakłoniła mnie do wyrzucenia go z pracy.

Lea natychmiast skinęła głową. Zamierzała o tym wspomnieć.

– Rzeczywiście, przesadziłam i odniosło to odwrotny do zamierzonego skutek – powiedziała. – Może zatem powinniśmy pozwolić mu wrócić do naszej stajni?

- Możemy spróbować, chociaż obawiam się, że jeśli odmówi, to wykorzysta to przeciwko nam.
- Myśli pan, że powie: nie?
- To wyjątkowo ambitny facet, który jeszcze miesiąc temu miał przed sobą wspaniałą przyszłość – odparł Blake. – Myślę, że tęskni za dawnym życiem.

Duncan zgodził się na spotkanie z Neilem Levinem. Umówił się z nim na drinka w Royaltonie. Neil właściwie wybłagał zgodę Duncana, który pomyślał, że spotkanie stanie się dobrą okazją do zdobycia informacji o przygotowaniach kancelarii do zbliżającego się przesłuchania w sprawie Rafaela Nazario. Duncan domyślał się także, że jego były współpracownik zaplanował to samo.

Neil czekał już przy stoliku w głębi lokalu. Wstał i wyciągnął rękę na powitanie. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie bój się, zwolnienie z pracy nie jest zaraźliwe – powiedział Duncan.

Neil zmusił się do uśmiechu, chwycił swojego drinka i usiadł.

– To wszystko jest strasznie popierdolone – stwierdził. – Nikt w firmie nie rozumie, co się stało.

– A czy to naprawdę kogokolwiek interesuje?

– Oczywiście. Przecież byłeś gwiazdą. To nie ma najmniejszego sensu. Co się, do cholery, stało?

– Lepiej, żebyś nie wiedział, co się naprawdę dzieje – odpowiedział Duncan.

– Mówisz poważnie? Jezu, a ja myślałem, że miałeś już dość tej nudnej roboty...

– Wiesz, co się dzieje w związku z przesłuchaniem w sprawie Nazario? Słyszałeś coś?

– Kompletna cisza w eterze – odparł Neil. – Pewnego dnia przechodziłem obok twojego gabinetu. Tabliczka z twoim nazwiskiem znikła, a drzwi były zamknięte. Lily powiedziała mi, że o niczym nie wie. Spodziewałaś się, że do tego dojdzie?

– Nie, zupełnie.

– Myślałem, że chciałaś zrobić karierę w kancelarii.

Przy stoliku pojawiła się kelnerka. Duncan poprosił o knob creek z wodą. Zdziwił się nieco, że Neil nie zamówił kolejnego drinka, choć jego szklanka była już pusta.

– Powiem ci coś – rzekł Neil, gdy kelnerka się oddaliła. – Myślę dość poważnie o odejściu z firmy. Zdaję sobie sprawę, że skoro pracuję w niej dopiero od roku, to być może jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby się wynieść, ale wiem też, że chyba nie dam rady robić przez całe życie tego, co robię teraz.

– Myślę, że nie miałbym z tym problemów – odparł cicho Duncan. – To znaczy myślałem. A gdybym został współnikiem... Kto odchodzi w takim momencie? Wydaje mi się to już tak odległe...

Uwaga Neila najwidoczniej osłabła.

– Posłuchaj – powiedział nagle. – Nie wkurzaj się, ale naprawdę muszę coś powiedzieć.

– Brzmi obiecująco.

– Blake poprosił mnie, żebym cię kontrolował. Nie wiem, o co tu chodzi, ale poczułem, że nie mogę mu odmówić. Powiedział, że będzie musiał z tobą porozmawiać.

– Powiedz mu od mnie, żeby się pierdolił – odparł Duncan.

– Sam mu to powiedz – rzekł Neil, spoglądając w górę.

– Nie bądź zły – usłyszał za plecami Duncan. Nie musiał się nawet obracać, bo wiedział, czyj to głos. – On tylko wykonywał moje polecenia, czyli zrobił coś, czego można oczekiwać od lojalnych pracowników kancelarii. Może jeszcze pamiętasz pierwsze lata swojej kariery.

– Nie jestem na niego zły. Raczej na ciebie, ponieważ go wykorzystałeś – powiedział Duncan do zbliżającego się Blake'a.

Neil wstał, Blake zaś natychmiast zajął jego miejsce.

– Musimy porozmawiać – oświadczył.

– Przepraszam – zwrócił się do Duncana Neil. – Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu. Może umówimy się na jakiś obiad.

Lecz Duncan nie zaprzętał sobie głowy odpowiedzią. Zastanawiał się, czy również nie powinien wstać i wyjść. Doszedł jednak do wniosku, że chciałby znać powód, dla którego Blake zjawił się w Royaltonie.

Kelnerka, która przyniosła Duncanowi drinka, przystanęła na chwilę, zdawszy sobie sprawę, że Blake nie jest mężczyzną siedzącym jeszcze przed chwilą przy stoliku. Gdy w końcu zapytała, co podać, Blake zamówił szkocką. Duncan wciąż nie mógł uwierzyć, że siedzi w towarzystwie swojego niedawnego szefa.

– Jak bardzo jesteś na mnie wkurzony, Duncan? – zapytał Blake. – Myślisz, że chciałem, żeby to się tak skończyło? Myślisz, że chciałem pozwolić ci odejść? Na litość boską: troszczyłem się o ciebie przez te wszystkie lata.

– Mimo to nawet się nie zawałałeś.

Blake nie usiłował udawać skruchy.

– Jeśli chcesz, żebym wybierał pomiędzy rodziną Rothów a tobą, to jak, do cholery, myślisz: po czyjej stronie stanę? W ciągu ostatniej dekady nasza

firma wystawiła Rothom rachunki na jakieś dwadzieścia milionów dolarów, a Simon i ja znamy się od wielu lat. Co ty sobie myślałeś, wdając się w romans z Leą?

– To ona zaczęła. A myślałem to, co zwykle się myśli, kiedy się idzie z kimś do łóżka, Steven. Przyznaję, że mogłem dzięki temu wiele zyskać.

– Nie przyszło ci do głowy, że to zwykle się kończy srogim upadkiem?

– Że Lea pozbawi mnie pracy z obawy, że wyjawię przyczyny śmierci Fowlera? – zadrwił Duncan. – Prawdę mówiąc, nie wziąłem takiej możliwości pod uwagę.

– Trzymajmy się faktów – powiedział Blake. – Lea... Nauczyła się zdobywać to, czego chce. – Nie do końca wiem, co się dzieje, ale zapewniam cię, że wcześniej nie miałem o niczym pojęcia.

– Wiedziałeś chyba, że Lea kazała ci doprowadzić do szybkiego przyznania się Nazario do winy – zaripostował Duncan.

– To nieprawda – odparł natychmiast Blake.

Duncan przewrócił oczami.

– Na litość boską, Stevenie: nie mam podsłuchu. Przecież umówiłem się z Neilem na drinka, pamiętasz?

– Nie podejrzewam cię o podsłuch. Myślę jednak, że chcesz się zemścić. Rozumiem, że jesteś na mnie wściekły. Sądziłem, że Nazario jest winny i że najlepszą rzeczą, jaką moglibyśmy dla niego zrobić, jest uzyskanie korzystnej ugody. Lea powiedziała mi tylko, że nie chce prawnika, który wykorzystałby strzelaninę w Jacob Riis do mącenia w przekształcaniu tego osiedla.

Duncan nie uwierzył. Pomyślał jednak, że Blake nie do końca wiedział, co się dzieje. Musiał wprawdzie zdawać sobie sprawę z istnienia nieprawidłowości, lecz wolał nie zadawać pytań, gdyż nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

– Okej – powiedział Duncan. – Postanowiłeś zatem uwierzyć w to, co powiedziała ci Lea. A teraz?

– Nie jest tak, jak myślisz – odpowiedział Blake. – Nie istnieje żadna wielka zмова, bo ludzie są zbyt chciwi i niezorganizowani. Każdy gra na własną rękę, chociaż można odnieść wrażenie, że układa się to w jakiś schemat.

Duncan zrozumiał, że Blake nie zaaranżował tego spotkania, by analizować sprawę, i stwierdził, że pora przejść do rzeczy.

– Czego tak naprawdę chcesz, Steven? – zapytał.

– Chcę naprawić tę sytuację. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę oczekiwać

twego powrotu do poprzednich układów, ale nie chcę, żebyś został za burtą. Pomyślałem więc, że przywrócę ci pensję i dam rok na znalezienie nowej pracy. W tym czasie będziesz mógł prowadzić własne biuro w kancelarii, chociaż nie będziemy wymagać, byś dla nas pracował. I nie tylko dam ci najlepsze referencje, ale też wspólnie z resztą udziałowców udzielenie ci wszelkiej pomocy.

– Niech zgadnę – odparł Duncan. – Wszystko to w zamian za zrezygnowanie z przesłuchania w sprawie Nazario?

– I tak założyłem, że się nie zgodzisz – odpowiedział Blake bez wahania.

– Nie masz dowodów, które mógłbyś przedstawić w sądzie, a jeśli naruszysz tajemnicę adwokacką, stracisz prawo wykonywania zawodu. W imię czego? Nie zmieni to sytuacji tego dzieciaka.

– To ciekawe: móc poznać swoją cenę – powiedział Duncan. – Sądysz zatem, że moja to ćwierć miliona plus referencje.

– Nie bądź śmieszny. Nie chcesz chyba stracić wszystkiego, na co tak ciężko pracowałeś.

Przewidywania Blake'a były całkiem realne: udział w sprawie Rafaela mógłby przysporzyć Duncanowi kłopotów i doprowadzić go do utraty licencji adwokackiej. Blake zaś proponował mu o wiele więcej: nie tylko pieniądze, ale i powrót do gry. Miła perspektywa...

Duncan odepchnął tę myśl i uśmiechnął się do Blake'a.

– Jeśli powiem: tak, to kim się stanę? – zapytał. – Jeśli przyjmę twoje pieniądze, popatrzę w drugą stronę i odwrócę się plecami do Rafaela, kim wtedy będę, Steven? W najlepszym razie tobą. Ale wiesz co? Już tego nie chcę.

– Czy naprawdę myślisz, że ci się uda? – odparł Blake. – Myślisz, że możesz ze mną wygrać?

Duncan pociągnął łyk burbona, wstał i spojrzał na Blake'a z góry.

– Jestem pewien, że będę miał cholerną radochę, jeśli przynajmniej spróbuję – powiedział.

Alena zatrzymała się w mieszkaniu swej przyjaciółki Ivy, która wyjechała na trzy tygodnie do Mediolanu. Szukała własnych czterech kątów, mimo iż jej skromny budżet ledwie wystarczyłby na kaucję. Nie pracowała od ponad miesiąca – na tyle długo, że nie potrafiła już sobie przypomnieć, ile dni spędziła na bezczynności. Choć nie próbowała ich liczyć, wiedziała, że prędzej czy później pojawią się kłopoty.

Wracając pieszo przez East Village po spotkaniu z prawnikiem, Duncanem Rileyem, Alena uświadomiła sobie, jak trudno żyje się w Nowym Jorku. Przybyła tu z Decatur w Illinois jako siedemnastolatka, a nieco ponad dekadę później musiała zacząć stawiać czoło skutkom przemijania swej olśniewającej urody. Była naprawdę piękną kobietą. Gdy po raz pierwszy podpisała kontrakt z Elite, zaczęła latać po całym świecie, goszcząc a to w Paryżu, a to w Tokio. Z początku wydawało się, że spełniły się jej dziecięce marzenia. Lecz dwa lata później gwiazda Aleny nieco przygasła, ona zaś zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie twarzą marki, a jedynie pracującą i dość wziętą modelką odliczającą czas do końca kariery. Nawet będąc tego świadomą, nigdy się poważnie nie zastanawiała, co wydarzy się dalej.

Gdy skończyła dwadzieścia siedem lat, jej kariera zaczęła dobiegać końca. To nie było najgorsze: życie Aleny traciło swój dawny urok – większość osób, które poznała w pierwszych latach w Nowym Jorku, po prostu zniknęła. Nierzadko nikt nawet nie zauważał, że ich zabrakło: po prostu opuścili miasto i swe dotychczasowe towarzystwo. Niektórzy zdecydowali się na małżeństwo, inni wrócili tam, skąd przyjechali. Na ogół jednak Alena nie wiedziała, co się z nimi działo. Z każdą porą roku w Nowym Jorku pojawiały się regularnie nowe dziewczyny, lecz ostatnią rzeczą, jakiej chciałyby Alena po latach spędzonych w tym mieście, było zawieranie znajomości z którąkolwiek z pełnych życia, dopiero co przybyłych młodych modelek. Alena wiedziała, jakie błędy popełni i ile będzie je kosztowała nauka życia. Przypominało to oglądanie widzianego już kilka razy spektaklu: znajomość jego scenariusza sprawiła, że elementy zaskoczenia i dramaturgia kompletnie wyblakły. Alena trzymała się zatem głównie swych pierwszych nowojorskich znajomych. Zastanawiała się czasem, czy nie są zwykłymi głupcami, biorącymi udział w dawno już zakończonym przyjęciu i desperacko trzymającymi się nadziei, że coś się

jeszcze wydarzy, zanim nadejdzie następny dzień.

Właśnie wtedy w życiu Aleny pojawił się Jeremy Roth. Alena kończyła już swą karierę i nie wstydziła się do tego przyznać. Jeremy zaś był po prostu sobą. Nie był pierwszym bogatym mężczyzną w jej życiu i nie on jako pierwszy zaoferował jej mieszkanie – wcześniej uczynił to żonaty dyrektor funduszu hedgingowego z Greenwich. Ten jednak nigdy nie zasugerował, że dla Aleny opuści swą żonę lub w jakikolwiek inny sposób zmieni swe życie. Ich związek trwał niemal rok. Alena podejrzewała, że czas ten był odmierzony przez zegar tykający bez przerwy w głowie dyrektora.

Będąc z Jeremym, Alena brała pod uwagę możliwość ułożenia sobie z nim życia. Już w pierwszej chwili dostrzegła w nim wylęknionego chłopca w kosztownym męskim garniturze. Matka Jeremy'ego zmarła, gdy był jeszcze nastolatkiem, Alena zaś nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś taki jak Simon Roth mógł dokończyć wychowanie dwójki swych dzieci. Pojęła, że najbliższą Jeremy'emu osobą była jego siostra.

Alena nie kochała Jeremy'ego ani nie była z nim naprawdę blisko. Zawsze traktowała związki z mężczyznami jako przedmiot kalkulacji, a brak miłości nie był dla niej przeszkodą. Wprawdzie czasami ją martwił, lecz umiała sobie z tym radzić. Kto wie, dokąd mogłoby ją ostatecznie zaprowadzić uczucie? Pomyślała, że Jeremy potrzebuje kobiety, która pomogłaby mu dorosnąć, i że to, co w nim najgorsze, można byłoby naprawić, czyniąc z niego samodzielnego dorosłego mężczyznę. Lecz nie była to rzecz łatwa, gdyż Jeremy był zwykle zalany i naćpany. Alena nie doceniła też głębi jego egoizmu.

Przypuszczała, że to największy minus dorastania w bogatej rodzinie: coś, co niszczy motywację do pozbywania się wad, ponieważ świat bogatego dziecka zorganizowany jest tak, by można było uniknąć problemów. Jeremy oczekiwał, że to świat dostosuje się do niego, a nie na odwrót. Być może to oczekiwanie nie było bezpodstawne? Może to właśnie największy luksus, jaki można kupić za pieniądze?

Spoglądając w nieodległą przeszłość, Alena nie mogła uwierzyć, iż kiedykolwiek dopuściła do siebie myśl, że mogliby stworzyć trwałą i poważny związek. Na litość boską, Jeremy ulokował ją w oddzielnym mieszkaniu, nigdy nie przedstawił jej rodzinie ani znajomym, nigdy też nie miała stałego miejsca w jego życiu. Zwyczajnie się wygłupiła: przez własną chciwość. Wierzyła w to, ponieważ chodziło jej o pieniądze. Gdyby Jeremy nie był spadkobiercą deweloperskiego imperium wartego wiele miliardów dolarów, Alena nawet by na niego nie spojrziała.

Jeremy przez cały ten czas traktował ją jak dziwkę. Wiele o tym świadczyło, lecz Alena wolała tego nie dostrzegać. Nie mogła jednak nie zauważyć wyjścia Jeremy'ego, który zostawił ją z Mattarem Al-Falasiem, otwarcie przystawiającym się do niej już od pierwszej chwili. Mattar czynił to tak jawnie, że Alena już po chwili zrozumiała, że tak naprawdę nie chodzi wcale o nią, ale o rozgrywkę pomiędzy mężczyznami.

Tamtego wieczoru pozwoliła Jeremy'emu opuścić bar. Czy miała inny wybór? Urządzenie scen nie leżało w jej naturze. Nie należała do histeryczek, a sytuacja w barze ją zaskoczyła. Czy to możliwe, by Jeremy cenił Alenę tak nisko i uznał, że można tak po prostu „dać ją” komuś w prezencie? A może chciał w tak brutalny sposób pokazać jej, że jest już nią zmęczony i nadeszła pora na zakończenie ich znajomości?

Gdy Jeremy wyszedł, Mattar uśmiechnął się. Łagodnie, bez krztyny drapieżności. Alena skuliła się wtedy, jakby chcąc się ogrzać, choć wieczór był ciepły.

– Muszę przyznać, że gdybyś była moją kobietą, nigdy nie zostawiłbym cię z innym mężczyzną – odezwał się w końcu Mattar.

Alena obdarzyła go swym najchłodniejszym uśmiechem.

– Nie chciałbyś, żeby skradziono ci twoją własność? – zapytała.

Mattar dostrzegł jej urazę.

– Mogę cię tylko zapewnić, że jestem o wiele bardziej okrzesany, niż ci się wydaje – odrzekł. – Powiedz: co wiesz o interesach łączących rodzinę Jeremy'ego z naszą?

– Wiem, że chcą waszych pieniędzy.

Mattar ponownie się uśmiechnął. Gdy zostali sami, wydawał się bardziej naturalny.

– Oni *potrzebują* naszych pieniędzy – powiedział. – Osobiście przejrzałem dokumenty Aurora Tower. Zbliżają się terminy spłat wszystkich kredytów zaciągniętych przez Rothów, a sprzedaż nieruchomości idzie im tak kiepsko, że nie mają szans na pokrycie zobowiązań. Banki stały się nerwowe, zwłaszcza po zeszłotygodniowej upadłości Lehman Brothers, i już nie udzielą Rothom pożyczek. A jeśli im nie pomożemy, to wtedy dopiero się okaże, czy rodzina Rothów naprawdę dysponuje setkami milionów dolarów, które będzie musiała wyłożyć. To niełatwe, nawet dla tych, którzy mają tak duży majątek. Obecne czasy nie sprzyjają sprzedaży nieruchomości.

– Rozumiem – rzekła Alena.

– Widzę, że rozumiesz – powiedział Mattar, spoglądając na nią taksującym wzrokiem. – Ludzie, którzy nie znają się na pieniądzach, są

niesłuchanie nudni. Brakuje im zdolności dostrzegania tego, co się naprawdę wokół nich dzieje. Na przykład ten wieczór i fakt, że siedzimy tu teraz sami. Co mogę teraz myśleć o tych Rothach? I oni zamierzali prowadzić interesy z moją rodziną?

Alena nie lubiła takich zagadek, lecz to pytanie wyjątkowo jej się spodobało.

– Są zdesperowani – odpowiedziała.

– Z pewnością, lecz wiedziałem o tym dużo wcześniej. Ale mówi mi to coś jeszcze, coś bardzo ważnego: że potrafią być nielojalni. Chyba się nie mylę? Miałbym robić z takimi ludźmi interesy?

– Więc dzisiejszy wieczór był tylko sprawdzianem? – zapytała Alena.

Mattar lekceważąco machnął ręką, choć Alena nie wiedziała, co miał oznaczać ten gest: potwierdzenie czy krytykę?

– Jesteś przepiękną i niesłuchanie interesującą kobietą – powiedział Mattar. – Bardzo się cieszę, że mogę tu z tobą być. Lecz dzisiejszego wieczoru poznałem nie tylko ciebie. Dowiedziałem się również czegoś bardzo ważnego o naszych interesach.

– Ile było w tym wszystkim udawania?

Mattar lekko się uśmiechnął.

– Nigdy nie byłeś w Dubaju? – zapytał.

Alena pokręciła głową w odpowiedzi.

– Staramy się uczynić z niego prawdziwą metropolię, taką jak Nowy Jork – powiedział Mattar. – Dubaj nie jest jeszcze co prawda jego odpowiednikiem, ale już niewiele mu do tego brakuje. A moje tamtejsze życie niewiele różni się od tego, które prowadzę tutaj.

– Tak myślałam, że tylko udawałeś naiwnego – rzekła Alena.

– Czy Jeremy mówił ci dużo o naszej rodzinie? – zapytał Mattar.

– Tylko tyle, że jesteście bogaci i pochodzicie z Dubaju.

– Jeremy nie wie, kogo w tobie miał, prawda? Widzi tylko twą wielką piękność, lecz masz o wiele więcej zalet.

Alena uznała, że nie musi odpowiadać. Podniosła kieliszek i upiła nieco wina, po czym delikatnym ruchem wprawiła resztkę płynu w wirowanie. Mattar taksował Alenę wzrokiem.

– Często bywam w Nowym Jorku – powiedział, wciąż jej się przyglądając. – Moja rodzina ma tu kilka apartamentów. Ładnych, muszę przyznać, i zazwyczaj niezajętych.

To, że Alena nieraz już pozwoliła się kupić, było brutalną prawdą, lecz nigdy nie tak naga, jak w tej chwili. Bezpośredniość Mattara była formą

agresji, Alena zaś poczuła wzbierające w niej obrzydzenie. Dokończyła wino i odstawiła kieliszek, czyniąc to tak energicznie, że szkło głośno zadzwoniło.

– Zamówić ci jeszcze lampkę? – zapytał Mattar.

– Oczywiście – rzekła Alena. – Ja tymczasem pójdę do toalety.

Wstała, zanim Mattar zdążył odpowiedzieć, i ruszyła, nie oglądając się za siebie i znikając mu z oczu. Mijając łazienkę, zeszła schodami prowadzącymi na ulicę. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim Mattar zrozumie, że nie wróci. A może zdał sobie z tego sprawę, gdy tylko wstała od stolika?

Była sobą bardzo rozczarowana: uwierzyła we wspólną przyszłość z Jeremym. Była też wściekła, że potraktował ją jak przedmiot – to sprawiło, że postanowiła porozmawiać z reporterką. Ludzie ze świata mody bez przerwy informowali plotkarską prasę o cudzych brudach, mszcząc się tym samym z powodu prawdziwych lub wymagowanych uraz. Być może było to małostkowe, lecz Alena zamierzała pokazać Jeremy'emu, że nie może jej lekceważyć i się z tego po prostu wywinąć. Chciała mu także udowodnić, że jest zdolna do obrony.

Okazało się, że łatwiej przemycić do prasy plotkę niż poważną informację. Alena oczywiście nie przypuszczała, że reporterka powiąże jej podpowiedź z morderstwem. Wciąż sądziła, że Jeremy nie może mieć z nim nic wspólnego: po prostu był na to za słaby. Lecz czy faktycznie trzeba być mocnym, by wydać polecenie, które wykona ktoś inny?

W wypadku na budowie zginęło trzech ludzi. Nie było to zabójstwo z premedytacją, lecz jaka to różnica? Skoro chęć napchania swojego portfela doprowadziła do wystawienia pracowników budowy na ryzyko utraty życia, to czy nie było to w zasadzie morderstwo? Ile dzieliło je od rozmyślnego uśmiercenia kogoś, kto stanowił zagrożenie? Czy ktoś tak bogaty jak Jeremy Roth musiał przynajmniej trochę różnić się od innych, by móc prowadzić wystawne życie?

Poprzedniego dnia zadzwoniła Candace, reporterka, która zapytała Alenę, czy nie zechciałaby się spotkać z prawnikiem reprezentującym człowieka oskarżonego o zamordowanie Fowlera. Alena stwierdziła, że nie wie, czy będzie mogła w czymkolwiek pomóc, ale zgodziła się na spotkanie z Duncanem Rileyem. Rzadko miewała do czynienia z prawnikami – denerwowali ją. Tymczasem Duncan – młody i zachowujący się swobodnie mężczyzna – zupełnie nie odpowiadał jej wyobrażeniom o adwokatach. Zadał Alenie niemal te same pytania co reporterka, Alena zaś odniosła wrażenie, że poczuł się rozczarowany odpowiedziami.

Pomyślała, że dziwnie się rozmawia z ludźmi pokroju Candace i Duncana, którzy wydawali jej się bardzo podobni: byli zagorzałymi pracoholikami ogarniętymi zawodową obsesją wydobywania prawdy na światło dzienne. Było jasne, że oboje mocno wierzą, że Rothowie maczali palce w morderstwie, choć można też było odnieść wrażenie, że nie mają dość mocnych dowodów, by ich dopaść. Lecz Alena nie chciała się narazić ani jednym, ani drugim.

Pogrążona w myślach, otworzyła drzwi wejściowe do domu Ivy. Nie zauważyła jednak mężczyzny, który wysiadł z samochodu i przeszedł przez ulicę, kierując się w jej stronę. Wyczuła jego obecność dopiero wtedy, gdy znalazł się tuż za jej plecami. Odwróciła się, przestraszona, i stanęła twarzą w twarz z doskonale ubranym Afroamerykaninem dobiegającym pięćdziesiątki.

– Przepraszam, czy pani Alena Porter? – zapytał.

– Czy my się znamy? – zapytała Alena.

Mimo że mężczyzna miał na sobie nowy, doskonale skrojony garnitur, coś odpowiedziało Alenie, że nie jest to prawnik ani bankier. Eleganckie ubranie nie było w stanie zamaskować jego barbarzyńskich manier.

– Mamy wspólnego znajomego – powiedział Darryl Loomis. – Kogoś, kto bardzo pragnie się z panią zobaczyć.

Pali się? – zapytała Lea, spoglądając z rezerwą na brata.

Właśnie minęła dziewiąta. Jeremy rzadko zjawiał się w pracy przed dziesiątą, więc jego obecność o tak wczesnej porze stanowiła dostateczny powód do niepokoju. Wyglądał strasznie: miał przekrwione oczy, był wymizerowany, jakby wyszedł prosto z baru.

– Chodzi o tę reporterkę, Snow – powiedział. – Wie wszystko o Aurorze.

Lea zbladła. Próbowwała opanować panikę, wmawiając sobie, że nie można dosłownie traktować słów Jeremy'ego.

– Skąd to przypuszczenie? – zapytała.

– Rozmawiała z osobami, które znam prywatnie, i zadawała im pytania w tej sprawie – odpowiedział Jeremy. – Wie o pieniądzach i o roli Fowlera, wie też, dlaczego został zamordowany.

– Gdyby rzeczywiście znała prawdę, nie usłyszałbyś plotek, tylko przeczytałbyś o wszystkim na pierwszej stronie gazety.

Jeremy z niepokojem przyglądał się siostrze.

– Co się stało z Jackiem Pellettierim? – przemówił w końcu.

Pytanie to zdziwiło Leę.

– O czym mówisz? – zapytała.

– Reporterka opowiada, że morze wyrzuciło jego ciało w New Jersey. Kazałaś Darrylowi go zabić?

– Oczywiście, że nie – powiedziała Lea, nieco się odprężając. – To najlepszy dowód, że Snow blefuje. Próbuje postawić nas pod ścianą i robi wszystko, byśmy wpadli w panikę.

Jeremy nie wyglądał na przekonanego.

– Czy możesz mnie zapewnić, że Darryl nie zamordował Pellettieriego? – zapytał.

Lea się zawahała. Nie mogła wykluczyć, że Darryl mógłby podjąć taką decyzję i nic jej o tym nie powiedzieć.

– O ile wiem, Pellettieri ma się całkiem dobrze i wyleguje się na plaży gdzieś na Karaibach – odparła. – Co papie ta reporterka?

– Rozповіда o ciele Jacka znalezionym na brzegu. Mówi też, że w związku z tym policja ma na nas oko i że zrobili to ludzie Darryla działający na nasze polecenie.

Leę ogarnęły złe przecucia. Czyżby reporterka po prostu wymyśliła historię o zwłokach wyrzuconych przez fale? Lea musiała stanąć twarzą

w twarz z Darrylem i przekonać się, czy nie stało się coś, o czym nie wiedziała. A jeśli ciało Jacka Pellettieriego rzeczywiście pojawiło się u brzegów New Jersey i policja wzięła jej rodzinę na celownik? Lea uznała to za absurd: nie zaaranżowała przecież morderstwa ani nic o nim nie wiedziała. Lecz czy nawet same plotki nie mogłyby doprowadzić jej rodziny do upadku? Niestety, to wszystko było możliwe.

– Porozmawiam z Darrylem – oświadczyła Lea.

– Zadzwoń do niego. I to natychmiast.

– Darryl nie należy do tych, którzy chętnie odbierają telefony – odparła oschle Lea.

– Reporterka napisze artykuł, w którym stwierdzi, że mamy na sumieniu Fowlera i Pellettieriego, a to nas zrujnuje, nawet jeśli nie skończymy za kratkami.

– To, że węszy, jeszcze nic nie znaczy – stwierdziła Lea.

Zastanawiała się, czy reporterka zdobyła dość dużo informacji, by móc opublikować swój artykuł. Wydawało się to niemożliwe, lecz z drugiej strony Lea nie miała pojęcia, co wiedziała Candace Snow, której artykuł o Aurora Tower był dla Rothów wielkim zaskoczeniem.

– Poza tym ojciec zatroszczył się, żeby nie pozwoliła sobie na zbyt wiele – powiedziała. – Jeśli nie będzie mogła niczego udowodnić, to nie ma mowy o jakimkolwiek artykule.

– Sądzę, że musimy porozmawiać z tatą – rzekł Jeremy.

– I co mu powiemy?

– Wszystko.

Lei nigdy nie przyszłoby do głowy, że Jeremy kiedykolwiek zaproponuje, by porozmawiać z ich ojcem o problemach, które właśnie się przed nimi spiętrzyły.

– Oszalałeś? – zapytała. – Po pierwsze: on nas zabije. A poza tym, czy myślisz, że zrobi coś, czego nie byliśmy w stanie zrobić sami?

– Tata siedzi w tym biznesie o wiele dłużej niż my i zna wszystkie sztuczki.

– Nie mogę w to uwierzyć. Mówisz poważnie o wtajemniczeniu go w tę sprawę – stwierdziła Lea. – A wcześniej to ja musiałam ci obiecywać, że o niczym mu nie powiem.

– Bo myślałem, że sobie poradzimy. Gdybym wtedy wiedział...

Oczy Lei zwięzły się, a jej twarz zeszywniała.

– Co to miało znaczyć? – zapytała.

– Mam wrażenie, że to się nigdy nie skończy – odpowiedział Jeremy. –

Gina ludzie i jest coraz gorzej.

– Nie śmieję obwiniać mnie o to, że tkwimy w tym gównie – odparła ze złością Lea.

Jeremy nie obwinał siostry. Zdawał sobie sprawę, że pierwotną przyczyną kłopotów były jego błędy, lecz przecież to decyzje Lei sprawiły, że sytuacja stała się niezwykle skomplikowana. Jeremy wiedział jednak, że nie powinien o tym mówić.

– Musimy się dowiedzieć, co dokładnie wie reporterka – kontynuowała Lea. – Z kim rozmawiała?

Jeremy nie chciał wciągać we wszystko Aleny. Nie chciał też pozwolić, by Lea wyciągnęła od niej jakiegokolwiek informacji.

– Powiedziałem ci już – odparł. – Rozmawiała z kimś, kogo znam tylko prywatnie. Nie mam pojęcia, dlaczego reporterka sądzi, że ten ktoś cokolwiek wie.

Lea знаła swojego brata i była pewna, że w grę wchodzi kobieta.

– A czy ta, o której mówisz, naprawdę coś wie? – zapytała.

Jeremy udął, że nie zrozumiał.

– Co za „ta”?

– Kobieta, z którą rozmawiała Snow – odpowiedziała Lea. – Czy ta kobieta wie cokolwiek o Aurorze?

– Nie musisz się tym martwić – rzekł Jeremy. – Chodzi o to, czy reporterka wie dostatecznie dużo, by opublikować swój artykuł, a jeśli tak, to co zrobić, żeby ją przed tym powstrzymać.

– Porozmawiam dziś z Darrylem – oświadczyła Lea. – A ty chwilowo się tym nie zajmuj.

Darryl natychmiast się przyznał.

– Pojechałem, żeby namówić go do ucieczki – oświadczył, spoglądając w lusterko wsteczne i napotykając wzrok Lei. – Nie był tym zainteresowany. Nie mogliśmy mu zaufać, więc zrobiłem to, co należało.

Było to co najmniej kiepskie wytłumaczenie.

– I nie miałeś zamiaru mi o tym nawet wspomnieć? – zapytała Lea.

– Powiedziałeś mi przecież, że nie będziesz pytała o Jacka, bo nie chcesz o niczym wiedzieć – zripostował Darryl.

Lea nie dała się nabrać.

– Nie miałam zamiaru interesować się tym, gdzie jest – powiedziała. – Ale, na litość boską, nie sugerowałam, że masz go zabić. Nie możesz robić takich rzeczy na własną rękę. Kogo, oprócz nas, mogą posądzić o zamordowanie Pellettieriego?

Darryl nie wyglądał na kogoś, kto zamierza się bronić.

– Dlaczego ktoś w ogóle miałby cię o to posądzać? – zapytał. – Przecież nawet go nie znałaś.

– Wiesz, że nie o to chodzi.

– Pewnie, że o to. Nie wiedziałaś, że Pellettieri nie żyje, ani nie kazałaś nikomu go sprzątnąć.

Nie przekonało to Lei. Jeśli o czymś nie wiedziała, to czy owa niewiedza mogłaby uwolnić ją od winy za czyjąś krzywdę?

– Dlaczego policja miałaby utrzymywać jego śmierć w tajemnicy? – zapytała. – Czy to w ogóle możliwe?

– Nie na dłuższą metę – odpowiedział Darryl. – I nie bez uzasadnionego powodu. A najdziwniejsze jest to, że ktoś zakapował, choć powinien był trzymać język za zębami.

– A jeśli policja coś kombinuje? Może zastawia pułapkę?

Darryl wzruszył ramionami.

– Mogę sprawdzić, co wie reporterka – powiedział.

– Jak chcesz to zrobić?

– Być może będę musiał trochę ją przycisnąć.

Nie spodobało się Lei.

– Co znowu sugerujesz? – zapytała.

– Nawet reporterkom zdarzają się wypadki – odpowiedział Darryl.

Lea energicznie pokręciła głową. Jeremy miał rację: przemoc pogarszała tylko ich sytuację, a nastawanie na reporterkę, która pracowała nad wielkim artykułem o ich rodzinie, nie stanowiło żadnego rozwiązania.

– Nie ma mowy – oświadczyła Lea. – To tylko pogorszyłoby sytuację. Trzymaj się od niej z daleka. Zrozumiano?

Darryl spojrział na Leę pustym wzrokiem.

– Tak, proszę pani – powiedział.

Simon Roth nie próbował ukryć niezadowolenia na widok syna, który niespodziewanie wszedł do jego gabinetu.

– Czy to naprawdę coś pilnego? – zapytał, lecz zaniemówił, widząc wyraz oczu Jeremy'ego.

– Wpadłem w wielkie kłopoty, tato – usłyszał w odpowiedzi.

Sędzia Lasky postanowił, że przesłuchanie odbędzie się w trybie niejawnym: za zamkniętymi drzwiami. Duncan wolałby, żeby przebiegło ono na oczach opinii publicznej, lecz zdecydował się przy tym nie upierać, zrozumiałwszy, jak wiele cierpliwości okazał mu sędzia.

Duncan wszedł do sali rozpraw kilka minut przed dziesiątą. Zastępca sędziego rozmawiał właśnie z protokolantką, a dwaj strażnicy czekali przy drzwiach, w których miał się pojawić Rafael doprowadzony z aresztu sądowego. Duncan nie próbował nawet zobaczyć się z chłopakiem, założył bowiem, że strażnicy i tak mu na to nie pozwolą. Nie potrafił też przewidzieć reakcji Rafaela, który powiedział mu bez ogródek, że ma się od niego odczepić. Był jednak pewien, że jego były klient nie wie, co się dzieje. Duncan pomyślał, że jeśli osiągnie swój cel, to będzie miał mnóstwo czasu na wytłumaczenie wszystkiego Rafaelowi, a jeśli zawiedzie – to i tak nie będzie to już miało znaczenia.

Przeszedł pomiędzy rzędami pustych krzeseł i minął Stevena Blake'a oraz Leę Roth. Blake ukłonił mu się lekko, jak to zwykli czynić profesjonaliści, Lea zaś zupełnie go zignorowała. Duncan usiadł w pierwszym rzędzie, tuż za stołem obrony.

Zacząło się najgorsze: kilka minut bezczynnego oczekiwania na rozpoczęcie sądowej batalii. Tego ranka Duncan obudził się o szóstej, nie czekając na dzwonek budzika. Wstał rześki i pełen energii. Teraz jednak był cały w nerwach i miał wilgotne dłonie. Wyjął z torby butelkę wody i pociągnął długi łyk, lecz po kilku sekundach ponownie poczuł suchość w gardle.

Tuż przed rozpoczęciem przesłuchania do sali wszedł Robert Walker, który szybko usiadł przed Duncanem, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Duncan uśmiechnął się, pomyślawszy, że udało mu się do tej pory wkurzyć wszystkie strony tej sprawy: sędziego, obrońcę, prokuratora oraz świadka. Było to swoiste osiągnięcie. A teraz siedział tu, bezrobotny, pozbawiony klientów, nie mając nikogo po swojej stronie.

Z zaplecza sali sądowej wyłonił się wreszcie sędzia Lasky. Zebrani wstali i zaczęli czekać, aż zajmie miejsce za swym stołem. Sędzia przyjrzał się uważnie każdemu z zebranych; wyglądało to tak, jakby w milczeniu sprawdzał listę obecności.

– Proszę wprowadzić oskarżonego – zwrócił się do strażników.

Po kilku chwilach Rafael wszedł do sali i zajął miejsce obok Walkera.

Ku wielkiemu zdziwieniu Duncana sędzia zwrócił się najpierw do Stevena Blake'a.

– Panie Blake! Przypuszczam, że chciałby pan odnieść się do swojego wniosku, zanim zaczniemy – powiedział.

Blake zgodził się na to bez wahania. Wstał i zapinając marynarkę, ruszył ku sędziemu. Wstał również Duncan, który zupełnie nie rozumiał, co się dzieje.

– Wysoki sędzie! Nie zostałem poinformowany o jakimkolwiek wniosku złożonym przez pana Blake'a – oświadczył.

– Nie dostarczył pan panu Rileyowi kopii swojego wniosku? – zapytał Blake'a sędzia Lasky.

– Nie wiedziałem, że pan Riley otworzył własną kancelarię adwokacką, wysoki sędzie – odpowiedział Blake. – Przekazaliśmy wniosek obrońcy wymienionemu w aktach tej sprawy.

– Wysoki sędzie! Pan Blake z pewnością wie, jak mnie znaleźć – oświadczył Duncan. – Pracowaliśmy razem przez wiele lat i pan Blake niejednokrotnie kontaktował się ze mną, gdy przebywałem w domu.

– Panie Riley! – rzekł sędzia. – Skoro dzisiejszy poranek ma być przeznaczony na rozpieszczanie pana, to jestem skłonny pójść na rękę także panu Blake'owi, choć przyznaję, że powinien był dostarczyć panu odpowiednie dokumenty. Nie zamierzam odraczać tego przesłuchania, a zatem, panie Blake, czy zechce pan przedstawić w skrócie swe argumenty?

– Oczywiście, wysoki sędzie. Uważamy, że istnieje kilka powodów przemawiających za unieważnieniem wezwania pani Lei Roth do złożenia zeznań. Jesteśmy przekonani, że ze względów proceduralnych wystosowanie takiego wezwania przez pana Rileya, który nie reprezentuje żadnej ze stron tego postępowania ani nie prowadzi praktyki adwokackiej, jest czymś całkowicie niestosownym. Ujmę rzecz bardziej konkretnie: pani Roth zwyczajnie nie może przekazać jakichkolwiek istotnych informacji w tej sprawie. Jeśli zaś, wyłącznie na potrzeby dyskusji, założymy, że takowe posiada, to pan Riley mógł je zdobyć jedynie dzięki swym kontaktom służbowym z panią Roth. Przesłuchanie prowadzone przez pana Rileya i oparte na informacjach zdobytych przez niego podczas rozmów z panią Roth mogłoby doprowadzić nie tylko do złamania tajemnicy adwokackiej, ale także do ujawnienia poufnych informacji dotyczących mojej kancelarii. I wreszcie: jesteśmy przekonani, że powodem, dla którego

pan Riley wezwał panią Roth do złożenia zeznań, jest – mówię to bez ogródek – osobista niechęć, którą do niej żywi. Dlatego wysoki sąd nie powinien pozwolić mu na wykorzystanie procesu sądowego do prywatnych celów.

Duncan zaniepokoił się, widząc, z jak wielką uwagą sędzia przysłuchuje się wywodom Blake'a.

– Zatem, pańskim zdaniem, pan Riley mógłby naruszyć tajemnicę adwokacką, zadając po prostu pytanie wynikające z jego poufnej wiedzy? – zapytał sędzia Lasky.

– Jak najbardziej – odpowiedział Blake. – Jeśli pan Riley dysponuje poufnymi informacjami, to jest mało istotne, jak je ujawni: osobiście czy przesłuchując świadka, zwłaszcza że świadek, o którym mowa, to jego były klient. Klienci mają prawo oczekiwać, że ich prawnicy nie odwrócą się od nich i nie nadużyją ich zaufania.

– Tajemnica adwokacka nie ma jednak charakteru bezwzględnego, gdy w grę wchodzi możliwość popełnienia przestępstwa w przyszłości, na co, jak sądzę, powołuje się pan Riley – oświadczył sędzia Lasky. – Mogę jedynie zauważyć, panie Blake, że pański wniosek nie zawiera informacji o konflikcie, jaki powstał w pańskiej firmie w związku z tą sprawą. To osobliwe przeoczenie.

Blake sprawiał wrażenie zaskoczonego, lecz Duncan nie uwierzył w zakłopotanie malujące się na jego twarzy.

– Co wysoki sąd chce przez to powiedzieć? – zapytał Blake.

– Pańska argumentacja zasugerowała, iż Rothowie są w tym procesie niejako stroną – rzekł sędzia. – Przyczyną wspomnianego konfliktu było to, że ofiara zabójstwa była zatrudniona przez firmę Roth Properties, co utrudniło pracę pańskiej kancelarii, która, broniąc pana Nazario, zajmowała się badaniem opublikowanych niedawno w prasie oskarżeń. Dotyczyły one udziału pana Fowlera w fabrykowaniu dowodów wykorzystywanych jako pretekst do eksmisji. Uwiarygodnia to twierdzenie pana Rileya, że firma Roth Properties ma związek z tą sprawą.

Duncan usiłował nadażyć. Dopiero teraz dowiedział się, jak Blake uzasadnił rezygnację z reprezentowania Rafaela.

– Właśnie tak to widzę – kontynuował sędzia Lasky. – Nie wiem jeszcze, czy postępowanie to nie okaże się stratą czasu. Wkrótce się o tym przekonamy. A gdy już wszystko będzie jasne, podejmę odpowiednie działania. Jeśli się okaże, że to pani Roth straci tu dziś swój czas, to będzie mi przykro, lecz zapewniam ją, że pan Riley poniesie wówczas surowe

konsekwencje. Pozostaje jeszcze sprawa tajemnicy adwokackiej. Pan, panie Blake, będzie mógł zgłaszać sprzeciw w stosunku do pytań, które pańskim zdaniem będą mogły doprowadzić do jej naruszenia, a także w pewnych granicach doradzać swojej klientce, jeśli uzna pan, że może do niego dojść w związku z odpowiedziami, których udzieli lub będzie mogła udzielić pani Roth. Jeśli będę rozważał ujawnienie protokołu dzisiejszego postępowania, to najpierw pozwolę panu ocenić poufne materiały i umożliwię mu ich właściwą modyfikację. A jeśli stwierdzę, że przesłuchanie nie wniosło nic nowego do sprawy, uznam to wydarzenie za niebyłe, a protokół nie zostanie sporządzony. Czy to panu wystarczy, panie Blake?

Blake był niezadowolony, lecz się zgodził.

– Doceniam troskę wysokiego sądu o interesy mojej klientki, lecz najprostszym wyjściem jest oddalenie wezwania do złożenia zeznań – powiedział. – Istnieją także kwestie proceduralne, a zwłaszcza fakt, iż pan Riley nie reprezentuje obecnie żadnej ze stron tego postępowania.

– Pan Riley zgłosił się do mnie jako reprezentant wymiaru sprawiedliwości podejrzewający popełnienie przestępstwa – odparł sędzia. – Uważam, że jego prawem, a moim obowiązkiem jest sprawdzenie, czy podejrzenie to jest zasadne. Jeśli nie, zajmiemy się tym. A teraz, panie Riley, proszę wezwać swojego świadka.

Lea Roth miała na sobie czarny kostium i stalowoszarą bluzkę. Dzięki zaczesanym do tyłu włosom wyglądała groźniej niż zazwyczaj. Jej szczupłą twarz przybrała surowy wyraz, a jasna karnacja przerodziła się w bladość.

Gdy już zaprzysiężono Leę, Duncan wstał i podszedł do mównicy. Zadał najpierw kilka podstawowych pytań, niezbędnych do ustalenia, kim jest zeznająca, gdzie pracuje i jakie zajmuje stanowisko, a także jaką funkcję w firmie pełni jej brat i ojciec. Lea odpowiadała szybko i rzeczowo, wyraźnie okazując znudzenie.

– Firma Roth Properties realizowała projekt budowlany znany jako Aurora Tower, prawda? – zapytał Duncan.

– Zgadza się.

– Czy może pani opisać Aurora Tower?

– Jest to luksusowy apartamentowiec liczący trzydzieści sześć kondygnacji.

– Czy w trakcie wznoszenia tego budynku wystąpiły jakieś problemy?

Lea przesunęła się na krześle.

– Tak, wydarzył się wypadek – odpowiedziała Lea. – Z powodu częściowego zarwania się konstrukcji zginęło trzech robotników, kilku

zostało rannych.

– Czy firma Roth Properties należąca do pani rodziny sprawowała nadzór nad tą budową?

– Mój brat był odpowiedzialny za realizację projektu, chociaż jako deweloper nie nadzorujemy technicznych aspektów budowy. Zadanie to należy do głównego wykonawcy.

– Czy orientuje się pani, co było przyczyną wypadku?

– Nie jestem inżynierem.

– Rozumiem, lecz proszę odpowiedzieć na to pytanie.

Lea zacisnęła lekko usta.

– Wiem, że podwykonawca odpowiedzialny za wylanie betonu nie zadbał o zapewnienie podstawowych zasad bezpieczeństwa – odpowiedziała. – Wiążący beton nie został odpowiednio podparty, co spowodowało rozpad.

– Kto był tym podwykonawcą?

– Firma Pellettieri Concrete.

– Kto kierował tą firmą?

– Jack Pellettieri – prychnęła Lea.

– Pan Pellettieri zniknął, prawda?

– Najwyraźniej tak – odpowiedziała Lea, ponownie przesuważąc się na krześle.

Duncan domyślił się, że Lea jest przygotowana na wzmiankę o śmierci Pellettieriego. Lecz nie zamierzał o to pytać: nie potrafiłby bowiem dowieść, że Pellettieri rzeczywiście nie żyje, a gdyby poruszył ten wątek, nie mając dowodów, wyszedłby na szaleńca. I bez tego dużo ryzykował.

– Czy wie pani, że pan Pellettieri sprzeniewierzał pieniądze przeznaczone na budowę Aurora Tower? – zapytał.

– Niestety tak.

– Jak mu się to udawało?

– Miał kilka sposobów. Na przykład wystawiał faktury za prace, których nie wykonano, a także zatrudniał martwe dusze.

– Czyli w gruncie rzeczy kradł pieniądze waszej firmy, zgodzi się pani?

– Tak.

– Czy ktoś jeszcze był zamieszany w te sprzeniewierzenia?

Lea zawahała się przez chwilę, Duncan zaś zastanowił się, czy przestraszyła się, że zastawia na nią pułapkę.

– Nie wiem – powiedziała w końcu.

Okej – pomyślał – będziesz zatem kłamać pod przysięgą. Duncan przyjął

wprawdzie, że tak się stanie, lecz nie miał pewności. Lecz czy będzie potrafił udowodnić, że Lea mówi nieprawdę?

– Czy to prawda, że w chwili zniknięcia pana Pellettieriego toczyło się wobec niego dochodzenie prowadzone przez sąd? – zapytał.

Lea spojrzała na Blake'a, najwyraźniej czekając na sprzeciw.

– Słyszałam takie plotki – odpowiedziała. – Lecz oczywiście nie wiem, czy mają coś wspólnego z rzeczywistością.

– Wysoki sędzie! – zaprotestował Blake. – Jaki związek mogą mieć pytania dotyczące Aurora Tower ze śmiercią Seana Fowlera?

– To dobre pytanie, panie Riley – powiedział sędzia Lasky, przyglądając się badawczo Duncanowi. – Proszę powiązać te kwestie albo zmienić temat, mecenasie.

– Oczywiście, wysoki sędzie – odrzekł Duncan.

– Czy wie pani, kim był Sean Fowler, ofiara zabójstwa, której dotyczy ta sprawa? – zapytał.

– Nie znałam go osobiście, ale wiem, że pracował dla naszej firmy jako ochroniarz.

– Kiedy usłyszała pani po raz pierwszy to nazwisko?

– Sądzę, że dzień po jego śmierci – odpowiedziała Lea. – Do zabójstwa doszło na naszym terenie, a Sean Fowler pracował dla nas, więc oczywiście dowiedzieliśmy się o wszystkim.

– Czy brat nigdy nie mówił pani o Fowlerze?

Lea lekko się zawahała. Duncan nie był pewien, czy nie była to tylko poza.

– Nie sądzą – odpowiedziała.

– Czy wiedziała pani, że Fowler pracował na Aurora Tower?

– Nie jestem tym zaskoczona. Jego pracodawca zapewnia nam kompleksową ochronę.

– Pan Fowler był zamieszany w sprzeniewierzenia, których dopuszczał się pan Pellettieri w związku z budową Aurora Tower, zgadza się?

Duncan po raz pierwszy zauważył lekki strach w oczach Lei.

– Nie znam szczegółów działalności pana Pellettieriego – odpowiedziała po chwili. – Jak już powiedziałam, sądzą, że sprawa ta była przedmiotem dochodzenia w chwili jego zniknięcia, lecz nie wiem, co zdołano ustalić. Musiałby pan o to zapytać w biurze prokuratora okręgowego.

– Czy jest pani świadoma, a może nie? że pani brat wiedział o sprzeniewierzeniach, których dopuszczał się pan Pellettieri?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała chłodno Lea.

– Ale wie pani, że jej brat był realnie zamieszany w te sprzeniewierzenia, zgadza się?

Lea wyglądała na naprawdę zdenerwowaną.

– To skandaliczne oskarżenie – odparła.

– Zaprzecza pani?

– Z całą stanowczością – odpowiedziała Lea.

Duncan pomyślał, że mogłoby to przekonać każdego, kto nie wiedział, że Lea kłamie.

– Czy kiedykolwiek miała pani świadomość, że szantażowano jej brata?

– Nie.

Duncan przekrzywił głowę, patrząc na Leę z powątpiewaniem.

– Zatem, zeznając pod przysięgą, oświadczasz pani, że nic o tym nie wie?

Lea spoglądała z pogardą.

– Byłam świadoma przysięgi, również odpowiadając po raz pierwszy na to pytanie – odparła.

– Pani Roth, czy jest prawdą, że Sean Fowler został zamordowany, ponieważ szantażował pani brata?

– To absurdalne pytanie.

– Proszę nie oceniać pytania, tylko na nie odpowiedzieć.

– Myślę, że udzieliłam już odpowiedzi, nazywając to pytanie absurdalnym. Nie, to nieprawda.

Naciskając, Duncan nie zmierzał do jakiegokolwiek wyznaczonego wcześniej celu. Lea zaprzeczała jednak raz za razem, Duncan postanowił więc to wykorzystać. Nadeszła pora na wrzucenie wyższego biegu.

– Kiedy i w jakiej sytuacji usłyszała pani o Rafaelu Nazario?

– Było to chyba wtedy, gdy przeczytałam artykuł o jego aresztowaniu pod zarzutem zamordowania pana Fowlera.

– Czy pani i ja nie rozmawialiśmy o Rafaelu Nazario, zanim popełniono to morderstwo?

Lea wyglądała na autentycznie zmieszaną.

– Dlaczego mielibyśmy rozmawiać o panu Nazario? – zapytała.

– Zajmowałam się sprawą jego eksmisji – oświadczył Duncan. – Dyskutowaliśmy o tym krótko podczas naszej pierwszej rozmowy i dłużej podczas drugiej.

Blake wstał.

– Wysoki sędzie, rozmowy te były objęte tajemnicą adwokacką – zaprotestował.

– Nie ujawniam niczego, co ma związek z reprezentowaniem przeze

mnie pani Roth lub jej firmy – odparł Duncan. – Stwierdziłem jedynie, że pani Roth i ja omawialiśmy, w ogólnych zarysach, mój udział w sprawie pana Nazario.

– Oddalam sprzeciw – powiedział sędzia Lasky.

– Jeśli sobie dobrze przypominam, wspomniał pan o sprawie pro bono – odpowiedziała Lea. – Pamiętam tylko, że zdawał się pan przypisywać jej drugorzędne znaczenie.

W porządku, pomyślał Duncan, wystawiłem się. Uśmiechnął się lekko do Lei, doceniając jej ripostę.

– Gdy oskarżono pana Nazario o zamordowanie pana Fowlera, kancelaria, w której wówczas pracowałem, poprosiła panią, by zdecydowała, czy mamy dalej pracować nad tą sprawą, zgadza się? – zapytał.

– To ewidentna próba ujawnienia poufnych informacji dotyczących współpracy mojej kancelarii z klientką – zgłosił sprzeciw Blake.

– Zamierzam zezwolić na udzielenie odpowiedzi, przynajmniej w sensie ogólnym – oświadczył Lasky. – Uważam, że okoliczności tej sprawy, a zwłaszcza podniesiona tu kwestia konfliktu, usprawiedliwiają uchylenie klauzuli poufności informacji.

– Tak, rozmawiałam o tym z panem Blakiem – rzekła Lea.

– Czy początkowo zgodziła się pani, by jego kancelaria podjęła się obrony pana Nazario? – zapytał Duncan.

– Tak, zgodziłam się.

– Czy poleciła pani, by kancelaria, w której pracowałem, postarała się o szybkie zawarcie ugody obrończej w sprawie pana Nazario?

Lea zerknęła na Blake'a.

– Troszczyłam się tylko o to, by nieprzychylnie opinie nie przeszkodziły nam w pracach na osiedlu Jacob Riis. Nie zalecałam jednak niczego, co miałoby związek ze strategią prawną, ani nie sugerowałam kancelarii jakichkolwiek działań, które byłyby sprzeczne z interesami pańskiego klienta.

– Czy później powiedziała pani panu Blake'owi, że już nie chce, by jego kancelaria reprezentowała pana Nazario?

Zakłopotanie Lei rosło, a przerwy poprzedzające jej odpowiedzi stawały się coraz dłuższe.

– Tak – odparła w końcu.

– Dlaczego?

– Z powodu oskarżeń mówiących o związku pracowników ochrony

zatrudnionych w Jacob Riis z eksmisjami, które miały tam miejsce. Pan Blake wyraził obawę, czy jego kancelaria będzie mogła zbadać ten aspekt sprawy, nie wchodząc w konflikt z naszą firmą. W przypadku pojawienia się dowodów świadczących o udziale ochroniarzy, których zatrudnialiśmy, w zaaranżowaniu eksmisji pana Nazario mógłby on na przykład wytoczyć nam proces.

Była to oczywiście bzdura, lecz Duncan nie potrafił tego udowodnić.

– Czy wie pani, co uznano za motyw mogący skłonić pana Nazario do dokonania zabójstwa?

– Sądzę, że miał on związek z eksmisją.

– A konkretnie: czy chodziło o to, że pan Fowler oświadczył, że przyłapał pana Nazario na paleniu marihuany, przez co jego rodzinie groziła eksmisja?

– Nie przypominam sobie szczegółów, ale chyba tak.

Duncan poprosił o włączenie do materiału dowodowego artykułu Candace Snow poświęconego eksmisjom w Jacob Riis, a następnie przedstawił Lei jego kopię.

– Czy czytała pani ten artykuł? – zapytał.

– Tak – oświadczyła Lea.

Duncan pomyślał, że to pierwsza zgodna z prawdą odpowiedź, której udzieliła.

– Czy pracownicy ochrony zatrudnieni na osiedlu Jacob Riis podrzucali narkotyki jego mieszkańcom?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała Lea.

– Czy to prawda, że im mniejsza liczba dotychczasowych mieszkańców osiedla ponownie zamieszka w Jacob Riis, tym więcej przestrzeni będzie można wykorzystać na mieszkania przeznaczone do sprzedaży po cenach wolnorynkowych?

– Sprawa ta jest o wiele bardziej skomplikowana – rzekła Lea.

Mimo że pytania Duncana nie miały istotnego związku ze śmiercią Fowlera, odpowiedzi Lei także okazały się mało przekonujące.

– Czy pani firma, Roth Properties, wiedziała, że pracownicy ochrony stwarzali sytuacje, które miały umożliwić eksmisję mieszkańców osiedla Jacob Riis?

– Ja z pewnością nic o tym nie wiedziałam. Nie mogę wypowiadać się w imieniu całej firmy. Nie słyszałam też o jakichkolwiek niewłaściwych zachowaniach naszych strażników. Opublikowanie artykułu w gazecie nie dowodzi jeszcze, że zawiera on prawdę.

– Czy po ukazaniu się tego artykułu zbadała pani zasadność zamieszczonych w nim zarzutów?

– Nie.

– Czy uczyniła to pani firma?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Nie uznała pani, że warto byłoby zbadać tę kwestię?

– Mieliśmy już do czynienia z autorką artykułu – powiedziała Lea. – Wiemy, że jest niewiarygodna i przedstawia niedokładne informacje.

– Czy artykuł ten zawiera wypowiedzi mieszkańców osiedla Jacob Riis, którzy stwierdzili, że pan Fowler należał do strażników podrzucających narkotyki w celu doprowadzenia do eksmisji?

– Sądzę, że tak.

– Czy miała pani okazję zapoznać się z treścią artykułu?

Lea spojrzała na sędziego, potem ponownie na Duncana.

– Tak. Artykuł ten zawiera oskarżenia pod adresem pana Fowlera – odpowiedziała z lekkim uśmiechem.

– Władze miejskie poinformowały, że prowadzą dochodzenie dotyczące eksmisji, w które zamieszani byli strażnicy ochrony, nieprawdaż?

– Sądzę, że tak, chociaż nikomu nie postawiono zarzutów.

– Czy miasto wstrzymało eksmisje, do których przyczynili się pracownicy ochrony?

– Tak, do czasu zakończenia dochodzenia. Sądzę, że nie podjęto jeszcze ostatecznych decyzji.

– Czy zna pani Chrisa Driscolla?

– Nie miałam okazji poznać tego pana.

Duncan zastanowił się nad prawdziwością tej odpowiedzi. Doszedł do wniosku, że Lea mogła powiedzieć prawdę: nie znalazł bowiem powodu, dla którego miałby podejrzewać, że Lea uzgadniała cokolwiek z Driscollem.

– Lecz wie pani, że Chris Driscoll pracował na Aurora Tower jako ochroniarz?

– Tak, wiem.

– I wie pani, że jest on jedynym świadkiem oskarżenia zeznającym przeciwko panu Nazario?

– Wiem, że pan Driscoll widział strzelaninę – odpowiedziała Lea. – Nie wiem natomiast, czy pańskie stwierdzenie jest poprawne.

– Czy kiedykolwiek rozmawiała pani z panem Driscollem o Seanie Fowlerze?

– Powiedziałam już, że, o ile pamięć mnie nie myli, nigdy o niczym

z nim nie rozmawiałam.

– Lecz wie pani, że Chris Driscoll nie mówi prawdy, twierdząc, że widział Rafaela Nazario strzelającego do Seana Fowlera?

– Nie wiem – odpowiedziała bez wahania Lea.

Patrząc na Leę, nie można było stwierdzić, czy kłamie. Najwyraźniej sędzia jeszcze nie doszedł do wniosku, że pytania Duncana zmierzają donikąd.

– Czy zna pani Darryla Loomisa? – zapytał.

– To szef prywatnej firmy ochroniarskiej, która otrzymuje od nas dużo zleceń. Sean Fowler był jednym z jego pracowników.

– Czy kiedykolwiek rozmawiała pani z panem Loomisem o mojej roli w sprawie pana Nazario?

– Tak. Pańska kancelaria zwróciła się do nas z pytaniem, czy nie mamy nic przeciwko reprezentowaniu przez pana Rafaela Nazario oskarżonego o morderstwo, a ja omówiłam tę kwestię z panem Loomisem, który był przełożonym pana Fowlera.

– Czy kiedykolwiek omawiała pani z panem Loomisem sprawę szantażowania pani brata przez Seana Fowlera?

Lea odchyliła się do tyłu jak ugodzona nożem.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała.

– Czy nie jest prawdą, że wspólnie z panem Loomisem zaplanowała pani uśmiercenie pana Fowlera oraz zrzucenie winy za tę zbrodnię na pana Nazario?

– To absolutna nieprawda – odparła natychmiast Lea, nie przestając patrzeć Duncanowi prosto w oczy.

– Czy to Darryl Loomis zorganizował zabójstwo Seana Fowlera?

– Nie przypuszczam, by mógł się tego dopuścić.

Blake wstał.

– Wysoki sędzie, jaki to wszystko ma sens? – zapytał. – Pani Roth cały czas stanowczo zaprzecza oskarżeniom, jakoby miała posiadać jakiekolwiek informacje mające związek z tą sprawą karną. Pan Riley nie przedstawił jeszcze ani jednego dowodu, który pozwoliłby podważyć to, co powiedziała pani Roth.

Sędzia Lasky skinął głową i zwrócił się do Duncana.

– Muszę się z tym zgodzić, panie Riley – powiedział. – Jeśli pańskim jedynym celem jest zadawanie oskarżycielskich pytań i wysłuchiwanie przeczących odpowiedzi, to wykonał pan już swoje zadanie, a cierpliwość sądu jest na wyczerpaniu. Czy może pan przedstawić jakikolwiek dowód,

który naprawdę potwierdzi, że pani Roth dopuściła się zatajenia informacji przed tym sądem?

– Sądzę, że jestem już gotów, by udowodnić, że tak właśnie uczyniła, wysoki sędzie – odrzekł Duncan. – Odpowiedzi pani Roth są całkowicie niezgodne z prawdą.

– Pani Roth ewidentnie zaprzeczyła pańskim oskarżeniom – odparł sędzia Lasky. – Dopóki nie przedstawi pan dowodu, że nie można wierzyć jej słowom, nie możemy jej niczego zarzucić.

– Dysponuję takim dowodem, wysoki sędzie – oświadczył Duncan. – Mam jeszcze jednego świadka.

Najbardziej znieawidzoną przez Candace sytuacją było przetrzymywanie informacji. Obiecała, że nie wspomni ani słowem o przesłuchaniu Nazario, dopóki Duncan nie zadzwoni i nie poinformuje jej, że już się odbyło. Monotonie oczekiwania przerwał jednak niespodziewany mail od Tommy'ego Nelsona. Candace czytała tę wiadomość z narastającym zdumieniem: Nelson oświadczył, że chce jej coś pokazać, poprosił o spotkanie w parku Tompkins Square za godzinę i zastrzegł, by do niego nie telefonowała.

Candace poczuła niepokój. Przypomniała sobie to, co jej powiedział podczas ich ostatniej rozmowy: powinna zachować ostrożność. Po chwili podniosła słuchawkę służbowego telefonu i zadzwoniła do wiceprokuratora okręgowego Sullivana.

– Myślę, że ktoś będzie próbował mnie zabić – powiedziała.

Pół godziny później Candace spotkała się w sali konferencyjnej redakcji z Sullivanem oraz detektywem Gomezem. Gomez wręczył jej mały nadajnik bezprzewodowy i poinstruował, w jaki sposób powinna go przymocować do zapięcia biustonosza.

– W parku będziemy mieli kilkunastu policjantów w cywilu, a na dachu strzelców wyborowych – wyjaśnił Sullivan. – Będziemy w stanie zrozumieć każde słowo i wkroczymy do akcji, gdy tylko usłyszymy dostatecznie dużo albo gdy uznamy, że grozi pani niebezpieczeństwo. Jeśli poczuje się pani zagrożona, proszę powiedzieć „dość”.

– Jak pan sądzi: o co im chodzi? – zapytała Candace.

Sullivan wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że naprawdę chcą z panią porozmawiać i zorientować się, co pani wie – odpowiedział. – Mogliby wprawdzie spróbować dowiedzieć się tego podstępem albo posunąć się do czegoś jeszcze gorszego, lecz dopóki będzie pani przebywać w miejscu publicznym pod naszą ochroną, dopóty nie powinno pani nic grozić.

– Nie powinno?

Candace była przerażona i nie obchodziło jej, czy Sullivan to zauważył.

– Gdyby chcieli panią zastrzelić, nie zabiegaliby o to spotkanie, choć nie jest ono pozbawione ryzyka. Ale chyba nie muszę pani o tym mówić.

Candace wsiadła do pociągu linii N i dojechała nim do East Village, a potem przemierzyła Saint Marks Place, kierując się w stronę parku. Nawet

Saint Marks nie zdołało się oprzeć gentryfikacji, lecz mimo to uliczne dzieciaki z irokezami na głowach i sklepiki z punkrockowymi T-shirtami wyglądały tak samo jak w czasach, gdy Candace była nastolatką. Teraz jednak było tu także sporo turystów i japońskich restauracji.

Park Tompkins Square zupełnie nie przypominał miejsca, które Candace pamiętała sprzed dwudziestu lat. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaludniony był wciąż pęczniejącym tłumem anarchistów i narkomanów oraz otoczony popadającymi w ruinę squatami. Teraz otaczały go budynki z mieszkaniami własnościowymi, a gromadzący się w nim ludzie niewiele różnili się od tych, których można było spotkać w Central Parku.

Candace podeszła do jednej z ławek w pobliżu stołów z szachownicami. Zmysły reporterki pracowały na najwyższych obrotach, a jej żołądek ścisnął się ze strachu. Candace zwracała uwagę na twarz każdego przechodnia, na wiatr poruszający gałęziami drzew i na wszystkie złowieszcze odgłosy otaczającego ją miasta. Spędziła już pięć minut na baczym przyglądaniu się tłumowi, gdy przysiadł się do niej dobrze ubrany ciemnoskóry mężczyzna w średnim wieku. Candace spojrzała na nieznanego, który popatrzył jej w oczy i się uśmiechnął.

– Przepraszam, czy pani Candace Snow? – zapytał.

Candace przyglądała się mężczyźnie przez dłuższą chwilę. Była prawie pewna, że to Darryl Loomis. Nie znali się, lecz Candace przypomniała go sobie z jednego ze zdjęć, które przeglądała, pisząc artykuł o eksmisjach. Zdziwiła się, że Darryl przybył osobiście, wyglądało to na niepotrzebne ryzyko.

– Czy my się znamy? – zapytała.

– Jestem przyjacielem Tommy’ego. Przysłał mnie po panią.

– Przysłał po mnie? – zapytała Candace, grając na zwłokę.

Plan zakładał, że cokolwiek miałoby się wydarzyć, musiało to odbyć się w parku. Skoro przebywanie w tym miejscu, nawet pod okiem policji i z mikrofonem pod bluzką, było dostatecznie ryzykowne, to o ile niebezpieczniejsze dla Candace stałoby się opuszczenie parku w towarzystwie dopiero co poznanego mężczyzny?

– Mam panią zawieźć do Tommy’ego, żeby mógł pani coś pokazać.

– Tommy nie wspominał o żadnym przyjacielem – odparła Candace, wciąż analizując sytuację.

Wyprawa mogła być niebezpieczna, lecz Candace pomyślała, że Darryl nie zadałby sobie tyle trudu, gdyby zamierzał ją po prostu zabić.

– Tommy martwi się, że ktoś może panią śledzić – powiedział Darryl. –

Ostatnią rozmowę z panią przypłacił poważną kontuzją. Zresztą tego, co chce pani pokazać, nie da się przenieść. Musi to pani zobaczyć na miejscu.

– Gdzie jest to miejsce?

– W SoHo, na budowie, na której pracował Tommy.

Tego Candace się nie spodziewała.

– Aurora Tower? – zapytała.

– Zgadza się.

Candace wolałaby porozmawiać z Darrylem w parku, ale nie wiedziała, jak go do tego nakłonić.

– To wszystko wydaje mi się bardzo tajemnicze – powiedziała. – Nie chciałabym pana urazić, ale nawet nie wiem, kim pan jest.

– Nazywam się Reggie Watson – odparł Darryl i wyciągnął rękę.

Candace przyglądała się jej przez krótką chwilę, po czym ją uściśnęła.

– Czy mogę zadzwonić do Tommy’ego i dowiedzieć się, o co chodzi? – zapytała.

Darryl pokręcił głową.

– Żadnych telefonów – powiedział. – Nie wiem, kim są ludzie, którymi się pani interesuje, ale jeszcze nigdy nie widziałem tak przerażonego Tommy’ego.

– Więc co konkretnie zrobimy?

– Zaparkowałem samochód przy D Avenue. Najpierw trochę pojeździmy, żeby się upewnić, że nikt nas nie śledzi, a potem podwiozę panią do Aurora Tower i Tommy pokaże pani to, co ma.

– Cóż to takiego?

Darryl wzruszył ramionami.

– Jestem tylko posłańcem – odparł.

Candace nie próbowała ukryć zdenerwowania. Darryl uśmiechnął się do niej. Było jasne, że nic nie powie, dopóki nie opuszczą parku. Lecz skoro Candace zamierzała sprowokować Darryla do powiedzenia czegoś, co mogłoby go obciążyć, musiała się zgodzić na przejażdżkę, choć nie wiedziała, jak może się ona skończyć. Wstała.

– W porządku – powiedziała. – Jedźmy.

Kim, u licha, jest Alena Porter? – zapytał ponagląjącym szeptem Blake.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Lea.

Odwróciła się i patrzyła, jak piękna kobieta, której nigdy przedtem nie widziała, zmierza do miejsca dla świadków.

Blake wstał.

– Wysoki sędzie, sprzeciwiam się powołaniu tego świadka – oświadczył.

– Moja klientka poinformowała mnie, że nie zna pani Porter. Jeśli celem tego przesłuchania jest ustalenie, czy moja klientka dopuściła się zatajenia informacji przed sądem, to świadkami z pewnością powinny być osoby, które dysponują bezpośrednią wiedzą dotyczącą jej działań.

– Wysoki sędzie, pani Porter dysponuje jak najbardziej bezpośrednią wiedzą w tej materii – stwierdził Duncan. – Za chwilę stanie się to jasne.

– Przekonamy się, co świadek ma do powiedzenia – powiedział sędzia Lasky. – Lecz proszę, panie Riley, by obyło się bez wielkich ceregieli. Rozumiemy się?

Lea przyglądała się nieznajomej. Alena dobiegała trzydziestki, była dobrze ubrana i, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, zaskakująco opanowana. Z takim wyglądem pewnie przyzwyczała się do bycia w centrum zainteresowania, pomyślała Lea. I zrozumiała, że kobieta ta musi znać jej brata. Czy to ona powiedziała Jeremy'emu o reporterce? A jeśli tak, to dlaczego zjawiała się w sądzie?

Po zaprzysiężeniu Aleny Duncan zadał jej kilka standardowych pytań, po czym przeszedł do rzeczy.

– Pani Porter, czy zna pani Jeremy'ego Rotha?

– Tak, znam go.

– Jaki jest charakter państwa znajomości?

– Spotykaliśmy się.

– Czy Jeremy Roth rozmawiał z panią kiedykolwiek o Aurora Tower?

– Tak.

– Ile razy?

– O ile dobrze pamiętam: trzy.

– Czy rozmawialiście o wypadku na Aurora Tower?

– Trochę.

Duncan nie był jeszcze gotów na przejście do sedna sprawy.

– Czy Jeremy Roth mówił coś o pracy firmy Pellettieri Concrete na

Aurora Tower? – zapytał.

– Sprzeciw – zaprotestował natychmiast Blake. – To powoływanie się na pogłoski, wysoki sędzie.

– To sytuacja, w której można dopuścić dowód ze słyszenia – zwrócił się do sędziego Duncan i zacytował odpowiedni przepis.

– Jeremy Roth nie jest stroną w tej sprawie, zatem jego wypowiedzi nie mogą zostać uznane za taki dowód – odparł Blake.

– Charakter tego przesłuchania z pewnością utrudnia zdefiniowanie stron – rzekł Duncan.

Spodziewał się, że Blake poruszy kwestię dowodów ze słyszenia, i wiedział, że stąpa po cienkim lodzie, ale miał nadzieję, iż niezwykle okoliczności sprawy zapewnią mu pewną swobodę działania.

– Nawet jeśli wysoki sąd nie zechce potraktować wypowiedzi pana Rotha jako dowodów ze słyszenia, to przemawiają one za istnieniem zmywy oraz działaniem podlegającym odpowiedzialności karnej, co uzasadnia ich wykorzystanie jako materiału dowodowego – dodał.

Lasky długo przyglądał się Duncanowi, po czym zwrócił się do Blake'a.

– W tym wypadku kwestia dopuszczenia dowodów ze słyszenia jest złożona, zwłaszcza ze względu na nietypowy proceduralny charakter tego przesłuchania – powiedział. – A ponieważ odbywa się ono bez udziału ławy przysięgłych, a charakter dowodów, które zamierza przedstawić pan Riley, jest dla mnie wciąż niejasny, przeto jestem skłonny nie orzekać odnośnie do dowodów ze słyszenia, dopóki się nie dowiem, do czego zmierzamy. Panie Blake, będzie pan mógł kwestionować jedynie formę pytań. Natomiast pan, panie Riley, nie powinien zakładać, że ostatecznie wezmę pod uwagę każdy z przedstawionych przez pana dowodów ze słyszenia. Równie dobrze będę mógł wszystkie odrzucić. Czy to jasne?

Duncan skinął głową. Pomyślał, że nie mógłby liczyć na więcej.

– Pani Porter, powtórzę pytanie – zaczął. – Czy Jeremy Roth powiedział pani coś, co dotyczyło firmy Pellettieri Concrete i Aurora Tower?

– Powiedział mi, że wie o udziale tej firmy w defraudowaniu pieniędzy.

– Skoro wiedział o defraudacjach, to dlaczego im nie zapobiegł?

– Ponieważ większość zdefraudowanych pieniędzy trafiała do jego kieszeni. Jeremy wyprowadzał pieniądze swojej firmy za pośrednictwem firmy dostarczającej beton na Aurora Tower.

Duncan zamilkł na chwilę, chcąc, by słowa Aleny dotarły do sędziego.

Tymczasem Blake ponownie wstał.

– Wysoki sędzie, nawet jeśli te zarzuty są zasadne, to na czym mogłoby

polegać ich istotne znaczenie w sprawie o morderstwo rozpatrywanej przez ten sąd? – zapytał.

– Już wkrótce stanie się to całkiem jasne, wysoki sędzie – odparł szybko Duncan.

Sędzia Lasky gestem nakazał mu kontynuować.

– Czy kiedykolwiek rozmawiała pani z Jeremym Rothem o wypadku na budowie? – zapytał Duncan.

– Tak. Jeremy czuł się winny, ponieważ wiedział, że dostawcy betonu robili nieuzasadnione oszczędności.

– Czy powiedział pani jeszcze coś, co miało związek z tym wypadkiem?

– Powiedział mi, że w związku z nim był szantażowany.

– Czy powiedział, kto go szantażował?

Alena spojrzała na Leę. Przez chwilę obie kobiety patrzyły na siebie w taki sposób, jakby tylko one były obecne w sali sądowej. W końcu Alena skierowała wzrok na Duncana. W tej chwili nie wydawała się już tak spokojna jak wtedy, gdy zajmowała miejsce dla świadków.

– Szantażował go Sean Fowler – oświadczyła.

– Kiedy Jeremy Roth powiedział pani, że Sean Fowler go szantażował?

– Dwa dni temu.

Lea nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Jeśli ta kobieta mówiła prawdę, to Jeremy nie tylko zdradził jej swe najciemniejsze tajemnice, ale na dodatek uczynił to tuż przed przesłuchaniem. Czy chciał, aby go ukarano? Lea wiedziała, że jej brat ma skłonności samodestrukcyjne, ale tym razem mogło chodzić o coś zupełnie innego.

– Czy kiedykolwiek rozmawiała pani z Jeremym Rothem o zabójstwie, którego ofiarą był Sean Fowler? – zapytał Duncan.

Blake znowu wstał.

– Wysoki sędzie, muszę się sprzeciwić – oświadczył. – To ordynarna pogłoska. Gdyby pan Riley potrzebował zeznań Jeremy’ego Rotha, mógłby powołać go na świadka. Jeśli pani Porter nie dysponuje bezpośrednią wiedzą, nie powinna zeznawać.

– Jak już powiedziałem, panie Blake, zamierzam wstrzymać się z oceną dowodów, dopóki nie stwierdzą, dokąd zmierzamy – rzekł sędzia Lasky. – Proszę kontynuować przesłuchanie, panie Riley.

Duncan skinął głową i spojrzał na Alenę, przysłuchującą się z niewzruszonym spokojem wymianie zdań.

– Może pani odpowiedzieć, pani Porter – powiedział.

– Tak, rozmawialiśmy o tym zabójstwie.

– Czy Jeremy Roth wyjaśnił pani, dlaczego Sean Fowler mógł go szantażować?

– Jeremy powiedział mi, że Fowler brał udział w defraudowaniu pieniędzy przeznaczonych na budowę Aurora Tower, chyba jako pośrednik.

– Czy pan Roth powiedział pani coś jeszcze o swoich relacjach z Seanem Fowlerem?

– Powiedział mi, że zapłacił Fowlerowi za milczenie, ale ten wrócił i znowu zażądał pieniędzy. Dlatego został zamordowany.

– Czy to wszystko, co Jeremy Roth powiedział pani o śmierci Fowlera?

– Powiedział mi też, że nie ma z nią bezpośredniego związku. Powiedział, że morderstwo to zostało zaplanowane przez jego siostrę, która współdziałała z ochroniarzami pracującymi dla ich firmy.

Blake poderwał się z miejsca.

– Wysoki sędzie, to zakrawa na skandal – oburzył się. – To tylko pomówienia. Lea Roth poinformowała mnie, że nigdy nie słyszała o tej kobiecie. Nie wiemy zatem, czy Jeremy Roth w ogóle ją zna.

– Nie mam nic przeciwko temu, by pan Blake spróbował zweryfikować prawdziwość zeznań pani Porter – powiedział spokojnie Duncan.

Blake spojrział na niego, tocząc wewnętrzną walkę: jego podejrzliwość wobec tej propozycji przeciwstawiała się potrzebie podważenia zeznań Aleny.

– Dobrze, przesłucham świadka – rzekł po chwili. – Lecz najpierw poproszę o kilka minut na skonsultowanie się z moją klientką.

– W porządku – powiedział sędzia Lasky. – Zarządzam dziesięciminutową przerwę, po której dokończymy przesłuchanie i przekonamy się, na czym stoimy.

Jeremy nie potrafił usiedzieć w miejscu. Bezustannie krążył po swym gabinecie. Czekał, aż siostra poinformuje go o wydarzeniach w sądzie, czuł się jak zwierzę w klatce. Chciał pojechać do sądu, lecz Blake stanowczo mu to odradził. Zjawił się więc w firmie, chociaż wiedział, że nawet nie spróbuje zabrać się do pracy.

Jego siostra nie wydawała się szczególnie przejęta wizytą w sądzie, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie. Lea wciąż uparcie twierdziła, że nikt nie ma dowodów potwierdzających związek ich rodziny z jakimkolwiek morderstwem i że będzie tylko musiała zaprzeczyć zarzutom, które postawi jej prawnik. Jeśli nawet była to prawda, to i tak wciąż należało się liczyć z możliwością ukazania się w prasie artykułu reporterki.

A wszystko to dlatego, że Jeremy sięgnął po trochę własnych pieniędzy. I to wszystko: zaciągnął kredyt u samego siebie. Któż miałby się tym przejmować? Lecz właśnie z tego powodu zginęło pięciu ludzi. Teraz w kłopoty wpadł także jego ojciec, który jednak nie komentował ostatnich wydarzeń. Jeremy nie rozmawiał z nim od chwili, gdy wyznał mu prawdę. Spodziewał się wówczas nieprzyjemnej rozmowy, lecz Simon zareagował w o wiele gorszy sposób. Jeremy nie był pewien, czy ojciec jeszcze kiedykolwiek zechce z nim rozmawiać. Wiedział jednak, że będzie próbował zapobiec ujawnieniu afery.

Zadzwonił telefon. Jeremy zerknął na wyświetlacz i rozpoznał numer siostry. Natychmiast podniósł słuchawkę.

– Już po przesłuchaniu? – zapytał.

– Co wie Alena Porter? – odezwała się Lea.

Jeremy zaczął zastanawiać się gorączkowo, dlaczego Lea go o to pyta.

– Alena? Jest tam? – wybąkał.

– Jeremy: co ona, kurwa, wie?

Jeremy usłyszał lekkie echo w słuchawce.

– Włączyłaś głośnik? – zapytał, grając na zwłokę.

– Cześć, Jeremy – odezwał się Blake. – To ważne, by ta rozmowa pozostała poufna.

– Wypadaloby mnie uprzedzić, że nie jesteś sama – zwrócił się do siostry Jeremy.

– Nie pora na takie pierdoły, Jeremy – ucięła Lea. – Alena Porter.

– Co tam się dzieje? – zapytał Jeremy. – Co wspólnego z tym wszystkim

ma Alena?

– Mamy mało czasu – stwierdził Blake. – Czy znasz tę kobietę?

– Kurwa! No dobrze: tak. I co z tego?

– Ona zeznaje przeciwko nam – powiedziała Lea. – I twierdzi, że do wszystkiego jej się przyznałeś.

Jeremy nie mógł zrozumieć, jak do tego doszło. Alena ostrzegła go przecież przed reporterką i jeszcze dwa dni wcześniej wszystko wskazywało na to, że sprawy nie mają się aż tak źle, choć na razie nie udało się ich do końca załatwić. Alena oświadczyła, iż nie jest gotowa na powrót do mieszkania, i odmówiła, gdy tamtego wieczoru Jeremy zaproponował spotkanie przy drinku w jej dawnym lokum: powiedziała wtedy, że potrzebuje trochę czasu, aby wszystko przemyśleć. Jeremy nie naciskał; pocałował tylko Alenę na pożegnanie. Był to prawdziwy pocałunek zawierający wyraźne obietnice tego, co miało nadejść. Jeremy poczuł, że będzie musiał tylko nieco bardziej się postarać, i był pewien, że Alena chce, by zapracował na jej powrót. A teraz, nie wiedzieć czemu, Alena znalazła się w sądzie i zeznaje przeciwko niemu? Powtarza wszystkim to, co powiedział jej parę dni wcześniej? Czy to możliwe?

– Owa Alena Porter twierdzi, że się z tobą spotykała – powiedział Blake.

– Zeznała, że powiedziałaś jej o wyprowadzaniu pieniędzy z Aurory, o Fowlerze jako twoim pośredniku, a także o tym, że Fowler cię szantażował. Alena Porter oświadczyła też, że to twoja siostra zaplanowała zamordowanie Fowlera. Czy rzeczywiście powiedziałaś jej o wszystkim?

– Jezu Chryste... – wymamrotał Jeremy.

Zapadła długa cisza.

– Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co będę mógł wykorzystać przeciw tej kobiecie – odezwał się w końcu Blake. – Mów szybko, co wiesz.

Z czego się pani utrzymuje, pani Porter? – zapytał Steven Blake.

Rozpoczął przesłuchanie Aleny po zakończeniu piętnastominutowej przerwy, podczas której uczestnicy postępowania podzielili się na grupki i konferowali na stronie. Duncan dotrzymał towarzystwa Alenie i przesiedział z nią wolny kwadrans na ławce w holu. Wymienił spojrzenie z Rafaelem, ale się do niego nie odezwał. Nie był w stanie się domyślić, co czuje jego były klient.

– Jestem modelką – odpowiedziała Alena, odnosząc się do Blake’a z rezerwą.

Duncan zrobił wszystko, by jak najlepiej wykorzystać przerwę i przygotować Alenę na sztuczki Blake’a, lecz wiedział, że na niewiele się to zda.

– Kiedy pani ostatnio pracowała?

Alena wyraźnie się zawahała.

– Dokładnie nie pamiętam – stwierdziła po chwili. – Chyba niecałe dwa miesiące temu.

– Gdzie pani mieszka, pani Porter?

– W tej chwili u przyjaciółki, która wyjechała. Właśnie szukam mieszkania.

– A gdzie mieszkała pani wcześniej?

Alena ponownie się zawahała.

– W apartamencie w West Side.

– Czy płaciła pani za korzystanie z tego mieszkania?

– Apartament należał do Jeremy’ego Rotha, który pozwalał mi w nim mieszkać.

– Czy mieszkała tam pani sama? – zapytał Blake, narzucając tak dobrze znane Duncanowi tempo przesłuchania.

– Jeremy zostawał czasami na noc, lecz mieszkał gdzie indziej.

– I pan Roth pozwalał pani zajmować to mieszkanie za darmo?

– Tak.

– A było to wtedy, gdy była pani zaangażowana w związek uczuciowy z panem Rothem?

– Tak.

– Lecz nie pozostaje już pani w związku z panem Rothem?

– Zgadza się.

– Gdzie poznała pani pana Rotha?

– W nocnym lokalu.

– W nocnym lokalu... – powtórzył Blake; była to jawna insynuacja. –

Czy ktoś was sobie przedstawił?

– Tak, jeden z właścicieli lokalu.

– Czy ów współwłaściciel należał wtedy do pani przyjaciół?

– Zналиśmy się już jakiś czas – odpowiedziała Alena.

– Czy ma on w zwyczaju przedstawiać panią bogatym mężczyznom?

Duncan zerwał się szybko z miejsca, nie próbując nawet ukryć poirytowania.

– Sprzeciw – zaprotestował. – To dręczenie świadka.

– Badam jedynie motywację, która doprowadziła do udziału świadka w dzisiejszym przesłuchaniu, wysoki sędzie.

Sędzia Lasky obrzucił Blake’a długim spojrzeniem.

– Proszę kontynuować, panie Blake – powiedział.

– Czy wydarzyło się coś szczególnego, co skłoniło panią do opuszczenia mieszkania za darmo udostępnianego pani przez pana Rotha?

– Sądzę, że to zbyt proste uproszczenie – odpowiedziała Alena.

– Czy spędziła pani wieczór poprzedzający wyprowadzkę z panem Rothem oraz z innym mężczyzną?

Duncan nic o tym nie wiedział. Tak bywa, gdy przygotowuje się świadka, który nie zdążył wszystkiego powiedzieć. Jeśli Blake zamierzał wprawić Alenę w zakłopotanie, to właśnie teraz musiała być gotowa na przyjęcie najsilniejszych ciosów.

– Tak – odpowiedziała.

– Czy pan Roth poznał tego mężczyznę w związku ze swymi interesami?

– Sądzę, że tak.

– Tamtego wieczoru pan Roth pojechał do domu, a pani została z owym mężczyzną.

Alena spojrzała na Blake’a i zacisnęła zęby.

– Nie jestem dziwką – rzekła.

Blake udał zakłopotanie.

– Proszę?

– Słyszał pan, co powiedziałam.

– Nie zasugerowałem chyba, że jest pani prostytutką, pani Porter – odparł Blake z lekkim uśmiechem. – Lecz przecież uzgodniliśmy, że jest pani bezrobotną modelką utrzymywaną przez bogatych mężczyzn, których poznaje pani w nocnych lokalach, nieprawdaż?

– Wysoki sędzie – zaprotestował Duncan.

Sędzia Lasky pokręcił głową.

– Nie ma tu dziś przysięgłych, zatem nie może pan rozpać ich emocji – powiedział. – Proszę przejść do rzeczy.

Blake skinął głową, nie spuszcżając wzroku z Aleny.

– Była pani zła na pana Rotha, ponieważ zostawił panią z innym mężczyzną, tak?

– Prawdę mówiąc, tamten wieczór upłynął mi na interesującej rozmowie z Mattarem – odparła Alena.

Blake postanowił nie pytać o szczegóły, kierując się zasadą, iż przesłuchujący prawnik nie powinien zadawać pytań, na które nie zna odpowiedzi.

– Była pani jednak zła na pana Rotha z powodu sposobu, w jaki wtedy panią potraktował, nieprawdaż?

– Jeremy mnie rozczarował, więc przypuszczam, że tak.

– Była pani przekonana, że jej związek z panem Rothem to coś poważnego, lecz odmienne zdanie pana Rotha w tej kwestii stanowiło dla pani niespodziankę, prawda?

– Nie zgodziłabym się z pańską opinią.

Duncan zdawał sobie sprawę, że Blake w gruncie rzeczy nie usiłuje zmusić Aleny do dalszych ustępstw i – nie zwracając już uwagi na jej odpowiedzi – skupia się jedynie na własnych pytaniach, których jedynym zadaniem stało się utrwalenie scenariusza wydarzeń w umyśle sędziego. Współczuł Alenie, lecz wiedział, iż sytuacja za chwilę się zmieni.

– Czy to prawda, pani Porter, że jest pani zła na pana Rotha, że chce się pani na nim zemścić i że w tym celu złożyła pani dziś fałszywe zeznania?

Alena nie zareagowała na podniesiony głos Blake'a.

– Nie, to nieprawda – odpowiedziała.

– Jest oczywiste, że zachowuje się pani w sposób typowy dla zawiedzionych kobiet. Dlaczego zatem sąd miałby uwierzyć w to, co pani powiedziała?

Alena spojrzała na Duncana, który starając się ze wszystkich sił zachować pokerową twarz, lekko skinął głową.

– Ponieważ nagrałam to, co powiedział Jeremy Roth – powiedziała.

Simon Roth szczyił się swą zdolnością do bezproblemowego przesypiania każdej nocy. Wyłączał się i spał snem sprawiedliwego niezależnie od presji, jakiej doświadczał, i od stawki, o jaką toczyła się gra – sypiał spokojnie nawet wtedy, gdy chodziło o setki milionów dolarów. Uznawał to za dowód swej silnej woli.

Mimo to ostatniej nocy udało mu się przespać zaledwie godzinę. Za dnia Simon był tak zdekoncentrowany, że nie potrafił nawet zmusić się do ucieczki w pracę. Przybywszy do biura, usiłował oddać się codziennym zajęciom, ale nie słyszał niczego, co do niego mówiono.

Jeszcze nigdy w życiu nie grał o tak wysoką stawkę. Córka Simona, Lea, została zaciągnięta do sądu przez prawnika, który postanowił oskarżyć rodzinę Rothów o morderstwo i korupcję, a reporterka z gazety przygotowywała artykuł zawierający te same oskarżenia. Simon nie przejmował się zbyt prawnikiem: ten musiał przedstawić niepodważalne dowody. Bardziej niepokoiła go reporterka, która mogła wykorzystać pogłoski i posunąć się do insynuacji. Simon miał jednak w zanadru kilka sposobów na kontratak. Nie pozostało mu nic innego, jak czekać i przekonać się, czy okażą się skuteczne.

Powinien był wszystko przewidzieć. Gdyby nie chodziło o dzieci, pewnie by coś przeczuł. Postanowił jednak zapewnić Jeremy'emu i Lei swobodę działania, jakkolwiek było to sprzeczne z jego naturą. Choć niespieszno mu było do emerytury, to chcąc, by jego dzieci przejęły firmę, musiał zacząć przekazywać im władzę. Powierzył zatem Jeremy'emu kontrolę nad Aurora Tower i postanowił się nie wtrącać. Nie zainterweniował nawet wtedy, gdy zginęło trzech robotników. Wypadki na budowie nie są przecież niczym niezwykłym. Simon nie dostrzegł powodu, dla którego miałby pomyśleć, że tragedia, do której doszło na Aurora Tower, mogła mieć jakikolwiek związek z jego firmą.

Lecz wczoraj... Wczoraj odwiedził go Jeremy, który wyznał mu prawdę – tak straszliwą, że Simon do tej pory nie potrafił jej do siebie dopuścić. Roth senior – znany ze swego temperamentu, który zazwyczaj potrafił powściągać, gdy chodziło o strategię firmy – dobrze sobie radził w sytuacjach kryzysowych. W obliczu katastrofy umiał być najspokojniejszym człowiekiem na świecie. W obecnej sytuacji musiał zatem odłożyć na bok swe rozczarowanie i skupić się na ustaleniu położenia swojej

rodziny.

– Reporterka rozpowiada, że ma gotowy artykuł? – zapytał, gdy jego syn wyznał mu prawdę. – I że go opublikuje?

Jeremy skinął głową.

– Lea sądzi, że to może być blef – odparł.

Simon pomyślał, że taka możliwość byłaby prawdziwym luksusem, chociaż wiedział, że nie można jej brać pod uwagę.

– Ta reporterka postanowiła dobrać się nam do skóry – powiedział. – Uwzięła się na ciebie i żąda twojej głowy. Może zrobić to, co zawsze robią media, gdy nie mogą niczego udowodnić: zacząć zadawać pytania i rzucać oskarżenia. A kiedy już coś opublikuje, nawet plotki, to nigdy od tego nie uciekniemy.

– Co z twoim układem z Samem Friedmanem? – zapytał Jeremy. – Myślałem, że pilnuje, żeby reporterka trzymała się od nas z daleka.

– Jeśli ona naprawdę wie tyle, by móc nas zniszczyć, to Sam osobiście naostrzy jej nóż, którym ona nas zaatakuje. Nasze porozumienie będzie obowiązywać tylko tak długo, jak długo obaj będziemy na nim korzystać.

– Nie możemy więc nic zrobić? – zapytał błagalnym tonem Jeremy, zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy jako nastolatek wpadał w kłopoty, a ojciec musiał wyciągać go z opresji.

Simon zmierzył syna ostrym wzrokiem.

– Zawsze da się coś zrobić – rzekł. – Nie wchodź mi tylko w paradę.

– Posłuchaj, tato: wiem, że spieprzyłem sprawę. Przepraszam.

Simon przyglądał się przez chwilę synowi, nad czymś się zastanawiając.

– Gdy to wszystko się skończy i będziesz już bezpieczny, złożysz rezygnację – oświadczył w końcu spokojnym głosem.

Zaskoczony Jeremy opadł na krzesło. Simon miał kamienną twarz. Emanował spokojem, który zaburzała jedynie pulsująca żyłka na jego skroni.

– Przecież przeprosiłem za...

– Mam w dupie twoje przeprosiny – przerwał synowi Blake. – Wyciągnięcie cię z tego szamba będzie ostatnią rzeczą, jaką dla ciebie zrobię, zrozumiałeś? Od tej pory radź sobie sam.

Jeremy zdobył się na mdły uśmiech.

– Rozumiem, że jesteś na mnie zły...

– Nie jestem zły – ponownie przerwał Jeremy'emu ojciec. – Złość i rozczarowanie mam już za sobą. Rozstaję się z tobą, Jeremy. Dałem ci wszystko, co tylko można sobie wymarzyć, a ty wszystko zaprzepaściłeś.

Jeremy zaczął coś mówić, po czym gwałtownie wstał i wyszedł. Simon przesiedział jeszcze kilka minut w całkowitym bezruchu. Zastanawiał się, czy wszystkie niepowodzenia nie wynikały po części z jego winy. Wszak nie protestował, gdy wszystko przychodziło jego synowi zbyt łatwo. Pozwolił go rozpuścić i zrobić z niego zapijaczonego bon vivanta. To jego zmarła żona rozpieszczała Jeremy'ego, lecz Simon nie zamierzał winić Rachel za grzechy jej syna.

Być może chodziło po prostu o to, że bogactwo i władza zawsze demoralizują. Simon także wychował się w dość komfortowych warunkach, choć majątek jego rodziny był niczym w porównaniu z tym, do czego doszedł on sam: ojciec Simona, Isaac, rozkręcił interes i w końcu został właścicielem szeregu bloków mieszkalnych w Harlemie i na Brooklynie. Isaac Roth przybył do tego kraju jako chłopiec i wychował się w Lower East Side. Zakładając firmę Roth Properties, był właścicielem jednego trzypiętrowego domu, lecz dorobił się ponad tuzina budynków, ukończył studia w City College i nabrał też apetytu na ryzyko.

Z technicznego punktu widzenia Isaac Roth był właścicielem slumsów, chociaż Simon uznawał to określenie za niesprawiedliwe – budynki należące do jego ojca nie były zaszczurzone ani nie miały dziurawych dachów. Były to czynszowe bloki zamieszkałe przez ubogich, na ogół kolorowych lokatorów. Isaac wykorzystywał prosty model biznesowy: wydawał jak najmniej na budynki popadające w ruinę (nawet te, których dotyczyły liczne pozwy sądowe wnoszone przez miasto), remontował je, a następnie dwukrotnie podnosił czynsz. Zmuszało to wielu lokatorów, których nie stać było na wynajem, do opuszczania mieszkań.

Ściągnęło to na Isaaca Rotha falę krytyki, lecz prawda była taka, że często przywracał on do życia domy nienadające się wcześniej do zamieszkania. Gdyby nie tacy ludzie jak ojciec Simona, całe dzielnice ległyby w gruzach. Lecz tak czy owak, zawsze coś mu zarzucano: gdy pozostawiał budynki w opłakanym stanie, mawiano, że wykorzystuje biednych, a gdy je remontował i podnosił czynsz – że wprowadza podziały w dzielnicę.

Ojciec Simona nie był święty. Czasami konieczne było usunięcie lokatorów, którzy nie chcieli się wyprowadzić, a wtedy najlepszym sposobem na załatwienie tego było utrudnianie im życia. Isaac Roth zatrudniał wówczas nieoficjalnie ludzi specjalizujących się w takich sprawach. Ci wyłączały ogrzewanie albo wyłamywali zamki w drzwiach wejściowych, umożliwiając włóczęgom wejście do budynków i spędzenie

nocy w klatkach schodowych. Użycie prawdziwej przemocy rzadko okazywało się konieczne, lecz Simon nie miał wątpliwości, że jego ojciec robił rzeczy, z których nie był dumny i o których nie mówił nawet swojemu synowi.

Isaac Roth nigdy nie próbował ukryć swego podłego pochodzenia. Simon natomiast zaczął pracę w firmie już jako absolwent studiów menedżerskich na Uniwersytecie Columbia. Studiując, nie tylko poznał rozmaite metody prowadzenia interesów – nauczył się także współpracować z nowojorską arystokracją w sposób, o jakim jego ojciec nigdy by nawet nie pomyślał. Już w pierwszym dniu pracy Simon zrozumiał, że firma powinna zacząć zabiegać o klientów z wyższej półki – pojął, że dochody z wynajmu mieszkań w dzielnicach zamieszkałych przez mniejszości nie pozwolą jego rodzinie zdobyć prawdziwej władzy i pieniędzy. Isaac Roth nigdy nie zaprzętał sobie głowy takimi sprawami. Nigdy też nie przyszło mu na myśl, by dołączyć do biznesowej socjety Nowego Jorku. Lecz czasy się zmieniały, a elita nowojorskich białych anglosaskich protestantów nie mogła już sobie pozwalać na snobizm, bowiem ludzie pokroju Simona odebrali jej już zbyt dużą część miasta.

Simon od początku skupiał się na nieruchomościach komercyjnych i założył duże biuro w Midtown w czasie, gdy wielu poważnych graczy z Wall Street zdecydowało się na migrację do lepszych dzielnic. Liczby na koncie Rothów zaczęły rosnać wykładniczo, dopóki rodzina nie dostała się do piątki największych deweloperów w mieście.

Myśląc o przekształceniach w Jacob Riis, Simon uznał, że historia zatoczyła koło: oto jego ojciec wynajmował tu mieszkania ubogim lokatorom, teraz zaś on, syn Isaaca, odgrywał główną rolę w przebudowie tego osiedla. Chciał, rzecz jasna, zarobić, i upoważnił ludzi Loomisa do przyglądania się eksmisjom, ale właśnie zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, choć wcześniej sądził, że nie przyniesie to nikomu szkody. Lecz przecież osiedle Jacob Riis było jedyną w jego życiu okazją do odcisnięcia trwałego piętna na tkance tego miasta. Simon poczuł się jak Robert Moses. Pomyślał, że mógłby pozostawić po sobie najtrwalsze dzieło – o ile skandal nie uderzy w jego rodzinę.

Dwadzieścia lat wcześniej Simon spodziewał się, że pewnego dnia Jeremy przejmie imperium Rothów, choć odbędzie się to w mniej dramatyczny sposób niż w jego przypadku. Wyobrażał sobie nawet, że jego syn rozpocznie karierę polityczną, a tym samym wzmocni pozycję rodziny. Marzenia te legły jednak w gruzach, gdy nastoletniego Jeremy'ego

przyłapano z ekstazy i wyrzucono z Horace Mann.

Być może Simon popełnił wielki błąd. Być może – zamiast skupiać się na Jeremym – powinien był poświęcić dwakroć więcej czasu Lei. Była zawsze zdolniejsza od brata. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Simon traktował wychowywanie dzieci w sposób tradycyjny i nie był w stanie sobie wyobrazić, że pewnego dnia to jego córka zacznie zarządzać wielką firmą deweloperską. W czasach, w których urodziła się Lea, nie było mowy o kobietach zajmujących eksponowane stanowiska w wielkich firmach. Ale i to się zmieniło, a Simon, zdawszy sobie z tego sprawę, wprowadził Leę do świata rodzinnych interesów. Nie przygotowywał jej jednak do tego odpowiednio wcześniej, Lea zaś nigdy mu do końca nie wybaczyła, że początkowo faworyzował Jeremy'ego, widząc w nim swego następcę.

Teraz Lea była być może bardziej zagrożona niż Jeremy, mimo iż starała się go chronić. Simon był zły, że próbowała to robić na własną rękę i że tym samym pogrzyżała rodzinę w kłopotach, zamiast ją z nich wyciągnąć. Lea zawsze chroniła brata, nawet kiedy byli dziećmi. Posunęła się jednak z ową lojalnością za daleko, a gdy pojawiły się kłopoty, miarka się przebrała. Nie ulegało wątpliwości, że Lea obawiała się, że ojciec, poznawszy prawdę, odetnie się od Jeremy'ego. I się nie pomyliła.

Było za późno na naprawienie tego, co się stało. Simon mógł już tylko próbować uchronić swą rodzinę przed całkowitą ruiną. Uznał, że nie ma innego wyjścia: spróbuje powstrzymać reporterkę w jedyny sposób, jaki mu pozostał, a jeśli padną na niego podejrzenia – zrobi wszystko, by je od siebie odsunąć.

Poprzedniego dnia podniósł zatem słuchawkę telefonu i zadzwonił do Darryla Loomisa.

Po raz pierwszy w życiu Simon zastanawiał się nad pozbawieniem kogoś życia, chociaż wciąż nie mógł uwierzyć, że się na to zdobył. Darryl, którego zatrudnił od dwóch lat, szybko okazał się niezastąpiony. Firma Roth Properties zawsze korzystała z usług prywatnych ochroniarzy pilnujących jej budów. Byli to ludzie z pierwszej linii frontu toczącej batalie z różnymi związkami, które kontrolowały przemysł budowlany w mieście. Mimo poprawy sytuacji ich przedstawiciele – nawet niepodatni zazwyczaj na korupcję – wplątywali się od czasu do czasu w zorganizowaną działalność przestępczą. Darryl był twardszy niż inni i budził respekt, co zaczęło szybko procentować.

Darryl pozwalał sobie na wiele – być może nawet na zbyt wiele. Podśluchiwał rozmowy telefoniczne, inwigilował ludzi i przetrząsał śmieci

konkurencji w poszukiwaniu informacji. Lecz Simon nie wiedział i nigdy nie chciał wiedzieć, jak daleko Darryl mógłby się posunąć. Wpadł w przerażenie, gdy Lea upoważniła Darryla do popełnienia morderstwa – wszak nie można było tego usprawiedliwić nawet wielkimi kłopotami, w jakie wpadł Jeremy. Lecz tego, co się stało, nie można już było cofnąć.

Rothowie tkwili w bagnie po uszy, a obojgu dzieciom Simona groziło spędzenie reszty życia w więzieniu. Simon nauczył się myśleć strategicznie, bo tego wymagała jego praca. Realizacja wielkich projektów budowlanych wiązała się z różnymi bilansami strat i zysków i wymagała rozlicznych kompromisów. Czasami też – z różnych powodów – kosztowała czyjeś życie. Oczywiście morderstwo różniło się od wypadku, lecz jak bardzo? Robotnicy budowlani ginęli – jak to się zdarzyło na Aurora Tower – i nikt nie nawoływał do zaprzestania wznoszenia drapaczy chmur.

Simon był budowniczym, na tym polegała jego rola, a społeczeństwo potrzebowało budowniczych zdolnych do bezwzględного działania. Simona nurtowało tylko jedno pytanie: czy uda się wyciszyć sprawę? Mógł już tylko czekać, a tego najbardziej nie znosił. Czuł się bezsilny, ale wiedział, że ma przy sobie swoich najlepszych żołnierzy: Blake'a i Loomisa, którzy nawet w najgorszej sytuacji nie pisną ani słowa.

Simon nie myślał o tym, co się stanie. Nie rozmawiał z Leą, odkąd Jeremy wyznał mu prawdę. Ostatecznie mógłby jej wybaczyć, lecz jeszcze nie był na to gotowy. A co do Jeremy'ego – Simon naprawdę zamierzał zrobić, jak obiecał: jego syn nie zasługiwał na drugą szansę.

Miał na rękach czyjaś krew i musiał żyć z tą świadomością. Simon zaś nie potrafiłby żyć ze świadomością, że wszystko, co zbudował, legło w gruzach.

W chwili gdy Alena oświadczyła, że nagrała rozmowę z Jeremym, Duncan przyglądał się Lei. Siedział daleko, lecz z łatwością dostrzegł drgające mięśnie jej mocno zaciśniętych szczęk. Zaczął się zastanawiać: czy Lea odczuła jakąś ulgę? A może zamierzała walczyć, bez względu na to, ile jeszcze zbrodni musiałaby popełnić i ilu ludzi skrzywdzić?

Duncan zwrócił uwagę na Blake'a, który najwyraźniej się zawahał: z pewnością uświadomił sobie, że znalazł się w środku najgorszego koszmaru, jaki mógłby sobie wyobrazić każdy prawnik. Z jednej strony, zadając kolejne pytania, Blake mógłby się narazić na inne niemiłe niespodzianki. Z drugiej, nie miał sposobu, który pozwoliłby mu zapędzić lisa z powrotem do jego nory. Siadając, przyznałby się do porażki i mógłby już tylko czekać na dobijający cios zadany mu przez Duncana.

Pierwszy odezwał się sędzieja.

– Czy nagrała pani rozmowy z Jeremym Rothem? – zapytał Alenę.

– Tylko jedną.

– Czy ma pani przy sobie to nagranie?

– Tak.

Blake spojrzał na sędziego.

– Wysoki sędzie, z pewnością można mieć wątpliwości co do autentyczności i pochodzenia tego nagrania. Nie wspominam już o jego legalności – powiedział.

– W stanie Nowy Jork każdy ma prawo nagrywać swoje rozmowy, wysoki sędzie – odparł Duncan, przypominając sobie Candace i jej cyfrowy dyktafon, ten sam, którego użyła Alena. – Pani Porter nie zarejestrowała rozmowy na polecenie wymiaru sprawiedliwości, a zatem nie można mówić o podstępie.

– Wysłucham tego nagrania – oświadczył sędzia Lasky. – Jednocześnie zastrzegam sobie prawo do oceny, czy będzie ono mogło zostać uznane za dowód. Wyłóżmy wszystkie karty na stół i zabierajmy się stąd.

Alena pozostała na miejscu dla świadków, gdy Duncan przekazał sądowi płytę CD z jej rozmową z Jeremym Rothem. Prawnicy i sędzia spierali się przez chwilę o legalność płyty jako dowodu, lecz Alena nie zwracała na to uwagi. Lata spędzone na wybiegu nauczyły ją oddzielać umysł od ciała. Siedząc w sali sądowej, powróciła w myślach do wydarzeń, które sprawiły, że się tu znalazła.

Nigdy by nie pomyślała, że z powodu rozmowy telefonicznej z reporterką stanie się świadkiem w procesie o zabójstwo. Poznawszy Candace, Alena nie miała pojęcia o istnieniu Seana Fowlera i Rafaela Nazario. Była prawie pewna, że wiedząc, co się stanie, zachowałyby milczenie.

Lecz to nie reporterka sprawiła, że sprawy zaszły tak daleko – zadecydowało o tym nagłe pojawienie się człowieka, który dwa dni wcześniej czekał na Alenę w pobliżu mieszkania Ivy. Podczas pięciominutowej rozmowy na ulicy Darryl próbował ją przekonać, by natychmiast udała się z nim do Jeremy'ego. Alena nie brała nawet pod uwagę takiej możliwości. Oświadczyła, że umówiła się już na popołudniowe spotkanie. Darryl najwyraźniej nie był skłonny zaakceptować odmownej odpowiedzi, lecz mimo to robił dobrą minę do złej gry. Ostatecznie Alena obiecała, że wieczorem spotka się z Jeremym i wypije z nim drinka.

Myśląc o tym, Alena czuła przerażenie. Bała się też Darryla, mimo iż ich rozmowa odbyła się w środku dnia na zatłoczonej ulicy. Nie potrafiła uwolnić się od myśli, że Jeremy dowiedział się o jej rozmowie z reporterką, i uświadomiła sobie niebezpieczeństwo, jakie mogła na nią ściągnąć wiedza o działaniach Rothów.

Zaczęła się bać Jeremy'ego: dotarło do niej, że wszyscy, którzy stanęli mu na drodze, ginęli. I uznała, że jego egoizm nie zna granic. Pomyślała, że jeśli Jeremy chce osiągnąć swój cel, to nie istnieje nic, co mogłoby go powstrzymać od wyrządzenia komuś krzywdy albo wydania takiego polecenia. Sposób, w jaki Jeremy traktował Alenę i w jaki ją wykorzystał, był tylko jednym z objawów jego poważnej choroby.

Alena zadzwoniła zatem do reporterki i opowiedziała jej o człowieku, który czekał przed domem Ivy.

– Przede wszystkim musi pani wiedzieć, że mogą panią śledzić – powiedziała Candace. – Prawdopodobnie będą też mogli dostać się do pani mieszkania, więc proszę nie zostawiać w nim niczego, czego nie powinni zobaczyć.

– Nie pomaga mi pani – odpowiedziała po chwili Alena.

– Nie mamy czasu na czcze gadanie. Co powiedziała pani Darrylowi?

– Powiedziałam mu, że umówiłam się na spotkanie po południu i że wieczorem będę mogła wypić drinka z Jeremym.

– W takim razie będzie pani musiała spotkać się z kimkolwiek, na wypadek gdyby panią śledzili. Proszę posłuchać, Aleno: może pani wyciągnąć niewinnego człowieka z więzienia i pomóc w wyjaśnieniu dwóch

morderstw. Czy zechce pani to zrobić?

– Jezu Chryste... – wymamrotała Alena. – Jestem bezrobotną modelką i nie mam nawet własnego mieszkania... Nie jestem prawniczką ani reporterką.

– I właśnie dlatego może pani zrobić to, czego my nie możemy.

Alena zamknęła oczy, usiłując pojąć, jak znalazła się w samym środku tego zamieszania. Ani reporterka, ani prawnik nie potrafili powstrzymać Jeremy'ego. Oboje przyznali, że nie mają odpowiedniej amunicji – takiej, która pozwoliłaby im przebić warstwy chroniące go przed ujawnieniem, czego się dopuścił. Alena uświadomiła sobie, że jest jedyną osobą, która może doprowadzić do ujawnienia prawdy.

Była przerażona, a zarazem wściekła. Nigdy jeszcze nie miała okazji, by pomóc komuś w taki sposób.

– Czego pani ode mnie oczekuje? – usłyszała swój własny głos.

Zgodnie z planem Alena odczekała godzinę i pomaszerowała do kafejki Mud oddalonej o parę przecznic od mieszkania Ivy. Nie czekała długo: po kilku minutach dostrzegła wchodzącego mężczyznę, który rozejrzał się dookoła i podszedł do niej z wahaniem. Przedstawił się jako Alex Costello i powiedział, że jest reporterem z „New York Journal”. Wyjął telefon, połączył się z kimś i podał aparat Alenie. Usłyszała Duncana i Candace, a oni zapoznali ją ze swoim pomysłem. Costello wręczył Alenie małą bąbelkową kopertę z cyfrowym dyktafonem. Powiedział, by otworzyła ją dopiero po powrocie do domu.

O dziewiątej Alena umówiła się z Jeremym w jego ulubionym, chyba ze względu na moc drinków, i utrzymanym w stylu retro barze Flatiron Lounge w Chelsea. Jeremy już czekał. Siedział przy stoliku w głębi lokalu. Wstał, by się przywitać, i niezręcznie pocałował Alenę w policzek. Miał na sobie garnitur bez krawata, a zamawiając drinka dla Aleny, wydawał się równie zakłopotany, jak nastolatek na pierwszej randce.

– Przez jakiś czas próbowałem się z tobą skontaktować – powiedział. – Cieszę się, że zgodziłaś się na spotkanie, i jest mi przykro z powodu naszych nieporozumień.

Alena przypomniała sobie, że nie przybyła na to spotkanie, żeby walczyć z Jeremym.

– W porządku – powiedziała, siląc się na jak największą wiarygodność.

– Wkurzyłem cię, zostawiając cię wtedy w barze, prawda? – powiedział Jeremy. – Ale byłem zmęczony, a Mattar chciał się jeszcze zabawić, więc postanowiłem mu pomóc. Chyba był nieszkodliwy, prawda?

– Nie jestem pewna, czy słowo „nieszkodliwy” jest dobre, by opisać zachowanie Mattara – odpowiedziała Alena. – Czyżby nie chciał już robić z tobą interesów?

– Chodzi mi o to, czy nie wydarzyło się nic złego – rzekł Jeremy. – Tamtego wieczoru dzwoniłem do ciebie kilka razy, ale nie odbierałaś.

Chryste, pomyślała Alena. Jeremy był naprawdę zazdrosny o Mattara. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, zwłaszcza mając świadomość, że każde słowo zostanie nagrane i będzie mogło pojawić się na pierwszej stronie gazety.

– Wiesz, Mattar miał gdzieś wszelkie twoje starania – powiedziała. – Chodziło mu tylko o demonstrację siły, bo Al-Falasi już wcześniej zdecydowali, że nie pożyczą wam pieniędzy.

– Nie lubiłem go – oświadczył Jeremy, zaskakując Alenę brakiem reakcji. – Po prostu musiałem spędzić z nim trochę czasu. To tylko interesy. Podrywał cię tamtego wieczoru?

– Wysłałam kilka minut po tobie – rzekła Alena, zastanawiając się, czy jedynym powodem, dla którego Jeremy tak bardzo chciał się z nią spotkać, nie była chęć dowiedzenia się, czy przespała się z Mattarem.

Wątpiła jednak, czy Jeremy jest na tyle samokrytyczny, by zdawać sobie z tego sprawę.

– Ale posłuchaj: muszę ci coś powiedzieć, zanim porozmawiamy o innych sprawach – powiedziała. – Wczoraj namierzyła mnie reporterka, która mówiła bardzo dziwne rzeczy.

Jeremy natychmiast zareagował: pochylił się w jej stronę, a jego oczy się zwięziły.

– Czy to była ta kobieta z „New York Journal”? – zapytał.

– Tak, to ta reporterka, którą chcieliście zaciągnąć do sądu. Wygląda na to, że wciąż się tobą interesuje.

– Dlaczego, do diabła, przyszła do ciebie? – zapytał Jeremy. – Skąd w ogóle wiedziała, kim jesteś?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Alena. – Nie powiedziała mi, po prostu pojawiła się w moich drzwiach. Najwyraźniej nie tak trudno mnie znaleźć – dodała, lecz zatopiony w myślach Jeremy nie zwrócił uwagi na te słowa.

– Więc o czym chciała z tobą rozmawiać?

– Pytała o ciebie, Jeremy. Powiedziała mi, że wyprowadzałeś pieniądze z Aurory, w czym miał ci pomagać niejaki Sean Fowler, który później cię szantażował.

Alena przerwała, patrząc Jeremy’emu w oczy. Nie chodziło jej o to, by

coś nagrać: Alena chciała się dowiedzieć, czy Jeremy naprawdę kogoś zabił, czy był do tego zdolny.

– Powiedziała mi też, że gość, który cię szantażował, został zamordowany.

Jeremy podniósł drinka, lecz natychmiast go odstawił. Mimo przyćmionego światła Alena dostrzegła krople potu występujące mu na skroniach.

– Co jej powiedziałaś? – wydusił przez ściśnięte gardło Jeremy.

Alena zdała sobie sprawę, że się przestraszył.

– Nic – odparła. – To znaczy... powiedziałam jej, że nie mam pojęcia, o czym mówi. Przecież nic nie wiem. Jezu, Jeremy, czy to prawda?

Tym razem Jeremy potrzebował obu rąk, by podnieść szklaneczkę. Pociągnął długi łyk. A więc to prawda, pomyślała Alena. Miała taką pewność, przychodząc na spotkanie, lecz nie była w pełni przygotowana na tę chwilę.

– Nie chciałybyś być w to zamieszana – powiedział Jeremy.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? Jeśli to zrobiłeś, to nie powinnam nawet z tobą rozmawiać.

– Nikogo nie zabiłem, jeśli o to ci chodzi.

– Reporterka nie powiedziała mi, że zabiłeś tamtego gościa osobiście, tylko że stoisz za tym morderstwem.

Jeremy odzyskał odrobinę spokoju.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – oświadczył.

Alena spodziewała się, że Jeremy zechce się przyznać, lecz wcale się na to nie zanosilo. Musiała pociągnąć go za język.

– To w zasadzie to samo, co przyznanie się – powiedziała, przyglądając się uważnie Jeremy'emu. – Ale to chyba wszystko nieprawda, tak?

– Na Aurorze wydarzyło się kilka rzeczy – odrzekł Jeremy. – Tak, wyprowadziłem trochę pieniędzy, ale, do cholery, w końcu i tak były moje. Gdyby mój ojciec nie był takim sknerą, nigdy nie poprosiłbym Pellettieriego, żeby je wziął.

– Więc wiedziałeś, że ten gość oszukiwał?

– Tak jest zawsze na każdej budowie – odpowiedział Jeremy. – Z tą różnicą, że wziąłem to, co mi się należało. Chyba nie okradłbym samego siebie, co? I nikogo nie zabiłem ani nie kazałem zabić, nic z tych rzeczy.

– To dlaczego reporterka pisze, że to ty?

– Bo nie wie, o czym mówi – odparł Jeremy.

Wyglądał na wściekłego, chociaż Alena nie wiedziała, z jakiego powodu.

– Ale przecież nie wymyśliła całej tej historii – zaprotestowała. – Najpierw powiedziałeś mi, że jesteś szantażowany, a później – że już po wszystkim, a facet dostał to, na co zasłużył. Został zamordowany?

Przez chwilę Jeremy spoglądał na Alenę wzrokiem pełnym złości.

– Nie mam z tym, kurwa, nic wspólnego – powiedział. – Tak, przyznaję: spierdoliłem nieco sprawę z Aurorą, ale nie maczałem palców w tym gównie, o którym mówisz.

– Reporterka powiedziała mi, że człowiek oskarżony o to zabójstwo ma stanąć przed sądem. Powiedziała też, że jest niewinny i że go wrobiono.

– Po prostu z nią nie rozmawiaj, okej? Jeśli znowu przyjdzie, ma się rozumieć. Powiedziałaś jej cokolwiek?

– Potwierdziłam tylko, że cię znam, zanim się zorientowałam, o czym chce rozmawiać. Gdy zaczęła mówić, już się nie odzywałam. Mówiła dużo, bardzo dużo, i chyba myślała, że już o tym wiem.

Jeremy zbladł.

– Czy powiedziała ci jeszcze coś o morderstwie? – zapytał.

– Powiedziała, że popełnili je twoi ochroniarze. Czy naprawdę masz ludzi, którzy robią dla ciebie takie rzeczy?

Jeremy nie odpowiedział. Bawił się tylko szklaneczką. Najwyraźniej się przestraszył, uświadomiwszy sobie, że reporterka zdobyła tak wiele informacji. Alena postanowiła zagrać ostatnią kartą.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała. – Jest jeszcze sprawa twojego podwykonawcy, który miał zostać aresztowany, ale zniknął.

– Jack Pellettieri? Uciekł, i co z tego?

– Reporterka powiedziała, że jego ciało wypłynęło w New Jersey.

Jeremy wydawał się równie zaskoczony, co przerażony.

– Pellettieri nie żyje? Nic o tym nie wiedziałem.

– Powiedziałeś, Jeremy, że chcesz się ze mną spotkać. Że chcesz wszystko naprawić. Ale nie mogę wysłuchiwać oskarżeń pod twoim adresem, a później udawać, że niczego nie słyszałam.

– To nie byłem ja – powiedział łamiącym się głosem Jeremy.

– Ale to się stało – odparła Alena, usiłując nie okazać strachu. – Na Boga, Jeremy, coś o tym wiesz, prawda?

– Nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

– Czy to znaczy, że mi nie ufasz? – zapytała Alena, mając świadomość, jak absurdalne jest to pytanie, skoro potajemnie nagrywa rozmowę.

Jeremy spojrział na Alenę, która dostrzegła udrękę wypisaną na jego twarzy. I nagle coś w nim pękło. Jeremy nie należał do tych, którzy są

w stanie skrywać straszliwe tajemnice. Miał zbyt słaby charakter. Musiał komuś wyznać prawdę.

– To moja siostra – powiedział drżącym głosem. – Fowler był zamieszany w wyprowadzanie pieniędzy, a po wypadku na Aurorze przyszedł do mnie i zażądał pieniędzy za milczenie. Zapłaciłem mu, ale ten skurwieli wrócił. Opowiedziałem więc o wszystkim Lei. Obiecała mi, że się tym zajmie. Skontaktowała się z Darrylem, naszym specem od ochrony, i powiedziała mu, co kombinuje Fowler. Nie wiedziałem, co zamierzają zrobić, i nie wiedziałem, co się wtedy działo. Pamiętaj: żadnych rozmów z reporterką. Ani słowa. Rozumiesz? W przeciwnym razie nie będę mógł cię ochronić.

Alena poczuła dreszcz.

– Grozisz mi? – zapytała.

– Jasne, że nie. Ale skoro już dowiedziałaś się czegoś takiego, to zatrzymaj to dla siebie.

– Cieszę się, Jeremy, że to nie byłeś ty – rzekła Alena. – Cieszę się, że reporterka nie miała racji. Sytuacja i tak jest nieźle popieprzona, bo pozwoliłeś, żeby do tego doszło, ale dobrze, że nie byłeś w to bezpośrednio zamieszany. Czy to prawda, że o zamordowanie Fowlera oskarżono jakiegoś niewinnego faceta?

– Nie miałem z tym nic wspólnego. To Darryl wszystko kontrolował. Sądzę, że pozostawienie mu nierozwiązanej sprawy było zbyt ryzykowne, chociaż nikt nie pytał mnie o zdanie. Ale gdy się zrobi coś takiego, to zaczyna się myśleć, jak się z tego wykręcić.

– Ale pozwalasz, by działo się to, co właśnie się dzieje. Mógłbyś to przerwać, gdybyś tylko zechciał.

– Na to już za późno. Sprawy nabrały pędu i nie mogę tego zmienić.

Pogrążona w myślach Alena ledwie zauważyła, że Duncan skończył odtwarzać nagranie. W sali rozpraw zapadła cisza. Ocknąwszy się, dostrzegła wściekłe spojrzenie Lei Roth. Steven Blake powoli wstał. Alena pomyślała, że zdał sobie sprawę z porażki i nie będzie już stawał murem za swoją klientką.

– Nagranie to rodzi wiele wątpliwości, wysoki sędzie – powiedział Blake.

– Nie możemy przyjąć za pewnik, że głos, który usłyszeliśmy, to rzeczywiście głos Jeremy’ego Rotha. Nie wiemy też, czy nagranie to nie składa się z oderwanych od siebie fragmentów lub czy nie zostało przetworzone w inny sposób. Jest również rzeczą oczywistą, że pani Porter w najlepszym wypadku zwodziła swojego rozmówcę. Nawet jeśli nagranie jest prawdziwe, stanowi ono zaledwie dowód ze słyszenia, nieoparty

żadnymi dowodami potwierdzającymi.

Sędzia Lasky spojrział na Blake'a z poirytowaniem.

– Czy sugeruje pan, że wypowiedzi pana Rotha, które właśnie usłyszeliśmy, to kłamstwa? – zapytał. – Czy wątpi pan też, że to jego głos? Przecież zna pan pana Rotha osobiście, a może się mylę?

– Pan Roth jest moim klientem – odpowiedział z wahaniem w głosie Blake.

– Czy jako funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości, stojąc przed sądem, stwierdza pan, że nie był to głos pana Rotha?

Blake najwyraźniej nie był skory do odpowiedzi.

– Ogólnie rzecz biorąc, głos z nagrania jest podobny, ale nie jestem ekspertem w takich sprawach – oświadczył w końcu.

Lasky spojrział na niego z rosnącym zniecierpliwieniem, po czym zwrócił się do wiceprokurator Castelluccio.

– Czy oskarżenie ma coś do powiedzenia? – zapytał.

Castelluccio wstała. Wyglądała na mocno poruszoną.

– Wysoki sędzie, nie jestem w stanie stwierdzić, czy zaprezentowane nam nagranie jest autentyczne – orzekła. – Wolałabym, aby zostało ono zbadane przez naszych ekspertów. Możemy też po prostu zapytać Jeremy'ego Rotha, czy je kwestionuje.

– Co to może oznaczać dla pana Nazario? – zapytał sędzia.

Castelluccio zawahała się.

– Być może jest jeszcze zbyt wcześnie na podjęcie decyzji w jego sprawie – stwierdziła. – Samo nagranie nie może wpłynąć bezpośrednio na jego uniewinnienie, choć z pewnością rodzi ono wiele pytań.

Duncan obiecał sobie, że nie odezwie się, dopóki nastroje nie opadną. W końcu wstał i zwrócił się do sędziego.

– To nagranie nie rodzi żadnych pytań, wysoki sędzie – powiedział. – Potwierdza jedynie, że oskarżony został wmanipulowany w morderstwo. Wiemy też, kto i dlaczego to zrobił.

– Mam zgoła odmienne zdanie w tej kwestii – oświadczyła Castelluccio. – Chciałabym przypomnieć wysokiemu sądowi, że pan Nazario był gotów przyznać się do popełnienia tej zbrodni. Dopiero okaże się, czy nowe informacje mogą się przyczynić do jego uniewinnienia.

Sędzia Lasky spojrział na Castelluccio. Potem, pierwszy raz tego dnia, na Rafaela. Po chwili zastanowienia zwrócił się do wiceprokurator.

– Uznaję nagranie, którego wysłuchaliśmy, za rozstrzygające w sprawie pana Nazario – stwierdził. – Z pewnością rodzi ono uzasadnione

wątpliwości co do winy oskarżonego, zatem nie może pani już nic więcej zrobić.

– Chyba jeszcze za wcześnie na ostateczne zamknięcie tej sprawy – odparła szybko Castelluccio.

– Wysoki sąd nie wydał wyroku i może oddalić pozew z możliwością wznowienia postępowania – powiedział Duncan. – W razie pojawienia się nowych okoliczności prokuratura okręgowa będzie mogła wystąpić z wnioskiem o ponowne rozpatrzenie sprawy.

– Należy wziąć pod uwagę ryzyko ucieczki – rzekła Castelluccio.

– Mój klient nie dysponuje środkami, które by mu ją umożliwiły – odparł Duncan, uświadamiając sobie, że właśnie nazwał Rafaela swoim klientem. Nie zamierzał jednak tego prostować. – Nie ma nawet paszportu. Zresztą dlaczego, u licha, w obecnej sytuacji miałby myśleć o ucieczce?

Sędzia Lasky przyglądał się przez chwilę Rafaelowi.

– Oskarżony nie powinien przebywać w więzieniu w czasie, gdy policja będzie rozpoznawać sprawę od początku – oświadczył wreszcie. – Naszym celem jest ustalenie tego, co się naprawdę wydarzyło, dlatego nie podtrzymujemy dotychczasowego oskarżenia. Zamykam niniejszą sprawę, zastrzegając możliwość jej wznowienia. Panie Nazario, jest pan wolny.

Duncan podszedł do Rafaela, ignorując Walkera, i położył rękę na ramieniu chłopaka.

– Pora wracać do domu – powiedział.

Darryl Loomis zaparkował samochód przy Sullivan Street, przecznicę od Aurora Tower.

– Mamy się spotkać z Tommym wewnątrz Aurory? – zapytała Candace, wysiadając z podstarzałego forda taurusa.

Miała nadzieję, że policjanci słyszą jej każde słowo, i starała się informować ich na bieżąco o rozwoju sytuacji, czyniąc to tak, by nie wzbudzić podejrzeń Loomisa. Nie udało jej się dostrzec podążających za nimi funkcjonariuszy, lecz wierzyła, że są w pobliżu.

– Jak tam wejdziemy? – zapytała.

– Tommy wszystko załatwił – odpowiedział Darryl.

– Czy budowa wciąż trwa?

– Teraz wykańczają wnętrza. Wejdziemy od tyłu.

Przeszli wzdłuż fasady Aurora Tower i skręcili za rogiem. Budowla widziana z zewnątrz wydawała się ukończona. Aurora wyglądała stylowo: jej lekko zakrzywione ściany przypominały delikatne morskie fale. Był to najwyższy, pokazowy budynek w dzielnicy. Nic dziwnego – pomyślała Candace – przecież właśnie tak powinno wyglądać coś, co kosztuje pół miliarda dolarów.

Darryl skręcił w boczną uliczkę. Candace przystanęła. Darryl zauważył to, odwrócił się i powiedział:

– Jesteśmy na miejscu. Brama dla ciężarówek powinna być otwarta. Chodźmy.

– W porządku, Reggie – odparła Candace, podążając niechętnie za Darrylem.

Boczna uliczka była dobrze utrzymana, w końcu znajdowali się w SoHo. Zbliżyli się do bramy. Była otwarta.

Candace weszła za Darrylem do środka. Znalazła się w prostym, surowym korytarzu oświetlonym jarzeniówkami. Ta część budynku nie była przeznaczona dla oczu jego zamożnych mieszkańców. Weszli do windy towarowej, dużej i często używanej: jej ściany były porysowane, a podłoga pokryta trocinami.

Wjechali na dwudzieste szóste piętro. Wygląd korytarza świadczył o tym, że znajdowali się w niewykończonej jeszcze części budynku. Na podłodze piętrzyły się stosy sklejki, a lampy sufitowe nie świeciły. We wnętrzu panował półmrok.

– Co jest na dwudziestym szóstym piętrze? – zapytała Candace, informując w ten sposób policjantów o miejscu, w którym się znalazła. Miała nadzieję, że ją usłyszeli.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła straszliwego błędu i czy nie byłoby lepiej, gdyby po prostu wróciła do windy i uciekła.

Darryl spojrział na Candace.

– Tommy miał tu czekać – oświadczył.

– Trochę tu dziwnie, Reggie – odparła Candace.

– Można się przyzwyczaić, jak się pracuje na budowie – powiedział Darryl.

– Czy i pan jest budowlańcem?

– Tak, pracuję z Tommym – odpowiedział Darryl.

– Należy pan chyba do kierownictwa.

Darryl nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Z powodu pańskiego garnituru: założę się, że jest szyty na miarę.

Darryl przyglądał się Candace przez chwilę, lecz nie odpowiedział. Dotarł do połowy korytarza i zatrzymał się przed drzwiami jednego z mieszkań. Nie miały jeszcze zamka ani klamki.

– To tu – powiedział, popychając drzwi.

Candace weszła za Darrylem do dużego nieumeblowanego apartamentu. Mijając wysepkę kuchenną, zauważyła lodówkę stojącą na środku pomieszczenia i leżący obok marmurowy blat owinięty folią bąbelkową. Wszedłszy do salonu, zobaczyła mężczyznę, lecz nie był to Tommy Nelson.

– Chris Driscoll? – odezwała się po chwili, rozpoznając mężczyznę, który rozmawiał kiedyś w jej obecności z Duncanem. – Co pan tu, u licha, robi?

– Teraz pracuję na Aurorze – odpowiedział Driscoll. – Przeniesiono mnie tu po ukazaniu się pani artykułiku.

Candace stała na środku salonu, patrząc na Driscolla i mając Darryla za plecami. Przez przeszkloną ścianę wychodzącą na południe widać było Dolny Manhattan. Candace wykonała kilka kroków w tył, by móc widzieć obu mężczyzn.

– To nie było nic osobistego – powiedziała odruchowo, jak zawsze, gdy rozmawiała z kimś, kogo wkurzył jej tekst.

– Cóż, użyła pani tylko mojego nazwiska w gazecie i przy okazji nazwała mnie kłamcą, tak? – odparł Driscoll. – Widział to mój ojciec, widziała też moja żona.

Candace przestała być miła.

– Po co mnie tu ściągnęliście? – zapytała. – Przepraszam, jeśli pana wkurzyłam, panie Driscoll, ale to nie najlepszy sposób, by się ze mną spotkać.

– To nie takie proste – rzekł Darryl. – Nie tylko Chris uważa, że za dużo pani mówi.

Candace doszła do wniosku, że nic to nie da, jeśli w dalszym ciągu będzie udawać, że nie zna swego rozmówcy.

– Nazywa się pan Darryl Loomis, prawda? – zapytała.

Darryl znów nie był w stanie ukryć zdumienia. Uśmiechnął się.

– Świetnie – powiedział. – Zatem nie muszę już chyba tłumaczyć, dlaczego się pani tu znalazła.

– Zdaje pan sobie sprawę, że mój szef wie, że tu jestem?

– Z Tommym Nelsonem na Tompkins Square? – odrzekł Darryl.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytała Candace.

– Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy to, co mówiła pani o Pellettierim, to prawda.

– Że jego ciało wypłynęło w New Jersey? Tak, to prawda.

– A teraz pisze pani o tym w swoim artykule?

– Odsyłam pana do kiosku – powiedziała Candace. – Albo na naszą stronę internetową. Chyba nie oczekuje pan, że w ten sposób załatwi sobie darmową prenumeratę?

Darryl pokręcił głową, jakby okazując rozczarowanie.

– Niech się pani rozejrzy i pojmie, w jakiej sytuacji się znalazła – powiedział. – Oprócz pani jest tu tylko dwóch mężczyzn, których może pani uznać za zabójców. Poza nami nie ma ani jednej żywej duszy w promieniu kilkudziesięciu metrów. Myślę więc, że udzielanie odpowiedzi na moje pytania to jednak dobry pomysł.

Candace nie mogła odgadnąć, co zaplanował Darryl. Do czego mógłby się posunąć, gdyby powiedziała mu, co naprawdę wie? Pozwoliwszy jej odejść, musiałby się obawiać, że Candace natychmiast poinformuje o wszystkim policję i wniesie przeciwko niemu oskarżenie. Nie byłyby to zapewne poważne zarzuty, lecz Darryl musiałby się gęsto tłumaczyć.

– Zamierzacie mnie zabić? – zapytała Candace. – Bo chyba nie bierzecie pod uwagę innej możliwości?

– Zbieram tylko informacje – odpowiedział Darryl. – Czy napisała pani artykuł o śmierci Pellettieriego?

– Tak, mam już wstępną wersję – skłamała Candace. – Umieściłam ją w redakcyjnej sieci.

- Co pani wie?
- O Pellettierim?
- O wszystkim.

– Niech pomyślę. Wiem, że Driscoll skłamał, mówiąc, że widział Nazario strzelającego do Fowlera. Wiem, że prawdziwym powodem, dla którego zginął Fowler, było to, że próbował szantażować Jeremy'ego Rotha w związku z wypadkiem na tej budowie. Nie wiem, kto naprawdę zabił Fowlera, chociaż z pewnością znaleźlibyście się na mojej dość krótkiej liście. Ale jestem pewna, że zabójca, kimkolwiek jest, wypełniał polecenia rodziny Rothów.

– Napisała pani o tym?

– Tak, chociaż mój tekst nie jest jeszcze gotowy – odpowiedziała Candace. – Wszystkie tropy prowadzą do Jeremy'ego Rotha, prawda?

Darryl zignorował to pytanie. Przyglądał się Candace, lekko się uśmiechając.

– Moim zdaniem pani łąze – powiedział. – Niczego pani nie napisała. Nie ma pani dowodów.

– Prokuratura okręgowa szykuje się właśnie do oskarżenia pana w związku ze śmiercią Pellettieriego – rzekła Candace. – Jak pan myśli: skąd wiem, że Pellettieri nie żyje, chociaż do tej pory nie pojawiła się żadna oficjalna informacja w tej sprawie? I jeszcze jedno: gdy prokurator postawi pana przed sądem, zapyta też o Fowlera. Na litość boską: zabił pan swojego człowieka!

Twarz Darryla stężała.

– Fowler nie był moim człowiekiem, nie po tym, co zrobił. Skończył się, gdy włożył rękę do kieszeni klienta. Praca w mojej branży wymaga absolutnego zaufania. Ludzie, którzy zwracają się do mnie z prośbą o pomoc, miewają potworne problemy, a tajemnice, które mi powierzają, na pewno przekroczyłyby możliwości pani wyobraźni. Czy myśli pani, że pani mało znacząca gazetka oddaje prawdę o życiu w tym mieście? Tylko tak się pani wydaje.

– Więc pora na atak – powiedziała Candace. – Rothowie na pewno się nie zawahają: wyrzucą pana na zbity pysk, jak tylko to szambo wybije. Proszę mi o wszystkim opowiedzieć, proszę dogadać się z prokuratorem okręgowym i pomyśleć, co się panu opłaca. Póki to jeszcze możliwe.

Darryl nieznacznie się uśmiechnął.

– Wyobrażam to sobie trochę inaczej – rzekł. – Myślę, że nie napisze już pani żadnego artykułu. Myślę też, że włamała się pani do budynku, szukała

tu cholera wie czego i że miała pani wypadek.

Candace zebrała się w sobie.

– Dość – powiedziała i szybko cofnęła się o dwa kroki w kierunku ściany.

Nic się nie stało. Zdezorientowany Darryl spojrzął na Candace, ona zaś pomyślała, że coś poszło nie tak i policjanci wcale za nią nie podążali. Pomyślała, że mogłaby pobiec w stronę drzwi wejściowych, lecz raczej nie udałoby się minąć Darryla.

W tej samej chwili Candace usłyszała hałas, dostrzegła ruch za plecami Darryla i usłyszała, że ktoś krzyczy, że ma pokazać ręce.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Darryl odwrócił się szybko w stronę drzwi, sięgnął pod marynarkę i wyjął pistolet. Odgłos strzałów w pustym pomieszczeniu był ogłuszający. Darryl padł jak kłoda. Driscoll zastygł w bezruchu, a potem szybko uniósł ręce. Detektyw Gomez podszedł do Candace, pytając, czy wszystko w porządku, podczas gdy kilku innych policjantów z bronią w ręku otoczyło leżącego Darryla.

– Nie żyje? – zapytała Candace, ledwie słysząc własny głos przebijający się przez dotkliwe dzwonięcie w uszach.

Gomez spojrzął z pogardą na zwłoki, otoczone powiększającą się powoli kałużą krwi.

– Niedobrze – stwierdził. – Pewnie przydałby nam się żywy, ale pieprzyć to. Zhańbił swój zawód.

– Sięgnął po broń – powiedziała wciąż oszołomiona Candace. – Dlaczego to zrobił?

Gomez wzruszył ramionami.

– Wynośmy się stąd – rzekł.

Położył rękę na ramieniu Candace i delikatnie wypchnął ją z salonu.

Gomez zaprowadził ją do windy, zwiózł na dół i wyprowadził z Aurora Tower. Za drzwiami czekał na nią Sullivan ze zwisającą z ramienia słuchawką.

– Nie żyje? – zapytał Gomeza.

– Na to wygląda.

– „Samobójstwo ze sprowokowanym udziałem policjanta”?

Gomez wzruszył ramionami.

– Wszystko działa się bardzo szybko – powiedział.

Sullivan skinął głową i odwrócił się do Candace, która ujrawszy jego wyraz twarzy, mogłaby się założyć, że wygląda naprawdę kiepsko. Czowała zamęt myśli, a strach i emocje, które nagromadziły się w niej w ciągu ostatniej godziny, zaczynały dopiero szukać ujścia.

– Wszystko w porządku? – zapytał Sullivan. – Cała się pani trzęsie.

– Naprawdę? – zapytała Candace i spojrzała na swoje ręce: drżały jak skrzydła motyla. – Rzeczywiście, chyba ma pan rację. Proszę dać mi chwilę, zaraz dojdę do siebie.

Sullivan skinął głową.

– Pojedziemy na komisariat, złożę pani krótkie zeznanie i będzie mogła wrócić do domu – powiedział. – Przyda się pani lampka wina i długa kąpiel.

Candace popatrzyła na Sullivana jak na wariata.

– Żartuje pan? – zapytała. – Na wypadek gdyby pan zapomniał: jestem dziennikarką i siedzę na cholernie grubym newsie.

Duncan i Rafael pokonali pieszo drogę z sądu do Jacob Riis. Duncan zaproponował taksówkę, lecz Rafael, rozkoszujący się wolnością, oświadczył, że woli się przejść. Odmówił też, gdy Duncan zaoferował mu swój telefon, by mógł zadzwonić do rodziny, która nie miała pojęcia, co się stało. Powiedział, że będzie chciał zobaczyć miny swoich bliskich w chwili, gdy się dowiedzą, że odzyskał wolność.

– Dał pan radę, panie R. – rzekł Rafael, gdy przebili się przez tłumy na Canal Street, pełnej zapachu ryb dolatującego z chińskich targowisk. – Przepraszam, że wcześniej nie wierzyłem, że mówi pan poważnie.

– Niemal każdy się na ciebie wypiął, Rafaelu – odparł Duncan. – Dlaczego więc miałbyś pomyśleć, że ja zachowam się inaczej?

– Dał pan z siebie wszystko. Dla mnie.

– W pewnym sensie to moja wina, że byłeś w to wszystko zamieszany – powiedział Duncan. – Wytypowano cię jako kozła ofiarnego prawdopodobnie dlatego, że byłem twoim adwokatem.

Rafael spojrzał na Duncana.

– Nie wiedział pan o tym, prawda?

– Nie wiedziałem. I właśnie między innymi dlatego postanowiłem nie odpuścić tej sprawy.

– Walczył pan o mnie nawet wtedy, gdy pana obraziłem i kazałem panu dać mi spokój.

Słuchając Rafaela, Duncan poczuł zakłopotanie.

– Na tym polega bycie czymś adwokatem – powiedział. – Może śmiesznie to zabrzmie, ale wierzę, że o to właśnie w tej pracy chodzi.

– Więc kto zastrzelił Fowlera?

Duncan się roześmiał.

– Tego, prawdę mówiąc, nie wiem – odpowiedział.

– I nie chce się pan dowiedzieć?

– Pewnie, że chcę, ale ktokolwiek by pociągnął za spust, odpowiedzialna za wszystko jest Lea Roth.

– Aresztują ją?

– Nie będą się z tym na pewno spieszyć. Gdy ma się do czynienia z kimś takim jak ona, trzeba się dobrze przygotować, by móc wykonać jakikolwiek ruch. Zobaczymy.

– To przez nią musiał pan zrezygnować z udziału w mojej sprawie?

– Lea Roth uznała, że zbyt dobrze mi idzie. Bała się, że wygramy.

– Kurczę, muszę zobaczyć, jak ją puszkują. Chcę, żeby musiała się babrać w tym samym gównie, z którego się wygrzebałem.

Duncan nie miał tego za złe Rafaelowi, ale nie chciał już rozmawiać o Lei.

– Jakiś czas temu rozmawiałem z Marco, twoim dawnym szefem – powiedział. – Założę się, że ucieszy się, gdy wrócisz do restauracji. I jeszcze jedno: jeśli chodzi o pieniądze, to masz prawo pozwać bardzo bogatych ludzi.

Oczy Rafaela rozszerzyły się.

– Mówi pan poważnie? – zapytał.

– Jak cholera – odpowiedział Duncan, uśmiechając się szeroko. – Gdybyś zatem potrzebował dobrego prawnika, który weźmie tę sprawę, to tak się składa, że mam akurat mnóstwo wolnego czasu.

Skręcili na wschód, w Dziewiątą Ulicę. Ich oczom ukazało się osiedle Jacob Riis. Wciąż tu burzono i budowano. Duncan pomyślał, że jeśli nawet firma Rothów upadnie z powodu skandalu, to jej miejsce zajmie inny deweloper. Zmiany były stałym elementem życia Nowego Jorku: jego mieszkańcy budzili się każdego ranka w nieco innym mieście.

Rafael przystanął i zaczął wpatrywać się w strzeliste budynki, które zwykł już nazywać domem.

– Ale mamy jeszcze dużo czasu, by to wszystko omówić – ciągnął Duncan. – A teraz idź i zrób niespodziankę swojej rodzinie.

I jak? – zapytał Duncan. – Gotowa na wywiad z wyłączością?

Zadzwoił do Candace, gdy tylko pożegnał się z Rafaelem, i umówił się z nią w Life Café. Opowiedział jej o wydarzeniach dnia. Mógł się przez to narazić sędziemu Lasky’emu, lecz chciał dotrzymać umowy, którą zawarł z Candace. Spodziewał się zresztą, że w obecnej sytuacji sędzia nie będzie mu robił trudności.

– Co z Rafaelem? – zapytała Candace, gdy siedzieli już przy stoliku. – Mogę z nim porozmawiać?

Duncanowi nie przyszło wcześniej do głowy, że Rafael znajdzie się w centrum zainteresowania.

– Poszedł do domu, żeby zobaczyć się z rodziną, więc chciałbym dać mu trochę czasu – powiedział. – Zadzwonię do niego za parę godzin i dowiem się, czy zechce się z tobą spotkać.

– Obiecuję, że będę delikatna. To on jest prawdziwą ofiarą, a jego historia zasługuje na opowiedzenie.

Ma rację, pomyślał Duncan.

– Powiem mu, że jeśli chciałby z kimkolwiek porozmawiać, to powinnaś to być ty – rzekł. – Ale to zależy od niego. Tymczasem Alena Porter czeka na twój telefon.

– Ja też miałam dziś dość ekscytujący dzień – powiedziała Candace. Darryl Loomis nie żyje.

Duncan był wstrząśnięty. Candace opowiedziała mu o wszystkim, co się stało.

– Chryste... – wymamrotał, gdy skończyła.

Gdy układali swój plan, Duncan martwił się, że Candace będzie groziło niebezpieczeństwo, i namówił ją, by poprosiła Sullivana o ochronę. Nie wyobrażał sobie jednak, że Candace zdobędzie się na podstęp.

– I przyszedł tu, jakby nigdy nic? – zapytał. – Mogłaś przecież zginąć.

– Nie sądziłam, że naprawdę będą chcieli zabić reporterkę – odpowiedziała Candace. – Ale to fakt: jestem pewna, że byli gotowi to zrobić.

– Ryzykowałaś życie dla artykułu? – zapytał Duncan z niedowierzaniem.

– Nie jestem reporterem wojennym w Iraku. Nic z tych rzeczy – odpowiedziała Candace. – Tam w jednej chwili ryzykuje się więcej niż ja przez całe życie.

– Mimo wszystko nie chciałbym, aby znaleziono cię na plaży w Jersey.

Candace uśmiechnęła się szeroko.

– Słodko – odparła.

Duncan odpowiedział jej uśmiechem. Był autentycznie zdumiony tym, co się stało.

– Myślę, że naprawdę mieliśmy szczęście – powiedział.

– Na to wygląda. Wiesz, chciałbym jeszcze zostać i pokontemplować naszą wspaniałość, lecz czeka mnie długi wieczór w redakcji – rzekła Candace, spoglądając na Duncana rozpromienionym wzrokiem.

Przepęniała ją adrenalina. Była podekscytowana pracą nad swym najnowszym, naprawdę przełomowym artykułem.

– Gratulacje – powiedziała. – Powinieneś to uczcić. Później postawię ci drinka, bo na razie wygląda na to, że będę siedziała nad tym do północy.

– Właściwie nie muszę zrywać się jutro rano z łóżka. Nie przypuszczam też, bym spóźnił się do pracy – odparł Duncan.

Candace spojrzała na niego i nieco spoważniała.

– Czy jeśli postawię ci drinka o północy, wyrobisz sobie o mnie złe zdanie? – zapytała, usiłując się zdobyć na żartobliwy ton, lecz głos ją

zawiódł.

– Sądzę, że już je sobie wyrobiłem – odpowiedział spokojnie Duncan.

Candace przyglądała mu się przez chwilę z uśmiechem czającym się w kącikach ust.

– Wiesz, ile razy sobie obiecałam, że nigdy nie zwiążę się z prawnikiem?

– zapytała.

– Nie jest to takie pewne, czy wciąż jestem prawnikiem – rzekł Duncan.

– A rzeczywiście – zgodziła się Candace.

Przez chwilę siedzieli bez słowa, spoglądając na siebie.

– Muszę już iść – powiedziała Candace, lecz nie ruszyła się z miejsca.

– Idź.

– Później zadzwonię.

– A ja odbiorę.

Candace wstała. Szybko się pochyliła i pocałowała Duncana.

– Będziesz musiał mi wyjaśnić wiele rzeczy związanych z Leą Roth – szepnęła mu do ucha.

Odwróciła się na pięcie i szybko oddaliła.

Duncan odczekał chwilę i wyszedł na ulicę. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. W końcu ruszył przed siebie, w kierunku swojego mieszkania.

Zdawał sobie sprawę z tego, co stracił: jego znakomicie rozwijająca się kariera zbczyła z kursu. Duncan nie chciał jednak wrócić na stare tory, nawet gdyby to było możliwe. Ku swemu zdumieniu zrozumiał, że jest wolny i że będzie mógł ułożyć sobie życie na nowo. Lecz jak miałoby ono wyglądać?

Najpierw zapewne zainteresowałyby się nim media. Później, dzięki rozgłosowi, Duncan mógłby otrzymać propozycje pracy albo otworzyć własną kancelarię. Nie wydawało się to kompletnie absurdalne. Coś musiało się zdarzyć. Przecież zawsze tak jest: po każdej fali pojawia się następna, na której należy się utrzymać jak najdłużej. Duncan przypomniał sobie słowa F. Scotta Fitzgeralda, że w życiu Amerykanów nie ma drugich aktów. Duncan nigdy się z tym nie zgadzał, szczególnie teraz. Historia Ameryki była bowiem właśnie historią drugich aktów.

W wypadku Duncana kolejny akt miał się właśnie rozpocząć.